SEKRETY HISTORII

Wypędzeni

Powojenne losy Niemców

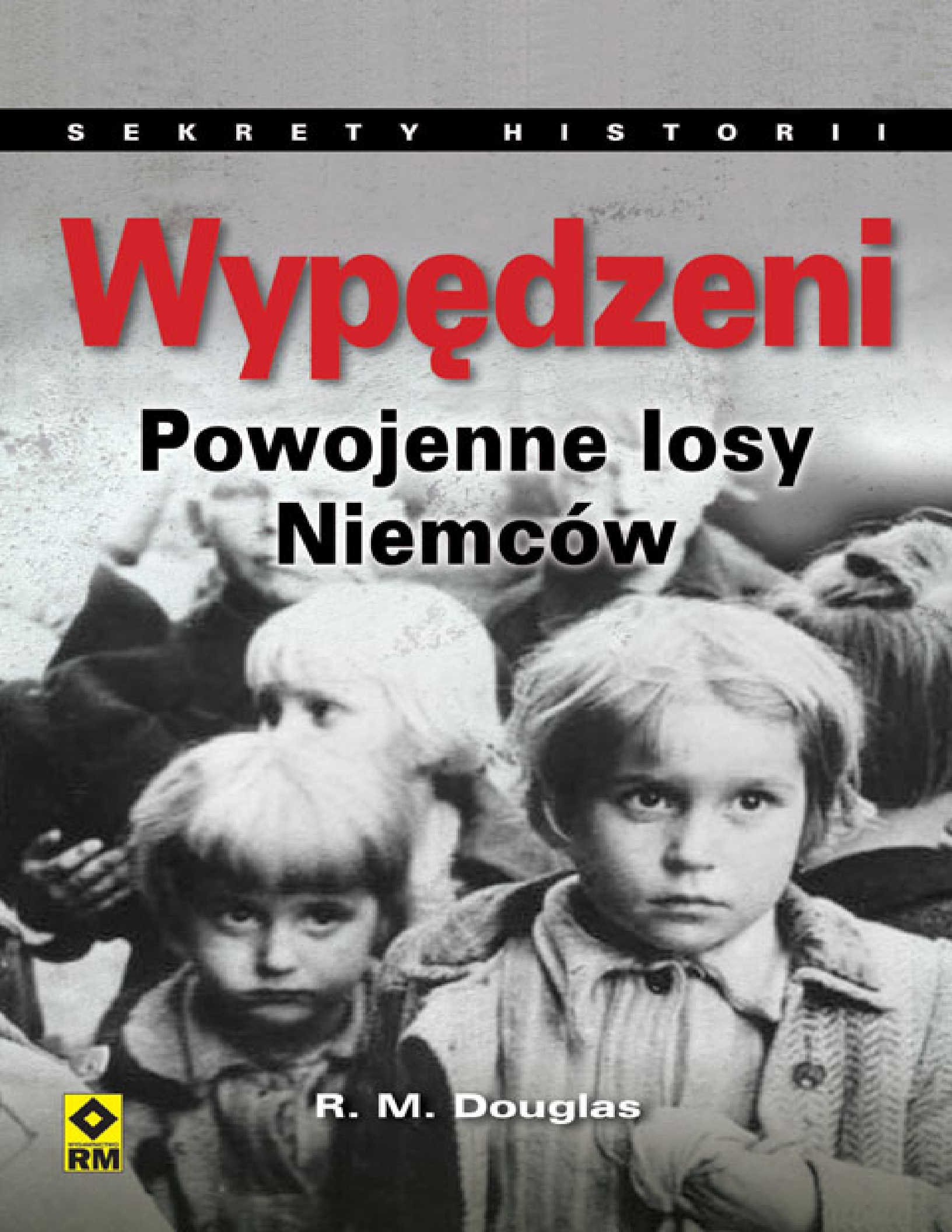

R. M. Douglas

RM

SEKRETY HISTORII

Wypędzeni

Powojenne losy Niemców

R. M. Douglas

WYDAWNICTWO RM

Wypędzeni. Powojenne losy Niemców

R. M. Douglas

Tłumaczenie: Grzegorz Siwek

Copyright © Wydawnictwo RM, Warszawa 2015

Original title: *Orderly and Humane: The Expulsion of the Ethnic Germans After the Second World War*

Copyright © 2012 by R. M. Douglas

All rights reserved.

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25
rm@rm.com.pl
www.rm.com.pl

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy.

Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w niniejszej publikacji są znakami towarowymi zastrzeżonymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm odnośnych właścicieli.

Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książce, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawnictwo RM nie jest w żadnym przypadku odpowiedzialne za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej publikacji, nawet jeśli Wydawnictwo RM zostało zawiadomione o możliwości wystąpienia szkód.

ISBN 978-83-7773-095-9
ISBN 978-83-7773-460-5 (e-Pub)
ISBN 978-83-7773-461-2 (mobi)

Redaktor prowadzący: Justyna Mrowiec
Redakcja: Inga Jaworska-Róg
Korekta: Jolanta Kucharska
Nadzór graficzny: Grażyna Jędrzejec
Projekt graficzny okładki: Wiktor Jędrzejec
Opracowanie wersji elektronicznej: Marcin Fabijański
Weryfikacja wersji elektronicznej: Justyna Mrowiec

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem: rm@rm.com.pl

Spis treści

Wprowadzenie

Rozdział 1 Plany

Rozdział 2 Volksdeutsche w latach wojny

Rozdział 3 Schemat

Rozdział 4 „Dzikie wypędzenia”

Rozdział 5 Obozy

Rozdział 6 „Zorganizowane wysiedlenia”

Rozdział 7 Żonglerka danymi statystycznymi

Rozdział 8 Dzieci

Rozdział 9 Dziki Zachód”

Rozdział 10 Reakcja zagranicy

Rozdział 11 Przesiedlenie

Rozdział 12 Prawo

Rozdział 13 Pokłosie wysiedleń i pamięć o nich

Zakończenie

Bibliografia

Mojej ukochanej żonie

Wprowadzenie

Bezpośrednio po II wojnie światowej zwycięscy alianci przeprowadzili największą w historii akcję przymusowych przesiedleń, której wynikiem była chyba największa w dziejach migracja jednej nacji. Przy czynnym udziale władz brytyjskich, radzieckich i amerykańskich miliony przedstawicieli niemieckojęzycznej ludności zamieszkującej obszary Czechosłowacji, Węgier oraz wschodnich terytoriów niemieckich przekazanych Polsce wypędzono z domów ku ruinom Rzeszy i pozostawiono samym sobie. Kolejnym milionom, które uciekły przed nacierającą Armią Czerwoną w ostatnich miesiącach wojny, uniemożliwiono powrót w rodzinne strony, skazując na dożywotnie wygnanie. Jeszcze inni etniczni Niemcy zostali wypędzeni z Jugosławii i Rumunii, choć alianci formalnie nie usankcjonowali deportacji z tych krajów. W sumie cała ta operacja doprowadziła do wysiedlenia na stałe co najmniej 12 milionów, a może nawet 14 milionów ludzi. Większość z nich stanowiły kobiety oraz dzieci poniżej szesnastego roku życia; stosunkowo niewielkim odsetkiem przesiedleńców byli dorośli mężczyźni. Temu wygnaniu towarzyszyły brutalne akty przemocy. Na skutek maltretowania, głodu i chorób zginęły dziesiątki, a może nawet setki tysięcy ofiar podczas przymusowego pobytu w obozach poprzedzającego wypędzenie – często w byłych niemieckich obozach koncentracyjnych z okresu II wojny światowej, takich jak Auschwitz I. Wielu przesiedleńców straciło życie w pociągach, gdy zamykano ich w wagonach towarowych, bez pożywienia, wody i ogrzewania podczas przejazdu do Niemiec, trwającego niekiedy tygodniami; liczni umierali na poboczach dróg, kiedy musieli pieszo podążać ku nowym niemieckim granicom. Śmierć zbierała

żniwo także już w Niemczech, gdy bezdomni wygnańcy padali ofiarą wyziębienia, niedożywienia i innych skutków ich gehenny. Szacunkowe wyliczenia dotyczące śmiertelności niemieckich przesiedleńców do dziś stanowią źródło poważnych kontrowersji, ocenia się jednak na podstawie ograniczonych i sprzecznych czasem świadectw, że wynosiła ona od pół miliona do co najmniej półtora miliona ludzi (niektórzy badacze podają większą liczbę ofiar). Ustalenie możliwego do przyjęcia przybliżenia tej liczby wymaga dalszych dogłębnych badań historycznych.

Jednak nawet gdyby przyjąć najbardziej optymistyczną interpretację tych danych liczbowych, to owa akcja przesiedleńcza miała skalę wielkiej społecznej katastrofy, przyćmiewającej podobne cierpienia ludności byłej Jugosławii w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Wygnania nie próbowano nawet ukrywać przed oczami dziesiątków tysięcy reporterów, dyplomatów, pracowników organizacji humanitarnych i innych obserwatorów mających dostęp do ówczesnych środków masowego przekazu, a działo się to wszystko w centrum gęsto zaludnionego kontynentu. Mimo to przesiedlenia te nie wzbudziły wówczas większego zainteresowania. Obecnie, poza regionami objętymi tą akcją, pozostają niemal całkowicie nieznanym faktem historycznym. I nawet w Europie Środkowej poziom elementarnej wiedzy na ten temat bywa nierzadko zaskakująco mizerny. Ankiety przeprowadzone w 2002 roku wykazały na przykład, że polscy respondenci na ogół zaniżali liczbę Niemców deportowanych z tzw. Ziem Odzyskanych o połowę (co ciekawe, ta sama grupa ankietowanych zawyżała o 260 procent liczbę Polaków przesiedlonych na zachód zza Bugu). Tylko około połowy pytanych wiedziało, że Wrocław, Gdańsk i Szczecin były niegdyś niemieckimi miastami[1].

Nie należałoby przypisywać tego braku wiedzy o wypędzeniach jakiejś zmowie milczenia. To, co działo się w epoce powojennej, było nie tyle skutkiem przemyślanych poczynań, ile czegoś mniej znaczącego: zjawiska przemilczania w mediach tego ważnego wydarzenia historycznego. Oczywiście informacje o wypędzeniach, choć o bardzo różnej wartości, są osiągalne i dostępne, ale dla dociekliwych, znających języki obce oraz zainteresowanych tym tematem. Sporządzona w 1989 roku bibliografia obejmuje prawie 5 tysięcy pozycji poświęconych temu zagadnieniu w samym tylko języku niemieckim. Jeszcze dzisiaj, po upływie ponad 65 lat, można dotrzeć do żyjących wygnańców; oblicza się, że od jednej piątej do jednej czwartej populacji obecnych Niemiec ma lub miało wygnańców w gronie swych bezpośrednich przodków. A zatem nie zaprzecza się faktowi przesiedleń, a tylko umniejsza ich znaczenie. W podręcznikach historii można natrafić na odosobnione, niejasne wzmianki o „chaosie" panującym w Niemczech w okresie tuż po wojnie lub też całkowicie się ignoruje akcję wysiedleńczą, stwarzając wrażenie, że zajmuje ona w dziejach nowożytnej Europy mniej istotne miejsce od, dajmy na to, kulturowego wpływu chuligaństwa na stadionach piłkarskich czy choćby symbolicznego znaczenia samochodu marki Trabant jako metafory enerdowskiego społeczeństwa.

Nie tak trudno to zrozumieć, ponieważ wszelkie dysputy na temat przesiedleń od razu wywołują mnóstwo nader trudnych i nadal wysoce kontrowersyjnych sporów. W przypadku Niemców wzbudzają one dyskusje wokół wątpliwych moralnie poczynań etnicznych mniejszości niemieckich żyjących poza Rzeszą – tak zwanych Volksdeutschów – oraz stopnia, w jakim działania te zaważyć mogły na późniejszych tragicznych losach

przedstawicieli tychże mniejszości. W oczach Polaków, Czechów i obywateli innych wschodnioeuropejskich krajów wspomniane kwestie zakłócają szereg narodowych narracji, w których przyjmuje się powszechnie, że Niemcy byli wyłącznie sprawcami, a nie ofiarami zbrodni – za te ostatnie uważa się rodaków – a ponadto budzą niepokój odnoszący się do trwałości międzynarodowych postanowień, na których mocy niegdysiejsze niemieckie ziemie zmieniły przynależność państwową. Z kolei w krajach alianckich, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, wiąże się to z poruszeniem sprawy współudziału ich dawnych przywódców w jednym z najbardziej nieludzkich przedsięwzięć we współczesnej historii, niepokojąco przypominającym wojenne próby nazistowskich Niemiec, aby przy użyciu podobnych metod zmienić granice państw na kontynencie europejskim. Dzieje powojennych przesiedleń należą do tych wydarzeń, w których niewiele z osób zaangażowanych bezpośrednio w ich przeprowadzenie da się przedstawić w lepszym świetle. Nic więc dziwnego, że istnieje silna niechęć do zagłębiania się w tę powikłaną, dwuznaczną pod względem moralnym i społecznym sprawę, która do dziś pozostaje politycznym „zgniłym jajem” w historii tego, co większość ludzi wciąż słusznie uznaje za uprawnioną krucjatę – czy też, jak mówią o tym Amerykanie, za „dobrą wojnę” – przeciwko jednemu z najbardziej zbrodniczych reżimów w nowożytnych czasach.

Nie trzeba wyjaśniać, że dramat deportacji jeszcze dziś ma wielkie znaczenie dla Niemców. Ale zapewne jeszcze ważniejszy czynnik stanowił w tworzeniu współczesnej polskiej państwowości. Pod koniec II wojny światowej nie tylko doszło do odrodzenia tego kraju w zupełnie nowych granicach – do tego stopnia, że zaledwie 54 procent ziem

znajdujących się pod polskim zarządem na początku września 1939 roku znalazło się w granicach Polski sześć lat później – lecz nastąpiło także, wskutek gwałtownych wstrząsów i tragicznych wydarzeń, równie dramatyczne przekształcenie struktur demograficznych w trakcie wspomnianego okresu. Dla Hitlera i Stalina II wojna światowa była w znacznej mierze konfliktem o charakterze demograficznym; trwałe przeobrażenie mapy zaludnienia w centrum Europy znajdowało się wysoko na liście celów obu tych dyktatorów. I do 1945 roku obydwaj konsekwentnie realizowali ten cel. Nazistowski program likwidacji polskiego żydostwa – najważniejszego elementu monstrualnego planu eksterminacji wszystkich Żydów europejskich – udało się nieomal urzeczywistnić do czasu upadku hitlerowskiego państwa i śmierci Hitlera w ruinach Kancelarii Rzeszy w kwietniu 1945 roku. Około dwóch milionów polskich cywilów nieżydowskiego pochodzenia również straciło życie podczas niemieckiej okupacji, co stanowiło krok wstępny do całkowitego unicestwienia, za sprawą masowych wysiedleń lub zniewolenia, polskiego narodu. Chociaż ludobójcze ambicje Stalina nie sięgały tak daleko, to wojna dostarczyła mu okazji do usunięcia potencjalnie wrogo usposobionych wobec sowieckiej władzy mieszkańców na polskich do 1939 roku terytoriach zachodniej Ukrainy i Białorusi. Podwójna fala wysiedleń – Polaków z ziem kresowych i Niemców z „Ziem Odzyskanych” – służyła przede wszystkim interesom ZSRR i nie budzi wielkiego zdziwienia, że Stalin, we współdziałaniu z zachodnimi aliantami, dążył to tego z taką stanowczością, począwszy od 1943 roku.

Nie znaczy to jednak, że deportacje Niemców były li tylko zamierzeniem mocarstw koalicji antyhitlerowskiej, których Polacy i przedstawiciele innych objętych tą akcją krajów

musieli słuchać i wypełniać ustalenia przekazane im po konferencji poczdamskiej. Podczas całej epoki komunistycznej stanowiło to niezmienny argument polskich historyków i władz, gdy podnoszono kwestię majątków wysiedleńców czy metod stosowanych podczas akcji deportacyjnej. Ale – pomijając nawet sprawę chwiejności takich argumentów – nie odpowiada to faktom historycznym. Na wiele miesięcy przed konferencją w Poczdamie trwały już „dzikie wypędzenia", wbrew tej nazwie starannie zorganizowane przez polskie władze na szczeblach centralnym i lokalnym. Przy tym, bynajmniej nie ograniczając się do wprowadzania w czyn dyrektyw przekazywanych przez sowieckich dowódców i organa polityczne, polscy urzędnicy państwowi często skarżyli się, że Armia Czerwona nie tylko spowalniała, ale wręcz aktywnie utrudniała polskie starania na rzecz „oczyszczenia" (z Niemców) zachodnich „Ziem Odzyskanych".

Można zatem śmiało stwierdzić, że stopień zaangażowania Polaków w akcję wysiedleńczą nie zawsze bywa odpowiednio podkreślany. Tak ogromnej operacji nie udałoby się przeprowadzić bez czynnego udziału setek tysięcy polskich żołnierzy, urzędników, milicjantów, przewoźników, przedsiębiorców, a nawet duchownych. Wymagało to chęci współdziałania wielu innych osób odnoszących osobiste korzyści z tej akcji – od osadników i kolonistów, po tych, którzy czerpali dochody z pracy niemieckich robotników przymusowych i szabrowników. Wymagało także przyzwolenia – na ogół udzielanego – ze strony milionów obywateli aprobujących skutki akcji deportacyjnej, choć sami się na niej nie wzbogacili. Wcale nie było oczywiste, że tak się stanie, gdyż idea „odpłacenia" Polakom ziemiami niemieckimi za obszary utracone na

rzecz Związku Radzieckiego bynajmniej nie cieszyła się takim uznaniem. A jednak Polacy zdumiewająco szybko przystali na ten „faustowski” układ, nie przejmując się zanadto, że skoro Wrocław i Szczecin przestały być miastami niemieckimi, oznaczało to zarazem, że Lwów i Wilno już nigdy do Polski nie powrócą.

Zamiast analizować konsekwencje tego faktu, polska historiografia jeszcze do niedawna prezentowała zazwyczaj powojenne deportacje Niemców jako naturalny lub wręcz nieuchronny skutek wcześniejszej nazistowskiej agresji, los, który naród niemiecki jako taki – żyjący w granicach Rzeszy z 1937 roku albo poza nimi – sam na siebie ściągnął. Bez ustanku padały argumenty, że niemieckie okrucieństwa w okupowanej Polsce były tak straszliwe, iż wszelkie krytykowanie pomysłu przesiedleń i samej akcji deportacyjnej było w najlepszym razie przejawem historycznej naiwności, anachronicznym projektowaniem liberalnych poglądów z XXI wieku na wojenne warunki zupełnie nieprzystające do tych wartości, w najgorszym razie zaś – próbą zrównania powojennych cierpień Niemców z nieporównywalnie większymi nieszczęściami, które ściągnęli podczas wojny na niezliczone polskie ofiary, pochodzenia żydowskiego i nieżydowskiego.

Nie ulega wątpliwości, że podobne twierdzenia nie były zupełnie bezpodstawne, co z pewnością przyczyniło się do ich rozpowszechnienia i długowieczności. Co się tyczy ich krytyki, to wypada przyznać, od razu i bez ogródek, że nic nie uprawniało do zrównywania powojennych wysiedleń ze straszliwymi zbrodniami popełnionymi na Żydach i innych niewinnych ofiarach od 1939 do 1945 roku. Zakres nazistowskich okrucieństw i barbarzyństwa w środkowej i wschodniej Europie jest tak wielki, że prawie nie sposób go wyolbrzymić. W całej historii ludzkości nie wydarzyło się

nic potworniejszego lub, może poza ludobójstwem w maoistowskich Chinach, równie potwornego. Sąsiedzi Niemiec ucierpieli najbardziej i niezasłużenie z rąk nazistów, a rezultatem tego okazał się bardzo silny zbiorowy uraz psychiczny. Cokolwiek jednak wydarzyło się po wojnie, nie można zrównywać tego ze zbrodniami popełnionymi przez Niemców w czasie jej trwania, a jeśli ktoś – choćby i z grona samych wygnańców – twierdzi inaczej, to daje wyraz wypaczonego nastawienia do historii. I nic w niniejszej książce nie przemawia na rzecz takiej postawy.

Jednak posiłkowanie się wspomnianymi „tezami nie do obalenia" oznacza przymykanie oczu na fakt, że powojenne przymusowe migracje nie były skutkiem naturalnych katastrof, tylko efektem działań ludzi – władz mocarstw koalicji antyhitlerowskiej oraz ludności krajów podbitych przez Niemcy. Trudność z uznaniem takiej prawdy wiąże się z tym, że oznacza zaszufladkowanie zbyt wielu ludzi do dość nieokreślonej kategorii – choćby dzieci, które przecież nie mogą odpowiadać za czyny swoich ojców i matek. Nie chodzi też o takie formułowanie pytań, by narzucały gotowe odpowiedzi. Jeśli bowiem zapytamy, co było gorsze: niemieckie poczynania w czasie wojny czy działania aliantów i sąsiadów pobitych Niemiec po wojnie, to możliwa jest tylko jedna odpowiedź. Jeżeli jednak postawimy pytanie, czy kiedykolwiek warto było, aby międzynarodowa społeczność deklarowała z góry, że prawa człowieka nie dotyczą określonych populacji, i czy było to mądre – wynikną z tego całkiem odmienne wnioski.

Takie rozważania nie są ani abstrakcyjne, ani anachroniczne: II wojna światowa nie była bowiem tylko starciem dwóch wrogich koalicji w walce o globalną supremację. Miała wyraźnie zarysowane podłoże

ideologiczne, jasno sformułowane w oświadczeniach na temat alianckich celów wojennych, w tym także w przemówieniu Franklina D. Roosevelta wygłoszonym w Kongresie w styczniu 1941 roku o „czterech podstawach wolności”, w którym amerykański prezydent podkreślał, iż „wolność oznacza przestrzeganie praw człowieka” na całym świecie, oraz w Karcie Atlantyckiej z sierpnia 1941 roku – dokumencie przyjętym przez polskie władze na uchodźstwie już w następnym miesiącu, a przez 26 krajów antyniemieckiej koalicji, w tym przez Stany Zjednoczone i Związek Radziecki, 1 stycznia 1942 roku. Być może najważniejszą kwestią, istotną stawką tej wojny, była próba rozstrzygnięcia, czyja wizja ludzkiej kondycji i godności przeważy – czy ta mordercza, nazistowska, z jej obłędnymi, utopijnymi założeniami, z jej instrumentalnym, mechanicznym podejściem do człowieka i pogardą dla całej koncepcji niezbywalnych ludzkich praw, czy też głoszone przez aliantów zaangażowanie w obronę takiego porządku świata, którego podstawę stanowi idea niepodważalnej osobistej wolności jednostki ludzkiej, wypływającej z faktu jej człowieczeństwa. Jako historycy i świadomi obywatele nie wykraczamy poza swoje uprawnienia, kiedy staramy się ustalić, w jakim stopniu wizja ta znajduje zastosowanie w codziennym życiu. Nie depczemy też pamięci o tych, którzy ucierpieli tak straszliwie z rąk Niemców, gdy wspominamy o innych przypadkach masowego pogwałcenia praw człowieka, choćby i takich, w których Niemcy byli ofiarami, a nie sprawcami. Poza tym, jeśli zbadamy dokładniej świadectwa tej największej przymusowej migracji ludności w dziejach, to przekonamy się, że nie spełniła związanych z nią oczekiwań i doprowadziła do tragicznych skutków – nawet w skrajnie trudnych

warunkach panujących w powojennej Europie usprawiedliwiających w pewnym stopniu tę sytuację.

Ponowne bardziej wnikliwe zajęcie się tym tematem wydaje się tym bardziej potrzebne, że od chwili upadku bloku komunistycznego w 1989 roku trwa prawdziwa rewolucja w środkowoeuropejskiej historiografii. Wraz z otwarciem archiwów w Polsce, Czechach, na Słowacji, Węgrzech i w niektórych krajach powstałych po rozpadzie Jugosławii w miejsce polemicznego i ahistorycznego podejścia do tego tematu zaczęły pojawiać się dogłębne badania empiryczne nad zagadnieniami regionalnej polityki i procesami przesiedleń grup ludności. Chociaż na tym polu pozostało jeszcze bardzo dużo do zrobienia, to pionierskie badania historyczne takich uczonych jak Tomáš Staněk, zajmujący się dziejami ziem czeskich, Bernadetty Nitschke i Bernarda Linka specjalizujących się w historii najnowszej Polski, Soňi Gabzdilovej i Milana Olejníka na Słowacji, Vladimira Geigera i Zorana Janjetovicia z byłej Jugosławii oraz wielu innych świadczą o przemianach w podejściu do bezpośrednio powojennej historii środkowej i południowo-wschodniej Europy. Ich osiągnięcia zostały wzbogacone i uzupełnione przez prace nadzwyczaj uzdolnionej grupy młodych naukowców z Zachodu, badających dzieje najnowsze wspomnianych regionów europejskich. Należą do nich tacy historycy jak Chad Bryant, David Curp, Benjamin Frommer, David Gerlach, Eagle Glassheim, Padraic Kenney, Jeremy King, Andrea Orzoff i Tara Zahra. Dla nich okres przesiedleń i jego efekty stanowią kluczowe czynniki wyjaśniania wydarzeń w krajach środkowoeuropejskich w latach powojennych oraz tego, co się tam dzieje jeszcze dziś, pomimo upadku komunizmu. Również niemieccy historycy, pracując czasem niezależnie od swoich kolegów i koleżanek z centralnej Europy,

a czasami współdziałając z nimi, poczynili w ciągu minionych 15 lat wielkie odkrycia w tej mierze, aczkolwiek paradoksalnie zrozumiałą troskę licznych historyków z Niemiec stanowi dokładanie starań, ażeby dyskusje o wysiedleniach nie zeszły na prezentowanie ich z perspektywy „ofiar", a kwestia współodpowiedzialności za zbrodnie nazistowskie nadaje sporom historycznym w tym kraju szczególnie ostry ton.

Do tej pory brakowało jednak studium badawczego poświęconego całościowemu potraktowaniu tego fragmentu dziejów – poczynając od jego źródeł we wszystkich krajach, gdzie doszło do powojennych deportacji, z kontynuacją opowieści do czasów obecnych, gdyż wysiedlenia te nadal kładą się cieniem na wiele europejskich i światowch wydarzeń. Taką próbę podjęto w niniejszej książce. Nie ulega wątpliwości, że w żadnej pojedynczej rozprawie nie można liczyć na całościowe opisanie tematyki powiązanej z tak rozległym i wielowymiarowym rozdziałem europejskiej historii. Postanowiłem zatem skupić się na pewnych elementach, wymagających, moim zdaniem, szczególnej uwagi, takich jak mechanika masowych wysiedleń, archipelag obozów – „koncentracyjnych", „zbiorowych" czy też „internowania" dla cywilów pochodzenia niemieckiego, które organizowano po wojnie w całej środkowej Europie, wpływ tych deportacji na rozwój prawa międzynarodowego, wreszcie pomijana często rola odegrana przez zachodnie mocarstwa alianckie w tej operacji wysiedleńczej, wykraczająca daleko poza zwykłe przyzwolenie. Nie rościłem sobie jednak pretensji do encyklopedycznego potraktowania tematu, nawet gdyby przyjąć, że to możliwe w ramach jednotomowego opracowania. Niektórych elementów układanki nadal brakuje i trzeba poczekać na otwarcie odpowiednich archiwów: mam tu na względzie

głównie pełną historię radzieckiego udziału w akcji przesiedleńczej oraz niepełną wiedzę o wypadkach, jakie rozegrały się w Rumunii i na obszarach byłej Jugosławii. Innymi kwestiami szczegółowymi z braku miejsca nie mogłem zająć się wystarczająco dokładnie, choć niektórzy czytelnicy zapewne uznają, że zasługiwały na baczniejszą uwagę. Tak czy owak, mimo wspomnianych zastrzeżeń, należało od czegoś zacząć. I jeśli zmagając się ze złożonością podjętej problematyki, zdołałem przedstawić jedynie niepełne dzieło, które inni historycy (na co liczę) zastąpią bardziej wyczerpującymi opracowaniami, to mimo wszystko uważam, że osiągnąłem postawiony przed sobą cel.

W kolejnych rozdziałach niniejszej książki stosunkowo rzadko korzystałem z osobistych wspomnień samych wypędzonych, zamieszczonych w opasłych zbiorach opublikowanych przez niemieckie władze federalne pod tytułem *Dokumentation der Vertreibung der Deutschen aus Ost-Mitteleuropa* w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych oraz niemal równie obszernych kompilacji przygotowanych przez organizacje w rodzaju *Donauschwäbische Kulturstiftung* w nowszych czasach. Był to świadomy zabieg z mojej strony. O ile z pozoru wydać się może dość przewrotnym pomysłem pominięcie, a przynajmniej nieeksponowanie głosów tych, których bezpośrednio dotknęły deportacje, o tyle pozostaje faktem, iż wobec kontrowersyjności i drażliwości tego tematu dla tak wielu osób nadzwyczajnej uwagi wymaga kwestia weryfikacji cytowanych źródeł. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku do typowych strategii stosowanych w celu podważania prawdziwości sytuacji opisywanych w różnych publikacjach w rodzaju *Dokumentation der Vertreibung* było podawanie

w wątpliwość wiarygodności świadków owych wydarzeń. Niemieccy wygnańcy, jak twierdzono, mieli interes w przesadnym przedstawianiu wyrządzonych im krzywd, a tym samym bagatelizowaniu zbrodni, za które sami ponosili współodpowiedzialność. Argumentacja czechosłowackiego prezydenta Edvarda Beneša, który powiedział w 1945 roku, że „nie powinno się oczywiście wierzyć we wszystkie niemieckie opowieści, gdyż Niemcy zawsze przesadzali, a pierwsi biadolili i próbowali wzbudzać współczucie innych", trafiała do wielu. Postanowiłem zatem przyjąć za regułę pomijanie zeznań tych wypędzonych, których słowa nie znalazły potwierdzenia w innych niezależnych źródłach. W trakcie prac przygotowawczych przed pisaniem tej książki przekonałem się, że było to słuszne założenie, ponieważ panoramiczny obraz akcji deportacyjnej odmalowany w *Dokumentation der Vertreibung* znalazł potwierdzenie (a czasem nawet bywał mniej drastyczny) w relacjach przedstawicieli agencji humanitarnych w rodzaju Czerwonego Krzyża i innych pozarządowych organizacji, zachodnich dyplomatów i polityków, zagranicznych korespondentów oraz, co najważniejsze, w archiwalnych zbiorach krajów, z których wygnano Niemców.

Ograniczenia wynikające z objętości niniejszej książki sprawiają, że mogę osobiście podziękować zaledwie nielicznym z grona pomagających mi w realizacji tego projektu, choć zajął więcej czasu, niż to początkowo planowałem. Książka ta powstała dzięki trzem osobom, bez których na pewno nie ujrzałaby światła dziennego. Jane Pinchin, pierwsza kobieta na stanowisku rektora Uniwersytetu Colgate, zareagowała uzasadnionym zniecierpliwieniem na moje nieustanne utyskiwania, że dotychczas nikt jeszcze nie napisał podobnego

opracowania; stwierdziła w końcu, że powinienem przestać się użalać i zająć się tym sam. A zapewnienia Sama Stoloffa, mojego wspaniałego agenta z agencji literackiej Frances Goldin, że moja książka trafi do druku, gdy rozpaczałem, iż nie przyciągnie niczyjej uwagi poza moją rodziną i coraz bardziej zaniedbywanym kręgiem przyjaciół – obietnica, której dotrzymał pomimo wynikłych poważnych przeszkód – podtrzymywały mnie, kiedy upadałem na duchu. Przede wszystkim jednak moja żona Elizabeth, partnerująca mi w tym naukowym przedsięwzięciu i ktoś więcej niż życiowa partnerka, sama wie najlepiej, jak bardzo przyczyniła się do tego, że moja książka się ukazała. Dedykacja dla Elizabeth to zbyt skromna forma zadośćuczynienia.

Powinienem także wyrazić wdzięczność tym, którzy nie szczędzili trudów, aby mi dopomóc, nie oczekując za to niczego w zamian. Szczególnie cennej pomocy udzieliły mi Martina Čermáková i Michaela („Misza”) Raisová z Uniwersytetu Karola w Pradze oraz Karolina Papros z Uniwersytetu Warszawskiego. Na niezrównanych Fabrizia Bensiego i Daniele Palmieri z Archiwów Międzynarodowej Komisji Czerwonego Krzyża w Genewie zawsze mogłem liczyć, podobnie jak na pomoc Fanii Khan Mohammad z biblioteki tejże organizacji. Vlasta Měštánkova z Archiwów Narodowych Republiki Czeskiej udzieliła mi szczodrej i fachowej pomocy, której nie odmawia żadnemu z historyków, a pułkownik Josef Žikeš oraz podległy mu personel Centralnego Archiwum Wojskowego w Pradze nie szczędzili trudów, by dotrzeć do odpowiednich materiałów. Na podobne słowa wdzięczności zasługują też Amy K. Schmidt, specjalistka w zakresie dziejów Volksdeutschów pracująca w amerykańskich Archiwach Narodowych oraz Paola Casini i Romain Ledauphin z Archiwów ONZ. Moi byli

koledzy z Colgate, dr Jim Bjork (obecnie pracujący w King’s College w Londynie) i profesor Jonathan Wiesen (z Southern Illinois University) zapoznali się z fragmentami wstępnej wersji maszynopisu książki, podobnie jak prof. Timothy Waters z wydziału prawa Indiana University, dr Kevin White z Uniwersytetu w Portsmouth, prof. Rob Nemes z Colgate i Mick Moroney z Dublina. Jestem im wszystkim głęboko zobowiązany za ich fachowe rady i wskazówki. Wreszcie Rada Naukowa Uniwersytetu Colgate, za której sprawą dostałem w 2007 roku stypendium, zapewniła mi środki finansowe niezbędne do napisania książki takiej jak ta. Jestem dłużnikiem wszystkich tych osób, a także wielu innych, niewymienionych tu z nazwiska.

Przypis

[1] T. Petersen, *Flucht und Vertreibung aus Sicht der deutschen, polnischen und tschechischen Bevölkerung*, Stiftung Haus der Geschichte der Bundesrepublik Deutschland, Bonn 2005, s. 75, tab. 7; *ibid*., tab. 12.

ROZDZIAŁ 1

Plany

W tydzień po konferencji monachijskiej we wrześniu 1938 roku czechosłowacki prezydent Edvard Beneš napisał list, w którym składał rezygnację z piastowanego urzędu. Po ćwierćwieczu w samym sercu życia politycznego w Czechach i niemal po trzech latach sprawowania władzy jako niekwestionowany przywódca kraju w ciągu zaledwie tygodnia znalazł się w politycznej próżni. Kiedy liderzy europejskich mocarstw rozstrzygali w Monachium o przyszłości jego kraju – na konferencję nie zaproszono nawet czechosłowackiego delegata – Beneš poczuł się bezradny, widząc, jak dzieło jego życia popada w ruinę. Dwie dekady wcześniej, jeszcze jako minister spraw zagranicznych tymczasowego rządu czechosłowackiego i prawa ręka „ojca" niepodległej Czechosłowacji Tomáša Garrigue Masaryka, Beneš wykazał się wielką zręcznością dyplomatyczną i kunsztem negocjatora za kulisami konferencji pokojowej w Paryżu, uzyskując zgodę mocarstw Ententy na powiększenie obszaru nowego państwa czechosłowackiego do rozmiarów, o jakich nie marzyli nawet najbardziej optymistycznie usposobieni jego rodacy. W 1938 roku przypatrywał się, jak te same mocarstwa ulegały żądaniom Adolfa Hitlera, aby rozczłonkować Czechosłowację, którą on sam z takim poświęceniem tworzył i bronił jej interesów. Ponad jedną czwartą czechosłowackiego terytorium – zamieszkane przez ludność niemieckojęzyczną Sudety, rozciągające się szerokim pasem wzdłuż czeskich granic od północy, zachodu i południa – wraz z jej ludnością miano przekazać agresywnemu niemieckiemu sąsiadowi jako cenę za

niedopuszczenie do nowej wojny światowej. W ciągu dwóch tygodni od chwili zawarcia monachijskiego porozumienia przedstawicielstwa władzy czechosłowackiej opuściły Sudety, które zostały niezwłocznie podzielone na *Gaue* (okręgi) i włączone do nazistowskiej Rzeszy. Kadłubowa, okrojona Czechosłowacja, porzucona przez jej francuskich i brytyjskich sojuszników, znalazła się na łasce Hitlera. Beneš, szkalowany nieprzerwanie przez pół roku przez kontrolowaną przez Goebbelsa nazistowską prasę jako główny zewnętrzny wróg Niemiec, wiedział, że nie podoła zadaniu układania się z Rzeszą. Wolał udać się na wygnanie i przyjąć posadę wykładowcy na Uniwersytecie Chicagowskim, tak jak uczynił to przed I wojną światową jego mentor – Masaryk, profesor filozofii.

Choć światowa opinia publiczna sympatyzowała z Benešem, współczując mu, że musiał tak nagle ustąpić ze stanowiska, to powszechnie się zgadzano, iż, jak to sformułowano w londyńskim „Timesie", przekazanie sudeckich obszarów Niemcom było „zarówno konieczne, jak i zasadniczo sprawiedliwe"[1]. Mieszkańców tego terytorium – tak samo zresztą jak Czechów i Słowaków, obywateli Austro-Węgier do chwili rozpadu tego państwa w 1918 roku – wcześniej nie pytano o to, czy chcieli znaleźć się w granicach Czechosłowacji. Gdyby takie referendum zostało przeprowadzone, to zdecydowana większość opowiedziałaby się za włączeniem tych ziem w skład powojennego państwa austriackiego. Już w roku 1919 alianccy dyplomaci niepokoili się, że przekazanie Sudetów Czechosłowacji – wskutek czego Niemcy stali się drugą pod względem liczebności grupą narodowościową w republice czechosłowackiej, spychając Słowaków na trzecie miejsce – okaże się zbytnim obciążeniem dla asymilacyjnych możliwości młodego państwa środkowoeuropejskiego.

Harold Nicolson, członek brytyjskiej delegacji na konferencji pokojowej w Paryżu, dał wyraz swemu zaniepokojeniu „przyszłym obliczem politycznym państwa czeskiego, jeżeli będzie musiało wchłonąć jednomyślne obce elektoraty, a także dysydentów ze Słowacji plus czerwonych [komunistów] z Rusi Zakarpackiej, nie wspominając już nawet o własnych radykalnych socjalistach”[2]. Ale Beneš i Masaryk nie przejęli się zanadto podobnymi obiekcjami. Kiedy wojska czechosłowackie tworzyły fakty dokonane, rozwiązując tymczasowe władze, które zorganizowały się w zaludnionych przez Niemców regionach Czech i Moraw z końcem 1918 roku, obaj ci przywódcy przekonali zachodnich aliantów, że tylko silna Czechosłowacja może zapobiec odtworzeniu się niemieckiej hegemonii w środkowej Europie. Argumentowali, że Sudety, z ich dynamicznie rozwijającym się, zorientowanym na eksport przemysłem, były nieodzowne czechosłowackiej gospodarce. Bez tego okręgu kraj ów byłby bezbronny, narażony na atak z północy, zachodu i południa. Wbrew trzeźwym osądom i w sprzeczności z głoszoną przez Woodrowa Wilsona zasadą samostanowienia Ententa zgodziła się, jak wspominał ze smutkiem brytyjski premier David Lloyd George, na włączenie do nowego państwa czechosłowackiego „setek tysięcy protestujących Madziarów i kilku milionów rozwścieczonych Niemców”[3]. Beneš ze swojej strony obiecał aliantom, że niepodległa Czechosłowacja stanie się modelowym państwem wielonarodowym. Prawa sudeckiej mniejszości niemieckiej miały być chronione najbardziej rozbudowanym systemem prawnym w Europie. Niemiecki, oświadczył Beneš, będzie „drugim językiem w kraju”, a w życiu publicznym będzie traktowany „na równej stopie z czeskim”. Praw

mieszkańców okręgu sudeckiego strzegła ustawa narodowościowa wzorowana na zasadach szwajcarskiej konstytucji. Proporcjonalne przedstawicielstwo miało ochraniać Niemców przed narzuceniem jej tyranii przez czeską większość.

Ostatecznie okazać się miało, że dzieje czechosłowackiej Pierwszej Republiki nie przyniosły spełnienia tych górnolotnych zapowiedzi. Mimo że czechosłowacka konstytucja głosiła równość wszystkich obywateli, „bez względu na rasę, język czy wyznanie", to w rzeczywistości trwał nieustanny konflikt między „ideałem budowy państwa na nowoczesnych, demokratycznych podstawach […] a psychologicznie zrozumiałą, lecz w praktyce autodestrukcyjną tendencją do przekształcenia tegoż państwa w narzędzie czeskiego i słowackiego nacjonalizmu"[4]. Niewiele uczyniono na rzecz urzeczywistnienia roztoczonej przez Beneša przed aliantami w Paryżu wizji przekształcenia Czechosłowacji w „coś w rodzaju [drugiej] Szwajcarii". W istocie realizacja takiej zapowiedzi wymagałaby znacznej empatii i dalekowzroczności, których potrzebę niewielu Czechów – w tym sam Beneš – w pełni pojmowało. Oznaczałoby to bowiem przeobrażenie republiki w bardzo odmienny kraj od tego, o jakim wcześniej marzyli czescy nacjonaliści. W Austro-Węgrzech dominujące społeczności niemiecko- i węgierskojęzyczne mało się liczyły z ludnością posługującą się językami czeskim i słowackim. Wobec radykalnej zmiany sytuacji po wojnie pokusa odpłacenia pięknym za nadobne okazała się prawie nieodparta. Nawet popularny i pojednawczy Tomáš Masaryk, którego matka była Niemko-Morawianką i który dorastając, płynniej mówił po niemiecku niż po czesku, czasami dawał się ponieść takim skłonnościom – w swoim inauguracyjnym

przemówieniu niefortunnie wspomniał o czeskich Sudetendeutschach jako o „imigrantach i kolonistach”[5]. Wielu Czechów i Słowaków, prezentując jeszcze mniej dyplomatyczne nastawienie, nie ukrywało swego przekonania, że dla osób niemieckojęzycznych, tego osadu obcej i agresywnej kultury, nie było miejsca w ich nowej, słowiańskiej republice. Niemcy byli mniejszością w Czechosłowacji, a ponadto Czesi nie zapominali o tym, że sami stanowili lingwistyczną wysepkę na wielkim germańskim morzu w środkowej Europie, gdzie nacje niemieckojęzyczne ponaddziesięciokrotnie przewyższały ich pod względem liczebności. Koncepcja „Czecho-Słowacji” była sama w sobie kruchą konstrukcją, której nawet znaczny odsetek Słowaków w pełni nie akceptował. Próba asymilacji kulturowych odmienności przedstawicieli jeszcze innego narodu – niemieckiego – kryła w sobie groźbę separatyzmu, a w końcu i rozpadu państwa.

Po konferencji monachijskiej wielu obrońców Czechosłowacji w krajach Zachodu stwierdziło jednogłośnie, że, by posłużyć się słowami jednego z ich grona, „ci Niemco-Czesi byli najlepiej traktowaną mniejszością w Europie”[6]. Prawda była bardziej złożona. Z pewnością Niemcy sudeccy nigdy nie byli celem systematycznych prześladowań kierowanych przez czeskie władze, chociaż fizyczne napaści na nich oraz na ich instytucje i symbole wcale nie należały do rzadkości w pierwszych latach istnienia czechosłowackiej republiki. Jednakże Sudetendeutschów nie traktowano tam bynajmniej na równi z Czechami[7]. Za pomocą różnych środków władze państwowe i sami czescy nacjonaliści starali się eliminować przejawy kultury niemieckiej, uciekając się do takich metod, jak redukowanie liczby oficjalnie zarejestrowanych „Niemców” w każdym

z tamtejszych okręgów poniżej krytycznego 20-procentowego progu, który, zgodnie z czechosłowackim prawem, pozwalał na formalne uznanie lokalnej mniejszości. W związku z tym, jak zauważyła Tara Zahra, „tysiące obywateli, którzy zadeklarowali swoją niemieckość podczas spisu ludności w 1921 roku, poddawano przesłuchaniom, karano ich grzywnami i więzieniem za nielegalne deklarowanie «nieprawdziwej» przynależności narodowej”. Te kary pieniężne były zazwyczaj stosunkowo niewielkie, równe tygodniowym poborom przeciętnego robotnika, a okresy uwięzienia krótkie. Niemniej jednak „we wszystkich tych przypadkach, w których poszczególne osoby ukarano grzywną lub więzieniem za oświadczenie o niemieckim pochodzeniu, takich Niemców uznawano oficjalnie za Czechów”[8]. Podczas następnego spisu ludności z 1930 roku manipulowanie danymi o przynależności etnicznej odbywało się na jeszcze większą skalę. Dochodzenie przeprowadzone przez czechosłowackie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wykazało, że rachmistrze spisowi w Brnie sfałszowali 1145 podpisów i zmienili dane o innych 2377 osobach, ażeby zmniejszyć oficjalną liczebność niemieckiej populacji w tym mieście, by ta nie przekroczyła wspomnianego 20-procentowego progu. Ze swej strony władze centralne w Pradze usiłowały przeobrazić skład etniczny ludności sudeckiej, kierując tam czeskich urzędników państwowych wraz z rodzinami oraz zwalniając z pracy dziesiątki tysięcy niemieckich urzędników, którzy albo nie zdali wprowadzonych egzaminów z języka czeskiego i czeskiej kultury, albo też wskutek denuncjacji (oficjalnie zachęcano do składania donosów i napływały one masowo) – i zastępując ich czeskimi funkcjonariuszami. I wreszcie wzbudzający kontrowersje program reformy rolnej faworyzował czeskich

i słowackich chłopów kosztem rolników mówiących po niemiecku bądź węgiersku: „polityka społeczna w swoim pierwotnym kształcie”, jak podsumował Zbynek Zeman, „stała się w praktyce polityką wynaradawiania”[9].
W okresie międzywojennym, stwierdziła Zahra, „czescy nacjonaliści wreszcie zyskali sposobność urzeczywistnienia swoich narodowych mrzonek, bez powściągającego te zapędy wpływu neutralnie nastawionych władz państwowych”[10].

Pomimo takich mało obiecujących początków wraz ze stabilizowaniem się sytuacji w nowej republice zaistniała realna możliwość, że z czasem Czesi i Niemcy wypracują wzajemnie satysfakcjonujące *modus vivendi* w tym nowym kraju. Tomáš Masaryk, jeden z nielicznych przedstawicieli czeskiej większości, który dostrzegał niebezpieczeństwa spychania Sudetendeutschów na margines życia społecznego, jako prezydent poświęcił się sprawie temperowania czechosłowackiego szowinizmu oraz niemieckiego separatyzmu. W połowie lat dwudziestych starania te zaczęły przynosić owoce. W wyborach z 1925 roku „reakcjoniści” z populacji Niemców sudeckich, którzy odmawiali uznania legalności państwa czeskiego i nie chcieli mieć z nim nic wspólnego, zostali zdecydowanie pokonani przez „aktywistów”, dążących do wypracowania możliwie najlepszych warunków dla ludności niemieckiej w ramach czechosłowackiej republiki. Ci ostatni mieli za sobą wsparcie ówczesnych władz w Berlinie. W odróżnieniu od niemieckich terytoriów utraconych na rzecz Polski zgodnie z postanowieniami traktatu wersalskiego Sudety nigdy nie wchodziły w skład Rzeszy. Wobec tego przywódcy Republiki Weimarskiej względnie łatwo pogodzili się z włączeniem Sudetów do Czechosłowacji. Bardziej dalekowzroczni spośród nich, choćby Gustav Stresemann,

potrafili dostrzec określone korzyści wynikające z wcale niemałej proniemieckiej reprezentacji w praskim rządzie, co służyło środkowoeuropejskim interesom Berlina o wiele bardziej od ewentualnego przyłączenia kilku kolejnych milionów Niemców do Austrii. W efekcie niemieckie władze nakłaniały przywództwo Niemców sudeckich do pełnego angażowania się w życie polityczne Czechosłowacji. Relacje między dwiema społecznościami, czeską i niemiecką, wyraźnie się ociepliły, czemu sprzyjał fakt, że wielu Niemców sudeckich bytowało w lepszych warunkach od swoich ziomków w nękanych przez inflację, obciążonych wojennymi kontrybucjami i politycznie niestabilnych Niemczech. W 1926 roku Franz Spina, niemiecki parlamentarzysta z okręgu sudeckiego, który dwukrotnie zajmował stanowisko ministerialne w czechosłowackich rządach, oświadczył reporterowi jednej z francuskich gazet: „Żyjemy za pan brat z Czechami od tysiąca lat […] i jesteśmy tak ściśle powiązani z Czechami więzami ekonomicznymi, społecznymi, kulturalnymi, a nawet rasowymi, że wspólnie tworzymy jedność. Można nas przyrównać do różnych wzorów na tym samym dywanie”[11].

Niestety, ta pozytywna tendencja nie miała się utrzymać. Kiedy schorowany i postarzały Masaryk ustąpił z fotela prezydenckiego w 1935 roku, oznaczało to zakończenie okresu okazywania dobrej woli Niemcom sudeckim przez społeczność czeską. W porównaniu z charyzmatycznym ojcem państwa czechosłowackiego Masarykiem Edvard Beneš, od dawna typowany na jego następcę, wydawał się politykiem bezbarwnym i pobawionym polotu. Przedstawiciele prawie wszystkich czechosłowackich ugrupowań politycznych wychwalali inteligencję, pilność i skuteczność Beneša. Pod względem zdolności

administracyjnych przewyższał swoich współpracowników. Miał talenty sprawnego urzędnika, jednak i wady kogoś takiego. Przewrażliwiony na swoim punkcie, pyszałkowaty, chłodny i pamiętliwy miał się okazać niefortunnym spadkobiercą Masaryka. Jego osobisty sekretarz Jaromír Smutný przyznawał, że ten „błyskotliwy mistrz taktyki i strategii, prawdziwy Machiavelli naszych czasów […] nie potrafi rozbudzić entuzjazmu w masach. […] Ludzie wychodzą od niego przekonani, ale nie w pełni zjednani, przeświadczeni, lecz nie porwani”[12]. Ponadto Beneš skłaniał się ku politycznym *idées fixes*, które dwukrotnie przyniosły jego krajowi katastrofalne skutki. Jako żarliwy frankofil w okresie międzywojennym pokładał całkowite zaufanie w związkach Pragi z Paryżem, lecz Francuzi opuścili go w Monachium. Podobne rozczarowanie czekało nań w przyszłości, po tym jak przelał bezwarunkowe i nieodwzajemnione uwielbienie na Związek Radziecki. W związku z tym nastawienie populacji Niemców sudeckich do Beneša było, w najlepszym razie, chłodne. Wzbudzały podejrzenia działania jego rozbudowanej służby informacyjnej, która niestrudzenie podsuwała zachodnioeuropejskim politykom to, co ci chcieli usłyszeć na temat Czechosłowacji, prezentując nowego prezydenta tego kraju jako wzorowego liberała i demokratę – czyli wizerunek w rzeczywistości, o czym ci Niemcy wiedzieli, mocno upudrowany[13]. W samej Czechosłowacji uważano go za zdeklarowanego czeskiego nacjonalistę, którego nastawienie do praw mniejszości cechowało się bardziej pragmatyzmem niż przekonaniami. I nie bardzo wierzono, że gdyby interesy Czechosłowaków i Niemców sudeckich były sprzeczne, Beneš potraktowałby obie te społeczności sprawiedliwie i bezstronnie. Kiedy w 1935 roku w praskim parlamencie głosowano nad rezolucją formalnie

zatwierdzającą prezydenturę Beneša, ani jeden z deputowanych z grona Sudetendeutschów jej nie poparł.

Wielki kryzys nasilił podziały między Czechami a Niemcami w państwie czechosłowackim i zintensyfikował u Niemców sudeckich poczucie wyobcowania. Sudety, jako jedna z najbardziej uzależnionych od eksportu część kraju, mocno odczuły załamanie w handlu międzynarodowym. Ale rząd w Pradze w znacznej mierze wzmógł trudności odczuwane przez ów region, stosując praktykę preferencyjnego zatrudniania Czechów w sektorze publicznym, równocześnie zwalniając z posad tysiące Sudetendeutschów. Niemcy, którzy wedle spisu ludności z 1930 roku stanowili ponad 23 procent ludności Czechosłowacji, pięć lat później piastowali zaledwie 2 procent stanowisk ministerialnych, 5 procent etatów oficerskich w wojsku i 10 procent na kolejach państwowych[14]. Ani jeden etniczny Niemiec nie pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych kierowanym przez Beneša[15]. Państwowe kontrakty, nawet dotyczące projektów i inwestycji w okręgach, gdzie przeważała ludność niemieckojęzyczna, zawierano na ogół z czeskimi firmami. W roku 1936 ponad 60 procent wszystkich czechosłowackich bezrobotnych zamieszkiwało w Sudetach[16]. Równie mocno drażniła Niemców lekceważąca reakcja Pragi na skargi dotyczące dyskryminacji. Czescy przywódcy argumentowali, że Sudetendeutsche nie powinni narzekać na ich wykluczanie z sektora publicznego, skoro nie są w pełni lojalni wobec państwa wypłacającego im pobory. Z kolei Niemcy przypominali, że Czechosłowacja pojawiła się na mapie w wyniku masowych dezercji żołnierzy czeskich i słowackich z armii austro-węgierskiej podczas I wojny światowej i utworzenia Legionu (Korpusu)

Czechosłowackiego, który przeszedł na stronę Ententy, aby walczyć z dotychczasowymi towarzyszami broni. Głoszenie przez Beneša i jego popleczników, którzy niegdyś sprzeniewierzyli się imperium habsburskiemu w chwili, gdy walczyło ono o przetrwanie, iż jakakolwiek mniejszość etniczna ma obowiązek wierności wobec kraju, w którego granicach znalazła się nie z własnej woli, wydawało się większości Sudetendeutschów szczytem hipokryzji.

W roku 1933 nowy czynnik dodatkowo skomplikował wewnętrzną politykę Czechosłowacji: ustanowienie w Niemczech nazistowskiego reżimu Adolfa Hitlera. W tym samym roku Konrad Henlein założył w okręgu sudeckim nową partię – Sudetendeutsche Heimatfront. Ruch Henleina, wojowniczy, populistyczny i otwarcie wrogi wobec Pragi, stale się rozrastał i stawał się coraz pewniejszy siebie i konfrontacyjny wraz ze wzrastaniem potęgi swojego patrona w Berlinie. Do dziś historycy toczą spory, czy Heimatfront – niebawem przemianowany na Partię Sudeckoniemiecką (Sudetendeutsche Partei; SdP) i roszczący sobie prawo reprezentowania wszystkich Niemców sudeckich – był od samego początku marionetkową organizacją nazistów, czy też po prostu z powodów czysto pragmatycznych przystąpił do ruchu hitlerowskiego[17]. Większość znawców tematu podziela opinię Marka Cornwalla, że co najmniej do roku 1937 „siła i słabość [SdP] wynikała z faktu jej masowości, gdyż [partia ta] skupiała rozmaite odłamy niemieckiej społeczności, ludzi o różnorakich poglądach politycznych”[18]. Tak czy owak, partia Henleina rychło stała się organizacją, za pomocą której Niemcy sudeccy wyrażali niezadowolenie z ówczesnego systemu rządów w Czechosłowacji. W wyborach z roku 1935 – podczas nich Beneš doszedł do władzy – wspierana znacznymi subwencjami z Berlina

zdobyła dwie trzecie głosów w niemieckich okręgach i stała się największą partią w republice. Nie ma też wątpliwości, że po Anschlussie, czyli wchłonięciu Austrii przez Niemcy na wiosnę 1938 roku, Henlein i jego robiący jeszcze gorsze wrażenie zastępca Karl Hermann Frank już tylko wypełniali instrukcje nazistów z Berlina, lecz wcale nie takie pewne, że w owym czasie większość Niemców sudeckich opowiadała się za przyłączeniem ich okręgu do Rzeszy. Takie dążenia bynajmniej nie były powszechne. Socjaldemokraci mieli poważne wpływy w uprzemysłowionych Sudetach, a wielu tamtejszych robotników aż za dobrze pojmowało, co stanie się z ich związkami zawodowymi w państwie Adolfa Hitlera. Po części właśnie z tego powodu czołowy socjaldemokrata z grona Niemców sudeckich, Wenzel Jaksch, dwukrotnie odwiedził Londyn w 1937 roku w imieniu rządu praskiego, aby zdementować twierdzenia Henleina, że nie ma miejsca dla Niemców w państwie zdominowanym przez Czechów i Słowaków. W marcu następnego roku Jaksch objął kierownictwo głównego lewicowego ugrupowania przeciwstawiającego się SdP – Sudetendeutsch Sozialdemokratische Partei (Socjaldemokracji Niemców Sudeckich). Ale o tym, jak bardzo do tego czasu wzrósł w potęgę Henlein, świadczy fakt, że partia Jakscha musiała zrezygnować ze swych wcześniejszych żądań wydzielenia Niemcom regionu autonomicznego w granicach Republiki Czechosłowackiej z obawy przed tym, iż gdyby do tego doszło, faktycznie spowodowałoby przejęcie okręgu sudeckiego przez Rzeszę.

Ostatecznie jednak o losie Czechosłowacji zadecydować mieli inni. Od chwili objęcia przywództwa zalążkowej partii narodowosocjalistycznej w 1920 roku Adolf Hitler nieustannie podkreślał sprzeczność terytorialnych ustaleń

traktatu wersalskiego z celami, o które Ententa rzekomo walczyła podczas I wojny światowej. Istnienie Czechosłowacji w jej ówczesnej postaci, jak twierdził, świadczyło niezbicie o hipokryzji zwycięzców. Wychwalając zalety demokracji i głosząc prawo małych narodów do stanowienia o własnej przyszłości, alianci usankcjonowali stworzenie państwa, które przymusem sprawowało władzę nad milionami obywateli. Oczywiście przywódcy na konferencji pokojowej w Paryżu i bez Hitlera pojmowali, iż czechosłowackie granice państwowe niezbyt pasują do zasad ogłoszonych przez Wilsona, lecz „ponieważ istnienie słowiańskiego państwa wciśniętego w niemieckie obszary było kluczowym elementem francusko-brytyjskiej wizji tego, jak zorganizować powojenną centralną Europę, wszyscy początkowo ochoczo przymykali oczy na tę sprzeczność”[19].

W roku 1938 trudniej było je już ignorować. Wchłonięcie Austrii przez nazistowskie Niemcy w marcu – kolejny akt rzekomego „samostanowienia” – postawiło Czechosłowację w sytuacji bardzo poważnego zagrożenia. Nie było już względnie krótkiej granicy z Niemcami na północnym zachodzie i zachodzie kraju; teraz Czechosłowacja została dosłownie otoczona przez niemiecką Rzeszę wzdłuż mniej więcej połowy jej północnych i południowych granic. Skłócona z innymi sąsiadami, Polską i Węgrami, wskutek etnicznych antagonizmów zbliżonych do tych, których zarzewiem byli Niemcy sudeccy – ani Warszawa, ani Budapeszt nie wybaczyły i nie zapomniały Pradze kulturalnego i ekonomicznego dyskryminowania ludności węgierskiej w południowej Słowacji i polskiej mniejszości na Śląsku Cieszyńskim – Czechosłowacja pozostała bez przyjaciół wtedy, kiedy potrzebowała ich najbardziej. Nawet jej sojusznicy zapatrywali się pesymistycznie na jej

sytuację. Choć Francja i Czechosłowacja związane były od 1924 roku układem o wzajemnej pomocy, to francuski premier Édouard Daladier nie wierzył, aby większość obywateli jego kraju zrozumiałaby, po co, jak to ujął profesor prawa i komentator polityczny Joseph Barthélemy, rozpętywać ogólnoeuropejską wojnę „o utrzymanie trzech milionów Niemców pod panowaniem Czech". Związek Radziecki, który zawarł z Pragą traktat o wzajemnej pomocy w 1935 roku ze świadomością braku istnienia wspólnej czechosłowacko-sowieckiej granicy, zachowywał postawę wyczekującą podczas monachijskiego kryzysu; nie istnieją żadne świadectwa uzasadniające zmyślone i niewiarygodne twierdzenie czechosłowackich przywódców komunistycznych 10 lat później, że Stalin przystąpiłby do wojny z Niemcami w obronie Czechosłowacji, nawet gdyby Francja nie przyszła jej z pomocą[20]. Co się zaś tyczyło Wielkiej Brytanii, to i „ugodowcy", i „antyugodowcy" zgadzali się, że roszczenia Niemców sudeckich, chcących zadecydować o swojej przynależności państwowej, były uzasadnione; różniono się tylko poglądami na temat tego, jak to przeprowadzić. Nawet Winston Churchill, od którego Hubert Ripka, jeden z najbliższych współpracowników Beneša, usłyszał latem 1938 roku, że on sam, Churchill, na miejscu premiera Neville'a Chamberlaina postąpiłby tak samo, po Monachium unikał wszelkich sugestii, iż Niemcy sudeccy nie mają prawa decydować, do jakiego państwa chcą należeć; utrzymywał tylko, że wszelkie linie demarkacyjne powinny być wytyczane na forum Ligi Narodów, a nie przez Adolfa Hitlera[21].

Z tejże przyczyny, mimo że międzynarodowa opinia publiczna nie szczędziła pochwał Edvardowi Benešowi, gdy ten szykował się do wyemigrowania z kraju – były francuski premier Léon Blum, prozaik H.G. Wells, a nawet Liga

Narodów wysunęli w 1939 roku jego kandydaturę do Pokojowej Nagrody Nobla – tylko nieliczni powątpiewali w to, że podjął słuszną decyzję. Lord Halifax, brytyjski sekretarz (minister) spraw zagranicznych, oświadczył w Izbie Gmin, że nawet jeśli doszłoby do zerwania rokowań w Monachium i w rezultacie wybuchłaby wojna, to „żadni mężowie stanu, wykreślając granice nowej Czechosłowacji, nie wytyczyliby ich tak jak w traktacie wersalskim”[22]. Wyniki sondażu przeprowadzonego przez Instytut Gallupa wykazały, że większość ludności Wielkiej Brytanii i Francji popierała pakt monachijski, a na jeszcze większą skalę dotyczyło to mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Nie zwrócono większej uwagi na prawdziwe ofiary tego porozumienia – czechosłowackich Żydów i antyfaszystów z grona Sudetendeutschów. Obie te grupy stanęły w obliczu prześladowań nie tylko ze strony nazistów, ale także Czechów, gdyż po ustąpieniu Beneša powstała na krótko Druga Republika pod przywództwem nieskutecznego prezydenta Emila Háchy. I choć przetrwała zaledwie pół roku, to Mary Heimann zwraca uwagę na ten szczególny okres, który okazał się „przełomowo ważny w przeobrażeniu Czechosłowacji z niedoskonałej demokracji w państwo otwarcie autokratyczne, gdzie centralne i teoretycznie niezależne władze rządziły za pomocą rozporządzeń, propagowały rasizm, neutralizowały przeciwników politycznych, fałszowały wyniki wyborów, organizowały obozy pracy przymusowej i prześladowały Żydów i Cyganów – zanim jeszcze o to wszystko można było oskarżać [w Czechach] nazistowskie Niemcy”[23]. Ale choć reżim Háchy nie był w stanie prowadzić polityki zagranicznej i gospodarczej sprzecznej z linią Berlina, to bynajmniej nie był marionetką nazistów. Po części doszły w nim do głosu uśpione wcześniej siły w czechosłowackim

społeczeństwie, które do tego czasu nie miały okazji w pełni dać o sobie znać. To właśnie kierowane z Pragi wojsko i policja, a nie te, którymi rozporządzał Hitler, przeprowadziły obławę na około 20 tysięcy Niemców sudeckich, antyfaszystów, w większości socjaldemokratów, i deportowały ich do Niemiec, gdzie poznikali w obozach koncentracyjnych. (Wenzel Jaksch, lider sudeckich socjaldemokratów, podzieliłby ich los, gdyby nie zbiegł do Londynu na wiosnę 1939 roku). Ale to słowackie władze w Bratysławie, które wysuwały żądania autonomii popierane przez Niemcy w nagrodę za antyczeską postawę Słowaków w czasie kryzysu monachijskiego, jako pierwsze przeprowadziły czystki etniczne na kontrolowanych przez siebie terytoriach, wypędzając Żydów i Czechów do Moraw. A parlament w Pradze – tuż przed tym, jak Hitler zlikwidował niepodległe państwo czechosłowackie 15 marca 1939 roku, proklamując utworzenie „protektoratu” Czech i Moraw i jednocześnie zajmując obie te prowincje – przegłosował uchwałę, na której mocy wszyscy niepracujący obywatele powyżej osiemnastego roku życia trafić mieli do obozów pracy przymusowej. Ta skłonność do podejmowania radykalnych kroków w rozwiązywaniu problemów społeczno-ekonomicznych, wyraźnie widoczna w Czechosłowacji tuż przed wojną, miała się w przyszłości zamanifestować w nowej, jeszcze bardziej drastycznej formie.

Upadek Drugiej Republiki wiosną 1939 roku i równoczesne proklamowanie nominalnie niezawisłej Republiki Słowackiej, która w istocie była niemiecką marionetką, dały przebywającemu na emigracji Edvardowi Benešowi okazję do powrotu na scenę polityczną. Prezentując, pod maską skromności, absolutne i niewzruszone przeświadczenie, że sam jest

w czechosłowackiej polityce osobą niezastąpioną, Beneš wyruszył już wcześniej do Stanów Zjednoczonych pewien trzech rzeczy. Pierwszą z nich było przekonanie, że wkrótce wybuchnie wojna światowa, „być może w przyszłym roku albo w ciągu dwóch lub trzech lat", która doprowadzi do zniszczenia nazistowskich Niemiec oraz uzasadni jego własną politykę w okresie kryzysu monachijskiego[24]. Po wtóre, że w jej rezultacie Związek Radziecki stanie się głównym graczem na arenie europejskiej; ważne zatem było, aby Czechosłowacja nie tylko utrzymała możliwie najlepsze stosunki z ZSRR, lecz także wystarała się o wspólną granicę z Sowietami[25]. Po trzecie, polityczne i gospodarcze skutki tej wojny miały przynieść jedyną i niepowtarzalną okazję do utworzenia z Czechosłowacji państwa czysto słowiańskiego, a rozwiązanie problemu mniejszości narodowych mogło nastąpić tylko za sprawą masowych wysiedleń[26]. Beneš wytyczył kurs swej polityki na podstawie takich przekonań i do końca życia skupiał się na jej realizacji, a zwłaszcza ostatniego z wymienionych założeń.

I, co typowe dla jego niezmiennej pewności siebie – czy wręcz, jak twierdzili jego krytycy, arogancji – rychło wmówił sobie, że na dobrą sprawę nie przestał być czechosłowackim prezydentem. Skoro bowiem przestała istnieć Druga Republika, nic nie stało już na przeszkodzie stwierdzeniom, że w październiku 1938 roku ustąpił pod przymusem, co unieważniało tę rezygnację. Państwa zachodnie wcześniej uznały rząd Háchy i nawiązały z nim stosunki dyplomatyczne. Mimo że w ujęciu formalnoprawnym reżim Háchy istniał nadal po wkroczeniu wojsk niemieckich do Czech w marcu 1939 roku, to *de facto* upadek Drugiej Republiki został uznany przez większość ludności czechosłowackiej za potwierdzenie

słuszności postawy Beneša w czasie konferencji w Monachium. Rozwój wypadków zdawał się dowodzić, że w ostatecznym rozrachunku zachodnie demokracje i tak nie mogły wypełnić swoich zobowiązań ochrony nienaruszalności terytorialnej Czechosłowacji; decyzja Beneša, by nie wplątywać swojego narodu w samobójczą wojnę, tylko podjąć walkę później, w bardziej sprzyjających okolicznościach, wydawała się trafna. Były prezydent mógł także liczyć na pomoc wielu jego zwolenników, którzy utrzymali się na wpływowych stanowiskach w czeskiej administracji i z którymi potajemnie pozostawał w kontakcie. Nawet nieszczęsny Hácha, przy całym swym instynktownym autorytaryzmie, niebędący ani zwolennikiem nazizmu, ani antypatriotą, porozumiewał się ze swoim poprzednikiem przez pośredników.

KIedy więc wybuchła II wojna światowa, Beneš znalazł się w dogodnym położeniu do wcielenia się w przypisaną sobie rolę wyraziciela zbiorowej woli Czechosłowaków. Naszkicował plan kampanii zbliżony do tego, jakim kierował się w czasie I wojny światowej. Przy pomocy sieci organizacji utworzonych na uchodźstwie, wojska w krajach sojuszniczych i podziemnego ruchu oporu w samej Czechosłowacji, które pozostawały pod jego komendą, dążył do odpłacenia pomocą udzielaną aliantom za uznanie jego samego za faktycznego przywódcę czechosłowackiego. Korzystając ze swych rozległych kontaktów z zachodnimi politykami i innymi wpływowymi osobami, chciał doprowadzić ostatecznie, tak jak to uczynił w 1918 i 1919 roku, do takiego porozumienia pokojowego, które byłoby maksymalnie korzystne dla czechosłowackich interesów. Po powrocie do władzy w Pradze zamierzał uchronić kraj przed przyszłymi zagrożeniami z zewnątrz, zawiązując sojusz z potężnym sąsiadem, kierującym się podobnymi

przesłankami strategicznymi – tym razem jednak już nie z niesolidną, niepewną Francją, lecz ze Związkiem Radzieckim, który, o czym był przekonany, szybko wyrastał ze stadium agresywnego komunizmu i chciał, tak jak sam Beneš, uczynić z powojennej Czechosłowacji główny „pomost" między Wschodem a Zachodem.

Beneš pożył na tyle długo, by ujrzeć, jak te plany – dorównujące naiwnością zapatrywaniom tych konserwatywnych niemieckich polityków, którzy w roku 1933 wynieśli do władzy Adolfa Hitlera w wierze, że zdołają nad nim zapanować – rozpadają się niczym domek z kart już po raz drugi w czasie jego pechowej kariery politycznej. Początkowo wydawało się, że takie prognozy mają szansę się spełnić. Z pomocą swego przyjaciela Hamiltona Fisha Armstronga, szefa wpływowego amerykańskiego czasopisma „Foreign Affairs", Beneš spotkał się prywatnie z Franklinem D. Rooseveltem w (nowojorskim) Hyde Parku w maju 1939 roku. Amerykański prezydent zadeklarował wówczas, iż jeśli chodzi o administrację USA, „Monachium uznajemy za niebyłe". W październiku powstała w Paryżu Czechosłowacka Rada Narodowa, celowo przyjmując nazwę podobna do organu założonego przez Masaryka w tym mieście w 1916 roku. Początkowo ignorowana przez aliantów, dla których cała niedawna historia Czechosłowacji była żenującym epizodem, o jakim woleli nie pamiętać, zyskała na ważności po upadku Francji jako jeden z nielicznych punktów kontaktowych z antyfaszystowskimi ruchami oporu w okupowanej Europie, które pozostały Brytyjczykom. W lipcu 1940 roku gabinet Winstona Churchilla uznał Radę za tymczasowy rząd czechosłowacki na uchodźstwie i choć nie oznaczało to jeszcze formalnego uznania, to do połowy 1941 roku Wielka Brytania, ZSRR i wciąż jeszcze zachowujące neutralność Stany Zjednoczone

nawiązały pełne stosunki dyplomatyczne z czechosłowackimi władzami w Londynie, przyznając tym samym Benešowi status głowy zaprzyjaźnionego państwa. Ostatecznie do ponownego uznania Beneša jako jedynego prawowitego przywódcę Czechosłowacji doszło rok później, kiedy w rezultacie nieustannych i cierpliwych zakulisowych działań, prezentowania sprawy czeskiej gdzie tylko się dało oraz uciekania się bez żenady do szantażu, przedstawiciele antyhitlerowskiej Wielkiej Koalicji w osobnych deklaracjach ogłosili, że nie są już związani postanowieniami traktatu monachijskiego. Była to chwila osobistego triumfu Beneša, który jednak pospieszył się z obwieszczeniem, że oznaczało to odtworzenie czechosłowackiej jedności i terytorialnej integralności. Tym samym pozostał otwarty problem mniejszości niemieckiej w Sudetach.

Kwestia, co począć z Sudetendeutschami, nie uszła uwagi Brytyjczyków, którzy jako gospodarze cokolwiek poirytowani pewnymi pociągnięciami czechosłowackich władz emigracyjnych, byli w największym stopniu zaangażowani w dopasowanie inicjatyw Beneša do alianckich celów wojennych. Philip Nichols, dyplomata Foreign Office (brytyjskiego MSZ), mianowany w 1942 roku brytyjskim ambasadorem – a w gruncie rzeczy „opiekunem” – przy londyńskich władzach czechosłowackich, co rusz tłumaczył Benešowi, że wypowiedzenie układu monachijskiego nie musiało jeszcze oznaczać zaangażowania aliantów w sprawę odtworzenia czechosłowackich granic z września 1938 roku ani zresztą jakichkolwiek konkretnych granic. Podczas całej wojny oficjalne stanowisko Brytyjczyków przedstawiało się następująco: wszelkie kwestie terytorialne muszą zaczekać na rozstrzygnięcie na powojennej konferencji pokojowej, na której takie sprawy zostaną rozpatrzone w szerszym ujęciu

i będzie ustalony nowy porządek światowy. Do tej pory nie należało składać wiążących deklaracji w tych kwestiach, zwłaszcza takich, które sprowokowałyby wysuwanie podobnych roszczeń przez Polaków, Jugosłowian, Duńczyków itd. Nie trzeba dodawać, że taka „wyczekująca" polityka zupełnie nie odpowiadała Benešowi, który nie po to trudził się od tak dawna i tyle znosił, aby Czechosłowacja wyłoniła się po wojnie okrojona w porównaniu ze swoim stanem posiadania sprzed nazistowskiej agresji. Nawet jeśli zostałyby odtworzone granice z roku 1938, to i tak należało rozwiązać problem mniejszości narodowych w Czechosłowacji.

Gdy Beneš przedstawiał sprawę czechosłowacką aliantom w Paryżu w 1919 roku, nikt poważnie nie potraktował pomysłu, że w kraju tym znajdą się Sudety, ale bez Niemców sudeckich. Tomáš Masaryk, tak jak wiele osób z jego pokolenia, pokładał wielką wiarę w zdolności asymilacyjne państw narodowych; sam był żywym przykładem, że to możliwe – jako nastolatek, pomimo częściowego zgermanizowania w dzieciństwie, stał się gorącym orędownikiem czeskiej kultury narodowej. Pod względem ekonomicznym Czechosłowacja nie mogła liczyć w przewidywalnym okresie na zrekompensowanie zdolności wytwórczych jednej czwartej swej ludności. Tak czy owak, przemilczano wtedy całą tę kwestię wobec pewności, że alianci nie zgodzą się na żadne radykalne jej rozwiązanie. Jednakże pod koniec lat trzydziestych podobne radykalne rozwiązania nie były już nie do wyobrażenia. Wymiana ludności między Turcją a Grecją na mocy traktatu lozańskiego z 1923 roku wykazała, że masowe migracje są możliwe. Beneš miał na względzie ten precedens, kiedy po cichu – gdyż inicjatywa ta mogła wywołać nieprzewidywalne reperkusje, gdyby wyszła na jaw –

zaproponował Hitlerowi 15 września 1938 roku przekazanie Rzeszy około 6 tysięcy kilometrów kwadratowych czeskiego terytorium, jeśliby Führer zgodził się w zamian na przesiedlenie do Rzeszy od półtora miliona do dwóch milionów Sudetendeutschów[27]. Zajęty spotkaniem z Chamberlainem, do którego doszło w Berchtesgaden tego samego dnia, Hitler nie odpowiedział nawet na tę ofertę.

A jednak Beneš nie był bynajmniej jedynym Czechosłowakiem, który rozumował w ten sposób. Jego główny publicysta Hubert Ripka jeszcze bardziej skłaniał się ku wydaleniu Sudetendeutschów, przewidując, że jeśli pozostawi się ich w spokoju po wojnie, przeczekają w Czechosłowacji na tyle długo, by uchronić się przed spłatą reparacji wojennych, a zaraz potem znowu rozpoczną agitację na rzecz separatyzmu[28]. W raporcie z Pragi, który dotarł do czeskiego prezydenta miesiąc po zajęciu przez nazistowskie Niemcy Czech i Moraw, opisywano nastroje ludności w stosunku do Niemców sudeckich jako „bardzo radykalne. […] Obecnie powszechnym żądaniem wydaje się zdecydowane zmniejszenie ich liczebności”[29]. Była to najprawdopodobniej przesadna ocena. ÚVOD, czyli kierownictwo czechosłowackiego ruchu oporu, konsekwentnie prezentowało bardziej skrajne zapatrywania na kwestię powojennych rozstrzygnięć od większości przeciętnych obywateli wobec faktu, że w organizacji tej dominowali byli oficerowie[30]. A skoro większość informacji na temat opinii publicznej w okupowanym kraju docierała do Beneša za pośrednictwem ÚVOD, to nabrał on przekonania, że jego rodacy żądają ostrzejszych kroków wobec Sudetendeutschów, aniżeli miało to miejsce. Świadczy o tym pewien epizod z 1940 roku, gdy Beneš zajął

się analizowaniem możliwości deportowania po wojnie około miliona „młodych, niepoprawnych nazistów” oraz skupienia pozostałych Niemców sudeckich w trzech jednolitych narodowościowo okręgach, wzorowanych na szwajcarskich kantonach. Kiedy podsunął ten pomysł czeskiemu ruchowi oporu, rozwścieczony podpułkownik Josef Balabán z ÚVOD odpowiedział zjadliwie w zaszyfrowanej depeszy radiowej: „Oczekujemy z niecierpliwością na rozprawę z naszymi drogimi hitlerowcami. Tak złoimy im skórę, że te trzy cholerne kantony, które wymyśliliście, a za które ludzie tutaj rozerwaliby was na strzępy, powstaną gdzieś w pobliżu Berlina”[31].

Mimo wszystko błędem byłoby uznanie, że na nastawienie Beneša do kwestii Niemców sudeckich wyłączny czy choćby główny wpływ miały naciski z okupowanego kraju. Usposobienie miał takie, że stanowczo nie pozwalał podwładnym narzucać mu opinii sprzecznych z jego i nie zawahał się udzielić kierownictwu ÚVOD reprymendy za naiwne przypuszczenia, że „możemy po prostu zlikwidować czy też unicestwić trzy miliony Niemców”[32]. Był również świadom nieodzowności alianckiego poparcia dla wszelkich porządków, jakie miały zostać zaprowadzone po ostatecznym zwycięstwie, a już we wczesnej fazie wojny przekonał się, że ci nie akceptowali wszelkich rozwiązań pozbawionych rozróżnienia między „winnymi” a „niewinnymi” Niemcami. Po ewakuacji spod Dunkierki, gdy odniesienie zwycięstwa nad Niemcami konwencjonalnymi środkami wydawało się prawie nierealne, jedną z nielicznych rzeczy, które skłaniały rząd brytyjski do kontynuowania walki, była nadzieja, że Hitler może zostać obalony w wyniku antyfaszystowskiej rewolty, gdy ekonomiczne trudności związane z wojną odbiją się na

życiu przeciętnych niemieckich obywateli Rzeszy[33]. Odwetowa strategia militarna stała wszak w sprzeczności z takim scenariuszem, lejąc wodę na młyn propagandy Goebbelsa głoszącej, że Brytyjczycy nie dążą do położenia kresu nazizmowi, tylko do zniszczenia narodu niemieckiego. Między innymi z tego powodu rząd Churchilla wahał się w 1940 roku z bezwarunkowym uznaniem emigracyjnych władz Beneša, w których skład nie wszedł ani jeden przedstawiciel przebywających w Londynie członków demokratycznego ruchu Niemców sudeckich, z Wenzlem Jakschem na czele. Idąc na pozorne ustępstwo wobec Brytyjczyków, Beneš ostatecznie wykazał gotowość do zaoferowania socjaldemokratom z kręgu Sudetendeutschów sześciu miejsc w Czechosłowackiej Radzie Państwowej, 40-osobowym organie doradczym; jednakże rząd emigracyjny składał się nadal wyłącznie z Czechów i Słowaków. Z tych samych pobudek stanowczo i kłamliwie stwierdził na spotkaniu z niemieckimi uchodźcami z Sudetów, że krążące w Londynie pogłoski o tym, iż on i jego rząd rozważają masowe deportacje niemieckiej ludności z Czech, były całkowicie bezpodstawne[34].

Przystąpienie Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych do wojny w 1941 roku radykalnie zmieniło stosunek sił, podobnie jak silne antagonizmy, które trwający konflikt zbrojny wywoływał w obu walczących obozach. Z końcem tego roku militarna klęska państw Osi znowu stała się realną perspektywą i zarazem było jasne, że wybuch antyfaszystowskiej rewolucji w Niemczech to mrzonka. Zauważalne w owym okresie zaostrzenie tonu retoryki Beneša, w rozmowach prywatnych i wystąpieniach publicznych dotyczących przyszłych losów Sudetendeutschów, było nieprzypadkowe. W radiowym

orędziu do przywódców ÚVOD we wrześniu 1941 roku zapewnił kierownictwo czeskiego podziemia, że sympatyzuje z pomysłem wypędzenia Niemców sudeckich z końcem wojny, choć z powodów natury dyplomatycznej może oficjalnie podpisywać się pod mniej radykalnym programem[35]. Jego rozmowy z Wenzlem Jakschem również nabrały nowego, znacznie bardziej bezkompromisowego tonu. Rok wcześniej obaj przystali na złożoną przez Beneša propozycję, ażeby problem Niemców sudeckich rozwiązać za pomocą ich przesiedlenia do jednolitych etnicznie kantonów, gdzie uzyskaliby znaczną autonomię, co stanowi podstawę do rokowań na temat powojennego kształtu Czechosłowacji. Jednak obstawanie prezydenta przy pomyśle, by towarzyszyły temu częściowe wysiedlenia Sudetendeutschów, sprawiło, że negocjacje utknęły w martwym punkcie; ostatecznie Benešowi nie udało się przekonać do idei kantonów nawet członków własnego rządu emigracyjnego. Nietrudno wysnuć wniosek, że z końcem 1941 roku zarzucił zamysł uzgodnionego porozumienia z sudeckimi socjaldemokratami – albo też nie widział już potrzeby wypracowywania takiej ugody. Jaksch zaczął się poważnie obawiać, i nie bez powodu, że „Beneš liczył na zaangażowanie brytyjskiego rządu w sprawę przywrócenia przedwojennych granic Czechosłowacji, po czym prezentowane przezeń stanowisko będzie takie, że kwestia sudecka to wewnętrzna sprawa czechosło-wacka”[36].

O tym, że Jaksch trzeźwo oceniał sytuację, świadczył fakt, iż Beneš czuł się wówczas na tyle pewnie, by nie ukrywać swoich koncepcji. Jak zwykle wykazując się ostrożnością, wypuścił najpierw serię „próbnych balonów”. We wrześniu 1941 roku po raz pierwszy publicznie oznajmił o swoim poparciu dla „zasady przesiedlania ludności” w kontekście

„nowego ładu w Europie”[37]. Dwa miesiące później podczas wystąpień na uniwersytetach w Edynburgu i Glasgow wyraził opinię, że „Niemcy, ci dobrzy i ci źli, ci, którym zależy na Europie, oraz naziści, muszą się nauczyć […] że wojna nie popłaca”. Utrzymywał, że „nie ma i nigdy nie będzie innego sposobu na surowe wyedukowanie socjopolityczne [niemieckiej] społeczności”[38]. Ośmielony brakiem alianckiej reakcji na takie oświadczenia, w artykule opublikowanym w „Foreign Affairs” Hamiltona Fisha Armstronga w styczniu 1942 roku Beneš przeszedł od ogólników do konkretów. „Mniejszości narodowe – stwierdził – zawsze były (a w środkowej Europie w szczególności) prawdziwym cierniem w oku poszczególnych narodów. Dotyczy to zwłaszcza mniejszości niemieckiej”. Przed określeniem praw mniejszości należało więc „zdefiniować prawa większości oraz powinności tychże mniejszości”. W istocie, w świetle wojennych doświadczeń otwartą kwestią pozostawało, czy konieczne i pożądane było zachowanie takich mniejszości etnicznych.

> Sam Hitler przesiedlał niemieckie mniejszości znad Bałtyku i z Besarabii. Niemcy zatem nie mogą *a priori* uznać tego za krzywdę, jeśli i inne państwa zastosują te same metody w odniesieniu do mniejszości niemieckiej. […] Konieczne będzie po tej wojnie przeprowadzenie przesiedlenia ludności na znacznie większą skalę niż po poprzedniej wojnie. Trzeba to przeprowadzić możliwie po ludzku i w należytym porządku, pod egidą i za pieniądze międzynarodowej organizacji[39].

Beneš przyznawał, że zwycięzcy mają moralny obowiązek „zadbania o ochronę lojalnych mniejszości, zapewniając im ich polityczne i kulturalne prawa na podstawie

bezwzględnej wzajemności”. Ale nie było już wątpliwości, że czechosłowackie władze emigracyjne od tej pory otwarcie mówiły o usunięciu po wojnie całej populacji Niemców sudeckich lub jej większości. Podczas osobnych spotkań z Jakschem oraz brytyjskim ministrem spraw zagranicznych Anthonym Edenem, które odbyły się w miesiąc po ukazaniu się wspomnianego artykułu w „Foreign Affairs”, Beneš potwierdził, że taki był jego zamiar. Jak wskazał, chciał tak skorygować granice wyzwolonej Czechosłowacji, aby oddać Niemcom niewielkie obszary zamieszkane wyłącznie przez Sudetendeutschów, pod warunkiem uzyskania rekompensaty terytorialnej w innych okolicach. Jednak miał zamiar zezwolić na pozostanie w Czechach nie więcej niż 600–700 tysiącom Niemców sudeckich, czyli jednej piątej przedwojennej ich populacji. Eden zareagował na to wymijająco, co rozeźliło Beneša. Brak entuzjazmu brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych dla tego projektu, poskarżył się Philipowi Nicholsowi, to kolejna zdrada, jakiej Brytyjczycy dopuścili się wobec Czechosłowacji, i przypomniał ambasadorowi, że „kwestia naszych Niemców to dla mnie sprawa generalnego podejścia do porozumienia monachijskiego”[40].

Wtedy ponownie rozwój wojennych wydarzeń zdawał się sprzyjać Benešowi. Oto 27 maja 1942 roku na polecenie czechosłowackiego prezydenta dwóch czeskich agentów z SOE (brytyjskiego Kierownictwa Operacji Specjalnych) zorganizowało zasadzkę i zabiło w niej Reinharda Heydricha, ludobójcę i zastępcę Himmlera, gdy ten przejeżdżał przez przedmieścia Pragi. We wrześniu poprzedniego roku Heydrich został wyznaczony na stanowisko „protektora Czech i Moraw” – taką iście orwellowską nazwę naziści nadali swemu kolonialnemu gubernatorowi zajętych ziem czeskich. Heydrich na tyle

skutecznie spacyfikował te obszary, stosując metodę kija i marchewki – przykładowo robotnicy zakładów zbrojeniowych w Czechach otrzymywali większe przydziały żywności od swoich odpowiedników w Niemczech, a czechosłowacka gospodarka jako całość „posłusznie wytwarzała około 10 procent wyrobów przemysłowych nazistowskiej Rzeszy w zamian za przyzwoite wynagrodzenie”[41] – że nader zaniepokojony Beneš rozkazał zgładzić niemieckiego namiestnika z obawy, iż alianci mogli dojść do wniosku, że Czesi pogodzili się z nazistowską okupacją[42]. Jeżeli miał zamiar sprowokować Niemców do ostrej reakcji, to rzeczona akcja osiągnęła swój cel. Wykazując się typową dla siebie nieopanowaną brutalnością, naziści w odwecie zrównali z ziemią miejscowości Lidice i Ležáky, masakrując tamtejszych mężczyzn i zsyłając kobiety do obozów koncentracyjnych. W trakcie represji po zamachu zginęło ponad tysiąc Czechów i Słowaków, a kolejny tysiąc czeskich Żydów trafił do obozu w Mauthausen, z którego już nie mieli powrócić. Z perspektywy Beneša gorsze było jednak to, że Niemcy podczas przeprowadzonych obław schwytali niemal całe kierownictwo ÚVOD, likwidując w Czechosłowacji aktywną siatkę ruchu oporu i pozbawiając czeskie władze na uchodźstwie kanałów łączności z okupowanym krajem.

O ile zamach na Heydricha wcale nie rozniecił bojowości w czeskim narodzie – do końca wojny czechosłowacki aparat administracyjny złożony z 350 tysięcy osób nadzorowało zaledwie 2 tysiące niemieckich urzędników – o tyle z godną podziwu skutecznością spolaryzował opinię publiczną w kraju i na obczyźnie. Sudetendeutsche okazali się do tego stopnia rozwścieczeni zabójstwem Heydricha, że „niemieckie władze musiały interweniować w celu

uchronienia Czechów przed linczami w mieszanych pod względem etnicznym rejonach. Organizacje partyjne w Sudetach i Wiedniu domagały się masowych wysiedleń Czechów z tamtych obszarów”[43]. Niektórzy historycy sugerują wręcz, że Beneš przewidział taką reakcję i liczył, iż rozbudzone wrogie nastroje będą tak silne, że wykluczy to pokojowe współżycie Czechów i Niemców sudeckich po zakończeniu wojny[44]. Na pewno niektóre co bardziej porywcze oświadczenia czeskiego prezydenta i jego ministrów zdawały się potwierdzać tę teorię. Promykiem nadziei po zagładzie Lidic było, jak zauważył później Beneš, to, że „w żadnych okolicznościach nie można mieć już wątpliwości co do [konieczności] narodowego zintegrowania Czechosłowacji”. Jego sekretarz polityczny i partyjny kolega Prokop Drtina, przyszły minister sprawiedliwości w powojennym rządzie, użył jeszcze bardziej niefortunnego sformułowania, oznajmiając, że „reakcja na zamach [na Heydricha] i na Lidice wśród alianckiej opinii publicznej była tak gwałtowna, iż dała się przyrównać do tej po zwycięskiej bitwie”. Bez poświęcenia ze strony tych, którzy dokonali zamachu, „nigdy nie doprowadzilibyśmy do oczyszczenia czeskich ziem z niemieckich osadników”[45]. Jednak konkluzja, iż ów zamach został przeprowadzony, aby doprowadzić do tego, że różne społeczności etniczne w Czechosłowacji skoczą sobie do gardeł, stanowi nazbyt cyniczną interpretację. Znacznie bardziej prawdopodobne wyjaśnienie brzmi tak, że Beneš, skonsternowany i zakłopotany w swoich kontaktach z Brytyjczykami brakiem jawnego zbrojnego oporu w swoim kraju, uznał za potrzebne zademonstrowanie, że on i jego władze nadal się liczyły, i pogodził się z faktem nieuchronnego nazistowskiego odwetu jako ceną konieczną do zapłacenia w czasie wojny.

Bez względu na pobudki, którymi się kierował, masakra w Lidicach okazała się Benešowi na rękę w jego układach z aliantami. Mimo że niezliczone polskie, radzieckie i jugosłowiańskie wsie i miasteczka ucierpiały podobnie jak Lidice, to o ich losie nie dowiedziała się ówcześnie opinia na Zachodzie. Z kolei Lidice szybko stały się obiegową nazwą, częściowo dzięki rozbudowanej służbie prasowej Czechosłowackiego Ministerstwa Informacji w Londynie, a także za sprawą dosyć przypadkowej decyzji najważniejszej amerykańskiej agencji propagandowej, Biura Informacji Wojennej, aby uczynić z tej masakry „incydent stanowiący uwieńczenie terroru i barbarzyństwa Osi, który skłoni Narody Zjednoczone do zmiażdżenia nazistowskiej bestii”[46]. (O Ležákach, miejscowości mniejszej od Lidic i, co jeszcze istotniejsze, o nazwie o wiele trudniejszej do wymówienia dla mieszkańców Zachodu, prawie od razu zapomniano). Pod naciskiem Czechosłowaków i innych, aby odpowiedzieć na tę zbrodnię odwetowymi nalotami bombowymi na Niemcy – przeciw czemu rząd brytyjski się opierał, obawiając się, że jeśli naziści zaprzestaną mordowania ludności cywilnej, mogłoby to z kolei zaowocować żądaniami przerwania kampanii strategicznych bombardowań prowadzonej przez RAF – Eden przeanalizował na nowo możliwość ustępstw w kwestii deportacji Sudetendeutschów[47]. Podczas spotkania ze Stalinem w Moskwie w grudnia 1941 roku dowiedział się, że radziecki przywódca rozważał usunięcie ludności niemieckiej z ziem, które miałyby zostać przekazane Polsce po wojnie, jako ważny element nowego porządku międzynarodowego[48]. W lutym 1942 roku autorzy studium przeprowadzonego przez wydział badawczy Foreign Office (brytyjskiego MSZ) uznali masowe przesiedlenia za wykonalną metodę uporania się

z problemem europejskich mniejszości etnicznych[49]. Pięć tygodni po wydarzeniach w Lidicach Eden przedstawił na posiedzeniu gabinetu wojennego dokument, w którym wyraził przekonanie, iż przypuszczalnie niemożliwe będzie uniknięcie kroków tego rodzaju w powojennej Europie", i ostrzegał, że „jeżeli nie zostaną one przeprowadzone w sposób zorganizowany i pokojowy, to nader prawdopodobne, że ludność Czech i Polski siłą wypędzi niemieckie mniejszości ze swoich obszarów. Pytanie brzmi, czy powinniśmy już teraz przychylić się do idei takich przesiedleń i powiadomić zarówno doktora Beneša, jak i przedstawicieli Niemców sudeckich, że takie jest nasze stanowisko". Na początku lipca 1942 roku Eden uzyskał od swoich współpracowników z brytyjskiego rządu zgodę na „generalną zasadę przemieszczenia do Niemiec niemieckiej mniejszości ze środkowej i południowo-wschodniej Europy po wojnie w wypadku, gdy okaże się to nieodzowne i pożądane, a upoważnienia odnoszące się do takich decyzji zostaną ogłoszone w stosownych przypadkach"[50].

Powziąwszy postanowienie w sprawie przeprowadzenia masowych deportacji Niemców, rząd brytyjski tym samym poparł swoim autorytetem radykalne wprowadzenie takiego zamysłu w czyn – bardziej radykalne nawet od zaproponowanego w owym czasie przez Beneša. Po ustaleniu, że uchodźcy z grona Niemców sudeckich gotowi byli przystać na przymusową deportację – po przeprowadzeniu należytego dochodzenia – tych osób z ich regionu, które okazałyby się zaciekłymi nazistami, czechosłowacki prezydent zastanawiał się głośno podczas rozmowy ze swoimi brytyjskimi gospodarzami, czy nie byłoby lepiej deportować tylko tych, którym udowodni się winy. Był świadom tego, że w jego rządzie emigracyjnym było kilka osób, w szczególności minister sprawiedliwości

Jaroslav Stránský, „zdecydowanie i nieustępliwie sprzeciwiających się wszelkim przesiedleniom”. Objęcie akcją deportacyjną wyłącznie niewątpliwych kolaborantów zneutralizowałby potencjalny opór ze strony wspomnianych członków władz na uchodźstwie, a także antyfaszystowskich Sudetendeutschów w Wielkiej Brytanii. Jednakże Frank Roberts, jeden z czołowych urzędników brytyjskiego MSZ, odnotował, że Eden stanowczo się przeciwstawiał pomysłowi przyjęcia „jakiejkolwiek formuły, która uznawałaby winę za kryterium przesiedleń ludności”. Jak ostrzegał Philip Nichols w październiku 1942 roku:

> Byłoby nadzwyczaj trudno osiągnąć ogólne porozumienie w kwestii określenia „winy”, a każdy rząd, któremu zależałoby na wydaleniu obcych mniejszości ze swoich terytoriów, zyskałby zachętę do ustalania lub fabrykowania „win” w celu osiągnięcia swoich celów. […] Zatem każdy z naszych sojuszników mógłby bez przeszkód określać każdego Niemca jako winnego i wypędzić go. […].
>
> Wreszcie, poza praktyczną trudnością, obawiamy się, że przyjęcie takiej zasady mogłoby doprowadzić do niekorzystnego ograniczenia naszych praw w zakresie przesiedleń większych grup ludności, gdyż możemy zechcieć (a Amerykanie mogą zaproponować) posłużenie się tym rozwiązaniem na znaczną skalę bez wspominania o „przewinieniach” i ważne wydaje się zachowanie swobody w tej mierze.

Nicholsowi zalecono nie dawać Benešowi żadnej zachęty, która mogłaby przywieść go dalszych zamysłów czynienia rozróżnienia „między owcami a kozłami”[51]. W związku z tym ambasador Nichols poinformował tydzień później czechosłowackiego prezydenta, że wszelkie plany

wykluczania nienazistów czy antyfaszystów z programu wysiedleńczego „nie spotkałyby się z entuzjastycznym przyjęciem ani zachętą ze strony mojego rządu”[52]. To z perspektywy Londynu zamknęło dyskusję nad sprawą. Brytyjskie władze już więcej nie rozważały pomysłu uchronienia niewinnych osób od deportacji.

Polski rząd emigracyjny podążył szlakiem przetartym przez Czechosłowaków. Przyznać wypada, że w początkowych latach wojny administracja Władysława Sikorskiego z siedzibą w Londynie była znacznie bardziej skupiona na odtworzeniu przedwojennych granic Polski, a zwłaszcza na tym, by Związek Radziecki zwrócił polskie obszary zajęte i wcielone do ZSRR jesienią 1939 roku. Choć niektórzy Polacy zerkali łasym okiem na Prusy Wschodnie, to pomysł terytorialnych nabytków na zachodzie nie wydał im się zrazu zbyt kuszący. Zareagowali powściągliwie na sugestie Czechosłowaków z zimy 1939/1940 roku, aby przeprowadzić wysiedlenie niemieckich mniejszości jako krok wstępny do powojennej konfederacji obu państw[53]. Gdy jednak stawało się coraz bardziej oczywiste, że przynajmniej niektórych ziem utraconych na rzecz Związku Radzieckiego nie uda się nigdy odzyskać, Polacy z różnych ugrupowań politycznych zaczęli traktować dużo poważniej perspektywy nabytków terytorialnych na zachodzie kosztem Niemiec – ideę taką już w okresie międzywojennym propagowała skrajnie nacjonalistyczna i antysemicka Narodowa Demokracja Romana Dmowskiego. Podczas sesji w grudniu 1942 roku polski parlament w Londynie przyjął rezolucję, zgodnie z którą polsko-niemiecka granica winna ulec „wyprostowaniu i skróceniu” w interesie przyszłego bezpieczeństwa Polski. Sikorski wyjaśnił cztery dni później, co to miało oznaczać w praktyce, kiedy poinformował

Roosevelta, że Polska pragnie zająć Prusy Wschodnie i niemiecki Śląsk aż po linię Odry i wschodnie brzegi Nysy[54]. Jednak wysiedlenie Niemców nie stanowiło dla Sikorskiego najpilniejszej kwestii demograficznej. Na początku 1942 roku oznajmił Anthony'emu Edenowi, że będzie „zupełnie niemożliwe […] dla Polski dalsze utrzymanie 3,5 miliona Żydów po wojnie. Należy znaleźć dla nich miejsce gdzie indziej"[55]. Naziści rozwiązali ten problem za sprzymierzonych, chociaż sam Sikorski, który zginął w katastrofie lotniczej we wrześniu 1943 roku, miał już tego nie dożyć.

Początkowo Polacy hamowali nieco swe zapędy nabycia jeszcze rozleglejszych niemieckich obszarów wobec żywionego przekonania, że aliancka opinia publiczna nie pogodzi się z gigantyczną akcją przesiedlenia Niemców, której wymagałoby zaspokojenie takich apetytów[56]. Jeszcze bynajmniej nie porzucili nadziei na odzyskanie większości, o ile nie wszystkich, utraconych ziem wschodnich, i słusznie podejrzewali, że Stalin zachęca ich do nabytków na zachodzie dla odwrócenia uwagi od zabużańskich ziem kresowych. Mimo wszystko pokusie zawładnięcia ziemiami zachodnimi trudno się było oprzeć, zwłaszcza po tym, jak dyplomatyczne sukcesy Beneša wykazały, że trzy główne mocarstwa koalicji antyhitlerowskiej zasadniczo się temu nie przeciwstawiały. Jasne było, że dotychczasowi mieszkańcy niemieckich ziem nie mogli na nich pozostać, gdyż oznaczałoby pozostawienie Polakom proporcjonalnie znacznej, a w liczbach absolutnych jeszcze większej mniejszości niemieckiej niż ta w Czechosłowacji. W efekcie wysiedlenie Niemców stało się podobnie ważnym elementem planów polskiego rządu na emigracji dotyczących okresu powojennego jak tych, które snuli Czechosłowacy, więc

i Polacy przyjęli z zadowoleniem skłonienie się Edena ku zasadzie masowych przesiedleń. Do września 1944 roku władze polskie w Londynie zadecydowały, że ci Niemcy, „którzy nie opuszczą polskiego terytorium po wojnie, będą musieli zostać z niego usunięci. Dotyczy to w równej mierze obszaru państwa polskiego z 1939 roku oraz tych ziem, których przyłączenia do Polski zażąda się w wyniku obecnej wojny”[57]. Plany przeprowadzenia tej operacji i konfiskaty mienia wysiedleńców już przygotowywano[58].

Wiarygodne pogłoski, że rząd brytyjski opowiedział się za powojennymi przesiedleniami, stanowiły prawdziwy wstrząs dla przebywających w Wielkiej Brytanii uchodźców z grona Niemców sudeckich oraz dla ich lidera Wenzla Jakscha. Ten godny szacunku człowiek i pod wieloma względami tragiczna postać od chwili przyjazdu do Wielkiej Brytanii po Monachium musiał prowadzić zmagania na wielu frontach. Emigracyjna społeczność Sudetendeutschów była podzielona na tych, którzy chcieli pracować na rzecz odtworzenia Czechosłowacji w jej granicach sprzed 1938 roku, oraz pozostałych, którzy, choć angażowali się w walkę z Hitlerem, uważali jednak, że Sudety powinny pozostać w powojennych, demokratycznych Niemczech. Był również świadom tego, że członkowie czechosłowackich władz na uchodźstwie robili, co tylko mogli, by skłócić Sudetendeutschów na emigracji, a tym samym podkopać ich starania o zapewnie sobie alianckiej protekcji, a także osłabić jego pozycję jako ich rzecznika. Tak jak Beneš w 1938 roku, Jaksch uznał, że najlepiej przysłuży się dążeniom do zmiany brytyjskiego nastawienia wobec Niemców sudeckich zachowanie godności, osobistej i zbiorowej, niereagowanie na prowokacje i unikanie wdawania się w polemiki, wreszcie przypominanie aliantom o tym, jak ważna jest

konsekwencja w dotrzymywaniu publicznych oświadczeń. Za taką pryncypialną postawę miał otrzymać nagrodę podobną do tej, jakiej doczekał się czechosłowacki prezydent po Monachium. Jednak jest mało prawdopodobne, aby jakakolwiek odmienna taktyka przyniosła ostatecznie inne skutki.

A na prowokacje nie trzeba było długo czekać. Od maja 1941 roku Jaksch często przemawiał w niemieckojęzycznych audycjach rozgłośni BBC do swoich sudeckich ziomków, przypominając im o ich powinnościach wobec państwa czechosłowackiego i apelując o stawianie oporu nazistom. Czeski historyk Francis Raška, który przeanalizował treść tych wystąpień, nie znalazł w nich „nawet cienia przejawów jakiejkolwiek nielojalności względem Czechosłowacji”[59]. Mimo to owe audycje wzbudzały wściekłość Beneša i jego czołowego publicysty Ripki. Uskarżali się, że Jaksch, orędując w sprawie sudeckiej autonomii w ramach zdecentralizowanej Czechosłowacji, podąża tym samym kursem co Konrad Henlein w latach trzydziestych i przeciera szlak ku ostatecznemu rozbiciu państwa czechosłowackiego. Twierdzili, iż ktoś taki nie ma prawa występować w radiu ani gdziekolwiek indziej. Podsumowując ich protesty w jednym zdaniu, Frank Roberts z brytyjskiego MSZ kąśliwie zauważył, że zdaniem Czechów „rząd Jego Królewskiej Mości hoduje następnego sudeckiego Führera”[60]. Brytyjscy oficjele nie potraktowali poważnie tych gniewnych reakcji. Dobrze znali i Beneša, i Jakscha, i na ogół mieli lepsze zdanie o tym drugim. Już od czasów Wersalu w brytyjskim MSZ uważano Beneša za polityka cokolwiek dwulicowego i obłudnego. Kiedy w roku 1925 wysunął swoją kandydaturę na stanowisko przyszłego sekretarza generalnego Ligi Narodów, Alexander Cadogan

zanotował: „Jeśli Liga [Narodów] ulegnie zniszczeniu, stanie się tak za sprawą wyznaczenia nieodpowiedniego człowieka na to stanowisko. […] Doktor Beneš byłby znakomitym kandydatem dla każdego, kto pragnąłby takiego rezultatu”[61]. Jaksch, chociaż bynajmniej nie zasługiwał na miano kryptonazisty, to wyraźnie należał do grona staroświeckich socjalistów-internacjonalistów, których obie wojny światowe na dobrą sprawę zmiotły ze sceny politycznej. Brytyjscy dyplomaci wspominali jego wizyty w Londynie przed konferencją monachijską, gdy na życzenie Beneša próbował uzyskać wsparcie dla Czechosłowacji zagrożonej niemiecką agresją, oraz jego pracę, już w latach wojny, na rzecz Kierownictwa Operacji Specjalnych (SOE) – kierowanej przez Brytyjczyków antyfaszystowskiej organizacji podziemnej w okupowanej Europie[62]. Czechosłowackiego prezydenta w jeszcze większe zmieszanie wprawiło to, że Philip Noel-Baker, laburzystowski parlamentarzysta i jeden z niższych rangą członków koalicyjnego gabinetu Churchilla, wcześniej w innej audycji BBC wspomniał, jak to spotkał się z Jakschem w Czechosłowacji latem 1938 roku, aby zmobilizować Niemców sudeckich do przeciwstawienia się Hitlerowi i Henleinowi.

> Co wieczór przejeżdżałem z miasta do miasta z ich dzielnym przywódcą Wenzlem Jakschem, by przemawiać wraz z nim na wielkich wiecach jego zwolenników. […] Nadal mam w uszach huczne, gorączkowe wiwaty, które rozległy się w sali, kiedy Jaksch oświadczył, że woli walczyć i zginąć, niż ulec.
>
> I pamiętam, jak prezydent Beneš w swym pięknym pałacu na praskim wzgórzu mówił mi, że niemieccy socjaldemokraci to prawdziwi bohaterowie; że pokazali

nam wszystkim, co może rozbudzić stanowczość i szlachetność myśli w walce o ludzką wolność[63].

Bez względu na to, jak miała wyglądać powojenna Czechosłowacja, Jaksch najwyraźniej nie miał odegrać żadnej roli w relacjach brytyjsko-czechosłowackich – w przeciwieństwie do Beneša i Ripki. O ile niewiele wskazywało na to, że jego radiowe wystąpienia w jakiejkolwiek mierze wpływały na opinię Niemców sudeckich, o tyle z punktu widzenia Londynu nie miało sensu wszczynanie kłótni z przyszłym praskim rządem w ich sprawie. Latem 1942 roku audycje radiowe z udziałem Jakscha się skończyły. Nie po raz ostatni zdarzyło się, że poświęcono go, tak jak innych niemieckich przeciwników nazizmu, w imię alianckiej racji stanu.

Poparcie dla planów wypędzenia Niemców sudeckich szybko nadeszło także z ZSRR. Beneš rozsądnie nie marnował czasu na negocjacje z Komunistyczną Partią Czechosłowacji (KSČ), której groteskowe manewry w celu dostosowania się do radykalnych zwrotów w polityce Moskwy już dobitnie wykazały, że ugrupowanie to samodzielnie o niczym nie decydowało. Od rozpoczęcia swojej działalności we wczesnych latach dwudziestych KSČ stanowczo popierała prawa mniejszości, potępiając czeski „kolonializm wewnętrzny” jako instrument burżuazyjnego wyzysku i uznawała prawo Sudetendeutschów oraz innych grup etnicznych do „narodowego samostanowienia”, a nawet do secesji, czyli odłączenia się od państwa czechosłowackiego. Wspomniana partia trzymała się takiej linii aż do zawarcia w 1935 roku czechosłowacko-radzieckiego układu o wzajemnej pomocy i od tamtej pory nie wspominała już o narodowym samostanowieniu mniejszości etnicznych. Podczas kryzysu monachijskiego

wezwała sudeckich „antyfaszystów” do „słuchania poleceń [czechosłowackich] instytucji demokratycznych”[64].
Z kolei po ogłoszeniu paktu nazistowsko-sowieckiego „samostanowienie narodów” znowu znalazło się na tapecie u komunistów, a ulotki rozprowadzane w Protektoracie Czech i Moraw ostrzegały przed „niebezpieczeństwami [czeskiego] szowinizmu”. Było zatem jasne, że KSČ zawsze podąży za wskazaniami Moskwy, niezależnie od tego, że w szeregach tej partii działał znaczny odsetek Niemców sudeckich. W czerwcu 1943 roku radziecki ambasador w Londynie przedstawił czechosłowackim władzom na uchodźstwie swoją zgodę na wypędzenie ludności niemieckiej; Beneš usłyszał to samo z ust Stalina, kiedy udał się do Moskwy pod koniec tego samego roku[65]. Gdy wkrótce spotkał się z przebywającymi na emigracji przywódcami KSČ, po prostu poinformował ich o swych planach, nie starając się nawet, by czescy komuniści wyrazili na nie zgodę.

Latem roku 1943 Beneš zapewnił sobie ostateczną aprobatę, niezbędną dla urzeczywistnienia swojej koncepcji. W marcu, podczas lunchu z Churchillem, upewnił się, że brytyjski premier wciąż zdecydowanie opowiadał się za ideą przesiedleń. Zdaniem Jana Masaryka Churchill nie ograniczył się do tego. Powiedział Benešowi, że kiedy wojna dobiegnie końca, „wielu [sudeckich] Niemców zginie również w pańskim kraju – nic się na to nie zaradzi i uznaję to. Po upływie kilku miesięcy powiemy: «wystarczy” i rozpoczniemy robotę czasu pokoju: postaramy się osądzić tych winnych, którzy pozostaną przy życiu”[66]. Jeżeli ta uwaga Churchilla została wiernie zanotowana – a przez całe życie zdradzał skłonność do przesadnie wojowniczych oświadczeń – to przypuszczalnie miał na myśli wymierzenie sprawiedliwości czołowym

kolaborantom w rodzaju Henleina i zastępcy tegoż na obszarze Czech i Moraw, Karla Hermanna Franka, nie zaś udzielenie Czechosłowakom zgody na rzeź sudeckiej ludności. Jednak Beneš był na tyle pewien poparcia brytyjskiego premiera dla planu przesiedleńczego, że poruszył ten temat w obecności Churchilla w trakcie wizyty w Białym Domu w maju 1943 roku, podczas swego pierwszego i jedynego spotkania z Franklinem D. Rooseveltem w okresie wojny. I znów nie ma oficjalnego stenogramu tej rozmowy. Ale po powrocie do Londynu Beneš euforycznie poinformował swoich współpracowników, że dowiedziawszy się o obiecanym już przez Brytyjczyków i Sowietów poparciu dla sprawy, amerykański prezydent także przystał na powojenną deportację całej populacji Niemców sudeckich.

Również w tym przypadku, choć urzędnicy Departamentu Stanu mieli później energicznie zaprzeczać, że Roosevelt powiedział coś takiego, wydaje się nieprawdopodobne, by Beneš wszystko to zmyślił. Ostatecznie przecież udał się do Waszyngtonu z zamiarem uzyskania aprobaty Amerykanów dla wysiedlenia Sudetendeutschów i nie ma powodu wątpić, że poruszył tę kwestię w trakcie owego spotkania. A wkrótce potem raczej nie rozgłaszałby o zgodzie Roosevelta tak otwarcie, gdyby nie miału ku temu podstaw; oczywisty fałsz łatwo było zdementować. Lecz późniejsze zapewnienia Beneša, że amerykański prezydent przystał na całkowite oczyszczenie Sudetów z Niemców, brzmią jakby mniej wiarygodnie. Do tego czasu w swoich negocjacjach z Londynem i Moskwą czechosłowacki przywódca starannie unikał wszelkich konkretów, dotyczących liczby Niemców, których zamierzał wysiedlić, i mało prawdopodobne, że w Waszyngtonie zdecydował się na ryzykowną próbę skłonienia Roosevelta do

zaakceptowania maksymalnych żądań w tej sprawie, poruszając z nim tę kwestię w pierwszej rozmowie. Na rzecz takiej interpretacji faktów przemawia inicjatywa Anthony'ego Edena, który polecił brytyjskiemu posłowi w Waszyngtonie zdementować czeskie doniesienia o tym, jakoby Stany Zjednoczone wyraziły oficjalną zgodę na deportowanie wszystkich Sudetendeutschów, i wskazać, że sprzymierzeni jedynie ogólnie porozumieli się w kwestii powojennych przesiedleń ludności[67].

Mimo wszystko z końcem 1943 roku plany deportacyjne nabrały takiego rozmachu, że jedynie decyzja Wielkiej Trójki mogła to wyhamować. Nie tylko wśród niektórych polityków, ale także w znacznej części anglosaskiej opinii publicznej zamysł przesiedlenia ludności na krótko stał się, jak to scharakteryzował C.A. Macartney, czołowy doradca Ministerstwa Spraw Zagranicznych w sprawach stosunków międzynarodowych, „modnym panaceum na wszelkie trudności związane z mniejszościami narodowymi"[68]. Na przykład były prezydent USA Herbert Hoover nawoływał do rozwagi w tym, co określił mianem „nadzwyczajnego lekarstwa, jakim jest transfer ludności" oraz środka zapobieżenia przyszłemu europejskiemu konfliktowi zbrojnemu[69]. Sumner Welles, wcześniej piastujący drugie pod względem ważności stanowisko w amerykańskim Departamencie Stanu i zarazem człowiek, który jeszcze do niedawna był głównym współpracownikiem Roosevelta w dziedzinie spraw międzynarodowych, również porzucił wiarę w to, że po wojnie „żaden odłam wszelkiej nacji nie zostanie zmuszony do odpokutowania pośrednio za zbrodnie, których się nie dopuścił", i że było nie do przyjęcia, by całe narody zostały „przepędzone, niczym bydło, z jednego państwa do innego". Z czasem pogodził się z myślą, iż „powinniśmy skorzystać z tego momentu

zamieszania na świecie i dokonać transferu ludności tam, gdzie to konieczne dla zapobieżenia nowym konfliktom, a tym samym pozwolić ludziom na życie pod takimi rządami, jakie im odpowiadają, bez rasowej dyskryminacji”[70]. Popierający plany Beneša dotyczące wysiedleń oksfordzki historyk A.J.S. Taylor oświadczył, że państwo czechosłowackie można odrodzić przy zastosowaniu tej samej „bezwzględności” i powodując „wiele cierpień”, po które Niemcy sięgnęli, gdy je niszczyli[71]. W Izbie Lordów Robert Vansittart, były prominentny dyplomata MSZ, w latach trzydziestych opowiadający się za polityką ustępstw wobec Rzeszy, zanim nie dokonał zwrotu i zaczął się jej przeciwstawiać, w opisywanym okresie najgłośniej ze wszystkich Brytyjczyków domagał się narzucenia Niemcom „kartagińskiego” pokoju, wychwalał cyniczną obojętność Stalina wobec kwestii zbiorowej winy lub niewinności, gdy ten ostatni w 1941 roku wypędził z domów niemieckojęzyczną ludność Związku Radzieckiego. Vansittart twierdził, że zachodni alianci powinni pójść za tym przykładem. „[Stalin] miał tysiąckrotną słuszność, pięćsetkrotną rację. […] Rzekłbym, że tamci [deportowani] Niemcy nie byli hitlerowcami. Od ćwierćwiecza wbijano im w głowy doktrynę komunizmu. […] Mimo wszystko zostali uznani za Niemców i element niepewny”[72]. Nawet lord Robert Cecil, brytyjski delegat przy Lidze Narodów i w okresie międzywojennym namiętny obrońca praw mniejszości, w tym czasie przyznał, że Sudetendeutsche „muszą zostać usunięci”, a ich los nie powinien zajmować nikogo poza rządem czechosłowackim[73].

W Wielkiej Brytanii pomysły wysiedleń zdobywały coraz liczniejszych zwolenników, a z największym entuzjazmem odniosła się do nich partia laburzystowska (Partia Pracy).

Między wojnami laburzyści byli czołowymi orędownikami przestrzegania zasad poszanowania międzynarodowych praw w polityce zagranicznej i stawiali sobie za cel przekształcenie Ligi Narodów w zalążek ogólnoświatowego rządu. Do roku 1942 niewiele pozostało z tego idealizmu. Krach Wilsonowskich koncepcji w obliczu agresji nazistowskiej wywołał ostry zwrot na lewym skrzydle brytyjskiej sceny politycznej w kierunku odmiennego traktowania różnych nacji i nowego porządku świata zdominowanego przez mocarstwa koalicji antyhitlerowskiej. Laburzystowscy politycy uznali, że jeśli jakieś mniejszości etniczne stały na drodze do realizacji tej koncepcji, to należało je wyeliminować – poprzez całkowitą ich asymilację lub przymusowe wysiedlenia. Philip Noel-Baker i John Parker – a obydwaj po 1945 roku zajmowali stanowiska ministerialne – opowiadali się za zorganizowanymi przesiedleniami i uznawali je za niezbędny warunek utrzymania powojennego pokoju; wpływowy laburzystowski intelektualista Harold Laski wysuwał podobne argumenty[74]. Po rozpropagowaniu w dokumencie polityki międzynarodowej, jaką rząd laburzystów zamierzał prowadzić po wojnie, poglądy tego rodzaju stały się obowiązującą doktryną tej partii. Kierownictwo brytyjskiej Partii Pracy ostrzegało etnicznych Niemców, że jeśli sami nie opuszczą obcych ziem, to nie powinni się użalać, jeżeli zostaną do tego zmuszeni i zginą w trakcie tej akcji.

> „Mniejszości narodowe” w środkowej Europie, pozostające poza granicami własnych krajów, należy skłonić do powrotu do ojczyzn. W szczególności wszyscy Niemcy, którzy pozostaną poza powojennymi niemieckimi granicami, powinni wrócić do Niemiec,

> chyba że zechcą stać się lojalnymi poddanymi państwa, w którym się znajdą. W istocie taki powrót leży w ich interesie, gdyż, przynajmniej w początkowych latach powojennych, zapanuje w okupowanych [przez Rzeszę] krajach głęboka nienawiść do Niemców, z której ani my, ani Amerykanie nie możemy zdać sobie w pełni sprawy.
>
> Niemcy w wielu tych regionach mogą stanąć przed wyborem: migracja albo śmierć[75].

To zielone światło, zapalone przez jedną z czołowych brytyjskich partii politycznych wobec posłużenia się terrorem dla przemieszczenia społeczności etnicznych Niemców po wojnie, zostało potraktowane serio, o czym świadczyło przemówienie wygłoszone na dorocznej konferencji tejże partii dwa tygodnie po dniu zwycięstwa nad Niemcami przez Denisa Healeya, który niebawem został sekretarzem Partii Pracy do spraw międzynarodowych, a pełniąc tę funkcję, odgrywał kluczową rolę w kontaktach między ministerstwami gabinetu Clementa Attlee a środkowoeuropejskimi partiami socjalistycznymi. Brytyjska lewica, jak przyznawał, zapewne uzna za „radykalne” pewne poczynania lewicowych przywódców z kontynentalnej Europy, już podejmowane z myślą o powojennym wyrównaniu rachunków. Ale „jeśli ruch robotniczy w Europie uzna za nieodzowne zastosowanie […] ostrzejszych i drastyczniejszych środków wobec swoich przeciwników, niż my tu w kraju bylibyśmy skłonni tolerować, to trzeba okazać zrozumienie”[76]. Jednak te nawoływania do przesiedleń słyszane w kręgach laburzystów wykraczały poza typowy rewanżyzm.
W połowie lat czterdziestych coraz częściej uznawano je na lewicy nie tylko za metodę wprowadzenia zasad

sprawiedliwości społecznej, lecz także narzucenia socjalistycznego systemu. O ile tak masowy ruch polityczny miał z definicji zmienić socjoekonomiczne warunki w krajach, w których przejmował władzę, o tyle przy okazji mógł się okazać arcyważnym narzędziem wykorzeniania kapitalizmu i przecierania drogi ku gospodarce planowej, gdyż ta w innej sytuacji musiałaby czekać na jej wprowadzenie przez całe dziesięciolecia. Beneš rozumował podobnie, wskazując w grudniu 1943 roku w rozmowie z liderem Komunistycznej Partii Czechosłowacji Klementem Gottwaldem, że wysiedleniom będą towarzyszyły nadzorowane przez władze państwowe konfiskata i redystrybucja całego poniemieckiego mienia. „To będzie narodowa rewolucja – zapewniał Beneš – połączona z rewolucją społeczną. Za sprawą zajęcia niemieckiego majątku i eliminacji niemieckich cech narodowych otworzymy drogę ku radykalnym przemianom gospodarczym i społecznym na ziemiach czeskich”[77].

W opinii najbardziej skrajnych zwolenników takich metod przesiedlenia ludności miały stanowić panaceum na wszelkie kłopoty, które wynikły w rezultacie rozbieżnej ewolucji dziejowej „narodów” i „państw”. Wedle owego poglądu główną przyczyną niezgody na świecie była wspomniana dychotomia w sytuacji, gdy przedstawiciele danej nacji zamieszkiwali na obszarze obcego kraju. Po I wojnie światowej podjęto próby przesunięcia granic państwowych w celu dostosowania ich do geograficznego rozmieszczenia ludności należącej do różnych nacji. Przyniosło to jednak fiasko. Wymieszanie grup etnicznych, istnienie językowych enklaw i wysepek oraz brak dobrej woli zainteresowanych stron zniweczyły usilne starania ekspertów zebranych na paryskiej konferencji pokojowej, którym zależało na uczynieniu z „narodu” i „państwa”

synonimów. Wypracowane rezultaty nikogo nie zadowoliły. Obecność „obcych” elementów na obszarze wielu krajów prowokowała rządy w okresie międzywojennym do wprowadzania programów wynaradawiania tychże „obcych” i przymusowej polityki asymilacyjnej, która jeszcze bardziej wrogo usposabiała mniejszościowe populacje. Analogicznie niedole prześladowanych rodaków w sąsiednim państwie stanowiło dla „macierzy” nieustanną pokusę prowadzenia agresywnych wojen w celu – albo, jak w przypadku Hitlera, pod pretekstem – przyjścia z pomocą ziomkom uciskanym pod wrogim panowaniem. Przesiedlenia podsuwały sposób na przecięcie tego węzła gordyjskiego przez doprowadzenie do sytuacji, w której poszczególne nacje rządziłyby się same w granicach jednolitych pod względem narodowościowym państw. Po przeprowadzeniu operacji przesiedleńczej przeobrażony świat miał rozpocząć nowe życie, w warunkach nieporównywalnie lepszych od tych z okresu międzywojennego, a poszczególne kraje nie musiałyby już bronić się przed sąsiadami dążącymi do rewizji granic w imię zasady „narodowego samostanowienia”. Ale furtka, jaką wydawała się sposobność do rozwiązania raz na zawsze problemów, wynikających z trwającego od wieków europejskiego osadnictwa, była zaiste ledwie uchylona. I jak twierdziła brytyjska Partia Pracy, należało kuć żelazo póki gorące. Takie wielkie zmiany możliwe były tylko tuż po wielkiej wojnie. Jeśli nadarzająca się okazja nie zostanie w porę wykorzystana, wymieszane grupy ludności znowu „zapuszczą korzenie” i nie będzie ich można ruszyć.

> Zorganizowane przemieszczenie ludności w okresie bezpośrednio po wojnie faktycznie może stać się jedną z podstaw lepszych stosunków międzynarodowych

w późniejszej fazie. Nie będzie to zresztą bezprecedensowa akcja. W okresie między wojnami wymiana ludności pomiędzy Turcją a Grecją zakończyła się niewątpliwym sukcesem.

Tak czy owak staniemy przed kolosalnym problemem repatriacji i przesiedleń w Europie, kiedy dziesiątki milionów uchodźców, robotników przymusowych i jeńców wojennych odzyskają wolność i zaczną powracać do domów. W porównaniu z tym transfer nawet znacznych mniejszości narodowych, niemieckich czy innych, za powojenne granice będzie pomniejszą kwestią. Jednak gdy sytuacja stanie się tak płynna, nadarzy się wyjątkowa sposobność, która się nie powtórzy, do trwałego uporania się z tą palącą kwestią[78].

Nie znaczy to bynajmniej, że w krajach demokratycznych kiedykolwiek panowała jednomyślność w sprawie masowej wymiany i przesiedleń ludności. Nawet w brytyjskiej Partii Pracy niewielka, acz silna frakcja uważała argumenty na jej rzecz za zupełnie nieprzekonujące. Gazeta „Socialist Commentary” zwracała uwagę na sprzeczność wynikającą z równoczesnych dążeń do przywrócenia często sztucznie wytyczonych europejskich granic z 1939 roku, będących poniekąd skostniałym skutkiem zadawnionych sporów dynastycznych i historycznych wydarzeń. Co więcej, „po ustaleniu granic mają ustać wszelkie dyskusje na temat tego, czy ich przebieg w ogóle wykreślono prawidłowo”. We wspomnianej publikacji wskazywano, że bardziej stosowne dla partii, która uważa się za demokratyczną i internacjonalistyczną, jest „zapewnienie sprawiedliwości i swobody narodowym mniejszościom w kwestii wyboru miejsc do życia, a nie podtrzymywanie ohydnej

nazistowskiej praktyki przepędzania ludzi niczym bydła”[79]. Parlamentarzysta i przyszły minister George Strauss, choć sam był żydowskiego pochodzenia, na konferencji partyjnej w 1944 roku prosił o odrzucenie idei przesiedleń ludności, które, jego zdaniem, „karzą niewinnych razem z winnymi, szkodzą całej gospodarce europejskiej, doprowadzą do ponownego odrodzenia faszyzmu i wplączą nas w kolejną wojnę światową”[80]. Z kolei przedstawiciele prawicy, wierni swym podszytym przesłankami ideologicznymi skłonnościom do ostrożnego traktowania wszelkich gigantycznych państwowych projektów, które miały na celu radykalne rozwiązanie złożonych problemów, zareagowali chłodno na pierwsze publiczne deklaracje, świadczące o poważnym traktowaniu pomysłu deportacji. Londyńska gazeta „Economist” ostrzegała w tym samym miesiącu, w którym w „Foreign Affairs” ukazał się artykuł Beneša, że karanie Niemców po wojnie „musi się ograniczyć do winnych w sensie moralnym, a nie rasowym. Naziści wybrali swoje ofiary na podstawie przesłanek rasowych; sprzymierzeni nie powinni powielić tego błędu”[81]. W następnym roku, gdy zamiary Czechosłowaków i Polaków stawały się coraz bardziej oczywiste, przemówiono w ostrzejszym tonie. Jeśli, wbrew ustanowionym przez aliantów zasadom, „rozczłonkowanie, masowe przesiedlenia ludności, masakry i nieprzerwane uciskanie mniejszości ma być tym razem elementem powojennego ładu, to należy od razu stwierdzić jasno, że ani Wielka Brytania, ani Ameryka nie kiwną palcem po upływie 10 lat od chwili zawarcia pokoju, aby go utrzymać”[82].

Z zapewne najbardziej przenikliwą krytyką planów wysiedleńczych wystąpili w 1943 roku na łamach prasy Allan Fischer, nowozelandzki ekonomista, oraz David

Mitrany, błyskotliwy angielsko-rumuński politolog, który pracował jako doradca do spraw międzynarodowych zarówno dla MSZ, jak i dla brytyjskiej Partii Pracy. Obaj przekonywali, że twierdzenie, jakoby przesiedlenia były uzasadnione faktem wcześniejszego uciekania się do tej praktyki przez władze nazistowskie, sprawiały wrażenie osobliwego reedukowania Niemców „w czasie, kiedy nakłania się ich do wyparcia się Hitlera i wszystkich jego czynów". W każdym razie nie należało się spodziewać, by jakiekolwiek próby tworzenia jednolitych pod względem narodowościowym państw za pomocą deportacji obcych grup etnicznych mogły przynieść trwałe i pożądane skutki, o ile granic wspomnianych krajów w przyszłości nie zamknie się szczelnie przed obcokrajowcami.

> Najwyraźniej nie wystarczy zwyczajne utworzenie takich „czystych" państw. Je także, podobnie jak rasę, należałoby utrzymywać w czystości, a dla osiągnięcia zamierzonego celu projektowana polityka przesiedleń musi wiązać się z nieustanną polityką segregacyjną. Migracje lub wszelkie swobodne ruchy ludności musiałyby zostać zakazane, aby nie doprowadziły do stopniowego tworzenia się nowych, niepożądanych i wywołujących zadrażnienia mniejszości. Oznaczałoby to zatem powstrzymanie zwyczajowych, naturalnych ruchów ludności, korzystnych z perspektywy uwarunkowań ekonomicznych, a „nowy [powojenny] świat" zostałby zainaugurowany odebraniem dawnych swobód[83].

Fischer i Mitrany dalekowzrocznie przestrzegali, że zwolennicy przesiedleń, którzy doszli do głosu na Zachodzie, nie powinni żywić złudzeń, iż taki proceder nie zostanie z kolei zastosowany wobec nich samych. W Afryce,

Azji i na Bliskim Wschodzie także przecież mieszkały mniejszościowe społeczności Europejczyków. „Ich obecność i interesy zawsze służyły do uzasadniania interwencji podejmowanych w ich imieniu przez metropolie. Dlatego właśnie «rozwiązania» przyjęte w Europie w celu położenia kresu problemom z mniejszościami mogą już wkrótce posłużyć do «przemieszczenia» europejskich mniejszości [poza Europą] […] do ich ojczystych krajów".

Pomimo takich przekonujących argumentów przeciwnicy wysiedleń nie mieli wielkich nadziei na odwrócenie decyzji politycznych podjętych na najwyższym szczeblu. Począwszy od owego momentu Beneš, jak przyznał później we wspomnieniach, nie widział już powodu, dla którego miałby dalej ukrywać swe zamiary. Podczas ostatniego, jak miało się okazać, spotkania, jakie odbył pod koniec roku 1942 z Wenzlem Jakschem i innymi przywódcami uchodźców z grona Sudetendeutschów, poinformował ich bez ogródek, że uważa zdecydowaną większość Niemców sudeckich za przynajmniej „biernych zbrodniarzy wojennych", a jedyne rozwiązanie, które mógł zaakceptować, to „nasza całkowita separacja"[84]. Gdy jeden ze współpracowników Jakscha, Eugen de Witte, zaprotestował, że taka postawa oznaczała, iż „jeśli Hitler wygra tę wojnę, my, Niemcy sudeccy, znajdziemy się na straconej pozycji, a jeżeli zwyciężą Czechy, to również będzie to oznaczało dla nas przegraną", Beneš odparł, że los Sudetendeutschów jest faktycznie tragiczny, niemniej jednak nie można go zmienić. Ale czeski prezydent dodał też złowieszczo, że opierając się jego planom, Jaksch i inni niemieccy antyfaszyści z Sudetów mogli „niezupełnie jasno zdawać sobie sprawę, iż tym samym automatycznie brali na siebie pełną odpowiedzialność za to, co Niemcy wyrządzili nam jako narodowi podczas tej wojny"[85]. Miesiąc później,

w styczniu 1943 roku, Beneš przesłał Jakschowi długie memorandum, w którym oskarżał sudeckich socjaldemokratów o chowanie się za plecami Brytyjczyków, o prezentowanie nielojalności wobec Czechosłowacji przez nieustanne roszczenia do samostanowienia oraz o odmowę zaakceptowania faktu, że to wola większości w powojennej republice [czechosłowackiej] powinna decydować o rozstrzyganiu wszelkich kwestii związanych z przyszłością Czechosłowacji, w tym o przypuszczalnym przesiedleniu Niemców[86]. Zdaniem Jakscha ostatnie z tych żądań stawiało Niemców sudeckich w sytuacji bez wyjścia. Odrzucając je, sami spychali się na margines, przynajmniej z perspektywy czeskich władz emigracyjnych, jako zdrajcy państwa czechosłowackiego, narażając się tym samym na wypędzenie. Z kolei po przyjęciu go uznaliby prawa czeskiej większości do uprawomocnienia swojego wynarodowienia jako „biernych współwinnych zbrodni wojennych” – co przyniosłoby identyczny skutek.

Do początków 1943 roku rozwiały się zatem realne możliwości wypracowania kompromisu. Zgodnie z zapowiedzią złożoną Philipowi Nicholsowi Beneš zerwał wszelkie kontakty z antyfaszystowskimi Sudetendeutschami po tym, jak Jaksch odrzucił jego plan. Od tej pory czechosłowackie władze na uchodźstwie nasiliły coraz bardziej zjadliwą, a w końcu wręcz obsesyjną kampanię propagandową przeciwko Jakschowi i jego współpracownikom, nazywając ich „Wielkoniemcami” kierującymi się ku temu samemu celowi, który przyświecał Konradowi Henleinowi, a nawet samemu Hitlerowi – a mianowicie dążeniu do rozbicia Czechosłowacji. Na poparcie takiego twierdzenia przytaczano prymitywny sylogizm: Jaksch opowiadał się za autonomicznymi Sudetami w składzie powojennej federacji europejskiej;

federacja taka musiała nieuchronnie zostać zdominowana przez jej najsilniejszego członka, czyli Niemcy, a więc Jaksch chciał niemieckiego panowania w Sudetach. W charakterystycznie jadowitym tekście, z tych, które zapoczątkowały istny zalew populistycznych publikacji potępiających lidera Sudetendeutschów, pod koniec roku 1943 Hubert Ripka określał Jakscha, wcześniej „naszego dobrego przyjaciela”[87], nie tylko mianem dywersanta, ale także reakcjonisty:

> Godnym wzgardy dokonaniem tego niemieckiego socjalisty było i jest nasilanie niszczycielskiej roboty, podjętej i realizowanej przez nazistę Henleina. […] Nic zatem nie różni wcześniejszych poczynań Henleina i obecnych Jakscha. […] Oczywiście, istnieje pewna różnica między nazistą Henleinem a socjalistą Jakschem: ten pierwszy pragnie niemieckiej dominacji w ramach reżimu nazistowskiego, ten drugi reżimu socjalistów, ale obaj dążą do identycznego ostatecznego celu: pangermańskiego panowania nad innymi ludami. Henlein i jego poplecznicy należą do zwolenników hitlerowskiego europejskiego „nowego porządku”, natomiast Jaksch opowiada się za europejską federacją socjalistyczną, ale zorganizowaną w taki sposób, by socjalistyczne Niemcy były jej najsilniejszym elementem i w praktyce miałyby decydujące słowo, kierując wszystkimi innymi [narodami]. Nic dziwnego, że stronnicy takich socjalistycznych Wielkich Niemiec ledwie skrywają swą niechęć wobec Związku Radzieckiego i dezaprobatę dla przymierza czechosłowacko-radzieckiego[88].

Jak na ironię, po komunistycznym przewrocie w Czechosłowacji w 1948 roku Ripka – który rzadko

pozwalał sobie myśleć lub wypowiadać niezgodnie z refleksjami i słowami Beneša – po swojej kolejnej ucieczce z Czechosłowacji i zorganizowaniu następnego rządu na wygnaniu miał opowiedzieć się za „odrodzeniem wolnej Czechosłowacji «w ramach przyszłej federacji europejskiej»[89]. Jednakże w 1944 roku twierdził, że takie zamysły dawały podstawy do wymierzenia kary za zdradę stanu, oświadczając podczas obrad Rady Państwowej, że „z czechosłowackiego punktu widzenia działania Jakscha są antypaństwowe i jako takie muszą zostać osądzone z pełnymi konsekwencjami, jakie z tego wynikają”[90].

Kiedy więc wojna zaczęła powoli zbliżać się do końca, Jaksch miał w ręku coraz mniej kart atutowych, poza apelami do międzynarodowej opinii publicznej, które nie miały przynieść specjalnych rezultatów. Jego protesty dotyczące nastawienia emigracyjnego rządu Beneša wobec „starych sprzymierzeńców stojących u boku narodu czeskiego, gdy wszyscy przyjaciele go opuścili [w czasie konferencji w Monachium]” – ignorowano[91]. Broszura, wydana po angielsku w lipcu 1943 roku, w której wskazywano, że antyfaszyści w Sudetach raczej nie mieli powodu powstawać zbrojnie przeciwko Hitlerowi, skoro cowieczorne audycje BBC nadawane do Czechosłowacji przypominały im, że „po zwycięstwie nad nazizmem nastąpią nowe katastrofy wynikające z ewakuacji i przesiedleń”[92], zwróciły tylko uwagę na fakt, że jeśli opór wobec niemieckiej okupacji na ziemiach czeskich był minimalny, to w Sudetach właściwie nie istniał. Świadom tego, na początku 1945 roku Jaksch skontaktował się z Frankiem Robertsem, jednym ze swoich znajomych z brytyjskiego MSZ, starając się uzyskać zgodę na wyemitowanie na falach BBC ostatniej audycji skierowanej do jego ziomków. Choć, jak przyznawał, była ledwie

„minimalna szansa”, że taka próba ostrzeżenia mieszkańców Sudetów przed oczekującym ich losem się powiedzie, to jednak wciąż okaże się możliwe zapobieżenie najgorszemu po wojnie, „jeśli antyfaszystowski element w okręgach sudeckich […] mógłby, w decydującej chwili, zadziałać wspólne z masami ludności w głębi Czech”. Ostatecznie przecież w sierpniu 1944 roku słowaccy powstańcy wystąpili zbrojnie przeciwko nazistom, po pięciu latach ochoczej kolaboracji Słowacji z Berlinem, podczas której wojska słowackie wzięły symboliczny udział w agresji na Polskę i ZSRR, by nie wspomnieć już o czynnym asystowaniu w deportowaniu większości słowackich Żydów do hitlerowskich obozów zagłady. I choć wspomniane powstanie zakończyło się klęską, to wystarczyło, aby ustrzec Słowację przed widmem powojennego odwetu na ich kraju. Na początku 1945 roku jedyną nikłą nadzieją dla Sudetendeutschów wydawała się podobna, cokolwiek niewczesna demonstracja gotowości do wystąpienia po stronie aliantów. W tekście przemówienia do niemieckojęzycznej ludności Kraju Sudeckiego Jaksch nie ukrywał, co jej grozi, jeżeli tego nie uczynią:

> Tylko powszechny akt nieposłuszeństwa [wobec nazistów], od Asch [Aš] po Jägerndorf [Karniów], może was ocalić przed nadciągającą katastrofą. Los naszej ludności i naszej ojczystej ziemi wisi na włosku. W waszym imieniu Henlein, K.H. Frank, [Hans] Krebs, [Franz] May i ich wspólnicy popełniali mnóstwo zbrodni. […] Stoicie przed wyborem między postawieniem przed trybunałem ludowym za zbrodnie K.H. Franka w Pradze i Ernsta Kundta [gubernatora dystryktu radomskiego] w Polsce a zerwaniem z nimi w ostatniej chwili.

> Apelujemy do wszystkich przyzwoitych Niemców sudeckich, a przede wszystkim do ludzi z batalionów Volkssturmu [pospolitego ruszenia], ażeby za nic nie dali się wykorzystać jako narzędzie do zgniecenia czeskiego powstania zbrojnego. Jeśli dostaniecie rozkaz strzelania do czeskich bojowników o wolność, zwróćcie karabiny w przeciwną stronę. […] Wy, Niemcy z Protektoratu [Czech i Moraw], musicie się bardzo zmienić. Wszelkie dalsze poparcie dla nazistowskiego reżimu ściągnie nieuchronną katastrofę[93].

W Ministerstwie Spraw Zagranicznych obawy związane z tym wystąpieniem były odwrotne do tych żywionych przez Jakscha: nie tyle, że jego apel nie da efektu, ile że może odnieść skutek. Przyjętą przez czechosłowackie władze na uchodźstwie linią polityczną, jak jeden z brytyjskich dyplomatów przypominał swoim współpracownikom, było usunięcie większości Sudetendeutschów z ziem zamieszkanych przez tych Niemców. W reakcji na napływające z Wielkiej Brytanii wezwania do powstania przeciw nazistom Londyn miał tym samym ponosić „odpowiedzialność za tych Sudetczyków, którzy zareagują na taki apel. Takiej odpowiedzialności nie powinniśmy na siebie brać”[94]. W konsekwencji prośbę Jakscha o umożliwienie mu wygłoszenia przemówienia przez radio odrzucono. Do czasu, gdy wojna się skończyła, nie był w stanie podać choćby jednego konkretnego przykładu pomocy udzielonej przez Niemców sudeckich – czy choćby próby jej udzielenia – sprawie sprzymierzonych.

Edvard Beneš powrócił do Czechosłowacji 3 kwietnia 1945 roku w towarzystwie członków swojego rządu i zorganizował tymczasową siedzibę władz w nieco wcześniej wyzwolonych Koszycach na Słowacji. Mimo że

skrajnie silny stres związany z wydarzeniami poprzednich sześciu lat odbił się poważnie na jego zdrowiu, z satysfakcją przywoływał z pamięci to, co osiągnął od chwili, gdy znalazł się na emigracji. Z wyjątkiem niewielkiego skrawka terytorium Rusi Zakarpackiej, już wcześniej obiecanego Stalinowi w zamian za patronat, Czechosłowacja miała się odrodzić w granicach z 1938 roku. Chociaż Beneš stał na czele rządu niewyłonionego w wyniku wyborów, to na razie nikt nie zagrażał jego pozycji przywódcy kraju. Co więcej, problem mniejszości, który trapił Czechosłowację już pod momentu jej powstania, miał zostać rozwiązany raz na zawsze. Oczywiście, pewne trudności pozostały. Choć alianci zgodzili się na wysiedlenie Sudetendeutschów, to jeszcze nie zadeklarowali, kiedy i jak miałaby nastąpić ta operacja. I pozostawali głusi na jego ponawiane żądania, by przyzwolono na podobne potraktowanie 700-tysięcznej węgierskiej mniejszości w Czechosłowacji. Mimo wszystko perspektywa, że ludność tego państwa będzie się składała w przytłaczającej większości z Czechów i Słowaków, wydawała się nader realna. I było to w znacznej mierze zasługą Beneša. Naturalnie nie osiągnął tego samodzielnie. Sprzymierzeni nie po to przyjęli politykę masowych transferów ludności, ażeby zadowolić emigracyjnych polityków środkowoeuropejskich, wobec których wcześniej nie dotrzymali pewnych zobowiązań, lecz dlatego, że odpowiadało to ich interesom. Poza tym Beneš nie musiał narzucać tego pomysłu Czechom i Słowakom – ci sami się ku temu skłaniali. Aby do tego doszło, musiało wyniknąć wiele różnych, sprzyjających okoliczności. Gdyby wojna potrwała krócej lub nieco dłużej, gdyby to amerykańska 3. Armia Pattona, a nie Armia Czerwona wyzwoliła większość Czechosłowacji albo jeśliby wśród Niemców sudeckich działał silny antyfaszystowski ruch oporu, do wysiedleń

mogło wcale nie dojść pomimo najszczerszych chęci Beneša. Ale to właśnie on, jak słusznie stwierdził Chad Bryant, „nieprzerwanie forsował tę kwestię, a w ostatecznym rozrachunku uczynił wszystko co w jego mocy, dla wypędzenia Niemców z Czechosłowacji. Gdyby nie on, deportacje nie miałyby takiego przebiegu, o ile w ogóle do nich by doszło”[95].

Z kolei Wenzel Jaksch miał pozostać na wygnaniu. Jednym z pierwszych aktów prawnych wydanych przez rząd Beneša już w kraju był tak zwany wielki dekret, przewidujący ukaranie „nazistowskich zbrodniarzy, zdrajców i ich wspólników”. Czwarty punkt tego dekretu wprowadzał karę pozbawienia wolności do lat 20 za wszelkie czyny czechosłowackich obywateli przebywających zagranicą, które „osłabiały ruch wyzwoleńczy w Republice Czechosłowackiej w jej przedmonachijskiej konstytucyjnej formie i jedności lub którzy świadomie szkodzili interesom Republiki Czechosłowackiej”. Ten artykuł, na co zwrócił uwagę Benjamin Frommer, „wymierzony był głównie […] w Wenzla Jakscha” i miał na celu pozbawienie Sudetendeutschów „silnego obrońcy, który mógł wiarygodnie twierdzić, że nie wszyscy jego ziomkowie byli nazistami, a karanie powinno mieć charakter indywidualny, a nie zbiorowy”[96]. Jaksch dobrze wiedział, co czekało go po powrocie do kraju, gdyż już do tego czasu został publicznie ogłoszony winnym przez Huberta Ripkę, wówczas już ministra rządu czechosłowackiego, a jedną z pierwszych inicjatyw Ripki na tym nowym stanowisku było przesłanie amerykańskiego *chargé d’affaires* formalnej noty z ostrzeżeniem, że nowe władze „nie mogą uznawać za lojalnego obywatela nikogo, kto, choć przebywał na wolności zagranicą, nie działał w sposób właściwy, by stać się obywatelem czechosłowackim. Mam tu na myśli głównie

grupę tak zwanych Niemców sudeckich pod kierownictwem W. Jakscha”[97]. Wobec tego, że przyszłość Jakscha malowała się niepewnie, pozostał w Londynie, gdzie kontynuował energiczną kampanię i wiele pisał, ale pogrążał się coraz bardziej w rozpaczy pod wpływem tragedii, której nie był w stanie zapobiec.

Jednakże tak jak plany przesiedleńcze nie były dziełem jednego człowieka, tak samo nikt w pojedynkę nie mógł zahamować ich realizacji. Niewątpliwie niektóre z decyzji Jakscha z czasów wojny można po czasie krytykować. Jego rada, aby niemieccy uchodźcy z Sudetów wstępowali do wojska brytyjskiego, a nie do armii „Wolnych Czechosłowaków”, póki jeszcze przyszłość Kraju Sudeckiego pozostawała nierozstrzygnięta, nie przyniosła mu popularności wśród czeskich władz na uchodźstwie i okazała się poważnym błędem taktycznym, choć i takim, który na dłuższą metę nie miał decydującego znaczenia. Jaksch pomylił się też, co z triumfem wypomniał mu Beneš, sądząc, że Brytyjczycy przyjdą mu z pomocą. I wreszcie nie zdołał przewidzieć, jak długotrwała i krwawa będzie ta wojna oraz jak niewielką rolę odegrają tradycyjne koncepcje narodowego samostanowienia w kształtowaniu powojennego porządku światowego.

Jednak nie należy postrzegać tej sprawy w kategoriach pojedynku między Benešem a Jakschem, wygranego przez tego pierwszego. W ostatecznym rozrachunku alianci dali posłuch Benešowi i zignorowali Jakscha, ponieważ Beneš miał wpływ na naród, do którego przemawiał, a Jaksch nie. Do samego końca wojny Sudetendeutsche, czy to entuzjastyczni hitlerowcy, czy też bierni antyfaszyści, służyli Rzeszy, do której, we własnym mniemaniu, przynależeli. Pod tym względem nie odróżniali się od innych społeczności etnicznych Niemców, czyli Volksdeutschów,

w Polsce, na Węgrzech, w Jugosławii, w krajach bałtyckich i innych, gdzie, niezależnie od swoich poglądów politycznych, albo działali na rzecz Rzeszy, albo też nie zrobili nic, żeby się jej przeciwstawić.

Zarówno w opisywanym czasie, jak i obecnie obrońcy powojennych wysiedleń postrzegali i nadal upatrują w tym fakcie całkowite usprawiedliwienie przeprowadzonych deportacji ludności. W Czechosłowacji i gdzie indziej w krytycznym czasie Volksdeutsche okazali się bardziej lojalni wobec swoich ziomków – nawet najgorszych hitlerowców – niż w stosunku do państw, których obywatelami nominalnie byli. Da się zatem uzasadnić, że po wojnie musieli się pogodzić z logicznymi konsekwencjami takiego wyboru. Nawet jeśli przyniosło to niesprawiedliwe traktowanie oraz cierpienia tych, którzy byli mniej winni od innych, to nie należało oczekiwać od sąsiadów Niemiec, że będą w nieskończoność tolerować obecność potencjalnej „piątej kolumny" w swoich granicach. A skoro i tak zachodziła konieczność zniwelowania skutków wysiedleń, przeprowadzonych przez nazistów podczas wojny, to nie istniały poważniejsze przyczyny wyrzeczenia się gruntownej akcji przesiedleńczej bez obaw o zakłócenie codziennego bytowania tych narodów, których stanem alianci niezbyt się przejmowali.

Nie ma wątpliwości, że powojennych deportacji nie sposób oddzielić od wydarzeń z czasów wojny, które je poprzedziły. A jednak każdy z tych argumentów przemawiających za wysiedleniem Volksdeutschów bazował na fałszywych założeniach – pomijając nawet kwestie etyczne czy czysto prawne. I jeżeli stanowiłoby przesadę określanie etnicznych mniejszości niemieckich mianem bezradnych ofiar, to w Czechosłowacji i w innych krajach ogólny obraz akcji deportacyjnej jest o wiele bardziej

dwuznaczny, niźli sugerowałyby to konwencjonalne, z pozoru racjonalne uzasadnienia przeprowadzonych wysiedleń. Zaplanowana operacja przesiedleńcza nie miała na celu wyłącznie naprawy skutków wcześniejszych nazistowskich deportacji, lecz była demograficznym eksperymentem na skalę bezprecedensową w dziejach ludzkości. A to, czy Volksdeutschów należałoby uważać za wspólników hitlerowców, w stopniu mniejszym bądź większym – i czy w licznych przypadkach można ich było w ogóle uznawać za „Niemców” – stanowi pytanie, na które da się odpowiedzieć tylko za sprawą szczegółowego przebadania ich postawy w okresie wojny.

Przypisy

[1] „The Times”, 7 X 1938.

[2] H. Nicolson, *Peacemaking 1919*, Houghton Mifflin, Boston 1938, s. 279.

[3] Cyt. za: M.J. Heimann, *Czechoslovakia: The State that Failed*, Yale University Press, New Haven, CT 2009, s. 47.

[4] J.W. Bruegel, *Czechoslovakia Before Munich: The German Minority Problem and British Appeasement Policy*, Cambridge University Press, Cambridge 1973, s. 65.

[5] R. Jakobson, *Problems of Language in Masaryk’s Writings*, w: J. Novák (red.), *On Masaryk: Texts in English and German*, Rodipi, Amsterdam 1988, s. 72–73.

[6] R. Vansittart w: „Manchester Guardian”, 15 IV 1944.

[7] Por. J. Bradley, *Czechoslovakia: External Crisis and Internal Compromise*, w: D. Berg-Schlosser, J. Mitchell (red.), *Conditions of Democracy in Europe, 1919–39: Systematic Case Studies*, Palgrave Macmillan, Basingstoke, Hampshire 2000, zwł. s. 90–91.

[8] T. Zahra, *Kidnapped Souls: National Indifference and the Battle for Children in the Bohemian Lands, 1900–1948*, Cornell University Press, Ithaca, NY 2008, s. 107, 121.
[9] Z.A.B. Zeman, *Czechoslovakia Between the Wars: Democracy on Trial*, w: J. Morison (red.), *The Czech and Slovak Experience*, St Martin's Press, New York 1992, s. 165.
[10] T. Zahra, *op. cit.*, s. 112.
[11] Paryska gazeta „Le Matin", 26 XII 1926.
[12] Cyt. za: L. Rothkirchen, *The Jews of Bohemia and Moravia: Facing the Holocaust*, University of Nebraska Press, Lincoln, NE 2005, s. 161.
[13] Na temat szczegółowej analizy metod, za pomocą których upowszechniano taki obraz, por. A. Orzoff, *Battle for the Castle: The Myth of Czechoslovakia in Europe, 1914–1948*, Oxford University Press, Oxford 2009.
[14] *A German Bohemian Deputy, National Minorities in Europe: The German Minority in Czechoslovakia*, „Slavonic and East European Review" 1936, nr 41 (I), s. 297–298.
[15] M.J. Heimann, *op. cit.*, s. 73.
[16] U. Völklein, *„Mitleid war von niemand zu erwarten": Das Schicksal der deutschen Vertriebenen*, Droemer, München 2005, s. 10.
[17] Por. np. C. Boyer i in., *Die Sudetendeutsche Heimatfront (Partei), 1933–1938): Zur Bestimmung ihres politisch-ideologischen Standortes*, „Bohemia" 1997, nr 38/2, s. 357–385; R.M. Smelser, *The Sudeten Problem, 1933–1938:* Volkstumspolitik *and the Formulation of Nazi Foreign Policy*, Wesleyan University Press, Middletown, CT 1975.

[18] M. Cornwall, *„A Leap into Ice-Cold Water": The Manoeuvres of the Henlein Movement in Czechoslovakia, 1933–1938*, w: M. Cornwall, R.J.W. Evans (red.), *Czechoslovakia in a Nationalist and Fascist Europe 1918–1948*, Oxford University Press, Oxford 2007, s. 141.
[19] M.J. Heimann, *op. cit.*, s. 60.
[20] Por. I. Lukes, *Stalin and Czechoslovakia in 1938–39: An Autopsy of a Myth*, w: I. Lukes, E. Goldstein (red.), *The Munich Crisis, 1938: Prelude to World War II*, Cass, London 1999.
[21] P. Neville, *Hitler and Appeasement: The British Attempt to Prevent the Second World War*, Hambledon Continuum, London 2006, s. 117; tekst wystąpienia Churchilla, 339 *H.C. Deb. 5s.*, s. 364 (5 X 1938).
[22] 110 *H.L. Deb.* 5s., s. 1306 (3 X 1938).
[23] M.J. Heimann, *op. cit.*, s. 87.
[24] Cyt. za: Z.A.B. Zeman, A. Klimek, *The Life of Edvard Beneš, 1884–1948: Czechoslovakia in Peace and War*, Clarendon Press, Oxford 1997, s. 141.
[25] M. Hauner, *„We Must Push Eastwards!" – The Challenges and Dilemmas of President Beneš after Munich*, „Journal of Contemporary History" 2009, nr 44/4 (X) s. 619–656.
[26] E. Beneš, *Odsun Němců: Výbor z pamětí a projevů doplněný edičními přílohami*, Společnost Edvarda Beneše, Praha 1995, s. 12–13; E. Táborský, *Politics in Exile, 1939–1945*, w: V.S. Matamey, R. Luža (red.), *A History of the Czechoslovak Republic 1918–1948*, Princeton University Press, Princeton, NJ 1973, s. 332.
[27] M. Hauner, *Introduction*, w: E. Beneš, *The Fall and Rise of a Nation: Czechoslovakia 1938–1941*, M. Hauner (red.), East European Monographs, Boulder, CO 2004, s. xxiii–xxiv.

[28] F.D. Raška, *The Czechoslovak Exile Government in London*, Karolinum Press, Praha 2002, s. 46.
[29] Cyt. za: Z.A.B. Zeman, A. Klimek, *Life of Edvard Beneš*, s. 150.
[30] C. Bryant, *Prague in Black: Nazi Rule and Czech Nationalism*, Harvard University Press, Cambridge, MA 2007, s. 98, 102.
[31] Cyt. za: F.D. Raška, *op. cit.*, s. 44.
[32] Cyt. za: C. Bryant, *Prague in Black…*, s. 99.
[33] D. Reynolds, *Churchill and the British „Decision" to Fight on in 1940: Right Policy, Wrong Reasons*, w: R. Langhorne (red.), *Diplomacy and Intelligence During the Second World War: Essays in Honour of F.H. Hinsley*, Cambridge University Press, Cambridge 1985, s. 147–167.
[34] F.D.Raška, *op. cit.*, s. 40.
[35] *Ibid.*, s. 51.
[36] *Ibid.*, s. 98.
[37] E. Beneš, *The New Order in Europe*, „Nineteenth Century and After" 1941, IX, s. 154.
[38] E. Beneš, *The War of 1939: Two Addresses of the Czechoslovak President at the Edinburgh and the Glasgow University 5th and 7th November, 1941*, Společnost Edvarda Beneše, Praha 2005, s. 28.
[39] E. Beneš, *The Organization of Postwar Europe*, „Foreign Affairs" 1942, nr 20/2 (I), s. 237–238.
[40] Cyt. za: Z.A.B. Zeman, A. Klimek, *Life of Edvard Beneš*, s. 183.
[41] A. Orzoff, *op. cit.*, s. 206.
[42] R.J. Crampton, *Eastern Europe in the Twentieth Century and After*, Routledge, London 1997, s. 192–193.
[43] V. Mastny, *The Czechs Under Nazi Rule: The Failure of National Resistance, 1939–1942*, Columbia University Press, New York 1971, s. 215.

[44] Por. np., J. King, *Budweisers into Czechs and Germans: A Local History of Bohemian Politics, 1848–1948*, Princeton University Press, Princeton, NJ 2005, s. 187–188.

[45] Cyt. za: S.A. Garrett, *Conscience and Power: An Examination of Dirty Hands and Political Leadership*, Palgrave Macmillan, Basingstoke, Hampshire 1996, s. 99.

[46] K. Jackson, *Humphrey Jennings*, Picador, London 2004, s. 268–269; L. Leff, *Buried by the „Times”: The Holocaust and America's Most Important Newspaper*, Cambridge University Press, Cambridge 2005, s. 184.

[47] A.J. Kochavi, *Prelude to Nuremberg: Allied War Crimes Policy and the Question of Punishment*, University of North Carolina Press, Chapel Hill, NC 1998, s. 22–25.

[48] A.F. Noskova, *Migration of the Germans after the Second World War: Political and Psychological Aspects*, „Journal of Communist and Transition Politics” 2000, nr 16/1–2 (III), s. 98.

[49] Foreign Research and Press Service, „The Transfer of German Populations (with Notes on the Relevant Evidence from Previous Exchanges and Transfers)”, 13 II 1942, FO 371/30930, Public Records Office, Kew, London (dalej jako PRO).

[50] A. Eden, „Anglo-Czechoslovak Relations”, 2 VII 1942, cyt. za: D. Brandes, *Der Weg zur Vertreibung 1938–1945: Pläne und Entscheidungen zum „Transfer” der Deutschen aus der Tschechoslowakei und aus Polen*, Oldenbourg, München 2001, s. 168.

[51] F.K. Roberts do P.B. Nicholsa, 6 X 1942, FO 371/30835, cyt. za: R.J. Hoffmann, K. Heißig, M. Kittel (red.), *Odsun: Die Vertreibung der Sudetendeutschen: Dokumentation zu Ursachen, Planung und Realisierung einer ‚ethnischen*

Säuberung' in der Mitte Europas 1848/49–1945/46, Sudetendeutsches Institut, München 2010, t. II, s. 344.

[52] Nichols do Robertsa, 16 X 1942, FO 371/30835, cyt. za: *ibid*., s. 349.

[53] A.F. Noskova, *op. cit.*, s. 97–98.

[54] K. Cordell, *Ethnicity and Democratisation in the New Europe*, Routledge, London 1999, s. 170.

[55] Cyt. za: A.J. Prażmowska, *Civil War in Poland, 1942–1948*, Palgrave Macmillan, Basingstoke, Hampshire 2004, s. 169.

[56] N.M. Naimark, *Ethnic Cleansing Between War and Peace*, w: A. Weiner (red.), *Landscaping the Human Garden: Twentieth Century Population Management in a Comparative Framework,* Stanford University Press, Palo Alto, CA 2003, s. 230.

[57] Memorandum Rady Ministrów polskiego rządu na uchodźstwie, 27 IX 1944, w: P. Lippóczy, T. Walichnowski (red.), *Przesiedlenie ludności niemieckiej z Polski po II wojnie światowej w świetle dokumentów*, PWN, Warszawa 1982, s. 178.

[58] „New York Times", 10 VIII 1944.

[59] F.D. Raška, *op. cit.*, s. 103.

[60] *Ibid*., s. 107.

[61] Notatka Cadogana, 20 I 1925, FO 371/11070.

[62] P. Wilkinson, *Foreign Fields: The Story of an SOE Operative*, I.B. Tauris, London 1997, s. 58.

[63] P.J. Noel-Baker, *Two Years Ago... And Now*, „London Calling", 11 VII 1940.

[64] D. Brandes, „Otázka transferu... Ta je tady Kolumbovo vejce": Československí komunisté a vyhnání Němců, „Český Časopis Historický" 2005, nr 103/1, s. 89.

[65] E. Táborský, *President Edvard Beneš: Between East and West 1938–1948*, Hoover Institution Press, Palo Alto,

CA 1981, s. 161.

[66] Cyt. za: Z.A.B. Zeman, A. Klimek, *Life of Edvard Beneš*, s. 185

[67] F.D. Raška, *op. cit.*, s. 58.

[68] Cyt. za: M. Frank, *Expelling the Germans: British Opinion and Post-1945 Population Transfer in Context*, Oxford University Press, Oxford 2007, s. 50.

[69] Cyt. za: K. Kersten, *Forced Migration and the Transformation of Polish Society in the Postwar Period*, w: P. Ther, A. Siljak (red.), *Redrawing Nations: Ethnic Cleansing in East-Central Europe, 1944–1948*, Rowman & Littlefield, Lanham, MD 2001, s. 78.

[70] Tekst przemówienia Wellesa wygłoszonego na cmentarzu wojskowym w Arlington, w: „Life", 15 VI 1942; S. Welles, *The Time for Decision*, Harper, New York 1944, s. 355; S. Welles, *Where Are We Heading?,* Hutchinson, London 1947, s. 108.

[71] Cyt. za: C. Wrigley, *A.J.S. Taylor: Radical Historian of Europe*, I.B. Tauris, London 2006, s. 141.

[72] 126 *H.L. Deb.* 5s., s. 555–556 (10 III 1943).

[73] 130 *H.L. Deb.* 5s., s. 1116 (8 III 1944).

[74] Por. R.M. Douglas, *The Labour Party, Nationalism and Internationalism, 1939–1951*, Routledge, London 2004, s. 84–86.

[75] Labour Party; National Executive Committee, *The International Post-War Settlement: Report by the National Executive Committee of the Labour Party to be Presented to the Annual Conference to be Held in London from May 29th to June 2nd, 1944*, Co-Operative Printing Society, London 1944, s. 5.

[76] Labour Party; *Report of the Forty-Fourth Annual Conference of the Labour Party* (dalej jako 44 *LPCR*), Co-Operative Printing Society, London 1945, s. 114.

[77] Cyt. za: D. Brandes, *Edvard Beneš und die Pläne zur Vertreibung/Aussiedlung der Deutschen und Ungarn 1938–1945*, w: G. Zand, J. Holý (red.), *Transfer–Vertreibung–Aussiedlung im Kontext der tschechischen Literatur*, Aktion, Brno 2004, s. 21–22.
[78] *The International Post-War Settlement*, s. 5.
[79] *Labour and the Post-War Settlement*, artykuł wstępny w: „Socialist Commentary", VI 1944.
[80] 44 *LPCR* (1945), s. 135.
[81] „Economist", 17 I 1942.
[82] *Ibid*., 10 VII 1943.
[83] A.G.B. Fisher, D. Mitrany, *Some Notes on the Transfer of Populations*, „Political Quarterly" 1943, nr 14/4 (X–XII), s. 370.
[84] E. Beneš, *Memoirs of Dr Eduard Beneš: From Munich to New War and New Victory*, Houghton Mifflin, Boston, MA 1954, s. 219.
[85] E. Beneš, *Memoirs of Dr Eduard Beneš*..., s. 219–220.
[86] *Ibid*., s. 320–334.
[87] S. Grant Duff, *The Parting of Ways: A Personal Account of the Thirties*, Peter Owen, London 1982, s. 135.
[88] H. Ripka, *The Future of the Czechoslovak Germans*, Czechoslovak-British Friendship Club, London 1944, s. 13–15.
[89] „New York Times", 10 IX 1948.
[90] Cyt. za: H. Ripka, *op. cit*., s. 16.
[91] Jaksch do Beneša, 22 VI 1942, cyt. za: Beneš, *Memoirs of Dr Eduard Beneš*..., s. 307.
[92] W. Jaksch, *Can Industrial Peoples Be Transferred? The Future of the Sudeten Population*, Sudeten Social Democratic Party, London 1943, s. 10.
[93] Jaksch do Robertsa, 1 II 1945, FO 371/47083.
[94] Notatka F. Warnera, 2 II 1945, FO 371/47083.

[95] C. Bryant, *Prague in Black*…, s. 210.
[96] B. Frommer, *National Cleansing: Retribution Against Nazi Collaborators in Postwar Czechoslovakia*, Cambridge University Press, Cambridge 2005, s. 239.
[97] Ripka do R. Schoenfeida, 20 IV 1945, tajne archiwa ambasady USA w Czechosłowacji, 1945–1957, RG 84, 2378A, 350/54/13/03, t. IV, National Archives and Records Administration, College Park, Maryland.

ROZDZIAŁ 2

Volksdeutsche w latach wojny

Pod pewnym względem mówienie o „powojennych wysiedleniach” jest mylące. W rzeczywistości od początku II wojny światowej europejskie państwa totalitarne zaczęły przeprowadzać czystki etniczne na skalę niespotykaną wcześniej w historii. Zamysł przemieszczenia „niepożądanych” nacji na Starym Kontynencie – Żydów, Słowian, Romów i innych, by zrobić miejsce nowym niemieckim kolonistom – stanowił jeden z centralnych punktów upiornych rasowych rojeń Adolfa Hitlera. Nawet holokaust, gdy w końcu się zdecydowano na takie skrajne rozwiązanie, miał być zaledwie środkiem prowadzącym do tego głównego celu. Ale i inny dyktator – Józef Stalin – także miał nader ambitne plany przeobrażenia demograficznej mapy Europy. W trakcie dwóch lat ich wstydliwego partnerstwa w ramach paktu nazistowsko-sowieckiego obaj współpracowali ze sobą w tej kwestii.

Dla żadnego z nich nie było to zresztą nowe przedsięwzięcie. Zwłaszcza Stalin już wcześniej przesiedlał mogące sprawiać mu kłopoty mniejszości narodowe po całym swym rozległym imperium w ramach zbiorowych kar i dla zabezpieczenia wystawionych na ataki terenów nadgranicznych przez zasiedlanie ich przedstawicielami tych grup etnicznych, na których, jak uważał, mógł polegać bardziej – głównie Rosjanami i Gruzinami. Dodać wypada, że wewnętrzne przesiedlenia mniejszych nacji, które znalazły się w orbicie rosyjskiej dominacji, miały już w Rosji długą i haniebną historię, zanim jeszcze Stalin przejął władzę w ZSRR. Cesarz Aleksander II, jak na ironię nazywany „carem-wyzwolicielem”, przesiedlił prawie pół

miliona mieszkańców zachodnich regionów Kaukazu w latach 1863–1864 dla wzmocnienia południowych granic swego państwa. Jego wnuk Mikołaj II poszedł za jego przykładem w pierwszych miesiącach I wojny światowej, wywożąc w głąb Rosji etnicznych Niemców z centralnej Polski wraz z jeszcze większą liczbą polskich Żydów. Gdy po kontrofensywie Hindenburga front zaczął się w styczniu 1915 roku załamywać, główne kwatermistrzostwo armii rosyjskiej zintensyfikowało czystkę wśród potencjalnie nielojalnych poddanych caratu – Niemców, Austriaków i Węgrów oraz Turków – stosując nieskomplikowaną metodę: wysiedlanym dawano krótki czas na zabranie swojego dobytku, a następnie podpalano ich domy i spichlerze. Kiedy wysiedleńcy podążyli na wschód, bez pożywienia i wśród panującego chaosu, zaczęli masowo ginąć[1]. W regionach Azji Środkowej i na dalekim wschodzie imperium rosyjskiego z podobnych powodów usuwano Chińczyków, Koreańczyków i ludność muzułmańską z ich osiedli[2]. Jednak dopiero po rewolucji bolszewickiej wewnętrzne deportacje całych narodów stały się standardowym instrumentem polityki państwa radzieckiego.

Stalin zdobył już wcześniej doświadczenie w zakresie przymusowych przesiedleń, kiedy w 1920 roku jako komisarz do spraw narodowościowych wspomagał swego krajana z Gruzji Sergo Ordżonikidze w akcji „oczyszczania” północnych obszarów kaukaskich z Kozaków Tereckich[3]. W drugiej połowie lat trzydziestych wywózki ludności przeprowadzano w ZSRR na bezprecedensową skalę. „Między 1935 a 1938 rokiem – jak napisał Terry Martin – co najmniej dziewięć radzieckich nacji: Polaków, Niemców, Finów, Estończyków, Łotyszy, Koreańczyków, Chińczyków, Kurdów i Irańczyków poddano czystkom etnicznym”[4].

Większość tych akcji represyjnych wynikała ze szpiegomanii przywódcy sowieckiego i szukania „szkodników” w swoim państwie. Na przykład w 1937 roku aresztowano 11 868 etnicznych Niemców mieszkających w ZSRR jako podejrzanych o to, że byli nazistowskimi agentami; w następnym roku zatrzymano pod podobnymi zarzutami kolejnych 27 432[5]. Liczba radzieckich Polaków pozbawionych wolności za rzekome szpiegostwo była jeszcze większa. Większość z tych aresztowanych stracono; sowiecka milicja i NKWD programowo tępiły „wrogie” nacje. Łącznie w latach stalinowskiego „wielkiego terroru” około 800 tysięcy przedstawicieli narodowych mniejszości w ZSRR padło ofiarą egzekucji, aresztowań oraz deportacji – na ogół do środkowoazjatyckich republik Kazachstanu i Uzbekistanu, które zaczęły „konkurować” z Syberią jako dogodne obszary do wywózki ludzi uznawanych przez władze radzieckie za niepewnych.

Mimo że Hitler miał, w porównaniu ze swoim sowieckim odpowiednikiem, mniejsze możliwości masowych przesiedleń, to i on działał energicznie jeszcze przed wojną na rzecz przekształcenia Niemiec w państwo jednolite etnicznie i rasowo. Prześladowania Żydów od 1933 roku odzwierciedlały nieskrywane dążenia do zmuszenia ich do opuszczenia Rzeszy: w najmniej obcesowej formie sprowadzało się to do fizycznego wydalenia osób z podwójnym obywatelstwem przez granicę na terytorium któregoś z sąsiednich państw[6]. Kolejna fala wymuszonych migracji, tym razem pod międzynarodowymi auspicjami, nastąpiła w rezultacie porozumienia monachijskiego, które dawało etnicznym Czechom i Słowakom pół roku na wyprowadzkę z Kraju Sudeckiego (gdzie trafić mieli Niemcy z innych regionów Czechosłowacji) oraz doprowadziły do zorganizowania niemiecko-

czechosłowackiej komisji mającej „przeanalizować metody transferu ludności”[7]. Wiosną 1939 roku Niemcy zmusiły Litwę do przekazania Rzeszy zamieszkanego głównie przez Niemców Memellandu (okręgu Kłajpedy), choć i po tym wydarzeniu dziesiątki tysięcy Volksdeutschów pozostały w granicach państwa litewskiego. I wreszcie, na żądanie Mussoliniego, Heinrich Himmler rozpoczął w maju 1939 roku negocjacje z Włochami w sprawie przemieszczenia 200 tysięcy etnicznych Niemców z regionu Górnej Adygi (Alto Adige) we włoskich Alpach. Mimo podpisania z Hitlerem „paktu stalowego” w tym samym miesiącu Duce wyraźnie zdawał sobie sprawę, co się działo w tych krajach graniczących z Rzeszą, w których żyły niemieckie mniejszości. Po Anschlussie, czyli przyłączeniu Austrii do nazistowskiej Rzeszy w 1938 roku, Mussolini uznał za roztropne usunięcie pokusy w postaci etnicznych Niemców z Włoch z pola widzenia swego nowego partnera politycznego. Do lipca osiągnięto porozumienie w sprawie „dobrowolnego” wyjazdu niemieckojęzycznej ludności, choć do tego czasu nie została jeszcze podjęta decyzja, gdzie miała się ona osiedlić. Mimo że wspomniany pakt teoretycznie wymagał uzyskania zgody samych etnicznych Niemców w plebiscycie, to za przyzwolenie uznano deklarację, że każdy, kto decydował się na pozostanie, *ipso facto* zgadzał się na swoje przesiedlenie w miejsce pozostające pod panowaniem Włoch, a wyznaczone przez Mussoliniego. Jak głosiły pogłoski, celowo rozpowszechniane, aby skłonić niektórych z zainteresowanych do ujrzenia sprawy we właściwym świetle, miejscem tym miała być Abisynia[8].

Jednak dopiero wojna otwarła widoki na stworzenie etnicznie i rasowo „czystych” obszarów, co stanowiło zasadniczy cel nazistów. W ramach najbardziej wybujałego

i szaleńczego przejawu takich dążeń, którym był Generalplan Ost (plan generalny „Wschód”), nakreślony przez kierownictwo SS w latach 1939–1940, prawie 80 milionów ludzi ze środkowej i wschodniej Europy zamierzano zgładzić lub deportować w okresie około 30 lat, aby zrobić miejsce dla osadników i kolonistów z Niemiec oraz dla innych „nadających się do zgermanizowania” ludów w rodzaju Czechów czy cechujących się „aryjskością” Ukraińców[9]. Pierwsze kroki w tym kierunku podjęto już w tajnym protokole dołączonym do paktu nazistowsko-sowieckiego. W tym cynicznym dokumencie podpisanym przez hitlerowskiego ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribbentropa w Moskwie 13 sierpnia 1939 roku ustalono, że Stalinowi przypaść miała „sfera wpływów” obejmująca wschodnią połowę Polski, aż po linię Wisły, Narwi i Sanu, a zarazem potwierdzono niemiecką hegemonię na zachodnich ziemiach polskich. Sowieci zażądali również, co zostało spełnione, uznania swoich roszczeń do rumuńskiej Besarabii i Północnej Bukowiny oraz do leżących nad Bałtykiem Łotwy i Estonii. Litwa pozostać miała pierwotnie domeną niemiecką. Nie wspomniano o kwestiach niemieckich i radzieckich mniejszości w strefach wpływów Rzeszy i ZSRR, choć na pewno o tym nie zapomniano. Wschodnia Polska na razie niezbyt interesowała Hitlera – mieszkało tam zaledwie 128 tysięcy etnicznych Niemców wobec pół miliona tych, którzy żyli w części zachodniej – ale za to w krajach bałtyckich mieszkały zasiedziałe od stuleci niemieckojęzyczne społeczności. Alfred Rosenberg, urodzony w Estonii czołowy nazistowski ideolog i redaktor organu prasowego NSDAP, gazety „Völkischer Beobachter”, był tylko jednym z wielu ważnych partyjnych funkcjonariuszy wywodzących się z tego regionu. Oczywiście bałtyccy Niemcy nie mogli

pozostać u siebie. Stalin już wcześniej uważał, że niemieckie osiedla w ZSRR to wylęgarnia antysowieckich szpiegów, i raczej nie zawahałby się podjąć koniecznych jego zdaniem krwawych działań w celu likwidacji takiego zagrożenia. Z kolei Hitler, szykujący się do wojny z Polską pod pretekstem ochrony tamtejszej mniejszości niemieckiej, nie mógłby stać z założonymi rękami i przyglądać się, jak nowo pozyskani radzieccy sojusznicy wywożą jego ziomków do łagrów albo też ich likwidują.

Jednakże chwilowo naziści byli pochłonięci czymś innym. Rankiem 1 września 1939 roku niemieckie armie uderzyły na Polskę. Rzesza głosiła, że idą na odsiecz uciskanej ludności niemieckiej w zaatakowanym kraju. W ciągu poprzednich trzech tygodni nazistowska prasa rozpętała odgórnie histerię, rozpisując się o rzekomych cierpieniach niemieckiej mniejszości – zgodnie z dyrektywą ministra propagandy Josepha Goebbelsa z 11 sierpnia, iż „od teraz na pierwsze strony [gazet] powinny trafiać wiadomości i komentarze na temat polskich zbrodni na Volksdeutschach oraz wszelkiego rodzaju zajść świadczących o nienawiści Polaków do wszystkiego, co niemieckie”[10]. Nie każda z tych historii była wyssana z palca, choć większość miała groteskowo przesadny charakter. W okresie międzywojennym Polacy nie zasłynęli bynajmniej z poszanowania praw swoich mniejszości – żydowskiej, niemieckiej i ukraińskiej. Około 8 tysięcy Niemców internowano w 1919 roku na kilka miesięcy w byłych obozach jenieckich; większość etnicznych Niemców pozwalniano z państwowych posad, bojkoty niemieckich przedsiębiorstw były na porządku dziennym, a władze często zamykały niemieckie szkoły, stowarzyszenia i gazety, nierzadko pod wpływem nacisków ze strony patriotycznych organizacji dążących do pełnej polonizacji kraju

z zastosowaniem środków przymusu[11]. We wrześniu 1934 roku autorytarny reżim marszałka Piłsudskiego ogłosił, że nie czuje się już zobligowany do uznawania praw dotyczących ochrony mniejszości, narzuconych Polsce w 1919 roku przez Ligę Narodów[12]. Gdy nazistowska polityka w stosunku do Polski stała się zimą 1938–1939 roku coraz bardziej wojownicza i agresywna, władze w Warszawie postanowiły zdusić w zarodku to, co uznawały za obcą dywersję. W lutym 1939 roku zakazano wydawania niemieckojęzycznych gazet w Wielkopolsce i na Pomorzu, zabroniono uroczystego obchodzenia niemieckich świąt, a prawie 70 tysięcy członków mniejszości niemieckiej, których domy i gospodarstwa rolne były celem napaści polskiej większości, musiało uciekać przez granicę do Niemiec[13]. Jednakże prawdziwy cel niemieckiej inwazji na Polskę został wyłożony przez Hitlera w jego „drugiej księdze" – nieopublikowanej kontynuacji *Mein Kampf* – już w 1928 roku:

> [Narodowosocjalistyczne Niemcy] nie powinny pod żadnym pozorem anektować Polski z zamiarem uczynienia z nich [Polaków] pewnego dnia Niemców. Przeciwnie, trzeba wzbudzić w sobie determinację albo odcięcia się od tego obcego rasowo żywiołu […], albo też bez zbytniego hałasu usunąć ich [Polaków] i przekazać uzyskane w tej sposób ziemie naszym rodakom[14].

Nie chodziło więc wcale o „ratowanie" mniejszości niemieckiej pod polskimi rządami. Stanowili oni nie więcej niż 3 procent ludności przedwojennej Polski i od samego początku odgrywali rolę pionków w wielkich planach utworzenia nazistowskiego, jednolitego rasowo państwa i zdobycia *Lebensraumu* (przestrzeni życiowej) na

Wschodzie. Przewidywano, że po kilku latach od podboju tych ziem będą już tylko nieznacznym odsetkiem w zestawieniu z milionami osadników przybyłych z innych regionów. Jednakże naziści znowu uciekli się do improwizacji i nieprzemyślanych działań, gdyż Hitler od chwili dojścia do władzy nie zastanowił się poważnie, co właściwie uczynić ze zdobytymi terytoriami, poza wygnaniem z nich Polaków i polskich Żydów[15]. Jeszcze mniej uwagi poświęcono temu, skąd ściągnąć niemieckich kolonistów, jak ich przewieźć do nowych osiedli i jakiego rodzaju przygotowań logistycznych wymagało nakłonienie ich, aby tam pozostali.

Paradoksalnie niemiecka agresja rozpoczęta 1 września 1939 roku w istocie doprowadziła do aktów zemsty na przedstawicielach mniejszości narodowej, o których sterowana przez Goebbelsa prasa tak donośnie trąbiła, fabrykując bądź przynajmniej ubarwiając różne historie. Podobnie jak w innych krajach zagrożonych niemiecką inwazją w latach 1939–1940, w Polsce w pierwszych dniach wojennego chaosu panicznie bano się wrogich dywersantów. Pogłoski o działaniach piątej kolumny krążyły potem w Holandii, Belgii, Francji i Wielkiej Brytanii – plotki o niemieckich sabotażystach poprzebieranych za polskich żołnierzy lub zakonnice, o rolnikach, którzy wskazywali cele bombowcom Luftwaffe pługami albo kosami, wyorywując bądź wycinając na swoich polach dobrze widoczne z powietrza strzałki, o partyzantach strzelających do żołnierzy z domów lub przecinających druty telegraficzne – a po raz pierwszy zatoczyły szerokie kręgi w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku[16]. I w Polsce, i w innych krajach alianckich prawie wszystkie były wymysłem. Faktem jest, że pronazistowskie organizacje od dawna wiodły prym wśród niemieckiej mniejszości w Polsce. Na

przykład w lutym 1936 roku około stu członków mało znanego, powiązanego z nazistami ugrupowania o nazwie Nationalsozialistische Arbeitsbewegung osądzono w Katowicach za działalność wywrotową, skazując ich na sześć do 10 lat więzienia. Członkowie innej niemieckiej grupy politycznej, Wanderbundu, w tym samym roku dostali nieco łagodniejsze wyroki w Tarnowskich Górach. Ponadto istnieją pewne świadectwa wskazujące, że służba wywiadowcza Himmlera, Sicherheitsdienst (SD), rekrutowała przedstawicieli niemieckiej mniejszości do podziemnych bojówek już prawie na rok przed wybuchem wojny[17]. Nie wydaje się jednak, by większość Niemców z Polski zawczasu zapoznano w sekretnymi planami inwazji albo – z wyjątkiem skoordynowanych działań sabotażystów przeciwko polskim oddziałom w Katowicach – żeby odegrali oni poważniejszą rolę w ułatwieniu Wehrmachtowi prowadzenia ofensywy[18]. O tym wszak nie mogli wiedzieć ani przedstawiciele polskich władz, ani inni Polacy, których reakcja, choć zrozumiała, okazała się przesadnie ostra. Tuż po wybuchu wojny schwytano około 15 tysięcy podejrzanych Niemców, zmuszając ich do forsownego marszu ku obozom odosobnienia w głębi kraju. Jeden z tych deportowanych, ojciec Hilarius Breitinger, asystent biskupa pomocniczego diecezji gnieźnieńsko-poznańskiej doktora Walentego Dymka, zapisywał w dzienniku swoje przeżycia, które historyk Michael Phayer określił mianem „trzytygodniowej, niemalże śmiertelnej gehenny”:

> Breitingera, razem z większością świeckich Niemców, polscy strażnicy prowadzili kilometrami przez pola. Polacy obrzucali aresztantów obelgami i kamieniami, odpadkami i końskim łajnem i bili ich tym, co mieli pod ręką. Breitinger dostał w głowę cegłą, co, jak sądził,

> zabiłoby go, gdyby jego skroni nie chroniły oprawki okularów. Traktowano ich w taki sposób dzień i noc, nie dając im prawie nic do jedzenia lub picia. Starszych, którzy nie mogli dotrzymać kroku, mordowano. „Dla nas jasny był cel tego wszystkiego”, zapisał później Breitinger. „Uczyniono z nas zwierzynę łowną”[19].

Na zachodzie kraju, w Bydgoszczy, wypadki przybrały jeszcze bardziej tragiczny obrót. Trzy dni po niemieckiej napaści wycofująca się polska jednostka uznała, że została ostrzelana z zamieszkanego przez Niemców budynku i dlatego dokonała masakry przedstawicieli niemieckiej ludności cywilnej. W całym mieście dochodziło do podobnych wydarzeń. Liczba Niemców, którzy zginęli w ciągu następnych dwóch dni, podczas, jak to określili naziści, „bydgoskiej krwawej niedzieli”, oczywiście nadal stanowi przedmiot zaciekłych sporów pomiędzy niemieckimi i polskim historykami, tak jak kwestia, czy polscy żołnierze rzeczywiście zostali tam ostrzelani[20]. Nie ma wszak wątpliwości, że zginęło wielu niemieckich cywilów uznanych pomyłkowo za dywersantów w Bydgoszczy i innych miejscowościach. Przypuszczalnie około stu Niemców straciło życie podczas przymusowego marszu do Kutna; 34 innych stracono w Toruniu w związku z podejrzeniem, że dawali znaki przelatującym niemieckim samolotom[21]. Analogiczne, choć na ogół nie tak masowe incydenty, zdarzały się i w innych regionach kraju, a ich ofiarą często padali członkowie mniejszości etnicznych, Ukraińcy, Białorusini i Żydzi, których lojalność wobec państwa polskiego też uznawano za wątpliwą[22]. Ogółem na podstawie dochodzenia przeprowadzonego w 1940 roku przez niemiecką policję kryminalną (Kripo) ustalono, że

5437 cywilów, członków mniejszości niemieckiej, zabito w Polsce w trakcie pięciotygodniowej kampanii wrześniowej – chociaż, co charakterystyczne, Goebbels wyolbrzymił tę liczbę ponad dziesięciokrotnie na użytek opinii publicznej[23]. Nowsze analizy wskazują, że prawdopodobna liczba ofiar wynosiła około 4500 osób[24].

Mimo wszystko napaści na etnicznych Niemców podsunęły agresorowi *ex post facto* dogodne usprawiedliwienie uderzenia na Polskę. Podczas kolejnych tygodni zarówno niemieckie oddziały wojskowe, jak i przedstawiciele mniejszości zemścili się na Polakach, i to w sposób dużo bardziej krwawy. W Bydgoszczy miejscowi Niemcy wespół z oddziałami Wehrmachtu i SS ustalali rzekomych sprawców zajść, których rozstrzeliwano na miejscu. Na bezpośredni rozkaz Hitlera stracono około pięciuset Polaków z Bydgoszczy. Gestapo przeprowadziło obławę na podejrzanych w bydgoskiej dzielnicy Szwederowo (Schwedenhöhe), w której trakcie zabito około dwustu ludzi[25]. Podobnie działo się w innych miastach i miasteczkach. Poza tym w ciągu pierwszych tygodni po niemieckiej agresji Volksdeutsche w wieku od 16 do 45 lat masowo wstępowali do tak zwanego Selbstschutzu, czyli paramilitarnej „samoobrony", której bojówki wspomagały niemieckie bataliony policyjne odpowiedzialne za bezpieczeństwo w okupowanej przez Niemcy części Polski. Owe bojówki szybko ukazały swe mroczne oblicze, kiedy na przełomie września i października 1939 roku znalazły się pod rozkazami SS. Do tego czasu w formacjach Selbstschutzu tylko na obszarach zajętego polskiego Pomorza służyło już ponad 17 tysięcy ochotników. Tam i gdzie indziej odegrali ważną rolę w wydawaniu policji i SS podejrzanych Polaków oraz Żydów; pełnili straż w obozach internowania i pracy przymusowej, w których

przetrzymywano zatrzymanych, często w strasznych warunkach. Wkrótce też zaczęli pomagać Einsatzgruppen – esesmańskim szwadronom śmierci, obarczonym zadaniem likwidacji wrogów politycznych i rasowych na okupowanych ziemiach, które przeprowadzały masowe egzekucje Polaków i polskich Żydów[26]. Gdański Selbstschutz wziął niesławny udział w wymordowaniu 3 tysięcy pacjentów polskich szpitali psychiatrycznych; wiele innych ofiar zlikwidowano w pospiesznie pozakładanych obozach internowania. Ogółem oddziały owej „samoobrony" odpowiedzialne były za wymordowanie około 20 tysięcy ludzi w ciągu roku od niemieckiej inwazji; przyczyniły się też do umieszczenia dalszych 10 tysięcy ludzi w nowym obozie koncentracyjnym w Sztutowie (Stutthof). Ich kariera szybko jednak się zakończyła. Po przeprowadzeniu kampanii „pacyfikacyjnej" w Polsce Himmler uznał dalsze istnienie takich „samorzutnych" formacji za bezcelowe, a wobec zgniecenia przejawów polskiego oporu na terenach wcielonych bezpośrednio do Rzeszy zadecydował w sierpniu 1940 roku o rozwiązaniu Selbstschutzu[27].

Do tego czasu naziści zajęli się znaczniej ambitniejszym zadaniem przeobrażenia etnicznego charakteru niedawno podbitych obszarów. Sprawa ta stała się tym pilniejsza, gdy Związek Radziecki, zgodnie z postanowieniami tajnego protokołu dołączonego do paktu Ribbentrop–Mołotow 17 września uderzył na Polskę ze wschodu – jak na ironię, posługując się tym samym pretekstem, co Niemcy, tyle tylko, że Stalin oskarżył Warszawę o prześladowania mniejszości białoruskiej i ukraińskiej. Gdy ZSRR przystąpił do usuwania siłą ćwierci miliona Polaków z ziem, które miały się stać zachodnimi obszarami socjalistycznych republik radzieckich – ukraińskiej i białoruskiej[28] –

Niemcy zastosowali podobne rozwiązanie. Rozważając i zarzucając ostatecznie pomysł pozostawienia okrojonego państwa polskiego na użytek tej części opinii krajów Zachodu, która nadal chciała porozumienia z Rzeszą, Hitler postanowił podzielić zajętą przez siebie część Polski. Mniej więcej połowa tych ziem została wcielona bezpośrednio do Rzeszy jako dwa nowe *Gaue* (dystrykty czy też okręgi) – gdańsko-zachodniopruski i „Kraju Warty" (Warthegau). Reszta – fragment centralnej Polski o powierzchni około 100 tysięcy kilometrów kwadratowych, z Warszawą i Krakowem, nazwany przez nazistów Generalnym Gubernatorstwem – miała się stać demograficznym śmietniskiem dla tych mieszkańców zaanektowanych dzielnic, których uznano za nienadających się do zgermanizowania.

Kwestie nabytków w postaci „przyłączonych terytoriów wschodnich", jak określano nowe *Reichsgaue*, oraz problem populacji Volksdeutschów w orbicie sowieckich wpływów były ze sobą ściśle powiązane. W tydzień po uderzeniu ZSRR na Polskę Stalin oficjalnie powiadomił Hitlera, że zamierza odebrać swoją nagrodę w postaci Łotwy i Estonii. Dwudziestego ósmego września, czyli w dniu kapitulacji Warszawy, Berlin i Moskwa zawarły nowe tajne porozumienie, na którego mocy Litwa, zamieszkana przez liczną niemiecką mniejszość, znaleźć się miała w radzieckiej strefie wpływów w zamian za przekazanie Niemcom Lubelszczyzny i wschodniego Mazowsza, które zgodnie z zawartym miesiąc wcześniej układem przypaść miały ZSRR. Dla Hitlera ewakuacja niemieckiej populacji z krajów bałtyckich stała się kwestią nader pilną, gdyż Stalin dawał do zrozumienia, że się niecierpliwi. Inkorporacja Wielkopolski i Pomorza Gdańskiego do Rzeszy pozwoliła Hitlerowi upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Żydzi i niepodatni pod względem rasowym na asymilację Polacy mieli zostać przymusowo wysiedleni do Generalnego Gubernatorstwa. Ich domy, gospodarstwa rolne i przedsiębiorstwa przypaść miały z kolei bałtyckim Niemcom, których nie trzeba było specjalnie namawiać do przenosin na nowo nabyte obszary: lęk przed Sowietami robił swoje. Rozwiązania tego rodzaju – proste, symetryczne i brutalne – najbardziej odpowiadały Hitlerowi.

Nie zostały one przyjęte z uznaniem przez wielu Volksdeutschów. W programowym przemówieniu wygłoszonym w Reichstagu na zakończenie polskiej kampanii Hitler obwieścił 6 października, że „nowemu uporządkowaniu warunków etnograficznych" towarzyszyć miało „przesiedlenie narodowości w taki sposób […] ażeby usunąć przynajmniej część źródeł europejskiego konfliktu". Wyjawił, że Niemcy i ZSRR już uzgodniły taki transfer ludności. Tak więc przedstawiony został światu program *Heim ins Reich* („powrotu do Rzeszy"). Projekt ten przeraził licznych etnicznych Niemców, gdyż w przypadku większości z nich entuzjazm dla nazizmu wynikał z oczekiwań, że nastąpi powiększenie obszaru Rzeszy, tak jak przy aneksji Austrii, Kraju Sudeckiego czy Pomorza Gdańskiego, i sami znajdą się w jej granicach. Perspektywa pozostawienia domów i niepewnego losu nawet nie w samych Niemczech, tylko we względnie niezamożnych regionach zachodniej Polski była dużo mniej atrakcyjna. Tak więc tym razem wielu Volksdeutschów bynajmniej nie zareagowało z entuzjazmem na wystąpienie Führera, a ogłoszenie planu *Heim ins Reich* przyjęli oni z poczuciem głębokiego zawodu.

Ich rozczarowanie byłoby jeszcze większe, gdyby wiedzieli, jak nikłe przygotowania poczyniono do tego, co

miało być drugą z największych dotychczas akcji przesiedleńczych w dziejach – i to taką, która winna zostać przeprowadzona w ciągu tygodni, nie zaś lat. Dopiero następnego przedpołudnia po przemówieniu Hitlera w Reichstagu Himmler został obarczony zadaniem nadzoru nad „powrotem” etnicznych Niemców z zagranicy, „eliminacją szkodliwych obcych elementów” na podbitych obszarach i kolonizacją tych ziem. Zorganizowawszy agencję opatrzoną szumną nazwą Komisariatu Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny (RKFDV), Himmler bezzwłocznie zajął się przejmowaniem kontroli nad konkurencyjną organizacją zajmującą się etnicznymi Niemcami – VoMi, czyli Głównym Urzędem Kolonizacyjnym. Od owego czasu SS miało odgrywać główną rolę w rozmieszczeniu ludności w środkowej i wschodniej Europie, aby uczynić z tego regionu aryjski „raj” – jak to nader optymistycznie określił Hitler.

Od samego początku piętrzyły się trudności. Realizacja tak gigantycznego zamierzenia byłaby bardzo trudna nawet w normalnych warunkach i od razu stało się oczywiste, że ani Himmler, ani ktokolwiek inny nawet nie miał pojęcia, jak coś takiego przeprowadzić podczas trwającej wojny. Na porządku dziennym było bezładne improwizowanie, a naziści na ogół nie umieli sobie poradzić z jakimkolwiek problemem związanym z masowymi przesiedleniami, którego nie dało się rozwiązać za pomocą masowych mordów, zbiorowych egzekucji czy innych rozwiązań podsuwanych przez szaleńcze teorie rasistowskie.

Wspomniane trudności nasiliły się jeszcze wraz z napływem pierwszej fali repatriantów z krajów bałtyckich. Niezbyt się przejmowano sytuacją rządów owych państw; porozumienie w sprawie transferu 16 tysięcy Volksdeutschów z Estonii zostało podpisane 15

października, a już tydzień później rozpoczęła się akcja przesiedleńcza. Pierwszy statek wyznaczony do przewozu 50 tysięcy łotewskich Niemców zawinął do portu 9 października, na trzy tygodnie przed sfinalizowaniem negocjacji w rządem w Rydze. Państwa bałtyckie odgrywały się za taką obcesowość, twardo targując się z Berlinem o pieniądze. Korzystając w pełni ze skrajnie krótkiego okresu przewidzianego na przemieszczenie ludności – w estońskim protokole wyszczególniono, że miało to potrwać do 15 grudnia – dwa kraje bałtyckie, Łotwa i Estonia, zagarnęły poniemiecki majątek za kwotę stanowiącą drobny ułamek ich rzeczywistej wartości. Estońskim Niemcom zezwolono na zabranie ze sobą równowartości tylko 20 dolarów w lokalnej walucie oraz mebli i domowych przyborów; wszystko pozostałe, w tym nieruchomości, należało przekazać w zarząd niemieckiego trustu przesiedleńczego w Tallinie, zajmującego się spieniężaniem tych majątków i następnie przekazywaniem zgromadzonych w ten sposób funduszy na nowe domostwa dla przesiedlanych Deutschbalten (Niemców bałtyckich). Dwustronna komisja rozstrzygała spory dotyczące własności i wycen. Ostatecznie nieustępliwość estońskich władz zmusiła przesiedleńczy trust do wyprzedaży poniemieckiej ziemi dosłownie za grosze. Rząd łotewski wykazał się jeszcze większą chciwością. Nie więcej niż 10 dolarów w łotewskiej walucie można było wywieźć z kraju; zabroniono wywożenia wyrobów z metali szlachetnych i biżuterii, należało także pozostawić wszelki sprzęt służący do produkcji poza narzędziami ręcznymi. Władze łotewskie przejmowały opuszczane przez Niemców ziemie i osiedlały na nich Łotyszy w zamian za obietnicę dostarczania płodów rolnych i innych dóbr do Niemiec – i jeszcze bardziej niż estońscy sąsiedzi zmuszały właścicieli do sprzedawania

wszystkiego po minimalnych cenach[29]. Kpiono, że skrót UTAG, stanowiący nazwę łotewskiego odpowiednika niemieckiego trustu przesiedleńczego, oznaczał Untergang Tausender Arischer Geschlechter, czyli „rujnowanie tysięcy [osób] aryjskiego pochodzenia". Joseph Schechtman oszacował, że władze estońskie i łotewskie zapłaciły łącznie zaledwie równowartość 16 milionów dolarów (wartości tej sumy w 1939 roku) za nabyte niemieckie majątki[30]. Jednak naziści nie mieli zamiaru kłócić się o drobiazgi. Wszelkie kwoty uzyskane z tych transakcji, nawet mizerne, uważano za zysk, wobec pewności, że Stalin niebawem zajmie oba te kraje i unieważni wszystkie wcześniejsze porozumienia podpisane z ich rządami – i tak też się stało w czerwcu 1940 roku.

Podobne targi, prowadzone jednak bezpośrednio przez władze w Berlinie i Moskwie, dotyczyły „powrotu" 128 tysięcy Volksdeutschów żyjących na polskich ziemiach włączonych do ZSRR na mocy paktu nazistowsko-radzieckiego – chodziło głównie o Niemców wołyńskich i galicyjskich z obszarów, które przed wojną graniczyły z Ukrainą. Ich majątki, o wartości oszacowanej na 1,6 miliarda ówczesnych dolarów, przekazano Sowietom w zamian za odpowiednie ilości ropy naftowej i żywności, które miały być dostarczone do Rzeszy. Tymczasem po „plebiscycie" w Górnej Adydze Himmler ostatecznie dogadał się z Mussolinim w sprawie przesiedlenia Niemców z Tyrolu Południowego do 31 grudnia 1942 roku. Już wyznaczył dla nich tereny w Beskidach na południu Polski, gdzie, jak uważano, panowały warunki geograficzne i klimatyczne zbliżone do tych w Tyrolu.

Proces przemieszczania tych grup ludności w czasie wojennym był wyjątkowo chaotyczny. Z wielkimi trudnościami udało się ewakuować 50 tysięcy osób

statkami wycieczkowymi organizacji Kraft durch Freude do 15 listopada 1939 roku. Mimo to 3500 estońskich i ponad 12 tysięcy łotewskich Deutschebalten – często z mieszanych małżeństw – pozostało na miejscu, a zamiast nich wyjechały osoby niemające żadnego związku z Niemcami, które za sprawą łapówek lub znajomości weszły w posiadanie dokumentów zaświadczających o niemieckości i uciekały przed Stalinem. Choć znaczną liczbę „powracających" przywożono pociągami, to wielu tych z Wołynia, Galicji i innych regionów centralnej i wschodniej Polski musiało podążać na zaprzężonych w konie wozach, wlokąc za sobą bydło. Taka wyprawa na zachód w środku zimy była straszliwie wyczerpująca, a przerażał i rozwścieczał brak zorganizowanej pomocy ze strony władz Rzeszy. „Zazwyczaj nic nie przebiegało gładko", wspominał jeden z zawiedzionych przesiedleńców[31]. Mimo to ów exodus Volksdeutschów urósł do rangi mitu za sprawą zainicjowanej przez Himmlera akcji propagandowej przedstawiającej ich jako twardych osadników podążających na zachód ku nowym przygranicznym terenom. Jak określił to jeden z pełnych podziwu kronikarzy tej tułaczki, ci osadnicy byli nowożytnymi odpowiednikami germańskich plemion, które w IV i V wieku n.e. zadały ostateczny cios chylącemu się ku upadkowi i przegniłemu Cesarstwu Rzymskiemu. Uczestnicy owej dwudziestowiecznej *Völkerwanderung* (wędrówki ludów) „wypełniali nową misję, wyznaczoną im przez Rzeszę, aby wreszcie zniemczyć niemiecki Wschód"[32].

Ale właśnie to okazało się problemem. Zdolności państwa nazistowskiego do przemieszczania mas ludności migrujących z własnej woli lub pod przymusem z powodu wydawanych w ostatniej chwili nakazów, znacznie przewyższały możliwości zapewniania przesiedleńcom

nowych domostw i osiedli. Jedną z wczesnych zapowiedzi nowych metod było wymordowanie pacjentów szpitali psychiatrycznych w Gdyni, Szczecinie i Świnoujściu w ramach nazistowskiego programu eutanazyjnego „T-4” w celu zapewnienia tymczasowego lokum niektórym z przybywających do Rzeszy bałtyckich Niemców. W sumie w związku z opisywaną akcją przesiedleńczą zagazowano lub rozstrzelano około 10 tysięcy Polaków. Takie połączenie podejmowanych pospiesznie chaotycznych kroków i nieskrępowanego okrucieństwa miało cechować program osiedlania Volksdeutschów w ciągu kolejnych lat. Wedle początkowych założeń RKFDV, prawie tak samo uproszczonych jak te snute przez Hitlera, „przesiedlanie” miało polegać po prostu na wypędzaniu albo mordowaniu Polaków i Żydów oraz przejmowaniu ich własności – bez zbytniego zawracania sobie głowy kosztami administracyjnymi – przez nowo przybyłych. Rzeczywistość miała się okazać o wiele bardziej złożona.

Wywłaszczanie *Untermenschen* („podludzi”), zapoczątkowane przez Göringa, który powołał do istnienia Haupttreuhandstelle Ost (Główny Urząd Powierniczy „Wschód”) dla konfiskaty żydowskiego i polskiego mienia na podbitych terytoriach i rozdawania go osadnikom, było dużo trudniejszym zadaniem, niż się spodziewano. Nieprzewidzianą komplikację stanowiło to, że do przekazania było mniej nieruchomości, niż wcześniej uważano. Z 102 800 kilometrów kwadratowych ziem wcielonych bezpośrednio do Rzeszy na wschodnich jej rubieżach trzy czwarte należało do Niemiec przed 1914 rokiem. Po podboju nastąpił zatem istny zalew roszczeń zgłaszanych przez byłych właścicieli, którzy wcześniej musieli pod przymusem zrzec się swoich posiadłości lub odsprzedawać je po minimalnych cenach przedwojennemu

państwu polskiemu – a teraz domagali się ich z powrotem i to wraz z rekompensatami[33].

A jednak główną przeszkodą okazała się toksyczna mieszanka biurokratycznych sporów, przepychanek w rozmaitych instytucjach, wprowadzanych na ostatnią chwilę zmian w planach oraz sprzecznych celów, które paraliżowały niemal wszystkie większe inicjatywy podejmowane w państwie nazistowskim. Początkowo Himmler i RKFDV – przy pomocy Reinharda Heydricha i Adolfa Eichmana, którzy później zyskali ponury rozgłos na całym świecie w związku z jeszcze bardziej ambitnym programem demograficznej inżynierii – przystąpili do oczyszczania dwóch nowych *Gaue* na wschodzie Rzeszy z „nadmiaru" ludności polskiej i żydowskiej. W operacji tej szybko jednak wystąpiły opóźnienia – po pierwsze z powodu niespodziewanej opieszałości urzędników przeprowadzających konfiskaty, a po wtóre ze względu na przeszkody czynione przez dwóch zainteresowanych gauleiterów (namiestników), Arthura Greisera z Kraju Warty i Alberta Forstera z okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie. Obydwaj się nie znosili; obaj dążyli do tego, by to w ich okręgach proces germanizacji odbył się w pierwszej kolejności. Bardzo odmienne drogi, jakimi podążali do tego celu, okazały się równie niekorzystne dla wdrażania programu osiedlania Volksdeutschów. Greiser, bezwzględnie lojalny wobec Himmlera Oberguppenführer SS wyznający obłędne teorie rasowe, proponował uporanie się z tym problemem w sposób bardziej zorganizowany, powołując specjalistów z Głównego Urzędu SS do spraw Rasy i Przesiedleń, aby osobiście oceniali pod względem rasowym wszystkich nie-Niemców w jego okręgu i decydowali, kto może pozostać, a kogo należy wysiedlić do Generalnego Gubernatorstwa. (Żydzi, z założenia

niepodlegający asymilacji, mieli być bezzwłocznie wywłaszczani i deportowani). Do tego zadania można było wyznaczyć jednak tylko kilkuset takich specjalistów, a bagaż obowiązków szybko ich przytłoczył. Z kolei Albert Forster, urodzony organizator wywodzący się z partii nazistowskiej, którego relacje z Himmlerem i SS pogarszały się z dnia na dzień, szukał efektywniejszego rozwiązania. Przekonany, że w żyłach większości mieszkańców jego okręgu płynie przynajmniej nieco niemieckiej krwi, a przed 1939 rokiem część z nich została sprowadzona na złą drogę pod wpływem „polonizacji", Forster polecił swoim urzędnikom namawiać tamtejszych Polaków do wstępowania w poczet „etnicznych Niemców". Chętnych nie zabrakło, gdyż alternatywą była deportacja do Generalnego Gubernatorstwa. Nieznajomość języka niemieckiego nie stanowiła przeszkody, podobnie jak formalny wymóg wskazywania na odległych niemieckich krewnych. Jak rezolutnie objaśnił sam namiestnik: „Nie bylibyśmy narodowymi socjalistami, gdybyśmy nie żywili niezachwianej wiary w to, że uda nam się uczynić z ludzi z niemiecką krwią gorliwych Niemców za sprawą naszego przywództwa i edukacji"[34]. Takie podejście do zadania germanizacji kusiło Forstera nie tylko ze względu na prostotę tego rozwiązania, lecz – jak się zdaje – przede wszystkim dlatego, że SS i przybudówki tej organizacji zajmujące się kwestiami rasowymi nie mogły ingerować w sprawy okręgu gdańsko-zachodniopruskiego. Jednak z perspektywy agencji obarczonych misją nadzorowania akcji przesiedlania Volksdeutschów żadne z opisanych dwóch rozwiązań nie było w najmniejszym nawet stopniu zadowalające. Przyjęta przez Greisera metoda skrupulatnych badań cech rasowych wiązała się z tym, że Polaków wysiedlano na wschód, robiąc miejsce

dla napływających niemieckich osadników, nadzwyczaj opieszale; z kolei to, że Forster jednym pociągnięciem pióra czynił Niemców z Polaków oznaczało, iż tych ostatnich wcale nie można było usunąć.

Skutki były łatwe do przewidzenia. Zimą 1939–1940 roku masowy napływ kolonistów, dla których na włączonych do Rzeszy terytoriach wschodnich jeszcze nie przygotowano miejsca, zmusił RKFDV do zakwaterowania 150 tysięcy z nich w prowizorycznych obozach w Sudetach, Saksonii, na Pomorzu i w Wielkopolsce. Spóźnione starania na rzecz pozyskania nowych miejsc zamieszkania doprowadziły do jeszcze większego chaosu. Na przykład na początku listopada z Generalnego Gubernatorstwa wydzielono Łódź, włączając ją do Warthegau, aby zapewnić odpowiednie miejsca pobytu nawykłym do życia miejskiego Niemcom bałtyckim. Ale w Łodzi żyło wielu Żydów i natychmiastowym efektem takiego manewru administracyjnego okazało się znaczne zwiększenie liczby osób, które trzeba było deportować do Generalnego Gubernatorstwa, co stanowiło z kolei dodatkowe brzemię dla już bardzo przeciążonego transportu. Dlatego, mimo że Heydrich w grudniu mianował Eichmanna swoim specjalnym pełnomocnikiem do spraw „oczyszczenia” przyłączonych prowincji, realizacja programu coraz bardziej się opóźniała. Do 17 grudnia wywieziono na wschód tylko 87 838 Polaków i Żydów, a we wspomnianym dniu zaszła konieczność zawieszenia tej operacji, ponieważ tabor kolejowy był potrzebny do przewozu wołyńskich i galicyjskich Niemców z zajętej przez Sowietów części Polski. Wysiedlenia na wielką skalę zostały wznowione dopiero w kwietniu 1940 roku; mimo to do początków 1941 roku udało się przesiedlić zaledwie 133 tysiące z zaplanowanych 600 tysięcy ludzi, a potem przygotowania

logistyczne do operacji „Barbarossa”, czyli uderzenia na ZSRR, ponownie wstrzymały prowadzone czystki.

Poza tym nie uczyniono nic dla nadrobienia zaległości w tym zakresie. Przeciwnie, liczba miejsc i osiedli potrzebnych do pomieszczenia nowych uczestników programu *Heim ins Reich* wzrosła gwałtownie latem 1940 roku. W czerwcu wchłonięcie przez Związek Radziecki trzech krajów bałtyckich wymusiło kolejny pospieszny exodus około 12 tysięcy pozostałych tam jeszcze etnicznych Niemców z Estonii i Łotwy oraz 48 tysięcy kolejnych z Litwy[35]. W świetle porozumień tzw. drugiego arbitrażu wiedeńskiego, podpisanego dwa miesiące później, na którego mocy Hitler zmusił Rumunię do scedowania północnych rejonów Siedmiogrodu Węgrom – do tego czasu kraju bezwolnie posłusznego nazistom – 95 tysięcy zamieszkujących te obszary Niemców nie musiało uznawać zwierzchności Budapesztu, lecz uzyskało prawo powrotu do Rzeszy. Około 77 tysięcy z nich postanowiło skorzystać z tej możliwości do końca 1940 roku. Stalina także żywo interesowała Rumunia i skierował do rumuńskich władz ultimatum z żądaniem cesji zamieszkanego częściowo przez Ukraińców regionu północnej Bukowiny wraz z rumuńską Besarabią w czerwcu tego samego roku. Rumuni potulnie ulegli temu żądaniu. Na przekazanych Sowietom terytoriach żyło około 137 tysięcy Volksdeutschów; w ramach kolejnego nazistowsko-radzieckiego porozumienia jesienią przewieziono tych ostatnich do Niemiec. Dodać wypada, że zgodnie z szacunkami Götza Alyego, choć około ćwierci miliona etnicznych Niemców przemieszczono do Rzeszy z południowo-wschodniej Europy w 1940 roku, to w tym czasie jeszcze większa ich liczba napłynęła z krajów bałtyckich i wschodniej Polski[36].

I znów eksperci z III Rzeszy do spraw rasowych nie mieli gdzie ich osiedlić, więc tymczasowe obozy dla przybyłych Volksdeutschów pękały w szwach. Mimo niedorzecznie ambitnego planu nakreślonego przez nazistowskich organizatorów, przewidujących deportowanie z inkorporowanych ziem wschodnich do zimy 1940/1941 roku 5 300 000 ludzi, do marca roku 1941 wywieziono zaledwie 408 tysięcy. Trudności potęgowało dodatkowo i to, że coraz większą część ziem przeznaczonych do zasiedlenia przekazywano SS, która miała ją rozdzielić w ramach nagród dla zdemobilizowanych żołnierzy po wojnie; do marca 1942 roku połowę „odzyskanej" ziemi w Kraju Warty przeznaczono na ten cel[37]. I wreszcie nędza, w jakiej bytowało wielu polskich i żydowskich wysiedleńców, powodowała, że ich skonfiskowane „posiadłości" rzadko uznawano za nadające się do zaspokojenia potrzeb niemieckich kolonistów. Himmler wyjaśniał zniecierpliwionym i rozczarowanym Niemcom z Wołynia w obozie w Wiśniowej Górze (Kirchbergu) w maju 1940 roku: „Musicie zrozumieć, że trzeba poczekać. Zanim dostaniecie gospodarstwa, wpierw należy wyrzucić z nich Polaków. A oni często mieszkają w takich norach, że najpierw musimy stawiać tam budynki i łączyć po dwa rozdrobnione gospodarstwa"[38]. W praktyce taka „komasacja" musiała mieć jeszcze większy charakter. Nalegania Himmlera, by minimalny areał farmy Volksdeutscha wynosił 25 hektarów, oznaczały, że przeciętnie trzeba było łączyć po trzy polskie gospodarstwa rolne dla zapewnienia utrzymania jednej rodzinie Volksdeutschów[39].

Co więcej, konfiskaty rzadko przebiegały planowo. Zgodnie z protokołem opracowanym przez Wilhelma Koppego, szefa policji i SS w Kraju Warty, tereny

przewidziane do „oczyszczenia” należało zajmować bez uprzedzenia, przed świtem, żeby tym samym nie dopuścić do ukrywania lub niszczenia dóbr przez wysiedlanych. Ci ostatni mieli trafiać od razu do obozów ewakuacyjnych, a stamtąd do Generalnego Gubernatorstwa. Nowi osadnicy z grona Volksdeutschów powinni czekać w pobliżu, acz wypadało się postarać o to, by nie stali się świadkami drastycznych scen towarzyszących wysiedleniom. Nierzadko kobiety określane mianem „doradczyń w sprawie osadnictwa” – zazwyczaj były to młode Niemki z klasy mieszczańskiej, odbywające obowiązkowy półroczny staż w Służbie Pracy Rzeszy – zwożono na miejsce, aby pospiesznie sprzątały i dekorowały konfiskowane posesje. „W dniach akcji przesiedleńczej pilnowały, żeby eksmitowani Polacy nie pozabierali wszystkiego ze sobą, tylko pozostawili osadnikom potrzebne rzeczy”. Miały również wysprzątać pozajmowane domy i ugotować gorące posiłki przybywającym, „aby osadnicy szybko poczuli się w nowych domach jak u siebie”[40]. Najczęściej jednak takie akcje miały o wiele bardziej chaotyczny charakter. Czasami nazistki musiały same wyrzucać z domostw dotychczasowych mieszkańców; jedna z nich, Melita Machmann, wspominała swą wściekłość, kiedy wraz z grupą dziewcząt z obozu Służby Pracy, na której czele stała, otrzymała w 1942 roku polecenie od miejscowych esesmanów, by usunęły polskich mieszkańców z jednej z wielkopolskich wsi „uzbrojone” tylko w jeden wieszak[41]. Lokalni Volksdeutsche, którzy zawczasu wiedzieli o planowanych wysiedleniach, nierzadko po kryjomu uprzedzali Polaków przewidzianych do deportacji w nadziei, że ci bardzo tanio odsprzedadzą im swoje sprzęty. Potrzeba korzystania przez niemieckie agencje osadnicze z pomocy polskich robotników także oznaczała, że tajemnicy trudno

było dochować. W efekcie latem 1940 roku zaledwie około 40 procent Polaków wyznaczonych do deportowania z Kraju Warty wpadło w ręce niemieckich władz. Pozostali poprzenosili się do krewnych, poznikali w dużych miastach albo pouciekali do lasów[42].

Osoby przejmujące skonfiskowane posesje często nie mogły się zdystansować do podłości towarzyszącym akcji wysiedleńczej pomimo znaczenia, jakie przykładał do tego Koppe. Irma Eigi, 17-letnia córka pewnego estońskiego hotelarza, z trwogą spostrzegła w swoim nowym otoczeniu, w mieszkaniu przydzielonym jej rodzinie przez urząd lokalowy w Poznaniu w grudniu 1939 roku, ślady nagłej katastrofy, która spadła na poprzednich właścicieli. „Niektóre z kredensów były pootwierane. Szuflady powysuwane. Na stole leżały resztki jedzenia. No i te niezaścielone łóżka, ze skotłowaną pościelą”[43]. Wstrząśnięty takim widokiem jej ojciec poprosił o przeniesienie do jakiegoś bardziej uporządkowanego lokum, ale bezskutecznie. *Herr* Eigi przyjął jednak zaproszenie lokalnej agencji przesiedleńczej do zwiedzenia polskich restauracji w mieście i wybrania tej, która mu odpowiadała, po czym miał otrzymać akt jej własności. Sylvia Bannister, Angielka i żona niemieckiego położnika wysłanego do Bydgoszczy w październiku 1939 roku, była równie zbita z tropu, gdy po przybyciu do tego miasta wręczono jej listę skonfiskowanych domów do obejrzenia. W jednym z nich zastała małżonkę pewnego Polaka, który został rozstrzelany w odwecie za „wypadki bydgoskie” tego samego poranka; Polka nie miała pojęcia o śmierci męża ani o wydanym jej nakazie eksmisji. *Herr* Bannister jednakże nie widział zbytniego powodu, by rozpaczać nad rozlanym mlekiem – czy też raczej „przelaną krwią”. „Jak mogliśmy żyć szczęśliwie w jednym z tych domów naznaczonych

nieszczęściami poprzednich właścicieli? Ale jakie inne wyjście mieliśmy? Kurt [Bannister] musiał dalej pracować i musieliśmy zamieszkać gdzieś w okolicy”[44]. Już niebawem Sylvia zadomowiła się w ładnym domu, należącym wcześniej do polskiego architekta, którego cała rodzina przepadła bez śladu.

We wszystkich kręgach niemieckiego społeczeństwa rzadko dochodziły do głosu skrupuły dotyczące czerpania osobistych korzyści z niedoli wysiedlanych Polaków i Żydów. Niemieccy koloniści sprowadzani na włączone do Rzeszy wschodnie terytoria zaciekle wojowali z tymi Volksdeutschami, którzy już tam byli i domagali się od władz – często skutecznie – rekompensat za straty wynikłe z działań państwa polskiego w latach międzywojennych. Obie te grupy z kolei konkurowały z setkami tysięcy zachłannych Reichsdeutschów, czyli obywateli „starej Rzeszy”, napływających do podbitych okręgów w poszukiwaniu wielkiej życiowej szansy. (Jednym z nich był faworyzowany przez Hitlera dowódca wojsk pancernych generał Heinz Guderian, który jeździł po Wielkopolsce w poszukiwaniu majątku ziemskiego odpowiedniego dla jego wysokiego statusu. Kiedy zaszokowany generał – późniejszy feldmarszałek – von Manstein spytał go, co z polskimi właścicielami wybranej przez jego rozmówcę posiadłości, „Guderian stwierdził, że nie wie; Polacy zniknęli, zanim przejął ten majątek, i nie miał pojęcia, co się z nimi stało”)[45]. Napięcia między tymi trzema grupami oraz pomiędzy różnymi odłamami etnicznymi „rodziny” Volksdeutschów, nierzadko bywały ostre:

> Doradcy od osadnictwa opisywali dzieci besarabskich Niemców bijące się z dziećmi miejscowych Volksdeutschów. Urodzonych na miejscu etnicznych

> Niemców określono jako takich, którzy narzekają, że czyniono wszystko dla napływających osadników, nic zaś dla nich samych, i szemrzą, że gdyby nie przybyli osadnicy, to wszystkie skonfiskowane polskie ziemie przypadłyby im. Jeden z doradców donosił, że miejscowi Niemcy nazywali osadników z Bukowiny „Cyganami". Niemcy z Bukowiny odwzajemniali się, przezywając lokalnych Niemców „Polakami". […] Doradcy do spraw osadnictwa nie wahali się też krytykować Niemców z Rzeszy, zwykle mężczyzn, za arogancję w stosunku do Volksdeutschów. Wedle jednej z historii żona pewnego osadnika z Bukowiny, która zapomniała wpiąć znaczka świadczącego o tym, że jest Niemką, została wyproszona z urzędu pocztowego, gdzie chciała nadać paczkę dla syna na froncie, a Reichsdeutsch, który ją wyrzucił, uderzył ją przy tym w twarz[46].

Plany, by w ciągu zaledwie kilku lat stworzyć jednolitą niemiecką całość z wrzącego „kotła" Volksdeutschów, który groził wybuchem, spaliły na panewce. Marzenia wielu kolonistów o idylli na przyłączonych do Rzeszy obszarach rozwiały się jeszcze prędzej. Okazało się bowiem, że obozami przejściowymi dla Volksdeutschów zainteresowali się urzędnicy prowadzący nabór do wojska oraz przedstawiciele przedsiębiorstw starających się utrzymać poziom produkcji mimo odczuwanego w Niemczech ostrego niedoboru siły roboczej. Ludzie w obozach, którzy stanęli przed perspektywą długotrwałego pobytu w prowizorycznych barakach, przy czym komendanci tych obozów mieli zwyczaj narzucania ich mieszkańcom „wojskowego reżimu, rozdzielając małżeństwa i traktując przybyłych jak dzieci lub nawet jak więźniów",

podchwytywali takie propozycje[47]. Zdarzyło się, że nawet Himmler ulegał pokusie, rozkazując w grudniu 1940 roku, aby besarabskich Niemców, którzy nie spełniali jego oczekiwań jako potencjalni koloniści, wcielać przymusowo do batalionów roboczych. Kiedy indziej sami Volksdeutsche rezygnowali z wcześniejszych planów. Niektórzy koloniści z Galicji, rozczarowani przydzielonymi im gospodarstwami w Wielkopolsce, porzucili je jesienią 1940 roku, domagając się ponownego przyjęcia ich do obozu przejściowego w Łodzi; inną grupę aresztowano za to, że nie zgodzili się przyjąć zaoferowanych im posesji i zorganizowali demonstrację przeciwko władzom[48]. A czasami niedopasowanie kolonistów do przydzielanych im osiedli było tak duże, że nawet interwencje niemieckich urzędników nie mogły wiele na to zaradzić. Zwłaszcza wyżej rozwinięci pod względem cywilizacyjnym estońscy i łotewscy Volksdeutsche nie nadawali się na wiejskich osadników; nie bardzo przypadł im do gustu pomysł „schłopienia" na melancholijnych polskich równinach. „Albo byli wcześniej wielkimi posiadaczami ziemskimi, którzy nie chcieli zaakceptować warunków panujących w chłopskich osadach (było to trochę tak, jak gdyby zaproponować Thomasowi Jeffersonowi lub Charlesowi Townshendowi [brytyjskiemu arystokracie, który zasłynął z propagowania nowoczesnych metod uprawy roli] gospodarowanie na trzech akrach i jedną krowę), albo zamieszkiwali w miastach. […] Rychło planiści zaczęli dostawać monity od personelu zajmującego się przesiedleniami, aby nie podsyłać im już więcej Bałtów"[49].

Zróżnicowanie wśród samych Volksdeutschów było zapewne największą przeszkodą na drodze do sukcesu programu kolonizacyjnego. Niektórzy z nich nie różnili się

specjalnie od swoich ziomków z Rzeszy poza tym, że mówili regionalnymi dialektami. Arthur Greiser, pochodzący z Wielkopolski, sam był Volksdeutschem. Ale związki innych z ojczystym krajem były znacznie wątlejsze, o ile nie zupełnie fikcyjne. Polacy i Żydzi często dostrzegali w osłupieniu, że wielu członków Selbstschutzu, czyli organizacji powstałej, aby pomagać Niemcom, było, jak to ujęła pewna kobieta, świadek ówczesnych wypadków, „ludźmi z naszych miasteczek, Polakami", którzy zaraz po wkroczeniu najeźdźców „nagle poczuli w sobie zew niemieckiej krwi! Zwykle były to szumowiny: niebieskie ptaki, domokrążcy, złodzieje, drobni (i więksi!) kanciarze"[50]. Reichsdeutsche zwracali uwagę na to, jak łatwo dawni Polacy, Ukraińcy czy Czesi zostawali Niemcami, i zaczęli określać swoich rzekomych krajan mianem Beutegermane – „zdobycznych Niemców", którzy przystąpili do Volku z jedynym zamiarem zapewnienia sobie maksymalnych korzyści. Również kierownictwo SS nie było nieświadome zjawiska podszywania się pod etnicznych Niemców i nie pozostawało wobec niego obojętne.
W październiku 1939 roku Arthur Greiser polecił sporządzenie w swoim okręgu spisu powszechnego, Deutsche Volksliste, aby oddzielić autentycznych Niemców od tych, którzy się za takich podawali. Zamysł nie był wszak niemieckim wynalazkiem; wzorowano się na klasyfikacji, którą posłużyli się Francuzi do usuwania Niemców z Alzacji we wczesnych latach dwudziestych[51]. Na rozkaz Himmlera analogiczny proceder wprowadzono na przyłączonych do Rzeszy obszarach w marcu 1941 roku.

Tak jak we francuskim pierwowzorze, na niemieckiej liście narodowościowej w jej ostatecznej wersji obywateli zaliczano do jednej z czterech kategorii. Osoby z kategorii I to takie, które dały dowody swojej lojalności poprzez

przynależność do niemieckich organizacji przed wrześniem 1939 roku; niewątpliwi Niemcy, którzy nie brali udziału w „etnicznej walce” w okresie międzywojennym, otrzymywali kategorię II. W praktyce obie te klasy prawie się nie różniły; ich członkowie automatycznie otrzymywali niemieckie obywatelstwo oraz takie same dowody tożsamości. Faktyczne znaczenie miała więc przynależność do trzeciej kategorii, obejmującej osobników pochodzenia niemieckiego, którzy „wyrzekli się” związków z narodem, na przykład mówiąc na co dzień po polsku w miejscach publicznych lub tylko w domu, oraz do czwartej, do której zaliczono osoby o germańskich cechach rasowych czynnie opierające się zniemczaniu w swoich krajach w okresie między wojnami. Ludzie z dwóch ostatnich grup musieli się liczyć z zesłaniem do „starej Rzeszy”, gdzie miano ich poddawać intensywnej germanizacji; po tym, jak uznano, że zasłużyli już na niemieckie obywatelstwo, przechodzili długi okres próbny. U samej podstawy niemieckiej piramidy etnicznej znajdowali się Deutschstämmige, czyli osoby o dość niejasnym, częściowo tylko niemieckim „rodowodzie”. Skutki przypisania do tej kategorii bywały różne – od żadnego w niektórych przypadkach, po szybkie wciągnięcie na Volkslistę w innych, co zdarzało się najczęściej wtedy, gdy nabór do wojska lub brak siły roboczej skłaniały władze, by czerpać z tych zasobów „potencjalnych Niemców” i wykorzystywać je do woli.

Początkowo naziści poświęcili mnóstwo energii na sporządzenie i prowadzenie listy, której wersje wprowadzono w późniejszych latach wojny w Czechach i na Morawach – gdzie Heydrich liczył na „zgermanizowanie” połowy ludności czeskiej – w Jugosławii i w zachodnich okręgach zajętych obszarów europejskiej części Związku Radzieckiego. Teoretycznie wszyscy Volksdeutsche

podlegali kontroli, a sporadycznie zaostrzano kryteria zaliczania do poszczególnych kategorii z tych list, kiedy Himmler obawiał się, że definicja niemieckości stawała się zanadto elastyczna. Jednakże z upływem czasu proces zapisów na Volkslistę przeobraził się w farsę. Lokalni zarządcy, w obliczu nacisków wielu zwierzchnich organów, podejmowali arbitralne decyzje w tym względzie, w praktyce pomijając oficjalne zalecenia – i najczęściej wciągając na listy wszystkich chętnych. „Gdyby nie było Volksdeutschów – zauważyła Doris Bergen – nazistowscy ideolodzy mogliby ich wymyślić. I w pewien bardzo znamienny sposób właśnie to zrobili”[52]. W rzeczywistości właściwie nie mieli innego wyjścia. Dowiedzenie czysto niemieckiego pochodzenia za pomocą dokumentów było wystarczająco trudne nawet w „starej Rzeszy”, a praktycznie niemożliwe poza jej granicami. Członkowie etnicznych społeczności od dawna żyjących z dala od ojczyzny słabo mówili po niemiecku, posługiwali się dialektem niezrozumiałym dla Reichsdeutschów bądź też nawet w ogóle nie znali języka niemieckiego. Na ziemiach czeskich, jak zauważył Chad Bryant, „wielu «nowych Niemców» mówiło tylko po czesku”[53]. Wobec braku obiektywnych kryteriów określania – czy choćby ogólnego definiowania – niemieckości „etnolodzy” z RKFDV sięgali po takie, które dawały pożądane rezultaty, „od wymyślnych pomarańczowych karteczek z opisem kształtu powiek i podbródków badanych osób, po uznawanie całych wiosek za osady etnicznych Niemców, by dowieść własnej rzetelności politycznej”[54]. Do połowy roku 1942 górę wzięła tendencja do wpisywania na listę możliwie wielu „Niemców”. Gdy wojna z ZSRR weszła w impas, pojawiło się pilne zapotrzebowanie na świeże „mięso armatnie” w sytuacji, kiedy brakowało już nadających się do

powołania pod broń Reichsdeutschów. Do niemieckich sił zbrojnych można było rekrutować tylko „Aryjczyków”, nierzadko więc bywało, że takimi „Aryjczykami” stawali się pogardzani wcześniej Polacy, Ukraińcy, mieszkańcy Besarabii i Białorusi. Himmler, który swego czasu usiłował ograniczyć do miliona liczbę nazwisk wpisywanych na Volkslistę na przyłączonych do Rzeszy ziemiach, potem odmawiał już tylko wciągania na nie wyłącznie osób mających na sumieniu wykroczenia karane wysłaniem do obozu koncentracyjnego. Na wielu obszarach ludzi umieszczano na tych listach lub też „awansowano” do wyższej kategorii, która uprawniała do odbycia służby wojskowej, arbitralnie, bez ich zgody, a czasem nawet bez ich wiedzy[55]. Jak celnie zauważyła Anna Bramwell: „Volkslista stała się procedurą przesiewania potencjalnych obywateli Nowego Porządku: lojalnych, zdrowych i mających po pięć palców u każdej dłoni”[56].

Skutki tej polityki przymusowej germanizacji zostały odnotowane przez Zygmunta Klukowskiego, lekarza i administratora ze szpitala w Szczebrzeszynie na Zamojszczyźnie, wchodzącej podczas okupacji w skład Generalnego Gubernatorstwa. W 1942 roku dzielnicę tę, jako pierwszą poza terytoriami przyłączonymi bezpośrednio do Rzeszy, wybrano na obszar niemieckiej kolonizacji. Wkrótce w szpitalu Klukowskiego zjawili się goście:

> Wczoraj rano w aptece zjawili się dwaj żołnierze z Sonderdienstu celem przeprowadzenia nowej rejestracji. Na specjalnych kwestionariuszach spisali dokładnie wszystkich pracowników i wypełnione dali im do podpisania. Farmaceuci, nie zorientowawszy się, o co właściwie chodzi, wszyscy podpisali. Z lekarzy pierwszego odwiedzili dra Spoza. Ten, widząc, że

chodzi o przyznanie legitymacji narodowości niemieckiej, nie chciał podpisać, lecz przedstawiciele „władzy” tak napierali, tłumacząc, że jest to konieczne, iż w końcu uległ i podpisał. Przybiegł jednak zaraz do nas do szpitala strasznie zdenerwowany, żeby nas poinformować i zasięgnąć w tej sprawie zdania wszystkich kolegów. Natychmiast zebraliśmy się wszyscy i odbyliśmy długą, poufną naradę. Dowiedzieliśmy się, że mają być spisani wszyscy lekarze, farmaceuci, weterynarze, dentyści i akuszerki. Żadnej obowiązującej uchwały nie powzięliśmy, pozostawiając każdemu możność decydowania się samemu.

[…]

O ile mi wiadomo, w Zamościu zbyt wiele osób podpisało te wnioski bez zastrzeżeń, co nawet zostało napiętnowane w tajnej prasie. Zastanawiamy się teraz nad tym, czy nie będzie jakichś niepożądanych następstw zajętego przez nas stanowiska[57].

Zwalczanie przez podziemną Armię Krajową procederu zapisywania się na Volkslistę odzwierciedlało w miniaturze większy konflikt. Dziesiątki, o ile nie setki tysięcy zwyczajnych Polaków obojga płci znalazły się między młotem a kowadłem, zagrożonych biciem, więzieniem lub deportacją w razie gdyby odmówili podpisania Volkslisty, oraz podpaleniami, grabieżami i śmiercią z rąk członków Armii Krajowej po jej podpisaniu. Nawet osoby z tych samych rodzin znajdowały się po przeciwnych stronach: Volksdeutscha, starostę Urzędowa Kazimierza Łozińskiego w 1943 roku zastrzelono z rozkazu AK, choć do organizacji tej należeli dwaj jego synowie[58]. W Generalnym Gubernatorstwie napaści ruchu oporu na osadników oraz

okrutne nazistowskie akcje odwetowe były czymś tak powszechnym – jak zanotował dr Klukowski, w grudniu 1942 roku stracono około 160 Polaków w odwecie za podpalenie pięciu domów Volksdeutschów wsi Nawóz – że w okupowanej Polsce etniczni Niemcy na nowo zorganizowali bojówki Selbstschutzu, podobnie zresztą jak na Ukrainie, w Estonii i Jugosławii[59]. Na ogół oddziały te miały niewielką wartość militarną i bardziej znane były z niekarności oraz gorliwego wspomagania innych formacji niemieckich w obławach i masakrowaniu Żydów niż ze zdolności do zapewnienia ochrony innym osadnikom. Również władze nazistowskie nie pokładały w tej organizacji zbytniego zaufania, powołując najsprawniejszych jej członków do wojska lub do Waffen-SS, a pozostałym odmawiając wydania nawet broni krótkiej.

Takie „konflikty etniczne" nie wszędzie miały równie krwawy charakter, ale nawet w o wiele spokojniejszej atmosferze panującej w Czechach i na Morawach etniczni Niemcy, którzy narażali się swoim sąsiadom, przyjmując obywatelstwo Rzeszy, musieli liczyć się z czymś, co z lekko melodramatyczną przesadą nazywano „czeskim terrorem – bywali ignorowani w czeskich sklepach, znieważani słownie, a czasami nawet bici"[60]. W istocie większy problem dla nazistów stanowiło zapobieganie temu, by Volksdeutsche-koloniści nie „wrastali w okolicę" i nie sprzymierzali z lokalną nieniemiecką ludnością – z którą często łączyły ich ściślejsze więzy kulturowe, religijne, zwyczaje, a nawet język, aniżeli z ich nominalnymi Volksgenossen (rodakami). Nieustanne skargi napływały od „doradców w sprawach osadnictwa", urzędników VoMi i ekspertów rasowych z SS na temat tego, że Volksdeutsche nie prezentowali „należytego poczucia wyższości, potrzebnego do utrzymania naszych praw jako

prowadzącego kolonizację państwa i narodu”[61]. Osadnicy „mieli trudności z uznawaniem swego niemieckiego dziedzictwa i przezwyciężaniem przyjaznego nastawienia do Polaków”[62]. Podobne narzekania dotyczyły sfery obyczajowości. Podczas gdy oficjalna propaganda przedstawiała etnicznych Niemców jako „wzorce aryjskiej czystości [rasowej] i narodowosocjalistycznej lojalności”,

> Wszelkiego rodzaju organy władz Rzeszy podkpiwały z Volksdeutschów, którym, jak powiadano, brakło typowo niemieckich cech: pilności, czystości, powściągliwości seksualnej i znajomości języka niemieckiego. […] Jeden z reporterów zżymał się, że zaraz po wyjeździe mężów kobiety [Volksdeutschów] zadawały się z Ukraińcami i Polakami. Mężczyźni, zgodnie z tą samą relacją, nie byli lepsi; sypiali z Polkami i przejmowali zwyczaje Polaków, a młodzież była leniwa i rozwiązła[63].

Oczywiście nazistowscy funkcjonariusze mieli do dyspozycji wiele środków wymuszania etnicznej separacji. Już we wrześniu 1940 roku Greiser wydał zarządzenie, grożąc „aresztem zapobiegawczym” (tj. obozem koncentracyjnym) tym osobom „przynależącym do niemieckiej społeczności, które utrzymują stosunki z Polakami wykraczające poza te związane z obowiązkami służbowymi lub względami ekonomicznymi. […] We wszystkich tych wypadkach podtrzymywanie przyjaznych kontaktów z Polakami należy uznać za nieprzestrzeganie zalecanego dystansu”[64]. Etniczni Niemcy mogli zostać ukarani za „konszachty z Polakami” odebraniem gospodarstw i zesłaniem z powrotem do obozów dla przesiedleńców; innym za podobne wykroczenia obniżano kategorię na Volksliście, jeszcze innych kierowano do

batalionów roboczych w „starej Rzeszy”[65]. Grzechami ojców obarczane bywały ich dzieci i na odwrót: Doris Bergen przytacza historię pewnej starszej kobiety z Chełmna (Kulm), która „utraciła status Niemki i została, jako Polka, zesłana do obozu koncentracyjnego, gdy jej wnuk zdezerterował” z armii niemieckiej[66]. Ale, jak to się działo w całej okupowanej przez nazistów Europie, liczni Volksdeutsche przystosowywali się do sprzecznych żądań i oczekiwań niemieckich władz oraz lokalnej ludności, unikając wszelkiej ostentacji i nie opowiadając się po niczyjej stronie. Funkcjonariusze gestapo odnotowali liczne przypadki, zwłaszcza po klęsce Niemców pod Stalingradem na początku 1943 roku, kiedy Volksdeutsche przezornie, mając na względzie swoją przyszłość, zwracali Polakom odebrane im dobra (choć niektórzy bardziej dalekowzroczni zmienili swe nastawieniu już po ataku na Pearl Harbor w grudniu 1941 roku)[67]. Jednak wraz z rozluźnianiem kryteriów, którymi się posługiwano przy wpisywaniu etnicznych Niemców na Volkslistę, rozróżnienia pomiędzy poszczególnymi kategoriami się zacierały. Jak donosiła w 1942 roku pewna Niemka wysłana do jednej ze wsi na Pomorzu Gdańskim, „ci, co należą do grupy trzeciej [III kategorii na Volksliście], nie odróżniają się niczym od Polaków i mówią po niemiecku tyle, co Polacy. Można nawet stwierdzić, że ci o lepszych charakterach nie wyrzekają się polskości”[68]. Pewien nazistowski działacz partyjny w Czechosłowacji odniósł podobne wrażenie, powiadając Heydrichowi, że, jego zdaniem, „dzieci tych fanatycznych Czechów z minionych 20 lat znacznie lepiej nadają się do zniemczenia od pozbawionych wszelkich zasad łajdaków, którzy zmieniają poglądy z dnia na dzień”[69].

Nie sposób udzielić ostatecznej odpowiedzi na pytanie, czy Volksdeutschów należy uważać za „współsprawców”,

„ofiary”, czy też „biernych obserwatorów” w odniesieniu do nazizmu i zbrodni tego systemu – by odwołać się do znanej kategoryzacji, którą posłużył się Raul Hilberg. Przez pół wieku po wojnie niemal automatycznie zrównywano Volksdeutschów z V kolumną – nawet w opracowaniach o charakterze naukowym. Z pewnością ci badacze, którym zależało na przykładach współuczestnictwa etnicznych Niemców w najokrutniejszych zbrodniach nazizmu, nie musieli daleko szukać. W krajach bałtyckich oraz w Polsce i Rumunii ochotnicy z grona Volksdeutschów brali bezpośredni udział u boku policji, wojska i formacji SS w akcjach eksterminacyjnych przeciwko Żydom. Nawet niektóre kobiety nie wzdragały się przed zabijaniem: pewna Volksdeutschka, zatrudniona jako tłumaczka na Ukrainie, sama zastrzeliła sześcioro żydowskich dzieci w okolicach miasta Chmielnik w 1942 roku[70]. Z jednostek SS najgorszą opinię miały te, jak niesławna Dywizja Prinz Eugen, zorganizowana w okupowanej Jugosławii, złożone wyłącznie z Volksdeutschów. I choć mniejszość etnicznych Niemców podczas II wojny przesiedlono do innych krain, to ci rzadko użalali się nad losem tych wygnańców, których miejsca – czasem nie z własnej woli – zajmowali. O ile wielu z nich przymusowo powoływano do niemieckich sił zbrojnych, o tyle większy ich odsetek zgłaszał się ochotniczo do służby pod wpływem ideologicznych przekonań, w nadziei na dowiedzenie ziomkom swej „niemieckości” albo w oczekiwaniu na przyszłe nagrody. I jeśli niewielu Volksdeutschów sprzymierzyło się z przeciwnikami nazizmu – należała do nich Ludwika von Kleist, aktywna członkini polskiego podziemia z Wilkołaz i zarazem krewniaczka niemieckiego feldmarszałka o tym samym nazwisku – to zdecydowana większość popierała sprawę Niemiec, które w ich mniemaniu oswobodziły ich

z ucisku poprzedniej władzy czy też uwolniły od bolszewickiego zagrożenia, bądź też przezornie niczego nie mówili i nie robili, aby nie kojarzono ich z nazistami.

Pod tym względem wszakże nie różnili się wiele lub wcale od innych Niemców. Zasadniczo też w mniejszym stopniu odróżniali się od mieszkańców okupowanych krajów, aniżeli się to generalnie przyjmuje. Często zapominamy na przykład, że ponad dwa razy więcej obywateli holenderskich podczas wojny wstąpiło ochotniczo do Waffen-SS niż w szeregi wojsk Wolnej Holandii (u boku aliantów)[71]. Pogląd, że Volksdeutsche stanowili nazistowską V kolumnę w krajach sąsiadujących z Niemcami, wyczekując na rozkazy z Berlina i uprawiając sabotaż w swoich państwach, aby następnie wyróżnić się w zaprowadzaniu „nowego porządku" na wschodzie, okazuje się, w świetle szczegółowych analiz, błędny. Jeśli nawet Volksdeutsche mieli jakieś aspiracje tego rodzaju, to wobec kierunku nazistowskiej polityki, czekało ich rozczarowanie[72]. W ostatecznym rozrachunku fala zorganizowanych przez Niemcy przesiedleń ludności w latach 1939–1941, przeprowadzonych przede wszystkim w celu uniknięcia przedwczesnego konfliktu z ZSRR, przyniosła wyraźne fiasko. Tylko zaledwie około pół miliona Volksdeutschów, z 20 milionów przewidzianych przez projektodawców Generalplan Ost, znalazło nowe domostwa. Setki tysięcy kolejnych niedoszłych „osadników" nigdy nie dotarły do nowych kolonii, zamiast tego spędzając wojnę w ponad 1500 tzw. obozów obserwacyjnych[73]. Już w grudniu 1940 roku Himmler musiał powściągnąć swą przesiedleńczą manię, obiecując w przemówieniu do niezadowolonych namiestników, że powstrzyma akcję propagandową towarzyszącą programowi *Heim ins Reich* i postara się przemieścić tylko mniejsze i bardziej

rozproszone niemieckie społeczności z innych krajów, pozostawiając na miejscu te większe i zadomowione w dotychczasowych okolicach[74]. Dlatego właśnie, choć etniczni Niemcy zwykle cieszyli się statusem uprzywilejowanej mniejszości, uwalniającym ich od ścisłego nadzoru ze strony lokalnych administracji – tu znamienny wyjątek stanowiła trzymilionowa grupa Sudetendeutschów, gdyż po konferencji w Monachium prawie wszystkim jej członkom nadano obywatelstwo Rzeszy – Volksdeutsche ze Słowacji, z Węgier, Rumunii i Jugosławii „mieli współpracować lojalnie z władzami swoich państw, a nie służyć Rzeszy jako „«dywersanci» działający na rzecz ich zniszczenia”[75]. Jak zwrócił uwagę Vladis Lumans, pewne zastrzeżenia w tej mierze odnosiły się do Jugosławii, gdzie po niemieckiej inwazji w kwietniu 1941 roku państwo to rozpadło się na mniejsze, marionetkowe kraje. Tam właśnie znaczna liczba Volksdeutschów rzeczywiście brała udział w aktach sabotażu, słuchając niemieckich wezwań do uchylania się od służby w królewskiej armii jugosłowiańskiej i pomagając jednostkom Wehrmachtu jako informatorzy, tłumacze bądź przewodnicy. Jednakże nawet w tym przypadku już po podboju winni byli podporządkować się nowym władzom „Serbii-Banatu” i Chorwacji na obszarach, które zamieszkiwali – aby odciążyć Berlin z nadmiaru obowiązków administracyjnych.

Gdy w latach 1944–1945 Niemcy przeszły do odwrotu na wszystkich frontach, a Armia Czerwona zaczęła zagrażać nie tylko terytoriom zajętym wcześniej przez Niemców na wschodzie, ale i samej Rzeszy, proces kolonizacji zaczął się odwracać, Niemcy etniczni, którzy wcześniej ochoczo wpisywali się na Volkslistę, pomyśleli o własnej przyszłości; z kolei ci, którzy znaleźli się w spisach Volksdeutschów nie ze swojej woli, gromadzili świadectwa, że zostali

przymuszeni do wyrzeknięcia się swojej prawdziwej narodowości. (Doktor Klukowski i członkowie jego personelu, zmuszeni do podpisania Volkslisty, złożyli pisemne oświadczenie, w którym formalnie zrzekali się niemieckiego obywatelstwa, dokument włożyli do butelki i zakopali na szpitalnym dziedzińcu). Część osadników miała złudzenie, że przynajmniej pozwoli im się powrócić w rodzinne strony, których wcześniej nie chcieli opuścić. Realiści rozumieli, że jedyna nadzieja na przeżycie to odejście na zachód wraz z wycofującymi się oddziałami Wehrmachtu. Ale większość Volksdeutschów, tkwiących *in situ* przez całą wojnę – sudeccy i węgierscy Niemcy, niemieckojęzyczna ludność Wielkopolski, Górnego Śląska i Pomorza Gdańskiego, Niemcy bałkańscy – stanęła przed koniecznością podjęcia ostatecznej, arcytrudnej decyzji dotyczącej swej przyszłej przynależności państwowej.

W czasie wojny relacje między Reichsdeutschami a Volksdeutschami zawsze były napięte. Zgodnie z dokumentacją VoMi w samych Niemczech w porach posiłków „ludzie próbowali relegować Niemców z południowego wschodu [tj. z Jugosławii i Rumunii] do stołów, przy których jedli zagraniczni robotnicy i jeńcy wojenni”[76]. Gdzie indziej Volksdeutsche odnosili się z niechęcią do faktu, że ich rodakom z Rzeszy dostawały się najlepsze stanowiska oraz łupy: „W małych miastach nawet członkowie lokalnych klubów tenisowych dzielili się na Volksdeutschów i Reichsdeutschów”[77]. W tym okresie ta wzajemna nieufność doszła do głosu. Niemcy ze „starej Rzeszy” często uważali swoich etnicznych pobratymców za tchórzliwą hałastrę, której obojętny był los ojczyzny i zależało tylko na ocaleniu własnej skóry; Volksdeutsche zaś zwracali uwagę na skomplikowane procedury ewakuacyjne wprowadzane w życie przez Wehrmacht

z myślą o „prawdziwych” Niemcach i podejrzewali swoich ziomków z lepszymi koneksjami o planowanie prowadzenia walki „do ostatniego Volksdeutscha”. W takiej paranoicznej atmosferze decyzja dotycząca nie tylko tego czy, ale i kiedy uciekać, była bardzo ryzykowna. Zbyt pospieszny wyjazd wiązał się z narażeniem się na kary za „dezercję” czy „sianie defetyzmu”; czekanie za długo prowokowało niemieckie władze do oskarżeń pod adresem Volksdeutschów o ich „dwulicowość”, rzekome zamiary zdrady *Volku* i ponownego przyjęcia nieniemieckiej narodowości, kiedy tylko Wehrmacht zniknie ze sceny. Doktor Klukowski zetknął się i z jednym, i z drugim w Zamościu, gdzie w lutym 1944 roku zanotował, że „«nasi» […] Volksdeutsche niepokoją się coraz bardziej, pakują i tylko czekają na rozkaz wyjazdu. Jak dotychczas władze niemieckie starają się jednak utrzymać ich na miejscu. Roztoczono nad nimi tak ścisły nadzór, że mieszkający na wsi nie mogą nawet do Szczebrzeszyna przyjechać bez specjalnego zezwolenia”. Trzy miesiące później zapisał: „gestapowcy […] rozpoczęli akcję przeciwko Volksdeutschom, którzy nie zastosowali się do wydanych zarządzeń i nie wyjechali ze Szczebrzeszyna, przy czym niektórych pobito, np. fryzjera Gortnera”[78].

Ewakuacja, a raczej ucieczka niemieckiej ludności ze wschodnich kresów Rzeszy, do czego doszło ostatecznie w styczniu 1945 roku, to jeden z tych nielicznych epizodów II wojny światowej, o którym można było w Niemczech bez przeszkód i otwarcie dyskutować – głównie dlatego, że należał do niewielu, na jakie nie rzucały cienia rozmaite nazistowskie zbrodnie. W latach powojennych historię owego *die Flucht* upamiętniono i zmitologizowano; stanowiła jeden z elementów etosu, sprzyjającego powstaniu Republiki Federalnej Niemiec w 1949 roku:

nowego, demokratycznego państwa niemieckiego, zrodzonego z ofiar i cierpień, będącego promykiem nadziei i przystanią dla tych, którzy umknęli przed bolszewickimi hordami. Niewątpliwie dla milionów uciekinierów przed radzieckim natarciem oraz dla milionów innych, którzy po długich dniach spędzonych na mrozie na drogach Prus Wschodnich i Śląska zostali dopędzeni przez błyskawicznie postępujące naprzód wojska radzieckie, ten exodus stanowił prawdziwą gehennę. Wielkiej liczbie uciekinierów udało się dotrzeć do względnie bezpiecznych miejsc, częściowo za sprawą największej morskiej akcji ewakuacyjnej w dziejach, w której ponad dwa miliony uchodźców niemiecka flota przewiozła z zagrożonych prowincji północno-wschodnich. Tylko z małego portu w Piławie (Pillau, obecnego Bałtijska) ewakuowano więcej ludzi niż pięć lat wcześniej z Dunkierki. Jednak i tak śmiertelność wśród uciekinierów była niesłychanie wysoka, a liczba ofiar na pewno sięgała setek tysięcy. Tyle że w historii tej operacji niemal zupełnie pomijany bywa fakt, iż owa masowa ewakuacja Volksdeutschów rozpoczęła się półtora roku wcześniej. Już w czerwcu 1943 roku, gdy Sowieci podjęli ofensywę w regionach nad Morzem Czarnym, pierwsze grupy etnicznych Niemców wywieziono stamtąd na północ i zachód; w powtórce wcześniejszych wydarzeń, tragicznej i groteskowej zarazem, następnej wiosny wypędzano Polaków z Kraju Warty, by zrobić miejsce dla wspomnianych uchodźców ze wschodu[79]. Pierwsze wyjazdy niemieckich osadników z Ukrainy miały miejsce pod koniec 1943 roku, a podczas następnych sześciu miesięcy trwało ewakuowanie wiosek Volksdeutschów w Generalnym Gubernatorstwie. Jesienią 1944 roku proces ten postępował pełną parą; 160 tysięcy cywilnych Niemców wyjechało w ślad za oddziałami

Wehrmachtu z Banatu i Baczki w Rumunii i Serbii, a ponad 100 tysięcy ze Słowenii. I tak jak nieco później, większość uchodźców stanowiły kobiety z dziećmi, gdyż znaczny odsetek dorosłych mężczyzn wyjechał już wcześniej do Niemiec, gdzie służyli w wojsku albo pracowali w fabrykach zbrojeniowych.

Ustalenie wiarygodnej liczby etnicznych Niemców, którzy uciekli – w odróżnieniu od danych na temat tych, którzy pozostali – jest trudne nawet po upływie ponad 60 lat od zakończenia wojny. Prawie wszyscy Niemcy z Generalnego Gubernatorstwa oraz około połowy Volksdeutschów, którzy jeszcze przed wojną osiedlili się na Pomorzu Gdańskim, w Wielkopolsce i polskiej części Górnego Śląska, uciekli do „starej Rzeszy". Liczebność populacji jugosłowiańskich Volksdeutschów zmniejszyła się w latach 1944–1945 o mniej więcej jedną trzecią. Z kolei z Węgier zbiegło ich stosunkowo niewielu. Szefostwo Wehrmachtu przez pewien czas zastanawiało się nad zmuszeniem węgierskich Niemców do wyjazdu, ale zarzuciło ten pomysł jako niepraktyczny; w ciągu ostatnich tygodni wojny około 50 tysięcy, czyli jedna dziesiąta przedwojennej niemieckiej społeczności w tym kraju, wyruszyło do Rzeszy na własną rękę. Największe skupisko etnicznych Niemców, Sudetendeutsche, z małymi wyjątkami nie zdecydowało się na opuszczenie swoich stron: Kraj Sudecki został opanowany przez wojska amerykańskiej 3. Armii generała George'a Pattona nacierające z zachodu i 1. Frontu Ukraińskiego marszałka Iwana Koniewa nadciągające ze wschodu dopiero w ostatnich dniach wojny, co w zasadzie uniemożliwiło przeprowadzenie tam wielkiej akcji ewakuacyjnej.

Wielu nie widziało konieczności wyjazdu. Pocieszając się utrzymywaniem dobrych relacji – faktycznych lub

wyimaginowanych – ze swoimi nieniemieckimi sąsiadami, tym, że nie należeli do partii nazistowskiej, oraz deklaracją ogłoszoną przez aliantów w pierwszej fazie wojny, w której sprzymierzeni odcinali się jeszcze od zamysłu „zmian terytorialnych, które nie byłyby zgodne z życzeniami zainteresowanych narodów", ci etniczni Niemcy zakładali, że w najgorszym razie sytuacja powróci do stanu sprzed wojny. Zupełnie nie pojmowali, jak bardzo lata w warunkach nieskrępowanego terroru panującego na okupowanych przez nazistów obszarach, gdzie każdy nie-Niemiec narażony był na uwięzienie, deportację, tortury lub egzekucję – niemal zawsze i z byle powodu – odcisnęły piętno i zradykalizowały przejściowo podbite przez Rzeszę narody. Fakt, że cieszyli się statusem wynikającym z przynależności do *Herrenvolk* („rasy panów"), nawet podczas wojny bytując w kokonie względnych dostatków, powodował, że nie rozumieli, jak silne resentymenty wzbudzało to, co oni sami uważali za należne im przywileje – lepsze jedzenie, domy i stanowiska pracy, prawo do obsługi poza kolejnością w sklepach i na poczcie, wydzielenie w większości miast teatrów, kin, ławek w parkach, a nawet chodników oznaczonych tabliczkami *nur für Deutsche* („tylko dla Niemców") – wśród ludności innych, okupowanych narodów[80]. Nie pojmowali, jak przewrotnie brzmiała po II wojnie światowej Wilsonowska retoryka o prawie do samostanowienia w uszach ofiar nazizmu, i nie rozumieli, dlaczego wydawało się nielogiczne przypuszczenie, że zwycięscy alianci zastosują wobec Niemców zasady, które władze samych Niemiec – najwyraźniej przy aprobacie swego narodu – nieustannie naruszały i łamały. Ten brak wyobraźni i empatii, który, poza nielicznymi wyjątkami, miał się okazać najbardziej charakterystyczną cechą „pokolenia wypędzonych",

przyniósł zgubne, tragiczne skutki w miesiącach i latach tuż po wojnie.

Ostatecznie jednak o losie etnicznych Niemców – oraz Niemców w ogóle – zadecydować miały nie sąsiadujące z Niemcami państwa, tylko Wielka Trójka sprzymierzonych mocarstw. To one, a nie Polska czy Czechosłowacja, pokonały koalicję Osi; ich wojska, wyzwoleńcze czy też okupacyjne, miały stanowić czynnik określający strategiczną, polityczną i demograficzną przyszłość kontynentu europejskiego. I jeśli od czasu do czasu każde z alianckich mocarstw tłumaczyło swoje poczynania nastrojami lub życzeniami zainteresowanej ludności, to w rzeczywistości na obszarach pozostających pod kontrolą sprzymierzonych nie podjęto żadnych inicjatyw – albo też były one bardzo krótkotrwałe – na rzecz spełnienia pragnień i dążeń lokalnej ludności. I właśnie to analiza polityki alianckiej może doprowadzić do wyjaśnienia decyzji o zastosowaniu po zakończeniu wojny tych samych metod, które wcześniej, w wydaniu hitlerowskim, przyniosły katastrofalne skutki.

Przypisy

[1] J.R. Sanborn, *„Unsettling the Empire": Violent Migrations and Social Disaster in Russia During World War I*, „Journal of Modern History" 2005, nr 77/7 (VI), s. 290–304.

[2] D. Bloxham, *The Great Unweaving: The Removal of Peoples in Europe, 1875–1949*, w: R. Bessel, C.B. Haake (red.), *Removing Peoples: Forced Removal in the Modern World*, Oxford University Press, Oxford 2009, s. 175.

[3] S. O'Rourke, *Trial Run: The Deportation of the Terek Cossacks 1920*, w: R. Bessel, C.B. Haake (red.), *op. cit.*, s. 255–279.

[4] T. Martin, *The Origins of Soviet Ethnic Cleansing*, „Journal of Modern History" 1998, nr 70/4 (XII), s. 815.
[5] J. Burds, *The Soviet War Against „Fifth Columnists": The Case of Chechnya, 1942–4*, „Journal of Contemporary History" 2007, nr 42/2 (IV), s. 272.
[6] R. Breitman, *The Architect of Genocide: Himmler and the Final Solution*, Knopf, New York 1991, s. 46.
[7] „Agreement Concluded at Munich, September 29, 1938, between Germany, Great Britain, France and Italy" (oficjalny tekst porozumienia monachijskiego z 1938 roku), art. 7.
[8] J.B. Schechtman, *European Population Transfers 1939–1945*, Oxford University Press, New York 1946, s. 57.
[9] Por. G. Aly, S. Heim, *Vordenker der Vernichtung: Auschwitz und die deutschen Pläne für eine neue europäische Ordnung*, Hoffmann & Campe, Hamburg 1991, s. 394–440.
[10] Cyt. za: A.B. Rossino, *Hitler Strikes Poland: Blitzkrieg, Ideology, and Atrocity*, University Press of Kansas, Lawrence, KS 2003, s. 196.
[11] C. Jansen, A. Weckberger, *Der „Volksdeutsche Selbstschutz" in Polen 1939/40,* Oldenbourg, München 1992, s. 25.
[12] V.O. Lumans, *Himmler's Auxiliaries: The* Volksdeutsche Mittlestelle *and the German National Minorities of Europe, 1933–1945*, Chapel Hill, NC: University of North Carolina Press, 1993, s. 95; F.S. Walters, *A History of the League of Nations*, Oxford University Press, Oxford 1967, s. 616–617.
[13] G. Jérome, *Les milices d'autoprotection de la communauté allemande de Pomerelie, Posnanie et Silesie polonaise (1939–1940)*, „Guerres mondiales et conflits contemporains" 1991, nr 41/163, s. 58.

[14] A. Hitler, *Hitler's Second Book: The Unpublished Sequel to Mein Kampf*, red. G.L. Weinberg, Enigma, New York 2003, s. 53.

[15] Jak zauważył Michael Burleigh, wbrew rozpowszechnionemu w krajach demokratycznych przekonaniu o tym, że nazistowskie Niemcy były państwem totalitarnym cechującym się zautomatyzowaniem i wydajnością, faktycznie „jej władze charakteryzowała niezborność i niespójność, wszyscy ze wszystkim walczyli, a sytuacja graniczyła z chaosem". M. Burleigh, *The Third Reich: A New History* (wyd. pol.: *Trzecia Rzesza: Nowa historia*, tł. G. Siwek, SIW Znak, Kraków 2010, s. 180).

[16] L. de Jong, *The German Fifth Column in the Second World War*, Routledge & Kegan Paul, London 1956, s. 39–47.

[17] Por. T. Chinciński, *Niemiecka dywersja na Pomorzu w 1939 roku*, w: T. Chinciński, P. Machcewicz (red.), *Bydgoszcz 3–4 września 1939: studia i dokumenty*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2008, s. 170–204.

[18] C. Jansen, A. Weckberger, *op. cit.*, s. 19, 26–27.

[19] M. Phayer, *Pius XII and the Genocides of Polish Catholics and Polish Jews During the Second World War*, „Kirchliche Zeitgeschichte" 2002, nr 15/1 (I), s. 250.

[20] Większość zachodnich historyków szacuje liczbę ofiar śmiertelnych wśród Niemców na około 400 i wyraża wątpliwości, czy podenerwowanymi polskimi żołnierzami powodowało cokolwiek innego poza paniką. Pod wieloma względami „wypadki bydgoskie" przypominały podobne wybuchy paniki w wojskach niemieckich na froncie zachodnim w początkowym okresie I wojny światowej, które doprowadziły do masakry ludności miasteczek w Belgii i we Francji. Por. J. Horne, A. Kramer, *German*

Atrocities 1914: A History of Denial, Yale University Press, New Haven, CT: s. 10–78. Na temat nowszych wyników prac badawczych polskich historyków dotyczących tego wydarzenia, zgodnie z którymi poważną rolę odegrać mieli niemieccy sabotażyści i „dywersanci", por. T. Chinciński, P. Machcewicz (red.), *Bydgoszcz 3–4 września 1939*.

[21] A.B. Rossino, *op.cit.*, s. 203.

[22] Por. A.V. Prusin, *The Lands Between: Conflict in the East European Borderlands, 1870–1992*, Oxford University Press, Oxford 2010, s. 128–129.

[23] G. Jérome, *op. cit.*, s. 58.

[24] C. Jansen, A. Weckberger, *op. cit.*, s. 28.

[25] A.B. Rossino, *op. cit.*, s. 68–72.

[26] P.R. Black, *Rehearsal for „Reinhard"? Odilo Globocnik and the Lublin* Selbstschutz, „Central European History" 1992, nr 25/2 (wiosna), s. 204–226.

[27] G. Jérome, *op. cit.*, s. 65–66.

[28] Por. N.S. Lebedeva, *The Deportation of the Polish Population to the USSR, 1939–41*, „Journal of Communist and Transition Politics" 2000, nr 16/1–2 (III), s. 28–45.

[29] Por. D. Crowe, *Germany and the Baltic Question in Latvia 1939–1940*, „East European Quarterly" 1992, nr 26/3 (jesień), s. 371–389.

[30] J.B. Schechtman, *op. cit.*, s. 125.

[31] G.E. Schafft, *From Racism to Genocide: Anthropology in the Third Reich*, University of Illinois Press, Urbana, IL 2004, s. 135.

[32] H. Sommer, *Völkerwanderung im 20. Jahrhundert: die grosse Heimkehr der Volksdeutschen ins Reich*, Wilhelm Limpert-Verlag, Berlin 1940, s. 3–4.

[33] A.C. Bramwell, *The Re-Settlement of Ethnic Germans, 1939–41*, w: A.C. Bramwell (red.), *Refugees in the Age of Total War*, Unwin Hyman, London 1988, s. 122.

[34] Cyt. za: H.S. Levine, *Local Authority and the SS State: The Conflict over Population Policy in Danzig-West Prussia, 1939–1945*, „Central European History" 1969, nr 2/4 (XII), s. 345–346.
[35] Por. P. Łossowski, *The Resettlements of Germans from Lithuania during World War II*, „Acta Poloniae Historica" 2006, nr 93, s. 121–142.
[36] Por. G. Aly, *„Final Solution": Nazi Population Policy and the Murder of the European Jews*, Arnold, London 1999, s. 97–8, 108–109.
[37] C. Epstein, *Model Nazi: Arthur Greiser and the Occupation of Western Poland*, Oxford University Press, Oxford 2010, s. 172.
[38] Cyt. za: G. Aly, *op. cit.*, s. 62.
[39] C.R. Browning (współpr. J. Matthäus), *The Origins of the Final Solution: The Evolution of Nazi Jewish Policy, September 1939–March 1942* (wydanie pol.: *Geneza „ostatecznego rozwiązania". Ewolucja nazistowskiej polityki wobec Żydów, wrzesień 1939 – marzec 1942;* tł. B. Gutowska-Nowak, Wydawnictwo UJ, Kraków 2012, s. 81).
[40] Cyt. za: E. Harvey, *Women and the Nazi East: Agents and Witnesses of Germanization*, Columbia University Press, New York 2005, s. 155.
[41] M. Maschmann, *Fazit: Kein Rechtfertigungsversuch*, Deutsche Verlagsanstalt, Stuttgart 1964, s. 121–125.
[42] C.R. Browning, *op. cit.*, s. 104–106.
[43] Cyt. za: L. Rees, *The Nazis: A Warning from History* BBC Books, London 1997 (wydanie pol.: *Naziści. Ostrzeżenie historii*, tł. S. Kędzierski, Prószyński i S-ka, Warszawa 2005, s. 151).
[44] S. Bannister, *I Lived Under Hitler: An Englishwoman's Story*, Rockliff, London 1957, s. 92.

[45] N.J.W. Goda, „Black Marks: Hitler's Bribery of his Senior Officers During World War II", *Journal of Modern History* 72/2002, s. 447.
[46] E. Harvey, *op. cit.*, s. 165.
[47] P. Fritzsche, *Life and Death in the Third Reich*, Belknap Press, Cambridge, MA 2008, s. 171.
[48] E. Harvey, *op. cit.*, s. 157.
[49] A.C. Bramwell, *op. cit.*, s. 126–127.
[50] D.L. Bergen, *The „Volksdeutschen" of Eastern Europe, World War II, and the Holocaust: Constructed Ethnicity, Real Genocide*, „Yearbook of European Studies" 1999, nr 13, s. 70–93. Por. także M. Gilbert, *The Boys: The Story of 732 Young Concentration Camp Survivors*, Holt, New York 1998, s. 64.
[51] Por. kolejne źródła poniżej.
[52] D.L. Bergen, *op. cit.*, s. 73.
[53] C. Bryant, *Either German or Czech: Fixing Nationality in Bohemia and Moravia, 1939–1946*, „Slavic Review" 2002, nr 61/4 (zima), s. 691.
[54] D.L. Bergen, *op. cit.*, s. 74.
[55] L. Olejnik, *Zdrajcy narodu? Losy volksdeutschów w Polsce po II wojnie światowej*, Trio, Warszawa 2006, s. 120–121, 146; J. i Z.R. Grabowscy, „Germans in the Eyes of the Germans: The Ciechanów District, 1939–1945", *Contemporary European History* 13/1 (II 2004), s. 28.
[56] A.C. Bramwell, *op. cit.*, s. 129.
[57] Z. Klukowski, *Dziennik z lat okupacji Zamojszczyzny, 1939–1944*, Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza, Lublin 1959; wpis z 28 I 1943 roku, s. 313–314.
[58] M.J. Chodakiewicz, *Between Nazis and Soviets: Occupation Politics in Poland, 1939–1947*, Lexington Press, Lanham, MD 2004, s. 162, przys. 30.

[59] Z. Klukowski, *op. cit.*, wpisy z 10 i 13 XII 1942 roku, s. 303–304.
[60] C. Bryant, *Either German or Czech*…, s. 689.
[61] Cyt. za: I. Heinemann, *„Another Type of Perpetrator". The SS Racial Experts and Forced Population Movements in the Occupied Regions*, „Holocaust and Genocide Studies", 2001, nr 15/3 (zima), s. 394.
[62] Cyt. za: G.E. Schafft, *op. cit.*, s. 135.
[63] D.L. Bergen, *op. cit.*, s. 82.
[64] L. Rees, *op. cit.*, s. 153.
[65] E. Harvey, *op. cit.*, s. 151.
[66] D.L. Bergen, „The *Volksdeutsche* of Eastern Europe and the Collapse of the Nazi Empire, 1944–1945", w: A.E. Steinweis i D.E. Rogers (red.), *The Impact of Nazism: New Perspectives on the Third Reich and its Legacy*, University of Nebraska Press, Lincoln, NE 2003, s. 106.
[67] J. i Z.R. Grabowscy, „Germans in the Eyes of Germans", s. 33.
[68] E. Harvey, *op. cit.*, s. 173, 164.
[69] C. Bryant, *Either German or Czech*…, s. 695.
[70] W. Lower, Hitler's *„Garden of Eden" in Ukraine: Nazi Colonialism, Volksdeutsche, and the Holocaust, 1941–1944*, w: J. Petropoulos i J.K. Roth (red.), *Gray Zones: Ambiguity and Compromise in the Holocaust and Its Aftermath*, Berghahn, Oxford 2006, s. 194.
[71] M. Hastings, *Armageddon: The Battle for Germany, 1944–1945*, Knopf, New York 2004, s. 408.
[72] Por. np. N.G. Papp, *The German Minority between the Two World Wars: Loyal Subjects or Suppressed Citizens?*, „East European Quarterly" 1988, 22/4 (zima), s. 495–514.
[73] P. Fritzsche, *op. cit.*, s. 171.
[74] G. Aly, *op. cit.*, s. 126.

[75] V.O. Lumans, *A Reassessment of the Presumed Fifth Column Rôle of the German National Minorities of Europe*, w: J.K. Burton i C.W. White (red.), *Essays in European History: 1988–89*, t. 2, University Press of America, Lanham, MD 1996, s. 201.
[76] Cyt. za: D.L. Bergen, *op. cit.*, s. 82.
[77] A.C. Bramwell, *op. cit.*, s. 126.
[78] Z. Klukowski, *op. cit.*, wpisy z 15 II i 8 VI 1944 roku, s. 396 i 435.
[79] E. Schmaltz, *The „Long Trek": The SS Population Transfer of Ukrainian Germans to the Polish Warthegau and its Consequences, 1943–1944*, „Journal of the American Historical Society of Germans from Russia" 2008, nr 31/3 (jesień), s. 1–23.
[80] Wymowny tego przykład, por. *W sprawie „Volksdeutschów"*, „Gazeta Lubelska", 10 X 1944; cyt. za: L. Olejnik, *op. cit.*, s. 69–70.

ROZDZIAŁ 3

Schemat

Wypędzenie etnicznych Niemców nie tylko było największą przymusową migracją ludności w dziejach, ale być może zasługuje na miano największej wędrówki ludów w historii[1]. Wcześniej nikt, ani Hitler, ani Stalin, nie przeprowadził na taka skalę obław, nie przetransportował i nie przesiedlił tak gigantycznej liczby ludzi w tak krótkim czasie. Także podejmowane później przez państwa totalitarne akcje wysiedleń lokalnej ludności nie mogą się równać skalą z operacją będącą głównym tematem niniejszej książki.

Najbardziej uderzającym aspektem powojennych wysiedleń etnicznych Niemców było to, że pomysłodawcy tego przedsięwzięcia nawet nie próbowali wyciągać jakichkolwiek wniosków z przebiegu wcześniejszych akcji tego rodzaju i nie poczynili żadnych, choćby podstawowych przygotowań do czegoś, co pod względem skali wywołanego w środkowej Europie zamętu demograficznego ustępowało jedynie samej II wojnie światowej. Mimo że alianci mogli się nie domyślać, ilu ludzi trzeba będzie przesiedlić – zależało to w sporej mierze od tego, ilu etnicznych Niemców zginie lub na własną rękę ucieknie na Zachód, zanim zakończy się wojna – już od początku nie ulegało wątpliwości, iż deportacje obejmą milionowe rzesze. Problemy dotyczyły nie tylko wszelkich kwestii natury etycznej, ale także zakres działań logistycznych związanych z takim przedsięwzięciem był ogromny. Sprzymierzeni musieli najpierw określić, kogo zamierzają uznawać za „Niemców” na obszarach jednej z najbardziej zróżnicowanych etnicznie części kontynentu – proces taki,

bez względu na przyjęte kryteria, musiał nieuchronnie doprowadzić do rozdzielenia setek tysięcy rodzin. Wysiedleńców należało gdzieś zebrać, aby deportacja miała względnie płynny przebieg, a oni sami nie „rozpłynęli się” wśród miejscowej ludności. Wypadało zadecydować, ile rzeczy mogli ze sobą zabrać albo czy w ogóle pozwolić im cokolwiek ze sobą wziąć oraz co stanie się z pozostawionymi przez nich domami, przedsiębiorstwami i gospodarstwami. Wygnańcy mieli przemieszczać się masowo, korzystając z europejskich szlaków komunikacyjnych, które przez poprzednich pięć lat alianci próbowali zniszczyć, co w znacznym stopniu im się udało. Chciano ich przesiedlić do tej części Niemiec, którą sprzymierzeni jeszcze skuteczniej za pomocą bombardowań zrównali z ziemią. Na dłuższą metę zachodziła również konieczność zorganizowania pracy dla mas wysiedleńców, pochodzących z rolniczego na ogół wschodu, chcieliby utrzymać dotychczasową pozycję społeczną w uprzemysłowionej, zachodniej części niemieckiego kraju. Także społeczeństwo powojennych Niemiec powinno było możliwie najlepiej przygotować się do napływu gigantycznej liczby rodaków – znacznej części tych ludzi nie dało się określić mianem „produktywnych”, a wielu mówiło słabo po niemiecku albo w ogóle nie znało tego języka. I wreszcie wyłaniała się potrzeba zapewniania, aby, przynajmniej w czasie życia jednego pokolenia lub kilku następnych, owe miliony wygnanych, rozgoryczonych Niemców, pozbawionych mienia i mających wszelkie powody, by chcieć zmienić *status quo*, nie wpływały na kształt powojennej niemieckiej polityki i nie pchnęły jej raz jeszcze w kierunku podważania ustalonego po wojnie porządku oraz prób odzyskania siłą utraconych terytoriów na Wschodzie.

W świetle tych faktów można by dojść do wniosku, że jeszcze nigdy wcześniej w europejskiej historii osoby odpowiedzialne za wdrożenie tak ambitnego programu nie przystąpiły do tego z tak niefrasobliwym, nierozważnym wręcz nastawieniem. Taki wniosek oznaczyłby jednak pominięcie ważnego czynnika, jakim były panujące w owym okresie nastroje. Wielka Trójka nie miała złudzeń, jak wielki chaos zostanie wywołany przez podobną operację deportacyjną, nawet gdyby doszło do niej w optymalnych okolicznościach. Alianci zrezygnowali z powołania międzynarodowej organizacji, która by nadzorowała przesiedlenia i ograniczyła cierpienia deportowanych – ponieważ sprzymierzeni nie przykładali do tego większej wagi. Przeciwnie: w istocie uważano, że gehenna, jaką przejdą wygnańcy, będzie dla nich zdrowym rodzajem reedukacji, a rodowici Niemcy przekonają się na własne oczy, z jakim ryzykiem mogło się wiązać popieranie ekstremistycznych reżimów i zaborczych wojen. W pełni pojmowano, że wprowadzanie choćby pozorów ładu przesiedleniom, do czego polityków niestrudzenie nakłaniali doradcy, wymagałoby uruchomienia wielkiej i kosztownej międzynarodowej machiny – której politycy nie mieli zamiaru tworzyć. W okresie ostrych niedoborów, jak twierdzili stanowczo, środki i zasoby wypadało przeznaczyć na pomoc i przesiedlenia dla ofiar Niemiec, a nie samych Niemców. Ponadto wszelkie organizacje międzynarodowe powoływane w celu przeprowadzenia lub nadzorowania przemieszczania ludności, kiedy tylko powstałyby poważne problemy ekonomiczne czy humanitarne – a te musiały się pojawić – niemal nieuchronnie przeobraziłyby się w grupy nacisku działające na rzecz realizacji utopijnych zamierzeń rządów państw zaangażowanych w tę akcję. Liderzy koalicji antyhitlerowskiej wiedzieli, że okres bezpośrednio po

wojnie stwarzał im krótkotrwałą sposobność do wykreślenia na nowo politycznej i etnicznej mapy środkowej Europy, a przy tej okazji do przeprowadzenia w tym regionie radykalnych przemian społecznych i politycznych. I chociaż poglądy na to, jak takie rewolucyjne zmiany miałyby wyglądać, były pośród koalicjantów skrajnie odmienne, to i Anglosasi, i Sowieci dostrzegali w planach wypędzenia Niemców ważny czynnik przeobrażeń, do jakich dążyli, i gotowi byli podjąć ryzyko związane z wprowadzeniem w życie swych planów.

Godzi się tu wyjaśnić, że wypędzenia „niepożądanych" grup ludności to praktyka prawie tak stara jak sama historia. W Starym Testamencie znajdujemy opisy licznych przymusowych migracji Izraelitów i sąsiednich ludów; najbardziej znana z nich to opowieść o tzw. niewoli babilońskiej. Filip II Macedoński także zasłynął z przesiedlania swoich poddanych w IV wieku p.n.e., a jego syn Aleksander Wielki najwyraźniej uprawiał ten proceder na jeszcze większą skalę[2]. Epoka kolonialna przyniosła o wiele więcej przymusowych przesiedleń, którym często towarzyszyły – lub które nierzadko inicjowały – masakry. Czasami te wydarzenia miały uderzająco „nowożytny" charakter. Akt o przesiedleniu, ogłoszony po podboju Irlandii przez Olivera Cromwella, nakazywał irlandzkim posiadaczom ziemskim z trzech czwartych wyspy wynieść się do 1 maja 1654 roku do ubogiej zachodniej prowincji Connacht, aby zrobić miejsce dla angielskich i szkockich osadników; Irlandczycy pozostający na wschód od rzeki Shannon po wspomnianej dacie mieli być zabijani na miejscu. W ocenie Marcusa Tannera: „Ludzkie niedole z tym związane prawdopodobnie porównać można z tymi, jakie w latach czterdziestych XX wieku spadły na Polskę czy Rosję za sprawą nazistowskich Niemiec"[3]. Nieco mniejszą

skalę miała w Stanach Zjednoczonych niemal równie krwawa przymusowa relokacja części Czirokezów z Tennessee, Georgii i Alabamy do wschodniej Oklahomy, wygnanych tzw. szlakiem łez w 1838 roku; zapewne czwarta część z 15 tysięcy wysiedlonych mężczyzn, kobiet i dzieci zmarła, najczęściej podczas pobytu w obozach przejściowych. Wielkie przymusowe migracje miały też miejsce w Afryce i Azji. W kalifacie Sokoto na obszarze dzisiejszej Nigerii, największym niezawisłym kraju w dziewiętnastowiecznej Afryce, proceder niewolnictwa miał masowy charakter – około 1860 roku było tam co najmniej tylu niewolników, ilu w ówczesnych Stanach Zjednoczonych – i był on instrumentem wymuszonych przemieszczeń ludności w celu zabezpieczenia spornych terenów przygranicznych. „Przymusowe wysiedlenia […] miały na względzie wzmocnienie tego islamskiego państwa, co osiągano przez tworzenie skupisk ludności”[4]. Na zachodnich kresach Chin w okresie panowania dynastii Qing (mandżurskiej) w XVII i XVIII wieku „przeprowadzano deportacje i masowe uprowadzanie ludzi dla powiększania zasobów siły roboczej”[5].

Współcześni uczeni zgadzają się jednak, że to XX wiek był okresem szczytowego nasilenia wymuszanych przemieszczeń ludności. Rozwój państw narodowych w miejsce dynastycznych, wielonarodowych imperiów z poprzedniej epoki stanowił zarówno podłoże, jak i skutek ideologicznych nurtów i teorii, zgodnie z którymi granice polityczne i etniczne powinny być tożsame. Rewolucja przemysłowa oraz powiązany z tym szybki rozwój techniki wojennej wyraźnie zachwiały względną równowagą między zdolnościami państwa do narzucania swojej woli a możliwościami zwykłych ludzi, by opierać się jej, wobec czego okazało się, że najbardziej ekstrawaganckie wizje

i koncepcje mężów stanu można stosunkowo łatwo urzeczywistnić. Ta kombinacja ideologii totalitarnych i możliwości technologicznych przydała współczesnej epoce, jak twierdzą Richard Bessel i Claudia Haake, „zatrważająco nowego charakteru, w ujęciu jakościowym i ilościowym”[6]. I jeśli w przeszłości „niepożądane” mniejszościowe grupy ludności mogły, w wielu przypadkach, uchronić się przed prześladowaniami tępiących je władz – albo przez pozorne okazywanie posłuszeństwa tym władzom, albo też, w spornych regionach przygranicznych, za sprawą przybierania „elastycznej” tożsamości – to w nowożytnych, zbiurokratyzowanych państwach, z ich rozbudowanymi systemami klasyfikacji, nadzoru i kontroli, stało się to niemożliwe. A ponieważ wiek XX był zdecydowanie najbardziej burzliwym i okrutnym w historii i doszło w nim do rekordowej liczby wyjątkowo krwawych wojen, powody i okazje do wysiedlania mniejszości nadarzały się szczególnie często. Nieprzypadkowo dzisiejszym konfliktom zbrojnym, od tego w byłej Jugosławii po Darfur (w Sudanie), od Iraku po Kaukaz, towarzyszą nieskrywane próby zmiany demograficznego charakteru spornych obszarów za sprawą wypędzania części lub większości ich mieszkańców.

Pod wieloma względami I wojna światowa w latach 1914–1918 była próbą generalną przed masowymi przesiedleniami, które miały miejsce później w XX stuleciu. Trzy czwarte miliona etnicznych Niemców zostało wywiezionych w głąb Rosji przez carskie wojska w pierwszych miesiącach tego konfliktu; nim wojna się skończyła, do spisu ludów w Cesarstwie Rosyjskim podlegających wysiedleniu dołączyli Żydzi, Polacy, Łotysze, Litwini, Chińczycy, Koreańczycy oraz muzułmanie

z Kaukazu. Dziesiątki tysięcy Serbów doznały tego samego losu w Austro-Węgrzech[7]. Wojska kajzera, kierując się przesłankami strategicznymi, przymusowo deportowały grupy ludności belgijskiej, francuskiej i litewskiej, wyludniając wybrane tereny przyfrontowe i czyniąc z nich „ziemię niczyją", którą trudniej było opanować oddziałom alianckim. Najbardziej ponurą sławą okryły się wydarzenia rozgrywające się od września 1915 do lutego 1916 roku w imperium osmańskim, skąd Turcy wygnali około miliona Ormian na syryjskie i irackie pustynie, a incydent ten stanowił poniekąd wzorzec dla wszystkich późniejszych akcji ludobójczych: wypędzeniom towarzyszyło masowe zabijanie, często stanowiące cel sam w sobie. Śmiertelność wśród wypędzonych Ormian, których Turcy świadomie skazywali na zagładę, sięgała prawdopodobnie 50 procent; setki tysięcy innych ormiańskich ofiar zgładzono bardziej „konwencjonalnymi" metodami. Niemało słuszności jest w opinii Donalda Bloxhama, że rok 1914 bynajmniej nie był szczególną cezurą, która podzieliła rzekomo pokojową międzynarodową scenę. Już od połowy lat osiemdziesiątych XIX wieku południowo-wschodnia Europa była bowiem areną „wymuszonych migracji ludności, jak również wielkiej przemocy, wymierzonej w cywilów i żołnierzy. […] Wszystkie tamtejsze wojny miały podłoże etniczne, a te narodowościowe konflikty trwały nieprzerwanie do I wojny światowej i dalej, stanowiąc *continuum*, z którego perspektywy należy postrzegać wewnętrzne konflikty wywołane w wyniku nazistowskiej okupacji Europy Wschodniej"[8].

Nawet po ponownym nastaniu pokoju rządy państw narodowych zainicjowały wypieranie niepożądanych mniejszości metodami zastosowanymi na znacznie większą skalę 20 lat później. Przykładem jest tu przeprowadzone

przez Francję „oczyszczanie” (*épuration*) przygranicznych prowincji, Alzacji i Lotaryngii, w latach 1918–1921, które Mark Mazower określił mianem „otwarcie rasistowskiego łamania praw obywatelskich ludności niemieckojęzycznej” w tych regionach[9]. Bismarck po zwycięstwie w wojnie francusko-pruskiej w 1870 roku nierozważnie włączył te mieszane pod względem etnicznym prowincje do Rzeszy, co stało się podłożem długotrwałego antagonizmu między Francuzami a Niemcami. Kiedy w 1918 roku Francja odzyskała Alzację i Lotaryngię, niezwłocznie przystąpiła do usuwania przyczyn ewentualnych przyszłych sporów o te krainy, wydalając z nich osoby, które, jak sądzono, mogły się opowiadać za ich powrotem do Niemiec. Dla ułatwienia tego procesu ludność obu tych prowincji z końcem grudnia 1918 podzielono na cztery kategorie. Mieszkańcy niewątpliwie lojalni wobec Francji otrzymali dokumenty tożsamości opatrzone literą „A”, oznaczającą, że byli obywatelami francuskimi jeszcze przed wojną francusko-pruską. Ci, którzy mieli przed 1870 rokiem przynajmniej jednego francuskiego rodzica, dostali karty z literą „B”. Obywatele krajów alianckich lub neutralnych zostali zaliczeni do kategorii „C”; pozostali – łącznie 513 tysięcy osób „obcej” narodowości wraz z dziećmi, w tym również te urodzone w Alzacji albo Lotaryngii – trafiło do kategorii „D”. Jak widzimy, podlegli Heinrichowi Himmlerowi eksperci od ras wykorzystali ten model do opracowania *Deutsche Volksliste* w okupowanej Polsce dwie dekady później.

Podobnie jak *Volksliste*, ów francuski schemat klasyfikacyjny można było łatwo zastosować w celach dyskryminacyjnych oraz przy wysiedlaniu. Posiadacze dokumentów z literą „A” mogli na przykład wymieniać niemieckie marki na franki po znacznie korzystniejszym

kursie niż członkowie innych kategorii. Ludzie z grupy „B” często mieli trudności ze znalezieniem zatrudnienia w sektorze publicznym, a to ze względu na swe „mieszane” pochodzenie. Nie trzeba dodawać, że najsurowszym ograniczeniom podlegały osoby z kategorii „D”, którym między innymi nie wolno było swobodnie podróżować. Jednakże już wkrótce drobne szykany zastąpiono deportacjami. Najpierw wydalano niemieckojęzycznych urzędników państwowych, w następnej kolejności fabrykantów i bezrobotnych. O ich losie decydowały *commissions de tirage*, obradujące na zamkniętych spotkaniach i oceniające na nich profrancuskie nastawienie wybranych osób, często na podstawie donosów lokalnych urzędników i obywateli prowadzących prywatne wojny z sąsiadami. Tych, których oceniono nieprzychylnie, odstawiano do granicy niemieckiej. Wypędzonym wolno było zabrać 30-kilogramowy bagaż i do 2 tysięcy marek, a cały ich pozostały majątek przepadał na rzecz państwa francuskiego. Ale jeszcze większą liczbę alzackich i lotaryńskich Niemców nakłaniano do „dobrowolnej repatriacji” na tych samych warunkach. Zgadzali się na to, gdyż spodziewali się, że i tak w końcu zostaną wysiedleni, a także dlatego, że życie osób z kategorią „D” stało się nieznośne, że ich dzieciom wydano dokumenty z literą „D” lub czasami z powodu spodziewanych fizycznych napaści ze strony przedstawicieli francuskiej większości. Ogółem prawie 100 tysięcy wysiedleńców i „dobrowolnych repatriantów” przemieszczono do Niemiec, zanim opisany system został zniesiony w 1921 roku[10].

Także Turcja po przeprowadzeniu rzezi Ormian odegrała po wojnie główną rolę w przedsięwzięciu, które w tym czasie było największym transferem ludności w dziejach. Po klęsce państw centralnych w 1918 roku alianci ukarali

imperium osmańskie za popieranie Niemiec – odebrali Turkom ich bliskowschodnie prowincje, przyznali Ormianom prawo do stworzenia niezawisłego państwa, wreszcie zdemilitaryzowali Turcję w większym nawet stopniu, niż traktat wersalski rozbroił Niemcy. Ogółem imperium osmańskie utraciło aż 72 procent przedwojennych terytoriów. Najbardziej kontrowersyjnym postanowieniem traktatu z Sévres, który narzucił Turkom takie warunki, był wymóg zrzeczenia się wschodniej Tracji – zaplecza Konstantynopola – oraz przekazanie tymczasowego zarządu nad zachodnią Anatolią wraz z jej głównym portem Smyrną (dzisiejszym Izmirem) Królestwu Grecji. Zamiar aliantów polegał na wykorzystaniu Greków do przeprowadzenia wymuszonego rozbioru imperium osmańskiego, lecz w istocie pomysł ten przyniósł katastrofalne skutki. Etniczny antagonizm między Grekami a Turkami był tak silny i głęboki, że nie było możliwości, aby Turcy kiedykolwiek pogodzili się z twardą grecką okupacją. Ponadto pięć milionów Greków nie stanowiło skutecznej przeciwwagi dla niemal dwukrotnie liczniejszej tureckiej populacji zamieszkującej wspomniane obszary. W 1922 roku nowa bojowa armia turecka pod wodzą Mustafy Kemala wyparła Greków z Anatolii i Tracji, a także złupiła Smyrnę, zabijając przy tym prawie 100 tysięcy Greków i Ormian w jednej z najstraszliwszych masakr XX wieku. Na miejscu anachronicznego sułtanatu powstała Republika Turecka pod przewodnictwem Kemala, który przyjął nazwisko „Atatürk” („Ojciec Turków”). Tak jak niemal wszystkim grecko-tureckim konfliktom z poprzedniego stulecia, starciom zbrojnym towarzyszyły czystki etniczne, przeprowadzane przez obie strony w zdobytych miasteczkach i wsiach. Grecy poważnie ucierpieli na tej przegranej wojnie. Prawie milion Greków

zbiegło przed wojskami tureckimi do Grecji przed zawarciem kruchego rozejmu w październiku 1922 roku. Podpisany następnego lata traktat w Lozannie zniósł większość postanowień z Sévres i wytyczył nowe granice greckie i tureckie, co zasadniczo było efektem zabiegów dyplomatycznych brytyjskiego ministra spraw zagranicznych George'a Nathaniela Curzona. Jeden z kluczowych punktów tego porozumienia przewidywał obowiązkową wymianę ludności pomiędzy oboma krajami.

Fakt, że zachodni alianci często powoływali się na traktat lozański w czasie II wojny światowej i już po niej jako na udany precedens masowego transferu ludności, świadczy tylko o tym, jak bardzo nieświadomi byli jego rzeczywistych konsekwencji. Pierwszą rzeczą godną uwagi było to, że w zasadzie w Lozannie ratyfikowano tylko zaistniały stał rzeczy. Z 1 200 000 etnicznych Greków objętych zawartymi porozumieniami większość, z wyjątkiem 190 tysięcy, uciekła do Grecji przed zakończeniem walk. Liczba Turków mieszkających na ziemiach administrowanych przez Greków wynosiła tylko około 350 tysięcy. Faktyczne przesiedlenia objęły zatem zaledwie około pół miliona ludzi – czyli znacznie mniej niż miano przemieścić na stałe po II wojnie światowej. A to, że wyznanie religijne posłużyło jako wyznacznik narodowości, dodatkowo wielce uprościło przebieg całej operacji. Ponieważ liczba greckich muzułmanów i tureckich chrześcijan była znikoma, podobnie jak mieszanych małżeństw grecko-tureckich, rozdzielenie obu nacji nie przedstawiało większych trudności. Przesiedlenia odbywały się pod międzynarodowym nadzorem i pod auspicjami innych państw. Do nadzorowania całej akcji powołano specjalną komisję zajmującą się osiedlaniem uchodźców i rozstrzyganiem spornych kwestii; Liga Narodów

wyasygnowała dotację w wysokości 20 milionów funtów, a uzyskane przez Grecję pożyczki ułatwiły temu państwu rozwiązanie problemu przesiedlenia około jednej czwartej ludności. Wysiedleńcom wolno było zabrać ze sobą cały ruchomy majątek i otrzymali oni pomoc w przewozie swoich dóbr do nowych domów. I wreszcie na przeprowadzenie całej akcji wyznaczono odpowiedni czas, co względnie zminimalizowało związane z nią problemy.

Pomimo wszystkich tych sprzyjających okoliczności przesiedlenia uzgodnione w Lozannie skończyły się pod wieloma względami fiaskiem. Dla Turcji bezpośrednie skutki były stosunkowo mało dotkliwe: znalezienie nowych domów Turkom wydalonym z Grecji, którzy stanowili zaledwie 4 procent populacji nowego państwa tureckiego, nie nastręczyło większych trudności. Na dłuższą metę wynikły jednak poważniejsze problemy – część Anatolii do dziś jest wyludniona, a lokalna gospodarka uległa częściowemu załamaniu wskutek wyjazdu znacznej grupy miejscowych przedsiębiorców, z pochodzenia Greków. I jeśli wyjazd chrześcijan, zdaniem Garetha Jenkinsa, „ułatwił stworzenie państwa [tureckiego], to także zahamował rozwój ekonomiczny Turcji na co najmniej jedno pokolenie”[11]. Z kolei na Greków traktat lozański wywarł długotrwały i niemal jednoznacznie negatywny wpływ. Trudności wywołane masowym napływem ludności wymusiły przeprowadzenie radykalnego, acz niewłaściwie wdrażanego programu reformy rolnej oraz budowę ponad tysiąca nowych wsi dla pomieszczenia przybyłych. Nawet to okazało się niewystarczające. Wielkie rzesze tureckich Greków schroniły się w prowizorycznych barakach i ruderach w pobliżu Aten i innych większych miast, znalazłszy się na marginesie społecznym; miejscowi Grecy patrzyli na nich z góry, odnosząc się nader niechętnie do

ich obcych, tureckich nawyków. Destabilizacji greckiego życia społecznego towarzyszyło załamanie gospodarcze. Mimo zagranicznej pomocy koszt obsługi zadłużenia związanego z osiedlaniem wygnańców oraz budową dróg, mostów i szkół w nowych osadach był wysoki. W latach 1922–1932 ponad 40 procent greckiego budżetu przeznaczano na akcję osiedleńczą[12]. Zapewne najgorsze były skutki polityczne. Wyrwani z tradycyjnych środowisk, zubożali i niechętnie witani przez miejscową ludność, przesiedleńcy stanowili naturalne zaplecze radykalnych ruchów politycznych, zasilając zwłaszcza słabiutką wcześniej Komunistyczną Partię Grecji. I choć zażarta i krwawa grecka wojna domowa, która wybuchła w 1946 roku, miała bardziej złożone przyczyny, aniżeli tylko społeczne podziały między przybyszami a zasiedziałą ludnością, to radykalizacja greckiej polityki wynikła z opisanych przesiedleń w znacznej mierze do niej doprowadziła[13].

Twierdzenie, że lozański transfer był udanym przedsięwzięciem, należy więc podważyć w obliczu zaprzeczających temu świadectw. Sam Curzon przyznał to jako pierwszy. Chociaż niechętnie uległ naciskom Atatürka, by nadać przesiedleniom charakter przymusowy – wobec groźby Atatürka, że w przeciwnym razie Turcja przystąpi do systematycznej eksterminacji greckiej mniejszości – dalekowzrocznie przestrzegał, że wypędzanie ludzi to „z gruntu złe i podłe rozwiązanie, za które świat zapłaci drogo w nadchodzącym stuleciu”[14]. Założenie, że przesiedlenia zapobiegły dalszym konfliktom grecko-tureckim, okazało się fałszywe w 1974 roku wraz z turecką inwazją na Cypr, po której Ankara trzy tygodnie później zażądała oficjalnie opuszczenia Turcji przez pozostałą tam jeszcze ludność grecką. Dziwi zatem, że w czasopiśmie „New English

Weekly” pisano z zachwytem w styczniu 1945 roku, iż traktat z Lozanny uważa się za „osiągnięcie «pokojowe», którym Liga Narodów szczyciła się w swoim czasie i które kilkakrotnie prezentowano jako wzór godny naśladowania w potencjalnie zapalnych sytuacjach”[15].

Z powyższych powodów przesiedlenia ludności nie wydawały się najlepszym rozwiązaniem przywódcom na Zachodzie w okresie międzywojennym. Jeśli już o nich wspominano, to traktując je zwykle jako ostateczność. Pomysł podobnej przymusowej wymiany ludności arabskiej i żydowskiej w Palestynie, przedstawiony przez tzw. Komisję Peela w 1936 roku, zarzucono rok później pod wpływem krytyki na sesjach Ligi Narodów[16]. Władze brytyjskie i francuskie rozważały plan wymiany ludności między Niemcami a Polską w ostatnich tygodniach pokoju w roku 1939; brytyjski ambasador Nevile Henderson oficjalnie przedstawił Hitlerowi taki projekt 25 sierpnia[17]. To wszak wyjątki. W początkowych latach wojny jednym z najbardziej nieprzejednanych przeciwników tego rodzaju „inżynierii demograficznej”, do którego uciekali się Hitler i Stalin, był sam Winston Churchill. Wyjaśniając australijskiemu premierowi Johnowi Curtinowi na Boże Narodzenie 1941 roku, dlaczego nie może uznać dokonanej przez Stalina aneksji części Polski na wschód od linii Curzona i wywózek większości tamtejszych Polaków w głąb ZSRR, stwierdził, że „ten przymusowy transfer licznej ludności, wbrew jej woli, do strefy komunistycznej […] podważa fundamentalne zasady wolności, które są główną przesłanką sprawy, [o którą walczymy]”[18]. Mimo że same niegdyś dokonywały wysiedleń tubylców, Stany Zjednoczone oficjalnie przeciwstawiały się przesiedleniom, nierzadko powołując się na własne sukcesy

w „amerykanizowaniu” imigrantów z różnych grup etnicznych[19].

Jednak, jak przekonaliśmy się z lektury rozdziału 1, w warunkach wojny totalnej pryncypia szybko ulegały erozji. Stany Zjednoczone po ataku na Pearl Harbor przymusowo przemieściły 112 tysięcy etnicznych Japończyków z wybrzeży USA w głąb kontynentu, umieszczając ich w obozach, które nosiły mylącą nazwę „koncentracyjnych” (choć internowanie obywateli ze względu na ich pochodzenie etniczne zasługiwało na surową krytykę, to jednak w trakcie wojny jednej trzeciej zatrzymanych w tych obozach umożliwiono podejmowanie nauki i pracy poza ich obrębem). Co więcej, wraz z przystąpieniem do wojny USA i Związku Radzieckiego w Wielkiej Brytanii nie uważano już za konieczne, by tak często zwracać uwagę na nieludzkie przesiedlenia przeprowadzane przez Hitlera, co miało odróżniać cele wojenne imperium brytyjskiego od tych stawianych sobie przez nazistowskie Niemcy.

Zmiana nastawienia wobec tego, co wcześniej uznawano za „zbrodnie wojenne”, to jedno; czymś zupełnie innym było określenie, jak przesiedleń dokonywać. W USA nie zajmowano się poważniej tą kwestią, uznając ją za problem Europejczyków. Jednak już wstępne analizy przeprowadzone przez Brytyjczyków wykazały, że będzie to gigantyczne i nader trudne przedsięwzięcie. Pierwsze, dość pobieżne badania nad tym zagadnieniem zostały przeprowadzone przez nieformalną grupę roboczą, współpracującą z brytyjskim MSZ – Zagraniczną Służbę Analityczno-Prasową (później przemianowana na Wydział Badawczy MSZ) z siedzibą w Oksfordzie w lutym 1942 roku. Przejawem typowo brytyjskiej ekscentryczności było powierzenie opracowania raportu na ten temat Johnowi

Mabbottowi, metafizykowi z College'u Świętego Jana, znanemu z takich rozpraw jak *Miejsce Boga w filozofii Berkeleya*. Mimo wszystko Mabbott stanął na wysokości zadania i przygotował jasne, logiczne oraz realistyczne oszacowanie przedstawionego problemu. Wykazał, że w odróżnieniu od wcześniejszych akcji wymiany ludności, tym razem jednej ze stron nie będzie zależało na powodzeniu tego przedsięwzięcia. W związku z tym cała odpowiedzialność za przeprowadzenie przesiedlenia spadnie wyłącznie na aliantów. Jeśli zatem chce się uniknąć fiaska, będącego rezultatem porozumień z Lozanny, kiedy to większość anatolijskich Greków musiała pospiesznie „ewakuować się ze Smyrny «jak [alianci] z Dunkierki»", to zarówno nad regionami objętymi wysiedleniami, jak i tymi, gdzie trafić mieli przesiedleńcy, należało roztoczyć bezpośredni nadzór jakiejś organizacji międzynarodowej. Jeżeli tak się nie stanie, to wypada się spodziewać masowych gwałtów Polaków i Czechosłowaków na ludności niemieckiej oraz wypędzenia jej do Niemiec „z prawie niczym poza letnimi ubraniami na grzbietach". Ponadto, jeśli alianci nie chcą doprowadzić do zapchania środkowoeuropejskich dróg i linii kolejowych wygnańcami, powinni przeznaczyć od 5 do 10 lat na przeprowadzenie tej operacji. „Potrwać to powinno około 10 lat, o ile ewakuowanie każdego z rejonów ma czekać do czasu przygotowania odpowiednich miejsc na przesiedlenie czy też planów osiedleńczych u kresu wędrówki [wysiedlonych]". A ponieważ ze względów praktycznych trudno było oczekiwać, by państwa dokonujące wysiedleń czekały tak długo, „ocalali Niemcy będą musieli zostać stłoczeni w obozach koncentracyjnych w Niemczech. […] Takie prowizoryczne metody musiano zastosować w Grecji [po traktacie lozańskim], gdzie wielu uchodźców

przebywało przez długi okres (często kilka lat) w budynkach szkół, teatrów, halach targowych i prymitywnych barakach, które na ogół przekształciły się w zamieszkane na stałe slumsy”[20].

Choć Mabbott przezornie wystrzegał się w swoim szkicowym opracowaniu wyrażania jakichkolwiek osobistych opinii na temat sensu przymusowych przesiedleń, to jednak między wierszami dawał do zrozumienia, że demograficzne przeobrażenie Europy na skalę planowaną przez alianckich polityków i dyplomatów będzie się wiązało z o wiele większymi problemami logistycznymi, aniżeli to sobie wyobrażano. Po tym, jak członkowie koalicji antyhitlerowskiej w latach 1942–1943 mimo wszystko zdecydowali się na przeprowadzenie akcji przesiedleńczej, oczywistym następnym krokiem było opracowanie szczegółowego studium poświęconego praktycznym aspektom masowego wypędzenia etnicznych Niemców ze środkowej Europy. Zdumiewające, że aż do listopada 1943 roku brytyjski rząd nie zlecił przygotowania takiej ekspertyzy; pozostali główni koalicjanci, czyli Amerykanie i Sowieci, jak się zdaje, w ogóle nie zajmowali się w tym czasie tą sprawą. Brytyjczycy wyznaczyli do przeprowadzenia analiz wysokich rangą urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Cabinet Office (departamentu rządowego), Ministerstwa Gospodarki Wojennej i Ministerstwa Wojny oraz Ministerstwa ds. Dominiów, a pokierował pracami czołowy pracownik Wydziału Niemieckiego MSZ, Jack Troutbeck. Po sześciomiesięcznych analizach tego Międzywydziałowego Komitetu ds. Przesiedlenia Niemieckiej Ludności przedstawił on swój raport na 51 stronach maszynopisu Komisji Powojennego Rozejmu, czyli gronu ministrów i urzędników rządowych obarczonych misją sporządzania

planów powojennego świata. Znaczenie wspomnianego raportu wynika nie tyle z działań podjętych zgodnie z zaleceniami Komitetu, ile z tego, że stanowił jedyną realną próbę podjętą przez któryś z zainteresowanych krajów, aby rozważyć, jakie mogły być konkretne wymagania i konsekwencje związane z projektem przesiedleńczym.

Prace Międzywydziałowego Komitetu były dodatkowo utrudniane, ponieważ w chwili powołania go nie zapadły jeszcze decyzje dotyczące powojennych granic Niemiec, a wobec tego nie było wiadomo, ilu Niemców należałoby przesiedlić. Latem roku 1943 Podkomisja Wojskowa brytyjskiego gabinetu rządowego zaproponowała wysiedlenie około 4 500 000 Niemców z ziem, które po wojnie zamierzano przyznać Polsce. Anthony'ego Edena poważnie zaniepokoiła skala proponowanych przesiedleń i zasugerował na posiedzeniu Gabinetu Wojennego, by Polska otrzymała mniejszy skrawek niemieckiego terytorium, z mniejszą liczbą mieszkańców wyznaczonych do przemieszczenia. Jednak Churchill wydawał się zmierzać w kierunku innego rozwiązania, na konferencji w Teheranie w listopadzie 1943 roku złożył nieformalne zobowiązanie przesiedlenia nieokreślonej liczby Niemców z obszarów, które miały przypaść Polsce. Na tym pierwszym wojennym spotkaniu alianckiej Wielkiej Trójki nieomal doszło do rozłamu, gdy Stalin zjadliwie i obcesowo potraktował brytyjskiego premiera, a Roosevelt nierozważnie postanowił otwarcie zademonstrować swe poparcie dla radzieckich celów geopolitycznych w Europie. W impulsywnej próbie odzyskania dyplomatycznej inicjatywy i, być może, potwierdzenia własnego znaczenia na scenie międzynarodowej Churchill odbył prywatną rozmowę ze Stalinem. Wówczas, posłużywszy się trzema zapałkami,

nakreślił scenariusz, zgodnie z którym ZSRR zatrzymałby zajęte w 1939 roku terytoria Polski, a w zamian za nie Polacy mieli dostać taką samą pod względem obszaru część ziem niemieckich na zachodzie. Aczkolwiek nie dyskutowano szczegółowo kwestii przesiedlenia ludności niemieckiej, jasne było bez słów, że Polski nie zamierzano obciążać brzemieniem licznej obcej mniejszości. Brytyjski premier oświadczył, że jeśli w Londynie polskie władze na uchodźstwie nie zgodzą się na taką zamianę, to on sam przestanie je popierać. Stalin był zachwycony tym ustępstwem Churchilla, a konferencja zakończyła się w atmosferze o wiele bardziej serdecznej niż ta, jaka panowała na początku. Sowiecki dyktator wykazał, jaką wagę przykładał do tej rezygnacji Brytyjczyków z obrony interesów polskich, niemieckich i własnych, wysyłając, w ślad za powracającym do Anglii Churchillem, Edvarda Beneša z „mapą Polski osobiście podpisaną przez Stalina”, na potwierdzenie dobitego targu. Czechosłowacki prezydent, który miał własne powody, by życzyć Polakom wysiedlenia tylu Niemców, ilu tylko się da, wręcz palił się, żeby przystąpić do realizacji tej cokolwiek uwłaczającej misji z poruczenia swego nowego patrona[21].

Międzywydziałowy Komitet sporządził zatem swój raport w specyficznych okolicznościach, pod wpływem żądań rozszerzenia skali wysiedleń w rezultacie decyzji, jakie zapadły na najwyższym szczeblu, dosłownie z dnia na dzień. Mimo że siłą rzeczy musiał się w swoich pracach kierować pewnymi domysłami, to błyskawiczna ofensywa Armii Czerwonej na wiosnę i wczesnym latem 1944 roku sprawiła, iż zaistniała możliwość, że wojna wkrótce się skończy, a cały obszar objęty deportacjami znajdzie się w radzieckiej strefie wpływów. Gdyby tak właśnie się miało stać, to Brytyjczycy wcale nie musieliby brać

bezpośredniego udziału w wysiedleniach. „Przemieszczenia [ludności] na wielką skalę, nawet starannie zorganizowane, prawdopodobnie będą źródłem wielkich cierpień i nadużyć i dadzą pożywkę powszechnej krytyce. Rząd Jego Królewskiej Mości wolałby w związku z powyższym w miarę możności umyć ręce od wszelkiego czynnego uczestnictwa w ich przeprowadzaniu”[22]. Członkowie komitetu jednak nie byli pewni, czy taka godna Piłata postawa okaże się w rzeczywistości możliwa, skoro władze brytyjskie ponosiły współodpowiedzialność za polityczną decyzję o wydaleniu Niemców i „mogłyby być niezdolne, mimo wszelkich chęci, do zrzucenia odpowiedzialności za ludzkie cierpienia i gospodarcze zakłócenia z tym związane, które czynne [brytyjskie] uczestnictwo pewnie mogłoby złagodzić”.

Liczba potencjalnych wygnańców, jak przyznawano w raporcie komitetu, miała przyćmić swym ogromem „grecko-tureckie i grecko-bułgarskie wymiany [ludności], które nastąpiły po ostatniej wojnie, albo rozmaite niezrealizowane, choć planowane na stałe przesiedlenia dokonywane przez Niemców w trakcie tej [wojny] lub tuż przed jej wybuchem”[23]. A więc obarczeni zadaniem przesiedlenia ludności niemieckiej mogli się powoływać na niewiele historycznych precedensów. Wedle najbardziej optymistycznego scenariusza zostałoby wysiedlonych około 5 340 000 Niemców, gdyby po wojnie Gdańsk, Prusy Wschodnie i Górny Śląsk miały przypaść Polsce; jeśliby zaś nowa granica niemiecko-polska miała przebiegać wzdłuż górnego biegu Odry, a Wrocław i Szczecin znalazłyby się po stronie polskiej, to musiałoby opuścić te tereny jeszcze 3 300 000 ich mieszkańców. Beneš nieustannie zmieniał liczbę Sudetendeutschów, których proponował wysiedlić, jednak generalnie Czechosłowacy chcieli się pozbyć co najmniej połowy swoich etnicznych Niemców, to jest około

półtora miliona. Brytyjski komitet oceniał, że łącznie, „w najgorszym razie”, przyjdzie wysiedlić 10 140 000 osób.

Dla członków komitetu było jasne, że przytłaczająca większość wysiedleńców nie zechce udać się nigdzie indziej niż do powojennego państwa niemieckiego lub niemieckich państw, które ostatecznie powstaną. Chociaż sądzono, że Austria była w stanie przyjąć proporcjonalnie więcej wysiedlonych niż same Niemcy, to liczba wygnanych, którzy mogli tam osiąść, nie przekroczyłaby stu kilkunastu tysięcy. Powołując się na wcześniejszą wypowiedź Orme’a Sargenta z brytyjskiego MSZ, który stwierdził, że „przyszłość tych [wysiedlonych] ludzi przypuszczalnie przyciągnie znacznie mniejszą uwagę i wywoła mniejsze wzburzenie polityczne, niż gdyby przepadli na Syberii”, komitet zauważył, iż „problem osadnictwa w Niemczech można by poważnie złagodzić, gdyby w okresie, kiedy dojdzie do transferu ludności, kilka milionów aktywnych Niemców zaangażować jako zorganizowaną siłę roboczą [do pracy] na zniszczonych obszarach poza Niemcami, np. w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich”[24]. Ale, jak dodano w raporcie, niewiele wskazywało na to, aby większy odsetek przedstawicieli etnicznej ludności niemieckiej wylądował na dłużej w stalinowskich łagrach, i stwierdzono z pewnym żalem, że „obecnie należy wykluczyć Syberię”. O ile kraje latynoamerykańskie, na przykład Argentyna, mogły być skłonne do przyjęcia znaczniejszej liczby Niemców, o tyle Stany Zjednoczone raczej nie odnosiły się z entuzjazmem do pomysłu utworzenia licznej i zwartej kolonii byłego nieprzyjaciela na „swojej” półkuli. W jeszcze większym stopniu odnosiło się to do nastawienia samych Brytyjczyków. „Co się tyczy Imperium, sprzeciw wobec masowego napływu imigrantów z Niemiec do naszych

posiadłości kolonialnych jest oczywisty i nie podlega dyskusji”[25].

Komitet za okres najbardziej niebezpieczny dla gospodarki uważał kilka pierwszych lat powojennych. Jego wnioski dotyczące rozmiarów związanego z tym ryzyka dawały do myślenia. Komitet ostrzegał, że na krótką metę

> […] przesiedlenia wywołają problemy ekonomiczne najpoważniejszej natury – ostre zarówno w Niemczech, jak i w krajach przeprowadzających wysiedlenia, zdecydowanie najgorsze jednak w samych Niemczech. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że nałożenie się dodatkowych obciążeń ekonomicznych na Niemcy w związku z akcją przesiedleńczą i skutków ogromnych spustoszeń po przegranej wojnie, spowodowanych nią zniszczeń oraz kontrybucji nałożonych przez Narody Zjednoczone może pociągnąć za sobą trudności gospodarcze, które okażą się nierozwiązywalne i doprowadzą do całkowitego upadku Niemiec[26].

Nawet w mało prawdopodobnej sytuacji, gdyby alianci zaniechali ściągania z Niemiec reparacji i kontrybucji wojennych dla pokrycia kosztów okupacji tego kraju, niemiecka gospodarka zapewne nie poradziłaby sobie z zadaniem zapewnienia wypędzonym domów, pracy i żywności w nieodzownej skali. Gdyby nawet do Niemiec napłynęła ich liczba określana w szacunkach komitetu jako minimalna w granicach oczekiwanej, to władze sprzymierzonych musiałyby się liczyć z przybyciem „około 6 milionów osób – czyli, powiedzmy, półtora miliona rodzin – do kraju, w którym już brakowało siedzib dla ponad 4 milionów mieszkańców. Nowe domy, zapewnione przez pracujący z maksymalną wydajnością przemysł budowlany, mogłyby rozwiązać ten problem jedynie w marginalnym

stopniu”[27]. Przed wojną w Niemczech budowano rocznie 300 tysięcy domostw. Jeśliby nawet liczbę tę udało się jakoś zwiększyć o 50 procent w pierwszym roku pokoju i o sto procent w kolejnych latach – co wydawało się zupełnie nierealne – to upłynęłaby dekada, zanim wygnańcy znaleźliby dach nad głową. Przesiedlenie 300 tysięcy rodzin chłopskich wymagało stworzenia nowych gospodarstw rolnych za sprawą podziału wielkich majątków ziemskich i zajęłoby przynajmniej 30 lat. Co się tyczyło miejsc pracy, to tylko jedna trzecia wysiedleńców mogła liczyć na znalezienie zajęcia w swoim wyuczonym fachu, a reszta przypuszczalnie dołączyłaby do rzeszy niewykwalifikowanych robotników, a może i bezrobotnych. Ponadto kraje przeprowadzające wysiedlenia zmagałyby się, podobnie jak same Niemcy, z zakłóceniami produkcji na skutek utraty wielu wykwalifikowanych pracowników, których nie będzie tak łatwo zastąpić, a ich niedobór „może mieć poważne reperkusje, gdyż doszłoby do niego w okresie ogólnego braku produktów rolnych”[28].

Dla zminimalizowania skrajnie dotkliwych trudności związanych z masowymi przesiedleniami komitet zalecił zorganizowanie międzynarodowej komisji przesiedleńczej. Komisja ta, reprezentująca aliancką Wielką Trójkę oraz Polskę i Czechosłowację, miałaby koordynować i regulować warunki, w jakich odbywałyby się wysiedlenia, podlegając zarazem Alianckiej Komisji Kontroli w okupowanych Niemczech. Należało także powołać trzy regionalne podkomisje – odpowiedzialne za Kraj Sudecki, Prusy Wschodnie i Pomorze Gdańskie oraz Górny Śląsk – do nadzorowania logistycznych aspektów akcji przesiedleńczej. Członkowie komitetu stanowczo doradzali jednak przy tym, aby odpowiedzialnością za ponowne osiedlenie wychodźców nie obarczać ani wspomnianej

komisji przesiedleńczej, ani też Administracji Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy i Odbudowy (UNRRA), czyli nieco wcześniej powołanej do życia agencji, która miała zadanie materialnego wspierania wyzwalanych narodów europejskich. Koszty akcji przesiedleńczej winni ponosić sami Niemcy. Nadto komisja przesiedleńcza nie powinna zajmować się rozstrzyganiem, kto jest, a kto nie jest Niemcem, gdyż kwestia ta była na dobrą sprawę istnym „polem minowym". W odróżnieniu od wymiany ludności po traktacie lozańskim wyznanie religijne tym razem nie stanowiło zadowalającego znacznika narodowości. Ale także „rasa albo język" nie podpowiadały, co zrobić z tymi licznymi osobami, które były dwujęzyczne, wchodziły w skład mieszanych małżeństw czy rodzin, nosiły nieniemieckie nazwiska bądź też wcześniej przyjęły niemieckie obywatelstwo pod przymusem. „Komitet doszedł do wniosku, że trudności z wyborem jakiegokolwiek obiektywnego kryterium są na tyle wielkie, że prawdopodobnie nie uporałoby się z nimi żadne z międzynarodowych władz"[29]. Ostatecznie zaproponowano, zgodnie z sugestią Beneša, że każdy uważany za Niemca w świetle nazistowskich przepisów o narodowości będzie podlegał wysiedleniu, ale przy tym rządy krajów objętych wysiedleniami powinny mieć prawo zatrzymania u siebie wszystkich tych, których usługi uznano za nieodzowne dla lokalnej gospodarki.

Wreszcie komitet uznał za szczególnie ważne, by komisja przesiedleńcza dysponowała prerogatywami w zakresie wyboru czasu i okoliczności akcji deportacyjnej. Polacy i Czechosłowacy bez wątpienia życzyliby sobie nadania tej akcji przyspieszonego, forsownego tempa, co mogło doprowadzić do katastrofy ekonomicznej w samych Niemczech, i to jeszcze w okresie, gdy alianci brali na

siebie odpowiedzialność za losy tego kraju. Ale dość długo trzeba było czekać na sprecyzowanie, które ziemie niemieckie miały przypaść sąsiednim krajom. Ponadto wydawało się mało prawdopodobne, by udało się wydzielić wystarczające środki transportu w okresie do roku po zwycięstwie nad Niemcami. Władzom krajów, z których wysiedlano Niemców, zamierzano zrekompensować koszty akcji, jakie musiałyby ponieść; przypaść im miał cały poniemiecki majątek trwały i ruchomy. Jednak alianci musieli także pogodzić się z faktem, że realizacja takiego projektu oznaczała w praktyce, iż pozostawało niewiele albo i nic, co można było uznać za reparacje wojenne. W tej sytuacji poziom życia w Niemczech, nawet przy najbardziej optymistycznym scenariuszu, spadłby do „do najniższego punktu uważanego za bezpieczny, przynajmniej w pierwszych latach po wojnie. Nie byłoby żadnego pola manewru”[30].

Zakres kompetencji komitetu oczywiście uniemożliwiał jego członkom rozważanie, czy sam zamysł masowych przesiedleń ludności w ogóle miał sens; była to bowiem decyzja o charakterze politycznym, już podjęta przez alianckie rządy. W wymiarze abstrakcyjnym zgadzano się co do tego, że deportacje były „*prima facie* [na pierwszy rzut oka] pożądane”, a skoro miało do nich dojść, ważne, by zostały przeprowadzone tak gruntownie, jak to tylko możliwe . „Nie życzylibyśmy sobie wypędzenia tylu Niemców, aby spowodowało bardzo poważne problemy i rozgoryczenie w Niemczech, i jednocześnie pozostawienia tylu [w Polsce i Czechach], by stanowili nieustanny problem polityczny w państwach dziedziczących [ziemie poniemieckie] i ciągłą pokusę dla Niemiec do przeprowadzenia interwencji”. Miarą zaniepokojenia członków komisji było to, że zdecydowali się oni na dość

niecodzienny krok – skierowanie do brytyjskiego gabinetu zawoalowanej prośby o ponowne przemyślenie całej sprawy:

> Komitet pragnie zwrócić uwagę na pewne polityczne aspekty danego problemu. Po pierwsze, ludzkie cierpienia, związane z wysiedleniami, nieuchronnie będą bardzo wielkie. Po wtóre, trudności wynikłe z wykorzeniania zwartych grup niemieckiej ludności (o łącznej liczbie około 6 milionów, a może nawet 10 milionów ludzi) z ich tradycyjnych siedzib i przetransportowania ich przez granice będą na pewno głównym problemem państw dziedziczących w okresie [powojennej] odbudowy, tak samo jak osiedlenie tychże Niemców w Niemczech okaże się głównym problemem tego kraju. Po przybyciu do Niemiec wysiedleńcy będą zubożali i rozgoryczeni i na długo pozostaną odrębnym i niewchłoniętym elementem w ramach całej niemieckiej populacji. Nie dowiedziono jak dotychczas, że sam proces usuwania osób określonej narodowości z terytoriów od dawna przez nie zamieszkanych osłabia sentyment owego narodu dla utraconych obszarów i pragnienie ich odzyskania.

Choć przedstawione powyżej konkluzje komitetu badawczego były niewesołe, to prawdziwa historia operacji przesiedleńczej wykazać miała, że generalnie okazały się i tak zbyt optymistyczne. Uznawano za całkiem realną możliwość, że niemal cała ludność terytoriów przewidzianych do przekazania Polsce sama ucieknie przed nacierającą Armią Czerwoną, a na miejscu pozostanie, jak szacowano, zaledwie około 750 tysięcy osób do wysiedlenia po ostatecznym zwycięstwie w Europie. Zakładano, że

nieco ponad połowie Niemców sudeckich pozwoli się na pozostanie w Czechosłowacji. Komisja wzięła pod uwagę tylko transfer Niemców z Polski i Czechosłowacji, ignorując ewentualność, że i inne kraje wschodnioeuropejskie mogłyby skorzystać z okazji i, za zgodą zwycięskich mocarstw lub bez ich przyzwolenia, pozbyć się utrapień ze swoimi Volksdeutschami. I wreszcie liczono na to, że łączna liczba wygnańców nie przekroczy 10 milionów. Żadne z tych przypuszczeń nie potwierdziło się w praktyce.

Niemniej i tak zaprezentowany raport wydał się politykom, którzy zlecili jego opracowanie, stanowczo zbyt pesymistyczny. Kiedy członkowie Komisji Powojennego Rozejmu zebrali się w celu przedyskutowania treści tego dokumentu w lipcu 1944 roku, na ogół nie skrywali swego niedowierzania i rozdrażnienia. Sekretarz wojny James Grigg uskarżał się, że „niektóre stwierdzenia w nim zawarte były zanadto ogólnikowe z punktu widzenia Ministerstwa Wojny". Minister pracy Ernest Bevin – który rok później wziął na siebie odpowiedzialność za brytyjską politykę deportacyjną jako minister spraw zagranicznych w powojennym rządzie – początkowo mylił etnicznych Niemców z tymi z Rzeszy, a potem groteskowo stwierdził, że „rozbicie wielkich niemieckich majątków ziemskich, na których opierała się zasadniczo siła pruskiego militaryzmu", pozwoli na utworzenie gospodarstw rolnych dla trzech milionów wypędzonych rodzin[31]. Po szczegółowym zapoznaniu się ze sprawą zwrócono mu uwagę, że wiele majątków, o których wspomniał, znajdowało się właśnie na tych samych niemieckich ziemiach wschodnich, skąd zamierzano wygnać ich właścicieli, i jeżeli doszłoby do rozdzielenia wszystkich pozostałych państwowych i prywatnych majątków ziemskich w Niemczech, to udałoby się z nich wydzielić

tylko 110 tysięcy nowych gospodarstw – na co brytyjski minister pracy, wbrew przedstawionym mu świadectwom, upierał się nadal, że problem można rozwiązać, wydziedziczając pruskich junkrów[32]. Clement Attlee, wicepremier, który przewodził pracom Komisji Powojennego Rozejmu, odniósł się do raportu Międzywydziałowego Komitetu jeszcze bardziej krytycznie. W poprzednim roku Attlee twierdził stanowczo, że Niemcy jako naród powinni pocierpieć w ramach uzdrawiającej reedukacji. Niechętnie przyznając, że względów humanitarnych nie powinno się „do końca tracić z oczu", argumentował, iż „kryterium, jakie powinno się właściwie zastosować w tych kwestiach, jest, jak proponowałbym, nie to, jak będą trudne dla Niemiec przyjęte rozwiązania, lecz jak daleko możemy się posunąć w realizacji naszych postulatów w Niemczech bez poważnego zakłopotania lub wyrządzenia krzywdy samym sobie. […] Wszystko, co pozwoli Niemcom pojąć ostateczną nieodwracalność ich klęski, jest w ostatecznym rozrachunku warte zachodu"[33]. Konsekwentnie prezentował takie rewindykacyjne nastawienie, wedle słów Troutbecka „bardzo stanowczo przeciwstawiając się wszelkiej myśli o należnym zastanowieniu się nad niemieckimi odczuciami lub interesami w tej kwestii"[34].

Wobec tak chłodnej reakcji rządu przedstawiony raport odłożono na półkę. Aż do stycznia 1945 roku nie dyskutowano już nad treścią tego dokumentu, a zawartych w nim zaleceń nigdy nie zastosowano. To, że żaden z ministrów, poza Bevinem, nie chciał nawet rozmawiać o ustaleniach komitetu, wskazywało, iż dla brytyjskiego rządu projekt wysiedleń stał się celem samym w sobie i zamierzano go przeprowadzić bez względu na koszty.

Zignorowanie niewygodnych faktów, na które komitet zwrócił uwagę, nie oznaczało jeszcze faktycznego uporania się z tymi trudnymi sprawami. Przez jakiś czas brytyjscy ministrowie usiłowali sobie wmówić, że problem rozwiąże się sam albo zajmą się nim inni. Arnold Toynbee, kierownik Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, który podczas I wojny światowej został wyznaczony na głównego doradcę Ministerstwa Spraw Zagranicznych z uwagi na jego encyklopedyczną wiedzę o literaturze starożytnej Grecji – a którego orientacja w sprawach polityki zagranicznej była minimalna – stanowił ucieleśnienie takiej skłonności do chowania głowy w piasek. „Wygląda to tak – pisał pod koniec stycznia – jak gdyby oczyszczenie terytoriów na wschód od linii Odry i Nysy Zachodniej [Łużyckiej] oraz na południe od granicy czechosłowackiej z przedstawicieli wszelkich kategorii niemieckiej ludności cywilnej miało się okazać *fait accompli* [faktem dokonanym] do chwili ustania działań wojennych. […] Pytanie dotyczy nie tyle tego, czy po zakończeniu tych działań niemiecka ludność, dotychczas pozostawiona w spokoju, ma być z zimną krwią wypędzona, ile tego, czy ludność niemiecka, już wysiedlona i przemieszczona na obszar powojennych Niemiec, ma powrócić do swych poprzednich siedzib”[35]. Brytyjskie Kierownictwo Wojny Politycznej (PWE) i amerykańskie Biuro Służb Strategicznych (OSS) – poprzednik CIA – były równie zadufane w sobie, informując w raporcie wywiadowczym opracowanym tego samego dnia, że 4 500 000 Niemców już zbiegło przed nadciągającymi wojskami radzieckimi ze wschodnich terytoriów, w tym milionowa rzesza z Warthegau (Wielkopolski)[36]. Brytyjski MSZ w odpowiedzi przestrzegał, że te optymistyczne raporty nie są pewne. Con O’Neill z Wydziału Niemieckiego MSZ zareagował

z powątpiewaniem: „Wydaje mi się niewyobrażalne, żeby 4 500 000 cywilów zdołało usunąć się z drogi nacierającym w zdumiewającym tempie Rosjanom w ciągu minionych dwóch tygodni, nawet bardzo tego chcąc”.

Jednakże brytyjscy i amerykańscy politycy nie byli skłonni rozstać się ze złudną wizją „samorzutnego” oczyszczania się niemieckich ziem wschodnich z ich mieszkańców. Z kolei Stalin nader chętnie grał na takich iluzjach, podczas ponownego spotkania z Churchillem w Moskwie w październiku 1944 roku oraz na, jak miało się okazać, ostatniej konferencji Wielkiej Trójki w czasie wojny, w Jałcie miesiąc później. Mimo że Churchill już się pogodził z nieuchronnością wchłonięcia polskich ziem wschodnich przez ZSRR, który miał nie oddać łupów uzyskanych na mocy paktu nazistowsko-sowieckiego, to pozostawał rozdarty między poczuciem odpowiedzialności za Polskę a niepokojem dotyczącym konsekwencji przekazania jej w ramach zadośćuczynienia bardzo znacznej części Niemiec. Dodatkową komplikację stanowił fakt, że w owym czasie dwa ciała polityczne uważały się za jedyne prawomocne polskie władze: londyński rząd na uchodźstwie ze Stanisławem Mikołajczykiem na czele oraz proradziecki, marionetkowy Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN), który obrał za siedzibę oswobodzony kilka miesięcy wcześniej Lublin.

Już od chwili swego powstania rząd lubelski, w odróżnieniu od targanych wątpliwościami w tej kwestii władz emigracyjnych w Londynie, jasno opowiadał się za aneksją rozległych niemieckich obszarów na zachodzie. Stalin również do tego dążył. Im bardziej Polska po wojnie przesunęłaby się na zachód kosztem wschodnich Niemiec, tym dalej sięgałyby sowieckie wpływy, gdyż Stalin zamierzał tolerować wyłącznie całkowicie sobie uległych

polskich sąsiadów. Co więcej, aneksja i wysiedlenie ludności miały wywołać stan permanentnej wrogości między Polską a Niemcami. A dopóki by trwał taki stan, dopóty Polska musiałaby zwracać się do ZSRR o pomoc w obronie swoich nowych granic przed Niemcami, w których mieszkałoby ponad dwa razy więcej ludności niż w Polsce. Radziecki przywódca kazał sobie słono płacić za taką przysługę. Przy tym w ZSRR nie chciano, by nawet skomunizowana Polska zbytnio się rozrosła; nikt na Kremlu nie zapominał o wielowiekowym antagonizmie dzielącym narody polski i rosyjski[37]. Choć rząd lubelski mógł wydawać się niereprezentatywny, to musiał zademonstrować jakąś troskę o polskie interesy narodowe. Ekspansja na zachód pozwalała na to w zgodzie z sowieckimi celami.

Podczas cyklu utajnionych spotkań z Polakami z PKWN Stalin nakreślił linię strategii, którą mieli realizować wspólnie podczas dyskusji z zachodnimi aliantami. Polska nie tylko miała formalnie zrzec się swoich wschodnich obszarów na rzecz ZSRR i zgodzić się na przesiedlenie swej kresowej ludności, ale także uznać, że niemiecki port w Królewcu wraz ze swym wschodniopruskim zapleczem – wbrew oczekiwaniom polskich władz londyńskich i lubelskich, które od dawna się spodziewały uzyskania tego regionu – miały znaleźć się w granicach radzieckiej Rosji. Ale w zamian, jak Stalin zapewnił przedstawicieli PKWN, ZSRR poprze polskie starania o Szczecin oraz o zachodnią granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej (a nie Nysie Kłodzkiej płynącej nieco bliżej na wschodzie). Mimo że już wcześniej wspominano o „linii Odry i Nysy” jako możliwej granicy polsko-niemieckiej, to początkowo chodzić miało o Nysę Kłodzką, co dawałoby nowemu rozgraniczeniu między tymi dwoma państwami przynajmniej pewne uzasadnienie

etnograficzne. „Takie posunięcie – zauważył R.C. Raack – miało co najmniej podwoić liczbę Niemców, którzy musieli być przymusowo ewakuowani ze swoich rodzinnych stron oraz zakwaterowani i wykarmieni w tym, co stanowiłoby okupowane Niemcy po wojnie”[38]. Stalin żartobliwie zapewniał Polaków z PKWN, że Churchill nawet nie zauważy różnicy między obiema Nysami.

Przez następnych sześć miesięcy władze w Moskwie i Lublinie celowo wspominały niejasno o „linii Odry i Nysy”, starając się nie precyzować, o którą Nysę chodziło. W celu usztywnienia postawy PKWN w kwestii polskiej granicy zachodniej Stalin przystąpił, jeszcze w czasie trwania walk, do przesiedlania ludności ze wschodniej Polski, wymuszając na to zgodę na władzach lubelskich. Począwszy od jesieni 1944 roku wysiedlono zza Bugu ponad dwa miliony Polaków, często przy użyciu brutalnych i chaotycznych metod, typowych zarówno dla Stalina, jak i Hitlera, a owi wysiedleńcy w ciągu kolejnych dwóch lat znaleźli się na obszarze niedawno wyzwolonego, wyniszczonego byłego Generalnego Gubernatorstwa. Perspektywa problemów z tymi nieco odmiennymi kulturowo, potencjalnie niebezpiecznymi wygnańcami ze wschodu stanowiła dla PKWN bardziej niż dostateczny bodziec, by dążyć do przesunięcia granicy polsko-niemieckiej możliwie najdalej na zachód, bez względu na związane z tym trudności. Wedle słów Władysława Gomułki, członka biura politycznego PPR i ówczesnego wicepremiera w rządzie lubelskim, te same czynniki wpłynęły na konieczność całkowitego wysiedlenia Niemców z tzw. Ziem Odzyskanych. Przede wszystkim, jak stwierdził na zjeździe PPR w maju 1945 roku, oczyszczenie nowych obszarów zachodnich z ich dotychczasowych mieszkańców miało zapewnić tereny rolne do podziału przez nową władzę ludową, a tym samym „przywiązać

naród do systemu”. Po wtóre, „musimy wydalić [Niemców], ponieważ wszystkie państwa powstają na zasadzie narodowej, a nie [wielo]etnicznej”[39]. Dla polskich komunistów, którzy wszelkie posiadane wpływy zawdzięczali protekcji Związku Radzieckiego, szczególne znaczenie miało to, by nie dać się wymanewrować swoim przeciwnikom z prawicy w „kwestii narodowej”.

Zachodnie kraje alianckie nie wiedziały ani o polsko-sowieckim transferze ludności, ani o zakulisowych układach Stalina z Polakami z władz lubelskich, i w efekcie ich własne pomysły dotyczące powojennych deportacji od tej pory stawały się coraz bardziej odległe od rzeczywistości. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych poglądy na ten temat były wyjątkowo naiwne. W studium opracowanym przez Departament Stanu w sierpniu 1943 roku wyrażono bezpodstawnie optymistyczny pogląd, że ambicje terytorialne Polski powinny się ograniczać do Prus Wschodnich i Pomorza Gdańskiego oraz że „nie wszystkich Niemców należy ewakuować” z tych dzielnic[40]. Kilka kolejnych podobnych analiz zdradzało, iż amerykańscy politycy nadal się łudzili, że jak sekretarz stanu Cordell Hull doradzał Rooseveltowi w sierpniu 1944 roku, można znaleźć kompromisowe rozwiązanie, odmienne od „masowego przesiedlania do Rzeszy ludności germańskiej z sąsiednich krajów”, jednak przy tym sankcjonując „wydalanie osobników lub grup, które nastręczają szczególnych problemów”. Przypuszczenie, że w końcowym okresie wojny taka formuła będzie odpowiadała Edvardowi Benešowi, a tym bardziej Stalinowi, graniczyła z nonsensem i dowodziła przede wszystkim tego, że Amerykanie prawie nie przywiązywali wagi do całej tej sprawy. Z kolei Brytyjczycy ponosili pewną odpowiedzialność za prostoduszną naiwność

amerykańskich poglądów na tę kwestię, gdyż postanowili nie zapoznawać Waszyngtonu ze wspomnianym powyżej raportem Międzywydziałowego Komitetu – z obawy, że po zapoznaniu się z trudnościami związanymi z planem przesiedleń administracja Roosevelta mogłaby w ogóle odrzucić ideę transferu ludności[41].

Mimo wszystko do czasu konferencji moskiewskiej w październiku 1944 roku zachodni alianci zaczęli z opóźnieniem pojmować, że mogą zostać postawieni przed faktami dokonanymi, jeśli chodzi o rozwój wypadków w Europie Środkowo-Wschodniej. W trakcie przygotowań do tej konferencji Anthony Eden i ambasador USA w Związku Radzieckim Averell Harriman usiłowali wpłynąć na pewne usztywnienie stanowiska swoich zwierzchników, ostrzegając ich, że cesja zbyt rozległych ziem niemieckich na rzecz Polski wiąże się z ryzykiem wywołania chaosu w samych Niemczech, z którym będą musiały radzić sobie władze okupacyjne sprzymierzonych. Takie argumenty jednak nie znalazły posłuchu. Na konferencji moskiewskiej i później Churchill, mimo że narastały w nim podejrzenia co do rzeczywistych zamiarów Stalina, twierdził zdecydowanie, że utrzymanie sojuszu z ZSRR ma dlań charakter priorytetowy. W tej sytuacji „zapłacenie" Polakom ziemiami niemieckimi stanowiło jedyny sposób uchronienia się przed zarzutem, iż oficjalny cel, dla którego Wielka Brytania przystąpiła do wojny – to jest obrona terytorialnej integralności Polski przed agresywnymi zakusami jej sąsiada – nie został osiągnięty. A zatem było „zrozumiałe", jak Churchill poinformował Roosevelta po moskiewskiej konferencji, „że Niemcy z rzeczonych regionów zostaną repatriowani do Niemiec"[42]. I choć brytyjski premier nie był ani nieświadom, ani też obojętny wobec problemów powiązanych z masowymi przesiedleniami, to te

ostatnie miały mniejsze znaczenie od zapobieżenia nowej fali antagonizmu między Wschodem a Zachodem.

Roosevelt, chociaż mniej skłonny do oratorskich popisów, prezentował podobne stanowisko. Miesiąc po konferencji moskiewskiej napisał do Mikołajczyka, że jeżeli powojenne polskie władze i społeczeństwo „zechcą w związku z nowymi granicami państwa polskiego doprowadzić do przesiedleń mniejszości narodowych z oraz na terytorium Polski, to rząd Stanów Zjednoczonych nie zgłosi obiekcji i, w miarę możności, ułatwi przeprowadzenie takiej wymiany [ludności]”[43]. Tak bystry polityk jak Mikołajczyk potrafił wyczytać między wierszami tego posłania, iż oznaczało to, że Stany Zjednoczone, a niewątpliwie także i Wielka Brytania, postarają się zrzucić główną odpowiedzialność za deportacje – i ewentualne oburzenie międzynarodowej opinii publicznej wynikłe z tego faktu – na barki Polaków. Odnosząc się nader podejrzliwie do takiej gorliwości alianckich przywódców do wypisania Polakom „czeku *in blanco*” na powojenne uregulowanie porachunków z Niemcami, Mikołajczyk mimo wszystko gotów był wykazać się pewną elastycznością w kwestii granicy wschodniej wzdłuż linii Curzona. Gdy jego koledzy z rządu londyńskiego stanowczo się sprzeciwili jej uznaniu, przeprowadził taktyczny odwrót, składając 24 listopada dymisję ze stanowiska premiera. A jednak nadal uważał, że wielkie przesiedlenia na Ziemiach Odzyskanych, planowane przez Anglosasów, okażą się nie tylko błędem politycznym, lecz także akcją niemożliwą do przeprowadzenia. W grudniu oznajmił Rudolfowi Schoenfeldowi, amerykańskiemu *chargé d’affaires* przy polskim rządzie emigracyjnym w Londynie, że naród brytyjski, w odróżnieniu od brytyjskich władz, miał „świadomość kolosalnych problemów wynikających z przesiedleń,

powiązanych z proponowanym wytyczeniem [nowych] granic”. Właściwe rozwiązanie, jak dodał, polegało na skłonieniu ZSRR do zrzeczenia się przynajmniej części swoich zagarniętych w tak niecny sposób nabytków na wschodzie Polski. Mikołajczyk zapytał Schoenfelda, dlaczego zachodni alianci „dodatkowo komplikowali kwestię wymiany ludności i […] wyraził przekonanie, że premierowi [Churchillowi], mimo jego popularności, nie uda się przekonać brytyjskiej i amerykańskiej opinii publicznej do tak drastycznego planu”[44].

Churchill również zdawał sobie sprawę z takiego niebezpieczeństwa. Aby temu zaradzić, wygłosił w Izbie Gmin 15 grudnia 1944 roku ważne przemówienie na temat przyszłości Polski. Aż do owego dnia rząd brytyjski zajmował oficjalne stanowisko, zgodnie z którym do czasu powojennej konferencji pokojowej miały być wstrzymane publiczne dyskusje na temat zmian granic i przesiedleń ludności. Jeszcze w sierpniu tego samego roku, kiedy kilku parlamentarzystów wezwało Edena do potwierdzenia lub obalenia krążących w Londynie pogłosek o tym, że Wielka Brytania zgodziła się na masowe wysiedlenia z Polski i Czechosłowacji po wojnie, Eden utrzymywał, iż nawet poruszanie tego tematu w rozmowach byłoby „przedwczesne”[45]. W grudniu, czyli po upływie zaledwie kilku tygodni, Churchill wyraził w zwięzłych słowach, że deportacje na wcześniej niewyobrażalną skalę będą nie tylko elementem, lecz wręcz jedną z podstaw powojennego porządku europejskiego:

> Polacy mogą, jeśli chodzi o nastawienie Rosji i Wielkiej Brytanii, rozciągnąć swoje terytoria, kosztem Niemiec, na zachód. […] Oczywiście, będzie musiało temu towarzyszyć rozwiązanie kwestii ludnościowych. […]

> Przemieszczenie kilku milionów ludzi trzeba będzie przeprowadzić ze wschodu [Polski] na zachód lub północ, a także deportować Niemców – gdyż taka jest propozycja: całkowite wysiedlenie Niemców z obszarów nabytych przez Polskę na zachodzie i północy. Wysiedlenie to metoda, która, naszym zdaniem, okaże się najbardziej zadowalającym i trwałym rozwiązaniem. Nie dojdzie do wymieszania ludności powodującego nieustanne problemy, jak w przypadku Alzacji i Lotaryngii. Proces ten będzie miał gruntowny charakter. Nie niepokoi mnie perspektywa rozsiedlenia ludności, a nawet masowych jej przemieszczeń, które w dzisiejszych warunkach są bardziej możliwie niż kiedykolwiek wcześniej.
>
> Rozdzielenie ludności, jakie nastąpiło między Grecją a Turcją po ostatniej wojnie […], pod wieloma względami się powiodło i nadało od tamtej pory relacjom grecko-tureckim przyjazny charakter[46].

Premier miał w istocie niewiele do powiedzenia parlamentarzystom w Izbie Gmin, który słuchali jego wystąpienia, gdy inny mówca podczas tej debaty spytał, pośród „strasznej, odrażającej, niespokojnej, lodowatej ciszy”, jak takie „rozdzielenie” przeprowadzić[47]. Jedyną wzmianką Churchilla dotyczącą praktycznego aspektu akcji przesiedleńczej była obietnica, że w okrojonych powojennych Niemczech wystarczy miejsca dla wygnańców. „Ostatecznie przecież już zginęło [na wojnie] sześć czy siedem milionów Niemców. […] Poza tym trzeba się spodziewać, że o wiele więcej Niemców polegnie w walkach tej wiosny i lata”[48]. Odpowiedź czołowego polityka laburzystowskiego, sędziwego Fredericka Pethicka-Lawrence’a, bardziej pasowała swoim tonem do nastroju

panującego w Izbie Gmin. Nawet jeśliby Niemcy zrzekli się moralnego prawa do oprotestowania deportacji, stwierdził Pethick-Lawrence, „to nie oznacza jeszcze, że możemy dowolnie igrać terytoriami […] i przesiedlać nie setki tysięcy, ale miliony ludzi. […] Tworzymy na przyszłość sytuację, która nie zapewni pokoju ani Polsce, ani światu”[49]. Niektórzy z Polaków z rządu londyńskiego także zareagowali bez entuzjazmu. Tomasz Arciszewski, następca Mikołajczyka na stanowisku premiera, jeszcze tego samego wieczoru odrzucił ofertę Churchilla, by Polska zajęła dowolną część niemieckiego terytorium. „Polska nie pragnie przyłączenia Wrocławia i Szczecina”, oświadczył dziennikarzom; chciała najwyżej Prus Wschodnich, oczyszczonych z tamtejszych Niemców[50]. Z najbardziej zjadliwym komentarzem wystąpił George Orwell, piszący do stanowczo przeciwnej deportacjom lewicowej gazety „Tribune”:

> Jest to równoznaczne z przesiedleniem całej ludności Australii albo wszystkich mieszkańców Szkocji i Irlandii. Nie jestem ekspertem od transportu czy mieszkalnictwa i chciałbym usłyszeć od kogoś, kto ma w tym lepsze rozeznanie, jakie są przybliżone szacunki dotyczące tego: (a) ile wagonów i lokomotyw i na jak długo będzie potrzebnych do przewozu tych 7 milionów ludzi, wraz z ich żywym inwentarzem, maszynami rolniczymi i sprzętami domowymi; lub (b) ilu ich umrze z głodu i zimna, jeżeli wywiezie się ich bez trzody itd.
>
> Chciałbym bardzo, aby takie wyjaśnienia: (a) wykazały, że tak gigantycznego zbrodniczego przedsięwzięcia faktycznie nie sposób zrealizować, choć można je podjąć, bez chaosu, cierpień i zasiania nieprzejednanej nienawiści. Tymczasem narodowi

brytyjskiemu wypada wytłumaczyć, możliwie najbardziej konkretnie i szczegółowo, w jaką politykę angażują się jego mężowie stanu[51].

Jeśli rewelacje Churchilla wzbudziły w Londynie pewne zaniepokojenie, to w Waszyngtonie wywołały wielkie poruszenie. Oburzeni republikańscy senatorowie żądali poinformowania, kiedy doszło do unieważnienia postanowień Karty Atlantyckiej z sierpnia 1941 roku, czyli brytyjsko-amerykańskiego porozumienia na temat celów wojennych, w którym oba te kraje przeciwstawiały się oficjalnie „terytorialnym zmianom, które nie są zgodne z wolą i wyrażanymi w sposób nieskrępowany życzeniami zainteresowanych narodów". Społeczność polskich emigrantów w Ameryce, która zaledwie kilka tygodni wcześniej pomogła Rooseveltowi w ponownym objęciu fotela prezydenckiego na czwartą kadencję, szydziła z twierdzeń, że terytorialne zyski na zachodzie mogą zrekompensować Polsce straty na wschodzie. Próbując uciszyć burzliwą krytykę, nowy sekretarz stanu Ed Stettinius ujawnił obietnicę złożoną Mikołajczykowi przez Roosevelta, zgodnie z którą USA miały pomoc Polsce w usunięciu Niemców z ziem zachodnich, przewidzianych do przekazania Polakom. Ale i to na niewiele się zdało[52].

A więc podjęta przez Churchilla próba „sprzedania" opinii publicznej pomysłu masowych przesiedleń przyniosła fiasko. Jednakże zasadniczo większych zmian to nie przyniosło. Najważniejszym celem Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii pozostało utrzymanie sojuszu ze Związkiem Radzieckim również w okresie powojennym. To, że podobne dążenia, same w sobie nawet chwalebne, w ogóle uznawano za realne, wynikało głównie z utopijnej wiary, że Stalin i cały system sowiecki przeszedł „duchową

przemianę” po nazistowskim uderzeniu na ZSRR w czerwcu 1941 roku, odrzuciwszy zarówno cele polityczne, jak i metody, z których bolszewicy słynęli przed wspomnianą datą; że od roku 1941 zdecydowali się na przyszłe pokojowe współistnienie z Zachodem. I jeśli na Roosevelta już po jego śmierci spadło dużo zasłużonych słów krytyki za tak silną wiarę w spełnienie pobożnych życzeń, to jasne jest, że i Churchill podzielał podobne złudzenia[53]. Jak na ironię, postawa obydwu wobec Stalina miała wiele wspólnego z nastawieniem zachodnich ugodowców do Hitlera w latach trzydziestych. W obu przypadkach przywódcy z Zachodu zastępowali trzeźwą, bazującą na faktach ocenę dyktatorów, z którymi mieli do czynienia, przyjemniejszym wizerunkiem z własnej wyobraźni, głównie dlatego, że realny obraz był zbyt zatrważający – podobnie jak decyzje, jakie należałoby podejmować na podstawie wyników obiektywnej analizy. Póki Anglosasi łudzili się mirażem dobrych powojennych stosunków z ZSRR, póty mogli grać wyłącznie kartą niemiecką oraz planami masowych przesiedleń, co pozwalało tymczasowo na utrzymanie bliskich relacji z Sowietami.

Jednak pewien czynnik nieco ułatwiał im zadanie. Zimą 1944/1945, gdy alianci szykowali się do konferencji jałtańskiej, stawało się coraz bardziej oczywiste, że polskie władze emigracyjne w Londynie nie mają przed sobą wielkiej przyszłości. Stalin już zerwał z nimi kontakty, kiedy te odrzuciły kłamliwe twierdzenie, że ZSRR nie ponosił odpowiedzialności za wymordowanie w lesie katyńskim prawie 22 tysięcy oficerów polskiego wojska, wziętych do niewoli przez Armię Czerwoną po sowieckiej inwazji w 1939 roku. „Pragmatycy” z grona londyńskich Polaków, w tym sam Mikołajczyk, wyrażali gotowość porzucenia rządu na uchodźstwie i przystąpienia do organizowanego

w Polsce, proradzieckiego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Najistotniejsze było wszak, że to Armia Czerwona, a nie wojska krajów zachodnich, wyparła Niemców z Polski i wpływała na decyzję, co stanie się z Polską. Potrzeba osłodzenia Polakom z emigracji przełknięcia gorzkiej pigułki w postaci granic wzdłuż linii Curzona na wschodzie tym samym odpadła. Eden poinformował członków brytyjskiego Gabinetu Wojennego: „Skoro lubelscy Polacy [PKWN] są i tak gotowi pogodzić się z linią Curzona, to nie ma już konieczności, aby rząd Jego Królewskiej Mości popierał projekty bardziej rozległych zmian niemieckiego terytorium niż te, które z innych przyczyn uważamy za właściwe i stosowne”[54]. Wobec tego Churchill udał się do Jałty zdecydowany dążyć do tego, by Polsce przekazać jak najmniej niemieckich obszarów.

Także w tym przypadku poniósł fiasko. Jedną z trudności, jakie napotkał, był brak poparcia ze strony wyraźnie już niedomagającego Roosevelta, któremu pozostały zaledwie tygodnie życia i który, podobnie jak niegdyś Woodrow Wilson, chciał, aby to międzynarodowa organizacja – Narody Zjednoczone – rozwiązała liczne problemy nierozstrzygnięte w porozumieniu pokojowym. ONZ bez Związku Radzieckiego byłaby bezsilna, więc amerykański prezydent gotów był poświęcić niemal wszystko na rzecz przystąpienia Sowietów do tej nowej organizacją międzynarodowej. Dlatego też zignorował radę Stettiniusa, by na konferencji USA „przeciwstawiały się, w miarę możliwości, nieograniczonym masowym przesiedleniom mniejszości z sąsiednich państw”. Podczas dyskusji nad tą kwestią 7 lutego Churchill starał się przekonać Stalina, że choć osobiście nie wyrażał obiekcji wobec przesiedlenia wielkiej liczby Niemców, to opinia publiczna w Wielkiej Brytanii prezentowała odmienne nastawienie w tej sprawie.

O ile przemieszczenie sześciu milionów ludzi z Prus Wschodnich i Śląska mogło się okazać „wykonalne”, o tyle po przekroczeniu owego sześciomilionowego progu należałoby zbadać możliwości Polski w zakresie skolonizowania poniemieckich ziem. „Szkoda byłoby tak bardzo napychać polską gęś niemieckim pokarmem, że padłaby z powodu niestrawności”[55]. Stalin odparł, iż problem ten sam się rozwiązywał, „bo kiedy nadejdą nasze wojska, Niemcy pouciekają i nie pozostanie tam żaden”[56]. Choć Churchilla to nie przekonało, wolał nie oponować. Konferencja zakończyła się bez zdecydowania, ile niemieckich obszarów miała otrzymać Polska, a oficjalny komunikat wspominał tylko że powinna uzyskać „znaczny przyrost terytorialny na północy i zachodzie”[57]. Podczas obrad Roosevelt praktycznie nie włączał się do dyskusji o polskich granicach zachodnich.

W istocie ów brak decyzji sam w sobie był pewnym postanowieniem. Do czasu konferencji jałtańskiej Armia Czerwona dotarła nad Odrę. Pytaniem pozostawało tylko, czy zachodni alianci byli gotowi zaryzykować konfrontację z ZSRR w sporze dotyczącym uznania zachodnich granic Polski – i, co się z tym wiązało, współdziałać w wypędzeniach ludności niemieckiej – czy raczej wciąż ważniejsze było dla nich utrzymanie pojednawczego kursu wobec Stalina i PKWN. Dla czołowych brytyjskich polityków odpowiedź na te pytania była oczywista. Oliver Harvey, asystent podsekretarza w brytyjskim MSZ i nieprzejednany germanofob, który znajdował posłuch u Edena, stwierdził pod koniec marca: „Uważam, że ewentualność uporządkowanego przemieszczenia ludności ze wschodnich Niemiec wedle staroświeckich zasad Ligi Narodów jest na tyle nierealna, iż nie wierzę, by w ogóle warto było tego próbować za cenę wywołania wrogich nastrojów

w Czechosłowacji i w sowieckiej Rosji. Nie sądzę też, by przybycie tamtejszych uciekinierów [do Niemiec] okazało się aż tak katastrofalne, jeżeli będzie miało charakter nieodwracalny i natychmiastowy”[58]. Wicepremier Clement Attlee poparł go dwa tygodnie później, kiedy formalnie zawetował ponownie zgłoszoną przez MSZ propozycję powołania Komisji Przesiedleńczej dla zorganizowania akcji deportacyjnej. „Naprawdę nie widzę potrzeby – napisał – abyśmy musieli podejmować inicjatywę w tej sprawie. Większość Niemców, czy to z Polski, czy z Czechosłowacji, trafi najpierw do radzieckiej i amerykańskiej strefy [okupacyjnej]. My odczujemy to w ostatniej kolejności”[59].

Gdy przedstawiciele Wielkiej Trójki zebrali się na ostatnim szczycie w Poczdamie pod Berlinem w połowie lipca 1945 roku, mniej chodziło o określenie przyszłości Polski, bardziej zaś, przynajmniej z perspektywy Anglosasów, o pogodzenie się z już podjętymi decyzjami – lub o uzasadnienie ich na własny użytek. W tym samym czasie 25 kilometrów na północny wschód od Poczdamu ze straszliwie przeładowanych pociągów, które przyjechały z niemieckich terytoriów pod polskim zarządem, wynoszono zmarłych, konających, chorych i ogołoconych z całego dobytku ludzi na perony głównego berlińskiego dworca kolejowego. Setki tysięcy przybywało pieszo do tego miasta w równie nieszczęsnym stanie. Dalej na południe kolumny podobnie wymizerowanych ludzi były odprowadzane do czeskiej granicy przez oddziały czechosłowackiego wojska i milicji. Czytając wkrótce po rozpoczęciu konferencji poczdamskiej w jednej z londyńskich gazet o którymś z takich „dzikich wypędzeń”, Churchill wyraził swoje skrajne zaniepokojenie z powodu tych wydarzeń. Poruszył tę sprawę 21 czerwca na sesji plenarnej z szefami innych

alianckich rządów, ubolewając z powodu „zupełnie niewspółmiernej liczby Niemców", których trzeba będzie pomieścić „w bardzo okrojonych Niemczech", jeśli mają zostać uznane polskie roszczenia do granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Przypomniał Sowietom i Amerykanom, że trzeba będzie przesiedlić niemal 9 milionów Niemców, żeby zrobić miejsce dla 4,5 miliona Polaków przybywających z dawnych Kresów Wschodnich. Kiedy Stalin powtórzył swoje naciągane zapewnienia z Jałty, jakoby „ani jeden Niemiec […] nie pozostał na obszarze zaproponowanym jako nabytek terytorialny Polski", brytyjski premier odrzekł, że jeśli to prawda, nie oznacza to jeszcze rozwiązania problemu:

> Jeżeli Niemcy uciekli z rzeczonego obszaru, powinno się zezwolić im na powrót. Polacy nie mieli prawa prowadzić polityki, która może wywołać katastrofę żywnościową w Niemczech. […] Nie chcieliśmy pozostać z wielką liczbą Niemców na utrzymaniu, ludzi pozbawionych źródeł zarobkowania, dzięki którym wcześniej się żywili. […] Jeśli nie uda się znaleźć dość prowiantu dla wyżywienia tej ludności, musimy się liczyć z nastaniem w naszej strefie okupacyjnej takich warunków, jakie istniały w niemieckich obozach koncentracyjnych, tyle że w tysiąckrotnie większej skali[60].

Były to mocne argumenty. A przecież uznano je za niezbyt przekonujące, kiedy nieco ponad rok wcześniej zostały przedstawione przez Międzywydziałowy Komitet – wtedy zostały zbagatelizowane przez ministrów Churchilla. Trudno zrozumieć, jaki cel miało zgłaszanie ich w Poczdamie; być może Churchill próbował w ten sposób zrzucić z siebie odpowiedzialność za politykę, którą sam

prowadził od prawie dwóch lat. Nie po raz pierwszy tak postępował. W styczniu 1945 roku wielokrotnie kazał sobie tłumaczyć, dlaczego „nie uznawać wielkich miast we wschodnich Niemczech za wyjątkowo atrakcyjne cele” dla zmasowanych nalotów dywanowych[61]. Kiedy dwa tygodnie później RAF w reakcji na te nalegania premiera odpowiedział niszczycielskim bombardowaniem Drezna, które wywołało bardzo poważne zaniepokojenie międzynarodowej opinii publicznej, Churchill nagle zmienił front. Ze stenogramu narady szefostwa brytyjskich sił zbrojnych z 28 marca wynika, że określił nalot na Drezno mianem „poważnego naruszenia trybu alianckich bombardowań” i przypomniał dowództwu RAF o „potrzebie bardziej precyzyjnego skupienia się na celach militarnych, […] a nie na zwykłych aktach terroru i bezmyślnego niszczenia, choćby nawet robiły one wrażenie”[62]. Przy tej okazji oburzenie jego doradców wojskowych zmusiło go do szybkiego wycofania się z tej próby wybielenia się przed historią.

Gdy przedstawiciele trzech zwycięskich mocarstw powrócili do kwestii podczas kolejnych posiedzeń, Stalin wspomniał Churchillowi i Harry’emu S. Trumanowi, następcy Roosevelta, że choć sam bynajmniej nie był „przeciwny stwarzaniu Niemcom dodatkowych trudności”, to wszak sprzymierzeni uzgodnili już politykę „piętrzenia przez nimi [Niemcami] problemów, aby uniemożliwić im ponowną agresję”. Oświadczył, że teraz było już „za późno na rozważanie tej kwestii”. Ostatecznie radziecki przywódca ugiął się na tyle, by zgodzić się na parę kompromisowych formułek zaproponowanych przez delegacje: amerykańską i brytyjską, które poniekąd pozwoliły alianckim liderom na przypudrowanie rumieńca zawstydzenia. Zgodnie z pierwszą z nich Polakom

przyznano tymczasowy zarząd „terytoriów wschodniej części przedwojennych Niemiec, do których rościli pretensje”, nie przekazując im ich *de iure.* Stworzyło to przynajmniej teoretyczną możliwość, iż przyszła konferencja pokojowa doprowadziłaby do zwrotu części tych ziem Niemcom, i pozwoliło zachodnim przywódcom podtrzymać nieco dłużej fikcyjne przeświadczenie, że zachodnie granice nowego państwa polskiego to kwestia jeszcze do ustalenia. Drugą koncesją, przygotowaną w szkicowej postaci przez podkomitet złożony z trzech ministrów spraw zagranicznych, był Artykuł XIII ostatecznej wersji porozumienia poczdamskiego:

> Rządy trzech krajów [alianckich] po gruntownym rozważeniu wszystkich aspektów tej sprawy uznają, że zostanie podjęte przesiedlenie do Niemiec ludności niemieckiej lub części tejże, pozostałej w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech. Rządy uzgodniły, że wszelki transfer ludności, do którego dojdzie, powinien się odbyć po ludzku i w należytym porządku.
>
> Z powodu tego, że napływ wielkiej liczby Niemców do Niemiec zwiększy dodatkowo brzemię spoczywające już na władzach okupacyjnych, [rządy] uważają, że Sojusznicza Rada Kontroli Niemiec powinna w pierwszej kolejności przeanalizować dany problem, ze szczególnym potraktowaniem kwestii sprawiedliwego rozdzielenia owych Niemców na kilka stref okupacyjnych. […]
>
> Rząd Czechosłowacji, Polski Rząd Tymczasowy [TRJN] i Rada Kontroli na Węgrzech zostaną równocześnie powiadomione o powyższych postanowieniach i tymczasowo zażąda się od nich wstrzymania dalszych wysiedleń, aż do czasu

zapoznania się przez zainteresowane rządy z raportami swoich przedstawicieli w Radzie Kontroli[63].

Zachodni alianci przywiązywali dużo większą wagę do drugiej z tych klauzul aniżeli do pierwszej. Jak stwierdził podczas konferencji Churchill, oświadczenie o „tymczasowym" przekazaniu Polsce niemieckich ziem na wschód od Odry i Nysy, było pustosłowiem. Polacy po przyznaniu im tego regionu „okopią się tam i rozpanoszą"[64]. Nie należało przypuszczać, że cokolwiek poza siłą militarną zmusi ich do zwrotu owych ziem. Z kolei apel Wielkiej Trójki, skierowany do Czechosłowacji, Polski i Węgier, aby położyć kres „dzikim wypędzeniom", miał konkretniejsze i praktyczne znaczenie. Radzieccy dowódcy wojskowi w Niemczech, podobnie jak ich odpowiednicy w armiach państw zachodnich, stykali się z kolosalnymi problemami w rezultacie niezorganizowanego napływu mas uciekinierów do stref okupacyjnych. Perspektywa względnego, chwilowego ustabilizowania sytuacji na pewno im odpowiadała.

Jednak inne sformułowania zawarte w cytowanym Artykule XIII nie najlepiej świadczą o autorach tego dokumentu. Oficjalne stwierdzenie, że przesiedlenie ludności powinno odbywać się „po ludzku i w należytym porządku", podczas gdy rządy zainteresowanych krajów z góry odrzuciły pomysł podjęcia odpowiednich działań w tym kierunku, dowodzi albo cynizmu, albo skrajnej naiwności. Fakt, że dalej stwierdzono, iż niczego podobnego nie bierze się nawet pod uwagę, zaświadcza raczej o cynizmie aliantów. Kwestia ta stanowi jednak punkt sporny. Jeśli nawet sprzymierzeni postanowili zorganizować Międzynarodową Komisję Przesiedleńczą latem 1945 roku, to wówczas było już za późno na zapobieżenie humanitarnej

katastrofie. Wymowne jest i to, że w treści poczdamskiego porozumienia nie ma ani słowa o Volksdeutschach z krajów innych niż Polska, Czechosłowacja i Węgry – a ludzie ci, choćby w Jugosławii, znaleźli się w jeszcze gorszej sytuacji. Cisza na ich temat była złowieszcza.

Podczas gdy ofiary „dzikich wypędzeń” stale napływały do Niemiec, mimo zawartego w porozumieniu poczdamskim wezwania do przerwania procederu tego rodzaju, zachodni alianci zaczęli się zastanawiać, na kim spoczywała odpowiedzialność za to, że, jak to ujął jeden z brytyjskich ministrów, deportacje były „zupełnie bezładne i przeprowadzane bez uwzględniania żadnych względów humanitarnych, a Niemcy są po prostu wyrzucani bez ostrzeżenia czy przygotowań”[65]. Wina za taki stan rzeczy, który powodował „wysokie” ofiary i „przerażające” cierpienia, spoczywała, zdaniem brytyjskich dyplomatów, wyłącznie na państwach dokonujących wysiedleń oraz na Związku Radzieckim. Była to wyrachowana i samolubna interpretacja faktów. Chociaż kraje przeprowadzające wysiedlenia niewątpliwie były winne masowego łamania praw człowieka, to zachodnie demokracje w równym stopniu ponosiły współodpowiedzialność za katastrofę rozgrywającą się na ich oczach. W ciągu trzech lat zachodnie rządy nie tylko zlekceważyły, ale nawet odrzuciły, i to po wnikliwym przemyśleniu sprawy, rady podsuwane jednogłośnie przez ekspertów, którzy dość dokładnie przewidzieli, do czego doprowadzi przyjęta polityka przesiedleńcza. Ze świadomością tego przywódcy wybrali drogę, której skutkiem były wielkie ludzkie cierpienia, mające, jak uważano, wywrzeć „edukacyjny” wpływ na populację pobitych Niemiec. Odrzucili jako nieistotne rozróżnienie między winowajcami a niewinnymi, a tym bardziej wszelkie próby określenia stopnia winy. Zachęcali

swoich sojuszników do podobnych czynów – obiecując przy tym pomoc – za które później osądzili przeciwników na procesach zbrodniarzy wojennych. Sugestii, że zachodni alianci byli cokolwiek zaskoczeni sterowaną przez władze państwowe falą przemocy, która przelała się przez centralną i południowo-wschodnią Europę w latach tuż po wojnie, lub też nie byli w stanie jej zapobiec, nie należy zatem traktować zbyt serio. Dokonano świadomego, rozmyślnego wyboru.

Przypisy

[1] Szacunkowe oceny dotyczące liczby przesiedlonych w czasie podziału subkontynentu indyjskiego w 1947 roku, która, jak uważano dawniej, przekroczyła 20 milionów osób, obecnie zostały zrewidowane i dziś uznajemy, że było ich prawie o połowę mniej. Por. S. Wolpert, *Shameful Flight: The Last Years of the British Empire in India*, Oxford University Press, Oxford 2006, s. 1; Y. Khan, *The Great Partition: The Making of India and Pakistan*, Yale University Press, New Haven, CT 2007, s. 6.

[2] J.M. Scott, *Exile and the Self-Understanding of Diaspora Jews in the Greco-Roman Period*, w: J.M. Scott (red.), *Exile: Old Testament, Jewish, and Christian Conceptions*, E.J. Brill, Leiden 1997, s. 202.

[3] M. Tanner, *Ireland's Holy Wars: The Struggle for a Nation's Soul, 1500–2000*, Yale University Press, New Haven, CT 2001, s. 145.

[4] S. Lovejoy, *The Slave Trade as Enforced Migration in the Central Sudan of West Africa*, w: R. Bessel, C.B, Haake (red.), *Removing Peoples: Forced Removal in the Modern World*, Oxford University Press, Oxford 2009, s. 156.

[5] P.C. Perdue, *China Marches West: The Qing Conquest of Central Eurasia*, Belknap Press of Harvard University

Press, Cambridge, MA 2005, s. 333.
[6] R. Bessel, C.B, Haake (red.), *op. cit.*, s. 3.
[7] C. Carmichael, *Genocide Before the Holocaust*, Yale University Press, New Haven, CT 2009, s. 24–26.
[8] D. Bloxham, *The Great Unweaving: The Removal of Peoples in Europe, 1875–1949*, w: R. Bessel, C.B, Haake (red.), *op. cit.*, s. 192–193.
[9] M. Mazower, *Hitler's Empire: How the Nazis Ruled Europe* (wydanie pol.: *Imperium Hitlera*, tł. A. i J. Maziarscy, Świat Książki, Warszawa 2011, s. 46).
[10] C. Grohmann, *From Lothringen to Lorraine: Expulsion and Voluntary Repatriation*, w: „Diplomacy and Statecraft 2005, nr 16/3 (jesień), s. 571–587.
[11] G. Jenkins, *Political Islam in Turkey: Running West, Heading East?*, Palgrave Macmillan, Basingstoke, Hampshire 2008, s. 92.
[12] E. Kontogiorgi, *Economic Consequences Following Refugee Settlement in Greek Macedonia, 1923–1932*, w: R. Hirschon (red.), *Crossing the Aegean: An Appraisal of the 1923 Compulsory Population Exchange Between Greece and Turkey*, Berghahn, New York 2003, s. 74.
[13] R. Hirschon, *The Consequences of the Lausanne Conference: An Overview*, w: R. Hirschon, *Crossing the Aegean*, s. 17.
[14] Cyt. za: E. Kontogiorgi, *Population Exchange in Greek Macedonia: The Rural Settlement of Refugees 1922–1930*, Oxford University Press, Oxford 2006, s. 65.
[15] „New English Weekly", 18 I 1945.
[16] M. Frank, *Expelling the Germans: British Opinion and Post-1945 Population Transfer in Context*, Oxford University Press, Oxford 2007, s. 25–29.
[17] Henderson do Williama Stranga, 25 VIII 1939, FO 371/23027.

[18] Cyt. za: C. Ponting, *Churchill*, Sinclair-Stevenson, London 1994, s. 652.
[19] M. Kramer, *Introduction*, w: P. Ther, A. Siljak, *op. cit.*, s. 6.
[20] Foreign Research and Press Service, „The Transfer of German Populations (with Notes on the Relevant Evidence from Previous Exchanges and Transfers)", 13 II 1942, FO 371/30930.
[21] F.J. Harbutt, *Yalta 1945: Europe and America at the Crossroads*, Cambridge University Press, Cambridge 2010, s. 144.
[22] „Report of the Inter-Departmental Committee on the Transfer of German Populations", A.P.W. (44) 34, 12 V 1945, CAB 121/85.
[23] *Ibid*., s. 2–3.
[24] Notatka Sargenta z 28 X 1943, cyt. za: D. Brandes, *Der Weg zur Vertreibung: Pläne und Entscheidungen zum „Transfer" der Deutschen aus der Tschechoslowakei und aus Polen,* Oldenbourg, München 2001, s. 262–263; „Report of the Inter-Departmental Committee", s. 4.
[25] „Report of the Inter-Departmental Committee", s. 22.
[26] *Ibid*., s. 3.
[27] *Ibid*., s. 19.
[28] *Ibid*., s. 4.
[29] *Ibid*., s. 27.
[30] *Ibid*., s. 30.
[31] Stenogram dziesiątego posiedzenia Komisji Powojennego Rozejmu z 20 VII 1944, CAB 121/85.
[32] R. Law, *Food Production, Land Settlement and Large Estates in Germany, and the Problem of the Transferred Populations*, 15 XII 1944, A.P.W. (44) 125, CAB 87/68; stenogram pierwszego posiedzenia Komisji Powojennego Rozejmu z 4 I 1945, CAB 121/85.

[33] C.R. Attlee, „Post-War Settlement – Policy in Respect of Germany”, 19 VII 1943, W.S. 42 (322), CAB 66/39.
[34] Notatka Troutbecka z 8 IX 1945, FO 371/46812.
[35] Notatka Toynbeego z 30 I 1945, FO 371/46811.
[36] „PWE/OSS Daily Intelligence Summary for Germany and Austria”, nr 139, 30 I 1945, FO 371/46810.
[37] Por. D. Brandes, *Der Weg zur Vertreibung…*, s. 286–290.
[38] R.C. Raack, „Stalin Fixes the Oder-Neisse Line”, *Journal of Contemporary History*, 25/4 (X 1990), s. 474.
[39] Cyt. za: G. Strauchold, *Myśl zachodnia i jej realizacja w Polsce Ludowej w latach 1945–1957*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2003, s. 85–86.
[40] P.E. Mosely, Assistant Chief of the Division of Political Studies, „Poland-Germany: Territorial Problems: Polish-German Frontier from Silesia to the Baltic Sea”, H-27, 18 VIII 1943, w: United States’ Department of State, *Foreign Relations of the United States: The Conferences at Washington and Quebec, 1943* (dalej jako *FRUS)*, Government Printing Office, Washington, DC 1970, s. 734.
[41] D. Brandes, *Der Weg zur Vertreibung…*, s. 280.
[42] Churchill do Roosevelta, 18 X 1944, *FRUS*, t. I: *Diplomatic Papers 1944: General*, Government Printing Office, Washington, DC 1966, s. 1327.
[43] Cyt. za: D.J. Allen, *The Oder-Neisse Line: The United States, Poland and Germany in the Cold War*, Praeger Westport, CT 2003, s. 15.
[44] R.E. Schoenfeld do Cordella Hulla, 21 XII 1944, *FRUS*, t. III: *Diplomatic Papers 1944: The British Commonwealth and Europe*, s. 1350.
[45] Por. teksty autorstwa G. Straussa (Lab., Lambeth North), 402 *H.C. Deb.* 5s, zbiór 1521 (2 VIII 1944); R.R.

Stokesa (Lab., Ipswich), *ibid.*, zbiór 1539; A. Edena, *ibid.*, zbiór 1549.

[46] 406 *H.C. Deb.* 5s., zbiory 1483–1484 (15 XII 1944).

[47] Maurice Petherick (Con., Penryn & Falmouth), 406 *H.C. Deb*. 5s., zbiór 1540 (15 XII 1944).

[48] 406 *H.C. Deb.* 5s., zbiór 1484 (15 XII 1944).

[49] 406 *H.C. Deb.* 5s., zbiór 1562 (15 XII 1944).

[50] „Manchester Guardian", 16 XII 1944.

[51] G. Orwell, *As I Please*, „Tribune", 2 II 1945.

[52] „Chicago Tribune", 18 XII 1944. Por. także: S. Jankowiak, *Wysiedlenie i emigracja ludności niemieckiej w polityce władz polskich w latach 1945–1970*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2005, s. 28–29.

[53] D. Reynolds, *In Command of History: Churchill Fighting and Writing the Second World War*, Random House, New York 2005, s. 274, 326–327, 418–419, 466.

[54] D. Brandes, *National and International Planning of the „Transfer" of Germans from Czechoslovakia and Poland*, w: R. Bessel, C.B, Haake (red.), *op. cit.*, s. 289–290.

[55] Cyt. za: J. Fenby, *Alliance: The Inside Story of How Roosevelt, Stalin and Churchill Won One War and Began Another*, Simon & Schuster, London 2006, s. 366.

[56] Dosłowna transkrypcja stenogramu czwartej sesji plenarnej konferencji w Jałcie, 7 II 1945, sporządzona przez H. Freemana Matthewsa, dyrektora Wydziału Spraw Europejskich w Departamencie Stanu, w: *FRUS: The Conferences at Malta and Yalta*, Government Printing Office, Washington, DC 1955, s. 720.

[57] „Report of the Crimea Conference", 11 II 1945, *FRUS: The Conferences at Malta and Yalta*, s. 974.

[58] Notatka Harveya z 30 III 1945, FO 371/47085.

[59] Notatka Attleego z 17 IV 1945, FO 371/46810.

[60] Stenogram piątego posiedzenia konferencji w Poczdamie, 21 VII 1945, FO 934/3.
[61] F. Taylor, *Dresden, Tuesday, February 13, 1945*, HarperCollins, London 2004, s. 185.
[62] *Ibid*., s. 376.
[63] *FRUS: Diplomatic Papers: The Conference of Berlin (The Potsdam Conference), 1945*, t. II, Government Printing Office, Washington, DC 1960, s. 1511.
[64] Stenogram szóstego, „końcowego" posiedzenia konferencji w Poczdamie, 22 VII 1945, FO 934/3.
[65] J. Hynd, *The Problem of the German Refugee Populations in the British Zone*, O.R.C. 46/74, 27 VII 1946, FO 945/67.

ROZDZIAŁ 4

„Dzikie wypędzenia”

Apelując o „uporządkowane i przeprowadzane po ludzku” przesiedlenia ludności, uczestnicy konferencji poczdamskiej w istocie próbowali przymknąć wrota stajni w momencie, gdy koń już wybiegał. Od ponad trzech miesięcy niemieckich cywilów wypędzano z obszarów określanych przez władze polskie mianem Ziem Odzyskanych – co miało nawiązywać do faktu, że Polacy niegdyś, w czasach dynastii Piastów panującej ponad 600 lat wcześniej, rządzili na owych terytoriach. Czechosłowacja poszła za polskim przykładem w połowie maja. Dalej na południu Europy, mimo że Jugosławia nie uzyskała zgody sprzymierzonych na wygnanie swojej populacji Volksdeutschów – zresztą o zgodę taką nawet nie pytała – przystąpiła do masowych deportacji. Także Rumuni, chociaż oficjalnie nie zwrócili się przeciwko etnicznym Niemcom, rychło znaleźli skuteczne środki zmuszenia ich do wyjazdu. Choć akcje te miały chaotyczny i brutalny charakter, to nie były ani przypadkowe, ani spontaniczne. Prowadzono je zgodnie z obmyślaną wcześniej strategią – często nieskuteczną i pod wieloma względami szkodliwą dla krajów dokonujących wysiedleń – opracowaną przez rządy zainteresowanych państw już na długo przed tym, jak wojna dobiegła końca.

Dla Polski i Czechosłowacji owe „dzikie wypędzenia” stanowiły metodę zabezpieczenia zdobyczy. Chociaż prawdą było, że Wielka Trójka, czyli USA, Wielka Brytania i ZSRR, udzieliła ogólnikowego poparcia dla planu masowych wypędzeń niemieckich mniejszości, to Czesi i Polacy sami wiedzieli na podstawie trudnych przedwojennych doświadczeń, że nie należało pokładać zbytniej ufności

w „uroczystych zobowiązaniach” składanych przez mocarstwa. Nie było żadnej gwarancji, że przywódcy któregoś z nich nie wycofają się ze swoich wcześniejszych obietnic złożonych krajom środkowoeuropejskim ani że nie zawahają się tego zrobić, jeżeli tego będą wymagały ich narodowe interesy. Poza tym mocarstwa anglosaskie znalazły się w fazie zmian politycznych. Niesprawdzony i niemal nieznany Harry Truman zastąpił Franklina D. Roosevelta w kwietniu 1945 roku. Nie wiedziano, jak Truman zapatrywał się na przyszłość Europy, nie należało jednak przypuszczać, że w kwestii wysiedleń okaże się równie uległy jak jego poprzednik. W Wielkiej Brytanii zbliżały się wybory powszechne, które Winston Churchill mógł przegrać – i faktycznie w lipcu 1945 roku je przegrał. I wreszcie, choć zachodni przywódcy starali się dotrzymywać danego słowa, to brytyjska i amerykańska opinia publiczna mogły wzdragać się na myśl o cierpieniach, które były nieuchronnym elementem masowych przesiedleń ludności, i wywrzeć nacisk na swoje rządy, aby te zezwoliły międzynarodowym agencjom humanitarnym na roztoczenie nadzoru nad przebiegiem deportacji – a to, z perspektywy krajów dokonujących wysiedleń, groziłoby radykalnym spowolnieniem całej operacji. Najefektywniejszą taktyką wydawało się zatem wyrwanie inicjatywy z rąk przywódców mocarstw przez „konkretne działania”, zanim doszłoby w końcu do konferencji pokojowej, która musiałaby zatwierdzić fakty dokonane.

Jednak paradoksalnie rządy polski i czechosłowacki nie przemyślały i nie zaplanowały wypędzenia Niemców dokładniej, aniżeli uczynili to liderzy trzech mocarstw. Pod wpływem niedawnych okrutnych doświadczeń okupacji nazistowskiej przeceniali skuteczność wykorzystania sił

zbrojnych w akcjach przesiedleńczych: nieustanne powoływanie się na precedens hitlerowskich deportacji i przymusowych migracji dla usprawiedliwienia poczynań, jakie teraz sami zamierzali podjąć, zapewne przesłaniało fakt, iż wcześniejsze wojenne wysiedlenia nawet się nie zbliżyły do realizacji przyjętych przez Hitlera celów. We wszystkich wypadkach, z wyjątkiem ogólnikowych koncepcji naszkicowanych przez „tajną grupę analityczną" pracującą na rzecz czechosłowackiej armii na uchodźstwie – której propozycji zmian w przebiegu granic ostatecznie nie uwzględniono – kraje wschodnio- i środkowoeuropejskie nie wypracowały niczego na kształt spójnego planu identyfikacji, koncentracji i transportu milionów ludzi w krótkim czasie[1]. Zamiast tego większość z nich zdała się niemal wyłącznie na terror, usiłując w taki sposób przepędzić niemiecką mniejszość poza swoje granice państwowe. Proces ów miał tak chaotyczny przebieg, że wielu zagranicznych obserwatorów, a nawet mieszkańców krajów objętych wysiedleniami błędnie uznało gwałtowne wypadki późnej wiosny i lata 1945 roku za spontaniczne wydarzenia, w których członkowie narodowych większości samorzutnie chwytali za broń, by oczyścić swoje miasta i wioski z lokalnych Niemców – czemu nadano nazwę „dzikich wypędzeń". Należy podkreślić, że podobne założenie prawie zawsze było fałszywe. Poza nielicznymi odosobnionymi przypadkami deportacje w Europie roku 1945 nie były skutkiem działań niezorganizowanych tłumów. Tak zwane dzikie wypędzenia niemal w każdym wypadku stanowiły efekt działań oddziałów wojska, policji i milicji, z reguły wykonujących polecenia wydawane na najwyższych szczeblach. Jednakże wniosek, że trwały spontaniczne „dzikie wypędzenia", był na rękę zainteresowanym rządom, które z ochotą podtrzymywały

taki mit. Umożliwiał bowiem władzom zrzucenie z siebie odpowiedzialności za zbrodnie i nadużycia, stanowiące zasadniczy komponent akcji wysiedleńczych; wiązał się z przedstawianiem fałszywych, niemniej w miarę przekonujących dowodów, świadczących o konieczności usunięcia grup niemieckiej mniejszości, którym w przeciwnym razie groziła śmierć z rąk ich sąsiadów. Mit ten także zdawał się potwierdzać słuszność argumentu, że jedyną humanitarną alternatywą dla „dzikich wypędzeń" był program „zorganizowanej wymiany ludności", do przeprowadzenia przez samych aliantów.

Jednym z czynników, które uwiarygodniały scenariusz „dzikich wypędzeń", był krótkotrwały wybuch odwetowych nastrojów w całej Czechosłowacji w maju 1945 roku. Emocje doszły do głosu, zwłaszcza w Pradze, w związku z wykazywaną przez niemieckie wojska determinacją kontynuowania walki aż do dnia ostatecznej kapitulacji Rzeszy, a nawet dłużej. Piątego maja, na podstawie nieścisłych informacji o zbliżaniu się wojsk amerykańskich i radzieckich oraz wieści o tym, że Karl Hermann Frank już nakazał częściową ewakuację Niemców z miasta, czeskie podziemie zbrojne wznieciło powstanie, które miało zasadniczo demonstracyjny charakter. Chociaż były to już końcowe chwile wojny, jednostki Waffen-SS odmówiły wycofania się z Pragi, przeprowadzając energiczny kontratak – z wykorzystaniem cywilów w roli „żywych tarcz" – na słabo uzbrojonych i źle wyszkolonych Czechów. Tylko zbawienna interwencja walczących wcześniej po stronie niemieckiej wojsk rosyjskich z tak zwanej armii Własowa, które zmieniły front i przyszły na pomoc powstańcom, zapobiegła krwawej łaźni; zresztą i tak czescy bojownicy musieli 8 maja negocjować rozejm na bardzo niekorzystnych dla siebie warunkach. Lecz fakt, że

w niektórych dzielnicach Pragi walki przeciągnęły się do następnego dnia, a pojedyncze niemieckie formacje w zachodnich Czechach nie złożyły broni jeszcze 11 maja, wywołał powszechny silny gniew. To, że czechosłowaccy obywatele nadal ginęli z rąk Niemców, podczas gdy reszta kontynentu świętowała zakończenie wojny, wydawało się wyjątkowo gorzką codą okupacji, która w Czechach potrwała dłużej niż gdziekolwiek indziej w Europie.

Nic dziwnego zatem, że „rewolucyjne dni" w Pradze i w innych miastach czeskich po ostatecznej niemieckiej kapitulacji okazały się krwawe i przepojone żądzą zemsty. Mimo to zagraniczni obserwatorzy i niektórzy z samych Czechów byli wstrząśnięci skalą, nasileniem i nieskrępowanym charakterem odwetowych represji.

> Zemsta była ślepa. Pewną staruszkę wyrzucono przez okno; muzyk objazdowej niemieckiej orkiestry został na ulicy pobity na śmierć, bo nie umiał mówić po czesku, innych, i nie tylko gestapowców, wieszano, oblewano benzyną i podpalano niczym żywe pochodnie. Rozwścieczony motłoch chodził po szpitalach w poszukiwaniu bezbronnych ofiar. Jednym [z zamordowanych] był pewien czeski pacjent. Okazał się on ojcem pisarza Michaela Mareša, ale w jego dokumentach jako miejsce urodzenia figurowały Sudety[2].

Pułkownik Harold Perkins, znający czeski język oficer brytyjskiego wywiadu i bynajmniej nie germanofil, był przerażony scenami przemocy, które zobaczył w Pradze; widział między innymi, jak tłum skatował na śmierć dwie Niemki i nadal masakrował zwłoki, gdy stały się już „jedną krwawą masą, od stóp po głowę"[3]. Marjorie Quinn, Brytyjka mieszkająca w mieście Trutnov w pobliżu granicy

z Polską, napisała do swojej siostry, że choć miejscowi Czesi, w przeciwieństwie do czerwonoarmistów, „rzadko mordują albo gwałcą”, to „wielce się wyspecjalizowali w rabowaniu i dręczeniu. […] Przebywający tu angielscy jeńcy wojenni wrogo usposobili wobec siebie Czechów, w miarę możliwości ochraniając niemieckie kobiety i dzieci; oni też są przerażeni tym, co się tutaj dzieje”[4].

Jednak najgorszych zbrodni w tak zwanych dniach majowych (które w rzeczywistości w wielu wypadkach przeciągnęły się do czerwca) dopuszczał się nie motłoch, tylko żołnierze, policjanci i inni działający w imieniu władz. Niektóre z pierwszych obozów internowania dla niemieckich cywilów funkcjonowały nie tyle jako ośrodki odosobnienia, ile jako prowizoryczne więzienia, gdzie można było zabijać pojmanych. W najbardziej niesławnym – byłej bażanciarni przekształconej w prowizoryczne obozowisko w Postolprty w północnych Czechach – czechosłowaccy żołnierze 5 i 6 czerwca rozstrzeliwali grupy liczące do 250 Niemców. Dokładna liczba ofiar tej masakry pozostaje nieznana; szacunki wahają się od 763 (tyle zwłok ekshumowano w 1947 roku) aż do 2 tysięcy. Podobne wypadki miały miejsce w jednym z budynków szkolnych w Brnie, gdzie, jak ustalono na podstawie przeprowadzonego później przez Czechosłowaków dochodzenia, co najmniej 300 osób – a liczba ta jest zaniżona – zmarło w wyniku tortur, rozstrzeliwań i wieszania w maju i czerwcu 1945 roku[5]. Osiemnastego czerwca 265 karpackich Niemców ze Słowacji, w tym 120 kobiet i 74 dzieci, zostało zabitych przez czechosłowackich żołnierzy, którzy wyprowadzili tych ludzi z pociągu w miejscowości Horní Moštěnice koło Přerova i zamordowali strzałem w potylicę. Ofiary pogrzebano w zbiorowym grobie, wykopanym przez nie wcześniej

w pobliżu stacji kolejowej[6]. Bynajmniej nie wszystkich „oficjalnych” represji dokonywano potajemnie. W Lanškroun szef Narodowego Komitetu Rewolucyjnego i czołowy członek partii Beneša, Josef Hrabáček, przewodniczył w tamtejszym ratuszu dwudniowemu posiedzeniu „trybunału ludowego”, z którego wyroku co najmniej 20 osób rozstrzelano, a dwie powieszono; innych torturowano, a kolejnych utopiono w miejskim zbiorniku wodnym. Jeszcze bardziej potworny przebieg miała „operacja oczyszczająca” w Chomutovie, gdzie, po obławie na kilka tysięcy lokalnych Niemców, 9 czerwca kilkunastu zadręczono na śmierć na boisku Jahnturnplatz na oczach wstrząśniętych czeskich przechodniów. Mimo że żaden z nich nie zdobył się na odwagę, by stanąć w obronie torturowanych, to pewien anonimowy korespondent napisał list do urzędu premiera, wyrażając krytykę owego spektaklu: „Nawet okrutni Niemcy nie likwidowali swoich przeciwników w taki sposób, skrywając sadyzm za bramami obozów koncentracyjnych”. Analogiczne zabójstwa, gwałty i masowe rabunki, popełniane przez żołnierzy, „partyzantów” i członków Gwardii Rewolucyjnej pod wpływem chciwości i chęci zaspokojenia sadystycznych bądź seksualnych skłonności, zdarzały się na większą lub mniejszą skalę w setkach innych miejscowości na całych ziemiach czeskich[7].

Pomimo postanowienia, by wypędzić niemiecką ludność z kraju, niektórzy czechosłowaccy przywódcy wyrażali głębokie zaniepokojenie z powodu skali przemocy i publicznej uwagi, jaką owa przemoc przyciągała. Już 12 maja premier Zdeněk Fierlinger zaproponował kolegom z rządu wygłoszenie przez radio orędzia do narodu z wezwaniem do Czechosłowaków, aby powstrzymali się od napaści na „niewinnych” Niemców. Jednak większość

ministrów sprzeciwiła się temu i ostatecznie Fierlinger nie wystąpił z takim apelem[8]. Ale jeśli czechosłowaccy politycy odnieśli się do kwestii moralnego aspektu odwetowych „represji” stosunkowo obojętnie, to mieli świadomość, iż wieści o takich ekscesach szkodziły reputacji ich kraju na Zachodzie. Wpływowe osoby, które wcześniej popierały sprawę Czechosłowaków, takie jak dyplomata i długoletni korespondent gazety „Manchester Guardian” F.A. Voigt, zaczęły nadsyłać anonimowe, niemniej jednak na ogół prawdziwe relacje o tym, co się działo z populacją Niemców sudeckich. Czesi, pisał Voigt, sami przyjmowali „rasową doktrynę zbliżoną do hitlerowskiej […] i metody, które nie różnią się specjalnie od faszystowskich. Faktycznie przeobrazili się w słowiańskich narodowych socjalistów”[9]. Reagując na podobne skargi, zwłaszcza zgłaszane przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża (MKCK), komunistyczny minister spraw wewnętrznych Václav Nosek zalecił zmianę takiego stanu rzeczy na posiedzeniu rządu 23 maja. Teraz ważne było, jak stwierdził, aby „oczyszczanie [*čištění*] republiki […] przeprowadzić wedle odgórnego planu”, a tym samym zapobiec „wykroczeniom i chaosowi”[10]. Szef sztabu armii czechosłowackiej generał Bohumil Boček już dzień wcześniej poinformował podległych mu dowódców, iż wie, że „aresztowania elementu niepożądanego [nazistowskich przestępców] w ČSR odbywają się tu i ówdzie ze zbyteczną brutalnością”, i uprzedził, że w przyszłości akcje te mają być przeprowadzane inaczej[11].

Ale poza częstymi i na ogół ignorowanymi napomnieniami tego rodzaju czechosłowacki rząd nie próbował na serio powściągnąć agresywnych poczynań podlegających mu agencji. Niechęć ku temu wynikała głównie z faktu, że był

to rząd koalicyjny, złożony z nieufnych wobec siebie przedstawicieli wszystkich pięciu legalnych ówcześnie partii. Każda z nich miała na względzie zaplanowane na rok 1946 wybory i nie chciała, żeby rywalizujące ugrupowania doczepiły jej metkę „miękkiej” w kwestii niemieckiej. Jednak rząd ten zdawał sobie też sprawę z realnego ograniczenia zakresu swojej władzy. Większość lokalnej administracji w całym kraju znajdowała się w rękach sieci 156 okręgowych komitetów narodowych, w których komuniści mieli nieproporcjonalnie znaczne wpływy i które odpowiadały przed nielicznymi naczelnymi organami władzy za działania w podległych im rejonach. Ministerstwo Obrony Narodowej kierowane przez proradzieckiego generała Ludvíka Svobodę kontrolowało siły zbrojne i w dużej mierze samo ustanawiało prawa. Cywilne ministerstwa, w tym najważniejsze – MSW i MSZ – toczyły nieustanne spory. Teoretycznie prezydent Beneš, który aż do czasu ponownego powołania parlamentu pod koniec października 1945 roku rządził za pomocą dekretów, mógł wydawać polecenia wszystkim ministerstwom. Lecz jego skuteczność była skrępowana wymogiem „ponadpartyjności”, a także tym, że dwie obce armie – sowiecka i amerykańska – nadal stacjonowały na znacznych obszarach państwa czechosłowackiego. I wreszcie tylko masowe wykorzystanie wojska mogło doprowadzić do wydalenia z Czechosłowacji tamtejszej niemieckiej ludności. Okrutny terror mógł w najgorszym razie poskutkować przejściowym oburzeniem opinii zagranicznej; rezygnacja z terroru oznaczała udaremnienie całej operacji deportacyjnej. Sam Beneš przyznał to w przemówieniu nadanym przez rozgłośnię Radia Praskiego: „Oskarża się nas o naśladowanie nazistów oraz ich okrutnych i barbarzyńskich metod. Jeżeli nawet zarzuty te bywają

uzasadnione w pojedynczych wypadkach, to stwierdzam kategorycznie: nasi Niemcy muszą odejść do Rzeszy i odejdą tam bez względu na okoliczności”[12].

W świetle wydarzeń z maja i czerwca, eufemistycznie określonych mianem „ekscesów”, postronni obserwatorzy mogli przypuszczać, że podobna dynamika leżała u podstaw „dzikich wypędzeń”. A jednak większość pogromów dokonanych w prowincjonalnych okręgach miała inny charakter. Do wyjątków należał tak zwany brneński marsz śmierci z 30 maja 1945 roku. Choć w większości literatury poświęconej wygnaniu Niemców z Czech opisuje się wypadki w Brnie jako wzorzec „dzikich wypędzeń”, to w istocie miały one specyficzny przebieg, dość odmienny od innych incydentów powiązanych z przymusowymi wysiedleniami. Ludność Brna, przemysłowego miasta, silnego ośrodka zdominowanego przez komunistów ruchu związkowego, gdzie dawał się we znaki ostry niedobór mieszkań, była szczególnie podatna na demagogiczne hasła. Przez całą drugą połowę maja lokalni komuniści wygłaszali radykalne żądania uporania się z problemem Niemców, grożąc strajkiem w całym mieście, jeśli wobec niemieckiej mniejszości nie zostaną podjęte ostrzejsze kroki. Nawoływano do przesiedlenia przynajmniej niepracującej części miejscowych Niemców oraz przekazania ich domów i mieszkań Czechom. Delegacja związkowców pod kierownictwem komunistycznego działacza Josefa Kapouna wkroczyła 30 maja do miejskiego ratusza, grożąc lokalnym władzom, że jeśli nie podejmą natychmiastowej inicjatywy w tej sprawie, uczyni to sam Kapoun wraz z robotnikami brneńskich zakładów zbrojeniowych. W obliczu takiego ultimatum burmistrz zgodził się na przystąpienie do eksmitowania Niemców jeszcze tego samego wieczoru, a decyzja ta

została zatwierdzona przez ministra spraw wewnętrznych Noska, pod warunkiem że wygnańcy nie zostaną wydaleni z terytorium Czechosłowacji. Kobiety, dzieci oraz starcy powyżej 60. roku życia mieli się stawić o 21.00 w 13 miejskich komendach policji, które wyznaczono na punkty zbiorcze – z bagażem podręcznym i zapasem żywności na trzy dni. Mężczyzn w wieku roboczym postanowiono tymczasowo nie wypędzać, tylko „skoncentrować” w innym miejscu. Chorych i kobiety ciężarne, niemieckojęzycznych Żydów, Niemców z mieszanych małżeństw oraz znanych „antyfaszystów” zwolniono z obowiązku stawiennictwa. Na krótko przed północą pierwsza kolumna wygnańców udała się w kierunku granicy austriackiej. Druga, złożona z Niemców wyłapanych w pobliskich wsiach i miasteczkach, ruszyła w drogę w ślad za nią kilka godzin później. Miejscowi dowódcy jednostek Armii Czerwonej, powiadomieni zawczasu o tej akcji, obiecali nie interweniować. W odległości około 55 kilometrów od granicy Czesi, wbrew instrukcjom Noska, podjęli próbę przepędzenia wygnańców, których zebrano około 28 tysięcy, do Austrii. Jednak nie dostali zgody na przekroczenie granicy od alianckich władz okupacyjnych. Działacze z Brna, odpowiedzialni za tę akcję deportacyjną, nie przewidzieli takiej ewentualności. Zamiast zezwolić Niemcom na powrót do domów, zamknęli ich w prowizorycznych obozach w miejscowości Pohořelice. Tam, bez jedzenia, wody i urządzeń sanitarnych, starsi i młodsi osłabieni wysiedleńcy ginęli setkami, głównie od chorób zakaźnych[13].

Maria Ranzenhoferová, młoda matka z rodziny czesko-węgierskiej z Modřic, dzielnicy na południowych przedmieściach Brna, musiała dołączyć do grona uchodźców za sprawą pewnego milicjanta, który w ten

sposób odegrał się na niej za to, że nie chciała się z nim przespać. I chociaż ta kolumna uciekinierów była strzeżona przez ludzi z wyzwolonych niemieckich obozów koncentracyjnych, którzy chronili jak mogli wypędzonych przed napastliwymi czeskimi robotnikami, to, jak wspominała Ranzenhoferová, traktowanie kobiet i dzieci podczas nocy w Pohořelicach było o wiele gorsze od samego marszu:

> [W czasie marszu] ludzi bito, kobietom wyrywano kolczyki i zabierano obrączki; niektórzy umierali. Ale w samym obozie było jak w rzeźni. Następnego ranka, około czwartej, kiedy wstałam i chciałam ruszać dalej, zobaczyłam, jak ładowano zwłoki na ciężarówki.

Nazajutrz Ranzenhoferovej i jej maleńkiemu synkowi udało się uniknąć śmierci w marszu i znaleźć się pod opieką władz w Milukovie, gdzie zamieszkała i żyje do dziś[14]. Niemcom sudeckim, którzy pozostali w obozie, tak się nie poszczęściło. Ci, którym powiodło się przejście przez granicę do Austrii, przez kolejne dni i tygodnie wegetowali w obozach, gdzie panowały warunki niewiele lepsze niż w Pohořelicach i gdzie umrzeć miały następne 1062 osoby. Szacunki dotyczące liczby ofiar tej „czystki” są bardzo różne. Eagle Glassheim obliczył, że łączna liczba zmarłych przekroczyła 1700 ludzi – aczkolwiek bez uwzględnienia tych, którzy stracili życie w trakcie samego marszu[15].

Epizod brneński, choć sam w sobie wstrząsający, był czymś niezwykłym, jak na maj 1945 roku: po pierwsze, że coś takiego w ogóle miało miejsce, a po wtóre z powodu tego, że doprowadzili do tego wydarzenia miejscowi cywile, chociaż wysoce upolitycznieni. Nieliczne wypadki, nazywane cokolwiek nietrafnie „dzikimi wypędzeniami”, jakie rozegrały się później tego samego lata, przebiegały

wedle podobnego schematu. Dochodziło wręcz do tego, że jednostki armii czechosłowackiej nieustannie zgłaszały skargi, by posłużyć się słowami jednego z meldunków, że narodowe komitety w regionach przygranicznych działały opieszale i utrudniały „ostre akcje przeciwko Niemcom". W memorandum Ministerstwa Obrony Narodowej z połowy lipca stwierdzono cierpko, że „konieczne jest wspieranie inicjatyw narodowych komitetów. Nie zaszkodziłoby, gdyby te inicjatywy nabrały pewnego rozmachu"[16]. Zwłaszcza przedsiębiorcy okazywali się stanowczymi przeciwnikami masowych wysiedleń, w związku z czym zniecierpliwieni oficerowie wojskowi utyskiwali, że eksperci od gospodarki zaliczyli połowę lokalnej niemieckiej ludności do kategorii „niezbędnych pracowników"[17]. Pewien major, sfrustrowany niezdolnością władz samorządowych miejscowości Posevsko do podjęcia należycie energicznych kroków przeciwko Niemcom, zagroził urządzeniu w tym miasteczku „drugich Lidic", jeżeli sytuacja nie ulegnie zmianie[18]. Wobec tego siły bezpieczeństwa zaczęły działać bardziej stanowczo. W celu przyspieszenia wysiedleń utworzono paramilitarną organizację policyjną SNB (Narodowy Korpus Bezpieczeństwa), ulegano żądaniom komunistów, nawołujących do udziału „mas ludowych" w operacji deportacyjnej oraz włączono do oficjalnych struktur wojskowych i policyjnych różne niekarne zbrojne ugrupowania w rodzaju Gwardii Rewolucyjnej, czyniące wiele chaosu na obszarach nadgranicznych.

Na początku czerwca w trakcie „próbnej" akcji formacje armii czechosłowackiej z pobliskiego Děčína zostały przerzucone w pobliże granicy i udało im się wyrzucić grupę Niemców do radzieckiej strefy okupacyjnej mimo usiłowań tamtejszej policji, która starała się przeszkodzić

tej deportacji, zamykając miejscową stację kolejową. Po tym zdarzeniu wypędzenia nabrały tempa. Na przykład 20 czerwca wojsko wraz z lokalnymi oddziałami bezpieki wzięło udział w operacji, odstawiając kilka tysięcy Niemców z przygranicznego Krnova, na północny zachód od Opavy, do Polski. Kolumna ta, zawrócona przez polskie oddziały, przeszła bocznymi drogami do miejscowości Králiky, położonej o 60 kilometrów dalej na zachód, i tam znowu przekroczyła granicę[19]. Gdy liczba wypędzeń narastała, ich przebieg zrobił się stereotypowy. Niemcom polecano stawić się w określonym miejscu, zazwyczaj dając im na to godzinę; mogli wziąć niewielki bagaż podręczny, który przeszukiwano, a następnie udawali się pieszo albo do granicy, albo do obozu przejściowego. Niektóre z tych przymusowych procesji musiały podążać bardzo szybko, a grupy, popędzane na drogach przez uzbrojoną eskortę, zmuszano do pokonywania dziennie po 40 kilometrów przez tydzień bądź nawet dłużej. Deportowani Niemcy musieli nocować w fabrycznych halach lub w stodołach i nie dostawali żywności ani wody poza tym, co wyprosili u mieszkańców mijanych po drodze wiosek. Kiedy wojska okupacyjne nie wpuszczały tych kolumn złożonych z wynędzniałych ludzi, co zdarzało się często, wygnańcy musieli powracać do punktu wyjścia. Podczas takich marszów szczególnie duża była śmiertelność wśród małych dzieci, które nie wytrzymywały trudów tułaczki, a zwłaszcza wśród niemowląt, gdyż ich matki po kilku dniach skrajnego wysiłku fizycznego bez jedzenia nie miały pokarmu. Sporadyczne protesty okręgowych komitetów narodowych, że owe zbiorowe czystki czyniły szkodę lokalnej gospodarce, ignorowano, a czasem wręcz uciszano przy użyciu siły.

Proces selekcji osób wysiedlanych w tym okresie był w znacznym stopniu arbitralny. W Czechosłowacji aż do momentu ponownego powołania Zgromadzenia Narodowego, co nastąpiło 28 października (w dniu święta narodowego) 1945 roku, prezydent Beneš był uprawniony do wydawania prawomocnych dekretów. Na mocy pierwszego z nich skonfiskowano majątki Niemców, Węgrów, zdrajców i kolaborantów; drugi wszedł w życie – zapewnie nieprzypadkowo – w ostatnim dniu konferencji poczdamskiej i odbierał dobytek tym wszystkim, którzy przyznali się niemieckiego lub węgierskiego pochodzenia w jednym ze spisów powszechnych przeprowadzonych po 1929 roku w Czechosłowacji. Ci, których te dekrety dotyczyły, mogli jednak ubiegać się o zwrot własności i przywrócenie czechosłowackiego obywatelstwa, jeżeli potrafili udowodnić, że czynnie przeciwstawiali się nazistom albo byli prześladowani przez Niemców ze względu na swą lojalność wobec republiki czechosłowackiej. Krytycy wskazywali, że formuła ta okazała się bardzo niedoskonała. Nowe prawa nie odnosiły się do tych etnicznych Czechów i Słowaków, którzy w latach okupacyjnego protektoratu starali się „nie wychylać”; natomiast etniczni Niemcy, postępujący tak samo, podlegali wysiedleniom, a ich majątek konfiskowano. We wszystkich przypadkach ci, którzy starali się o immunitet jako „antyfaszyści”, aby dowieść swojej racji, musieli się odwoływać do komitetów „weryfikacyjnych”, działających wedle bardzo różnych norm i procedur.

Wspomniani antyfaszyści napotykali i inne ogromne przeszkody. Najbardziej znany antyfaszysta spośród wszystkich Sudetendeutschów – Oskar Schindler, ratujący w czasie wojny Żydów z Gross Rosen i Oświęcimia, urodzony w 1908 roku w miejscowości Svitivy, sam ledwie

uniknął internowania, uciekając w pierwszych chaotycznych dniach pokoju z Czechosłowacji do Niemiec przebrany za więźnia obozu koncentracyjnego. Nigdy nie wystąpił on z takim odwołaniem, uważając, że jako niegdysiejszy agent Abwehry i były członek NSDAP nie ma szans na odzyskanie swych dóbr[20]. Doświadczenia innych, mniej znanych „Schindlerów", potwierdziły słuszność tego przypuszczenia. Na przykład we wrześniu 1945 roku 42 byłych brytyjskich jeńców wojennych ze Stalagu IV C koło Teplic wstawiło się do MSW w Pradze i MSZ w Londynie za Heinrichem i Juliusem Kunertami, właścicielami zakładów tekstylnych w Varnsdorf. Podczas wojny bracia Kunertowie chronili brytyjskich jeńców zatrudnionych w ich fabryce przed niemieckimi szykanami, dostarczając im prowiant i zezwalając na słuchanie audycji rozgłośni BBC. Kilkakrotnie obaj o mało sami nie zostali uwięzieni za taką niepatriotyczną troskliwość o brytyjskich robotników. Podczas „dni majowych" oswobodzeni jeńcy sami strzegli fabryki Kunertów przed agresywnym czeskim motłochem. Pomimo przedstawionych jednoznacznych świadectw rząd w Pradze nie dostrzegł powodu do interwencji w tej sprawie. Po tym jak czescy robotnicy fabryczni zagrozili strajkiem, jeżeli ich „niemieccy" szefowie nie zostaną usunięci, Kunertów uwięziono w Varnsdorf, ich posiadłości skonfiskowano i ostatecznie, po zwolnieniu z aresztu, zmuszono obu braci do ucieczki do Niemiec[21].

Przypadki tego typu nie były odosobnione. Minister obrony i przyszły czechosłowacki prezydent generał Ludvík Svoboda zaprezentował w jednym z przemówień typowe nastawienie, wzywając do „całkowitego wyrzucenia z Czechosłowacji wszystkich Niemców, nawet tych tak zwanych antyfaszystów, aby uchronić nas przed

powstaniem nowej piątej kolumny”[22]. W 1945 roku komitety weryfikacyjne na ogół postępowały z zacytowanym zaleceniem ministra; jeśli działo się inaczej, tak jak w Ostrawie, rozwiązywano je i zastępowano bardziej uległymi[23]. Nazwiska wnioskodawców były ogłaszane publicznie, aby każdy obywatel mógł zgłaszać ewentualne obiekcje – również anonimowo, jeśli tego sobie życzył. Do końca 1945 roku z około 4 tysięcy wniosków złożonych w Czeskich Budziejowicach uwzględniono zaledwie 34[24]. Zazwyczaj od składających wnioski wymagano zaświadczeń o lojalności, wystawionych przez rodowitych Czechów czy Słowaków. Ci zaś, którzy takie zaświadczenia wystawiali, narażali się na publiczny ostracyzm albo coś jeszcze gorszego. „Spontaniczna” demonstracja komunistek z Žižkova, robotniczej dzielnicy Pragi, była tylko jedynym z wielu wystąpień potępiających tych Czechosłowaków, którzy wydawali Niemcom pozytywne świadectwa[25]. W Nýřanach koło Pilzna pod wpływem innej „samorzutnej” inicjatywy miejscowych kobiet okręgowy komitet ujawnił personalia osób wstawiających się za niemieckimi antyfaszystami, wywieszając je w pobliżu ratusza, „aby dziś każdy miał okazję poznać nazwiska tych «patriotów»”[26]. Często stosowane były kryteria polityczne. Początkowo tylko komuniści i socjaldemokraci mogli się starać o status antyfaszystów; później zdarzało się, choć bardzo rzadko, że i członkowie nielewicowych partii przechodzili przez sito selekcji, po drobiazgowym zbadaniu ich przypadków. Niektóre komisje interpretowały kryterium „oporu” wobec nazizmu dosłownie, wymagając dowodów udziału w zbrojnej partyzantce i traktując je jako jedyny uznawalny wyznacznik antyfaszystowskiej postawy. Inne znowu wydawały odpowiednie zaświadczenia, ale potem cofały je pod naciskiem odgórnym bądź oddolnym[27].

W Polsce także nie widziano specjalnych powodów, by dokładać starań na odróżnianie „niewinnych” Niemców od tych „winnych”. Stanisław Mikołajczyk, w tym czasie wicepremier w zdominowanym przez komunistów rządzie koalicyjnym, przekonywał w 1946 roku, że nie należało czynić wyjątków dla Niemców działających w trakcie wojny w ruchu oporu. „Jeśli ktoś jest Niemcem, to jego miejscem są Niemcy, a nie nasz kraj”[28].

W takich okolicznościach łut szczęścia oraz koneksje liczyły się bardziej niż cokolwiek innego podczas podejmowania decyzji, kto miał pozostać, a kto musiał opuścić kraj. Pułkownik František Havel z czechosłowackiego Ministerstwa Obrony Narodowej raportował dosyć dyplomatycznie, że członkowie komitetów okręgowych w regionach przygranicznych byli „nie zawsze całkowicie godni zaufania i nieuprzedzeni”, kiedy sporządzali spisy Niemców do wydalenia z kraju. Częstokroć na listy trafiały nazwiska krewnych lub znajomych, z którymi ludzie z komitetów byli skłóceni albo mieli do nich jakieś żale[29]. Jednocześnie pułkownik František Dastich stwierdził, iż wiele komitetów ukrywało Niemców, aby zapobiec ich wyrzuceniu, a organa państwowe rutynowo zwalniały z obowiązku wyjazdu tych Sudetendeutschów, którzy wstąpili do KPČ po zakończeniu wojny[30]. Wiele skarg tego rodzaju trafiało do władz państwowych, podważając oficjalne zapewnienia, że należy deportować wszystkich czechosłowackich Niemców, aby uchronić ich przed zlinczowaniem przez sąsiadów. Pomimo rozporządzenia MSW, zgodnie z którym za przestępstwo uznawano zapewnianie schronienia, wyżywienia, odzienia i noclegu Niemcom, wiele artykułów w gazetach demaskowało „niepatriotycznych” Czechosłowaków nadal chroniących niemieckich znajomych przed władzami,

i ubolewano z powodu „narastającej liczby przypadków w rejonach przygranicznych dobroczynnego pomagania niemieckim robotnikom i jeńcom w ucieczkach z obozów odosobnienia w naszych okolicach”[31].

Granice przekraczano nie tylko w jednym kierunku. Z końcem wojny wiele setek tysięcy Niemców z obszarów, znanych niebawem jako polskie Ziemie Odzyskane, którzy wcześniej zbiegli przed nadciągającą Armią Czerwoną, powracało do swoich domów. Günter Lange, 12-latek wygnany w czerwcu 1945 roku ze Środy Śląskiej (Neumarkt), miasta leżącego na zachód od Wrocławia, napotkał w Zgorzelcu „tysiące uciekinierów” zmierzających w przeciwną stronę – w swe rodzinne strony na wschodzie. „Nie uwierzyli, że musimy stamtąd odejść. Nie mogli zrozumieć, że nie będzie powrotu do domu”[32]. Niepokojące zjawisko zwiększania się ludności „nowej Polski” w tygodniach po 8 maja 1945 roku było jednym z czynników, który mobilizował lokalne władze do możliwie najszybszego przystąpienia do „dzikich wypędzeń” i skuteczniejszego przeciwdziałania napływowi „niepożądanych” ludzi[33]. We Frankfurcie nad Odrą, mieście przedzielonym rzeką, polscy żołnierze rutynowo otwierali ogień ze wschodniego brzegu do Niemców podchodzących od drugiej strony do wody, aby łowić w niej ryby[34]. Emilie Melina, 37-letnia kobieta, która po zakończeniu wojny znalazła się po niewłaściwej stronie Nysy, przeżyła jeszcze gorsze zdarzenie, kiedy próbowała wrócić do swojej matki i siostry w Rakowie (Rakau). Wraz z dwiema innymi młodymi kobietami została aresztowana po przejściu granicy koło Węglińca (Kohlfurt) i trafiła do celi z 16 innymi osobami obojga płci. Chociaż kobietom nie czyniono specjalnej krzywdy, to zaszokowało je odbywające się na ich oczach bicie uwięzionych mężczyzn, katowanych

nieprzerwanie po pół godziny przez strażników. Melina była tak przerażona, że nie była w stanie oderwać wzroku od podłogi. Ku jej konsternacji więzienne straże próbowały zmusić ją i inne do kobiety do bicia więźniów pałkami. Polscy strażnicy okazali niezadowolenie z kilku słabych razów, jakie zadała, i wrzeszczeli: „My wytrzymaliśmy w waszych obozach koncentracyjnych przez sześć lat, ale wy nie przetrwacie u nas nawet tygodnia!”, jednak Melinę i pozostałe kobiety pozostawiono w spokoju. Po czterech dniach zostały odprowadzone nad Nysę i wydalone do Niemiec[35].

Zagrożenia takiego rodzaju nie odstraszały wielu innych osób od prób powrotu w nadziei na odnalezienie zaginionych krewnych, odzyskanie poukrywanych kosztowności lub na ponowne zamieszkanie w rodzinnych stronach. W większości na takie nieudane próby decydowały się kobiety, które zresztą stanowiły najliczniejszą grupę uchodźców. Do listopada 1945 roku tak wiele z nich starało się przedostać do Czechosłowacji, że major Otakar Fischer z Ministerstwa Obrony Narodowej zaproponował wydanie im krótkoterminowych kart pobytu, ważnych na rok. Większość przybywających, pisał, to kobiety z klasy robotniczej, które nie stwarzają zagrożenia politycznego i łatwo znajdują pracę w Czechosłowacji ze względu na niedobory siły roboczej[36]. Jednakże propozycja Fischera nie została przyjęta. Zamiast tego powracających zazwyczaj zamykano na kilka miesięcy w więzieniach, a następnie wydalano ponownie do Niemiec. W Polsce Ministerstwo Ziem Odzyskanych zaniechało walki z wiatrakami, czyli odstraszania nielegalnych przybyszów wyrokami więzienia, i zarządziło, żeby schwytanych bezzwłocznie odstawiać z powrotem do Niemiec[37].

Mimo że niemal wszystkie „dzikie wypędzenia” przeprowadzano pod egidą władz, to niektóre okazały się „dziksze” od innych. Zniecierpliwione lokalne organa lub jednostki sił bezpieczeństwa, reagując na naciski wywierane przez okoliczną ludność, często decydowały się na rozwiązywanie swoich problemów bez zgody władz centralnych, a nawet bez informowania ich o tym. Czasami wiązało się to z faktycznym prowadzeniem własnej „polityki zagranicznej”. I tak funkcjonariusze oddziału Urzędu Bezpieczeństwa w Jabloncu nad Nysą, nękani przez „coraz bardziej radykalne głosy” Czechów domagających się, aby coś zrobiono z lokalnymi Niemcami, i zdenerwowanych z powodu pozornej beztroski okolicznych Sudetendeutschów, złożyli wizytę miejscowemu dowódcy wojsk radzieckich generałowi Samochwałowowi i uzyskali od niego zgodę na odstawienie tysiąca wysiedleńców do granicy przebiegającej około siedmiu kilometrów na wschód od Polubný. UB z Jablonca przeprowadziło tę akcję w połowie czerwca, nie informując o niej władz wojskowych – co niemal zniweczyło całe zamierzenie, gdy pewien oficer armii polskiej, wskazując na teren, gdzie przepędzano Niemców, stwierdził, że to część polskich Ziem Odzyskanych, i odmówił ich wpuszczenia. Ostatecznie jednak uwagę wspomnianego oficera zajęto trwającymi cały dzień negocjacjami, w tym czasie w innym miejscu przerzucając Niemców przez granicę[38]. Mimo że czechosłowackie Ministerstwo Obrony Narodowej nie było zachwycone takimi samowolnymi działaniami, to podobne wypadki zdarzały się bardzo często. Wychodząca w Děčínie gazeta „Severočeská Mladá Fronta” wychwalała lokalne władze za ich skuteczność w tym względzie. „Ile wypraw do Drezna i ile udanych akcji przeprowadziliśmy dotychczas

w tym zakresie, bez czekania na zgodę wyższych czynników kierujących wysiedleniami!”[39].

Jednak w każdym mieście w rodzaju Jablonca czy Děčína znalazła się grupka nadgorliwych miejscowych, którzy usiłowali wykazać się podobną inicjatywą. Wielce ciekawą analizę trudności związanych na ogół z „dzikimi wypędzeniami”, dokonaną na podstawie wypadków w morawskim okręgu Svitavy, przedstawił czechosłowackiemu MSW regionalny komitet narodowy z Moravskiej Třebovy w sierpniu 1945 roku. Raport ten jest godny uwagi ze względu na swoją szczerość i odnosi się z pewnością do tego, co działo się w kilkunastu innych powiatach. Dwunastego maja zamieszkiwało w Svitavach 34 tysiące Niemców i zaledwie 115 Czechów. Około 8 tysięcy tych pierwszych szybko uciekło na własną rękę lub zostało wywiezionych przez Armię Czerwoną, ale nie było wiadomo, co począć z pozostałymi 26 tysiącami. Władze w Moravskiej Třebovie – jeśli wierzyć tej relacji – początkowo opierały się naciskom okolicznej czeskiej ludności, domagającej się rozpoczęcia akcji deportacyjnej. Ograniczono się do pojmania tylko 291 Niemców na podstawie donosów złożonych przez Czechów i lokalnych niemieckich antyfaszystów, a 40 z nich rychło zwolniono z aresztu. Jednakże na stanowisko zajmowane przez komitet wpłynęły nadchodzące z końcem maja wieści o wygnaniu Niemców z Brna oraz o krwawych „dzikich wypędzeniach”, przeprowadzonych przez wojsko czechosłowackie w Litomyšlu i okolicach tej miejscowości, oddalonej od Moravskiej Třebovy o 50 kilometrów[40]. Przedstawiciele miejscowej ludności wyrażali wielkie rozżalenie, że kiedy nowym mieszkańcom Svitavy nakazywano powstrzymać się od wypędzania i czekać cierpliwie na polecenia władz centralnych, ludność

pobliskich powiatów i okręgów mogła rozwiązać problem swoich Niemców, uciekając się do przemocy. „Radykalne elementy”, przybyłe do okolicy i dążące do wzbogacenia się, wraz z 2500 czeskimi „osadnikami” przysłanymi z głębi kraju doprowadziły do przekształcenia tego tlącego się niezadowolenia w chciwe rozgorączkowanie. Pod ich wpływem młodzież przystąpiła do niezwłocznych akcji przeciwko Niemcom. Inni zainteresowani przejęciem poniemieckiego mienia usiłowali działać z pominięciem miejscowego komitetu i wysyłali delegacje do ministrów w Pradze i Brnie. Te demagogiczne apele, zdaniem lokalnych władz, miały na celu wywołanie maksymalnego chaosu, ażeby w takich warunkach zainteresowani destabilizacją sytuacji osobnicy mogli się obłowić tym, co należało do Niemców.

Po tym, jak stało się jasne, że coraz większa liczba osadników nie zadowoli się cierpliwym wyczekiwaniem na „zorganizowane deportacje”, zaplanowane przez władze, na początku czerwca komitet próbował rozładować napięcie za sprawą masowych obław urządzanych na Niemców i zamykania w obozach, żeby dało się przeprowadzić pospieszną dystrybucję ich mienia. W Svitavach powstały cztery prowizoryczne ośrodki odosobnienia, a jeszcze jeden uruchomiono w Břenové nad Svitavou; część pobliskiego miasta ogrodzono, by przetrzymywać tam tych, których nie pomieszczono w obozach. Komitet przyznawał, że przeprowadzona obława miała chaotyczny przebieg, a w obozach panowały bardzo złe warunki. Z powodu pośpiechu, w jakim dokonano aresztowań, objęto nimi całe rodziny, w tym także znanych „antyfaszystów” i wykwalifikowanych robotników przemysłowych. Jak odnotował miejscowy lekarz, dr Votava, wśród internowanych niebawem wybuchły epidemie tyfusu

i czerwonki. Aby zmniejszyć przepełnienie w obozach, grupy po dwustu zatrzymanych po cichu wywożono i przerzucano przez granicę do okupowanych Niemiec. Deportacje te zawsze miały miejsce przed szóstą rano, by nie zwracać na nie uwagi władz amerykańskich i radzieckich. W ten sposób do połowy sierpnia liczba Niemców w Svitavach spadła prawie dwukrotnie. To wszak nie zadowoliło „radykałów". A ponieważ „każdemu Czechowi zależało na domu lub willi", to tymi Niemcami, którzy mieli najatrakcyjniejsze posesje, zajmowano się w pierwszej kolejności, co torpedowało podejmowane przez komitet próby dokonywania uporządkowanych wysiedleń. W skład podkomisji obarczonych zadaniem konfiskowania mienia wypędzonych weszło „wielu osobników, […] którzy działali we własnym interesie". Podżegało ich do działania czechosłowackie wojsko, a wysuwano wobec nich poważne i wiarygodne oskarżenia – o torturowanie, wieszanie, bicie i okradanie Niemców. Proceder ten przybrał taką skalę, że musieli interweniować czerwonoarmiści, zrywając Niemcom z ramion białe opaski, które komitet nakazał tym ostatnim nosić i które czyniły z nich cel napaści. Ponownie jednak presja ze strony „radykałów" w wojsku czechosłowackim wymusiła na Niemcach noszenie na piersi naszywek z literą „N" na białym tle.

Nieporządki wywołane przez te wydarzenia, jak donosił komitet, były tak wielkie, że w końcu konieczne okazało się tymczasowe wstrzymanie całej akcji. Dalszą „koncentrację" Niemców zawieszono do czasu sporządzenia dokładnych list z nazwiskami zatrzymanych. Zgodnie ze wskazówkami otrzymanymi z MSW małe dzieci z matkami zostały zabrane z obozów internowania – jakkolwiek, wbrew wytycznym, nie wypuszczono ich na wolność, aby nie drażnić miejscowej czeskiej ludności. Zamiast tego pozostały zamknięte

w „getcie”. Powołano do istnienia „komisję kontrolną”, która, jak liczono, pomoże władzom w opieraniu się oddolnym naciskom i w uniknięciu na przyszłość podobnych „błędów”. Jednak z 26 tysięcy Niemców nadal aż 15 tysięcy czekało na wysiedlenie i komitet informował zwierzchnie władze, że bez wątpienia wynikną nowe kłopoty, o ile ci Niemcy nie zostaną wkrótce deportowani[41].

Nawet nieco mniej chaotyczne wysiedlenia przeprowadzane przez czechosłowacką armię wiązały się z narastającymi trudnościami wraz z nadejściem okresu letniego. Do największych problemów należał niedostatek odpowiednich przejść granicznych. Z początku niektóre oddziały amerykańskich wojsk okupacyjnych w zachodnich Czechach były skłonne do udzielania pomocy. Podpułkownik V. Drozda meldował 19 czerwca 1945 roku, że w jego okręgu Amerykanie współdziałali z czechosłowackimi organami ścigania w obławach na „miejscową niepewną pod względem narodowościowym ludność”, a amerykańska żandarmeria polowa wzięła udział w większości tych akcji[42]. Wedle amerykańskiego reportera przebywającego na miejscu, Edwarda Angly’ego, rola armii USA w tych „dzikich wypędzeniach” była nawet większa. Jak donosił, wysiedleńcy „czasami poganiani celnymi kopniakami” byli „zapędzani do niewoli 3. Armii Stanów Zjednoczonych, […] a od momentu przybycia żołnierze V Korpusu codziennie wywozili ciężarówkami z Czechosłowacji średnio po tysiąc Niemców dziennie”[43]. Prawdopodobne jednak, iż takie nieoficjalne uczestnictwo USA w operacjach deportacyjnych potrwało tylko do chwili ogłoszenia poczdamskiego moratorium. Z upływem czasu amerykańscy dowódcy patrzyli z coraz większym zaniepokojeniem na metody stosowane przez Czechosłowaków wobec Sudetendeutschów, w związku z czym w październiku

generałmajor Ernie Harmon z XXII Korpusu stacjonującego w Pilznie oznajmił ambasadorowi USA, że „nie uważa, że amerykańska armia powinna brać w tym udział”[44].
I faktycznie, w połowie jesieni 1945 roku wojska Stanów Zjednoczonych stwarzały już takie trudności w kwestii przemieszczania wysiedleńców w zachodnich Czechach, że w praktyce to udaremniały. Na północy wchłonięcie przez Polskę poniemieckich Ziem Odzyskanych skróciło dawną granicę czechosłowacko-niemiecką o połowę, co też poważnie utrudniało deportacje z Czech. Na południu Austria mogła przyjąć znacznie mniej wygnańców niż Niemcy, a sowieccy dowódcy wojsk okupacyjnych odnosili się bez zrozumienia do problemów Pragi. W rezultacie wysiedlenia z Czechosłowacji odbywały się przez stosunkowo wąski pas graniczny między Jáchymovem a Libercem, w regionie, którego głównym ośrodkiem był Děčín. Ale nawet tam radzieckie władze wojskowe w nadgranicznych okręgach po stronie niemieckiej stawiały Czechom coraz większe żądania. Na przykład dowództwo sowieckiej 13. Dywizji stwierdziło, że żołnierze czechosłowaccy muszą towarzyszyć wielkim kolumnom przesiedleńców na odcinku do 20 kilometrów po przekroczeniu granicy; że powinni być zaopatrzeni w prowiant na kilka dni; nie wolno ograbiać wygnańców z ich rzeczy i racji żywnościowych, najstarszych i bardzo młodych należało przewozić na wozach, a wysiedleńcy mieli omijać centrum Żytawy (Zittau). Inni dowódcy wprowadzili tygodniowy limit przyjmowania dwóch 250-osobowych grup na posterunku granicznym w miejscowości Boží Dar; żądali, aby nie wpuszczano do Niemiec tych, którzy nie mieli co najmniej 25 kg bagażu i dokumentów tożsamości, albo też domagali się powiadamiania ich o nadchodzeniu kolejnych kolumn z dwudobowym wyprzedzeniem. W memorandum

sporządzonym przez armię czechosłowacką zauważono jednak, iż najskuteczniejszy sposób na „uelastycznienie” postawy sowieckich straży granicznych i przymykanie oczu na takie wymogi polegał na dawaniu im alkoholu w prezencie[45].

O dziwo, jeśli wziąć pod uwagę, że niemiecka okupacja Polski miała o wiele bardziej okrutny i nieludzki charakter w porównaniu z tym, co działo się podczas wojny w Czechach, początkowo na polskich Ziemiach Odzyskanych nie dochodziło do takich akcji odwetowych jak w Czechosłowacji – lecz wkrótce miało się to zmienić. Usuwanie Niemców z Gdańska zaczęło się już w połowie kwietnia 1945 roku, choć niemieccy gdańszczanie raczej uciekali z własnej woli niż pod przymusem. Tych, którzy sami decydowali się na opuszczenie tego miasta, zaopatrywano w zaświadczenia wymagane przez władze cywilne i wojskowe, a dokumenty takie miały ułatwić przedostanie się do Niemiec i zachowywały ważność przez miesiąc od daty wydania. Zazwyczaj uprawniały do przejazdu pociągami, honorowane jako bilety. Jednakże nastawienie zmieniło się radykalnie na gorsze na początku czerwca, po wydaniu pierwszego z serii wojskowych rozporządzeń o natychmiastowym wydaleniu niemieckiej ludności z Polski. Generał Karol Świerczewski, dowódca 2. Armii Wojska Polskiego, nawiązał w rozkazie wydanym 24 czerwca do „sukcesów” Czechosłowaków w zakresie deportacji Niemców i wzywał swoich żołnierzy do podobnego postępowania. „Trzeba wykonywać otrzymane zadania w sposób bezwzględny i zdecydowany – twierdził – aby germańscy szkodnicy nie poukrywali się w domach, tylko uciekali z nich z własnego wyboru, a potem, w swoim kraju, dziękowali Bogu, że ocalili skórę”[46]. Bardziej konkretne zalecenia doradzały, jak wypełnić tę misję, co

doprowadziło, podobnie jak w Czechosłowacji, do tego, że w różnych regionach obowiązywały nieco odmienne zasady. Na obszarze strzeżonym przez 5. Dywizję Piechoty wysiedleńcom zezwalano na zabieranie po 20 kg bagażu, złożonego wyłącznie z odzieży i pożywienia. Z kolei dowódca 11. Dywizji wyraził zgodę na korzystanie przez Niemców z wozów ciągnionych przez konie i woły, choć należało je oddać polskim władzom przed przekroczeniem granicy. Jednak zasadniczo deportacjom towarzyszyło wiele aktów przemocy; w opinii Bernadetty Nitschke metody stosowane przez polskie wojsko „były dalekie od ludzkich, a często nie różniły się od hitlerowskich”[47]. Organy władzy cywilnej często protestowały przeciwko deportacjom, argumentując, iż szkodzą one gospodarce, a przede wszystkim, że zabraknie rąk do pracy w trakcie zbliżających się żniw. Czasami ingerowały także formacje Armii Czerwonej, co skłoniło generała Świerczewskiego do przypomnienia podwładnym o znaczeniu unikania sporów z radzieckimi dowódcami, których należało raczej stawiać przed faktami dokonanymi.

W połowie czerwca drogi na Ziemiach Odzyskanych, między Odrą a przedwojenną granicą, zatłoczone były grupkami i grupami Niemców, od kilku- do kilkusetosobowych, wygnanych z domów prawie bez uprzedzenia i podążających na zachód. Bez jedzenia i schronienia, w perspektywie przemierzenia pieszo kilkuset kilometrów, przeżyć mogli tylko z tego, co wyżebrali albo ukradli na szlaku. Podczas tej tułaczki bynajmniej nie pozostawiano ich w spokoju. Przeżycia Johanny Janisch, 25-letniej matki trojga małych dzieci, były typowe dla tysięcy innych wygnańców. Wyrzucona w środku nocy ze wsi koło Świebodzina (Schwiebus) Janisch chorowała na rzeżączkę, jakiej nabawiła się zgwałcona

wcześniej przez około 20 czerwonoarmistów. (Zeznała, że polscy milicjanci w jej wiosce uchronili ją samą i jej siostrę przed kolejnymi napaściami, mówiąc sowieckim żołnierzom, iż te Niemki to ich żony).

> W Świebodzinie spotkali się uchodźcy z wielu okolicznych wiosek i utworzyli wielki pochód, który wyruszył w kierunku Frankfurtu nad Odrą. Spędziliśmy pierwszą noc pod gołym niebem, później chroniliśmy się po nocach w napotykanych stodołach i szopach. […] Podczas tej pięciotygodniowej wędrówki żywiliśmy się tylko owocami i ziemniakami, które sami wykopywaliśmy na polach. […] Wielu osłabionych i chorych, ludzi starych i dzieci, zmarło i trzeba było ich zostawić. Była to żałosna procesja w skrajnych cierpieniach. Wszyscy straszliwie wychudliśmy, a wielu z nas wyglądało jak szkielety. Bóg jeden wie, ile razy ograbiali nas Polacy i Rosjanie, i jak często kobiety były zniewalane [seksualnie][48].

Ale choć piesza tułaczka wiązała się z wieloma zagrożeniami i niedolami – które biskup Stanisław Adamski, zwierzchnik diecezji wrocławskiej, określił jako „nie do opisania” – to i tak najczęściej bywała czymś lepszym od wywózek koleją, uruchomionej przez polskie władze. Przejazd do Berlina, bo tam głównie kierowały się pociągi z wysiedleńcami, trwał do dwóch tygodni, czasem jeszcze dłużej; pociągów tych nie zaopatrywano w jedzenie i wodę i brakło w nich podstawowych udogodnień. Nic więc dziwnego, że ludzie masowo w nich umierali.

> W naszym wagonie towarowym było około 98 osób i nie będzie przesadne stwierdzenie, że byliśmy w nim ściśnięci jak sardynki w puszce. Po dotarciu pociągu do

Olsztyna ludzie zaczęli umierać, a zwłoki trzeba było układać przy torach. Potem, w trakcie podróży co rano był [w wagonie] co najmniej jeden trup; pozostawialiśmy je na nasypach kolejowych. Wiele, bardzo wiele zwłok leżało wzdłuż torów […].

Pociąg częściej stał, niż jechał. Zabrało nam ponad 14 dni dotarcie do rosyjskiej strefy okupacyjnej. Rzadko jechaliśmy nocami. […] Nie mieliśmy pojęcia, gdzie się znajdowaliśmy, bo nazwy wszystkich stacji były już polskie. Długo baliśmy się, że wywiozą nas w głąb Polski i porzucą gdzieś, żebyśmy pomarli z głodu. Ale w końcu zorientowaliśmy się, że zmierzamy w kierunku zachodnim. Po kilku dniach skończyło się jedzenie. Czasami udawało nam się wybłagać u polskiego maszynisty trochę ciepłej wody z kotła lokomotywy. […] Noce były nieznośne ze względu na ciasnotę. Nie dało się ani stać, ani siedzieć, a tym bardziej leżeć. Byliśmy tak ściśnięci, że czasami nie sposób było się nie przepychać. Dochodziło do wzajemnych oskarżeń i kłótni, a nawet do bijatyk w tym ludzkim tłumie. Bardzo chorzy ucierpieli najpoważniej. Tyfus panoszył się po całym transporcie, a liczba zmarłych rosła każdego kolejnego dnia. Łatwo można sobie wyobrazić przerażający stan higieny w naszym wagonie[49].

W dwóch innych krajach, z których wysiedlano Niemców – w Jugosławii i Rumunii – wszelkie deportacje były siłą rzeczy „dzikimi wypędzeniami”, ponieważ alianci nie zgadzali się na wpuszczanie tamtejszych mniejszości do okupowanych Niemiec czy Austrii. Rząd Tity z opóźnieniem, 16 stycznia 1946 roku, przedłożył formalną prośbę o zgodę na zorganizowaną deportację niemieckiej ludności

z Jugosławii. „W ciągu 10 lat przed wybuchem II wojny światowej”, stwierdzano w niej, „niemiecka mniejszość systematycznie planowała i przygotowywała zniszczenie państwa jugosłowiańskiego”, a wedle powojennej jugosłowiańskiej państwowej komisji śledczej „tylko tysiąc [Niemców] […] zachowało bezstronność w czasie okupacji”. W związku z tym Niemcy stanowili „szkodliwą enklawę w ciele narodów Jugosławii”, a stwarzane przez nich zagrożenie dla międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa miało rzekomo tak bezpośredni charakter, że ich deportacja winna była nastąpić wcześniej od innych podobnych akcji przesiedleńczych[50]. W razie zaakceptowania tej prośby Belgrad proponował wydalenie z kraju wszystkich 130 388 jugosłowiańskich Volksdeutschów w ramach 15-dniowej operacji[51]. Chociaż w Ministerestwie Spraw Zagranicznych w Londynie poparto ten zamysł, argumentując, że „byłoby trudno odmówić Jugosłowianom tego, co zapewniliśmy Polakom, Czechom i Węgrom”[52], to inni odnieśli się sceptycznie do zaskakująco małej – i określonej z podejrzaną dokładnością – liczby przedstawicieli niemieckiej mniejszości podanej przez Belgrad. Przypominano, że w przedwojennym spisie ludności populacja Niemców z Jugosławii przekraczała 600 tysięcy. A więc wydawało się dość prawdopodobne, że „Jugosłowianie celowo podają nam teraz zaniżone dane, abyśmy łatwiej zgodzili się na transfer [ludności], a później, jak już się na to zgodzimy, dowiemy się, że opuściło ich kraj dwa albo trzy razy więcej Niemców, niż początkowo miało ich tam być”[53]. Mimo że dochodziło do masakr na Volksdeutschach na masową skalę, a brytyjska misja wojskowa raportowała w styczniu 1945 roku o typowej akcji odwetowej, w której „150 Volksdeutschów z Wojwodiny zastrzelono za zabicie rosyjskiego żołnierza przez pewną

miejscową kobietę", wydawało się raczej nieprawdopodobne, by dało się wyjaśnić nimi „zniknięcie" pół miliona Niemców[54]. W czasie, gdy rozpatrywaniem jugosłowiańskiej prośby zajęła się Aliancka Komisja Kontroli w Berlinie, zwycięskie mocarstwa okupujące Niemcy ledwie sobie radziły z napływem Niemców z trzech „państw poczdamskich" – Polski, Czechosłowacji i Węgier. Wszyscy się bali, że uczynienie zadość żądaniom Tity stworzyłoby niefortunny precedens i dodatkowo wzmogło już znaczne trudności z uchodźcami. „Wiadomo że niemieckie mniejszości znajdują się w Bułgarii, Rumunii, Iranie, Turcji i innych krajach, a zatem nie jest wykluczone, iż napłyną do nas prośby o przesiedlenie tych mniejszości"[55]. Generał Wasilij Sokołowski, głównodowodzący wojsk Armii Czerwonej w radzieckiej strefie okupacyjnej, już przeciwstawił się zakulisowym próbom Belgradu uzyskania zgody na wysiedlenie z Jugosławii mniejszości niemieckiej do części Niemiec pod sowieckim zarządem[56]. W rzadkim przejawie solidarności wykazanej przez cztery alianckie mocarstwa sprzymierzeni poparli radziecką propozycję, by prośbę Jugosłowian odłożyć na czas nieokreślony *ad acta*. Chociaż i tak nie powstrzymało to Tity przed wypędzaniem Volksdeutschów, to przynajmniej musiał on rozłożyć akcje deportacyjne w czasie, a co oznaczało zredukowanie do pewnego stopnia trudności z ponownym osiedlaniem wygnańców.

Podobny przebieg miało usuwanie Volksdeutschów z Rumunii. Odmiennym czynnikiem było to, że rząd w Bukareszcie nie żądał formalnie przyzwolenia na ich wypędzenie ani też nie wydał rozporządzenia o wydaleniu Niemców z kraju. Faktycznie Bukareszt oficjalnie oprotestował nawet pierwsze kroki w tym kierunku podjęte przez radzieckie władze wojskowe. W styczniu 1945 roku

generał Władisław Winogradow zażądał do rumuńskich władz zatrzymania wszystkich etnicznych Niemców w wielu od 18 do 45 lat oraz Niemek w wielu od 18 do 30 lat w celu wywiezienia tych ludzi do ZSRR na roboty przymusowe. Koalicyjny rząd Nicolae Râdescu przeciwstawił się temu zarządzeniu, wskazując, że pośród 500 tysięcy rumuńskich Volksdeutschów było wiele osób „o bardzo dalekim niemieckim pochodzeniu lub po prostu noszących z niemiecka brzmiące nazwiska […] [które] odbyły służbę wojskową w armii rumuńskiej i wywiązywały się bez zarzutu ze swoich obywatelskich obowiązków. Ich mobilizacja i wywózka byłyby tym bardziej niesprawiedliwe i nieuzasadnione”[57]. Niektórzy zachodni dyplomaci i politycy także odnieśli się krytycznie do tej sowieckiej inicjatywy, w mniejszym stopniu ze względu na jej dyskryminacyjny charakter, a bardziej z powodu tego, że uważali wykorzystanie przymusowej siły roboczej za formę „pewnego rodzaju reparacji”, o czym decydować winna tylko aliancka rada wyznaczona do podziału niemieckiego majątku, a nie ktoś, kto podejmował taką decyzję bez jej należytego skonsultowania. Jednakże Orme Sargent z MSZ oświadczył, że „my [Brytyjczycy] i Amerykanie będziemy musieli przyzwyczaić się do tych masowych deportacji, które Rosjanie z pewnością będą przeprowadzali po wkroczeniu do Niemiec”[58]. Poparł go Winston Churchill, który przypomniał, że jego niesławne „porozumienie procentowe” zawarte ze Stalinem w Moskwie w październiku 1944 roku przewidywało, iż Sowieci będą mieli 90 procent wpływów w powojennej Rumunii[59]. W kilku utrzymanych w tonie irytacji memorandach skierowanych do ministra spraw zagranicznych Edena brytyjski premier domagał się poinformowania go, „po co robimy tyle hałasu w związku z deportacjami przez Rosjan

Sasów [etnicznych Niemców] i innych z Rumunii? Osiągnięto porozumienie, że Rosjanie będą postępowali wedle własnej woli w swojej strefie. Zresztą i tak nie możemy ich przed tym powstrzymać”[60].

Deportacje z Rumunii odbywały się w równie chaotycznym trybie jak te, które nieco później miały miejsce w Czechosłowacji i Polsce. Radziecko-rumuńskie patrole podjęły obławy na Niemców przed świtem 11 stycznia 1945 roku, polecając osobom wyznaczonym do wysiedlenia, żeby w ciągu kwadransa zabrały zapas odzieży i żywności na 10 dni. Brytyjski ambasador zauważył, a generał Winogradow nie zaprzeczał, że w wielu wypadkach „rumuńscy policjanci brali od Niemców łapówki w zamian za uwolnienie, a miejsce tych, co się wykupili, zajmowali przypadkowi przechodnie zatrzymani przez rumuńską policję. Naturalnie tymi ostatnimi byli Rumuni”[61]. Mimo wszystko za pomocą takich metod wyrzucono z kraju do 75 tysięcy Volksdeutschów. Inni trafili do obozów internowania, aby łatwiej było zająć ich mienie.

Mimo że większości etnicznych Niemców w Rumunii formalnie nie deportowano, to zarówno ci, którzy pozostali, jak i ocalali spośród wywożonych na roboty do ZSRR, zwalniani stopniowo z łagrów od grudnia 1945 do 1949 roku, znaleźli się w warunkach, które w praktyce zmuszały ich do ucieczki. Po tym, jak Sowieci doprowadzili w marcu roku 1945 do upadku rządu Râdescu, zastępując go posłuszną sobie komunistyczną administracją, wydano parę dekretów, na mocy których skonfiskowano na rzecz państwa nieruchomości etnicznych Niemców i rozdzielono je wśród Rumunów. A więc i pozostali na miejscu Volksdeutsche, i powracający wypędzeni zastawali w swoich domach etnicznych Rumunów; im samym nadano oficjalnie status nielegalnych imigrantów. Nowe władze

w Bukareszcie zabroniły Czerwonemu Krzyżowi objęcia pomocą dobroczynną Volksdeutschów „w związku z tym, że ludzie ci stracili rumuńskie obywatelstwo”. Znaleźli się oni zatem w rozpaczliwym położeniu. Jak stwierdzili pracownicy Czerwonego Krzyża, wracający wysiedleńcy „zazwyczaj koczowali pod gołym niebem albo w piwnicach, a czasem nie mieli co jeść, poza tym, co rosło na polach”. Tym, którzy uniknęli deportowania, powodziło się niewiele lepiej: „Dosłownie wyrzucono ich na ulicę. […] Na ogół ich domy przydzielano Cyganom, a ci często zatrudniali byłych właścicieli jako służących”[62]. Pozbawieni środków do życia rumuńscy Volksdeutsche byli zatem „konstruktywnie wydalani”. Znaczna ich liczba przedostała się do Niemiec i Austrii; do sierpnia 1945 roku około 21 tysięcy rumuńskich Niemców znalazło się w drugim z tych krajów, a większość z nich przybyła tam w bardzo złym stanie zdrowia[63].

Ku wielkiemu zdumieniu licznych obserwatorów Niemcy w każdym z krajów, gdzie dokonywano wysiedleń, stawiali minimalny tylko opór albo nie przeciwstawiali się wcale. Bez wątpienia wpływał na to skład demograficzny grup wysiedleńców – kobiety, dzieci i starcy rzadko wzniecają powstania i bunty. Niemniej jednak spokój, z jakim Niemcy godzili się ze swym losem, wyraźnie wytrącał z równowagi polskie i czechosłowackie władze, które oczekiwały zaciętego oporu ze strony „pozostawionych na tyłach” niemieckich ugrupowań partyzanckich – tak zwanego Wehrwolfu. Choć teraz wiadomo już, że do zorganizowanych działań tego rodzaju właściwie nie dochodziło[64], władze w okręgach przygranicznych obu wspomnianych krajów rozdmuchiwały rzekome zagrożenie ze strony Wehrwolfu. Dotyczyło to zwłaszcza Czechosłowacji, gdzie paniczny strach przed akcjami

sabotażowymi w znacznej mierze rodził się latem 1945 roku z „ogólnikowych stwierdzeń, półprawd, a czasami z oczywistych zmyśleń”[65]. Tak jak w czasie nazistowskiej okupacji przedstawiano przesadnie skalę czechosłowackiego zbrojnego oporu i zaliczano wypadki do aktów sabotażu, tak samo wszelkie niewyjaśnione zdarzenia, skutkujące śmiercią czy kontuzjami, na ogół przypisywano tam działaniom Wehrwolfu[66]. Na przykład w połowie lipca w Rutolticach na północny zachód od Ołomuńca stracono w trybie przyspieszonym dziewięciu cywilów, Niemców sudeckich, w odwecie za postrzelenie czechosłowackiego żołnierza, który, jak wykazało późniejsze dochodzenie, został zraniony przez kolegę obchodzącego się nieostrożnie z bronią. Członków Wehrwolfu oskarżono też o doprowadzenie do niefortunnego starcia w ciemnościach oddziału wojsk amerykańskich z jednostką Gwardii Rewolucyjnej koło Aš w nocy z 30 czerwca na 1 lipca, zakończonego wymianą ognia i zranieniem trzech osób. Takie drobne incydenty często miewały poważne konsekwencje. Gdy pewien oficer SNB (Narodowego Korpusu Bezpieczeństwa) nieszczęśliwie rozerwał się ręcznym granatem w miejscowości Bruntál, pułkownik V. Janko ze znanej z bojowości czechosłowackiej 1. Brygady Pancernej wyciągnął pospieszny wniosek, że ów wypadek był skutkiem eksplozji bomby odpalonej drogą radiową. Jego podwładny, kapitan I. Gaš, 5 lipca rozstrzelał w odwecie 20 miejscowych Sudetendeutschów; internowano setki innych, przepędzając 4300 osób przez granicę 10 i 11 lipca, a kolejnych 750 zostało zesłanych na roboty w głąb Czech. Później, kiedy żołnierze tejże brygady ostrzelali też jednostkę policji finansowej koło Javorníka na obrzeżach Svitav w nocy z 9 na 10 lipca, biorąc kontrolerów za członków Wehrwolfu i rozpętując prawdziwą ogniową

batalię, dowódca brygady starał się zatuszować tę kompromitację, obwiniając o nią „sabotażystów” i wydając rozkaz karnego wypędzenia wszystkich niepracujących Sudetendeutschów z całego powiatu. Dwie doby później mężczyzn i bezdzietne kobiety zapędzono do obozów, a 340 starców oraz matek z dziećmi trafiło do prowizorycznego getta utworzonego we wsi Vápenná. Podobne skutki pociągnął za sobą wybuch, do jakiego doszło 9 lipca w fabryce amunicji Körber, w miejscowości Hrádek nad Nysą, oddalonej od granicy o cztery kilometry i leżącej w pobliżu Żytawy (Zittau); w wyniku tej eksplozji zginęło siedmiu czeskich żołnierzy i siedmiu niemieckich robotników. Śledztwo wskazywało na nieostrożny załadunek zapalników na ciężarówki. Jednak władze wolały uwierzyć, że to jeden z zabitych Niemców dokonał samobójczej akcji. Na społeczność lokalnych Niemców nałożono zbiorową kontrybucję w wysokości 100 tysięcy marek, a po upływie tygodnia owych Niemców przepędzono przez granicę. Wypadek w Hrádku posłużył czechosłowackim decydentom za często przytaczany „dowód” istnienia zorganizowanego wrogiego oporu zbrojnego[67].

Najbardziej niesławnym incydentem przypisywanym działaniom Wehrwolfu była eksplozja w składach amunicji w przygranicznym Uściu nad Łabą (Ustí nad Labem) w północno-zachodnich Czechach popołudniem 31 lipca. W jej wyniku zginęło 28 osób. Chociaż większość ofiar stanowili Sudetendeutsche, to plotka, iż był to akt sabotażu, szybko się rozeszła, a już po godzinie od wybuchu Niemcy, łatwo rozpoznawalni na ulicach po kolorowych opaskach na rękawach, padali ofiarami napaści robotników, pododdziałów armii czechosłowackiej, Gwardii Rewolucyjnej, żołnierzy radzieckich oraz funkcjonariuszy bezpieki (SNB). Wielu na miejscu pobito na śmierć; inni

zostali zawleczeni na most na Łabie przepływającej przez miasto, zrzuceni do wody i ostrzelani. Prawie wszyscy świadkowie tych wypadków wspominali, że do rzeki wrzucono co najmniej jeden wózek z dzieckiem. Szacunki dotyczące liczby zabitych są różne – od kilkuset do kilku tysięcy – choć nowsze badania na ogół dość zgodnie wspominają o 100–150 ofiarach śmiertelnych.

Masakra w Ústiu rychło stała się przyczyną ostrych zadrażnień między rządem czechosłowackim a socjaldemokratami z kręgów Sudetendeutschów w Londynie. Rząd w Pradze – już zasypywany meldunkami napływającymi od niższych stopniem oficerów, którzy na wyścigi dowodzili wykazanej przez siebie „czujności", przypisując wszelkie przypadki odnalezienia porzuconej broni lub odkrycia lornetek w posiadaniu niemieckich cywilów rzekomym działaniom „komórek Wehrwolfu" – dodał dwa do dwóch i wyszło mu pięć. Mimo że wojskowi stwierdzili, że przyczyna wspomnianej eksplozji jeszcze nie została ustalona, członkowie gabinetu rządowego uznali, iż był to niewątpliwy rezultat „zaplanowanej akcji sabotażowej". Niepotwierdzone pogłoski trafiały do redakcji krajowej i międzynarodowej prasy – a ta bezkrytycznie publikowała je jako fakty; wśród nich znalazła się historia o tym, jak to „samolot Wehrwolfu" przeleciał nisko na Ústiem i zapewne zrzucił bombę na tamtejszy skład amunicji[68]. (Sześć tygodni później socjaldemokraci Wenzla Jakscha ironicznie zapytywali Pragę, dlaczego od tej pory nic nie słychać o „potężnym spisku Wehrwolfu, radiostacjach i zamaskowanych samolotach, jego ośrodkach w Belgradzie, Paryżu i Argentynie")[69]. Ze swojej strony Niemcy sudeccy nie ukrywali podejrzeń, że wybuch w Ústiu to czechosłowacka wersja pożaru Reichstagu z 1933 roku,

wskazując na uderzający zbieg okoliczności, jakim był fakt, że w tym samym czasie trwała konferencja poczdamska. W kręgach Sudetendeutschów rozpowszechniano plotki o tym, że drukowane afisze o wprowadzeniu w Ústiu godziny policyjnej w celu położenia kresu zamieszkom pojawiły się na murach, zanim jeszcze doszło do eksplozji, a masakra została świadomie zorganizowana w celu wywarcia odpowiedniego wrażenia na przedstawicielach Wielkiej Trójki w Poczdamie, aby ci pojęli, co może się wydarzyć, i to na wielką skalę, jeżeli ostatecznie nie zgodzą się na wysiedlanie Niemców. Nie należy jednak traktować zbyt poważnie ani teorii spiskowych czechosłowackich władz, ani tych rozgłaszanych przez Niemców sudeckich na temat podłoża zajść w Ústiu. Zgodnie z przekazaną ambasadorowi Nicholsowi relacją dwóch Brytyjek zamieszkałych w tej miejscowości, które były świadkami linczów, po tragicznym wypadku doszło do „spontanicznych aktów przemocy popełnianych przez czeskich łobuzów" – w mundurach i po cywilnemu[70].

Natychmiast po tej masakrze wśród szerokich kręgów ludności i w oficjalnej propagandzie paranoja wywołana przez rzekome działania Wehrwolfu wzmogła się niepomiernie i w brukowej prasie zaczęły regularnie ukazywać się niedorzeczne zapewnienia o „setkach członków Wehrwolfu codziennie likwidowanych i dekonspirowanych" oraz o tym, że „całe nasze pogranicze jest obecnie strefą walk, w której skryci wrogowie przeprowadzają ataki na Czechów"[71]. Niezupełnie wiadomo, jaka była tego przyczyna. Być może zaraz po apelu uczestników konferencji poczdamskiej o tymczasowe wstrzymanie wysiedleń czechosłowackie władze poczuły się przymuszone do wygenerowania dowodów świadczących o tym, że obecność Niemców wiąże się z nieustannym

zagrożeniem bezpieczeństwa kraju i postanowiły wysunąć mocniejsze argumenty na rzecz wypędzenia Sudetendeutschów. Tomáš Staněk wskazał również, że zdominowane przez komunistów czechosłowackie Ministerstwo Informacji miało interes w fabrykowaniu kolejnych historii o Wehrwolfie oraz o szpiegach starających się osłabić „państwo demokracji ludowej”[72]. W każdym razie od początku sierpnia w czeskich regionach pogranicznych zapanowały nastroje zbliżone do tych z czasów siedemnastowiecznego polowania na czarownice z Salem; wielu Niemców poddawano torturom, aby zmusić ich do ujawnienia nazwisk rzekomych członków komórek Wehrwolfu, których następnie równie brutalnie przesłuchiwano, wyduszając z nich personalia kolejnych „konspiratorów”. Jak zauważył Staněk, znaczna część owych „zeznań” była niepokojąco podobna do tych wydobytych przy użyciu identycznych metod od „kontrrewolucjonistów” i „kapitalistycznych szpiegów” po komunistycznym przewrocie w Czechosłowacji w lutym 1948 roku[73].

Faktem pozostaje jednak, że niemal nigdzie nie doszło do potwierdzonych przypadków zbrojnego przeciwstawiania się wysiedleniom. Powszechna, wręcz niewiarygodna uległość i potulność niemieckiej ludności była odnotowywana w kolejnych raportach i w Czechosłowacji, i w Polsce. Miesiąc przed wybuchem w Uściu dowódca miejscowej żandarmerii donosił, że w okolicy panuje całkowity spokój, a choć trzy tygodnie później z miejscowego wydziału SNB narzekano na to, że na co dzień dochodziło do strzelanin i rabunków, to obwiniano za nie niezdyscyplinowanych czechosłowackich żołnierzy i czerwonoarmistów[74]. Gdzie indziej, nawet już po opisanej masakrze, policja i wojsko informowały

powszechnie o „bierności i służalczości” Niemców, o tym, iż najwyraźniej byli oni „zastraszeni” i „przygnębieni”, oraz o przeświadczeniu sił bezpieczeństwa o tym, że naprawdę niebezpieczne jednostki spośród nich zostały już usunięte z kraju lub znalazły się w więzieniu[75]. W podobnym tonie pisano w gazetach: o tym, że Niemcy zachowywali się ze „służalczością, do której Czechosłowacy już przywykli”[76]. Prawie to samo działo się w Polsce. Poza pojedynczymi incydentami, takimi jak starcie w Prudniku, gdzie obrabowani Niemcy oblegli posterunek milicji, gdzie, jak podejrzewali, znajdowali się funkcjonariusze odpowiedzialni za rabunki, właściwie nie stawiano czynnego oporu[77]. Pewien polski obserwator, odbywający pod koniec sierpnia podróż z Poznania do Szczecina i z powrotem, zdementował zapewnienia rządowej propagandy o aktywności Wehrwolfu, wspominając natomiast o „obrzydliwym płaszczeniu się” i „tchórzliwym” zachowaniu napotykanych po drodze, wygłodniałych Niemców[78]. We Wrocławiu siły bezpieczeństwa odnotowały w 1945 roku zaledwie 25 przypadków przypisywanych Niemcom działań opozycyjnych, z których 19 polegało na rozprowadzaniu ulotek z protestami przeciwko poczynaniom władz. W całym roku 1946 liczba podobnych przypadków dystrybucji nielegalnych ulotek spadła do ledwie dziewięciu[79]. Podobnie się działo w okolicach Olsztyna; jak stwierdziła Claudia Kraft, „materiały źródłowe są pełne wzmianek o całkowitej bierności Niemców”[80].

Rządy Polski i Czechosłowacji nie przewidywały bynajmniej, że okres „dzikich wypędzeń” potrwa w nieskończoność. Celem władz obu tych krajów było zmuszenie za pomocą sterowanego odgórnie terroru pozostałej jeszcze ludności niemieckiej do tego, by uciekała

z własnej woli, najlepiej jeszcze przed konferencją w Poczdamie, a już z pewnością przed planowaną konferencją pokojową. „Zorganizowane wysiedlenia” miały nastąpić dopiero wówczas, gdyby próby tworzenia faktów dokonanych się nie powiodły. Zapewne niezupełnie odnosiło się to do sytuacji w Jugosławii. Zgodnie ze słowami wiceprezydenta tego kraju Milovana Dżilasa, choć w zasadzie zapadła tam decyzja o wygnaniu Volksdeutschów, „to mogliśmy ją zmienić, gdyby nie to, że Rosjanie, Polacy i Czesi zadecydowali o wyrzuceniu swoich Niemców i częściowo już to zrobili. Podjęliśmy tę inicjatywę bezdyskusyjnie, jako coś zrozumiałego i uzasadnionego niemieckimi zbrodniami [wojennymi]”[81]. Z drugiej strony jednak Klejda Mulaj uważa, że reżim Tity posłużył się akcjami eksterminacyjnymi jako katalizatorem mającym doprowadzić do pozbycia się Niemców już jesienią 1944 roku, dokonując masowych egzekucji niemieckich cywilów w ramach „starannie zaplanowanej i systematycznej” operacji, podjętej z takim zamiarem[82].

Jednakże dla Czechosłowaków i Polaków pomimo wszelkich ich starań proces ten przebiegał stanowczo za wolno. Nie zważając na akty przemocy, stosunkowo niewielu etnicznych Niemców z własnej woli porzucało swoje domy. Nie zaskoczyło to Wenzla Jakscha, który przypominał, że w poprzedniej dekadzie, chociaż groźba aresztowania i prześladowań ze strony gestapo była realna, tylko 10 procent socjaldemokratów spośród Niemców sudeckich zbiegło w głąb Czechosłowacji po układzie monachijskim[83]. W miesiącach letnich codziennie usuwano siłą z Czechosłowacji średnio po 5350 Niemców i zapewne jeszcze więcej z polskich Ziem Odzyskanych[84]. Nawet jeśliby udało się utrzymać takie tempo deportacji w porze zimowej, co było wysoce nieprawdopodobne

w związku z faktem, że zapełnione wysiedleńcami wagony towarowe wysyłane do Niemiec często już stamtąd nie wracały; w takiej sytuacji oczyszczanie terytoriów z ludności niemieckiej musiałoby potrwać co najmniej dwa lata. Wobec spodziewanej, niemal pewnej ostrej reakcji alianckiej Wielkiej Trójki na „dzikie wypędzenia” należało dokonać korekty planów.

Na ostry sprzeciw rzeczywiście nie przyszło zbyt długo czekać. W lecie 1945 roku pociągi z wygnańcami nieustannie przybywały do Berlina oraz innych niemieckich i austriackich miast, stanowiąc najwcześniejszy i najbardziej trwały symbol wysiedleń. Zachodni dziennikarze, którzy zjawili się w Berlinie dla relacjonowania przebiegu konferencji poczdamskiej, pomimo swej zrozumiałej, wywołanej przez wojnę germanofobii, byli przerażeni scenami, jakie widywali na głównych dworcach kolejowych latem roku 1945, gdzie martwi i umierający zalegali na peronach. Charles Bray, niemiecki korespondent londyńskiej gazety „Daily Herald”, opisywał, jak natknął się na zwłoki czterech ludzi na Dworcu Szczecińskim, a „kolejnych pięciu czy sześciu […] leżało obok, uznanych za beznadziejne przypadki przez lekarza; po prostu pozostawiono ich tam, żeby skonali”. Inne osoby w podobnym stanie znajdowały się w czymś, co kolega Braya, Norman Clark z „News Chronicle”, określił mianem „kostnicy w wagonie bydlęcym”[85], opróżnianej co noc dla zrobienia miejsca tym, którzy umierali następnego dnia. Bray odkrył, nieco skonsternowany, że ów widok cierpiących Niemców „nie sprawiał mi zadowolenia, choć od lat liczyłem na to, że Niemcy zbiorą to, co sami zasiali”[86]. Reporter „Timesa” dotarł w następnym miesiącu do pewnego berlińskiego szpitala, gdzie zastał 60 kobiet i dzieci „pospiesznie wyrzuconych” ze szpitala

i sierocińca w Gdańsku. Wywieziono je w wagonach bydlęcych bez żywności i wody: w drodze, do czasu przyjazdu do Berlina, 20 kobiet i dzieci zmarło[87]. Major Stephen Terrell z Pułku Spadochronowego, oburzony spektaklem „ludności ginącej tysiącami na szlakach, z powodu głodu, dyzenterii i wyczerpania", postanowił jako naoczny świadek, z pominięciem drogi służbowej, skierować raport do MSZ za pośrednictwem Braya. „Nawet krótkotrwałe odwiedziny w berlińskich szpitalach, gdzie część z tych ludzi się dowlekła, jest przeżyciem, w zestawieniu z którym widoki z obozów koncentracyjnych wydają się czymś normalnym"[88]. Adrian Kanaar, brytyjski lekarz wojskowy pracujący w innej z berlińskich placówek opieki medycznej, wyraził podobną opinię, pisząc o pociągu z wysiedleńcami z Polski, w którym 75 osób zmarło podczas przejazdu z powodu zatłoczenia[89]. I chociaż Kanaar przebywał nieco wcześniej przez krótki czas jako lekarz w wyzwolonym obozie koncentracyjnym w Belsen, to stan, w jakim zastał deportowanych, oburzył go do tego stopnia, że oświadczył, iż gotów był w razie konieczności stanąć przed sądem wojskowym za ujawnienie prasie „niewygodnych" faktów. Nie po to, jak stwierdził, „spędziłem sześć lat w wojsku, by ujrzeć tyranię równie okrutną jak ta nazistowska"[90]. Identyczne porównanie narzuciło się Geraldowi Gardinerowi, późniejszemu brytyjskiemu Lordowi Kanclerzowi. Jako ochotnik-sanitariusz, który udzielał pomocy ocalałym z obozów koncentracyjnych, Gardiner przebywał w Niemczech późnym latem i jesienią 1945 roku, gdzie widział też przyjazd pociągów z wygnańcami z polskich Ziem Odzyskanych. Zajęło im aż 14 dni przebycie stosunkowo niedługiej trasy. „Wywożenie trupów na wozach ze stacji kolejowych – wspominał – w ponury sposób kojarzyło się

z tym, co widziałem w pierwszych dniach [po wyzwoleniu obozu] w Belsen”[91].

Takie refleksje były formułowane nie tylko przez dziennikarzy i pracowników agencji humanitarnych. Robert Murphy, zawodowy dyplomata, który wcześniej był doradcą politycznym generała Eisenhowera, a w opisywanym okresie przedstawicielem Departamentu Stanu w Niemczech w randze ambasadora, tak poważnie zaniepokoił się wypędzeniami i rolą rządów w doprowadzaniu do nich, że w październiku wysłał oficjalny protest do swojego przyjaciela Harrisona Freemana („Doca”) Matthewsa, dyrektora Biura Spraw Europejskich w amerykańskim Departamencie Stanu. Podobnie jak Freeman, Murphy nieco wcześniej wszedł w skład delegacji USA na konferencję poczdamską i tam jeszcze nie zgłaszał obiekcji wobec planów wysiedleńczych. W istocie, jak oznajmił Freemanowi, „zawahał” się nawet z wysłaniem rzeczonego memorandum, gdyż „samo wspominanie o tej sprawie naraża człowieka na zarzut »miękkości« wobec Niemców”. Ostatecznie jednak uznał, że sam był „nie tyle zatroskany tym, co dzieje się z niemiecką ludnością, ile naszym postępowaniem, ponieważ uważam, że skoro wobec Niemców czy jakiejkolwiek innej nacji mamy uchylać się od pewnych zasad, to stopniowo okaże się, że zbyt łatwo łamiemy te same pryncypia w stosunku do naszego narodu”[92].

> Oglądanie nędzy i rozpaczy tych nieszczęśników, wyczuwanie odoru związanego z ich budzącym odrazę stanem, od razu przywodzi na myśl Dachau i Buchenwald. To zemsta na wielką skalę, ale wymierzona nie w *Parteibonzen* [partyjne „szychy”], tylko w kobiety i dzieci, w biednych i słabych.

> Zdecydowana większość z nich [wysiedleńców] to kobiety i dzieci. […]
>
> Psychologicznie dostosowujemy się jakoś do myśli, że cierpienie to część żołnierskiej doli. […] Takie myślenie traci jednak nieco ze swojej elastyczności w obliczu głupiej tragedii, jaka spada teraz na tysiące niewinnych dzieci, kobiet i starców. […] Myśli zwracają się ku innym niedawnym masowym deportacjom, które trwożyły świat i ściągnęły na nazistów nienawiść, na jaką wielce zasłużyli. Tamte masowe deportacje przeprowadzane przez nazistów stanowiły część moralnej podstawy, na której prowadziliśmy tę wojnę i która dodawała siły naszej sprawie.
>
> Teraz sytuacja się odwróciła. Znaleźliśmy się w niewdzięcznym położeniu współuczestników tego antyniemieckiego przedsięwzięcia i jako tacy nieuchronnie bierzemy na siebie część odpowiedzialności[93].

Do czasu wystosowania przez konferencję poczdamską apelu o zawieszenie „dzikich wypędzeń” Berlin stał się epicentrum nasilającego się kryzysu humanitarnego. Większość wysiedleńców z Polski i znaczna ich liczba z Czechosłowacji skupiła się w tym mieście, „głównie dlatego, że umożliwiał to ruch kolejowy, i z nadziejami […] na dotarcie do jakiejś centralnej organizacji, która mogłaby udzielić pomocy. […] W wielu wypadkach pozostawiano chorych i starych, a liczni mówili o tysiącach dzieci odłączonych od rodzin”[94]. Mimo że poważnie zaniepokojony marszałek Żukow polecił najpierw wywieszenie afiszy ostrzegających uchodźców przed napływaniem do Berlina, a potem, z końcem czerwca, ogłosił to miasto zamkniętym dla kolejnych przybyszów, to

w tym samym miesiącu w Berlinie znalazło się 550 tysięcy kolejnych Niemców, a 262 tysiące następnych dotarło tam w pierwszej połowie sierpnia – co świadczy o tym, że zakazy nie miały większego wpływu na powstrzymanie napływającej fali ludzi. W mniejszych niemieckich miastach i miasteczkach zapanowała jeszcze gorsza sytuacja. W połowie sierpnia około 50 tysięcy Niemców wysiedlonych z Opawy i Czeskich Budziejowic zgromadziło się w Żytawie (Zittau), potrajając liczbę ludności w tym mieście; ponad 100 tysięcy koczowało w Zgorzelcu (Görlitz).

Chociaż radziecki ambasador w Czechosłowacji Walerian Zorin oznajmił czeskiemu premierowi Fierlingerowi po szczycie w Poczdamie, że sowieckie władze przymkną oko na dalsze „dyskretne" wysiedlenia, to dowódcy jednostek Armii Czerwonej na miejscu, poczynający sobie ze znaczną swobodą, prezentowali dużo mniej ugodowe stanowisko w tej kwestii. Już w połowie czerwca lokalne formacje radzieckie próbowały doprowadzić do zamknięcia korytarza między Żytawą a Zgorzelcem, głównej trasy exodusu ofiar „dzikich wypędzeń" z Czechosłowacji do sowieckiej strefy w Niemczech, a czasami dosłownie wyrzucały z powrotem tych, którzy już znaleźli się w tej zonie, argumentując to epidemią tyfusu i brakiem żywności w regionach przygranicznych[95]. Pod koniec sierpnia, kiedy szef czechosłowackiej misji wojskowej w Berlinie generał František Hrabčik domagał się od Żukowa niezwłocznego wpuszczenia do Niemiec kolejnej partii 200 tysięcy wysiedleńców, napotkał stanowczy sprzeciw wobec faktu, że nowe masy Niemców napływały z polskich Ziem Odzyskanych, z którymi to wygnańcami sowieckie władze okupacyjne już musiały sobie radzić[96].

Gdy podejmowane próby zbiorowych „dzikich wypędzeń" kończyły się fiaskiem, konsekwencje bywały straszliwe,

gdyż jednostki wojska i milicji czasami nie przebierały w środkach. Z Teplic nad Metují (Wekelsdorfu) 28 czerwca 1945 roku odprowadzono ku pobliskiej polskiej granicy grupę 21 Niemców. Po tym, jak Polacy odmówili przyjęcia wypędzonych, tych ostatnich, głównie dzieci i starsze kobiety, zaprowadzono pod eskortą oddziału wojska pod dowództwem kapitana V. Svobody do lasu koło miejscowości Buky w Karkonoskim Parku Narodowym i tam zlikwidowano. Zwłoki zostały ekshumowane w 1947 roku, a jeden z czeskich świadków opisał to zdarzenie: „Widok pewnego niemowlęcia opatulonego w powijaki był straszny; twarzyczkę miało zmasakrowaną nie do poznania, najwyraźniej przez kolbę karabinu”[97]. W wielu wypadkach straże uznawały swoje zadanie za wypełnione po odprowadzeniu wysiedleńców do granicy, bez względu na to, czy władze krajów okupacyjnych przyjmowały wypędzonych Niemców, czy też nie. Ofiary dwóch kolejnych „dzikich wypędzeń”, dwie grupy po ponad tysiąc Niemców z Ostrawy, 13 czerwca i 2 lipca zostały zawrócone przez Polaków i Sowietów. Choć wielu wygnańców zmarło już w drodze do granicy, eskorta porzuciła tam pozostałych, nakazując im radzić sobie samodzielnie. Niektórzy znaleźli schronienie w pobliskich wsiach; inni błąkali się po lasach, ostatecznie docierając z powrotem do Ostrawy i tam czekali na następną obławę i odstawienie do granicy[98].

Napotykające opór sąsiadów na północy i wschodzie władze czechosłowackie późnym latem i jesienią 1945 roku ponownie wykazały aktywność na granicach zachodnich. Mimo że „dzikie wypędzenia” stawały się stopniowo coraz trudniejsze do przeprowadzenia, a tylko niewielu wypędzonych było wpuszczanych przez Sowietów do Niemiec przez wąski wycinek obszaru między Łabą a małą wioską Boží Dar koło Jáchymova, to zachodni alianci nadal

przyjmowali do Niemiec konwoje z „dobrowolnymi emigrantami”[99]. Zgodnie z obowiązującymi w tym czasie przepisami etniczni Niemcy, wyrażający życzenie opuszczenia Czechosłowacji, mieli otrzymywać dokumenty uprawniające do wyjazdu, wydawane przez lokalne komitety oraz potwierdzenie władz okupacyjnych w Niemczech, że nie ma przeciwwskazań, aby znaleźli się na obszarze tego ostatniego kraju. W rzeczywistości liczba chętnych do wyemigrowania była nieznaczna: do końca 1945 roku tylko 11 tysięcy osób przemieściło się do strefy radzieckiej w ramach tak zwanej *Aktion Zhukov* („Akcji Żukowa”)[100]. Niezdyscyplinowane miejscowe zarządy wykorzystywały jednak ten przepis do kontynuowania „dzikich wypędzeń” – zwłaszcza z południowych Moraw i zachodnich Czech – nadając temu procederowi po prostu inną nazwę.

Nierzadko takie podstępne działania miały bardziej wyrafinowany charakter. Za typowy przykład może tu posłużyć sprawa paru transportów, zorganizowanych przez lokalne władze w czeskim mieście Stříbro, leżącym w południowo-zachodnich Czechach i okupowanym przez amerykańskie wojsko. Trzy tygodnie po ogłoszeniu poczdamskiego moratorium na wysiedlenia dr Josef Hrdlička, przewodniczący komitetu powiatowego, wydał zarządzenie, aby 1236 niemieckich mieszkańców Stříbra stawiło się na stacji kolejowej „pod groźbą surowej kary”. Równocześnie komitet zwrócił do się amerykańskich władz wojskowych o zgodę na wysłanie tych Niemców do radzieckiej strefy okupacyjnej na przymusowe roboty przy zbiorze buraków, stwierdzając, że wrócą stamtąd po trzech czy czterech tygodniach. Węsząc podstęp, Amerykanie postanowili przypatrzyć się owym „robotnikom rolnym” i doszli do wniosku, że co najmniej połowa z nich nie

nadawała się do pracy fizycznej – wśród Niemców ze Stříbra byli kalecy z protezami zamiast amputowanych kończyn, chromi, ciężarne kobiety, małe dzieci, ociemniali oraz „wielu starszych ludzi wymagających opieki medycznej”. Niezrażeni odmową Amerykanów na to, by wypędzeni przekroczyli granicę strefy, członkowie komitetu 29 sierpnia wsadzili wysiedlonych do pociągu, który został zawrócony na punkcie kontrolnym w Rokycanach. Następnie dr Hrdlička wystarał się o pozwolenie na przejazd pociągu do Bltná na południu od Stříbra, także w obrębie strefy amerykańskiej. Zamiast tego jednak transport dotarł nazajutrz do rozgraniczenia stref amerykańskiej i radzieckiej w Čáslavie w centralnych Czechach. Amerykanie polecili, ażeby pociąg zawrócił do Stříbra, jednak Hrdlička uparł się, że „nie pozwoli, aby choć jeden Niemiec wysiadł z pociągu, i w razie konieczności skieruje czeskich żołnierzy [przeciwko Amerykanom], żeby temu zapobiec”. Pociąg stał na bocznicy koło wsi Chrást koło Pilzna przez trzy doby, a przebywający w nim ludzie nie mieli jedzenia ani wody, aż wreszcie MSZ w Pradze skłoniło władze amerykańskie do przepuszczenia tego transportu. Zachęcony takim sukcesem komitet ze Stříbra usiłował zastosować analogiczną taktykę cztery tygodnie później. Tym razem Amerykanie nalegali, aby 167 przymusowych robotników z grupy 1299 Niemców sudeckich wywleczonych z domów w ciągu półgodzinnej obławy w Dobřanach zwolnić z pracy z przyczyn zdrowotnych i odstawić do Stříbra. Lokalny komitet przez 11 dni nie zgadzał się na wpuszczenie do miasta składu czterech wagonów towarowych, a 13 października podjął nieudaną próbę odesłania tego transportu do Blovic. Kolejne dwa dni później pociąg skierowano po raz drugi ku granicy. I znów Amerykanie nie chcieli go wpuścić; nastał

trzydniowy impas, podczas którego wypędzeni znowu pozostawali bez prowiantu i wody. Wreszcie 18 października żołnierze 94. Dywizji wydali 167 pasażerom wojskowe racje żywnościowe i odesłali pociąg do Stříbra. Po 16 dniach w wagonach towarowych ponad połowa trzymanych w nich Niemców wymagała interwencji lekarskiej; 22 z tych chorych to były dzieci poniżej 10. roku życia[101].

Chociaż okupacyjne władze sowieckie bywały zazwyczaj bardziej ugodowe od amerykańskich, to i one nie zgadzały się na wszystko. Przekonali się o tym pechowi członkowie regionalnego komitetu z Moravskiej Třebovy, gdy w trakcie kolejnej zorganizowanej *ad hoc* akcji, mającej na celu zredukowanie liczebności populacji Sudetendeutschów w mieście Svitavy, nie uprzedzając przy tym zwierzchników, przystąpili 12 października do „dobrowolnego transferu” 700 Niemców. Podobnie jak w przypadku wielu innych „dobrowolnych wyjazdów”, wysiedleńców po prostu zebrano w przypadkowym miejscu i jak stwierdziły czeskie władze, „nie mieliśmy pojęcia, jak się tam znaleźli”. Po przejechaniu około 320 kilometrów pociąg dotarł do Löbau na zachód od Zgorzelca w strefie radzieckiej. Czerwonoarmiści odmówili przyjęcia tego transportu i polecili, aby natychmiast zawrócił do Czechosłowacji; pasażerom nie pozwolono wysiąść nawet na chwilę. Pociąg przebył krótką trasę powrotną do nadgranicznego miasteczka Hrádek, leżącego nad Nysą, skąd znowu 16 października wyruszył ku Niemcom. Tym razem dojechał do Żytawy, a tam Sowieci ponownie zatrzymali transport i zezwolili na wyniesienie zwłok trzech zmarłych osób. W końcu pociąg skierowano z powrotem do Hrádka, gdzie oddział czechosłowackiego wojska zastał go 17 października, wydając zgodę na to, by wysiedleńcy opuścili

wagony. Do tego czasu zmarło 18 z nich. Pozostałych uwięziono w obozie koncentracyjnym w Hrádku, podczas gdy wojsko czekało na dalsze instrukcje, co z nimi począć[102].

W rezultacie fiaska podobnych akcji rząd Czechosłowacji zaczął z końcem 1945 roku zniechęcać się do planów „dobrowolnych wyjazdów". Regionalne rady narodowe, jak donosiło Ministerstwo Obrony, korzystały z takiej możliwości do oczyszczania z własnej inicjatywy całych powiatów z ludności niemieckiej, zapędzając wysiedleńców do pociągów i bez powiadamiania nikogo, wysyłając je do radzieckich stref w Niemczech i Austrii. Sowieci już nie wpuszczali tych transportów i zawracali je, czemu towarzyszyła fala protestów pod adresem czechosłowackich władz. Te przejazdy w tę i z powrotem obciążały dodatkowo i tak ledwie funkcjonujące koleje. Ponadto czechosłowacka kolej nie chciała brać na siebie żadnej odpowiedzialności za powrotne przewozy Niemców, za które nie otrzymywała wynagrodzenia, i po prostu pozostawiała składy wagonów z wysiedleńcami na bocznicach, kiedy tylko pociągi wjeżdżały z powrotem na czechosłowackie terytorium. Większości wypędzonych zajmowało od dwóch do trzech dni dotarcie pieszo do najbliższego obozu, a przez ten czas nie mieli oni nic do jedzenia. Ludność czeska regionów przygranicznych stawała się coraz bardziej zaniepokojona obecnością tych wygłodniałych Niemców – gdyż niektórzy z nich włamywali się do domów w poszukiwaniu żywności – i głośno żądała uszczelnienia granicy[103].

Z tych powodów rząd w Pradze w końcu interweniował, kładąc kres dalszym praktykom zaliczanym do „dobrowolnej emigracji". Gdy rok 1945 zbliżał się ku końcowi, nieautoryzowane transporty z Czechosłowacji stopniowo ustały. Jednakże właśnie wtedy wytworzoną

próżnię zaczęły wypełniać „dzikie wypędzenia” z Jugosławii. Począwszy od września, posługując się metodami zapoczątkowanymi przez Czechosłowaków, reżim Tity przystąpił do ekspediowania licznych grup Volksdeutschów do Austrii albo bezpośrednio, przez granicę słoweńską w północnej Jugosławii, albo przy współpracy w władzami budapeszteńskimi, okrężną trasą północno-wschodnią przez Węgry. Jugosłowiańskie deportacje różniły się od przeprowadzanych przez Polaków i Czechosłowaków tym, że z nikim nawet nie próbowano ich uzgadniać, jeśli nie liczyć udogodnień tranzytowych zapewnianych przez Węgrów. W tym czasie nawet Sowieci bynajmniej nie chcieli zwiększenia liczebności Volksdeutschów w Austrii czy Niemczech. Postępując wbrew życzeniom władz radzieckich, Tito narażał się więc na to, że zrazi do siebie nie tylko swoich przeciwników ideologicznych, lecz także sprzymierzeńców.

Jugosłowianie szczególnie wyspecjalizowali się w wyszukiwaniu słabiej strzeżonych odcinków granicznych, przez które można było przerzucać grupy wypędzanych. Czasami pociągi wraz z ich pasażerami po prostu pozostawiano tuż za granicą. Agencja Reutera informowała o losach składu wagonów bydlęcych z 650 niemieckimi kobietami i dziećmi z Mariboru na Słowenii, wysłanego w kierunku północnym pod koniec września 1945 roku. Ludzie z tego transportu nie dostali żadnej żywności poza tą, którą zabrali ze sobą w drogę. Po dotarciu pociągu do Wiednia został on zawrócony przez miejscowe władze. Szesnaście dni później stał nadal „na bocznym torze w Wilfersdorf, porzucony i zaniedbany, a dzieci [w wagonach] marły, podczas gdy kobiety wpadały w obłąkanie”[104]. Częściej jednak znalezienie odludnego miejsca, przez które dało się „przepchnąć” wygnańców do

Austrii, trwało całymi dniami lub niekiedy nawet tygodniami. W grudniu 1945 roku jugosłowiańscy żołnierze-partyzanci zjawili się nocą w mieście Tržič (Neumarktl) w północnej Słowenii, przeprowadzili tam obławę na miejscowych etnicznych Niemców i zabrali ich do obozów. Po upływie dziewięciu dni przewieźli pojmanych pociągiem do miejscowości Rateče (Ratschach) na granicy włosko-austriackiej, gdzie początkowo próby wydalenia ich z Jugosławii skończyły się fiaskiem. Niemieckich rolników zapędzono z powrotem do pociągu i przewieziono w kierunku wschodnim, na drugi kraniec Słowenii. Po długotrwałym, wyczerpującym przemarszu w pierwszym dniu nowego roku, w trakcie którego „padały ciągle groźby, że ci, co nie dotrzymają kroku, zostaną zastrzeleni”, eskorta ponownie usiłowała przerzucić Volksdeutschów przez austriacko-węgierską granicę koło Szentgotthárd, lecz zostali zatrzymani przez żołnierzy radzieckich. Po kolejnym objeździe Jugosłowianie wreszcie odkryli niestrzeżony punkt w pobliżu miasta Fehring w Dolnej Styrii. „Zanim nas pozostawili, zabrali nam wszystko, ubrania, bieliznę i kosztowności, i powiedzieli: »Tu jest granica. Macie ją przekroczyć. Zastrzelimy każdego, kto wróci«”[105].

Takich ostrzeżeń nie należało lekceważyć, co potwierdzało pewne odkrycie dokonane w marcu 1946 roku przez Jeana Pfeiffera, urzędnika Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża pracującego w Hof w Bawarii. W ciągu kilku wcześniejszych tygodni Sowieci udaremniali nieautoryzowanym transportom z wysiedlonymi Sudetendeutschami wjazd do swojej strefy okupacyjnej w Austrii. W efekcie osoby odpowiedzialne za te transporty wyganiały deportowanych z wagonów w pobliżu granicy i pod osłoną nocy przeprowadzały przez nią 300–400 osób. Przechadzając się po lesie w pobliżu austriackiego

przygranicznego miasteczka Lichtenberg, będącego jednym z głównych punktów przerzutowych, Pfeiffer natknął się na zwłoki mężczyzny, kobiety i dziewczynki w wieku około sześciu lat. Ofiary te zostały zastrzelone – nie wiadomo, czy przez żołnierzy radzieckich w trakcie próby przedostania się owej trójki do Austrii, czy też przez Czechosłowaków, chcących ludziom tym udaremnić powrót[106].

Apele uczestników konferencji w Poczdamie o wstrzymanie „dzikich wypędzeń" najmniejsze wrażenie wywarły na Polakach. Oni także usiłowali zastosować sztuczkę „dobrowolnej emigracji", a rząd w Warszawie zalecał swoim urzędnikom „«utrudnianie» Niemcom życia" do takiego stopnia, że nawet „najbardziej zawziętym wrogom polskości odechce się tam pozostać"[107]. W tym względzie polskie władze korzystały z logistycznej pomocy Komunistycznej Partii Niemiec (KPD) w sowieckiej strefie okupacyjnej. KPD odegrała aktywną rolę w organizowaniu transportów na zachód z polskich Ziem Odzyskanych, co niemieccy komuniści z niezamierzoną ironią określali mianem programu *Heim ins Reich* („powrotu do Rzeszy"). Z pomocą władz radzieckich działacze KPD doprowadzili do podstawiania pociągów towarowych jesienią 1945 roku, którymi przyszli „przesiedleńcy" mogli docierać do Kostrzyna i Frankfurtu nad Odrą, czyli do nowej granicy, a stamtąd kontynuować dalszą tułaczkę już pieszo[108]. Polscy żołnierze i milicjanci nadal siłą usuwali Niemców z ich domów i gospodarstw, choć ulegając wezwaniom konferencji poczdamskiej, nie odstawiali już wygnańców pod strażą do granicy. Czasami niweczyło to wcześniejsze wysiłki. Przykładowo mieszkańców jednej z wiosek przetransportowano „około 11 mil (18 km) do najbliższej stacji, z której nie odchodziły pociągi. Ale ponieważ nikt nie zapobiegł ich [Niemców] powrotowi, to rozproszyli się

znowu po okolicy”[109]. Jednak dla większości wypędzonych głód i bezdomność stanowiły dostateczny bodziec do samodzielnego opuszczenia kraju. Para brytyjskich dyplomatów podczas objazdu po Dolnym Śląsku stwierdziła, że „raczej nie należy wątpić w to, iż Polacy w przyszłości uciekną się do wywarcia presji ekonomicznej dla skłonienia jeszcze większej liczby przedstawicieli niemieckiej ludności do dobrowolnego wyjazdu, jeśli nie pozbędą się ich w inny sposób, a starosta jednego z powiatów, które odwiedzaliśmy, nie poskąpił słów, żeby nam to wyjaśnić”[110].

Podobne „ekscesy” służyły konkretnemu celowi. Jak Beneš i jego ministrowie nieustannie powtarzali zachodnim sojusznikom, alternatywą dla trwających prześladowań niemieckiej mniejszości było zastąpienie „dzikich” wysiedleń „zorganizowanymi”, do przeprowadzenia pod auspicjami samych aliantów. Zalew niemieckich miast przez setki tysięcy głodujących, pozbawionych środków do życia i nienadających się do podjęcia pracy wygnańców latem i jesienią 1945 roku stanowił jeszcze skuteczniejszą metodę szantażu wywieranego na zwycięskie mocarstwa. Wobec tego rokowania na temat tego, ilu Niemców deportować i dokąd ich wysłać, rozpoczęły się z udziałem przedstawicieli zainteresowanych krajów na posiedzeniach alianckiego Komitetu Koordynacyjnego w Berlinie późną jesienią 1945 roku. Ostatecznie zaowocowały one ogólnikowym planem, opracowanym przez rządy Polski i Czechosłowacji we współpracy z reprezentantami USA, ZSRR, Francji i Wielkiej Brytanii i pospiesznie zaakceptowanym 20 listopada przez Aliancką Komisję Kontroli, czyli tymczasowy zarząd okupowanych Niemiec.

Owo tak zwane porozumienie ACC, dokument szkicowej ugody zapisany na niecałych dwóch kartkach, nie

oznaczało, jak William Jowitt, Lord Kanclerz, tłumaczył w brytyjskim parlamencie, że miała powstać „międzynarodowa machina do przeprowadzania przesiedleń albo do nadzorowania ich przebiegu. Dopracowanie kwestii szczegółowych pozostawiono rządom kraju dokonującego wysiedleń i władzom tych stref w Niemczech, do których deportowani powinni trafić”[111]. Zamiast tego we wspomnianym porozumieniu określono przybliżony czas deportacji i odsetek wysiedlanych do każdej strefy okupacyjnej. Z około 6 650 000 etnicznych Niemców, którzy, wedle szacunków, przebywali na obszarach Polski, Czechosłowacji, Węgier i Austrii, Sowieci mieli przyjąć 2 750 000 z pierwszych dwóch z tych krajów. Brytyjczycy zobowiązali się do wpuszczenia do swojej strefy w Niemczech 1 500 000 wysiedlonych z polskich Ziem Odzyskanych, zaraz po realizacji programu „głowy za głowę” (oficjalnie znanego jako Operacja „Honeybee”), w którego ramach Brytyjczycy i Sowieci uzgodnili wymianę pomiędzy strefami okupacyjnymi wysiedleńców i ewakuowanych wraz z rodzinami. Francuzi, odrzuciwszy początkowo prośbę Czechosłowacji o przyjęcie 500 tysięcy Sudetendeutschów, potem zgodzili się na roztoczenie opieki nad 150 tysiącami Niemców z Sudetów, przebywających tymczasowo w Austrii[112]. Wysiedlenia miały zostać wznowione w grudniu 1945 roku, a w tym miesiącu przewidziano przetransportowanie 10 procent ogółu przewidzianych do deportacji. Po 5 procent zamierzano przemieścić w styczniu i lutym 1946 roku, po 15 procent w marcu i kwietniu, po 20 procent w maju i czerwcu, a pozostałe 10 procent w lipcu roku 1946 – końcowym miesiącu akcji przesiedleńczej. Rząd w Paryżu zastrzegł sobie, by przenosin Niemców do francuskiej strefy okupacyjnej nie podejmowano do 15 kwietnia 1946 roku,

z kolei w Londynie zakładano, że przyjmowanie wygnańców z Polski będzie przedmiotem negocjacji między brytyjskimi i radzieckimi oficjelami w ramach złożonego z przedstawicieli czterech mocarstw zarządu okupowanych Niemiec[113].

Międzynarodowa opinia publiczna, choć zasadniczo uspokojona oświadczeniem, że alianci w końcu proponowali przejęcie nadzoru nad procesem deportacji, była zdumiona i wstrząśnięta danymi na temat liczby ludzi, których zamierzano przesiedlić w tak krótkim czasie. Niczego podobnego na taką skalę nie próbowano wcześniej w dziejach ludzkości. W artykule wstępnym w „New York Timesie" dano wyobrażenie o tej skali, pisząc, że liczba Niemców mających zostać wysiedlonych z domów w ciągu siedmiu miesięcy była „w przybliżeniu równa łącznej liczbie imigrantów przybyłych do Stanów Zjednoczonych podczas ostatnich 40 lat"[114]. W istocie specyfikacje zawarte w dokumencie porozumienia ACC prawie nie miały znaczenia, co lepiej zorientowani obserwatorzy rozumieli od samego początku. Pomysł, by „zorganizowane wysiedlenia" rozpoczęły się w ciągu 10 dni od chwili podpisania owego dokumentu, w środku zimy i bez żadnych wcześniejszych przygotowań, był skrajnie nierealny, podobnie zresztą jak założenie, że ponad 6 milionów ludzi uda się przemieścić z kraju do kraju w trakcie półrocza bez sparaliżowania tego, co pozostało po wojnie z europejskiej sieci transportu drogowego i kolejowego. Również proponowane rozmieszczenie wygnańców w różnych strefach okupacyjnych nie brało pod uwagę tego, że setki tysięcy wypędzonych wyruszyły już na własną rękę do wybranych przez siebie miejsc w Niemczech, nie czekając na „oficjalne" wysiedlenie, a inni, także bez zezwolenia, przemieszczali się z jednej strefy do innej. Ponadto

w dokumencie ACC zabrakło czegokolwiek, co wskazywałoby na poważniejszą próbę uporania się z problemami, jakich należało się spodziewać: wyznaczenia ciała kierowniczego do kierowania akcją i nadzorowania jej, skonkretyzowania metod i środków, jakie zamierzano zastosować, wreszcie powierzenia komuś odpowiedzialności za poczynienie niezbędnych przygotowań do zebrania, załadunku do środków transportu, przyjęcia i ułatwienia asymilacji tak gigantycznej masy ludzi. Błędem byłoby wszakże ocenianie tego porozumienia wyłącznie z takiej perspektywy. Jego realne cele były bowiem znacznie bardziej ograniczone: chodziło o doprowadzenie do tego, ażeby liczba wysiedlonych Niemców docierających do stref okupacyjnych czterech zwycięskich państw okazała się możliwie najmniejsza, a poprzez zapewnienie coraz poważniej zaniepokojonej opinii publicznej, że sprzymierzeni w końcu wzięli się do rozwiązywania tego problemu, stłumienie dalszej krytyki w środkach masowego przekazu.

Z takiego punktu widzenia porozumienie ACC zadowalało tych, którzy je opracowali. Jednym z jego bezpośrednich skutków okazało się storpedowanie prób podejmowanych przez Roberta Murphy’ego, aby doprowadzić do oficjalnego protestu USA przeciwko metodom, jakimi Polacy „oczyszczali” z ludności niemieckiej Ziemie Odzyskane. Memorandum, opracowane przez Murphy’ego miesiąc wcześniej, zaopiniowano pozytywnie w Departamencie Stanu, który od dawna przeciwstawiał się zasadzie przesiedleń. David Harris, historyk z Uniwersytetu Stanfordzkiego, zatrudniony przez Departament Stanu jako ekspert do spraw środkowoeuropejskich, stwierdził, że starania Stanów Zjednoczonych zmierzające do odbudowy

Niemiec na demokratycznych podstawach nie przyniosą „pomyślnych ani trwałych rezultatów, jeżeli pozwolimy sobie na takie same wypaczenia i odrzucanie przyzwoitości, z jakimi walczyliśmy”[115]. Benjamin Cohen, asystent sekretarza stanu Jamesa F. Byrnesa i kolejny członek delegacji USA na konferencję poczdamską, także zarekomendował, aby Waszyngton doprowadził do wystąpienia Alianckiej Komisji Kontroli z oficjalnym oświadczeniem pod adresem byłych krajów Osi oraz rządów przeprowadzających deportacje, „ażeby wyjaśnić, że nie bierzemy udziału w tych nieludzkich i strasznych rzeczach”[116]. W związku z tym Departament Stanu opracował memorandum, które ambasador USA w Warszawie Arthur Bliss Lane miał przy najbliższej okazji przekazać polskiemu rządowi. W treści *démarche*, utrzymanego w najostrzejszym tonie potępienia wysiedleń sporządzonego przez jakąkolwiek agencje rządową na Zachodzie, nie zawahano się przyrównać postępowania Polaków do akcji deportacyjnych przeprowadzanych przez nazistów podczas wojny:

> Zdecydowana większość ludzi przybywających do Niemiec z obszarów leżących na wschód od linii Odry i Nysy to kobiety, dzieci i starcy, docierający tam w stanie skrajnego wyczerpania i trapieni rozmaitymi chorobami. Wyglądają tak żałośnie, że odnosi się wrażenie, iż zostali potraktowani z największą bezwzględnością i lekceważeniem zasad humanitarnych.
>
> Jak rozumie rząd USA, polski rząd tymczasowy zajmuje stanowisko, zgodnie z którym exodus większości tych Niemców przez granicę na charakter „dobrowolny”. Wątpliwe, by tak wielu przekraczało

> granice państwowe w tak straszliwym stanie, o ile nie zostali do tego przymuszeni wysiedleniami i innymi formami nacisku ekonomicznego. […]
>
> Naród amerykański był zatrwożony masowymi deportacjami przeprowadzanymi przez nazistów i zupełnym brakiem poszanowania dla ludzkiego życia, który prezentowali w Polsce i gdzie indziej. Ta silnie zakorzeniona awersja wobec nazistowskich praktyk i ideologii dała Amerykanom moralny bodziec do przystąpienia do wojny przeciwko nazistowskim Niemcom. Naród amerykański wciąż twardo obstaje przy zasadach, w których obronie wziął udział w tej wojnie[117].

A jednak zawarcie porozumienia ACC usunęło grunt spod nóg tych osób we władzach amerykańskich, którym zależało na zrzuceniu ze Stanów Zjednoczonych współodpowiedzialności za niechlubne aspekty wysiedleń. I bezsprzecznie warto było do tego dążyć, gdyż – jak wskazał Murphy w swoim memorandum – Waszyngton był poważnie uwikłany w decyzję o ich przeprowadzeniu. Myślą przewodnią w oświadczeniu Departamentu Stanu, przyrównującym „masowe deportacje” do „nazistowskich praktyk i ideologii”, było to, że zasada przymusowego transferu ludności jest dla Stanów Zjednoczonych nie do zaakceptowania, podobnie jak tryb, w jakim dokonywano przesiedleń. Jednak wszelkie próby drążenia tej kwestii wywoływały natychmiastową ripostę, iż Amerykanie wykazywali się hipokryzją, rzucając oskarżenia na swoich wojennych sojuszników za realizowanie polityki, którą oni sami – reprezentanci USA – przyjęli w Poczdamie zaledwie trzy miesiące wcześniej. Rozpętały także burzę krytyki kierowanej pod adresem Stanów Zjednoczonych przez kraje

zainteresowane deportacjami, o czym nie omieszkał powiadomić Murphy'ego ambasador Lane z warszawskiej ambasady. Lane już wcześniej postawił sobie za punkt honoru przekonanie swoich polskich gospodarzy, że w pełni rozumie potrzebę polityki „najwyższej surowości" w stosunku do Niemców. Jak z dumą stwierdził w wypowiedzi dla jednej z polskich gazet zaledwie kilka tygodni wcześniej, zetknąwszy się z Volksdeutschami ze śląskiego Zabrza, „powiedziałem im, że nie potrafię pojąć ich narzekań na złe traktowanie ludności niemieckiej przez Polaków. Kto zaczął wojnę? Kto zakładał obozy koncentracyjne i obóz w Oświęcimiu? Naród winny wszystkich tych zbrodni dziś może mieć pretensje tylko do siebie"[118].

Zatem porozumienie ACC dało amerykańskiemu sekretarzowi stanu okazję, którą gorliwie wykorzystał, do wycofania się z niezręcznej sytuacji, w jakiej przejściowo się znalazł za sprawą wypowiedzi swoich dyplomatów. Poinformowany o zawartym układzie Departament Stanu zaniechał dalszych prac nad bezkompromisowym w treści protestem[119]. Zamiast tego dwa tygodnie później przygotowano rozwodniony sprzeciw. Nie było w nim już mowy o odczuciach, jakie wzbudzały w Waszyngtonie deportacje. Dokument ów, który Byrnes polecił przekazać Polakom, informował ich tylko, że rząd USA jest „poważnie zaniepokojony" stanem, w jakim zza Odry i Nysy docierali do Niemiec wysiedleńcy[120]. Jednak ambasador Lane nie zgodził się na wręczenie takiej noty polskim władzom i oznajmił Byrnesowi, że „nie jest przekonany, że Niemców powszechnie traktuje się z surowością" i wiele doniesień świadczących o czymś przeciwnym „napływało od samych Niemców, którzy, w typowy dla siebie sposób lamentując po przegranej wojnie, przedstawiali sytuację w tak czarnych

barwach, jak to tylko możliwe”. Lane dodał, iż jego zdanie w tej kwestii podzielał generał Montgomery. Stwierdził on nieco wcześniej, że „poglądy niektórych osób o złym traktowaniu Niemców przez Polaków” były niesłuszne, i zaapelował o „przemyślenie przekazanych mi instrukcji”[121]. W rezultacie rok dobiegł końca bez oficjalnego protestu USA dotyczącego metod, jakimi posługiwano się przy „dzikich wypędzeniach”, a ambasador Lane dostał polecenie ustnego przekazania polskiemu rządowi „istoty” amerykańskich niepokojów w tej mierze, kiedy nadarzy się ku temu sprzyjająca okazja.

Liczba Niemców wygnanych w trakcie „dzikich wypędzeń” pozostaje nieznana. Wedle danych Armii Czerwonej 775 tysięcy osób przemieszczono z Czechosłowacji do samej tylko radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech do 12 grudnia 1945 roku[122]. I choć nie zgadza się to z czechosłowackimi statystykami, to Tomáš Staněk i Adrian von Arburg wskazują, że oficjalne raporty często zawierają „podejrzanie dokładne liczby”, być może znacznie zawyżone dla „podniesienia prestiżu odpowiedzialnych dowódców”[123]. Na podstawie analizy liczby kartek żywnościowych wydanych Niemcom, co stanowi dość nieprecyzyjne kryterium, dwaj wspomniani badacze uznali, że do końca roku 1945 wyrzucono z Czechosłowacji od 800 tysięcy do miliona ludzi. Uściślenie danych na temat liczby Niemców wypędzonych z polskich Ziem Odzyskanych w tym samym okresie zapewne graniczy z niemożliwością. Tylko w trakcie dwóch miesięcy letnich, w czerwcu i lipcu, wysiedleniami z tych obszarów objęto, zdaniem polskich historyków, od 200 tysięcy do aż 1 200 000 osób – co dowodzi samo w sobie, jak niewiele warte są dane dostępne dokumentacji na ten temat. Ogólna liczba miliona deportowanych z Polski w całym 1945 roku jest

prawdopodobnie zaniżona. Bernadetta Nitschke wskazuje jednak na dowody świadczące o tym, że Niemcy wygnani z Ziem Odzyskanych w trakcie pierwszej fali wysiedleń nierzadko powracali z czasem w rodzinne okolice, że w ciągu całego owego roku uchodźcy, którzy zbiegli na Zachód w pierwszych miesiącach, później często podążali z powrotem do domów oraz że znaczna liczba niemieckich mieszkańców zachodnich powiatów Ziem Odzyskanych ukryła się w większych miastach, by następnie wrócić w rodzinne strony.

Bezdyskusyjne pozostaje to, że siedmiomiesięczny okres „dzikich wypędzeń” wiązał się z masowym, trwającym na oczach władz państwowych „karnawałem przemocy”, a liczba jego śmiertelnych ofiar przekroczyła, nawet według najbardziej ostrożnych szacunków, 100 tysięcy. Była to więc tragedia na niespotykaną skalę w historii lat pokoju w dwudziestowiecznej Europie. Jednak przy tym ów dziejowy epizod umknął uwadze większości Europejczyków i praktycznie wszystkich Amerykanów poza tymi, którzy w owym czasie przebywali w regionach objętych deportacjami. Wkrótce alianckie mocarstwa same przystąpiły do udziału w masowych przesiedleniach ludności, z zastosowaniem metod „humanitarnych i uporządkowanych”, wyszczególnionych w porozumieniu poczdamskim. W ówczesnych warunkach nie wydawało się możliwe, by poszło im w tym lepiej niż pomysłodawcom „dzikich wypędzeń”. A jednak, jak się przekonamy, ich faktyczne „osiągnięcia” w tej mierze okazały się tak dwuznaczne, że nawet ostateczna ocena owej kwestii pozostaje otwarta.

Przypisy

[1] Por. P.M. Majewski, *Czechosłowaccy wojskowi wobec problemu wysiedlenia mniejszości niemieckiej i powojennych granic państwa, 1939–1945*, „Przegląd Historyczny” 1999, nr 90/2, s. 169–183.

[2] S. Demetz, *Prague in Danger: The Years of German Occupation, 1939-45*, Farrar, Straus & Giroux, New York 2008, s. 235.

[3] H. Perkins do „C.”,16 maja 1945; tenże do ppłk. E.P.F. Bougheya, 21 maja 1945, PRO HS 4/51.

[4] Transkrypcja listu dokonana przez cenzurę pocztową, 12 czerwca 1945, PRO FO 371/47091.

[5] T. Staněk, *Verfolgung 1945: Die Stellung der Deutschen in Böhmen, Mähren und Schlesien (außerhalb der Lager und Gefängnisse)*, Böhlau, Wien 2002, s. 115, przyp. 148.

[6] D. Kováč, *Die Evakuierung und Vertreibung der Deutschen aus der Slowakei*, w: R.G. Plaschka, H. Haselsteiner i in. (red.), *Nationale Frage und Vertreibung in der Tschechoslowakei und Ungarn 1938–1948: Aktuelle Forschungen*, Verlag der Österreichischen Akademie der Wissenschaften, Wien 1997, s. 113–114.

[7] T. Staněk, *Verfolgung 1945*..., s. 106–116, 142.

[8] B. Frommer, *National Cleansing: Retribution Against Nazi Collaborators in Postwar Czechoslovakia*, Cambridge University Press, Cambridge 2005, s. 50.

[9] F.A. Voigt, *Orderly and Humane*, „Nineteenth Century and After” 1945, XI, s. 201.

[10] T. Staněk, A. von Arburg, *Organizované divoké odsuny? Úloha ústředních státních orgánů při provádění „evakuace” německého obyvatelstva (kveten až září 1945)*, č. 3: *Snaha vlády a civilních úradu o rízení „Divokého Odsunu”*, w: „Soudobé Dějiny” 2006, nr 13/3–4 (I), s. 321–322.

[11] T. Staněk, *Verfolgung 1945*..., s. 74.

[12] Transkrypcja przemówienia radiowego Beneša z 14 X 1945, FO 371/46814. Por. także: P.M. Majewski, *Czechosłowaccy wojskowi wobec problemu wysiedlenia mniejszości niemieckiej*, s. 175.

[13] T. Staněk, *Verfolgung 1945…*, s. 115–121; V. Žampach, *Vysídlení německého obyvatelstva z Brna ve dnech 30. a 31. května 1945 a nouzový ubytovací tábor v Pohořelicích, 1.6.–7.7. 1945*, „Jižní Morava" 1997, nr 32, s. 173–239.

[14] Transkrypcja audycji radiowej, „Marie Ranzenhoferová: A Survivor of the 1945 Brno Death March", Radio Praha, 12 V 2010, http://www.radio.cz/en/article/127839.

[15] E. Glassheim, *National Mythologies and Ethnic Cleansing: The Expulsion of Czechoslovak Germans in 1945*, „Central European History" 2000, nr 33/4, s. 478.

[16] T. Staněk, A. von Arburg, *op. cit.*, s. 27.

[17]17 MON, Jablonec nad Nisou, do MSW, 20 VII 1945, Ministerstvo vnitra–nova registratura (MV-NR), zbiór 7445, nr B 221, Národní Archiv České Republiky, Praha (dalej jako NAČR).

[18] *Ibid*., s. 26.

[19] T. Staněk, A. von Arburg, *op. cit.*, č. 2, s. 26–27.

[20] D.M. Crowe, *Oskar Schindler*, Westview, Boulder, CO 2004, s. 466–471, 473–475.

[21] Ambasada brytyjska w Pradze do Wydziału Niemieckiego FO, 5 IX 1945; kpr. Arnold Gardiner, były jeniec wojenny ze Stalagu IV C do podsekretarza stanu w FO, 10 XI 1945, FO 371/46812; D. Gerlach, *For Nation and Gain: Economy, Ethnicity and Politics in the Czech Borderlands, 1945–1948*, rozprawa doktorska; University of Pittsburgh, 2007, s. 73.

[22] „New York Times", 20 IV 1946.

[23] „Svobodné Noviný”, 2 X 1946.
[24] J. King, *Budweisers into Czechs and Germans: A Local History of Bohemian Politics, 1848–1948*, Princeton University Press, Princeton, NJ 2002, s. 195.
[25] „Rudé Právo”, 10 IV 1946.
[26] „Pravda” (pilzneńska), 15 XI 1945.
[27] E. Hrabovec, *Neue Aspekte zur Ersten Phase der Vertreibung der Deutschen aus Mähren 1945*, w: R.G. Plaschka, H. Haselsteiner i in. (red.), *Nationale Frage und Vertreibung in der Tschechoslowakei und Ungarn 1938–1948: Aktuelle Forschungen*, Verlag der Österreichischen Akademie der Wissenschaften, Wien 1997, s. 131–132.
[28] Cyt. za: K. Kersten, *op. cit.*, s. 79.
[29] František Havel, MON, „Transfer of Germans: Report of Proceedings”, 16 VII 1945, MNO 1151/951 (1945), VÚA.
[30] Stenogram posiedzenia Wydziału Głównego MON, 28 VII 1945, MNO 3292/776, VÚA.
[31] „Svobodné Noviný”, 30 VIII 1946; „Severočeská Mladá Fronta”, 16 XII 1945; „Rudé Právo”, 16 V 1946.
[32] G. Lange, *My Experiences at the End of the War and Thereafter*, w: U. Lange (red.), *East Germany: What Happened to the Silesians in 1945*, Book Guild, Lewes, Sussex 2000, s. 80.
[33] B. Nitschke, *Wysiedlenia Niemców w czerwcu i lipcu 1945 roku*, „Zeszyty Historyczne” 1996, nr 118, s. 156.
[34] „News Chronicle”, 31 I 1946.
[35] Niedatowana (ok. V 1945) relacja E. Meliny, Office of Military Government for Germany, Prisoners of War and Displaced Persons Branch, nr 133, teczka „Refugee Reports”, RG 260/390/42/24-25/7-1, NARA.
[36] Memorandum majora O. Fischera, 27 XI 1945, MNO 238/14266 (1946), VÚA.

[37] Memorandum MZO (Ministerstwa Ziem Odzyskanych), oddział zgorzelecki, 5 V 1947, Archiwum Ministerstwa Ziem Odzyskanych, AAN 196, zbiór 541c/B-7415, Archiwum Akt Nowych, Warszawa.
[38] Urząd Bezpieczeństwa z Hradec Králové do MSW, 18 VI 1945, archiwym Ministra národní obrany (MNO) 9/4/1/76 (1945), Vojenský ústřední archiv (dalej jako VÚA), Praha.
[39] „Severočeská Mladá Fronta", 16 XII 1945.
[40] Por. T. Staněk, *Verfolgung 1945*..., s. 161.
[41] Regionalny komitet narodowy z Moravskiej Třebovy, „Report on the Question of Germans in Svitavy Region between May 12, 1945 and August 23, 1945", 24 VIII 1945, MV-NR zbiór 7446, nr B 596, NAČR.
[42] T. Staněk, *Verfolgung 1945*..., s. 72.
[43] „Washington Post", 17 VI 1945.
[44] Gen.-mjr E.N. Harmon, d-two XXII Korpusu, do Steinhardta, 23 X 1945, State Department papers RG 84, Entry 2378A, 350/54/13/03. U.S. Embassy Czechoslovakia. Classified General Records, 1945–1957, Box 3, nr 711.9, NARA.
[45] T. Staněk, A. von Arburg, *op. cit.*, č. 2, s. 28.
[46] Cyt. za: R. Bessel, *Germany 1945: From War to Peace*, Simon & Schuster, London 2009, s. 215.
[47] B. Nitschke, *op. cit.*, s. 161.
[48] Niedatowane zeznanie Johanny Janisch, Leimnitz bei Schwiebus, FO 371/46815.
[49] B. George, *Les russes arrivent: la plus grande migration des temps modernes*, Éditions de la Table Ronde, Paris 1966, s. 229–231.
[50] Telegram R.S.S. Stevensona, ambasadora brytyjskiego w Belgradzie, do Foreign Office, 21 I 1946, FO 945/360;

memorandum MSZ w Belgradzie, 16 I 1946, FO 371/55391.

[51] Gen.-por. I. Avsić, z jugosłowiańskiej misji wojskowej w Berlinie, do oddziału brytyjskiego Alianckiej Komisji Kontroli, 1 III 1946, FO 1032/2284.

[52] J.M. Troutbeck do A. Streeta, 11 II 1946, FO 371/55390.

[53] Notatka C. O'Neilla, 26 I 1946, FO 371/55390.

[54] Wydział analiz Foreign Office, „The German Minority in Yugoslavia", 2 II 1946, FO 371/55390.

[55] Memorandum komitetu koordynacyjnego Alianckiej Komisji Kontroli, „Transfer into Germany of German Minorities from Countries not Referred to in the Potsdam Agreement", 22 III 1946; notatka A.A.E. Franklina, FO, 12 VIII 1946, FO 371/55525.

[56] M. Portmann, *Politik der Vernichtung? Die deutschsprachige Bevölkerung in der Vojvodina 1944–1952: Ein Forschungsbericht auf Grundlage jugoschlawischer Archivdokumente*, w: *Danubiana carpathica: Jahrbuch für Geschichte und Kultur in den deutschen Siedlingsgebieten Südosteuropas*, Oldenbourg, München 2007, s. 332–333.

[57] Nota rządu rumuńskiego do gen. W. Winogradowa, p.o. przewodniczącego Alianckiej Komisji Kontroli w Rumunii, 13 I 1945, FO 371/48536.

[58] Notatka Sargenta, 12 I 1945, FO 371/48535.

[59] Notatka Churchilla (ze słynnym aprobującym „ptaszkiem" postawionym przez Stalina), bez daty (9 X 1944), PREM 3/66/7.

[60] Osobista notatka premiera dla Edena, 18 i 19 I 1945, FO 371/48536.

[61] Treść prywatnego telegramu Stevensona do A. Cadogana, 17 I 1945, FO 371/48536. Inne relacje

naocznych świadków obław: zob. np. por. P.A. Clifton i ppłk A.C. Kendall, „Report on Visit to Brasov, Sibiu and Cluj, Jan. 8th to Jan. 11th, 1945”, bez daty, FO 371/48590.

[62] H.G. Beckh, CICR, *Résumé d'un entretien entre M. [J.A.] Graf [CICR adjunct delegate, Bucharest] et le soussigné le 3.9.46*, Comité International de la Croix Rouge et du Croissant Rouge papers, Archives Générales 1918–1950, G. 97/IV, box 1165, Archives du Comité International de la Croix Rouge et du Croissant Rouge (dalej jako CICR), Geneva.

[63] Aliancka Komisja Kontroli (ACC), *Prisoners of War* & *Displaced Persons Division*, „The Return to Germany of German Minorities Now Residing in Austria”, 5 VIII 1946, FO 1005/840; M. Ritter, Catholic Committee for Relief Abroad, „Report on *Volksdeutsch* in Austria”, 21 X 1947, FO 1020/2519.

[64] Nowsza rozprawa na ten temat, mogąca świadczyć o czymś innym, to owoc bezkrytycznego traktowania ówczesnych relacji prasowych i innych niezweryfikowanych doniesień. Jednakże materiały takie wydają się sprzeczne z treścią dokumentów z archiwów polskich i czechosłowackich, do których autor przytoczonej poniżej pracy się nie odwołał. Por. A.S. Biddiscombe, *Werwolf! The History of the National Socialist Guerrilla Movement 1944–1946*, University of Toronto Press, Toronto 1998.

[65] T. Staněk, *Verfolgung 1945*..., s. 127.

[66] V. Mastný, *The Czechs under Nazi Rule: The Failure of National Resistance, 1939–1942*, Columbia University Press, New York 1971, s. 178.

[67] T. Staněk, *Verfolgung 1945*..., s. 130, 135–137, 164.

[68] Por. np. „News Chronicle”, 2 VIII 1945; „Times”, 28 VII i 7 VIII 1945; „Severočeská Mladá Fronta”, 6 IX 1945.

[69] Socjaldemokracja Niemców Sudeckich (SDDP), *Deportation Drama in Czecho-Slovakia: The Case of a Dying People*, Der Sozialdemokrat, London 1945, s. 10.
[70] Telegram Nicholsa do Foreign Office, 13 VIII 1945, FO 371/47091.
[71] Cyt. za: T. Staněk, *Poválečné „excesy" v Českych zemích v roce 1945 a jejich vyšetřováni*, Ústav pro soudobé dějiny, Praha 2005, s. 72.
[72] T. Staněk, *Verfolgung 1945*..., s. 181.
[73] *Ibid*., s. 180.
[74] *Ibid*., s. 130.
[75] *Ibid*., s. 181.
[76] „Severočeská Mladá Fronta", 23 IX 1945.
[77] B. Nitschke, *op. cit.*, s. 161–162.
[78] *Anon.*, „Beobachtungen und Eindrücke von einer Reise Poznań–Szczecin–Poznań", 27 VIII 1945, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße 1945–1950: Dokumente aus polnischen Archiven*, t. III: *Wojewodschaft Posen, Wojewodschaft Stettin (Hinterpommern),* Verlag Herder-Institut, Marburg 2004, s. 378.
[79] J. Chumiński, E. Kaszuba, *The Breslau Germans under Polish Rule 1945–1946: Conditions of Life, Political Attitudes, Expulsion*, „Studia Historiae Oeconomicae" 1997, nr 22, s. 94.
[80] C. Kraft, *Who Is a Pole, and Who Is a German? The Province of Olsztyn in 1945*, w: P. Ther, A. Siljak, *op. cit.*, s. 112.
[81] M. Djilas, *Wartime*, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1977, s. 423.
[82] K. Mulaj, *A Recurrent Tragedy: Ethnic Cleansing as a Tool of State Building in the Yugoslav Multinational Setting*, „Nationalities Papers" 2006, nr 34/1 (III), s. 33.

[83] Memorandum Murraya, ambasadora brytyjskiego przy czechosłowackim rządzie na uchodźstwie, 8 III 1945, FO 371/47085.
[84] Stenogram narady I z-cy szefa Wydziału Głównego MON z 28 VII 1945, MNO 3292/776 (1945), VÚA.
[85] „News Chronicle", 24 VIII 1945.
[86] „Daily Herald", 24 VIII 1945.
[87] „The Times", 10 IX 1945.
[88] Mjr S. Terrell, „Berlin Survey", 22 VIII 1945, FO 371/46934.
[89] Memorandum kpt. A.C. Kanaara, 11 IX 1945, FO 371/46815.
[90] Cyt. za: M. Frank, *Expelling the Germans: British Opinion and Mass Population Transfers in Context*, Oxford University Press, Oxford 2007, s. 137.
[91] G. Gardiner, *Migration of Death*, „Spectator", 26 X 1945.
[92] R.D. Murphy do H.F. Matthewsa, 12 X 1945, RG 84, 250/57/18/01-02. Biuro amerykańskiego doradcy politycznego w Berlinie (Roberta D. Murphy'ego), utajniona korespondencja doradcy politycznego z lat 1944–1949, zbiór 1, teczka „X 1945", NARA.
[93] „Memorandum" Murphy'ego (bez daty; ok. 12 X 1945), *ibid*.
[94] Mjr F.W. Whittick, z Sekcji ds. Przesiedleńców w brytyjskich władzach wojskowych w Niemczech, „Report on Refugee Situation in Berlin as at 21 Aug 45", 22 VIII 1945, FO 371/46990.
[95] Por. Mora, Liberec, do MON w Pradze, 19 VI 1945, Úřad předsednictva vlády–tajná spisovna (ÚPV-T), 217/2, zbiór 308, NAČR.
[96] T. Staněk, A. von Arburg, *op. cit.*, č. 2, s. 26–27.
[97] T. Staněk, *Verfolgung 1945*..., s. 149.

[98] *Ibid*., s. 163.
[99] Dobrowolną emigrację do amerykańskiej strefy okupacyjnej władze wojskowe USA usankcjonowały dopiero po 31 X 1945. Por. tekst anonimowego memorandum z 2 XI 1945, archiwum czechosłowackiego MSW, zbiór 686 II, teczka B 300/1253/1945, Národní archiv Ceské republiky (dalej jako NACR), Praha.
[100] T. Staněk, *Verfolgung 1945*…, s. 54.
[101] Memorandum por. Jacka E. Blaylocka z 1 IX 1945; memorandum mjr Harolda E. Grahama z 18 X 1945; płk Y.D. Vesely, „Lack of Co-Operation in Controlling Shipments of Germans by Stribro District National Committee", 20 X 1945, RG 84, nr 2378A, 350/54/13/03. Utajnione archiwa ambasady USA w Czechosłowacji z lat 1945–1957, 711.9, zbiór 3, NARA.
[102] D-ctwo 1. OW, „Transfer of Germans from Žitava [Zittau] to Hrádek nad Nisou", October 17, 1945, MNO 9/4/1/40 (1945), VÚA; anonimowe memorandum, „Transfer of Svitavy German Nationals from Žitava to Hrádek nad Nisou – Results of Investigation", 22 X 1945, 9/4/1/41 (1945); SNB, Jablonec nad Nisou, do MSW, 18 X 1945, Ministerstvo vnitra – nova registratura (MV-NR), zbiór 7448, nr B 951, NACR.
[103] Dr Janoušek, I OW, MOM, do MSW, 15 XII 1945, MNO 9/4/1/64; memorandum gen. Heliodora Piki, 9 XI 1945, MNO 1151/951, VÚA.
[104] „News Chronicle", 15 X 1945.
[105] Zeznanie wysiedleńców z Neumarktl, zrelacjonowane w liście Oddziału Politycznej Alianckiej Komisji Kontroli w Austrii (sekcji brytyjskiej) do Departmentu Południowego FO, 14 II 1946, FO 945/430.
[106] J. Pfeiffer, „Situation à la ligne de démarcation Russe-Tchécoslovaque-U.S.A.", 21 III 1946, G 97/IV, zbiór 1161,

CICR.

[107] Cyt. za: H. Service, *Reinterpreting the Expulsion of Germans from Poland, 1945–9*, „Journal of Contemporary History” 2012, nr 47/3 (VII), s. 538.

[108] Wydział wywiadowczy wojsk brytyjskich w Berlinie, „Conditions in Poland, Polish Occupied Germany and Russian Occupied Germany”, 22 IX 1945, FO 371/46690.

[109] *Ibid.*

[110] R.M.A. Hankey, M.B. Winch, „Tour of Upper and Lower Silesia–September, 1945”, FO 371/47651.

[111] 139 *H.L. Deb.* 5s., c. 85 (30 I 1946).

[112] *Aide-mémoire* ambasady francuskiej w Londynie, 6 X 1945, FO 371/46813.

[113] Aliancka Komisja Kontroli (ACC), *Plan for the Tarnsfer of German Populations to be Moved from Austria, Czechoslovakia, Hungary, and Poland into the Four Occupied Zones of Germany: Note by the Allied Secretariat*, CONL/P (45) 57, 17 XI 1945, FO 945/68; FO do ambasady brytyjskiej w Warszawie, 1 grudnia 1945, FO 371/46815.

[114] „New York Times”, 16 XII 1945.

[115] D.W.C. Harris do D.R. Heatha, dyrektora Biura ds. Politycznych, 13 X 1945, biuro amerykańskiego doradcy politycznego w Niemczech (Berlin); utajniona korespondencja doradcy politycznego (Classified General Correspondence of the Political Advisor, 1944–49), RG 84, 250/57/18/01-02, zbiór 1, teczka „October 1945”, NARA.

[116] B.V. Cohen do Matthewsa, 6 XI 1946, RG 59, *Records of the Department of State Relating to the Problems of Relief and Refugees in Europe Arising from World War II* (archiwa Departamentu Stanu dot. problemów pomocy dla uchodźców w Europie po II wojnie światowej), M 1284, 840.48, mikrofilm 59, NARA. Por. też W. Lasser, *Benjamin*

V. Cohen: Architect of the New Deal, Yale University Press, New Haven, CT 2002, rozdział 15.

[117] Szkic telegramu Departmentu Stanu do ambasady amerykańskiej w Warszawie, 16 XI 1945; B.V. Cohen do Matthewsa, 6 XI 1946, RG 59, archiwa Departamentu Stanu dot. problemów pomocy dla uchodźców w Europie po II wojnie światowej, M 1284, 840.48, mikrofilm 59, NARA,

[118] „Dziennik Polski", 18 X 1945. Por. także A.B. Lane, *I Saw Poland Betrayed: An American Ambassador Reports to the American People*, Bobbs-Merrill, Indianapolis, IN 1948, s. 182–183, gdzie znalazła się inna relacja dotycząca tego samego incydentu.

[119] Niepodpisana i niedatowana notatka dla J.F. Riddlebergera, szefa wydziału środkowoeuropejskiego w Departamencie Stanu, RG 59, archiwa Departamentu Stanu dot. problemów pomocy dla uchodźców w Europie po II wojnie światowej, M 1284, 840.48, mikrofilm 59, NARA.

[120] J.F. Byrnes do A.B. Lane'a, ambasadora USA w Warszawie, 30 XI 1945, RG 84, nr 2378A, 350/54/13/03. Archiwa ambasady USA w Czechosłowacji, 1945–1957, 711.9, zbiór 3, NARA.

[121] A.B. Lane do Byrnesa, 4 XII 1945, United States, Department of State, *Foreign Relations of the United States: Diplomatic Papers, 1945: General: Political and Economic Matters*, t. II, Government Printing Office, Washington, DC 1967, s. 1321–1322.

[122] Hrabčík do MON, 21 XII 1945, MNO 1151/951 (1945), VÚA.

[123] T. Staněk, A. von Arburg, *op. cit.*, č. 3, s. 372.

ROZDZIAŁ 5

Obozy

Wenzel Hrneček był, w opinii znających go osób, przeciętnym młodym człowiekiem. Jak wszyscy Czesi z jego pokolenia, przyszedł na świat w Cesarstwie Austro-Węgierskim, czyli w państwie, które rozpadło się, gdy Hrneček miał kilkanaście lat. Wczesne lata dorosłe przeżył jako obywatel Czechosłowacji w mieszanych pod względem etnicznym Czeskich Budziejowicach na południu kraju – w mieście, które pod niemiecką nazwą Budweis zyskało światową sławę dzięki piwu Budweiser, produkowanemu tam w wielkich ilościach. Hrneček, mówiący płynnie po czesku i niemiecku, w 1928 roku wstąpił do policji. W pracy tej niespecjalnie się wyróżnił: przez 11 lat do wybuchu wojny nie doczekał się ani jednego awansu. Po zajęciu Kraju Sudeckiego przez nazistów we wrześniu 1938 roku Hrneček stał się poddanym trzeciego już państwa w trakcie swojego krótkiego życia i służył mu równie pilnie jak dwóm poprzednim rządom. Katastrofa spadła nań w 1940 roku, kiedy został fałszywie oskarżony przez innego Czecha o posiadanie nielegalnego radionadajnika. I choć zarzut ten został w końcu uznany za pomówienie, to Hrneček, podobnie jak tysiące innych, którzy z jakiegoś powodu wzbudzili podejrzenia Niemców, znalazł się w „areszcie ochronnym” w obozie koncentracyjnym Theresienstadt (Terezin) na północ od Pragi. Przez resztę wojny przerzucano go z jednego obozu do drugiego, w Czechosłowacji, Polsce i Niemczech; przebywał między innymi w Sachsenhausen i Gross-Rosen (Rogoźnicy), aż w końcu trafił do Dachau. Tam został mianowany na Stubenältestera, czyli najniższej rangi kapo, wyznaczanych

przez Niemców do pilnowania innych więźniów. Okrucieństwem nierzadko dorównywali oni esesmanom z obozowych straży. Jak jednak zeznawali po wojnie jego byli współwięźniowie, Hrneček nie dał się wciągnąć hitlerowcom w popełniane przez nich zbrodnie, czyniąc wszystko, co w jego mocy, by chronić Czechów, za których odpowiadał, przed tym, co było najgorsze w obozowym życiu[1]. Po wyzwoleniu obozu przez wojska amerykańskie w kwietniu 1945 roku przez trzy tygodnie dochodził do siebie i stopniowo odzyskiwał siły, by następnie wrócić do Czeskich Budziejowic, gdzie zgłosił się na służbę w swoim dawnym policyjnym posterunku. Od razu został wyznaczony na zastępcę komendanta obozu dla internowanych Sudetendeutschów w Linzervostadt, cztery kilometry od Czeskich Budziejowic, gdzie już zapędzono wielu etnicznych Niemców z okolicy. Jego nominalnym szefem był kapitan Alois Vesely, ale codzienny nadzór nad obozem faktycznie znalazł się w gestii Hrnečka.

Obóz Linzervorstadt był jednym z tysięcy zaimprowizowanych ośrodków odosobnienia dla etnicznych Niemców, które pojawiły się w całej środkowej Europie w ciągu pierwszych dni i tygodni po wycofaniu się stamtąd Wehrmachtu. Podczas wojny zamieszkiwali tam robotnicy z Niemieckiego Frontu Pracy (DAF); obóz składał się z pięciu baraków mieszkalnych oraz bloku administracyjnego, z kuchnią i izbą chorych[2]. Nawet gdy umieszczano po dwóch więźniów na jednej pryczy, wkrótce liczba internowanych przekroczyła przewidywane 2 tysiące i obóz zaczął pękać w szwach. Pewien Sudetendeutsch, zesłany do Linzervorstadt 10 maja 1945 roku – a więc ledwie dwie doby po ogłoszeniu ostatecznej kapitulacji Niemiec – otrzymał obozowy numer 862, a emerytowany fryzjer, zamknięty w obozie pod koniec lipca – numer

2212[3]. Wśród członków obozowej administracji i straży, zwerbowanych osobiście przez Hrnečka, znaleźli się byli więźniowie niemieckich kacetów, sami niedawno uwolnieni, a poza nimi „młode chłopaki w wieku od 15 do 18 lat, których my [niemieccy więźniowie] nazywaliśmy «partyzantami»”[4]. I właśnie oni od razu zaczęli przekształcać obóz w pomniejszą kopię Dachau, ustanawiając dla uwięzionej lokalnej niemieckiej ludności cywilnej reżim ściśle wzorowany na tym, czego sami zaznali z rąk nazistów. Zamiast esesmańskiego sloganu *Arbeit Macht Frei* („Praca czyni wolnym”) na bramie obozu wymalowano biblijny werset *Oko za oko, zub za zub* („Oko za oko, ząb za ząb”). Nowych więźniów – często aresztowanych na ulicach Czeskich Budziejowic przez samego Hrnečka, jeżdżącego po okolicy policyjną karetką w poszukiwaniu Niemców – rozbierano, szukając na ich skórze tatuaży SS; nagich zmuszano do przebiegnięcia między szpalerem strażników, którzy „zapoznawali” ich z obozowym życiem, bijąc ich gumowymi pałkami, kijami i laskami. Potem więźniom golono głowy i wydawano im więzienne stroje z kolorowymi oznaczeniami (część internowanych utrzymywała, że miały one kształt trójkątny, inni znowu pamiętali barwne paski), wyróżniającymi byłych „członków partii”, „kolaborantów” i zwyczajnych cywilów. Kary za tak trywialne wykroczenia jak spóźnienie się ze zdjęciem czapki w obecności obozowego „nadzorcy” czy opieszałość w uformowaniu dwuszeregu były częste i surowe – w tym znane z hitlerowskich obozów koncentracyjnych wieszanie na słupie (polegające na zwieszaniu z belki skazańca za skrępowane za plecami nadgarstki), chłosta metalowym pejczem, „ćwiczenia fizyczne”, czyli dźwiganie ciężkich kamieni albo cegieł oraz całonocne „apele” i parady, podczas których więźniowie

musieli stać na baczność od wieczora po następny poranek[5]. Josef Neubauer, katolicki duchowny przetrzymywany w Linzervostadt aż do czasu wydalenia z Czechosłowacji w listopadzie 1945 roku, opisał później chłostę, jaką mu wymierzono za złamanie obozowych przepisów, a konkretnie za udzielanie ostatniej posługi umierającym współwięźniom w izbie chorych:

> Dwudziestego siódmego czerwca 1945 roku nagle polecono mi stawić się w wartowni. Tam rozebrano mnie do naga i bito kijami i pięściami. W rezultacie tego bicia miałem złamane jedno żebro i powybijane zęby. Potem dwaj moi oprawcy zadali mi następnych 50 uderzeń długim stalowym kablem grubości kciuka, w brzuch, plecy, pierś i pośladki. Musiałem sam liczyć na głos razy. Pod koniec katowania cały byłem zakrwawiony. Powiedziałem swoim oprawcom, że im przebaczam i że Bóg nie powinien im tego policzyć za grzech. Te moje słowa wprawiły ich w zdumienie i od tamtej pory zostawili mnie w spokoju[6].

Przemoc wobec internowanych często wiązała się z osobistymi porachunkami. Sam Hrneček zemścił się na swoim byłym niemieckim przełożonym, kapitanie niemieckiej policji z Czeskich Budziejowic, wieszając go na żerdzi na 4–5 godzin, w tym czasie „smagając go pejczem z bydlęcej skóry” aż do utraty przytomności przez torturowanego; wtedy cucił go, oblewając wodą[7]. Pewien uwięziony wspominał, jak „nadzorcy” wieczorami przeprowadzali inspekcje, sprawdzając czystość baraków i ich mieszkańców, i zabierali do łazienki na bicie „tych […] wobec których żywili nienawiść z dawnych czasów. […] Często też – po tym, jak kogoś zabrano – słyszało się dobiegającą z podwórza serię z broni maszynowej”. Inny

przypominał sobie, że „tortury zwykle odbywały się wieczorami, między 21.00 a 22.00. Ale wrzaski torturowanych często trwały aż do północy”. Hrneček przyznawał, że co wieczór „byłych uchodźców politycznych i więźniów [z pobliskiego miasta] wpuszczano do obozu, żeby wyszukiwali tych, którzy działali przeciwko Czechom” oraz że „często znajdowano poważnie zmaltretowanych [internowanych], pobitych przez te [wizytujące obóz] osoby”[8]. Dodał też, iż samobójstwa, by uniknąć dalszych udręk, a także zabójstwa popełniane przez wartowników i nadzorców, były na porządku dziennym. Niektórzy więźniowie wieszali się; inni kładli kres swemu życiu, rzucając się na otaczające obóz druty kolczaste i w rezultacie ginęli od kul wartowników. Hrneček nie zaprzeczał przy tym, że wiele z tak zwanych samobójstw było zapewne upozorowanych. „Ciągle meldowano mi, że w nocy jakiś więzień […] popełnił samobójstwo przez powieszenie. Nie potrafię stwierdzić, czy taki człowiek naprawdę popełnił samobójstwo, czy też został powieszony przez nadzorców. Ale nie wykluczam, że do drugie było możliwe”[9].

Podobnie jak stanowiące wzorzec niemieckie obozy, Linzervorstadt powiązany był z siecią podobozów, wśród których wydzielono miejsce odosobnienia dla więźniarek w Zámostí koło miejscowości Hluboká nad Vltavou – gdzie Hrneček i jego podwładni od czasu do czasu składali wizyty, aby wymierzać kary cielesne internowanym kobietom albo, jak to czynił Vesely, gwałcić nieletnie – oraz kolonia robocza w pobliskiej kopalni w Mydlovarach. Zgodnie z rozporządzeniem rządu czechosłowackiego z września 1945 roku wszyscy uwięzieni Sudetendeutsche obojga płci musieli pracować fizycznie; mężczyzn na ogół zatrudniono przy pracach budowlanych, a kobiety w obozowych

kuchniach lub pralniach. Mimo że praca poza drutami obozu czasami stwarzała okazję do ucieczki, to wobec obowiązującej zbiorowej odpowiedzialności, członków grupy roboczej uciekiniera karano tak samo jak schwytanych zbiegów. W Linzervorstadt, tak zresztą jak w innych podobnych obozach, do bicia albo chłostania karanych często zmuszano współwięźniów. Hrneček wspominał pewien epizod, kiedy „trzem lub czterem internowanym wymierzono kary cielesne równocześnie. Byli to zbiegowie, których złapano. Wtedy wyznaczono niewielką grupę do wymierzenia kar cielesnych schwytanym więźniom”.

Warunki panujące w Linzervorstadt nie były niczym niezwykłym. O podobnych rzeczach opowiadali, poza zagranicznymi obserwatorami, byli więźniowie dziesiątków, jeśli nie setek obozów dla etnicznych Niemców, założonych w Czechosłowacji, Polsce, Jugosławii, na Węgrzech i w Rumunii w końcowych miesiącach wojny. Pierwszy z takich ośrodków odosobnienia, w Târgu Jiu w Rumunii, uruchomiono we wrześniu 1944 roku; inne powstały w okolicach Bukaresztu i w regionie Baczki w północnej Jugosławii w październiku i listopadzie[10]. Wiele byłych nazistowskich obozów koncentracyjnych, choćby Majdanek czy Theresienstadt – a nawet Auschwitz – nie przestało funkcjonować, stając się miejscem uwięzienia etnicznych Niemców w pierwszych powojennych latach. W Oświęcimiu (Auschwitz) okres oddzielający wyzwolenie ostatnich ocalałych żydowskich więźniów obozu głównego (Auschwitz I) od zamknięcia tam pierwszych etnicznych Niemców wynosił niespełna dwa tygodnie. Liczby takich miejsc i osób w nich uwięzionych nie sposób oszacować[11], lecz była ona z pewnością znaczna[12]. Po wielu z nich nie pozostał ślad w postaci jakiejkolwiek dokumentacji – na przykład

w Polsce, z tego, co wiadomo, przetrwał pełny rejestr więźniów jednego tylko obozu, w Łambinowicach – a czasem nawet władze centralne nie były powiadamiane o ich istnieniu. Polski Państwowy Urząd Repatriacyjny i zarząd województwa szczecińskiego dowiedziały się o obozie w Koszalinie, gdzie przetrzymywano ponad 1000 etnicznych Niemców, dopiero po tym, jak wybuchła w nim epidemia tyfusu w marcu 1947 roku[13]. Podobnie rada narodowa w okręgu praskim, oficjalnie odpowiedzialna za administrowanie miejscami odosobnienia dla Niemców w rejonie czechosłowackiej stolicy, uskarżała się, że nie zawsze wiedziała, gdzie i kto zakładał takie obozy[14]. Szef delegacji Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża (MKCK) w Czechosłowacji donosił w lutym 1946 roku, że jego żona, wybrawszy się na początku 1946 roku do znajomych, przypadkiem natknęła się na prowizoryczny obóz dla Sudetendeutschów, zorganizowany w jednym ze skrzydeł gmachu szkoły dla dziewcząt. „To tylko kolejny przykład na istnienie «niejawnych» obozów. […] Odkrywamy je albo przypadkowo, albo w trakcie badania jakiejś szczególnej sprawy, a wobec tego nie ma szans, aby ustalić dokładną liczbę internowanych w tym kraju”[15].

Jednak najczęściej pozbawianiem Niemców wolności kierowano odgórnie. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN) wydał 4 listopada 1944 roku dekret nakazujący, ażeby wszystkich Volksdeutschów powyżej trzynastego roku życia i zamieszkałych w granicach Generalnego Gubernatorstwa umieścić niezwłocznie w obozach i zapędzić do przymusowych robót[16]. Trzy miesiące później zarządzeniem tym objęto również tych wszystkich w całej Polsce, których nazwiska znalazły się na Deutsche Volksliste, w drugiej kategorii Volksdeutschów. Ale i wielką liczbę Niemców z Ziem Odzyskanych

zatrzymano na postawie zarządzeń wydanych przez lokalnych pełnomocników[17]. Ponad 40 tysięcy Volksdeutschów z Polski wywieziono do łagrów w ZSRR na wiosnę 1945 roku[18]. I choć sporadycznie zarządzeniom tym przeciwstawiali się niektórzy oficerowie Armii Czerwonej – na przykład w kwietniu 1945 roku radziecki dowództwa jednostki stacjonującej w Tczewie wydał rozkaz, aby wszyscy Niemcy z okolicznych obozów pracy powrócili do domów, podjęli normalne zajęcia oraz pozdejmowali z ubrań przepaski ze swastykami i numery identyfikacyjne, noszone z polecenia polskich władz – to na ogół władze radzieckie nie wtrącały się w takie sprawy, o ile tylko coś nie szkodziło ich interesom.

Na ziemiach czeskich dekret nr 16 z 19 czerwca 1945 roku uprawomocnił internowanie rzemieślników, przedsiębiorców i innych fachowców z grona Niemców sudeckich, których usług nie uznano za nieodzowne dla kraju, a nadto przedstawicieli „nadliczbowej inteligencji” oraz „zbytecznego personelu” z branży przemysłowej i handlowej wraz z ich rodzinami[19]. Jednak na prowincji okręgowe rady narodowe nierzadko znacznie szerzej pojmowały przepis, kogo należało zatrzymywać: w Pilznie dokonano interpretacji prawnej, zezwalającej na obławy na Niemców „niezależnie od tego, czy są objęci klauzulą o Niemcach z prezydenckiego dekretu nr 16 z 19 czerwca 1945 roku, czy też nie”, co skopiowano w wielu innych miejscach na całych ziemiach czeskich[20]. W połowie czerwca także Słowacka Rada Narodowa zleciła Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego, aby założyło, zorganizowało i utrzymywało obozy dla lokalnych mniejszości niemieckiej i węgierskiej oraz zarządzało nimi, choć już wcześniej przeprowadzano tam obławy na przedstawicieli tych mniejszości[21]. Wedle niepełnych

danych z czeskich archiwów, w listopadzie 1945 roku w obozach internowania przebywało około 152 tysięcy zatrzymanych, z których 93 procent stanowili etniczni Niemcy, oraz co najmniej 7 tysięcy kolejnych w różnych więzieniach i aresztach na terenie Czech. Do 40 tysięcy następnych uwięziono na Słowacji. Podane liczby nie obejmują wszakże osób osadzonych w obozach pozostających pod nadzorem Ministerstwa Obrony Narodowej[22]. Szacunkowe dane, przekazane przez pewnego amerykańskiego oficera, który znalazł się w Pradze w styczniu 1946 roku z zadaniem koordynowania akcji wysiedleńczej i miał się dowiedzieć, że „około 250 tysięcy wyłapano dotychczas i zgromadzono w obozach", mogły być zatem nie tak bardzo odległe od prawdy[23].

Podobne rozporządzenie reżimu Tity z listopada 1944 roku nakazywało internowanie wszystkich jugosłowiańskich Volksdeutschów z wyjątkiem tych, którzy odegrali aktywną rolę w walce z niemiecką okupacją. Mimo że alianci ostatecznie nie zgodzili się na wypędzenie wszystkich Volksdeutschów z tego kraju, to, wedle informacji Czerwonego Krzyża, w roku 1947 działało 96 jugosłowiańskich obozów[24]. Co najmniej 170 tysięcy etnicznych Niemców, nie licząc tych, którzy już wcześniej byli „masowo rozstrzeliwani w rozmaitych miejscach", zostało uwięzionych do połowy 1945 roku; „większość internowanych", zgodnie z raportem Nadzwyczajnej Komisji Rewizyjnej z Wojwodiny przesłanym do Belgradu w maju, stanowili „starcy, kobiety i dzieci"[25]. Chociaż plany rządu budapeszteńskiego przewidujące utworzenie sieci 22 „obozów zbiorczych" dla niemieckich wysiedleńców nie doczekały się realizacji, to wielki obóz dla etnicznych Niemców z Węgier powstał w Debreczynie, gdzie, jak meldowano, warunki były „trudne"[26]; w kolejnym, koło

Bonyhád, podobno przebywało około 20 tysięcy internowanych z Baranyi, komitatu na południu kraju, leżącego nad granicą chorwacką – o czym w czerwcu 1945 roku poinformowali amerykańscy dyplomaci[27]. W ślad za obozem Târgu Liu rychło powstały w Rumunii następne, po tym jak proradzieckie władze rumuńskie w grudniu 1944 roku wydały polecenie internowania wszystkich przedstawicieli niemieckiej i węgierskiej mniejszości powyżej 16. roku życia (powyżej 18 lat w przypadku kobiet) [28]. Jeżeli liczba więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych wzrosła z 21 tysięcy w chwili wybuchu wojny do szczytowego poziomu około 700 tysięcy na początku roku 1945[29], to całkiem możliwe, że liczba osób uwięzionych w podobnych placówkach w wielu krajach Europy z końcem 1945 roku mogła być jeszcze większa.

Skali systemu powojennych obozów ledwie ustępowało ich zróżnicowanie. Pod koniec wojny model doraźnego lokalnego improwizowania cechujący sieć niemieckich kacetów w pierwszej połowie lat trzydziestych zaznaczył się bardzo także w środkowo- i południowo-wschodniej Europie[30]. W uzupełnieniu „dzikich wypędzeń” z lata 1945 roku wiele z owych pierwszych ośrodków odosobnienia było „dzikimi” obozami, utworzonymi przez lokalne organy władzy, jednostki czechosłowackiej SNB i polskiej Milicji Obywatelskiej albo też przez ukonstytuowane samorzutnie „komitety obywatelskie”, i to bez wyraźnego polecenia władz zwierzchnich – a nawet czasem bez powiadamiania tych ostatnich[31]. Jak już wspomniano, istniejące miejsca, w tym byłe nazistowskie obozy koncentracyjne, obozy jenieckie, więzienia dla przestępców i baraki dla robotników Niemieckiego Frontu Pracy bezzwłocznie przekształcano na obozy internowania ludności cywilnej. Ale korzystano też z różnorodnych

tymczasowych obozowisk, na które adaptowano stadiony sportowe i opuszczone hale fabryczne, a nawet kościoły i większe domy prywatne. W Pradze co najmniej 10 tysięcy internowanych przetrzymywano pod gołym niebem na stadionie piłkarskim Strahovský aż do września 1945 roku, w warunkach określanych przez pracowników Czerwonego Krzyża jako koszmarne, do czasu przewiezienia uwięzionych do innych obozów; stadion Robotniczego Klubu Sportowego w Popovicach (Pfaffendorf) koło Děčina posłużył do podobnego celu[32]. W prowizorycznym obozie na lotnisku Patrónka koło Bratysławy przetrzymywano 2449 internowanych, z których trzy czwarte stanowiły kobiety i dzieci, w czasie gdy do miejsca tego dotarli w lipcu 1945 roku przedstawiciele Czerwonego Krzyża[33]. Patrónka bynajmniej nie była największym miejscem tego rodzaju – w niektórych z nich, jak w Rudolfsgnad (Knićanin) w Jugosławii, więziono znacznie ponad 20 tysięcy ludzi – jednak miniaturowy obóz w Svidniku we wschodniej Słowacji, gdzie przetrzymywano zaledwie 15 mężczyzn z niemieckojęzycznej mniejszości Zipserów (Niemców spiskich), był zapewne najmniejszym, zorganizowanym w „wilgotnej pieczarze, z maleńkim oknem, przez które prawie nie wpadało światło. […] [Więźniowie] spali na ziemi, na której leżało trochę słomy; z powodu dymu nie wolno było rozpalać ognia”[34]. Więźniów ze Svidnika zatrudniano do oczyszczania pól minowych; dziesięciu z nich zginęło przy tej pracy w trakcie dwumiesięcznego okresu przed wizytacją MKCK. W obozie w Koszalinie w północno-zachodniej Polsce stłoczono 1090 wysiedleńców w dwóch budynkach w centrum miasta, gdzie nie było toalet ani kuchni, a tylko w jednym z nich znajdował się kran z wodą: do marca 1947 roku wśród przetrzymywanych wybuchły epidemie czerwonki i tyfusu[35]. W Jugosławii

największy „obóz” zajął całą wioskę, gdzie za ogrodzenie z drutu kolczastego zapędzono ludzi mówiących po niemiecku; śmiertelność wskutek przeludnienia, niedożywienia, chorób zakaźnych i bicia w najgorszych z tych zaimprowizowanych miejsc odosobnienia, na przykład w Gakowej i Kruševlje w Baczce, dorównywała tej w obozach, gdzie więźniów przetrzymywano w barakach[36].

Wprawdzie niemożliwe jest stwierdzenie, ile osób ogółem znalazło się w takich obozach – choć bez wątpienia większości etnicznych Niemców jednak nie internowano przed ich wygnaniem – ale losy tych, których zamykano w obozach, i tych, którym tego oszczędzono, nie różniły się aż tak znacznie. Przepisy mówiące o tym, że internowaniu nie podlegali młodzi i starcy, ciężarne kobiety oraz kalecy zazwyczaj ignorowano: w istocie większość zarówno wygnańców, jak i internowanych w obozach stanowiły kobiety i dzieci. Pewne świadectwa zdają się nadto dowodzić masowego i niewybiórczego charakteru obław, podczas których nie czyniono na ogół rozróżnienia na czynnych i biernych kolaborantów oraz osoby przeciwstawiające się wcześniej niemieckiej okupacji. W licznych przypadkach wyłapywano nawet ofiary reżimu nazistowskiego. Około 2–3 tysięcy więźniów czechosłowackich obozów stanowili Żydzi, którzy dawniej usiłowali uchronić się od antysemickich napaści, rejestrując się jako „Niemcy” podczas spisu powszechnego w 1930 roku. Aczkolwiek nielicznym z nich udało się, po mozolnych staraniach, uzyskać zwolnienie, pozostałych „zmuszano do noszenia białych opasek odróżniających Niemców; otrzymywali oni mniejsze racje żywności” i ostatecznie zostali deportowani do tego samego kraju, który w czasie wojny dążył do ich fizycznej likwidacji[37]. (Minister spraw

wewnętrznych Václav Nosek rozpętał małą międzynarodową burzę w lutym 1946 roku, kiedy oświadczył, że sam fakt, iż pewni Żydzi „ucierpieli nieco” z rąk nazistów, nie oznaczał jeszcze, że nie ulegali „germanizacji” w czasach I Republiki)[38]. To samo odnosiło się do ocalałych z wojny niemieckojęzycznych Żydów jugosłowiańskich, a także krewnych etnicznych Niemców, żołnierzy armii jugosłowiańskiej, poległych w walce z nazistowskimi najeźdźcami w 1941 roku[39]. Wśród prześladowanych znaleźli się również więźniowie polityczni, zamknięci przez całą wojnę lub jej część w niemieckich obozach koncentracyjnych, by ponownie podlegać uwięzieniu jako etniczni Niemcy po powrocie do domów po odzyskaniu wolności[40]. Pewien antyfaszysta, emigrant z kręgów Niemców sudeckich służący w RAF podczas wojny, informował, że jego towarzysze z partii socjaldemokratycznej z okolic jego rodzinnego miasta Podmokly (Bodenbach) zostali zamknięci w czterech zaimprowizowanych obozach przez ludzi z SNB (czechosłowackiej bezpieki), których określił zjadliwie jako „młodzików w mundurach przypominających esesowskie i w esesmańskich butach”[41]. Bywało, że i obcokrajowcy lądowali w obozach. Czeskie MSW uskarżało się w czerwcu 1945 roku, że zatrzymywano Szwajcarów rozmawiających ze sobą po niemiecku w miejscach publicznych[42]. Tak samo bez wyboru zamykano ludzi w okolicach Katowic w Polsce; los taki spotkał tam pewnego czternastolatka z Holandii – jego blond włosy i niebieskie oczy stanowiły dostateczny „dowód niemieckości” dla milicjantów, którzy zaaresztowali go w Gliwicach. Jak wyjaśniono temu młodzieńcowi przed uwięzieniem go w Świętochłowicach-Zgodzie, byłym podobozie Auschwitz III (obozie

w Monowicach), „prawdziwi” Holendrzy rzekomo mieli ciemne włosy i mówili po francusku[43].

Warunki panujące w obozach, choć niemal zawsze surowe i prymitywne, mimo wszystko czasami różniły się znacznie. Niekiedy nie próbowano nawet oddzielać etnicznych Niemców od innych kategorii internowanych. W obozie urządzonym na parkingu samochodowym w praskiej dzielnicy Smíchov przetrzymywano zarówno niemieckich jeńców wojennych, jak i kobiety oraz dzieci (paradoksalnie w obozach wydzielonych wyłącznie dla jeńców, chronionych zgodnie z wymogami Konwencji Genewskiej, panowały warunki zdecydowanie lepsze niż w tych dla internowanych cywilów). W Potulicach – czyli byłym niemieckim obozie koncentracyjnym Potulitz koło Bydgoszczy – zostali osadzeni nie tylko jeńcy i etniczni Niemcy, ale także „niepewni politycznie” Polacy, w tym byli członkowie Armii Krajowej oraz żołnierze walczący w składzie wojsk brytyjskich w czasie II wojny światowej[44]. Jaworzno, były podobóz kompleksu obozowego Auschwitz, stało się miejscem odosobnienia znacznej liczby przedstawicieli mniejszości ukraińskiej i niemieckiej, przy czym surowiej traktowano tych pierwszych. Chociaż rodziny bywały często rozdzielane, a młodsze dzieci posyłano czasem do sierocińców lub domów dziecka, skąd po adopcji trafiały do rodzin zastępczych, to w wielu obozach przebywali internowani obojga płci i w każdym wieku. Jednak powstało też sporo obozów dziecięcych: w byłym kacecie w Bolesławcu (Bunzlau), podobozie Gross-Rosen (Rogoźnicy) w Polsce, trzymano grupę około 1200 chłopców w wieku od 12 do 15 lat, których wykorzystywano w roli robotników przymusowych przy budowie dróg[45]. Z 95 młodocianych więźniów dziecięcego obozu w Českich

Křídlovicach w Czechosłowacji w lipcu 1947 roku jedna trzecia nie miała nawet sześciu lat[46].

Trudna okazuje się kwestia precyzyjnej kategoryzacji tych ośrodków odosobnienia[47]. Z jednej strony odpowiedni wydaje się termin „obozy koncentracyjne” – i to nie tylko dlatego, że początkowo był stosowany bez żenady na ich określenie przez władze czechosłowackie i polskie[48], ale również z tego powodu, że w niektórych z nich, takich jak Linzervorstadt, zarządzanym przez Wenzela Hrnečka, świadomie dążono do możliwie najwierniejszego odtworzenia warunków panujących w niemieckich kacetach. Niewiele różnic można dostrzec pomiędzy takimi obozami a licznymi „obozami internowania”, do których, wedle oficjalnych deklaracji, trafiać miały na przesłuchania osoby podejrzane o kolaborację z nazistami[49]. Wobec domniemanej winy internowanych reżim ustanawiany w placówkach tego rodzaju był surowy. Z kolei warunki w „obozach pracy” bywały rozmaite. Część uwięzionych tam miała długie wyroki, za rzeczywiste lub rzekome przestępstwa; siedzieli też technicy i fachowcy, o umiejętnościach uznawanych za niezbywalne, którym zapewniano pewne przywileje, zwłaszcza większe przydziały żywności, w porównaniu z wieloma uwięzionymi Volksdeutschami. Większość stanowili jednak zwyczajni cywile, najmowani przez miejscowych pracodawców za minimalne gaże, przeznaczane na utrzymanie obozu. Zasadniczo pobyt w obozach „zbiorczych” czy też „przesiedleńczych” w pobliżu stacji kolejowych, gdzie przeciętnie spędzało się stosunkowo krótkie okresy, wiązał się – głównie właśnie ze wspomnianego powodu – ze względnie najmniejszym ryzykiem[50]. Zdarzało się jednak, iż z powodu zatłoczenia wygnańcy musieli w takich zbiorczych obozach oczekiwać tygodniami lub nawet

miesiącami na wyjazd. Obozowiska takie często były urządzone jeszcze bardziej prymitywnie od licznych obozów pracy czy internowania, wskutek czego śmiertelność wynikająca z chorób zakaźnych, skutków niedożywienia oraz chłodu, zwłaszcza w zimie, przewyższała tę w surowiej zarządzanych obozach dla internowanych.

Mimo wszystko w bardzo licznych przypadkach oficjalne nazwy nadawane rozmaitym typom obozów miały znaczenie bardziej teoretyczne niż realne. Za typową ilustrację posłużyć może ośrodek odosobnienia w Mirošovie koło Pilzna, uruchomiony 12 maja 1945 roku. Aż do sierpnia obowiązywała oficjalna nazwa „obóz koncentracyjny w Mirošovie" (*koncentrační tábor Mirošov*), uwieczniona choćby na pieczątkach, jakimi opatrywano stosowną dokumentację. Potem przemianowano to miejsce na „obóz zbiorczy", acz w MSW uważano je za „obóz internowania". W każdym razie w trakcie istnienia Mirošova jego przeznaczenie pozostawało niezmienne: przetrzymywano tam okolicznych cywilnych Sudetendeutschów, wykorzystując ich do prac przymusowych aż do czasu ich deportacji, chyba że – co zdarzało się często ze starszymi więźniami – umierali z głodu lub chorób jeszcze przed wydaleniem z kraju. W okresie, gdy obowiązywała nazwa „obóz koncentracyjny", co siódmy z uwięzionych w Mirošovie nie przekroczył 14. roku życia, a 45 nie ukończyło nawet sześciu lat[51].

W całej środkowej Europie egzekucje, tortury zadawane przez obozową załogę i śmierć z wygłodzenia oraz z powodu uleczalnych – w normalnych warunkach – schorzeń zakaźnych w znacznie większym stopniu zagrażały osobom uwięzionym w roku 1945 niż w następnych latach. To z kolei było skutkiem zaniedbań bądź nieefektywności jakiegokolwiek odgórnego nadzoru

nad obozami i powierzenia zarządu nad nimi osobom, celnie określonym przez brytyjskiego ambasadora w Pradze mianem „młodocianych zbirów”[52]. Obóz w Świętochłowicach-Zgodzie (Schweintochlowitz), gdzie w lutym 1945 roku niemal od razu miejsce żydowskich więźniów zajęli więźniowie niemieccy, stanowił jeden z najwymowniejszych przykładów na konsekwencje takiej praktyki. Dwudziestoletni komendant tego obozu, oficer polskiej bezpieki (UB) Aleksy Krut, kierował personelem w wieku od 17 do 23 lat[53] i zaprowadził system zorganizowanego i zajadłego maltretowania internowanych, nie skrywając nawet zamiaru doprowadzenia w ciągu pięciu miesięcy do tego, czego nazistom nie udało się urzeczywistnić w tym obozie w trakcie pięciu lat. Kiedy w maju miejsce Kruta zajął jego zastępca Salomon Morel, starszy odeń o zaledwie sześć lat, cel taki prawie został osiągnięty. Za sprawą bezprzykładnego fizycznego znęcania się – więźniowie, dręczeni przez strażników i nadzorców, byli zmuszani przez personel obozu do bicia się nawzajem – braku pożywienia, przepracowania i epidemii tyfusu wśród internowanych, której skutki Morel mógł świadomie nasilić, zmarło znacznie powyżej jednej trzeciej spośród 5 tysięcy więźniów do czasu zamknięcia tego obozu przez Urząd Bezpieczeństwa w Katowicach w listopadzie 1945 roku[54].

Wysoka śmiertelność w Świętochłowicach nie była bynajmniej niczym nadzwyczajnym. W obozie w Mysłowicach, na zachód od Jaworzna, odnotowano 2227 zgonów od 6 marca 1945 do końca owego roku, to jest w czasie zarządzania nim przez nieporadnego dwudziestoletniego komendanta Tadeusza Skowyrę. Jak zwraca uwagę Wacław Dubiański, liczba ta była najprawdopodobniej zaniżona, gdyż nie uwzględnia tych, którym nie wystawiono aktów zgonu, a także więźniów,

którzy zginęli w wielu podobozach Mysłowic[55]. W obozie w Zimnych Wodach (Kaltwasser) odnotowano 265 przypadków śmierci w ciągu 10 dni na przełomie marca i kwietnia 1945 roku; w grudniu Urząd Stanu Cywilnego w Bydgoszczy wydał polecenie, by nie wprowadzać zgonów w Zimnych Wodach do oficjalnego rejestru, wobec faktu, że taka informacja mogłaby niepotrzebnie zwrócić uwagę zagranicy i ukazać polskie obozy „w negatywnym świetle”[56]. W obozie w Łambinowicach, którego komendant Czesław Gęborski miał 21 lat w chwili wyznaczenia go na to stanowisko, od 40 do 50 więźniów zastrzelono podczas jednego dnia w październiku 1945 roku, a łącznie do momentu rozwiązania tego obozu w 1946 w roku straciło tam życie prawie 6500 ludzi[57].

Charakterystyczną cechą powojennego systemu obozowego było rozpowszechnienie gwałtów, a także zrytualizowanego seksualnego upokarzania i karania więźniarek. Kobiety, które przeżyły niemieckie obozy koncentracyjne, wspominały, że pomimo panującego tam nieokiełznanego okrucieństwa przenikającego wszelkie aspekty obozowej codzienności, gwałty lub inne formy seksualnego maltretowania przez straże zdarzały się nader rzadko, a w przypadku ich wykrycia były surowo karane[58]. Dla odmiany po wojnie Czerwony Krzyż odnotował, iż seksualne wykorzystywanie więźniarek przez ich oprawców stało się procederem wszechobecnym i nagminnym. Opinia taka znalazła potwierdzenie u bezstronnych obserwatorów z Czechosłowacji i Polski[59]. Zagraniczny obserwator, wizytujący dwa czeskie obozy w sierpniu 1945 roku, odnotował, że w pierwszym z nich kobiety „są traktowane jak zwierzęta. Rosyjscy i czescy żołnierze szukali tam kobiet – łatwo sobie wyobrazić, w jakich celach. Warunki, w jakich znalazły się te kobiety,

są zdecydowanie gorsze od tych w niemieckich obozach koncentracyjnych, gdzie przypadki gwałtów zdarzały się rzadko". W drugim organizowano nocne orgie, podczas których „15 dziewcząt oczekuje na przybycie gości"; czescy i radzieccy żołnierze „wybierają najładniejsze z nich, często przepadają one bez śladu"[60]. Jean Duchosal, sekretarz generalny MKCK, donosił, że dziewczęta często gwałcono w obozie w Matejovicach na Słowacji, który wizytował w listopadzie 1945 roku, a bicie więźniarek było tam na porządku dziennym[61]. To samo działo się w Patrónce[62]. Armia brytyjska otrzymała kilka niezależnych raportów o tym, że straże z obozu pracy w Ridicy, podobozu podległego temu z Somborze w jugosłowiańskiej Baczce, chętnie wpuszczali tam „żołnierzy i inne osoby chcące się «zabawić»" w podobny sposób[63].

Seksualne wykorzystywanie więźniarek było równie powszechne w Polsce. Obóz w Jaworznie, jak wykazało parę oficjalnych inspekcji przeprowadzonych w maju i sierpniu 1945 roku, działał na zasadzie „haremu" dla złożonej ze 170 milicjantów załogi, którzy zwyczajowo, jak meldował Antoni Białecki z miejscowego UB, „po nocach prowadzili pod groźbą użycia broni Volksdeutschki do domów i tam je gwałcili"[64]. W Potulicach, jednym z największych polskich obozów dla niemieckich internowanych, seksualne upokarzanie więźniarek stało się pod koniec 1945 roku zbiorową praktyką. Nowym więźniom i więźniarkom golono głowy i całe ciało, rzekomo z powodów higienicznych. „W tym celu kobiety musiały kłaść się na dwóch stołkach i rozchylać nogi tak szeroko, by można było usunąć owłosienie. Golenie przeprowadzali mężczyźni, a całej tej procedurze przyglądali się polscy urzędnicy i milicjanci". Biciem w czasie nocnych inspekcji, zwanych „kontrolami", karano, „o ile się dało, nagie więźniarki. Jeśli kobieta

cierpiała poważnie w czasie swoich dni [menstruacji] i prosiła, żeby tym razem nie bić jej tak mocno, mężczyźni kazali jej to udowodnić, i nie pozostawało nic innego, jak to zrobić, jeżeli nie chciała być dotkliwie zbita". Organizowano karne grupy, a więźniowie bywali zmuszani do symulowania stosunku płciowego z więźniarkami ku uciesze obozowych straży[65]. Niektóre z wymierzanych kar cielesnych pozostawiały straszliwe obrażenia. Pewien więzień z Potulic był świadkiem, jak ofiarę zmuszono do siedzenia na nodze odwróconego stołka w taki sposób, że cały ciężar jej ciała spoczywał na jej kroczu. Skutkiem takich sadystycznych kar były poważne rany, w tym także okolic genitalnych i analnych[66]. Także w Czechosłowacji w raporcie praskiej policji z czerwca 1945 roku znalazła się wzmianka o tym, że członkowie Gwardii Rewolucyjnej mieli zwyczaj „obnażania części kobiecego ciała i przypalania ich ognikami papierosów"[67].

Seksualne znęcanie się i torturowanie więźniów płci męskiej też nie należało do rzadkości – czasami zmuszano ich do odbywania aktów seksualnych między sobą. Z reguły jednak wiarygodne relacje o gwałtach dokonywanych na mężczyznach opisują przypadki narastającego okrucieństwa, często kończącego się śmiercią ofiary, aniżeli rodzaj ciągłego i systematycznego wykorzystywania, jakiemu poddawano wiele więźniarek. Kopanie, zadawanie ciosów i obijanie różnymi przedmiotami okolic genitalnych więźniów było wszak tak rozpowszechnione, że niemal nie zwracano na nie uwagi. Nie trzeba uciekać się do głębokich freudowskich interpretacji, aby dopatrzyć się we wszystkich tych podszytych zwyrodniałym seksem formach przemocy pragnienia młodocianych mężczyzn, by poprzez takie patologiczne przejawy „męskości", odreagować

upokorzenia doznane w trakcie niemieckiej okupacji podczas wojny.

W większości obozów, bez względu na to, do jakiej kategorii je oficjalnie zaliczano, więźniowie mieli pokrywać koszty internowania albo pracą fizyczną, albo też, co zdarzało się częstokroć, płacąc rodzaj okupu – pobieranego zwłaszcza od uwięzionych, którzy mieli krewnych w Niemczech bądź w Austrii. Brytyjscy obserwatorzy wojskowi odnotowali w 1947 roku istnienie „bardzo konkretnej organizacji", utworzonej przez jugosłowiańskie władze „zajmującej się wyprowadzaniem ludzi z obozów i przerzucaniem na Węgry za opłatą. […] To oczywiste, że Jugosłowianie aprobują tę metodę pozbywania się swoich Volksdeutschów i pewnie uznają ją za bardzo dochodową"[68]. Częściej jednak zarządcy obozów polegali na wpływach z pracy wykonywanej przez więźniów. W istocie i w Polsce, i w Czechosłowacji populacja niemieckich więźniów stała się ważnym elementem w rozchwianej powojennej gospodarce, a więźniowie byli zatrudniani za grosze przez lokalne władze oraz przedsiębiorców z sektora prywatnego. Najczęściej zawierano typowe umowy, do kontraktów tego rodzaju należała umowa z października 1945 roku między starostą Wyrzyska a zarządem obozu w Potulicach. Zgodnie z jej warunkami starosta korzystał z pracy 25 Niemców przez dwa miesiące, za półtora złotego dziennie (równowartość ówczesnych trzech amerykańskich centów) plus 15 procent opłat administracyjnych. Zatrudniający brał odpowiedzialność za karmienie i pilnowanie więźniów oraz za zapewnienie im noclegu, ponosił też koszty ewentualnych wypadków i opieki medycznej; miał zadbać o transport więźniów z i do obozu i pokrywać straty, jakie wynikłyby na skutek ucieczek. Zarząd obozu zastrzegał

sobie prawo do zabierania więźniów z pracy i przeprowadzania w dowolnym czasie niezapowiedzianych inspekcji. Postanowienia dotyczące korzystania z siły roboczej obozu w Mirošovie w Czechosłowacji były uderzająco podobne. Tamże za najmowanych do pracy więźniów płacono stawki godzinowe (3,60 czeskich koron za mężczyznę, 3 korony za kobietę) albo dzienne (11 koron za dzień pracy więźnia, a 8,20 koron za dniówkę więźniarki). Zatrudniający zobowiązywał się, że tydzień roboczy nie przekroczy 98 godzin, oraz do odstawiania uwięzionych z powrotem do obozu po skorzystaniu z ich pracy. Umowa wykluczała zawieranie prywatnych umów między pracodawcą a więźniem – to jest podnajmowanie go do pracy dla innych, zapewnianie mu odpoczynku czy też innych przywilejów – bez zgody władz obozowych[69]. Korzyści z takich kontraktów czerpane były również przez władze centralne, a czechosłowackie MSW wydało zarządzenie, zgodnie z którym 20 procent dochodów brutto z pracy więźniów należało odprowadzać do skarbu państwa[70]. Jednak częstokroć pracodawcy nie płacili, argumentując, że dostarczani im robotnicy byli zbyt starzy, schorowani lub niedożywieni, by wydajnie pracować; spory tego rodzaju czasami kończyły się w sądach[71].

Warunki, w jakich internowani z brygad roboczych pracowali i mieszkali, bywały rozmaite. Niektórzy z więźniów co rano udawali się pieszo do pracy i wracali późno wieczorem, przebywając na terenie obozu tylko na czas noclegów i dwukrotnych codziennych apeli. Inni znowu pracowali w obozowych warsztatach. Zatrudnieni w wiejskich gospodarstwach czasami spędzali całe miesiące lub nawet lata u tych samych rolników, zżywając się z członkami ich rodzin; bywało, że sąsiedzi donosili władzom na takich niewolników-parobków, twierdząc, iż nie

przykładają się do pracy. Na przykład w sierpniu 1945 roku Bohumil Pechman z okręgowej rady narodowej w Terešovie poskarżył się lokalnej SNB (bezpiece) na dwóch pracodawców, którzy, jego zdaniem, zanadto dokarmiali więźniów, oraz na dwóch inni, którzy zezwalali przydzielonym im robotnikom na wyjazdy bez nadzoru[72]. Ale więźniom pracującym w państwowych przedsiębiorstwach, zwłaszcza w kopalniach lub w znacjonalizowanych gospodarstwach rolnych, często powodziło się dużo gorzej. Ignacy Cedrowski, lekarz obozu w Potulicach w latach 1945–1948, nie był znany z troski o zdrowie więzionych podopiecznych – co można było zrozumieć, gdyż sam przeżył oświęcimski kacet, a cała jego rodzina zginęła podczas Holokaustu. Nawet on był wstrząśnięty zabójczym często trybem pracy, jakiemu poddawano niemieckich robotników w państwowych gospodarstwach rolnych w województwie pomorskim w 1946 i 1947 roku. Jak informował, w niektórych wypadkach kierownictwo tych gospodarstw ukrywało chorych Niemców przed inspektorami służby sanitarnej z obawy przed utratą półdarmowej siły roboczej. Do 200 więźniów upychano w takich gospodarstwach w pojedynczych, ciasnych pomieszczeniach mieszkalnych.

> Ci więźniowie zajmują nieodpowiednie izby, sypiając na ziemi albo na mierzwach cuchnącej słomy, nie mając ani mydła, ani proszku pralniczego do mycia i prania, pracując od wczesnego rana do późnej nocy bez żadnych wolnych dni, i nie pozostawia im się czasu na uporządkowanie swoich siedzib, przepierkę i mycie. Stopień zawszenia sięga 60 procent, a gdzieniegdzie nawet 100 procent. Brakuje im opieki medycznej

i higienicznej. Więźniowie cierpią z powodu niewyobrażalnego świądu[73].

Nie we wszystkich obozach warunki bytowe były aż tak złe, a zagraniczni obserwatorzy oraz sami więźniowie wspominali o przypadkach, kiedy obozowi komendanci lub strażnicy w miarę swoich skromnych możliwości dokładali wszelkich starań, by zapewnić uwięzionym godne traktowanie – nierzadko nawet kosztem swoich karier[74]. Jednak wspólnym elementem życia w większości obozów, niezależnie od kraju, w którym się znajdowały, było dostarczanie więźniom tak małych ilości pożywienia, że w czasie całego pobytu za drutami nie tylko cierpieli na niedożywienie, ale wręcz głodowali. Pracownicy Czerwonego Krzyża, badający ten problem szczegółowo, stwierdzili, że w Czechosłowacji wydane drukiem przepisy dotyczące dietetycznych norm wyżywienia internowanych nagminnie ignorowano, z jawnym przyzwoleniem, o ile nie wskutek nacisków tych samych władz, które owe regulacje wydawały[75]. Choć minimalne dzienne zapotrzebowanie dla dorosłego człowieka niepracującego fizycznie, wymagane dla utrzymania masy ciała, zostało określone na 2000 kalorii, to, jak ustalił Pierre W. Mock, szef delegacji MKCK przybyłej do Bratysławy, w trzecim tygodniu października 1945 roku wartość energetyczna pożywienia przypadającego na więźnia obozu Petržalka I wynosiła średnio 664 kalorii; kiedy Mock wizytował ten obóz ponownie w ostatnim tygodniu grudnia, spadła ona do 512 kalorii. Dzienna racja żywności – rano erzac kawy bez jakiejkolwiek wartości kalorycznej. Wodnista zupa jarzynowa i 100 gramów chleba w południe oraz kolejna kawa zamiast kolacji wieczorem – nie była czymś nietypowym i dla innych tego rodzaju ośrodków

odosobnienia. I, jak zauważył Mock, w obozie Petržalka I sytuacja nie była jeszcze taka zła, w Novákach, poniemieckim obozie koncentracyjnym, gdzie zamknięto ponad 5 tysięcy ludzi, w tym 250 małych dzieci, 33 inwalidów oraz 13 kobiet ciężarnych i karmiących matek, więźniom wydawano zaledwie 18 litrów mleka i po 100 gramów chleba, w dodatku zaledwie dwa lub trzy razy tygodniowo. Nominalną porcję 100 gramów chleba, dawanego więźniom w obozie Trnávska Cesta (w Bratysławie), Mock zważył i okazało się, że w rzeczywistości miała 45 gramów; zupa, której przypatrzyli się inspektorzy Czerwonego Krzyża, „miała wygląd letniej, brudnej, wodnistej lury, do niczego niepodobnej i niczego niezawierającej”[76]. Wyżywienie w lazarecie obozu Selmovska dla niemieckich internowanych cierpiących na choroby zakaźne było nieco lepsze, a dzienna jego racja miała 800 kalorii; mimo to, jak zauważył lekarz z MKCK, większość tamtejszych pacjentów miała objawy wyniszczenia – schorzenia, w którym sam organizm „zjada” długie mięśnie ramion i nóg, starając się podtrzymywać życie – wskutek czego dotknięci nim obozowi więźniowie wyglądali jak szkielety i ważyli przeciętnie po 30–40 kilogramów[77]. Także w Polsce, w Jaworznie, zupę wydawaną więźniom inspektor okręgowego urzędu bezpieczeństwa określił jako „samą wodę”; tenże inspektor stwierdził, że znacznych ilości prowiantu nie wydawano internowanym „na rozkaz komendanta obozu”. Śmiertelność, jak ustalił, sięgała poziomu „około 50 zgonów na miesiąc w rezultacie takiego zmniejszenia racji żywności”[78]. W Oświęcimiu (Auschwitz I), w oficjalnym raporcie sporządzonym wkrótce po ponownym uruchomieniu tego obozu jako ośrodek internowania Volksdeutschów napisano, że „więźniowie nie

otrzymują żadnego jedzenia, a głód stale się wzmaga. Żywią się prowiantem przysyłanym im z domów”[79].

Najgorzej było w obozach w Jugosławii. Brytyjska ambasada w Belgradzie, której udało się latem 1946 roku doprowadzić do wypuszczenia na wolność pewnej Kanadyjki z podwójnym obywatelstwem, donosiła, że racje żywności w obozie pracy w Ridicy, gdzie tę kobietę najpierw przetrzymywano, „składały się z wodnistej zupy i 200 gramów kukurydzianego chleba, twardego jak kamień, który trzeba było moczyć w wodzie, żeby nadawał się do zjedzenia. […] Pod koniec stycznia [Kanadyjka] została przeniesiona do obozu internowania w Kruševlje, gdzie praca nie była przymusowa, wobec czego na pożywienie składały się dwie łyżki kukurydzianej papki dziennie i nic poza tym. W owym obozie śmiertelność, zwłaszcza wśród dzieci, wynosiła aż 200 zgonów na dobę”. Ambasada odnotowała, że relacja ta zgodna była z raportami napływającymi z różnorodnych źródeł o innych jugosłowiańskich obozach dla Volksdeutschów[80].

Kiedy pozarządowe organizacje charytatywne i humanitarne składały protesty na ręce władz zarządzających tymi obozami, otrzymywały niezmienną odpowiedź, że sytuacja żywnościowa jest wyjątkowo trudna w całym kraju, a więźniowie nie mają mniej jedzenia od miejscowej ludności cywilnej[81]. O ile pierwsze z tych zapewnień niewątpliwie można uznać za słuszne, zwłaszcza w odniesieniu do Polski i Czechosłowacji, choć też nierzadko przeczyło innym oficjalnym deklaracjom[82], o tyle nie było prawdy w drugim z nich. Wprost przeciwnie, przynajmniej w latach 1945–1946 władze, którym podlegały obozy, celowo nie dążyły do zwiększenia racji prowiantu dla internowanych niemieckich cywilów, bez względu na sytuację żywnościową. Pewien pracownik społeczny,

usiłujący doprowadzić do złagodzenia tego, co było najgorsze w czechosłowackim systemie obozowym, poufnie doradził brytyjskiemu MSZ w lutym 1946 roku, że nie miało sensu organizowanie zagranicznej pomocy aprowizacyjnej, choćby nawet tylko dla kobiet i dzieci z grona Sudetendeutschów, gdyż czechosłowacki rząd nie dopuści do tego, by przysłana żywność trafiła do tych osób[83]. Czerwony Krzyż uznał taką opinię za uzasadnioną, dowiedziawszy się, że niczego z 4,5 tony żywności dostarczonej na krótko przed Bożym Narodzeniem 1945 roku do obozu w Hagiborze, gdzie z niedożywienia umierało dziennie średnio po trzech więźniów, ci ostatni nie dostali[84]. (To samo działo się z przysyłanymi medykamentami, których, według doktora Nováka z czechosłowackiego MSW, z inicjatywy samych czeskich władz, nie dostarczano „elementom szowinistycznym” uwięzionym w obozach[85]. Głód panował też w Mirošovie, gdzie wyniszczenie stanowiło przyczynę ponad połowy zarejestrowanych oficjalnie zgonów w pięciomiesięcznym okresie od maja do października 1945 roku, a także w obozie Hradištko opodal Pragi, w którym strażnik odpowiedzialny za wydawanie żywności poinformował przybyłego pracownika Czerwonego Krzyża, iż niedostateczne racje prowiantu wydawane są zgodnie z zarządzeniami i nie można ich zwiększyć, i że tylko nieliczne czeskie dzieci (na wolności) „dostają dwa razy tyle [jedzenia], co ci Niemcy”[86]. Podobnie w Jugosławii inny obserwator z Czerwonego Krzyża stwierdził, iż przydziały żywności w czterech obozach internowania w Bački Jaraku, Filipovie, Gakowie-Kruševlje i Sekiciu (Lovćenacu), do których kierowano niezdolnych już do pracy więźniów z innych obozów, ustalono na tak niskim poziomie, że

musiało to prowadzić do śmierci, z „naturalnych” przyczyn, zamkniętych tam ludzi[87].

Niemal od początku stało się jasne dla obserwatorów, zarówno w krajach, gdzie znajdowały się obozy dla wysiedleńców, jak i na Zachodzie – by posłużyć się słowami Johna Colville’a, byłego sekretarza Winstona Churchilla, a w owym czasie wysokiego rangą urzędnika MSZ w Londynie – że „obozy koncentracyjne i wszystko to, co się z nimi wiązało, nie skończyły się wraz z klęską Niemiec”[88]. I tak jak wcześniej, w latach trzydziestych, względy natury politycznej oraz przekonanie, że więźniowie obozów sami sobie zgotowali własne cierpienia, przeciwdziałały jakiejkolwiek efektywnej reakcji.

Mimo że bezpośrednio po wojnie ze zrozumiałych przyczyn niewielu Europejczyków miało zamiar ronić łzy nad losem jakichkolwiek „Niemców”, bez względu na wiek, płeć czy narodowość ofiar, nie było tak, wbrew temu, co często utrzymywały rządy Czechosłowacji i Polski, że to powszechne odczucia miejscowej ludności krępowały poczynania polityków odpowiedzialnych za taki stan. Niektórzy, choćby komunistyczny publicysta Zdeněk Novák – były więzień Buchenwaldu – rzeczywiście wyrażali ponure zadowolenie z zasłużonego, jak sądzili, losu niemieckiej ludności. „Jakże długo sami bezsilnie siedzieliśmy za drutami kolczastymi? A teraz wracamy do domów, a w obozach koncentracyjnych pełno Niemców”[89]. Ale w wielu innych przypadkach na maltretowanie przedstawicieli niemieckiej mniejszości okoliczna ludność patrzyła z dezaprobatą i konsternacją. Philip Nichols raportował w czerwcu 1945 roku, że on sam i jego amerykański odpowiednik dostali wiele listów, „a we wszystkich wyrzekano gorzko na traktowanie Niemców […] [i na to], że Czesi postępują z Niemcami równie ostro, jak

Niemcy postępowali z Czechami oraz że to niezgodne z dokonaniami i zamierzeniami «ojca-wyzwoliciela, Masaryka»”[90]. Pułkownik John Fyfe, zastępca szefa sztabu amerykańskiego XXII Korpusu Armijnego stacjonującego w Pilznie, także informował, że „wielu dobrodusznych Czechów nieustannie donosi [dowództwu] XXII Korpusu o wszelkiego możliwego rodzaju wypadkach znęcania się [nad Niemcami]”[91]. Na Słowacji powiatowa rada narodowa w Kežmaroku domagała się od praskiego rządu zgody na przemieszczenie internowanych na ziemie czeskie, argumentując to tym, że miejscowa ludność „współczuje Niemcom”[92]. Niezwykła seria listów od czytelników, które opublikowano w czeskim czasopiśmie „Obzory” („Horyzonty”), organie prasowym katolickiej Partii Ludowej (ČSL), w listopadzie 1945 roku potwierdza te opinie[93]. W jednym z wcześniejszych numerów ukazał się ostrożny artykuł o warunkach panujących w jednym z obozów internowania dla etnicznych Niemców w pobliżu Pragi. I chociaż w „Obzorach” nie przypisywano zarządowi temu obozu żadnych mściwych intencji i uznawano, że rząd pragnie „uporać się jak najszybciej i możliwie honorowo z kwestią obozów koncentracyjnych”, to reakcja czytelników dowodziła, że czechosłowaccy obywatele nie mieli większych złudzeń co do rzeczywistej sytuacji w obozach i wyrażali gotowość otwartego mówienia i pisania o tym[94]. Pewien prawnik z Pragi ujął swoje osobiste obserwacje w formie tekstu, który można było wziąć za przytoczony słowo w słowo raport MKCK z przeprowadzonej inspekcji:

> Widziałem kilka obozów zbiorczych i uzyskałem wiarygodnie informacje z innych. […] W pomieszczeniu o wymiarach 4 na 6 metrów przebywa 50 ludzi, bez

> pościeli i wierzchnich okryć (te zostały im skonfiskowane, gdy znaleźli się w obozie). […] Wszystko jest zawszone. […] Pożywienie niewystarczające dla robotników, a tym bardziej dla ludzi wykonujących ciężkie prace fizyczne. Dostają co rano i wieczór czarną kawę bez cukru; w południe wodnistą zupę, nagotowaną na obierkach z ziemniaków i pomidorów. […] Występują przypadki tyfusu. Pilnowanie więźniów spoczywa na oddziałach SNB [bezpieki]. Kiedy 20 wycieńczonych i wymizerowanych więźniów wyrusza do pracy, eskortuje ich ośmiu do dziesięciu ludzi z SNB, krzepkich młodzieńców, oczywiście uzbrojonych w automaty. Z kolei jeśli jakaś chłopka przychodzi, żeby nająć do pracy kilku robotników, przydziela jej się dwóch więźniów, których sama przyprowadza potem z powrotem, nieuzbrojona[95].

Kilku korespondentów nie zawahało się przyrównać własnych reakcji na istnienie takich obozów do tego, co czynili przeciętni Niemcy w erze nazistowskiej. Pewien student napisał: „Nikt z nas nie może udawać, że nie wiemy, co się dzieje za wrotami więzień i obozów zbiorczych; a jednak prawie nikt nie powie głośno, że naród czeski nie jest w stanie znosić dłużej takiej zawstydzającej sytuacji. Milczymy, wciąż milczymy, tak jak milczeli Niemcy”[96]. Były więzień obozu oświęcimskiego wspominał, „jak, w obliczu najgorszych okrucieństw popełnianych przez Niemców, pocieszaliśmy się niegdyś, powiadając, «że tylko Niemcy są zdolni do takich rzeczy». Za nic na świecie nie uwierzyłbym, gdyby ktoś powiedział to samo o nas”[97]. A reakcja jednego z mieszkańców Pragi

stanowiła typową mieszankę złości i poważnego zaniepokojenia, odczuwanych przez wielu Czechosłowaków:

> Niech diabli wezmą Niemców! Podczas wojny zdziesiątkowali nasz naród, a teraz przez nich dochodzi do nowego skandalu. […] Niechaj nikt nie zdaje się na wymówkę, że Niemcy czynili to samo. Albo jesteśmy uprawnieni do tego, by ich sądzić, wobec czego nie wolno nam samym postępować tak jak oni, albo nie różnimy się od nich i nie mamy prawa ich osądzać[98].

O ile rządy krajów, które zakładały obozy dla wysiedleńców, nie potrafiły przekonać opinii publicznej o słuszności bezdusznego traktowania internowanych, o tyle sama zasada pozbawiania Volksdeutschów wolności, w odróżnieniu od jej realizacji, znajdowała gorliwe poparcie miejscowej ludności. I w Polsce, i w Czechosłowacji partie polityczny organizowały setki wieców, na których domagano się całkowitego wyeliminowania Niemców ze społeczeństw tych krajów; na jednym z nich, w powiatowym Kępnie, nawoływano do uwięzienia wszystkich Volksdeutschów, „niezależnie od ich zachowania w czasie okupacji”[99]. Leszek Olejnik wskazuje, że na taką postawę wpływały nie tylko antyniemieckie nastroje. Skoro dystrybucja niemieckich nieruchomości miała nastąpić dopiero po uwięzieniu ich dotychczasowych właścicieli, to większość ludności, która nierzadko straciła wszystko podczas wojny, uznawała masowe obławy na Niemców za nieodzowny krok ku powetowaniu własnych strat.

Do jesieni 1945 roku rządy państw zachodnich dostały tyle doniesień o łamaniu praw człowieka w obozach, iż wzbudziło to obawy, że tamtejsza opinia publiczna zacznie żądać zawieszenia bądź nawet zarzucenia planów przesiedleń. Obawy takie zapewne były nieuzasadnione:

ujawnienie warunków panujących w obozach z Czechosłowacji przez brytyjskiego dziennikarza Erika Gedye'a w gazecie „Daily Herald", organie prasowym rządzącej Partii Pracy, stanowiło wyjątek w tym sensie, że w ogóle zwróciło jakąkolwiek uwagę[100]. Mimo wszystko amerykańscy i brytyjscy przedstawiciele przebywający na miejscu, w krajach środkowo- i wschodnioeuropejskich, ostrzegali, że niefortunne wyrazy przejawów humanitarnej troski mogły doprowadzić do wzniecenia antyzachodnich nastrojów wśród ludności środkowej Europy wobec tego, co uznawano za powszechne miejscowe przyzwolenie na pozbawianie etnicznych Niemców wolności. Laurence Steinhardt, ambasador USA w Pradze, obawiał się, że wszelkie przejawy „faworyzowania niemieckiej ludności wobec naszych czeskich sojuszników mogą z czasem zaowocować w Czechosłowacji poważnymi konsekwencjami politycznymi, zwłaszcza w odniesieniu do walki między komunistami a umiarkowanymi [politykami] o panowanie w tym kraju"[101]. Gdy Philip Nichols, zaniepokojony otrzymywanymi raportami o sytuacji bytowej w obozach, zdobył się na to, by upomnieć Beneša, że było „ważne, aby nasza opinia publiczna, która, czego jestem pewien, obecnie skłania się stanowczo ku radykalnym rozwiązaniom kwestii mniejszości, nie zmieniła zdania pod wpływem historii o okrucieństwie Czechów itp.", Orme Sargent z MSZ ostrzegł go, iż „w tym względzie łatwo można z Czechami przedobrzyć i musimy wykazać ostrożność, ażeby nie uznali nas za zanadto miękkich wobec Niemców"[102].

Takie twarde postanowienie państw Zachodu, by „nie dostrzegać zła" – w październiku 1946 roku brytyjski ambasador Victor Cavendish-Benrinck w trakcie wizyty w Szczecinie nie chciał rozmawiać z internowanymi

Niemcami, mówiąc swoim polskim gospodarzom, że „jest przekonany, iż oni zazwyczaj narzekają”[103] – okazywało się coraz trudniejsze do utrzymania. Od końca wojny Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża (MKCK) podejmował niestrudzenie wysiłki, aby uzyskać dostęp do obozów. I choć zaproponowane rozciągnięcie postanowień Konwencji Genewskiej na cywilne ofiary konfliktu zbrojnego nie zostało przyjęte po wybuchu II wojny światowej, to rządy Niemiec, Włoch i zachodnich aliantów uzgodniły, że internowanym cywilom należy zapewniać warunki zbliżone do tych, jakie mieli jeńcy wojenni. Po wojnie zgody na to już nie było. Rząd rumuński, który początkowo zezwalał na inspekcje ekip Czerwonego Krzyża w swoich obozach dla internowanych Volksdeutschów, zabronił tego w marcu 1945 roku[104]. Rząd w Pradze, gdzie oficjalnie uznawana delegacja MKCK działała przez całą wojnę, obiecał pod koniec maja 1945 roku, że pracownikom Czerwonego Krzyża umożliwili się wizytację wszystkich ośrodków odosobnienia dla Sudetendeutschów, lecz z owej obietnicy też rychło się wycofano[105]. Tylko na Słowacji, gdzie przewodniczący Słowackiej Rady Narodowej zapewnił delegatowi MKCK możliwość niezapowiedzianego odwiedzania każdego obozu, Czerwony Krzyż mógł pełniać swoją misję. Na ziemiach czeskich działaczom tej organizacji pozwalano przeprowadzać wizyty tylko w towarzystwie wyższego rangą urzędnika MSW odpowiedzialnego za zarządzanie obozami, którego uprzednio należało powiadomiać o każdej planowanej inspekcji. W maju 1946 roku zostało zniesione nawet takie minimalne udogodnienie. Jugosłowiański Czerwony Krzyż, podporządkowany raczej miejscowym władzom aniżeli nominalnie nadrzędnej organizacji, zapewniał MKCK w Genewie, że 11 „kolonii roboczych”, których istnienie

przyznawał, rzekomo miało być tak doskonale zarządzanych przez rząd jugosłowiańskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki, że żadne ulepszenia, a już na pewno inspekcje, nie wchodziły w rachubę[106]. Polskie władze od samego początku bezapelacyjnie odrzucały wszelkie prośby, składane przez MKCK albo przez zachodnich reporterów, o umożliwienie obejrzenia obozów, a choć Polski Czerwony Krzyż był nieco bardziej bezstronny w kwestii niemieckich internowanych od swojego jugosłowiańskiego odpowiednika, to „nie miał prawie żadnego wpływu w pewnych regionach, przede wszystkim na Dolnym Śląsku”[107]. Ponadto PCK przeznaczył już większość posiadanych zasobów na roztoczenie opieki nad osadnikami wysiedlanymi z Kresów Wschodnich, którzy przybywali, często w godnym politowania stanie, na Ziemie Odzyskane, a także nad Polakami ocalałymi z nazistowskich obozów koncentracyjnych[108]. Jeśli nawet była wola udzielenia pomocy niemieckim więźniom z obozów internowania, to brakowało środków.

Pomimo wszelkich przeszkód i wbrew zastrzeżeniom ze strony członków kierownictwa własnej organizacji[109] pracownicy MKCK nie ustawali w wywieraniu nacisków na rządy w kwestii stanu, w jakim znajdowały się obozy. Walter Menzel, szef delegacji MKCK w Pradze, ostrzegł czechosłowackiego ministra spraw zagranicznych Jana Masaryka w lutym 1946 roku, że „nie dawałoby mi spokoju sumienie, gdybym dalej milczał na temat warunków panujących w obozach z Czechosłowacji”[110]. Kilka miesięcy wcześniej Menzel poufnie poinformował brytyjskiego ambasadora o „haniebnych warunkach w obozach dla niemieckich cywilów na Słowacji”. Jednak, podobnie jak to się działo w czasie II wojny światowej – a co później wielce krytykowano[111] – MKCK rzadko dzielił się

taką wiedzą z osobami postronnymi. Z obawy przed tym, że jego raporty mogłyby zostać wykorzystane w celach propagandowych w narastającym konflikcie ideologicznym między Wschodem a Zachodem, Czerwony Krzyż na ogół nie ujawniał zebranych szczegółowych danych o naruszaniu praw człowieka, zwłaszcza jeśli uważał za możliwe doprowadzenie do poprawy zaistniałej sytuacji, oddziałując na rządy za pomocą zakulisowej dyplomacji[112].

Z tego samego powodu, gdy nasilała się zimna wojna, a perspektywy wywierania jakiegokolwiek realnego wpływu przez Zachód na kraje środkowej i południowo-wschodniej Europy malały, rządy brytyjski i amerykański odniosły się z nowym współczuciem do tych, których wcześniej określały mianem kolaborantów i dywersantów. Współczucie to wszakże nie było na tyle duże, by zaoferować internowanym azyl w okupowanych przez Anglosasów zachodnich strefach okupacyjnych w Niemczech czy Austrii, gdzie już ledwie sobie radzono z gigantycznym napływem wygłodzonych, pozbawionych środków do życia, często schorowanych i na ogół nieproduktywnych Volksdeutschów. Kiedy brytyjska ambasada w Belgradzie zaznaczyła: „Uważamy, że wszyscy ci [przebywający] teraz w jugosłowiańskich obozach koncentracyjnych nie mogą być winni wielkich zbrodni, szczególnie kobiety i dzieci” i zasugerowała alianckim rządom, że pomimo nieobjęcia jugosłowiańskich Volksdeutschów planem poczdamskim, powinno się ocalić im życie za sprawą „skłonienia Jugosłowian do deportowania ich do Niemiec”, wydział niemiecki MSZ przestrzegł przed „wszelkimi skłonnościami do wykazywania zbytniej aktywności w tej sprawie. Wobec trudności żywnościowych jest niemal pewne, że nie zechcemy przyjąć kolejnych Niemców w naszych strefach

[okupacyjnych] i nie chcemy robić wrażenia, iż jesteśmy gotowi to uczynić”[113]. Chociaż od czasu do czasu nadal zwracano uwagę na humanitarny aspekt, a brytyjska ambasada w Belgradzie protestowała latem 1946 roku, że „nieskrępowane likwidowanie i morzenie głodem” jugosłowiańskich Volksdeutschów „trzeba uznać za obrazę ludzkości”, i uprzedzała, iż „jeśli [Niemcy] będą musieli przetrwać tu kolejną zimę, to bardzo niewielu ich pozostanie”, brytyjskie MSZ zamiast tego nakłaniało jugosłowiańskie władze do podjęcia kroków w celu zahamowania dalszego napływu Volksdeutschów do zachodnich stref okupacyjnych[114].

Wobec niemożności uzyskania jakiejkolwiek formy pomocy niektórzy brytyjscy dyplomaci i politycy pokładali nadzieje w kampanii informacyjnej. „Warunki, w jakich bytują Niemcy w Jugosławii – donosiła ambasada brytyjska w depeszy skierowanej do wszystkich członków gabinetu Attleego – wydają się o wiele gorsze od tego, co stanowiło normę w Dachau”[115]. Niewiele było do stracenia, gdyby przedstawiono te fakty opinii publicznej, jak utrzymywał personel owej ambasady, „gdyż jest raczej niemożliwe, aby pogorszyło to położenie tych, którzy pozostają w tych obozach”[116]. W Londynie zamysł „wytknięcia palcem i skompromitowania” Jugosłowian znalazł pewne poparcie. Jednak konkretne działania nie zostały podjęte, a propozycję tę ostatecznie odrzucono w obliczu obaw Departamentu Stanu USA, że doprowadziłoby to do pogorszenia relacji z rządem Tity, do sprzeciwu brytyjskich władz okupacyjnych w Austrii oraz domniemanej obojętności zachodniej prasy wobec wszelkiego rodzaju makabrycznych historii.

Jak miały wykazać późniejsze wypadki, dobrze pokierowana kampania prasowa przeciwko systemowi

europejskich obozów mogła jednak wywrzeć pewien skutek, jeśli nie w Jugosławii, to przynajmniej w Czechosłowacji i Polsce. We wrześniu 1946 roku wybitny brytyjski parlamentarzysta i przyszły minister w rządzie Attleego Richard Stokes odwiedził Czechosłowację i zdołał na krótko zawitać w obozach w Moście, Uściu nad Łabą, Hagiborze i Litoměřicach. Po powrocie opublikował w gazecie „Manchester Guardian" długi list, w którym szczegółowo opisał to, co zobaczył, w tym wielce niepokojący fakt, że „wielu socjaldemokratów z Niemców sudeckich, powsadzanych do obozów koncentracyjnych przez Niemców za to, że byli antyfaszystami, po wyzwoleniu trafiło do czeskich obozów pracy tylko za swe niemieckie pochodzenie". Dobowa racja żywności w Hagiborze wynosiła, jak ustalił, „750 kalorii na dzień, czyli poniżej poziomu [obowiązującego w hitlerowskim obozie koncentracyjnym] w Belsen"[117]. Ponadto Stokes widział, ku niezadowoleniu kierownictwa obozu, codzienną selekcję więźniów do pracy. „Około szóstej rano pracodawcy zaczęli przyjeżdżać autami i ciężarówkami, aby wybierać i przewieźć swoich niewolników na dany dzień. […] Wtedy 300 czy 400 niewolników wpuszczono z krańca obozu, a przybyli dokonali wyboru, wystawiali kwity za zabierane osoby i zwracali je na koniec dnia". W Uściu zastał komendanta tamtejszego obozu „z podwiniętymi rękawami koszuli przetrząsającego dobytek 65-letniego starca, podczas gdy inni urzędnicy stali z boku, a jeden z nich zabrał sobie coś, co wyglądało na srebrną tabakierkę, puste srebrne pudełko na zapałki i zapalniczkę, należące do innego ze starszych więźniów". Z udawaną zapewne naiwnością – gdyż wcześniej omówił swoje spostrzeżenia z miejscowymi przedstawicielami MKCK, którzy osobiście składali skargi na temat sytuacji w obozach

czechosłowackiemu prezydentowi pięciokrotnie, w okresie od maja 1945 do kwietnia 1946 roku – Stokes zastanawiał się, „czy dr Beneš wie o tych strasznych rzeczach, które się tam dzieją”[118].

Relacja Stokesa, w odróżnieniu od rewelacji zamieszczonych w „Daily Herald” rok wcześniej, wzbudziła w Wielkiej Brytanii małą sensację i wprawiła w wielkie zakłopotanie czechosłowacki rząd. Nieroztropnie zdając się na dokument zawierający niewybredne zmyślenia, podsunięty przez ministra spraw wewnętrznych, premier Fierlinger oświadczył na konferencji prasowej, że „w Czechosłowacji nie ma obozów koncentracyjnych”, a tylko dziewięć „obozów internowania”, gdzie łącznie przebywać miało zaledwie 2 tysiące osób oczekujących na procesy sądowe za różne wykroczenia. Więźniowie tych obozów rzekomo otrzymywali takie same przydziały żywności jak reszta czechosłowackiej ludności[119]. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wystąpiło z równie kłamliwym „odparciem” poszczególnych zarzutów wysuniętych przez Stokesa, stwierdzając przy tej okazji, że – co stanowiło nieprawdopodobny zbieg okoliczności – każdy z więźniów wymienionych przez Stokesa z nazwiska został przewidziany do zwolnienia przez władze w Pradze, a obóz w Hagiborze miano niebawem zamknąć[120]. Czechosłowackie władze publicznie wezwały MKCK do przeprowadzenia inspekcji w ośrodkach odosobnienia dla weryfikacji tychże zapewnień.

Nacisk ze strony międzynarodowej opinii publicznej doprowadził zatem do osiągnięcia tego, czego nie mógł wywalczyć Czerwony Krzyż. Pod koniec stycznia 1947 roku czechosłowackie MSW wydało MKCK rodzaj przepustki uprawniającej do odwiedzenia w lutym wszystkich obozów w Czechach, na Morawach i czeskim Śląsku pozostających

pod nadzorem tego ministerstwa, z jedynym zastrzeżeniem, że sporządzony na podstawie tych wizytacji raport należało najpierw przedłożyć rządowi w Pradze[121]. Efekty tej decyzji były natychmiastowe. Jeden z najdłużej internowanych w obozie w Linzervorstadt, więzień z obozowym numerem 83, wspominał, że „po każdej wizycie [przedstawicieli MKCK] warunki znacznie się poprawiały". Zmniejszono liczebność straży, więźniom zezwolono na udawanie się do pracy poza obozem bez uzbrojonej eskorty, wprowadzono wolne od pracy niedziele, a przymusowi robotnicy zaczęli nawet otrzymywać drobne sumy wynagrodzenia za swoją pracę[122]. I choć postęp w tej mierze w innych krajach nie był aż tak wyraźny, to pomoc humanitarna Międzynarodowego Czerwonego Krzyża zaczęła docierać do więźniów w polskich obozach internowania, poczynając od czerwca 1947 roku, a przeprowadzanie pewnych ograniczonych inspekcji w obozach w tym kraju dopuszczono z końcem 1948 roku[123].

Jednak dla większości internowanych zdecydowana poprawa warunków życiowych mogła się wiązać wyłącznie z ostateczną deportacją do Niemiec lub Austrii. Do połowy roku 1947 wydalono już do tych krajów tak wielu uwięzionych, że rządy państw środkowoeuropejskich były w stanie zredukować liczbę obozów. Rumunia, czyli pierwszy kraj, w którym przystąpiono do internowania mówiących po niemiecku cywilów, poinformowała Czerwony Krzyż w czerwcu 1946 roku, że wszystkie obozy zamknięto[124]. Czechosłowacja, wypędziwszy już większość swoich Volksdeutschów do grudnia 1946 roku, uczyniła to w następnej kolejności, likwidując niektóre obozy i łącząc inne. Wedle informacji rządu praskiego na 31 maja 1947 roku w Czechosłowacji pozostało już tylko 19

takich ośrodków odosobnienia[125]. Akcje deportacyjne w Polsce do tego czasu również miały się już ku końcowi, co umożliwiło zamknięcie mniejszych obozów, na przykład oświęcimskiego, na wiosnę 1947 roku[126]. Na początku roku 1948, wedle danych polskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, ogólna liczba więźniów wszystkich narodowości w obozach w Polsce spadła do 47 tysięcy; rok później nadal przetrzymywano tylko połowę z tych ludzi, w większości „osoby stare i osłabione”[127]. Jugosławia, gdzie już wcześniej rozwiązano niektóre obozy – zwłaszcza Bački Jarak, Sekić i Filipovo, gdyż śmiertelność była w nich tak wielka, że dalsze ich funkcjonowanie uznano za nierentowne – także podjęła na początku 1947 roku pierwsze kroki w kierunku zakończenia akcji internowania miejscowych Volksdeutschów, przy okazji zwalniając z pozostałych obozów tylu więźniów, ilu był w stanie wchłonąć lokalny rynek. Wedle pracowników brytyjskiego wywiadu tamtejsi więźniowie albo odzyskiwali wolność, korzystając z pomocy grup zajmujących się przemytem ludzi, które przekupywały obozowe władze, albo też, za większe sumy, do 1000 dinarów[128] za osobę, „dogadywano się” bezpośrednio z zarządami poszczególnych obozów, by następnie po nocach przeprowadzać przez granicę partie po około 60 uwolnionych ludzi. „Korzyść z opuszczenia obozu na mocy oficjalnej umowy jest taka, że jeśli węgierska policja odstawi taką grupę [byłych więźniów] z powrotem, […] następnej nocy ci znowu starają się przejść przez granicę, nie musząc płacić kolejnego 1000 dinarów. Jeśli jednak dochodzi do schwytania nieoficjalnej grupy, to cała ona, wraz z jej przewodnikiem, podlega aresztowaniu przez jugosłowiańskie organy porządkowe, które przypuszczalnie zwalczają w ten sposób tańszą konkurencję”[129]. Latem

1947 roku, za sprawą działań takich siatek, a także w związku z przypadkami, że komendanci jugosłowiańskich obozów otwierali bramy podlegających im ośrodków i sami nakłaniali uboższych więźniów do udania się w kierunku granicy, liczba jugosłowiańskich Volksdeutschów nielegalnie docierających do Austrii przez Węgry wzrosła ponad dwukrotnie. Rudolfsgnad, ostatni działający obóz dla etnicznych Niemców z Jugosławii, został zamknięty w marcu 1948 roku, aczkolwiek wielu byłych więźniów musiało potem pracować przymusowo w państwowych „przedsiębiorstwach" i gospodarstwach rolnych.

Pod wpływem takich wydarzeń, jak komunistyczny przewrót w Czechosłowacji w lutym 1948 roku, kryzys berliński latem tego samego roku czy powstanie Republiki Federalnej Niemiec następnej wiosny, rządy państw zachodnich ujrzały relatywnie nieliczną już wtedy populację Volksdeutschów pozostałych za „żelazną kurtyną", a zwłaszcza tych, których nadal przetrzymywano w obozach, w zupełnie nowym świetle. Wobec nieodwracalnego zerwania względnie przyjaznych wzajemnych stosunków przez kierowane przez supermocarstwa dwa bloki państw, rządy krajów Zachodu od czasu do czasu zaczęły wspominać o tych obozach w celach propagandowych, atakując władze komunistyczne. Na przykład Christopher Mayhew, minister stanu w brytyjskim MSZ, publicznie łajał Czechosłowację na forum ONZ w lutym 1949 roku za utrzymywanie obozów koncentracyjnych dla Sudetendeutschów i wykorzystywanie 170 tysięcy Niemców sudeckich do robót przymusowych[130]. (Przytaczając takie dane, Mayhew najwyraźniej pomylił pracujących przymusowo Niemców sudeckich z liczbą tychże pozostałych jeszcze w Czechosłowacji). Mimo wszystko zachodni przywódcy,

poza rzadkimi wyjątkami, trzymali się zasady „im mniej się powie, tym szybciej załagodzi się sprawę” w odniesieniu zarówno do kwestii wcześniejszego pozbawiania wolności Volksdeutschów, jak i faktu, że nieliczne obozy z internowanymi etnicznymi Niemcami, choćby Jaworzno, działały jeszcze dość długo w latach pięćdziesiątych.

Poza nader rzadkimi przypadkami urzędnicy państwowi, komendanci i strażnicy środkowoeuropejskich obozów nie stanęli przed sądem za popełnione nadużycia. Jednym z takich „pechowców” był Wenzel Hrneček. Mimo że szybko awansował na faktycznego komendanta obozu w Linzervorstadt, dokąd przybył jako kapral, a w końcu uzyskał stopień porucznika, to po komunistycznym zamachu stanu w lutym 1948 roku popadł w niełaskę nowych władz w Pradze. Zgodnie z jego relacją został aresztowany i oskarżony o „zdradę stanu i współpracę ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki”; byli więźniowie zeznawali, że przywłaszczył mnóstwo należących do nich rzeczy, zamiast przekazać je czechosłowackiemu państwu. W 1949 roku uciekł przez granicę do Bawarii, gdzie podawał się za Johanna Richtera, wypędzonego Niemca sudeckiego, i znalazł zatrudnienie w bazie armii amerykańskiej w Monachium. Jego decyzja pozostania w południowych Niemczech okazała się jednak nierozsądna, gdyż przebywało tam wielu byłych jego więźniów. Wkrótce w prasie wysiedleńców zaczęły pojawiać się informacje o tym, że Hrnečka widziano na monachijskich ulicach. Ale dopiero w lipcu 1952 roku został aresztowany, gdy rozpaczliwie usiłował wyrwać się policjantom przed gmachem monachijskiego urzędu telegraficznego. Po zatrzymaniu okazało się, że miał przy sobie paszporty na cztery różne nazwiska, a w jego samochodzie znaleziono naładowany pistolet Walther PPK,

belgijską broń krótką FN kaliber 9 mm oraz pistolet startowy. Postawiony przed sądem przez władze amerykańskie – gdyż w 1945 roku dopuścił się zbrodni na terenach pozostających ówcześnie pod wojskowym zarządem Amerykanów – odpowiadał za 40 zarzutów, od napaści po zabójstwo. Został uznany za winnego osiemnastu z nich i skazany na osiem lat pozbawienia wolności, w tym trzy w zawieszeniu. Po tym, jak odsiedział pół roku, zredukowano mu wyrok, pod warunkiem że opuści Republikę Federalną Niemiec w ciągu 48 godzin.

Garstka innych podobnych sprawców też była ścigana, choć niewielu z nich trafiło do więzienia, chyba że, tak jak Hrneček, okazali się na tyle głupi, by wyjechać do Niemiec albo, jako Niemcy, pozostali w Czechosłowacji lub w Polsce. Jan Kouřil, strażnik z okrytego ponurą sławą obozu w Kolegium Kaunitz w Brnie, później awansowany na zastępcę komendanta ośrodka przymusowego odosobnienia Keidovka – gdzie szalał tyfus – na obrzeżach owego miasta, stanął przed sądem w Karlsruhe w roku 1951 – ponoć po tym, jak usiłował sprzedać pewnemu dentyście torebkę ze złotymi koronami zębowymi usuniętymi więźniom – i dostał wyrok 15 lat[131]. Kurt Landrock, etniczny Niemiec i kapo z obozu w Terezinie (Theresienstadt), został osądzony przez prezentujące pewną hipokryzję czechosłowackie władze za współudział w doprowadzeniu do śmierci około 30 więźniów powierzonych jego pieczy i skazany w 1947 roku na 20 lat. Porucznik Karol Pazůr, winowajca masakry w Přerovie, uzasadniający decyzję o zabiciu dzieci takim oto argumentem: „Niby co miałem z nimi zrobić, skoro zastrzeliłem już ich rodziców?” – należał do tych nielicznych rodowitych Czechów i Słowaków, którzy odpowiedzieli za swoje zbrodnie, chociaż niedostatecznie. W styczniu 1949 roku sąd wojskowy w Bratysławie wydał nań wyrok 12 lat

więzienia, ale już po trzech lata Pazůra objęła amnestia[132].

Próby wymierzenia sprawiedliwości sprawcom w Polsce przyniosły jeszcze mniejsze skutki. Czesław Gęborski, młody komendant obozu w Łambinowicach, został zdjęty ze stanowiska w październiku 1945 roku, po tym jak rozkazał strażnikom strzelać do etnicznych Niemców usiłujących uciekać z obozowych baraków, które ogarnął pożar. Szybko wszak powrócił do łask polskich władz i otrzymał awans na kapitana bezpieki. W 1956 roku rząd Władysława Gomułki ponownie wszczął śledztwo w jego sprawie, lecz je umorzono. Po upadku komunizmu polska prokuratura w końcu, w roku 2000, postawiła Gęborskiego w stan oskarżenia za mordowanie, torturowanie i gwałcenie więźniów. Choć zgromadzono mnóstwo obciążających go dowodów, do zakończenia procesu nie doszło przed śmiercią Gęborskiego w 2006 roku. Salomon Morel, komendant obozu w Świętochłowicach-Zgodzie, zapłacił za popełnione zbrodnie jeszcze mniejszą cenę. Morel tak zasłynął z nadużyć, jakich się dopuszczał, że dyrektor Departamentu Więziennictwa i Obozów pułkownik Teodor Duda ukarał go jesienią 1945 roku trzydniowym aresztem i zmniejszeniem pensji. Jednak Morel, podobnie jak Gęborski, szybko znowu zaczął piąć się po szczeblach kariery, a w 1968 roku odszedł na emeryturę w randze pułkownika. Główna Komisja Badań Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu wszczęła w roku 1990 dochodzenie w sprawie poczynań Morela w Świętochłowicach-Zgodzie, co skłoniło go do emigracji do Izraela. Złożone przez polskie władze w latach 1998 i 2003 podania o ekstradycję Morela zostały odrzucone przez izraelskie Ministerstwo Sprawiedliwości, które uznało, że „nie ma podstaw do oskarżania pana Morela o poważne przestępstwa, a już na

pewno nie o ludobójstwo i zbrodnie przeciwko narodowi polskiemu”[133]. Stawiane mu zarzuty, jak stwierdził były dyrektor Światowego Kongresu Żydów (WJC), były wynikającą z przesłanek politycznych próbą osób zaprzeczających historycznej prawdziwości Holokaustu oraz neonazistów „zrelatywizowania” niemieckich zbrodni na Żydach. Morel zmarł w Tel Awiwie w 2007 roku[134].

Jeśli pominąć winę Morela – dowody są tu mocne i niepodważalne – to w przytoczonej wypowiedzi dyrektora WJC jest nieco prawdy o zapędach niektórych Niemców do zrównywania obozowych doświadczeń Żydów i innych ofiar nazistowskich Niemiec w czasie II wojny światowej z późniejszymi niedolami i cierpieniami etnicznych Niemców. Skrajnie prawicowa Deutsches Volksunion zalicza Gęborskiego, Morela, Ignacego Cedrowskiego i Jana Dragojlovicia (szefa obozu dla kobiet i dzieci w miejscowości Bački Jarek w Jugosławii), obok takich postaci jak Arthur („Bomber”) Harris i Dwight Eisenhower, do przestępczego grona „100 straszliwych oprawców i katów w wojnie eksterminacyjnej z Niemcami”[135]. Maria Tenz, była więźniarka Rudolfsgnadu, określiła to miejsce w swoich opublikowanych wspomnieniach mianem „obozu zagłady”[136]. O ile tego rodzaju retorykę można darować byłym więźniom – a Tenz należała do tych osób, które mają prawo twierdzić, że szczęśliwie uszły z życiem – to w przypadku innych jest to niewybaczalne.

W rzeczywistości nie ma porównania między najgorszymi nawet powojennymi obozami a ich wojennymi poprzednikami. Z wyjątkiem, być może, jugosłowiańskich ośrodków przymusowego odosobnienia z lat 1945–1946, w których przez pewien czas w istocie zdawały się obowiązywać metody przerażająco zbliżone do nazistowskiej *Vernichtung durch Arbeit* („eksterminacji

poprzez pracę”), więźniowie obozów dla Volksdeutschów byli ofiarami maltretowania, różnych nadużyć i celowych zaniedbań ze strony osób kierujących tymi ośrodkami, a nie zorganizowanego masowego mordowania. Zdecydowana większość, nawet w Jugosławii, przeżyła uwięzienie; ostatecznie wszystkie środkowo- i południowo-wschodnioeuropejskie kraje z własnej woli pozwalniały internowanych. Nie da się tego powiedzieć o systemie obozowym, jaki funkcjonował w nazistowskich Niemczech w latach wojny.

To ważne rozróżnienie. Mimo wszystko poziom świadomego, zbiorowego łamania praw człowieka nie osiągnął progu bezprecedensowego barbarzyństwa z lat hitlerowskiego reżimu. Poza okresem wojny Europa na zachód od granic ZSRR nie przeżyła i nie miała ponownie przeżyć tak masowego pozbawiania ludzi wolności – a podczas tej akcji dziesiątki tysięcy osób, w tym dzieci, straciło życie. Fakt, że w dużym stopniu umknęło to uwadze ówczesnych Europejczyków i dzisiejszych historyków, przerażająco świadczy o łatwości, z jaką wielkie zło powszednieje lub bywa niezauważane, jeżeli jest spektaklem, którego międzynarodowa opinia publiczna woli nie oglądać.

Przypisy

[1] Por. np. zeznanie Jana Jungwirta, 1 II 1954, Records of the U.S. High Commissioner for Germany, OMGUS/HICOG Criminal Court Case Files, Berlin, 1945–1955, RG 466/250/84/32/04, zbiór 52, National Archives and Records Agency, College Park, Maryland (dalej jako NARA).

[2] Zeznanie Siegfrieda Oskara Pompera, lekarza obozowego, bez daty [ok. III 1952], RG 466/250/84/32/04,

zbiór 50, NARA.

[3] Zeznanie Wenzla Kneissla, 23 III 1952; zeznanie Rudolfa Kroihera, 27 IV 1952, Records of the High Commissioner for Germany: Clemency Board Prisoner Case Files 1945–1955 (archiwa Wysokiego Komisarza w Niemczech: akta Rady ds. Amnestionowania Więźniów), „H.” do „K”, RG 466, 250/68/22/5, teczka 6: „Hrnecek, Wenzel”, NARA.

[4] Zeznanie Johanna Dolezela, 31 VI 1952, RG 466/250/84/32/04, zbiór 55, NARA.

[5] E. Kogon, *The Theory and Practice of Hell: The German Concentration Camps and the System Behind Them*, (wyd. I, popr.; Farrar, Strauss & Giroux, New York 2006, s. 106; zeznanie W. Hrnečka, 17 VII 1952, RG 466/250/84/32/04, zbiór 50, NARA.

[6] Zeznanie mgr. J. Neubauera, 30 VII 1952, RG 466/250/84/32/04, zbiór 50, NARA. W obozach zarówno w Polsce, jak i w Czechosłowacji zabraniano działalności religijnej. Por. B. Nitschke, *Wysiedlenie ludności niemieckiej z Polski w latach 1945–1949*, Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Zielona Góra 1999, s. 99.

[7] Zeznanie Hrnečka, 18 VII 1952, RG 466/250/84/32/04, zbiór 50, NARA.

[8] Zeznanie Hrnečka, 16 VII 1952, RG 466/250/84/32/04, zbiór 50, NARA.

[9] Zeznanie Hrnečka, 25 VII 1952, RG 466/250/84/32/04, zbiór 50, NARA.

[10] 1Otto Lasch do MKCK, 3 III 1946; G 97/1165, Archives du Comité International de la Croix Rouge et du Croissant Rouge, Geneva (archiwa Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża; dalej jako CICR); F.E. Kaplan, „Bericht über die Lage der deutsch-sprechenden Menschen in Jugoslavien”, 1 IV 1946, G 97/1164, CICR.

[11] S. Jankowiak, *Wysiedlenie i emigracja ludności*…, s. 44.

[12] Bogusław Kopka, który zebrał najdokładniejsze dane na temat polskich obozów pracy przymusowej, wymienia 206 takich miejsc działających w latach 1944–1950, chociaż niewątpliwe istnienie „dzikich" obozów, zakładanych przez lokalne władze, nadal komplikuje obraz tej sprawy. Joël Kotek i Pierre Rigoulot oceniają, że w Czechosłowacji około 600 ośrodków odosobnienia dla *Sudetendeutsche* funkcjonowało w samych tylko Czechach. Por. B. Kopka, *Obozy pracy w Polsce 1944–1950. Przewodnik encyklopedyczny*, Karta, Warszawa 2002; J. Kotek, S. Rigoulot, *Le siècle des camps: detention, concentration, extermination* Lattès, Paris 2000, s. 534.

[13] List Wysokiego Komisarza, MZO, wydział Szczecin, 14 III 1947; A. Chorzewski, szef Urzędu Osadnictwa w województwie szczecińskim, do Wysokiego Komisarza, 24 IV 1947, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 513 i 526, przyp. 1.

[14] T. Staněk, *Tábory v Českych zemích 1945–1948*, Slezsky ustav Slezkého zemského muzea, Opava 1996, s. 99. Por. także treść dyrektywy czechosłowackiego MSW, nakazującej zamknięcie „zaimprowizowanych obozów internowania" dla „Niemców, czasami z członkami ich rodzin" oraz przeniesienie tychże więźniów do oficjalnie działających obozów, „Predvoj", 29 VIII 1945.

[15] W. Menzel do MKCK w Genewie, 12 II 1946, G 97/1161, CICR.

[16] L. Olejnik, *Zdrajcy narodu?*…, s. 75.

[17] Por. np. Pomorski Urząd Wojewódzki do zarządu powiatu Świecie, 14 IX 1945, z poleceniem, aby „wszyscy

Niemcy” zostali „internowani w obozach i skierowani do pracy bez wynagrodzenia”. Cyt. za: W. Borodziej, H. Lemberg, *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße…*, t. IV: *Wojewodschaften Pommerellen und Danzig, Wojewodschaft Breslau*, s. 126.

[18] L. Olejnik, *Zdrajcy narodu?…*, s. 133.

[19] T. Staněk, A. v. Arburg, *Organizované divoké odsuny?…*, č. 2, s. 22.

[20] T. Staněk, *Tábory v Českych zemích…*, s. 23.

[21] S. Gabzdilová, M. Olejnik, *Proces internácie Nemeckého obyvatel’stva na Slovensku v rokoch 1945–1946*, „Historický Časopis” 2002, 50/3, s. 425.

[22] T. Staněk, *Tábory v Českych zemích…*,s. 105–106.

[23] Mjr W. Bradbury z Połączonego Kierownictwa ds. Reparacji, do gen. S.R. Mickelsena, szefa Wydziału Jeńców Wojennych i Wysiedleńców, 19 I 1946, Biuro Zarządu Wojskowego w [okupowanych] Niemczech, archiwa Wydziału Administracji Cywilnej („The Combined Repatriation Executive, U.S. Elements: Records re Interzonal Population Transfers, 1945–49”), RG 260/390/42/26-27/6-1, zbiór 227, teczka: „Movement of Sudeten-Germans (t. I)”, NARA.

[24] Anonimowe memorandum, *Les camps de concentration du couvernement Tito dans le Batchka”, VII 1947, niedatowane (ok. VIII 1947) Liste de camps ou lieux de confinement de personnes appartenant à la minorité éthnique allemande en Yougoslavie (civils)*, G 97/1164, CICR.

[25] V. Geiger, *Josip Broz Tito i sudbina jugoslavenskih Nijemaca*, „Časopis za Suvremenu Povijest” 2008, 40/3 (IX), s. 57; Z. Janjetović, *The Disappearance of the Germans from Yugoslavia: Expulsion or Emigration?*, „Revue des Études Sud-Est Européennes” 2002, 40/1, s.

227; M. Portmann, *Repression und Widerstand auf dem Land: Die kommunistische Landwirtschaftspolitik in der jugoslawischen Vojvodina (1944 bis 1953)*, „Südost Forschungen" 2006, 65/66, s. 349.

[26] H.G. Beckh (MKCK), „Rapport de la mission de M. Beckh en Bavière (Furth i[m]/W[ald] et Munich) du 16 au 23.3.50", bez daty, G 97/1158, CICR; J.-L. Muller, *L'expulsion des Allemands de Hongrie: politique international et destin méconnu d'une minorité*, L'Harmattan, Paris 2001, s. 67

[27] H.F.A. Schoenfeld, przedstawiciel USA na Węgrzech, do E. Stettiniusa, 27 VI 1945. United States; Department of State, *Foreign Relations of the United States: Diplomatic Papers, 1945: General: Political and Economic Matters*, t. II, Government Printing Office, Washington, DC 1967, (dalej jako *FRUS*), s. 1259.

[28] H.G. Beckh, *Compte-rendu d'un entretien du 9.4.46 entre MM. Kolb et de Steiger, délégués, et M. Beckh eoncernant les minorités en Roumanie*, 11 IV 1946, G 97/1165, CICR; „Osservatore Romano", 30 VIII 1944.

[29] R.W. Zweig, *Feeding the Camps: Allied Blockade Policy and the Relief of Concentration Camps in Germany, 1944–1945*, „Historical Journal" 1998, 41/3, s. 826.

[30] Por. J. Caplan, *Political Detention and the Origin of the Concentration Camps in Nazi Germany, 1933–1935/6*, w: N. Gregor (red.), *Nazism, War and Genocide: Essays in Honour of Jeremy Noakes*, University of Exeter Press, Exeter 2005, s. 22–41.

[31] B. Kopka, *Polski Gułag*, „Wprost" 2002, nr 12; E. Nowak, *Lager im Oppelner Schlesien im System der Nachkriegslager in Polen (1945–1950)*, Centralne Muzeum Jeńców Wojennych, Opole 2003, s. 57.

[32] W. Menzel, szef delegacji MKCK w Pradze, do S. Kuhnego, 28 I 1946, G 97/1161, CICR.
[33] G. Dunand, *Camp d'internés civils de Patronka (Bratislava)*, 25 VII 1945, G 97/1160, CICR.
[34] Jean Duchosal (sekretarz generalny MKCK), „Internment Camps in Slovakia", 4 I 1946, G 97/1161, CICR.
[35] Raport z inspekcji przeprowadzonej przez dr. Josefa Markowicza, 31 III 1947, MZO 196/541b, AAN.
[36] J. Duchosal, „Internment Camps in Slovakia"…
[37] „New York Times", 20 i 29 IV 1946; fragment raportu delegacji MKCK w Pradze, cyt. za: listem E. de Ribaupierre'a do S. Dainowa, 2 X 1946, G 97/1161, CICR; D. Gerlach, *Beyond Expulsion: The Emergence of „Unwanted Elements" in the Postwar Czech Borderlands, 1945–1950*, „East European Politics and Societies" 2010, 24/2 (V), s. 278; E. Hrabovec, *Neue Aspekte zur ersten Phase*…, s. 122.
[38] „Neue Zürcher Zeitung", 6 V 2002. Por. także oświadczenie czechosłowackiego ambasadora w USA, V.S. Hurbana, „Washington Post", 26 IX 1945.
[39] Beckh do G. Dunanda, 12 VI 1946; anonimowe memorandum, *Les Camps de Concentration du Gouvernement Tito dans le Batchka*, VII 1947, G 97/1164, CICR.
[40] Por. np. ppłk W. Alkan, RAMC, do Alianckiej Komisji Kontroli w Austrii, 21 VI 1946, PRO FO 1020/2470.
[41] Memorandum por. A. Reitznera (RAF), bez daty (ok. IX 1945), PRO FO 371/46901.
[42] T. Staněk, *Tábory v Českych zemích*…, s. 25.
[43] A. Dziurok, A. Majcher, *Salomon Morel i obóz w Świętochłowicach-Zgodzie*, http://ipn.gov.pl/aktualnosci/2006/centrala/odpowiedz-

panstwa-izrael-na-wniosek-o-ekstradycje-salomona-morela-oraz-opracowan. Wspomniany więzień, Eric van Calsteren, był jednym z co najmniej 42 niemieckich obcokrajowców (13 różnych narodowości) internowanych w Świętochłowicach.

[44] Zeznanie 26-letniej więźniarki z obozu w Potulicach, bez daty, przytoczone w liście O.P. Brennscheidta (kuzyna tejże) do MKCK, 15 VI 1947, G 97/1159, CICR.

[45] Herr Lang, komisarz rządowy ds. uchodźców w Ratyzbonie, do sekretarza stanu ds. uchodźców, Monachium, 17 VIII 1948, z przytoczeniem zeznań Waltera Hackera i Herberta Logesa, 15-letnich uciekinierów z Bunzlau, G 97/1156, CICR.

[46] *Anon.*, „Constatations que nos délégués ont faites au cours du mois de juillet 1947 sur la situation des civils internés en Tchécoslovaquie", 27 VIII 1947, G 97/1162, CICR.

[47] T. Staněk, *Poválečné „excesy"*…, s. 79. Na temat oficjalnej nomenklatury polskich obozów, zob. W. Stankowski, *Lager für Deutsche in Polen am Beispiel Pommerellen/Westpreußen (1945–1990): Durchsicht und Analyse der polnischen Archivalien*, Kulturstiftung der deutschen Vertriebenen, Bonn 2001, s. 37–39.

[48] Zob. np. Wywiad z premierem Zdenkiem Fierlingerem, *Bulletin of the Ministry of Information, 1st Department*, Praha, 8 IX 1945; S. Gabzdilová, M. Olejnik, *Proces internácie Nemeckého obyvatel'stva*…, s. 432.

[49] Por. np. okólnik dr. Nováka, czechosłowackiego ministra spraw wewnętrznych, z 17 XI 1945 roku; Ministerstvo Vnitra – Nova Registratura (MV-NR), zbiór 7450, teczka B 1469, Národní archiv Ceské Republiky (dalej jako NACR), Praha.

[50] Por. okólnik ministra spraw wewnętrznych do wszystkich regionalnych rad narodowych, 17 XI 1945, MV-NR zbiór 7450, teczka B 1478, NACR.

[51] Anonimowa notatka, z ok. 20 VIII 1945, z archiwów obozu w Mirošovie, nr 534, zbiór 1, teczka 18, Státní oblastní archiv (dalej jako SOA), Plzeň.

[52] S. Nichols do O. Sargenta, 11 VIII 1945, FO 371/47154.

[53] B. Nitschke, *Wysiedlenie ludności niemieckiej z Polski…*, s. 98.

[54] A. Dziurok, *Obóz pracy w Świętochłowicach w 1945 roku: dokumenty, zeznania, relacje, listy*, Warszawa Instytut Pamięci Narodowej, 2002.

[55] W. Borodziej, rozdział wstępny, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße…*, t. I: *Zentrale Behörden, Wojewodschaft Allenstein*, Verlag Herder-Institut, Marburg 2000, s. 94; W.R. Dubiański, *Obóz Pracy w Mysłowicach w latach 1945–1946*, Instytut Pamięci Narodowej, Katowice 2004, s. 77, 80.

[56] List urzędnika o nazwisku Krenc, z bydgoskiego USC, do wojewody pomorskiego, 4 XII 1945, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße…*, t. IV, s. 167; Por. także: B. Kopka, *Polski Gułag…*

[57] B. Nitschke, *Wysiedlenie ludności niemieckiej z Polski…*, s. 97–98.

[58] Wyjątek od tej reguły stanowiły przypadki gwałtów i znęcania się na współwięźniach, jakich dopuszczali się niektórzy uwięzieni. Birgit Beck zwróciła też uwagę, że niemieccy żołnierze stacjonujący w okupowanych krajach nie przestrzegali takich zasad w odniesieniu do uwięzionych cywilów. Por. J.G. Morrison, *Ravensbrück: Everyday Life in a Women's Concentration Camp 1939–*

45, Markus Wiener, Princeton, NJ 2000, s. 229; B. Beck, *Sexual Violence and Its Prosecution by Courts Martial of the Wehrmacht*, w: R. Chickering, S. Förster i B. Greiner (red.), *A World at Total War: Global Conflict and the Politics of Destruction, 1937–1945*, Cambridge University Press, Cambridge 2005, s. 317–331.

[59] Np. Přemysl Pitter odnotował w roku 1945 przypadek pewnej Niemki w jednym z praskich obozów, zgwałconej 120 razy w trakcie kilku tygodni; zob. T. Staněk, *Tábory v Českych zemích*…, s. 85.

[60] *Anon.*, „Extrait d'un rapport de camp fait par un observateur étranger", VIII 1945; raport nr 2, pod tym samym tytułem, również z VIII 1945, G 97/1160, CICR.

[61] J. Duchosal, „Internment Camps in Slovakia", 4 I 1946, G 97/1161, CICR.

[62] G. Dunand, „Camp d'internés civils de Patronka (Bratislava)", 25 VII 1945, G 97/1160, CICR.

[63] Kopia raportu jednostki brytyjskiej artylerii z obozu przejściowego „W" w Leibnitz, bez daty (ok. IX 1946), FO 1020/2470; kpt. R. Camidge do Centralnego Biura Spraw Cywilnych Alianckiej Komisji Kontroli w Austrii (Oddział Brytyjski), 19 IX 1946, FO 1020/2470.

[64] Raport Antoniego Białeckiego, wicedyrektora Wydziału IV Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w województwie katowickim, 16 V 1945; meldunek sztabu 8. baonu KBW, 8 VIII 1945, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. II: *Zentralpolen, Wojewodschaft Schlesien (Oberschlesien)*, Verlag Herder-Institut, Marburg 2003, s. 83, 101.

[65] Zeznanie 26-letniej osoby więzionej w Potulicach, G 97/1159, CICR.

[66] Zeznanie Wilhelma Lubbericha, przekazane hamburskiemu oddziałowi Czerwonego Krzyża, 2 II 1949,

w: *ibid*.

[67] Cyt. za: T. Staněk, *Tábory v Českych zemích*…, s. 80.

[68] Kpt. Dix, 313. polowy pluton zabezpieczenia i kontroli granicznej, do Okręgowego Biura Bezpieczeństwa w Styrii, 24 III 1947, FO 1020/2471.

[69] Kpt. Václav Heřmanov, przepisy dotyczące zatrudniania internowanych z Mirošova, 3 VI 1945, archiwa obozu w Mirošovie, nr 534, zbiór 2, teczka 15, SOA, Plzeň.

[70] T. Staněk, *Tábory v Českych zemích*…, s. 113.

[71] Por. np. skarga firmy Velkostatek Liblín-Libštejn-Zikov z Liblína złożona do powiatowej rady narodowej w Rokycanach, 6 IX 1945, archiwa obozu w Mirošovie, nr 534, zbiór 2, teczka 13, SOA, Plzeň.

[72] *Strážmistr* Grédl, SNB, do SNB z Terešova, 16 VIII 1945, archiwa obozu w Mirošovie, nr 534, zbiór 1, teczka 10, SOA, Plzeň.

[73] Raport I. Cedrowskiego o warunkach sanitarnych w więzieniach i obozach województwa pomorskiego w okresie od 1 I 1946 do 1 marca 1947 roku; 11 IV 1947, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. IV, s. 263.

[74] Por. np. M. Schenk-Sopher, „Note on Conditions in «Rupa» Internment Camp" („Nota o warunkach w obozie internowania «Rupa»), 17 VII 1945, Úrad predsedníctva vlády–tajná spisovna (ÚPV-T), zbiór 11, nr 488, NACR.

[75] S. Gabzdilová, M. Olejnik, *Proces internácie Nemeckého obyvatel'stva*…, s. 433.

[76] P.W. Mock, „Camp d'internés civils de Petržalka (Bratislava)", 6 XI 1945; *idem*, „Camp d'internés civils de Trnavskà Cesta, Bratislava", 15 XI 1945, G 97/1160, CICR.

[77] Dr B. Nohel, „Bericht über Besuch des Spitals «Selmovska»”, bez daty (ok. V 1946), G 97/1161, CICR.
[78] Raport A. Białeckiego, 16 V 1945, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. II, s. 82.
[79] Cyt. za: L. Olejnik, *Zdrajcy narodu?*…, s. 153.
[80] Ambasada brytyjska w Belgradzie do Departmentu Południowoeuropejskiego FO, 18 VII 1946, FO 371/55525.
[81] Por. np. memorandum dr. Haasa, czechosłowackiego ministra spraw wewnętrznych dla Biura Premiera, 30 XI 1946; Úrad predsedníctva vlády (ÚPV), zbiór 1163, teczka 1424/4, NACR.
[82] Por. np. telegram Nichols do FO, 19 VI 1945, FO 371/47088; *tegoż*, „Weekly Information Summary for week of July 31–August 6, 1945”, 6 VIII 1945, FO 371/47091; „Weekly Information Summary for week of August 17–22, 1946”, 23 VIII 1946, FO 371/56004; raport majora E.M. Tobina, Kaławsk, niedatowany (ok. IV 1946), FO 1052/324; ppłk F.L. Carroll, „German Expellee Movement from Poland–Tour of Lt. Colonel F.L. Carroll, in Company with Commander T. Konarski, Polish Representative, Combined Repatriation Executive”, 1 III 1946, FO 1052/470; J.H. Marton, *A Forgotten People*, „Contemporary Review”, I 1947.
[83] Notatka majora P.B. Monahana z Dyrektoriatu Spraw Cywilnych (ds. przesiedleńców), 4 II 1946, FO 938/241.
[84] W tym samym czasie MKCK dostarczył kolejne 2,5 tony żywności do obozu Ruzyně koło Pragi, ale nie zdołał ustalić, co się z nią stało; Menzel do Paula Kuhnego, 28 I 1946, G 97/1161, CICR.
[85] Menzel do Maxa Hubera, przewodniczącego MKCK, 14 IX 1945, G 97/1160, CICR.

[86] Akty zgonu więźniów obozu w Mirošovie, 11 V–18 X 1945; archiwa obozu w Mirošovie, nr 534, zbiór 2, file 15, SOA, Plzeň; raport z inspekcji przeprowadzonej przez Menzla w obozach w Modřanach, Ruzyně, Hradištku oraz Štěchovicach, bez daty (ok. 21 X 1945), G 97/1160, CICR.

[87] Anonimowe memorandum, „Les Camps de Concentration du Gouvernement Tito dans le Batchka", VII 1947, G 97/1164, CICR.

[88] Notatka J. Colville'a, 15 VIII 1946, FO 371/55525.

[89] Cyt. za: B. Soukupová, *Německá mensina v Českém veřejném míněni po druhé světové válce: Několik poznámek k etnickému klimatu v postevropském čase*, „Historica" [Ostrava], nr 16 (2009), s. 284.

[90] Szkic telegramu Nicholsa do C.F.A. Warnera z Foreign Office, 25 VI 1945, FO 817/14.

[91] Płk J.H. Fye, „Final Report—Transfer of German Populations from Czechoslovakia to U.S. Zone, Germany", 30 XI 1946, s. 7; archiwa Margaret Eleanor Fait, nr katalogowy 84040-9.02, zbiór 4, teczka 16, Hoover Institution Archives, Stanford University.

[92] List okręgowego komitetu w Kežmaroku do Słowackiej Rady Narodowej, 27 VI 1945; cyt. za: S. Gabzdilová, M. Olejnik, *Proces internácie Nemeckého obyvatel'stva*…, s. 427.

[93] W efekcie informacji ujawnionych w „Obzorach" czechosłowackie Ministerstwo Informacji zawiesiło wydawanie tego czasopisma i wszczęło dochodzenie przeciwko jego pracownikom i wydawcom w grudniu 1945 roku. Ostatecznie śledztwo zostało przerwane, a gazeta zaczęła wychodzić ponownie, tym razem ocenzurowana, by na dobre zniknąć po komunistycznym przewrocie w 1948 roku. Por. M. Drápala, *Na ztracené varte západu: poznámky k Ceské politické publicistice nesocialistického*

zamerení v letech 1945–48, „Soudobé Dejiny” 1998, 5/1 (I), s. 16–24.

[94] „Obzory”, 1/12 (20 XI 1945), s. 177–178.

[95] *Ibid*., 1/14 (8 XII 1945), s. 210

[96] List Františka Jilka, *ibid*., s. 220.

[97] List Hanusa Wollnera, *ibid*., s. 220–221.

[98] List dr. Bedřicha Bobka, *ibid*., s. 219.

[99] L. Olejnik, *Zdrajcy narodu?*…, s. 169.

[100] Gedye wizytował obóz w Hagiborze, podając się za przedstawiciela Czerwonego Krzyża; „Daily Herald”, 9 X 1945; „Yorkshire Post”, 11 VI 1945; „Daily Mail”, 4 X 1945.

[101] Steinhardt do Jamesa F. Byrnesa, 3 X 1945, ambasada USA w Czechosłowacji, utajniona dokumentacja z lat 1945–1957, archiwa Departmentu Stanu USA, RG 84, 350/54/13/03, zbiór 1, NARA.

[102] Nichols do C.F.A. Warnera z Foreign Office, 30 VII 1945; O. Sargent do Nicholsa, 24 VII 1945, FO 371/47154.

[103] Memorandum H. Krajewskiego z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (PUR) w Szczecinie, 29 X 1946, MZO 196/541b, AAN.

[104] S. Kuhne do Ottona Lascha z Niemieckiego Czerwonego Krzyża, 15 IV 1946, G 97/1165, CICR.

[105] G. Dunand, „Conversations et audiences à Prague”, 25 V 1945, G 97/1165, CICR. Dwa dni wcześniej Václav Nosek uprzedzał czechosłowacki rząd że MKCK przeprowadza bardzo drobiazgowe inspekcje. Por. T. Staněk, A. v. Arburg, *Organizované divoké odsuny?*…, č. 3, s. 322.

[106] Olga Milošević, sekretarz generalny Jugosłowiańskiego Czerwonego Krzyża, do MKCK w Genewie, G 94/1164, CICR.

[107] Beckh, „Compte-rendu d'entretiens que le soussigné a eux [*sic*!] avec M. Ehrenhold le 2.2.1949", 2 II 1949; „Compte-rendu d'un entretien avec M. Boesch le 27.5.1946", bez daty, G 97/1159, CICR.

[108] A. Kędzia, *Działalność opiekuńcza i lecznicza Polskiego Czerwonego Krzyża w akcji repatriacyjnej i przesiedleńczej na Pomorzu Zachodnim*, „Archiwum Historii i Filozofii Medycyny", 2001, 64/2–3, s. 175–188.

[109] Por. A.-L. Sans, *„Aussi humainement que possible": le Comité International de la Croix-Rouge et l'expulsion des minorités allemandes d'Europe de l'Est 1945–1950 (Pologne–Tchécoslovaquie)*, rozprawa doktorska, Uniwersytet Genewski, 2003.

[110] Menzel do MKCK w Genewie, 18 II 1946, G 97/1161, CICR.

[111] Por. J.C. Favez, *Une mission impossible? Le CICR, les déportations et les camps de concentration nazis*, Payot, Lausanne 1988.

[112] Beckh do F. Siordeta i E. de Wecka, 9 XI 1949, G 97/1164, CICR. Por. także telegram brytyjskiej ambasady w Belgradzie do swojego MSZ, 1 IX 1946, FO 371/55525.

[113] Brytyjska ambasada w Belgradzie do Departmentu Południowoeuropejskiego FO, 14 XII 1945; telegram z Departmentu Niemieckiego MSZ do ambasady brytyjskiej w Belgradzie, 14 III 1946, FO 371/55525.

[114] Brytyjskie MSZ do ambasady brytyjskiej w Belgradzie, 15 XI 1946, FO 371/55525.

[115] Telegram brytyjskiej ambasady w Belgradzie do Foreign Office, 19 VIII 1946, FO 371/55525.

[116] Telegram brytyjskiej ambasady w Belgradzie do Foreign Office, 1 IX 1946, FO 371/55525.

[117] „Daily Herald", 11 III 1946.

[118] Manchester Guardian", 10 X 1946.

[119] Dr Haas do biura premiera, 30 X 1945, ÚPV, zbiór 1163, teczka 1424/4, NACR; „Manchester Guardian”, 20 XI 1946.

[120] Praska delegacja MKCK do Division des Prisonniers, Internés et Civils (PIC; Wydziału Więźniów, Internowanych i Cywilów) MKCK w Genewie, 21 XI 1948, G 97/1161, CICR.

[121] O. Lehner z praskiej delegacji MKCK do Wydziału PIC MKCK, 30 I 1947, G 97/1162, CICR.

[122] Oświadczenie J. Dolezela, 31 VII 1952, wysokiego komisarza USA w Niemczech, OMGUS/HICOG, akta Sądu Karnego w Berlinie, 1945–1955, archiwa Department Stanu RG 466/250/84/32/04, zbiór 50, NARA.

[123] Beckh, „Exposé sur l’activité que le CICR a déployé dans le domaine des «Volksdeutsche» et Allemands de l’Est—Problèmes encore à resoudre”, 10 V 1949, G 97/1158, CICR; A.C. White, z Alianckiej Komisji Kontroli w Niemczech (Oddziału Brytyjskiego), raport z przesłuchania Gerdy Schreinert, byłej więźniarki obozu w Jaworznie, 12 III 1949, FO 1110/172.

[124] J.A. Graf, pomocniczy członek delegacji MKCK w Bukareszcie, do centrali MKCK w Genewie, 12 VI 1946, G 97/1165, CICR.

[125] C. Reichard, z delegacji MKCK w Pradze, do s. Colombo, z centrali MKCK w Genewie, 14 VII 1947, G 97/1162, CICR.

[126] Obóz dla internowanych Volksdeutschów, zorganizowany na terenie byłego głównego obozu oświęcimskiego (Auschwitz I), mógł pomieścić 1500 więźniów. Po zwolnieniu lub przeniesieniu do innych obozów ostatnich etnicznych Niemców w kwietniu 1947 roku przetrzymywano tam krótko przedstawicieli ukraińskiej mniejszości aresztowanych podczas czystek

etnicznych w trakcie tzw. akcji „Wisła”, by ostatecznie, w 1948 roku, przekształcić obóz w muzeum; por. B. Kopka, *Obozy pracy w Polsce*…, s. 147–148.

[127] Nota dla ministra administracji publicznej, dotycząca międzyministerialnej komisji ds. obozów pracy dla Volksdeutschów, 31 I 1949, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. I, s. 394.

[128] Wedle ówczesnego kursu walut około 15 dolarów amerykańskich, czyli równowartość trzytygodniowych poborów niewykwalifikowanego pracownika.

[129] Sekcja wywiadu przy Alianckiej Komisji Kontroli w Austrii, „Movement of Volksdeutsche into the British Zone of Austria”, 13 VI 1947; FO 1020/2748.

[130] Ambasada w Pradze do Departmentu Północnoeuropejskiego Foreign Office, 4 III 1949, FO 1110/171.

[131] G. MacDonogh, *After the Reich: From the Liberation of Vienna to the Berlin Airlift*, John Murray, London 2007, s. 157; „Der Spiegel”, 4 XI 1951.

[132] T. Staněk, *Verfolgung 1945*…, s. 156.

[133] „Jewish Daily Forward”, 29 VII 2005.

[134] W 2008 roku Tadeuszowi Skowyrze, podówczas 84-letniemu, postawiono przed sądem w Katowicach zarzuty, za które groziły mu maksymalnie trzy lata więzienia, związane z okresem jego komendantury w obozie w Mysłowicach na Górnym Śląsku. Do chwili publikacji niniejszej książki do rozprawy – prawdopodobnie ostatniej tego rodzaju w Polsce – jeszcze nie doszło; por. „Die Welt”, 19 V 2008.

[135] Deutsche National-Zeitung, *Verbrecher-Album der Sieger: Die 100 Furchtbarsten Schreibtischtäter und*

Vollstrecker des Vernichtungskrieges gegen Deutschland, FZ-Verlag, München 1997.

[136] M.H. Tenz, *The Innocent Must Pay: Memoirs of a Danube German Girl in a Yugoslavian Death Camp 1944–1948*, University of Mary Press, Bismarck, ND 1991.

ROZDZIAŁ 6

„Zorganizowane wysiedlenia”

Major Frederick Boothby, dowódca brytyjskiego zespołu łącznikowego w Kławsku (dzisiejszym Węglińcu), stacji kolejowej leżącej jedenaście kilometrów na wschód od nowej polsko-niemieckiej granicy, podejrzliwie przypatrywał się transportowi nr 165 – pociągowi, który zatrzymał się przy tamtejszym peronie 18 maja 1946 roku. Pierwszą osobliwością, jaką zauważył, była wielka ilość rzeczy osobistych, w tym „wszystko, od komód po podwójne łóżka”, które wysiedlonym pozwolono zabrać ze sobą. Ludzie z tego transportu, w odróżnieniu od większości Niemców opuszczających Polskę, byli bez wyjątku porządnie ubrani i dobrze odżywieni. W dodatku właściwie wszyscy oni wyglądali na Żydów. A ponieważ Boothby nie był w stanie sprawdzić dokumentów wszystkich 1572 osób w wagonach, przepuścił pociąg, żądając tylko, aby organy kontrolne na stacji docelowej dokładnie przejrzały transport i papiery pasażerów[1]. Jednostka armii brytyjskiej w obozie przejściowym Marienthal w Dolnej Saksonii, która się tym zajęła, stwierdziła, że wątpliwości majora Boothby’ego były uzasadnione. Przed dotarciem do Marienthalu pociąg zabrał 456 dodatkowych pasażerów, zapewne gdzieś pomiędzy Kławskiem a granicą. Rzekomym wygnańcom towarzyszył pewien 34-latek, niejaki Günther Sternberg z Wrocławia, który nosił na ramieniu podrobioną opaskę UNRRA, a jego dokumenty tożsamości, rzekomo wydane przez „kapitana Bakera z Korpusu Łączności armii amerykańskiej”, dały obozowym władzom kolejny powód do podejrzeń. Oficerowie wywiadu wojskowego niezwłocznie umieścili Sternberga w areszcie,

niemniej nakłonienie „deportowanych” do opuszczenia pociągu okazało się już znacznie trudniejsze. Wszyscy oni wydawali się „zaskoczeni po przyjeździe, że miano ich traktować jako uchodźców”, i nie chcieli słuchać poleceń. W końcu, po raz pierwszy w dziejach obozu w Marienthal, konieczne stało się ściągnięcie jednej z kompanii Pułku z Yorkshire i Lancashire, aby wojsko zmusiło przybyłych do posłuszeństwa. Żołnierze mieli mnóstwo problemów ze zdezynfekowaniem i rejestracją pasażerów; zajęło to dziewięć godzin i doprowadziło do ustalenia, że tylko 56 z ponad 2 tysięcy sprawdzonych osób to prawdziwi wysiedleńcy. Sternberg w trakcie przesłuchania przyznał się do sfałszowania dokumentów dla 180 swoich „podopiecznych”, którym w Warszawie sprzedał bilety na ten pociąg po 500–600 dolarów „od łebka”. Ostatecznie zagadka doczekała się rozwiązania następnego przedpołudnia, kiedy na miejscu zjawił się dr Sanek z Amerykańsko-Żydowskiego Połączonego Komitetu Rozdzielczego (Jointu) – agencji humanitarnej z siedzibą w Nowym Jorku zajmującej się imigrantami. Wyjaśnił, że zawczasu porozumiał się z władzami amerykańskimi, aby pasażerów z tego transportu, polskich Żydów, przyjęto w leżącej dalej na południu miejscowości Oberammergau w amerykańskiej strefie okupacyjnej, a stamtąd wysłano do Palestyny. Sanek pokazał pokwitowanie, z którego wynikało, że przybyły pociąg wynajęto od Polski za 26 152 marek niemieckich (ok. 2600 dolarów), a część tych pieniędzy poszła na opłacenie wartowników i straży z oddziałów polskiego wojska. Nie będąc w stanie lub też nie chcąc drążyć tej sprawy dalej, gdyż transport nr 165 blokował przejazd innym pociągom, oficerowie z Marienthalu przepuścili uchodźców wraz z uwolnionym Sternbergiem, zezwalając im na dalsze podążanie do strefy

amerykańskiej[2]. Dziewięć tygodni później amerykańskie władze poinformowały, że nic im nie wiadomo o owym pociągu i jego pasażerach i że nie udzieliły im zezwolenia na wjazd do swojej strefy lub gdziekolwiek indziej[3].

Taka kombinacja wysiedleń z ubijaniem interesów nie była w tym czasie bynajmniej niczym nadzwyczajnym. W istocie po upływie zaledwie siedmiu kolejnych tygodni następny „pociąg nr 165” – numer taki najwyraźniej szczególnie przypadł do gustu przemytnikom ludzi – dotarł do Marienthalu. Ten transport wiózł 1700 pasażerów, a wszyscy oni mieli dokumenty, świadczące o tym, że byli wysiedlonymi niemieckimi Żydami z Ziem Odzyskanych, oraz wizy umożliwiające odbycie rejsu z Hawru we Francji do Stanów Zjednoczonych. I znowu wzbudziło to podejrzenia Brytyjczyków. Generał-major G.W.E.J. „Bobby” Erskine z urzędu zastępcy gubernatora wojskowego dostawał już raporty, że polskie władze, które nie wyzbyły się antysemityzmu mimo tragedii Holokaustu, przystąpiły do rozwiązywania „problemu żydowskiego”, zaopatrując polskich Żydów w papiery zaświadczające o rzekomej niemieckości tych ostatnich i nakłaniając ich do opuszczenia Polski na stałe. Personel obozu w Marienthalu przesłuchał niektórych pasażerów i stwierdził, że „praktycznie każdy z nich uiścił po 30 dolarów amerykańskich za miejsce w tym pociągu”. I ponownie transport przepuszczono, „gdyż w żaden sposób nie dało się udowodnić, że to nie byli prawdziwi Niemcy, choć istniały solidne podstawy do przypuszczeń, że wiele z ich dokumentów sfałszowano”[4].

Podobne wydarzenia dowodziły, że od samego początku to, co optymistycznie nazywano „zorganizowanymi wysiedleniami” z lat 1946–1947, niweczyło starania zainteresowanych krajów, by nadać tej akcji jakikolwiek

ład. Oczywiście nie mogło być inaczej – wobec zaangażowania minimalnych środków i nakładów, wielkiego tempa tej operacji oraz niezdecydowania dokonujących wysiedleń państw, czy skutecznie wydalać deportowanych, czy też raczej zbiorowo ich karać. W związku z tym 18-miesięczny okres, w którym odbywały się „zorganizowane wysiedlenia”, rychło przeobraził się w koszmarny wyścig z czasem, ponieważ rządy krajów przeprowadzających deportacje dążyły do pozbycia się możliwie największej liczby przedstawicieli niechcianych mniejszości, zanim dostatecznie wielu zmarłych w trakcie tej akcji i chaos, jaki szybko narastał w miejscach w okupowanych Niemczech, dokąd napływali wysiedleńcy, zmusiłby zachodnie mocarstwa do położenia kresu dalszym przesiedleniom. A to, że do takiego momentu wcześniej czy później dojdzie, wiadome było politykom obydwu bloków, zanim jeszcze doszło do pierwszych „zorganizowanych” deportacji. Zamiast przeanalizować sens takich akcji w świetle faktów, władze krajów, z których przesiedleńcy wyjeżdżali i do których docierali, z pełną świadomością weszły na kurs, jaki musiał szybko doprowadzić do zubożenia objętych akcją państw, do przeznaczenia w zupełnie nieproduktywnym celu środków transportu jakże potrzebnych w procesie odbudowy i dostarczania pomocy humanitarnej, wreszcie do ludzkich cierpień i niedoli. Wytrwałość, z jaką realizowano to skrajnie niefortunne przedsięwzięcie, nakazuje postawić pytanie, czy kraje zwycięskie w II wojnie światowej wyciągnęły jakiekolwiek wnioski z szaleńczych hitlerowskich prób demograficznego przeobrażenia kontynentu europejskiego.

Zaraz po przyjęciu przez Aliancką Komisję Kontroli (ACC) porozumienia o przesiedleniach z 20 listopada 1945 roku utworzono szkieletowy logistyczno-administracyjny aparat

do nadzorowania przebiegu całej operacji. Wobec faktu, że masowe wysiedlenia zacząć się miały już sześć tygodni później, owa machina musiała mieć nader rudymentarną formę. Jej najważniejszym komponentem był Połączony Zarząd Repatriacyjny (CRX) – agencja powołana do istnienia przez ACC 1 października 1945 roku z zadaniem uporania się z gigantycznymi trudnościami transportowymi związanymi z akcją przesiedleńczą. Do kompetencji CRX należało koordynowanie i regulowanie wszelkich zorganizowanych przejazdów co najmniej 10-osobowych grup, do lub z Niemiec albo między czterema strefami okupacyjnymi w tym kraju. Poza zajęciem się deportowanymi CRX odpowiadał też za zapewnienie transportu do ojczyzn ponad 2 milionom wojennych przesiedleńców z krajów alianckich – najczęściej byli to przymusowi robotnicy wyłapani przez nazistów w okupowanej Europie – oraz setkom tysięcy niemieckich jeńców przebywających w niewoli na obcych ziemiach. Istniała więc możliwość użycia tych samych pociągów do przewozu powracających Polaków, Czechosłowaków i Węgrów oraz etnicznych Niemców, czyli maksymalnego wykorzystania skromnych środków transportu. Szybko zdano sobie sprawę, że przedstawiciele krajów, skąd przeprowadzano deportacje, mogli, współdziałając z CRX, odegrać kluczową rolę w łagodzeniu trudności, jakie nieuchronnie musiały wyniknąć. Do końca 1945 roku zarząd okrzepł organizacyjnie, a nieliczne grono „urzędników repatriacyjnych” ze wszystkich siedmiu objętych akcją państw, z pomocą garstki sekretarek, usiłowało samodzielnie rozwiązywać problemy logistyczne związane z całym przedsięwzięciem[5]. Jeżeli jakikolwiek międzynarodowy aparat organizacyjny porządkował proces przesiedleńczy, to CRX miał największe zasługi w tym

względzie, a wobec stosunkowo niewielkiego znaczenia, jakie alianci przywiązywali do jego pracy (w składzie zarządu nikt nie miał rangi wyższej od podpułkownika), i skali postawionego zadania, jego osiągnięcia z pewnością godne są odnotowania.

Nie znaczy to jeszcze, że wszelkie działania CRX przebiegały harmonijnie. Wręcz przeciwnie – napięcia pojawiły się już w chwili, gdy członkowie tego zarządu próbowali określić normy oraz procedury przewozu i przyjmowania wysiedleńców. Negocjacje były długotrwałe i trudne, co odzwierciedlało uzasadnioną podejrzliwość krajów przyjmujących wysiedlanych ludzi wobec tych, które ich deportowały, i *vice versa*. Polski Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR), kierowany przez dr. Władysława Wolskiego, postawił największe wymagania, stanowiące dla CRX prawdziwe wyzwanie. Polacy chcieli skoordynować transfer Niemców z równoczesnym przesiedlaniem Polaków zza Bugu. Jak zwrócili uwagę Norman Davies i Roger Moorhouse, „przewiezienie około 6 milionów ludzi z ZSRR do Polski i z Polski do Niemiec wymagało organizacji administracyjnej podobnego formatu jak ta, którą stworzył Adolf Eichmann; wymagało też logistyki na skalę przynajmniej dwukrotnie większą od tej, która umożliwiła Holokaust”[6].

Pierwszymi kwestiami do rozstrzygnięcia przez CRX był termin rozpoczęcia zorganizowanych wysiedleń oraz sprawa minimalnych zapomóg i odszkodowań dla osób objętych akcją. W obu tych kwestiach obie strony, to jest kraje deportujące i przyjmujące wysiedleńców, prezentowały skrajnie odmienne stanowiska, przy czym te pierwsze dążyły do maksymalnie szybkiego transferu ludności oraz zatrzymania całego poniemieckiego majątku. W trakcie wstępnych rozmów w Berlinie na początku 1946

roku Wolski domagał się od władz brytyjskich i radzieckich nie tylko niezwłocznego przyjęcia wielkiej liczby wysiedleńców, ale także dostarczenia lokomotyw i taboru kolejowego do wywozu ich z Polski. Jak stwierdził, ponad milion przesiedlanych Polaków zza Bugu, wraz ze 170 tysiącami krów, 100 tysiącami koni, 120 tysiącami świń i 180 tysiącami owiec, już znajdowało się w drodze ku Ziemiom Odzyskanym. „Dziś, kiedy o tym rozmawiamy – Wolski oznajmił jednemu z brytyjskich negocjatorów – minister ma na karku 38 pociągów z ludźmi podążającymi na zachód”. Jeśliby owi osadnicy razem ze swoim bydłem i trzodą nie zdołali osiąść w gospodarstwach rolnych na Ziemiach Odzyskanych do czasu wiosennych zasiewów, wtedy „napływająca ludność stanie w obliczu głodu”. Bez sensu, jak stwierdził, żeby władze brytyjskie zgadzały się na przyjęcie półtora miliona wysiedlonych Niemców, jeżeli nie będzie jak ich przewieźć. Jednak ani Brytyjczycy, ani Sowieci nie dali się zapędzić do przedwczesnych działań pod wpływem „tych dość twardych żądań”. Dowódca wojskowy radzieckiej strefy okupacyjnej marszałek Georgij Żukow nie był skłonny do pomocy – poskarżył się Wolskiemu, że niemieccy wygnańcy z Polski przybywali do miejsc przeznaczenia w stanie wycieńczenia, co zmuszało lokalne władze do dostarczania im takich niezbędnych rzeczy jak koce, odzież i sztućce. Z kolei Brytyjczycy przypomnieli Wolskiemu, że już wydzielono Polakom 2 tysiące wagonów kolejowych wyłącznie z przeznaczeniem dla polskiego etapu akcji deportacyjnej, podczas gdy urzędnikom kolejowym w brytyjskiej strefie pozostało do rozwiezienia przybywających zaledwie 750. W geście dobrej woli zaoferowali przyjmowanie po 4 tysiące deportowanych dziennie, jeśli polskie lub radzieckie władze zapewnią odpowiedni transport. Sowieci ze swej strony

stanowczo poparli Brytyjczyków w odrzucaniu żądań natarczywego Wolskiego. Jednak, dając dowód swojej podejrzliwości w stosunku do koalicjanta z lat wojny oraz do polskiego rządu, domagali się, aby brytyjska misja łącznikowa, której oficjalne zadanie polegało na przyjmowaniu transportów z Polski, działała w miejscach załadunku deportowanych do pociągów, a nie na nowej polsko-niemieckiej granicy, z obawy, że wygnańcy nieprzyjęci przez Brytyjczyków zostaną bezceremonialnie pozostawieni przez Polaków w radzieckiej strefie okupacyjnej[7].

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że państwa przyjmujące wysiedleńców były w stanie dyktować warunki w tych negocjacjach, gdyż mogły po prostu zamknąć granice swoich stref i odmówić wpuszczania przesiedlanych ludzi, dopóki pewne warunki nie zostaną spełnione. To z pewnością prawda, że Brytyjczykom nie spieszyło się z zakończeniem prowadzonych rokowań. Z końcem stycznia osiągnęli w rozmowach z polskimi i radzieckimi negocjatorami wstępne porozumienie dotyczące tras przewozu deportowanych oraz poziomu minimalnej pomocy dla wysiedlanych. Znacznie wolniej szło im jednak przełożenie tego porozumienia na konkretne poczynania. Zgodnie z terminarzem przesiedleń ustalonym przez ACC chcieli, aby wymiana ludności między strefami brytyjską i radziecką według zasady „głowa za głowę” dobiegła końca do chwili przystąpienia do znacznie większej i trudniejszej masowej akcji przesiedleńczej. Liczyli też na to, że dzięki przeciąganiu rozmów, aż miną najmroźniejsze miesiące zimy, z pewnością dojdzie do zmniejszenia liczby zgonów z powodu zimna wśród przewożonych. Ale taka taktyka gry na zwłokę nie mogła się sprawdzać w nieskończoność, a nieroztropne ujawnienie jej motywów przez jednego

z brytyjskiego ministrów w parlamencie pod koniec stycznia 1946 roku zapewne poważnie ją pokrzyżowało[8]. W połowie lutego brytyjscy przedstawiciele w CRX ostrzegali, że Polacy denerwowali się coraz bardziej unikami zachodnich mocarstw w kwestii ostatecznego ustalenia daty masowej wymiany ludności, która miała się rozpocząć już dwa miesiące wcześniej. Brytyjczycy bali się, że jeżeli nie zadeklarują się w ciągu najbliższych 48 godzin, iż przystąpią do niezwłocznego przyjmowania deportowanych, to polskie władze „zaczną wysyłać pociągi bez naszej zgody”[9].

Jak się okazało, obawy te były przesadne. ZSRR, którego strefa okupacyjna już była zalana Niemcami z polskich Ziem Odzyskanych i czeskiego Kraju Sudeckiego, nie spieszył się bardziej od Brytyjczyków z przystąpieniem do zorganizowanych przesiedleń. Jednak Brytyjczycy z CRX, uważając, że dalsze zwlekanie nic nie da, nazajutrz zawarli ostateczne porozumienia z polskimi negocjatorami. Jego warunki przewidywały, że codziennie 1000 wysiedlonych miano przewozić morzem ze Szczecina do Lubeki, a stamtąd ciężarówkami do obozu przejściowego w Pöppendorf. Szlak kolejowy ze Szczecina do Bad Segeberg, 25 kilometrów na zachód od Lubeki, stanowił trasę codziennego przewozu kolejnych 1250 deportowanych, transportowanych jednym pociągiem. Drugi szlak z Kaławska przez Helmstedt do Marienthalu lub pobliskiej stacji w Alversdorf przewidziano na dwa składy wagonów, mogące dziennie zabierać maksymalnie do 3 tysięcy ludzi. Trzecia zaplanowana trasa przewozu kolejowego, z Kaławska do Friedlandu koło Getyngi, miała posłużyć do przewozu 2500 wysiedleńców na dobę; nie wykorzystano jej z przyczyn logistycznych. Linie ze Szczecina do Segebergu i z Kaławska do Marienthalu lub

Alversdorfu chciano uruchomić 20 lutego; o datach otwarcia innych szlaków postanowiono zadecydować później. Mimo że nie oczekiwano, by od razu udało się osiągnąć tygodniową przepustowość w granicach 56 tysięcy przewiezionych osób, to Brytyjczycy wyrazili gotowość do przyjmowania co najmniej 45 tysięcy ludzi na tydzień od 1 marca 1946 roku[10].

Brytyjsko-polskie porozumienie wyszczególniało również normy dotyczące warunków, w jakich miano przewozić wysiedleńców. Brytyjczycy zgodzili się zająć Niemcami na początkowych stacjach i – zgodnie z żądaniami Sowietów – skierowali w tym celu sześcioosobowe zespoły łącznikowe do Kławska i Szczecina. Po przeprowadzeniu przez te ekipy inspekcji i wydaniu zgody na ich transport wysiedleni Niemcy mieli już bez przeszkód zmierzać do wyznaczonych miejsc w strefie brytyjskiej. Wszystkie lokomotywy i cały tabor kolejowy dostarczali Polacy albo, tam gdzie się dało, Sowieci; nadto Polacy zobowiązali się do przydzielania do każdego z transportów straży złożonej z dziesięciu żołnierzy, którym Brytyjczycy winni zapewnić nocleg w swoich ośrodkach, gdzie przyjmowano uchodźców. Wysiedlonych przed ich wejściem do wagonów należało zdezynfekować proszkiem DDT. Każdemu z tych Niemców wolno było zabrać tyle bagażu, ile mógł unieść w ręku, i nie więcej niż 500 marek w banknotach. Rodzin miano nie rozłączać, a ciężarne i młode matki, w okresie krótszym od sześciu tygodni do i od czasu rozwiązania, zwalniano tymczasowo z obowiązku wyjazdu. Na pierwszych dwóch ze wspomnianych powyżej tras Polacy winni byli zaopatrywać transporty w żywność na dwa dni podróży oraz zapas wystarczający na jeszcze jeden dzień; na dwóch następnych – racje prowiantu na trzy dni plus zapas na jeszcze jedną dobę. Chorych fizycznie i umysłowo, sieroty oraz

przestępców miano nie przewozić aż do samego końca akcji deportacyjnej. I wreszcie uzgodniono przygotowywanie oficjalnych list z nazwiskami wysiedlanych oraz zaświadczeniem lekarskim, że nikt z odbywających podróż nie cierpi na żadną z chorób zakaźnych[11].

Inne umowy między krajami przeprowadzającymi wysiedlenia a władzami przyjmującymi deportowanych zbliżone były w treści do powyższej. Władze radzieckie w Niemczech wynegocjowały nieco lepsze warunki z rządem czechosłowackim, żądając, aby każdego z 600 tysięcy wysiedleńców zaopatrzyć z 50-kilogramowy bagaż i co najmniej 500 marek, niemieckich lub okupacyjnych – w razie konieczności z czechosłowackich środków. Podwójne zaświadczenia lekarskie, sygnowane zarówno przez lekarzy czechosłowackich, jak i niemieckich, miały potwierdzać, że podróżujący na nic nie chorują, w każdym z pociągów winny jechać dwie niemieckie pielęgniarki. Uzgodniono podstawianie osobnych wagonów dla osób wymagających leczenia oraz chorych umysłowo. Maksymalnie do 30 przewożonych miało się znaleźć w każdym z 42 lub 43 wagonów w składzie pociągów, co oznaczało, że każdy transport zabierał nie więcej od 1200 ludzi. W zamian Sowieci zgodzili się na przyjmowanie, począwszy od 10 lipca 1946 roku, trzech pociągów dziennie przez sześć dni w tygodniu, kursujących po krótkiej trasie z Podmokly (Bodenbach) do Bad Schandau oraz trzech kolejnych jadących z miejscowości Tršnice do Gery bądź Altenburga w Turyngii. Obowiązywał ściśle ustalony rozkład jazdy, aby pociągi mogły powracać do Czechosłowacji tego samego wieczoru, w dniu, kiedy wjeżdżały do Niemiec. Poza tym podczas miesięcy letnich barki rzeczne z wysiedleńcami miano przyjmować też w miejscowościach Wittenberg w Saksonii i Wittenberge

w Brandenburgii. Z kolei porozumienie między ZSRR a Polską odzwierciedlało strategiczne interesy Związku Radzieckiego, związane z dążeniami do maksymalnie szybkiego oczyszczenia Ziem Odzyskanych z Niemców, i było wyraźnie mniej szczegółowe. ZSRR obiecywał przyjmowanie pociągów, wiozących po 1500–1700 deportowanych, w Forst i Zgorzelcu, wymagając przy tym tylko tak niewyszukanych papierów jak potwierdzenie transportu i zaświadczenia medyczne oraz dokumenty tożsamości przewożonych osób[12].

Najbardziej rygorystyczne warunki stawiało dowództwo amerykańskiej strefy okupacyjnej, które zastrzegało sobie, zgodnie z planem Alianckiej Komisji Kontroli (ACC), prawo akceptacji wychodźców zarówno z Czechosłowacji, jak i z Węgier. Amerykanie nabrali przezorności, wcześniej lekkomyślnie dając się namówić na przedwczesne rozpoczęcie zorganizowanych wysiedleń, przed ustaleniem na piśmie norm odnoszących się do takiej operacji. Pod koniec listopada pułkownik John H. Fye, były zastępca szefa sztabu XXII Korpusu Armii Amerykańskiej, został wyznaczony na oficera łącznikowego do spraw wysiedleń przy czechosłowackim Sztabie Głównym. W skład „jednostki”, na której czele stanął, weszli, obok niego, miejscowa tłumaczka, sekretarz i kierowca. „W trakcie całej tej operacji nasza sekcja była osierocona”. Pod wpływem złych rad Fye uległ swoim gospodarzom i zgodził się, aby transporty do strefy amerykańskiej wyruszyły już dwa tygodnie później. Rezultaty tego okazały się katastrofalne. Pierwsze pociągi, wyprawione w drogę 13 grudnia 1945 roku, „wywołały głośne protesty w Bawarii” z powodu „ogołocenia ze wszystkiego” wysiedleńców przybywających do Niemiec. Jeden z pociągów, który dotarł do Hof 16 grudnia 1945 roku, wiózł 650 deportowanych, którzy

przebywali w temperaturze –9ºC. Kiedy na miejscu otwarto wagony, przedstawiciele Czerwonego Krzyża oczekujący na ten transport stwierdzili, że w drodze zmarło 94 pasażerów, w tym 22 dzieci[13]. Czechosłowackie MON odrzuciło skargi wojsk amerykańskich dotyczące stanu, w jakim przybywały te transporty, wskazując, że „nie było pisemnego zezwolenia na to, aby wyjeżdżający zabierali coś poza «minimum niezbędnej odzieży i pościelą». To nie oznacza dużej ilości ubrań, a koc można uznać za minimalne niezbędne okrycie na noc”. Jednak wskutek amerykańskich protestów i braku odpowiedniego przygotowania Czechosłowaków 29 grudnia zawieszono kolejne transporty, aż do podjęcia tydzień później negocjacji przez zespół amerykańskich oficerów z Monachium oraz przedstawicieli czechosłowackich władz cywilnych i wojskowych[14].

Zgodnie z postanowieniami zawartymi w spisanym na owym spotkaniu protokole lokalne władze czeskie miały powiadamiać wysiedlanych z co najmniej 48-godzinnym wyprzedzeniem o zaplanowanej ich deportacji. Planowano, że będą trafiać do obozu przejściowego w celu przejścia oględzin lekarskich i wydania odpowiednich dokumentów. Po takiej procedurze miano ich kierować do wagonów towarowych, przy czym jeden taki wagon mógł pomieścić maksymalnie 50 wysiedleńców. Władze amerykańskie przejmowały odpowiedzialność za transport dopiero do jego dotarciu do granicy ich strefy okupacyjnej. Miały wtedy przeprowadzić inspekcję w pociągu, sprawdzić spis z nazwiskami i dopilnować, aby nikt z deportowanych nie został odłączony od swojej rodziny, i wreszcie przyjąć pociąg, polecając odwiezienie z powrotem osób bez odpowiednich dokumentów, lub też odesłać cały transport. Po przyjęciu przez Amerykanów deportowani powinni

dostać gorący posiłek, przejść dezynfekcję i zostać przekazani niemieckim władzom okręgowym, aby te zajęły się ich osiedleniem[15]. W odróżnieniu od Brytyjczyków, którzy wydawali przesiedleńcom dokumenty zaraz po ich przybyciu, Amerykanie nalegali, żeby wszystkich Sudetendeutschów zaopatrywać w dowody tożsamości, z informacjami po czesku, niemiecku i angielsku, jeszcze przed skierowaniem ich do pociągów. Czechosłowacy uskarżali się, że samo drukowanie takich dokumentów opóźni wznowienie akcji przesiedleńczej o kilka tygodni[16]. Początkowo jeden pociąg dziennie z 1200 wywożonymi miał być przyjmowany w Furth im Wald. Po miesiącu liczba przewożonych podwoiła się, kiedy Wiesau, miejscowość na wschód od Bayreuth, uruchomiono jako kolejny punkt przyjmowania uchodźców. Do 1 maja codziennie przybywało do strefy amerykańskiej przez te dwie stacje po 7200 wysiedlonych, a mniejsza ich liczba docierała tam pojazdami lub przekraczała granice pieszo. Czechosłowacki Sztab Główny zaproponował wykorzystanie dunajskich statków do przewozu kolejnych Niemców ze Słowacji do Pasawy, lecz Amerykanie odrzucili ten pomysł z przyczyn logistycznych[17].

Wobec faktu, że Węgry były w czasie wojny we wrogim obozie, Aliancka Komisja Kontroli na Węgrzech (ACC[H]) nie podejmowała dyskusji z tymczasowym rządem budapeszteńskim, zamiast tego wydając mu polecenia. W praktyce okupacyjne władze amerykańskie, sprawujące nadzór nad strefą na Węgrzech zamieszkaną przez Niemców, nazywanych Szwabami, miały wolną rękę w dyktowaniu tymczasowej administracji Béli Miklósa swojej woli. Amerykanie nakazali, ażeby deportacje rozpoczęły się 15 grudnia 1945 roku, a jeden pociąg, złożony z 40 ogrzewanych wagonów, miał przewozić po

1000 pasażerów, poddanych zawczasu badaniom lekarskim i zaopatrzonych w niezbędne dokumenty. Każdy z wysiedlonych, w tym dzieci, mógł zabrać do 100 kilogramów bagażu. Inspektorat, w którego skład wchodzili przedstawiciele trzech zwycięskich mocarstw, winien dbać o to, by w „rejonach koncentracji" oraz w samych pociągach były w miarę ludzkie warunki, chociaż marszałek Woroszyłow stwierdził w rozmowie z członkami ACC(H), że „określenie «ludzkie» należy pojmować względnie, w odniesieniu do ogólnych warunków przesiedleń"[18].

Reprezentanci trzech państw „poczdamskich", zagraniczni dyplomaci i wysłannicy światowej prasy zostali zaproszeni, aby przypatrzyć się wzorowym warunkom pierwszych „zorganizowanych wysiedleń". Jak można się było spodziewać, rządowi czechosłowackiemu powiodło się w największym stopniu urządzenie stosownie przekonującego spektaklu dla owych obserwatorów. Brytyjski konsul w Karlowych Warach Oswald Bamborough, były dziennikarz państwowego Czechosłowackiego Radia, uczestniczył w oglądaniu pierwszego „oficjalnego" transportu Sudetendeutschów deportowanych z Mariańskich Łaźni 25 stycznia 1946 roku. Podobnie jak pozostali zaproszeni, w tym ambasador USA Steinhardt i inni dygnitarze, nie mógł się nadziwić ewidentnym staraniom czechosłowackich władz podjętym po to, aby deportowani nie mieli powodów do narzekań. Najpierw zebrano prawie 1000 kobiet i dzieci oraz 240 mężczyzn w byłych koszarach wojsk amerykańskich, mogących pomieścić co najmniej sześciokrotnie więcej ludzi. Niezwłocznie zostały wydane wysiedleńcom racje żywności na cały dzień i zgromadzono zapas jedzenia wystarczający na jeszcze trzy dni. W pociągu podstawionym dla ich przewozu do Bawarii znajdował się przedział Czerwonego

Krzyża z niemieckimi pielęgniarkami, a wszyscy pasażerowie przeszli zawczasu badanie przeprowadzone przez niemieckiego lekarza. Czeski komendant nadzorujący całą tę procedurę potwierdził, że nic z dobytku wysiedlonych nie podległo konfiskacie, a jeśli chodzi o przepis o dopuszczalnym 50-kilogramowym bagażu, to „polecił [kontrolerom] nie wykazywać w tej mierze zbytniej skrupulatności". W istocie tych, którzy przybyli na miejsce zbiórki bez odpowiedniej odzieży, sami Czechosłowacy zaopatrzyli w potrzebne rzeczy. Ekipa filmowa, kręcąca film *Upływ czasu* i sprowadzona na tę okazję, zarejestrowała na kliszy uśmiechnięte, schludnie ubrane Niemki sudeckie z dziećmi, czekające w kolejce po ostatni gorący posiłek wydany im z polecenia komendanta obozu przed ich wejściem do pociągu[19]. Bamborough był na tyle poruszony tym przedstawieniem, że w swej oficjalnej depeszy donosił o „głębokim wrażeniu, jakie wywarło na mnie zachowanie czeskich urzędników państwowych; jestem przekonany, że są oni zdecydowani wprowadzić w czyn słowa, tak często wypowiadane przez ich rzeczników, że transfer Niemców należy przeprowadzić po ludzku"[20]. Pewien brytyjski reporter, zaproszony przez władze do przyglądania się innemu zainscenizowanemu transportowi z Karlowych Warów, uznał to, co ujrzał, za „bardziej coś w rodzaju zakończenia przyjęcia w wiejskim ogrodzie niż część wielkiego przesiedlenia ludności". I, jak wielu zagranicznych obserwatorów, wyraził zadowolenie ze sprawiedliwości, jaka spotkała Sudetendeutschów*:*

> Gdy ich pociąg potoczy się w kierunku Rzeszy, ci Sudetczycy pewnie wspomną radosne dni, kiedy roztrzaskiwano na drobne kawałki okna wystawowe w żydowskich sklepach, podpalano siedziby związków

zawodowych, a lud, zwyczajny lud biegał wokoło, szukając kogoś, kogo można było pobić, i krzyczał: „Chcemy znaleźć się w ojczystej Rzeszy!”. Wkrótce to życzenie się spełni[21].

Podobne „potiomkinowskie” wysiedlenia organizowane przez inne państwa objęte poczdamskim porozumieniem okazały się zdecydowanie mniej pomyślne. Brytyjscy i amerykańscy obserwatorzy oraz korespondenci agencji Reutera, zaproszeni do oglądania pierwszej grupy deportowanych opuszczających Węgry, stwierdzili, że wbrew oficjalnym przepisom wysiedlonym w pewnych przypadkach dano na przygotowanie się do wyjazdu zaledwie 10 minut. Wielu korzystało z ogólnego zamieszania towarzyszącego akcji i uciekało na wieś; z 1000 Volksdeutschów z miasteczka Budaörs, oddalonego o 13 kilometrów od Budapesztu, którzy mieli wyjechać do Niemiec pierwszym pociągiem 19 stycznia 1946 roku, tylko 700 – przy czym nie tylko osób narodowości niemieckiej – naliczono na stacji. System przedwyjazdowych lekarskich badań kontrolnych rychło się załamał i zrezygnowano z nich, a pociąg, który ostatecznie wyruszył w drogę, jechał tak wolno – przebycie 260 kilometrów z Budapesztu do pierwszego przystanku w Wiedniu potrwało prawie trzy dni – że pasażerom zaczął poważnie doskwierać głód. Wbrew ustaleniom przesiedleńcom nie wydano żywności przed podróżą, a amerykańscy inspektorzy, kontrolujący wagony po wjeździe pociągu do amerykańskiej strefy w Freilassing stwierdzili, że wobec różnych nieprawidłowości, warunki, w jakich odbywał się ten transport, zasługiwał na miano „nieludzkiego traktowania” wysiedlonych[22]. Podobnie było w przypadku pociągu Polskiego Czerwonego Krzyża, kiedy to chciano wykazać, jaką troską władze polskie

otaczały chorych i sędziwych wysiedleńców z Ziem Odzyskanych. Podczas pierwszego rozreklamowanego przejazdu tego pociągu z Wrocławia do Aurich na zachód od Wilhelmshaven pożądany efekt propagandowy został osłabiony przez to, że „dosyć wielu" pasażerów cierpiało na chorobę Alzheimera i „nie zdawało sobie sprawy, nawet podczas jazdy, co się z nimi działo", a także przez wydzielenie niedostatecznych racji żywności – mniej niż 150 gramów chleba na osobę dziennie. Pięcioro deportowanych zmarło w drodze, a jeszcze jeden tuż po przybyciu na miejsce[23].

Pomimo ogólnej dezorganizacji niektórzy alianccy wojskowi uważali, że węgierski rząd od początku przynajmniej próbował, choć nieskutecznie, sprostać wymaganiom postawionym przez ACC(H). Nie da się jednak tego w żaden sposób powiedzieć o akcji wysiedleń z polskich Ziem Odzyskanych do brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech, której nadano kryptonim „Jaskółka". Korespondent gazety „Manchester Guardian", obserwujący pierwszy transport przybyły ze Szczecina do Lubeki 3 marca 1946 roku, ustalił, że 250 przesiedleńców poważnie chorowało i wymagało hospitalizacji; podróży nie przeżyli półtoraroczne dziecko i 73-letni starzec. „W późniejszych transportach ofiar było więcej". Konwoje z przesiedleńcami składały się w znacznej mierze ze starych ludzi; większość deportowanych przekroczyła pięćdziesiąty rok życia, a „wielu było po osiemdziesiątce". Duży odsetek wywożonych nie jadł niczego od prawie tygodnia, ani podczas przejazdu pociągiem, ani wcześniej, w obozie zbiorczym w Szczecinie-Gumieńcach. Jednak najbardziej niepokojącą sprawą były oznaki systematycznego, długotrwałego maltretowania przybyłych, wyraźnie widoczne ślady fizycznego znęcania się nad nimi oraz

gwałtów. „Większość kobiet, jak ustalili przeprowadzający oględziny brytyjscy lekarze wojskowi, zgwałcono, między innymi dziesięcioletnią dziewczynkę i inną, szesnastoletnią”[24].

Po upływie ledwie kilku tygodni od podjęcia „zorganizowanych wysiedleń” stało się jasne dla władz okupacyjnych w Niemczech, że to akcja „Jaskółka”, a nie kierowane przez naczelne organy państwowe deportacje, będzie wzorcem dla całego przedsięwzięcia. Ze wszystkich stron zaczęły napływać raporty z ośrodków, gdzie przyjmowano uchodźców, o gigantycznych trudnościach wynikających z prób załagodzenia skutków wcześniejszego systematycznego maltretowania przybyłych osób. W trzech pierwszych transportach przyjętych w obozie tranzytowym w Pöppendorf w brytyjskiej strefie okupacyjnej znajdował się „znaczny odsetek starych ludzi, najczęściej w bardzo złym stanie, przy czym wielu na skraju śmierci, z krwiakami i innymi śladami pobicia”. Z 4100 wysiedlonych z tych trzech transportów 524 zaraz po ich przybyciu zabrano do szpitala[25]. Ponownie komendant wspomnianego obozu zameldował swoim zwierzchnikom, że większość kobiet w przyjeżdżających pociągach, a także pewna liczba dzieci to ofiary wielokrotnego zgwałcenia[26]. Pewien pułkownik armii brytyjskiej, który w kwietniu widział pociąg z wygnańcami w Bielefeld, był wstrząśnięty „uderzającym i przerażającym faktem”, że prawie wszyscy pasażerowie zostali niedawno „poważnie zmaltretowani”, mają „głębokie blizny na czaszkach, poprzetrącane palce, połamane żebra, które same mniej więcej się zaleczyły, oraz częściowo rozległe [*sic*!] krwiaki na plecach i nogach. Te ostatnie widziano także u kobiet”[27]. „Znaczny odsetek” wysiedlonych skierowano od razu do szpitala[28].

Szczegółowy raport z pierwszego pociągu przybyłego w ramach akcji „Jaskółka” do Detmold w Westfalii odmalowuje typowy obraz „zorganizowanych wysiedleń” z polskich Ziem Odzyskanych w owym czasie. Spośród 1507 deportowanych w wagonach 516 to były dzieci; wiele z nich przyjechało boso. Ludzi tych wywleczono z łóżek w nocy 20 lutego 1946 roku i polecono im zebrać się do wyjazdu w ciągu dziesięciu minut, w związku z czym wielu rodziców nie zdążyło znaleźć dziecięcych bucików. Niemców tych zabrano do obozu, gdzie od grupy oddzielono mężczyzn; więcej już o nich nie słyszano. Następnie kobiety i dzieci zostały odprowadzone na stację kolejową; odebrano im bagaże, a niektóre bito po drodze. Niemki wraz z dziećmi znalazły się w pociągu, a ten dotarł do Detmold dopiero 3 marca. „Gdy przejeżdżał przez strefę radziecką, czerwoni [Sowieci] wydali im trochę kawy, po około funta chleba i nieco cukru i było to całe pożywienie w czasie dziesięciodniowej podróży”[29]. Ewakuację tę przeżyło w takich warunkach, zaskakująco wiele osób.

We wszystkich bez wyjątku raportach zwracano uwagę na nader wysoki odsetek starych ludzi w tych transportach. Dwaj brytyjscy oficerowie, przyjmujący pociąg z 1400 wysiedlonymi, przybyły w ramach akcji „Jaskółka”, zobaczyli scenkę „przypominającą rysunki Emmetta z *Puncha* [czasopisma satyrycznego]. […] Bardzo wielu starców i staruszek, którym pozostało kilka miesięcy życia. Niektórzy z nich ledwie chodzili; większość trzeba było wynieść z pociągu. […] Widzieliśmy tylko dwóch zdrowych młodzieńców, a obeszliśmy cały pociąg”[30]. Jednocześnie alianccy obserwatorzy wojskowi odnotowali „bardzo niepokojącą absencję małych dzieci, poniżej drugiego roku życia”, na skutek wysokiej śmiertelności niemowląt z głodu panującego wśród wysiedleńców na polskich Ziemiach

Odzyskanych[31]. Cykl analiz statystycznych, przeprowadzonych w marcu i kwietniu, wykazał, że polskie władze wykorzystywały sposobność do pozbycia się nieproduktywnego elementu niemieckiej ludności, zatrzymując natomiast mężczyzn w wieku produkcyjnym do robót przymusowych. Tylko około ośmiu procent wysiedleńców docierających do brytyjskiej strefy okupacyjnej z Ziem Odzyskanych było zdrowymi i sprawnymi mężczyznami; w tym samym okresie pewien oficer Armii Czerwonej oszacował odsetek tychże przybywających do strefy radzieckiej na 10 procent[32].

Równie niepokoił Brytyjczyków bałagan, w jakim akcja „Jaskółka" przebiegała po polskiej stronie granicy. Władze w Warszawie stale zaniedbywały wymóg zaopatrywania wysiedleńców w żywność na drogę i na pierwszy dzień pobytu w Niemczech, choć zobowiązywało ich do tego porozumienie CRX; nawet kiedy Brytyjczycy proponowali, że sami dostarczą prowiant, Polacy często odmawiali jego przyjęcia. Jak wykazało przeprowadzone dochodzenie, dla wykarmienia 37 tysięcy nowo przybyłych wygnańców przez pierwszy dzień ich pobytu w obozie Alversdorf Polacy wysłali 198 bochenków chleba, 180 kg mięsa, 10 kg substytutu kawy i 4 kg cebuli[33]. Niekiedy same polskie straże pilnujące transportu nie miały prowiantu i musiały „wypraszać racje [żywności od Brytyjczyków] po przyjeździe". Poza tym strażnicy ci nie byli w stanie udaremniać Sowietom, w trakcie przejazdu pociągów w akcji „Jaskółka" przez radziecką strefę okupacyjną, wyrzucania do strefy brytyjskiej osób, których Sowieci z takich czy innych powodów chcieli się pozbyć. W jednym z takich przypadków zgłoszonych przez polskie władze oddział Armii Czerwonej zatrzymał przejeżdżający pociąg w Völpke w Saksonii-Anhalt i tam umieścił w wagonach 70

Niemców spoza polskich Ziem Odzyskanych[34]. Innym razem doszło do incydentu w Wittenberdze, kiedy jednostka radzieckiego wojska usiłowała umieścić dodatkowych pasażerów w pociągu z wysiedleńcami, i zakończył się on tragicznie, gdy w czasie zażartego sporu z polskimi strażnikami jeden z czerwonoarmistów przypadkowo postrzelił niemieckie dziecko[35]. Identyczny problem odnotowano w Pöppendorf, gdzie podczas wyrywkowego sprawdzania przybyłych stwierdzono obecność 195 osób, których nazwisk brakowało w spisach, za to 100 innych, figurujących na liście, nie było[36].

Jeszcze gorsze było to, że strażnicy na ogół nader często używali broni. Punkt graniczny przy wjeździe do strefy brytyjskiej był miejscem nieustannych starć i incydentów, gdyż wygnani Niemcy korzystali wtedy z okazji „wylewania kubłów pomyj na głowy strażników", kiedy tylko znaleźli się poza polską jurysdykcją. Uleganie takiej pokusie bywało wszak nieroztropne. Wielu członków polskiej straży kolejowej reagowało na wszelkie prowokacje w strefach brytyjskiej czy radzieckiej równie ostro, jak na samych Ziemiach Odzyskanych[37]. W dodatku Polacy wyładowywali złość bynajmniej nie tylko na Niemcach. W rezultacie takich incydentów, jak zauważył komendant Kławska, „polscy strażnicy, którzy wysiadają tu z pociągów, wracają [z brytyjskiej strefy] bardzo rozeźleni, co stanowi dla personelu tej jednostki niemałe zagrożenie"[38]. W kwietniu Brytyjczycy skierowali do Warszawy oficjalną skargę, że straże pociągu odjeżdżającego z Marienthalu miały zwyczaj „otwierania ognia z pistoletów maszynowych. Zdarzało się to wielokrotnie od rozpoczęcia [akcji] «Jaskółka»"[39]. Podczas kolejnego zajścia dwa miesiące później pijany strażnik kolejowy w Szczecinie zaczął strzelać z pistoletu

maszynowego do Niemców ustawianych w szeregu przed wyjazdem, zabijając jedną z wysiedlonych kobiet[40]. Nic więc dziwnego, że brytyjscy oficerowie doszli do wniosku, iż „straże pociągów wydają się beznadziejne i całkowicie niezdyscyplinowane”, i zaproponowali, aby zakazywano im opuszczać transport, gdy pociąg zatrzymywał się na którejś ze stacji w strefie brytyjskiej[41]. Pod koniec czerwca major Boothby zaapelował wprost do Wolskiego, aby ów przestał formować straże pociągów z grona milicjantów, będących, jak niedyplomatycznie stwierdził, „młodzikami bez wojskowej dyscypliny i wojskowego przeszkolenia”, i zamiast tego przydzielać takie zadania „karnym żołnierzom”[42].

Mimo że logistyka transferu wysiedlanej ludności z Polski do strefy radzieckiej była mniej skomplikowana ze względu na krótszy dystans do przebycia, to doświadczenia Sowietów z kontaktów z Polakami – o czym świadczy litania formalnych skarg, którymi jednostki Armii Czerwonej zaczęły dosłownie zasypywać Ministerstwo Ziem Odzyskanych (MZO) – nie różniły się specjalnie od tych będących udziałem Brytyjczyków. Chociaż wywózki Niemców na masową skalę nie zaczęły się do połowy lata, dowódcy wojskowi w strefie radzieckiej starali się iść na rękę Polakom, przyjmując już przedtem nieliczne transporty. Wkrótce pożałowali tej uczynności. Na początku marca radziecki zarząd wojskowy w Niemczech domagał się poinformowania, dlaczego jeden z pociągów przyjechał na miejsce z 379 pasażerami mniej, niżby to wynikało z przywiezionego spisu, i dlaczego straże transportu nie zapobiegły ucieczkom po drodze. Trzy dni później Sowieci oprotestowali akcję Polaków, którzy przeprowadzili obławę na około 350 Niemców w Toruniu, nie powiadamiając nikogo, przewieźli ich do Frankfurtu nad Odrą i tam

bezceremonialnie pozostawili ich w centrum miasta[43]. Na liście radzieckich skarg czołowe miejsce zajmowała także kwestia niedostatecznego zaopatrywania przesiedleńców w prowiant[44]. W konsekwencji przebywający w Niemczech brytyjscy urzędnicy nadzorujący akcję deportacyjną ze zdumieniem stwierdzili, że ich sowieccy koledzy, stanąwszy w obliczu wielu takich samych problemów z polskimi władzami, stali się, co było dla nich nietypowe, pomocni i skłonni do współpracy. Niekiedy oficerowie Armii Czerwonej nawet brali na siebie przeprowadzanie inspekcji pociągów jadących na zachód i w razie potrzeby udzielali brytyjskim zespołom łącznikowym „przyjacielskiego ostrzeżenia, że, ich zdaniem, warunki [w tych transportach] były niezadowalające”[45].

Po upływie zaledwie dwóch miesięcy od chwili rozpoczęcia polskich „zorganizowanych wysiedleń” akcja ta zeszła do poziomu na tyle bliskiego chaosowi, że urzędnicy i oficerowie na terenach, gdzie przyjmowano przesiedleńców, zaczęli się domagać niezwłocznego jej wstrzymania. Brytyjczykom nie poprawił nastroju ton oświadczeń, towarzyszących tej operacji przesiedleńczej, składanych przez oficjalne polskie media. Pod koniec marca Radio Warszawa nierozsądnie zapewniało swoich słuchaczy, że nie muszą się martwić o ekonomiczne skutki wysiedleń, ponieważ z kraju wywożono głównie „osoby niepracujące”. Ta sama rozgłośnia twierdziła, że wyjeżdżającym Niemcom zawsze daje się dość czasu i „pozwala zabierać cały dobytek, jaki mogą unieść. W praktyce zabierają o wiele więcej”. Wysiedleńcy rzekomo wyjeżdżali „w wyraźnie dobrych nastrojach, pośród śmiechu i żartów. […] Nieczęsto Niemcy wyrażają stosowne podziękowania polskim władzom. Powinny na to zwrócić uwagę pewne zagraniczne kręgi, które nie szczędzą słów współczucia dla Niemców”.

Następnie Radio Warszawa łajało Brytyjczyków za próby spowolnienia tempa przesiedleń w związku z tym, że nie pozwalano Polakom upychania większej liczby deportowanych do wagonów kolejowych, aniżeli wyszczególniono to w porozumieniu CRX. „Zmiana taka wymagałaby zgody brytyjskich władz, które, jak do tej pory, wykazywały większą troskę o wygodę Niemców niż o nasz tabor”[46].

Jakby wbrew swemu wcześniejszemu obojętnemu nastawieniu do cierpień Niemców Jack Troutbeck z brytyjskiego MSZ zareagował na liczne doniesienia o tym, że Polacy nie dotrzymywali przyjętych ustaleń, propozycją, by Brytyjczycy „postąpili wzorem Amerykanów” i zażądali od polskich władz zapewnienia minimalnych standardów w odniesieniu do prowadzonej akcji deportacyjnej. W razie odmowy „powinniśmy odciąć transport i pozamykać szlaki przewozowe”[47]. Bevin poparł to twarde stanowisko, a 10 kwietnia polecono ambasadorowi Cavendishowi-Bentnickowi w Warszawie postraszyć Polaków zawieszeniem akcji „Jaskółka” i poinformować ich, że „ponieważ kontrolujemy cały transport, nie mamy zamiaru w dalszym ciągu przyjmować imigrantów w warunkach, jakie panują do tej pory”[48]. Ambasadora ta bezkompromisowa instrukcja wprawiła w przerażenie, gdyż groziła zepsuciem przyjaznych relacji, jakie nawiązał z polskim rządem. W serii depesz nadanych do Londynu bronił stanowiska Warszawy. Niewłaściwe było, jak przekonywał, przykładanie zachodniej koncepcji praw człowieka do Słowian. „O ile warunki, w jakich Polacy wyrzucają Niemców, mogą się wydawać nieludzkie, to Polacy – tak jak Rosjanie – mają [w tym względzie] inne normy od naszych”[49]. Nazajutrz złożył nadprogramową wizytę w obozie zbiorczym w Szczecinie, aby przyjrzeć się

przebiegowi deportacji. To, co ujrzał, przekonało go, jak raportował do Londynu, że „Polaków nie ma co obwiniać” za wszelkie wynikłe trudności. Zgony i porody w trakcie przewozu ludzi wynikały z tego, że chore i ciężarne kobiety ukrywały swój stan, aby nie zostać odłączone od swoich rodzin. Jak uważał, kobiety, dzieci oraz starcy stanowili zdecydowaną większość wysiedlanych, dlatego że na Ziemiach Odzyskanych „jest bardzo niewielu sprawnych i zdrowych Niemców”. Cavendish-Bentnick uzyskał też poparcie ze strony Franka Savery’ego, niegdysiejszego brytyjskiego konsula generalnego w Warszawie, który stwierdził w MSZ, iż „wygląda to tak, jak gdyby brytyjska opinia publiczna dała się omamić niemieckiej propagandzie”[50].

Dyplomaci i politycy w Londynie nie uznali tych argumentów w obronie polskich władz za szczególnie przekonujące. Rozpaczliwy stan, w jakim docierali do stref okupacyjnych przesiedleńcy, nie był wymysłem niemieckiej propagandy, tylko niezbitym faktem, z namacalnymi konsekwencjami, z którymi przeciążone obowiązkami władze brytyjskie w miejscach, gdzie przyjmowano wysiedlanych, ledwie dawały sobie radę. Polskie radio już potwierdziło obowiązującą politykę zatrzymywania zdolnych do pracy niemieckich mężczyzn do robót przymusowych, w której wyniku wstrzymano całkowicie akcję deportacyjną z takich miast jak Wrocław[51]. Co się zaś tyczyło wniosku o odmiennej definicji humanitaryzmu w Europie Wschodniej, to jeden z brytyjskich oficjeli skomentował to z przekąsem: „Ciągle słyszymy, jacy to chrześcijanie z Polaków. Czy nie mogliby więc choć raz postąpić jak chrześcijanie?”[52]. Ale opór ambasadora wobec udzielonych mu instrukcji dał „jastrzębiom” w Londynie cenny czas na spójną reakcję. Dennis Allen

z MSZ, który wyrażał się nieprzychylnie o „zachowywaniu się jak babcia” podczas „dzikich wypędzeń” z Czechosłowacji rok wcześniej, stanowczo poparł Cavendisha-Bentnicka. „Nieustannie przestrzegał nas, że zarzut zbytniej troskliwości w stosunku do Niemców jest dosłownie jedyną kwestią w obecnej antybrytyjskiej kampanii propagandowej, niezmiennie poruszającej wszystkie odłamy polskiej opinii publicznej”[53]. Brytyjscy przedstawiciele w Alianckiej Komisji Kontroli w Niemczech także zalecali okazywanie większej wyrozumiałości Polakom, którzy, jak wskazywano, przyznali 29 kwietnia, że istotnie zatrzymywali sprawnych Niemców i obiecali to zmienić w najbliższej przyszłości[54]. Ostatecznie racja stanu zatriumfowała nad skargami władz wojskowych w strefie brytyjskiej. Siódmego maja Bevin wydał Cavendishowi-Bentnickowi nowe polecenie, prosząc go o „nieformalne podkreślenie” w Warszawie, że „zarówno na nas, jak i na nich [Polaków] prawdopodobnie spadnie silna krytyka światowej opinii wobec tych przesiedleń”, o ile nie polepszą się warunki akcji deportacyjnej[55]. Tymczasem brytyjskie zespoły łącznikowe w Kławsku i Szczecinie otrzymały instrukcję, aby od tej pory nie zgadzali się na odprawianie żadnego transportu niespełniającego kryteriów i norm CRX uzgodnionych z Polakami trzy miesiące wcześniej[56].

W rzeczywistości, co i Brytyjczycy, i Polacy dobrze rozumieli, były to czcze groźby. Codziennie przez stacje, z których odjeżdżały pociągi z wysiedleńcami, przelewały się takie masy ludzi, że wszelkie próby wyselekcjonowania kogokolwiek poza najbardziej niedomagającymi wygnańcami rychło doprowadzały do kolosalnych opóźnień. Jak tłumaczył podpułkownik Growse, poprzednik Boothby’ego na stanowisku szefa zespołu łącznikowego

w Kławsku: „Gdy tylko pozostawi się kogoś na stacji po odjeździe drugiego pociągu [każdego kolejnego dnia], grupa tych ludzi będzie rozrastała się codziennie, aż w końcu masy bezdomnych i wygłodniałych Niemców zapełnią całe miasto”[57]. W istocie do czegoś takiego doszło już w Szczecinie. W jednym z dwóch obozów zbiorczych w tym mieście, starej cukrowni w zachodniej dzielnicy Gumieńce (Stettin-Scheune), nie było okien, drzwi, jakichkolwiek mebli czy posadzek; często zdarzały się tam rabunki i gwałty popełniane przez milicjantów. Przewidywano, że w obozie w Gumieńcach wysiedleni mieli przebywać przez jedną lub dwie doby. Na początku kwietnia pociągi tak się opóźniały z powrotami z brytyjskiej strefy, że liczba ludzi w obozie rozrosła się do ponad ośmiu tysięcy, czyli trzykrotnie większej od tej określonej jako maksymalnie dopuszczalna, i zaczynało brakować żywności[58]. W obozie warunki stały się tak złe, że w 1946 roku Sowieci zażądali od władz polskich odnowienia tamtejszych zabudowań i przeciwdziałania rozprzestrzenianiu się chorób przez przeniesienie chorych wysiedleńców do szpitala. Polacy nie zgodzili się na to, mówiąc radzieckim oficjelom, że „większość z tych Niemców docierała do Szczecina w stanie całkowitego wycieńczenia, a gdyby wszystkich ich hospitalizować, to Szczecin zamieniłby się w miasto-szpital”[59].

Problem przepełnienia – w obozach, pociągach, na statkach i w punktach docelowych – miał towarzyszyć akcji „Jaskółka” przez cały roczny okres jej trwania. Jednak w znacznej mierze Brytyjczycy sami byli temu winni. Po tym jak zarzucili pomysł skierowania formalnego protestu do Warszawy, brytyjscy przedstawiciele w CRX radykalnie zmienili strategię. Zamiast dążyć do ograniczenia liczby przywożonych ludzi do takiego poziomu, z jakim można

było sobie poradzić – co, przyznać trzeba, przedłużyłoby operację przesiedleńczą o nieokreślony czas – reprezentanci CRX ulegli polskiemu życzeniu pod koniec kwietnia, aby zwiększyć pulę przyjmowanych codziennie osób z 5 do 8 tysięcy. I choć było to mniej od 10 tysięcy, które, wedle pierwotnego planu, zamierzano codziennie przewozić do okupowanych Niemiec w szczycie letniego sezonu, to liczono, iż takie zwiększenie tempa akcji deportacyjnej, pomimo wszelkich trudności, umożliwi jej zakończenie do czasu nadejścia kolejnej zimy. Choć taką decyzję dało się jakoś uzasadnić, to oznaczała ona równocześnie, że ulatniały się wszelkie perspektywy wprowadzenia jakiegokolwiek nadzoru nad warunkami, w jakich odbywały się deportacje. Machina wysiedleń z Ziem Odzyskanych, już przeciążona ponad miarę, została sprowadzona do najbardziej prymitywnej postaci: upychania tylu ludzi w wagonach, ilu tylko się dało. W atmosferze nieprzerwanego kryzysu, gdy co dnia na końcowe przystanki kolejowe docierała liczba ludzi równa populacji niedużego miasta, nie było ani czasu, ani też środków na zorganizowanie czegoś bardziej wyrafinowanego. Nieuchronnym skutkiem okazały się jeszcze większe cierpienia wysiedleńców i jeszcze wyższa ich śmiertelność. Jednak Brytyjczycy biorący udział w tej akcji przesiedleńczej pocieszali się myślą, że jeszcze więcej Niemców mogłoby zginąć z głodu lub wskutek prześladowań, gdyby przyszło wysiedlonym zostać na dłużej w Polsce.

Jeśli Brytyjczycy i Sowieci zmagali się z problemami logistycznymi, przed którymi stanęli w trakcie realizacji programu masowych przesiedleń, to ich trudności były prawie niczym w porównaniu z wyzwaniami, z jakimi zmierzyć się musiał polski Państwowy Urząd Repatriacyjny

(PUR). Archiwa tej organizacji zaświadczają o niemal niewiarygodnym chaosie, upadku moralnym oraz nierzadko zagrożeniach życia, z jakimi nędznie opłacani i niedoceniani pracownicy owej agencji musieli się konfrontować na co dzień. W zasadzie proces wysiedleń powinien był przebiegać w zgodzie z klarownym planem. Wedle okólnika Ministerstwa Ziem Odzyskanych (MZO) rozesłanego lokalnym urzędnikom, przebywających na wolności Niemców należało pozostawić na miejscu, aż kategoria, do której tych ostatnich zaliczono, zostałaby przewidziana do wywózki. Najpierw miano deportować bezrobotnych i niezdolnych do pracy, a w dalszej kolejności „elementy wywrotowe", robotników rolnych z gospodarstw polskich właścicieli, zatrudnionych w prywatnych przedsiębiorstwach, pracowników niewykwalifikowanych, wywłaszczonych chłopów i na koniec wszystkich pozostałych Niemców. Po zawiadomieniu przez MZO Niemcy z jednej z tych kategorii w danym powiecie czy województwie winni byli stawić się o określonym czasie w wyznaczonym punkcie zbiorczym, o czym zwykle informowano z 24-godzinnym wyprzedzeniem, rozlepiając afisze na murach, i od owej pory znajdowali się pod strażą oddziału milicji bądź wojska. Prowadzono ich do obozu internowania lub na stację kolejową, gdzie musieli oddać klucze do domów albo mieszkań oraz wszelkie książeczki oszczędnościowe, papiery wartościowe czy polisy ubezpieczeniowe wystawione na ich nazwiska. Rewidowano ich także w poszukiwaniu nadmiarowego bagażu albo kontrabandy, przy czym znalezione rzeczy tego rodzaju podlegały konfiskacie. (Definicja „kontrabandy" była zazwyczaj elastyczna; jak zeznała pewna lekarka, „celnicy zabierali nawet damskie majtki")[60]. Wysiedlanych transportowano następnie do obozu przejściowego

w pobliżu jednego z głównych miejsc odpraw – najczęściej Kaławska lub Szczecina w przypadku transportów do strefy brytyjskiej i Tuplic (Lubusza) bądź tegoż Kaławska przed wywozem Niemców do strefy radzieckiej – i, po jedno- lub dwudniowym pobycie, umieszczano ich w pociągu albo na statku, które miały dostarczyć deportowanych do wyznaczonego miejsca w Niemczech. „Przewodnicy wagonów" i „przewodnicy transportów", wybierani przez samych wysiedleńców, teoretycznie mieli zadanie utrzymywania porządku i dyscypliny w trakcie przejazdu i w razie potrzeby występowania w imieniu współpodróżnych w kontaktach z urzędnikami odpowiedzialnymi za nadzorowanie całej akcji. Wszelkie rabunki lub inne pogwałcenia praw przesiedleńców w trakcie tego procesu należało – wedle przepisów – natychmiast zgłaszać odpowiednim organom[61].

Jak donosili jednak urzędnicy MZO i PUR, niewiele wysiedleń z Polski przebiegało wedle takiego uporządkowanego schematu. Pierwsze komplikacje pojawiały się już w trakcie obław na Niemców. Radzieccy i polscy pracodawcy korzystali z taniej albo darmowej niemieckiej siły roboczej i nie chcieli się jej pozbywać. „Polacy […] wykorzystują tych ludzi i bardzo im nie w smak ich wyjazd. Zrozumieli, że Niemcy dobrze pracują, że ich codzienne potrzeby są minimalne, a ich utrzymanie wyjątkowo niedrogie"[62]. Zawiadamianie zawczasu o planowanych akcjach deportacyjnych umożliwiało zatrudniającym Niemców ukrywanie swoich pracowników do czasu, aż niebezpieczeństwo wywózki mijało. Zdaniem polskich władz Sowieci odnosili się do rozporządzeń warszawskiego rządu szczególnie lekceważąco. Rejestry niemieckich robotników rzekomo przez nich zatrudnianych „miały się nijak do rzeczywistości"[63]. Oficerowie Armii

Czerwonej chowali lubianych przez siebie Niemców w koszarach, samochodach i innych miejscach niedostępnych dla Polaków, gdy tylko w pobliżu pojawiali się przedstawiciele PUR. Odnotowywano przypadki otwierania ognia przez czerwonoarmistów do polskich urzędników przybywających, aby zabrać „radzieckich" Niemców[64]. Zagrożeni wysiedleniem ukrywali się, lub też swój dobytek, w dużych miastach albo uciekali do lasów do czasu zakończenia obław w danym regionie. Podczas jednej z takich akcji w województwie szczecińskim, podczas której przewidywano wyłapanie około 900 Niemców, znaleziono zaledwie 232. Również polscy przedsiębiorcy, jak stwierdzono, pilnie fałszowali swoje dokumentacje w nadziei na dalsze korzystanie z usług świadczonych przez Niemców. Niewielką ich liczbę zatrudniano „na czarno"; w innych przypadkach pracowników – zamiataczy, nocnych stróżów czy fryzjerów – zaliczano do kategorii „wykwalifikowanej siły roboczej"[65]. A poszczególni Polacy, ci, którzy współczuli niedoli Niemców, czasami usiłowali uchronić ich przed wygnaniem, „posuwając się nawet do ukrywania ich w swoich mieszkaniach"[66].

Częściej jednak problemem nie był niedobór, lecz raczej nadmiar Niemców do wysiedlenia. Nieprzerwane „dzikie wypędzenia" i to, że Niemcy, pozbawieni wszelkich środków do życia, sami zjawiali się w obozach przejściowych lub punktach zbiorczych, licząc na wyjazd z Polski bądź tylko na jakąś strawę, także niweczyły i bez tego chaotyczne przygotowania organizacyjne podjęte przez PUR. Nierzadko pod wpływem gorączkowego nacjonalistycznego ferworu i demonstracji pod hasłami „wygnania wszystkich Niemców" – wydział Ziem Odzyskanych Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) tylko w grudniu 1946 roku zorganizował wiece w 54 miastach i miasteczkach w całym

kraju – lokalne władze lub jednostki milicji chętnie brały sprawy w swoje ręce, oczyszczając powiaty ze wszystkich Niemców, zapędzając ich do pobliskich obozów dla przesiedleńców albo organizując nieoficjalne wywózki do rejonów przygranicznych. Liczba osób objętych tymi „dzikimi wypędzeniami" była znaczna: tylko w czerwcu 1946 roku pozbyto się w taki sposób 4447 Niemców z województwa gdańskiego, 4268 z Pomorza Zachodniego i 3694 z województw w centralnej Polsce[67]. Również Sowieci, choć w dalszym ciągu zatrzymywali Niemców dla własnych celów, przejawiali przykrą skłonność do bezceremonialnego podrzucania tych, których usług już nie potrzebowali, na ulice w pobliżu obozów dla wysiedleńców, bez względu na to, czy Polacy byli gotowi zająć się takimi „bezpańskimi" Niemcami. Nawet po tym, jak zamknięto obóz MZO w Koszalinie w kwietniu 1947 roku, ciężarówki Armii Czerwonej wywoziły zbytecznych niemieckich robotników, niczym niepotrzebne szczenięta, na skraj tego miasta[68]. Ale problem taki miał niewielką skalę wobec kłopotów z tłumami Niemców, którzy, wbrew zarządzeniom przymuszającym ich do pozostania w miejscach, skąd pochodzili, z własnej inicjatywy napływali do obozów przejściowych lub na początkowe stacje. Często czynili tak, ponieważ – wobec faktu, że musieli opuścić domostwa, wyrzucani z nich siłą lub groźbą, a także nie mieli kartek na żywność i innych środków utrzymania – szybkie wydalenie z Polski albo przynajmniej przyjęcie do obozu było jedynym sposobem uniknięcia głodu. Równie często Niemcy pogodzeni już z nieuchronnym losem uznawali, że im prędzej rozpoczną nowe życie w powojennych Niemczech, tym lepiej. Wspomniani ludzie wywodzili się zwykle, jak oceniał pewien brytyjski oficer, „z tego, co w Anglii określamy mianem klas średnich"[69]. Wielu z nich nie

odstraszały kary przewidziane dla tych, którzy starali się opuścić Polskę poza kolejnością, wobec świadomości, że organy lokalnej władzy często gotowe były przymykać oko na poczynania Niemców skłonnych do współpracy w przyspieszeniu swego wyjazdu. Bywało i tak, że przedstawiciele władz obławiali się sowicie, sprzedając wysiedleńcom „oficjalne" zezwolenia, umożliwiające szybkie opuszczenie kraju.

Owi „nadmiarowi" wygnańcy przyprawiali jednak o ból głowy personel MZO oraz władze okupacyjne w Niemczech. Do maja 1946 roku liczba „nieoficjalnych" wysiedleńców w punktach zbiorczych, wyznaczonych do przewozu Niemców do strefy brytyjskiej, rozrosła się do tego stopnia, że skargi na „straszliwie przepełnione" pociągi szły w parze z groźbą „załamania się wysiłków personelu obozowego […] i [wzrostu poziomu] prawdopodobnej śmiertelności" w miejscach przyjmowania uchodźców w Marienthalu i Alversdorfie w brytyjskiej strefie okupacyjnej[70]. W odpowiedzi przeciążony obowiązkami major Boothby wskazał, że u niego, czyli w Polsce, problem ten występował równie ostro. Codziennie nadciągało do Kaławska około 1000 „nieoficjalnych" wysiedleńców. Półtora tysiąca następnych koczowało na tamtejszej stacji kolejowej, nierzadko przez wiele dni. Polacy zrzekali się odpowiedzialności za karmienie ich i zapewnianie im dachu nad głową, a „przypadki zasłabnięć" z głodu bądź chorób były na porządku dziennym[71]. I choć Boothby wystąpił do władz cywilnych z formalnym protestem, to nie wierzył, aby te czyniły cokolwiek dla ograniczenia tego napływu ludzi[72]. „W rzeczywistości wręcz przeciwnie, gdyż oszczędza to wiele trudu związanego z przewozem osób do punktów zbiorczych i przyjmowaniem ich tam"[73]. W tych okolicznościach członkowie brytyjskiego zespołu

łącznikowego uznali, że nie ma innego wyjścia poza maksymalnym „napychaniem" pociągów ludźmi, aby w taki sposób zapobiec na miejscu wybuchowi epidemii. „Zgodnie z ustaleniami – stwierdził Boothby – ci «dodatkowi» powinni zostać odesłani z powrotem. Ale w istocie żaden Anglik nie zrobiłby [tym ludziom] czegoś takiego"[74].

Zrozumiałe, że pobłażliwość wynikająca z gotowości zespołu łącznikowego, aby przymykać oko na naruszanie litery porozumienia CRX dotyczącego warunków, w jakich przebywali uczestnicy akcji przesiedleńczej, stanowiła dla polskich władz dodatkową zachętę do łamania wymogów porozumienia – z czego Polacy korzystali w pełni. Paradoksalnie, najlepsze wagony taboru kolejowego rezerwowano z reguły do wywozu przesiedleńców do strefy radzieckiej, choć przejazd do niej trwał znacznie krócej. Wynikało to zasadniczo z faktu, że Sowieci bez wahania wstrzymywali każdy pociąg, nieodpowiadający normom, jakie sami wyznaczali w tym względzie. Rzucało się to w oczy w składach pociągów. Normalnie do przetransportowania 1500–1750 wysiedleńców do wschodnich Niemiec przeznaczano 55 wagonów[75]. Dla odmiany pociągi podstawiane przez Polaków do wywózek do strefy brytyjskiej na ogół zestawiano z zaledwie trzydziestu wagonów, a czasem nawet tylko z siedemnastu – w których często brakowało drzwi, a niekiedy także dachów[76]. „Sprawę tę przedstawiono polskim urzędnikom, ale ci odpowiedzieli, że […] to Rosjanie mieli zapewnić transport, więc jesteśmy zmuszeni do przepełniania każdego pociągu"[77]. I choć brytyjski zespół próbował ograniczać liczbę przewożonych w każdym z transportów do 1750 osób, to przyznawał, że rzadko się to udawało. Zamiast tego normą było umieszczanie w kolejnych pociągach 2000–2200 ludzi, a jeszcze większe

obciążanie transportów – kiedy ponad 80 osób przypadało na każdy wagon – nie było niczym niezwykłym. Nieuchronnie przynosiło to, w najlepszym razie, dużo niepotrzebnych cierpień, a w najgorszym – zgony pasażerów z powodu upału, wyczerpania i uduszenia.

Wysiedlani, bez względu na to, czy sami docierali do punktów zbiorczych, czy też byli tam kierowani przez polskie władze, stawali w obliczu różnych zagrożeń na każdym z etapów swojej tułaczki. Dziesiątki tysięcy deportowanych tygodniami lub miesiącami błąkało się od obozu do obozu, gdy decydujący o ich losie Polacy uprawiali grę w „podrzucanie kukułczego jaja", aby rozładować przepełnienie panujące w takim czy innym miejscu. Najbardziej niebezpieczne bywało właśnie takie przemieszczanie między obozami na terenie Polski, gdyż uzbrojone bandy, czasem wespół ze strażą kolejową, urządzały polowania i napady na wewnątrzkrajowe transporty. Na ogół bandyci dopuszczali się rabunków i gwałtów, niemniej jednak bezprawie panujące na Ziemiach Odzyskanych stwarzało również okazję do lukratywnego wymuszania haraczy. W jednym z transportów zmierzającym ze Świdwina na Pomorzu do Szczecina straże nałożyły „dobrowolną kontrybucję" na wysiedleńców, którzy musieli opłacić zapewnienie im bezpieczeństwa[78]. Innym razem zgraja niedoszłych rabusiów z Armii Czerwonej napadła późnym wieczorem na pociąg stojący na stacji w Świdnicy i przy użyciu łomów usiłowała wedrzeć się do wagonów. Strażnicy, którym bardzo nie w smak była taka napaść na coś, co uważali za swoją domenę, otworzyli ogień do napastników i wywiązała się intensywna strzelanina. Po tym, jak Sowieci zostali odpędzeni, pewien polski podoficer uprzedził przewodnika niemieckiego transportu, że „będą zdarzać się takie zajścia aż po Kohlfurt [Kaławsk]". Dodał,

iż pociąg miał zatrzymać się na noc w Chojnowie „w całkowicie ewakuowanej okolicy. Jeśli uchodźcy chcieli być bezpieczni, to musieli opłacić polskie straże”. Przewodnik dał temu podoficerowi 1400 marek niemieckich oraz swoją obrączkę, by uchronić transport przed dalszymi napadami, jednak ponownie zażądano od Niemców pieniędzy, kiedy pociąg dojechał do Kaławska[79].

Obozy przejściowe też nie były wcale oazami spokoju. Pierwotnie miały posłużyć za miejsce postoju dla przesiedleńców na dzień lub dwa do chwili wyjazdu z Polski, ale jesienią 1946 roku w każdym z nich stłoczono tysiące ludzi, przebywających tam tygodniami bądź miesiącami, często zmuszanych za dnia do wykonywania pracy. Brytyjski ambasador, który w kwietniu wizytował dwa takie obozy i uznał je za odpowiednie dla krótkotrwałego przetrzymywania deportowanych, skonsternowany stwierdził, jak bardzo panujące tam warunki pogorszyły się, gdy odwiedził jeden z tych obozów powtórnie w październiku. „Odkąd zostałem mianowany ambasadorem, nawąchałem się przykrych zapachów, ale nic nie mogło się równać ze straszliwym i wszechobecnym smrodem tego obozu”. Komendant obozu wyznał Cavendishowi-Bentnickowi, że nie był w stanie wykarmić przebywających od dawna internowanych i pozwalniał ich, ażeby postarali się poszukać pracy u miejscowych chlebodawców w zamian za prowiant. Ambasador, znany z germanofobii, poradził Wolskiemu, aby obóz zamknąć, odkazić i wyremontować[80]. Nigdy do tego nie doszło, a obozy przejściowe pozostały siedliskiem głodu i chorób. Panowała w nich znaczna śmiertelność. W obozie w szczecińskich Gumieńcach 25 osób zmarło, „głównie na skutek niedożywienia, ale [w] jednym czy dwóch przypadkach […] także z powodu mrozów” tylko w styczniu

1947 roku[81]. Bliźniaczy obóz w północnej dzielnicy tegoż miasta, Golęcinie (Frauendorf), tymczasowo zamknięto ze względu na dwie epidemie tyfusu, które wybuchły w lutym i marcu[82]. W innych obozach tego rodzaju było jeszcze gorzej. W lutym 95 Niemców zmarło w iście dantejskim obozie w Świdwinie, gdzie brakowało wody, opału, koców, leków i opatrunków i gdzie przeciekały dachy; miejscowy pracownik służby zdrowia zatrudniony przez PUR informował: „Teren całego obozu jest straszliwie zanieczyszczony wszelkimi odchodami, tj. ludzkimi ekskrementami". W owym miesiącu w tymże obozie odnotowano prawie 3500 przypadków różnych chorób[83].

Wielu urzędników MZO i PUR pracujących w terenie było równie niezadowolonych z warunków w obozach przejściowych jak zagraniczni dygnitarze i dziennikarze. Kapitan Edmund Kinsner, inspektor objeżdżający obozy podlegle MZO, stwierdził olbrzymie przepełnienie we Wrocławiu, w obozie, który jego zdaniem istniał wyłącznie po to, aby przynosić korzyści materialne skorumpowanej obozowej administracji. W dniu jego wizytacji w lipcu 1946 roku przebywało tam 4213 Niemców; kolejnych 1778 przyjęto przed wyjazdem Kinsnera tego samego wieczoru. Dalszym 800 oznajmiono, że w obozie zabrakło miejsca, i polecono im wrócić w rodzinne strony, mimo że ich domy już przydzielono Polakom. Następnych 1300 miało przybyć nazajutrz. Ludzie przyjęci do obozu, jak raportował Kinsner, byli systematycznie okradani przez pracowników państwowego urzędu podatkowego, którzy poddawali wysiedleńców rewizjom osobistym wbrew zarządzeniom MZO[84]. W Świdwinie około 1000 wysiedlonych, przyjętych w grudniu 1946 roku, przebywało tam nadal, kiedy pracownicy MZO przeprowadzili inspekcję w maju następnego roku[85]. Kazimierz Kuźmicki, zastępca

komisarza ds. repatriacji Niemców we Wrocławiu, ustalił, że podobnie działo się w dolnośląskich obozach w Legnicy, Jaworze i Świdnicy, a liczba osób w ostatnim z tych ośrodków wzrosła o ponad 500 w ciągu sześciu godzin, które tam spędził[86]. Wedle Kuźmickiego żadnego zarządu, nawet skorumpowanego, nie sposób się było dopatrzyć w obozie w Ząbkowicach Śląskich (Frankenstein), gdzie przetrzymywano 1500 ludzi. Komendant miejscowej milicji, teoretycznie odpowiedzialny za ten obóz, rzadko tam bywał, a chociaż jego podwładni trudnili się szmuglem, korzystając z marek skonfiskowanych wysiedleńcom, to byli nieustannie pijani i tak niekarni, że poza chuligaństwem i niezdyscyplinowaniem nie można się było po nich niczego spodziewać[87].

Wreszcie i same stacje, z których wysiedleni wyjeżdżali do Niemiec, stanowiły podobny obraz chaosu organizacyjnego, głodu, chorób i maltretowania. Brytyjska ekipa w Kławsku wielokrotnie protestowała u Polaków przeciwko wykrytym nadużyciom: straże biły gumowymi pałkami ciężarne kobiety, zmuszane do pracy przy układaniu torów kolejowych, milicjanci gwałcili wysiedlane Niemki, nie zapewniano pożywienia oczekującym na wyjazd. Pracownicy wydziału inspekcji w MZO tylko wzruszali ramionami, słysząc takie zażalenia członków dwóch brytyjskich zespołów łącznikowych, i dziwili się niezmiernie zawracaniem im głowy z powodu „takich drobiazgów” związanych z naruszaniem porozumień dotyczących przebiegu akcji deportacyjnej oraz widocznymi dążeniami Brytyjczyków do roztoczenia nad Niemcami „troskliwej opieki, do tego stopnia, że często grozili wycofaniem się [z udziału w operacji przewozowej], a tym samym zakłóceniem ewakuacji [ludności niemieckiej]”.

Jednak polscy urzędnicy na miejscu potwierdzali zasadniczą słuszność takiej krytyki[88]. Komendant obozu w Kławsku sporządził, na użytek spotkania z komisarzem ds. repatriacji Niemców, listę problemów, z którymi musiał się borykać, a ta okazała się uderzająco zbliżona do tego, na co skarżyli się Brytyjczycy. Milicja rzekomo zobowiązana do zapewniania bezpieczeństwa była, jak zauważył, niezdyscyplinowana, a jej członkowie nielegalnie handlowali walutą albo kradli ją Niemcom. W pociągach brakowało wystarczających racji żywności; zazwyczaj spóźniały się one i były zatłoczone. Nie wydawano odpowiednich dokumentów (i Brytyjczycy, i Polacy zgadzali się co do tego, że transporty kolejowe z Wrocławia były najgorzej zorganizowane spośród wyjeżdżających z całego Śląska). W izbach chorych brakowało lekarstw, a urzędnicy często opuszczali miejsca pracy. Nic dziwnego zatem, że MZO informowało w sierpniu z pewnym niepokojem o „bardzo znacznej liczbie zgonów wśród niemieckich repatriantów” w Kławsku i domagało się podjęcia bardziej energicznych kroków w celu zapobieżenia możliwemu tam wybuchowi epidemii[89].

Wobec takich warunków i braku możliwości, by zrobić cokolwiek dla ich poprawy, morale bardziej sumiennych administratorów zajmujących się nadzorowaniem deportacji wyraźnie się pogorszyło. Zwłaszcza inspektora Kinsnera wyjątkowo rozsierdziło nieskrywane lekceważenie, okazywane mu przez personel obozów przejściowych. A ponieważ wiele rzeczy skonfiskowanych wysiedleńcom w obozie we Wrocławiu nie trafiało na listy przedłożone Ministerstwu Ziem Odzyskanych, postanowił sam sporządzić taki spis w trakcie wizytacji przeprowadzonej w listopadzie 1946 roku. Ale, jak donosił ze wzburzeniem swoim zwierzchnikom, nawet gdy

dopisywał pewne przedmioty do swojej listy, obozowy personel bez żenady okradał innych Niemców dosłownie na jego oczach: za najbardziej bezczelny przykład tego procederu uznał to, że elektrycznemu piecykowi, przy którym stał, nagle „wyrosły nogi i zniknął”, jak Kinsner podyktował swemu asystentowi[90]. Inspektor Józef Lipiński z MZO po prostu złożył rezygnację, zmęczony kradzieżami popełnianymi przez nadzorowanych przez niego urzędników[91]. Jednak także załogi obozów miewały powody do narzekań. Milicjanci i żołnierze, wałęsający się bez grosza przy duszy, szybko odkryli, że obozy dla wysiedleńców stanowią niewyczerpany rezerwuar siły roboczej, którą można najmować za pół darmo dla rolników oraz lokalnych przedsiębiorców. W związku z powyższym rozwinęli oni dochodową działalność uboczną, polegającą na wdzieraniu się do obozów, wykradaniu na pewien czas kilkudziesięciu więźniów, kierowaniu ich do pracy fizycznej oraz na przepijaniu uzyskanych w ten sposób pieniędzy. W jednym z takich incydentów dwa samochody z milicjantami najechały obóz w Głubczycach na granicy polsko-czechosłowackiej. Ci z pierwszego pojazdu wyszukali Adama Targosza, odpowiedzialnego za obóz urzędnika PUR, i trzymali go na muszce. Ich wspólnicy z drugiego auta wywieźli ciężarówkami 40 czy 50 Niemców i wynajęli ich rolnikom do pomocy przy pracach polowych[92].

W takiej atmosferze powszechnego bezprawia kwitły wszelkiego rodzaju pomysły na szybkie wzbogacenie się oraz szwindle. Inspektor Lipiński sporządził własny spis „stosów” nielegalnie wystawianych przez lokalnych urzędników, zazwyczaj za sowitą opłatą, dokumentów wyjazdowych, upoważniających do samodzielnego podążania ku przygranicznym stacjom kolejowym[93].

W pewnych obozach pobierano od wysiedlonych opłaty za przyjęcie; ci, którzy nie chcieli albo nie mieli czym zapłacić, pozostawali bez jedzenia i schronienia, odmawiano im także przewozu środkami transportu[94]. W innych znowu sprzedawano internowanym Niemcom skrzynie, wozy i piece, konfiskując je kilka godzin lub dni później, aby następnie sprzedać je ponownie nowo przybyłym[95]. Członek personelu jednego z obozów przejściowych we Wrocławiu wywiesił na ścianie cennik na takie „usługi" jak wywózka poza kolejnością, przejazd wagonem szpitalnym oraz możliwość ominięcia obowiązkowej kontroli bagażu – a wszystko to za 500 złotych. Mniej zamożnym wysiedleńcom proponowano leżankę w wagonie szpitalnym za 100 złotych[96]. Pechowcy spośród Niemców wyznaczonych do deportacji „wypadali" z transportów i wracali do obozów, by znalazło się miejsce dla tych, którzy płacili urzędnikom PUR i wyjeżdżali poza kolejnością[97]. (Było to głównym powodem wielokrotnie zgłaszanych przez Brytyjczyków i Sowietów skarg na to, że listy nazwisk ludzi w transportach nie zgadzały się z tymi podawanymi przez samych wysiedleńców). Obsługa pociągów sprzedawała, zamiast wydawać, racje żywności dostarczane pasażerom na drogę; w jednym z transportów do strefy radzieckiej od matek głodnych dzieci żądano do 120 marek (ponad dolara) za kromkę chleba[98]. Polscy żołnierze ściągali haracze, zatrzymując pociągi zaraz po ich odjeździe ze stacji początkowej i grożąc poupychaniem w wagonach tak wielu dodatkowych Niemców, że ci, którzy się już w nich znajdowali, musieliby całą podróż, ciągnącą się przez tydzień lub dłużej, odbyć na stojąco – chyba że zapłacili Polakom, by do tego nie doszło[99]. Inni Polacy nakłaniali Niemców przybywających do obozu, aby ci deponowali ukrywane jeszcze przy sobie pieniądze, wydając za nie

pokwitowania, które, jak zapewniano, będą honorowane przez wszystkie niemieckie banki. Nie trzeba dodawać, że pokwitowania takie były bezwartościowymi świstkami[100].

Jednak dla pazernych polskich urzędników najbardziej dochodowym interesem okazała się współpraca z organizacjami syjonistycznymi, dążącymi do obejścia ograniczeń, nałożonych przez władze brytyjskie na tryb emigracji z Europy do Palestyny. Pomimo unicestwienia niemal całej środkowoeuropejskiej ludności żydowskiej podczas wojny antysemityzm i po wojnie nadal miał tam charakter wyraźnie patologiczny. I nigdzie nie dochodził do głosu bardziej niż w Polsce, gdzie nawet ambasador Cavendish-Bentnick zauważył we wrześniu 1945 roku, że „rzeź Żydów w tym kraju uczyniła [polskie] miasteczka znacznie czystszymi i z pewnością zredukowała liczbę pośredników”[101]. Polskie władze już stwierdziły jasno, że ocalali niemieccy Żydzi z Ziem Odzyskanych nie mieli być traktowani inaczej niż pozostałe kategorie przesiedleńców[102]. Na pozostałym obszarze kraju, wkrótce po zakończeniu wojny, sporo z ocalałych z Holokaustu polskich Żydów, wobec pogromów takich jak te, do których doszło w Kielcach i Krakowie, dochodziło do wniosku, że nie mogą już liczyć na spokojne życie w Europie[103]. Wobec tego szukali wszelkich możliwych sposobów na przedostanie się do Ziemi Świętej. Z kolei rząd brytyjski, administrujący w Palestynie na mocy mandatu Ligi Narodów od 1919 roku, był równie zdeterminowany, by do tego nie dopuszczać. Z obawy przed gwałtowną reakcją Arabów, wrogo usposobionych wobec nowej fali przybyszów – a już w latach trzydziestych miały miejsce gwałtowne arabsko-żydowskie zamieszki – Brytyjczycy nałożyli sztywny limit, wpuszczając do Palestyny maksymalnie 1500 żydowskich emigrantów na

miesiąc, czyli znacznie mniej od liczby Żydów chętnych do osiedlenia się w Palestynie.

Dla organizacji syjonistycznych z Europy i USA początek zorganizowanych wysiedleń z krajów środkowoeuropejskich stworzył znakomitą okazję do przerzutu blisko 200 tysięcy ocalałych polskich Żydów do Niemiec, skąd można ich były przewieźć przez Włochy do Palestyny. Działająca w Wiedniu nieoficjalna żydowska agencja Bricha już zaangażowała się energicznie w dostarczanie pieniędzy i dokumentów, umożliwiających przyszłym emigrantom podawanie się za obywateli greckich. Dzięki współpracy i finansowemu poparciu Jointu podobna działalność niebawem nabrała rozmachu. W Wiedniu ludzie z Brichy, tacy jak późniejszy „łowca nazistów" Szymon Wiesenthal, wciągali do współpracy żołnierzy sił okupacyjnych, osoby z personelu agencji humanitarnych w rodzaju UNRRA, a nawet samych niemieckich wysiedleńców, gdyż ich dobre rozeznanie w topografii regionów przygranicznych mogło się przydać[104]. Lider polskiej filii Brichy wynegocjował w Warszawie z wiceministrem obrony narodowej generałem Marianem Spychalskim nieoficjalne porozumienie, na którego mocy Żydom wolno było, począwszy od 30 lipca 1946 roku, opuszczać ten kraj bez wiz wyjazdowych[105] W ciągu trzech miesięcy po tej dacie z pomocą Brichy wyjechało z Polski ponad 66 tysięcy Żydów. Około połowy z tychże przebyło obszar Czechosłowacji za cichym przyzwoleniem ministrów Gottwalda i Jana Masaryka, docierając do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech; wielu z pozostałych znalazło się w strefie brytyjskiej w ramach akcji „Jaskółka", podając się za niemieckich wysiedleńców.

Zachodni alianci zawczasu przewidzieli, że masowe wysiedlenia mogły zostać wykorzystane do takich właśnie

„ubocznych” celów. Już w grudniu 1945 roku Ernest Bevin dopytywał się, czy Żydzi znajdowali się wśród napływających do Austrii wygnanych Sudetendeutschów[106]. Mniej więcej w tym samym czasie Robin Hankey z brytyjskiej ambasady w Warszawie zagroził polskiemu rządowi opóźnieniem akcji „Jaskółka”, o ile ten nie podejmie się skutecznego przeciwdziałania powstrzymaniu żydowskiej „infiltracji”[107]. Jednak problem ów nie wydawał się zbyt naglący; dopiero w drugiej połowie maja 1946 roku, po tym, jak polski premier Edward Osóbka-Morawski oświadczył publicznie, że jego rząd nie będzie stwarzał przeszkód Żydom pragnącym opuścić Polskę, exodus ludności żydowskiej nabrał bardziej masowego charakteru. Brytyjski wicekonsul w Szczecinie donosił 26 maja o powszechnej „konsternacji”, której nie skrywali polscy osadnicy w tym mieście, wywołanej liczbą Żydów przybywających z ziem na wschód od Bugu[108]. Osadników uspokajało nieco przekonanie, iż Żydzi ci wkrótce wyjadą na zachód. Tak też się stało, a już po kilku tygodniach brytyjskie zespoły łącznikowe zaczęły informować o napływie, i to na wielką skalę, „nieprawdziwych” wysiedleńców. Pewien oficer władz wojskowych uskarżał się:

> tutejszy oddział znalazł się w trudnym położeniu wobec przybycia Żydów z Polski, z dokumentami sygnowanymi przez tzw. Komitet Żydowski we Wrocławiu, zaświadczającymi, że ci Polacy to Niemcy. […] Niektórzy z Żydów przysłani tu przez ów komitet ledwie mówią po niemiecku, ale mają papiery podpisane przez ten Komitet Żydowski, stwierdzające, że są Niemcami, a w niektórych przypadkach, że

> opuścili Niemcy z powodu [wrogiego] nastawienia Hitlera do Żydów.
>
> Znamienne jest, że jeśli praktycznie wszystkich Niemców docierających do strefy brytyjskiej ogołocono z ich kosztowności i nowej albo prawie nowej odzieży, to ci Żydzi przybywają we względnym dostatku. Nowa partia 30 Żydów, która przyjechała w jednym z wagonów z nowej Polski [tj. z Ziem Odzyskanych], miała na sobie bardzo drogie ubrania z zupełnie nowych materiałów. Mężczyźni przywieźli przeciętnie po tuzinie nowych koszul, a ponadto jedwabne piżamy, jedwabną bieliznę i jedwabne chusteczki. Kobiety były równie dobrze zaopatrzone w bieliznę z jedwabiu, pończochy itd. I wszyscy ci ludzie stanowczo twierdzili, że przeszli przez polską kontrolę celną w Kaławsku i że niczego im tam nie odebrano[109].

Nie wszyscy żydowscy emigranci przyjeżdżali w tak dobrym stanie. Major Boothby cokolwiek niechętnie wyprowadził 252 Żydów z jednego z pociągów w Kaławsku, odnotowując, że „widać było aż za dobrze, ile wycierpieli w ciągu ostatnich lat”[110]. Wspomniani ludzie usiłowali jednak przekroczyć granicę bez papierów potwierdzających ich niemiecką tożsamość i łatwo ich wyłuskano. Był to błąd, którego Bricha już nie powtórzyła. Późniejsze partie rzekomych wygnańców zaopatrywano w „masowo podrabiane dokumenty” – w istocie tak masowo, że ich nadmiar dawał czasem niefortunne rezultaty. „Kiedy wysadziłem z jednego z pociągów 40 wiedeńskich Żydów, podszedł do mnie pewien oficer, polski Żyd, i powiedział, że pokazali tylko austriackie papiery, gdyż sądzili, że dzięki temu zostaną lepiej potraktowani. Czy mogą więc teraz

pokazać swoje niemieckie dokumenty? Pozostali Austriakami”[111].

Jednak na każdą zawróconą grupę kilkanaście innych przejeżdżało bez większych przeszkód. Jeden z brytyjskich oficerów badających ten napływ uważał, że „organizacja tych partii [grup] jest arcydziełem jak na kraj prawie tak doszczętnie zniszczony jak Polska”. Sowite łapówki w funtach szterlingach i amerykańskich dolarach ułatwiały emigrantom wyjazd z kraju oraz tranzyt przez Czechosłowację i Węgry. Żydowska siatka przerzutowa faktycznie działała tak sprawnie, iż „wielu rodowitych Polaków, należących do grona porządnych obywateli […] [którzy] nie mogą uzyskać wiz w normalny sposób […] podobno dostaje je i wyjeżdża z kraju pod żydowskimi nazwiskami!”[112]. Mimo że „nielegalnych” uchodźców, uciekających z Polski w taki sposób, było stosunkowo niewielu, ogółem prawdopodobnie nie więcej niż 50 tysięcy – w zestawieniu z łączną liczbą wywiezionych w ramach akcji „Jaskółka”, to uświadomienie sobie, że prawie wszyscy oni zmierzali do Palestyny, sprawiło, iż władze brytyjskie starały się energicznie powstrzymać ten napływ. Nie zabrało dużo czasu wykrycie rozbudowanej i zasobnej w fundusze organizacji, stojącej za tym nagłym najazdem Żydów podających się za Niemców. Żołnierzy i oficerów polskich, czechosłowackich, brytyjskich i amerykańskich sił zbrojnych, a także pracowników UNRRA i Czerwonego Krzyża dyskretnie „prześwietlano”, sprawdzając, czy nie brali łapówek od Brichy. Wywiad wojskowy zaczął podejrzewać dowódcę brytyjskiego zespołu łącznikowego w Szczecinie, wiedząc o jego żydowskim pochodzeniu. Jednak wszelkie starania zdobycia konkretnych dowodów, jak stwierdził szef wydziału wywiadowczego armii brytyjskiej w Niemczech w lipcu 1945 roku, zawodziły, gdyż

„w chwili, kiedy dochodzenie trafia w niearyjskie [*sic*!] ręce, wszystko jest niweczone”[113].

Nawet jeśliby śledztwo w tej sprawie przyniosło lepsze wyniki, to przecięcie napływu żydowskich uciekinierów wcale nie byłoby dużo łatwiejsze. Gdy po raz pierwszy zajęto się tym problemem zimą 1945/1946 roku, George Rendel z wydziału do spraw uchodźców w MSZ, który obawiał się, że jeżeli Warszawie pozwoli się na wysyłanie żydowskich pseudowysiedleńców do Niemiec, to rządy Polski i innych krajów środkowoeuropejskich rychło zaleją brytyjską strefę okupacyjną mnóstwem „niepożądanych” osób, zalecił zajęcie twardego stanowiska w tej sprawie. Jeśli już uda się wschodnioeuropejskim Żydom dotrzeć do Niemiec w charakterze rzekomych wysiedleńców, to należy ich odpowiednio potraktować i umieszczać w obozach przejściowych wespół z Volksdeutschami. Wprawdzie przyniosłoby to dość niefortunny skutek w postaci zamykania ich razem z „ludźmi, którzy prześladowali ich w przeszłości”, jednak takie postępowanie mogło się okazać „najbardziej efektywnym środkiem odstraszającym przed dalszym nieuprawnionym przemieszczaniem się”[114]. Lecz, jak wykazał inny z urzędników, poza niepraktycznością takiego zamysłu – w lipcu 1946 roku w obozie dla uchodźców w Hohne (Bergen-Belsen) przebywało już prawie 2 tysiące Żydów, którzy dotarli do Niemiec w ramach akcji „Jaskółka”, a których trudno było zmusić do wyjazdu z powrotem do Polski – traktowanie ocalałych z Holokaustu „nie lepiej niż traktuje się pokonanego wroga” musiało nieuchronnie wywołać burzę krytyki na arenie międzynarodowej[115].

O drażliwości sprawy żydowskiej świadczyła seria potajemnych spotkań brytyjskich i amerykańskich oficerów latem 1946 roku w celu wymiany informacji na temat

powiązań personelu wojsk alianckich oraz UNRRA, nadzorującego przebieg przesiedleń, z przemytem ludzi. Amerykański pułkownik uczestniczący w tych dyskusjach stwierdził, że „władze Stanów Zjednoczonych uważają ten temat za tak delikatny, iż nie wolno mu niczego zapisywać [w tej sprawie]”. Generał-porucznik Brian Robertson, zastępca gubernatora wojskowego brytyjskiej strefy okupacyjnej, przekonał się, że taką ostrożność przejawiały też najwyższe czynniki, gdy przekazał swojemu amerykańskiemu odpowiednikowi, generałowi Luciusowi D. Clayowi, nazwisko pewnego oficera armii USA, który według brytyjskiego wywiadu pracował dla Brichy. Zdenerwowany Clay odparł, że wspomniany oficer jest mu znany i obiecał, że zrobi, co będzie mógł, aby przeciwdziałać przedostawaniu się Żydów pociągami dla przesiedleńców, jednak przy tym „podkreślał przez cały czas, że instrukcje, jakie otrzymał, wykluczały jakiekolwiek drastyczne działania z jego strony przeciwko żydowskim uchodźcom”[116]. Na Brytyjczykach nie wywarło najlepszego wrażenia to, co uznawali za bojaźliwość w obliczu nacisku syjonistów – pułkownik Ralph Thicknesse, wyższy rangą oficer z kierownictwa akcji „Jaskółka”, już wcześniej zapisał, że jest przeświadczony, iż postawa władz USA w tej kwestii „oficjalnie wynikała z zasady chronienia uciskanych, ale w rzeczywistości bardziej prawdopodobne, że z wpływów ich [tj. amerykańskich] gazet kontrolowanych przez Żydów” – ostatecznie uznali jednak, że jedynym rozwiązaniem było zakończenie zorganizowanych wysiedleń.

Urzędnicy w strefie amerykańskiej niezależnie doszli do identycznego wniosku. Powszechnie uważano, że transfery ludności z Czechosłowacji były najlepiej zorganizowane, jeśli chodziło o trzy główne akcje wysiedleńcze z krajów

„poczdamskich”. Bliskie trasy do przebycia ułatwiały ten proces i wiązały się z tym, że niektóre z najgorszych skutków, wynikających ze stłoczenia mas wysiedleńców bez pożywienia i wody w wagonach przed podróżą trwającą nieraz tygodniami, były w tym przypadku do uniknięcia. Na ogół odpowiadało to prawdzie. Jednak w wielu wypadkach raporty napływające od amerykańskich i czechosłowackich oficerów w terenie świadczyły, iż nierzadko warunki, w jakich odbywały się wywózki z Czechosłowacji, nie różniły się zbytnio od tych, które panowały w czasie akcji „Jaskółka”, czyli deportacji z polskich Ziem Odzyskanych.

Zasadniczą przeszkodą w usprawnieniu i ułatwieniu wywózek z Czechosłowacji była znamionująca tę operację nadzwyczajna mnogość sporów natury biurokratycznej oraz konfliktów między różnymi agencjami. Od początku czechosłowackie MSW rościło sobie prawo do pierwszeństwa w organizowaniu wysiedleń, powołując do istnienia w tym celu specjalną sekcję, którą kierował dr Antonin Kučera, doradca wspomnianego ministerstwa. Jej zadanie polegało na nadzorowaniu selekcji Niemców przewidzianych do deportacji, gromadzeniu ich w obozach oraz trosce o to, aby wydano im niezbędne dokumenty, przeprowadzono oględziny lekarskie i sprawdzono bagaż osobisty, w zgodzie z wymaganiami amerykańskich i radzieckich władz okupacyjnych. Czechosłowackie Ministerstwo Obrony Narodowej, reprezentowane przez pułkownika Františka Dasticha, miało być odpowiedzialne za przewóz wysiedlonych Niemców przez granicę oraz uzgodnienie terminarza transportów z głównymi oficerami łącznikowymi zajmującymi się przesiedleniami w strefach amerykańskiej i radzieckiej – pułkownikiem Fye’em i generałem S.N. Grochowem. W praktyce okazało niemożliwe zapobieżenie temu, by niemal każdy minister

czeskiego rządu miał coś do powiedzenia w sprawie wysiedleń. Młody, energiczny i nader ambitny komunista, a zarazem szef Urzędu Osiedleńczego na Ziemiach Czeskich Miroslav Kreysa, odpowiedzialny za nadzorowanie kolonizacji opuszczonego przez Niemców Kraju Sudeckiego, miał własne zdanie dotyczące trybu usuwania Niemców sudeckich z ich dotychczasowych siedzib, odmienne od szefa MSW, któremu nominalnie podlegał[117]. Ministerstwo Rolnictwa niepokoiła zarówno pora przesiedlania Niemców, gdyż nie chciało ono, aby przypadła ona na czas zasiewów i zbiorów, jak i proces rozdawnictwa ziemi uprawnej napływającym osadnikom. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej często toczyło spory z MSW i MON, zarzucając tymże nadmierną surowość, zwłaszcza w postępowaniu ze schorowanymi i starymi wysiedleńcami, co szkodziło wizerunkowi Czechosłowacji za granicą. Ministerstwo Zdrowia wyrażało znów niepokój z powodu możliwości rozprzestrzeniania się epidemii z obozów i gett, gdzie stłoczono chorych Niemców, oraz zakłóceń w pracy służby zdrowia wywołanych odejściem wielu wykształconych niemieckich lekarzy i pielęgniarek. Ministerstwo Sprawiedliwości sprzeciwiało się wydalaniu z kraju osób podejrzanych o zbrodnie wojenne oraz tych, którzy mogli zeznawać jako świadkowie w procesach. Ministerstwa związane z gospodarką – Finansów, Przemysłu, Handlu Wewnętrznego i Zagranicznego – obawiały się zagrożeń dla powojennej odbudowy Czechosłowacji. Urząd Prezesa Rady Ministrów uważał się za organ upoważniony do wydawania poleceń wszystkim agencjom rządowym. A u podstawy tej czechosłowackiej piramidy administracyjnej okręgowe, powiatowe i miejskie rady narodowe usiłowały wypełniać, ignorować lub też

zmieniać strumień otrzymywanych, często sprzecznych zarządzeń, które do nich docierały.

Na wszystkie te trudności nakładało się jeszcze i to, że, jak już wspomniano, rzeczywisty protokół w sprawie wysiedleń został podpisany przez okupacyjne władze amerykańskie i radzieckie dopiero tuż przed rozpoczęciem deportacji, czyli odpowiednio w styczniu i czerwcu 1946 roku. W rezultacie wiele z wczesnych planów poszło na marne, gdyż przewidywały one scenariusze, które nie doczekały się realizacji. Na przykład o lokalizacji części obozów zbiorczych postanowiono w czasie, kiedy pewni decydenci w MON sądzili jeszcze, że akcję przesiedleńczą uda się przeprowadzić w ciągu 30–40 dni, korzystając ze szlaków, których amerykańskie i radzieckie władze ostatecznie nie wzięły pod uwagę[118]. Problemy natury logistycznej wymusiły również wprowadzane w ostatniej chwili zmiany. Wobec niedostatku krytych wagonów Czechosłowacy musieli wczesnym latem pozostawiać wysiedleńców w Pirna i Plauen w strefie radzieckiej, zaledwie 10–15 kilometrów od granicy, zamiast przewozić ich do pierwotnie ustalonego punktu zbiorczego w Gerze, 60 kilometrów dalej[119]. Przedstawiciele OMGUS (amerykańskiego zarządu wojskowego w Niemczech) znaleźli inne rozwiązanie problemu niedostatecznej liczby wagonów i lokomotyw. Ze względu na to, że znaczny odsetek czechosłowackich wagonów towarowych wykorzystywany był przez Sowietów do przewozu zdobytych w Niemczech łupów w głąb ZSRR albo do transportu jednostek Armii Czerwonej, Amerykanie zainteresowali się jedynym pozostałym taborem: pociągami towarowymi używanymi przez UNRRA do wwozu pomocy dla Czechosłowacji. Na wiosnę 1946 roku zaczęto z nich korzystać do transportowania wysiedleńców do strefy

amerykańskiej. Takie korzystanie z zasobów UNRRA nie tylko utrudniało prowadzenie działalności humanitarnej, ale także było wyraźnie sprzeczne z charakterem owej organizacji, która ograniczała swoje poczynania do „zarządzania środkami pomocy ofiarom wojny”; niemniej jednak logistyczna gmatwanina operacji przesiedleńczej wkrótce wplątała w swoje sidła także UNRRA. Do początków kwietnia, wedle amerykańskich danych, aż 6 tysięcy wagonów towarowych UNRRA utknęło gdzieś w Czechosłowacji[120].

Tak jak w Polsce, proces usuwania Niemców był też spowalniany poniekąd „oddolnie”, zwłaszcza pod wpływem naginania przez czechosłowackich pracodawców definicji „niezbędnego pracownika”. Na przykład pewnego 65-latka z obustronną przepukliną zatrudniono jako „górnika”; odźwiernych, pokojówki i szoferów zaliczano do kategorii „niezbywalnej siły roboczej”, a praca robotników z wytwórni noży w Mikulášovicach rzekomo była nieodzowna dla czechosłowackiej gospodarki[121]. Jak twierdził dr Kučera w czerwcu 1946 roku, sektor przemysłowy celowo starał się opóźniać wysiedlenia ludności[122]. Także w gazecie „Rudé Právo” przytaczano liczne przypadki ukrywania przez Czechosłowaków etnicznych Niemców przed władzami[123]. Jednak dosyć często rząd musiał się borykać z problemem przeciwnego rodzaju: beztroską nadgorliwych jednostek wojska lub powiatowych rad narodowych, które wyrzucały wszystkich bez wyboru Niemców z takiej czy innej okolicy, nie myśląc o wpływie tego rodzaju działań na wydajność produkcji.

Generalnie liczba zgonów deportowanych osób w trakcie tej fazy wysiedleń była znacznie mniejsza w Czechosłowacji aniżeli na polskich Ziemiach Odzyskanych. Było to rezultatem nie tylko krótszych tras do przebycia, ale także

faktu, że zorganizowana odgórnie operacja wysiedleńcza zaczęła się podczas stosunkowo łagodnej zimy 1945/1946 i zasadniczo dobiegła końca przed nastaniem o wiele mroźniejszej kolejnej zimy 1946/1947. Ale i tak to, że tak liczne transporty musiały korzystać z niewielu szlaków kolejowych, prowadziło na tych trasach do gigantycznych zatorów. Gdy wysiedlenia do radzieckiej strefy okupacyjnej zostały podjęte w czerwcu, pociągom zabierało przeciętnie cztery dni przebycie w tę i z powrotem 130-kilometrowego odcinka z Tršnic do Plauen bądź Pirny, z czego większość czasu upływała na oczekiwaniu na przekroczenie granicy[124]. Na trasach do strefy amerykańskiej tworzyły się takie korki, że w maju zorganizowano osobne dowozy; 50 samochodów podwoziło drogami Niemców sudeckich i zostawiało ich po drugiej stronie strefy granicznej[125]. Wobec dostępności niewielu nieuszkodzonych linii kolejowych czechosłowackie Ministerstwo Obrony Narodowej zostało zmuszone do wyznaczenia bardziej okrężnych tras, jak połączenie Cheb–Bebra przebiegające przez radziecką strefę okupacyjną, aby wypełnić dzienne normy przewozu wysiedleńców. Choć oznaczało to trwające coraz dłużej przejazdy, to transporty ciągnące się dłużej niż kilka dni stanowiły względną rzadkość w trakcie „zorganizowanych wysiedleń” w 1946 roku, w odróżnieniu od tygodniowych odysei, do których często dochodziło rok wcześniej.

Nie oznacza to jeszcze, że deportacje z Czechosłowacji zbliżały się do spełniania kryteriów ustalonych w porozumieniu poczdamskim czy też tych zawartych w protokołach podpisanych z okupacyjnymi władzami amerykańskimi i radzieckimi. Z reguły tak nie było. W podsumowaniu transferu ludności niemieckiej do strefy radzieckiej, sporządzonym przez generała Karela Klapálka

w grudniu 1946 roku, wskazano na wiele niedociągnięć, których nie udało się usunąć (jak można się domyślać, Klapálek obwiniał za nie MSW). Przewożono bardzo znaczną liczbę Sudetendeutschów cierpiących na choroby zakaźne, których nabawili się w obozach: w obozie przejściowym w Neziměsti w północno-wschodnich Czechach w styczniu 1946 roku co tydzień umierało z powodu różnych schorzeń średnio po pięciu więźniów[126]. Transporty niemal zawsze zaopatrywano w niedostateczne ilości prowiantu na podróż, na co ciągle narzekali przedstawiciele Armii Czerwonej. Piętrzące się trudności wiązały się ze składem pociągów, zestawianych z nieodpowiednich, niedopasowanych czy przestarzałych wagonów. Często uniemożliwiało to przewóz bagaży przesiedleńców, co z kolei wywoływało dalszą falę protestów ze strony radzieckich władz okupacyjnych[127]. Inne oficjalne raporty donosiły o systematycznym ograbianiu deportowanych przez personel wojskowy i cywilny, o dołączaniu do transportów etnicznych Czechów i Słowaków oraz o trwających nadal samowolnych wysiedleniach, przeprowadzanych przez lokalne władze pod płaszczykiem „dobrowolnych wyjazdów”.

Urzędnicy OMGUS mieli własną długą listę skarg do zgłoszenia. Nadzorujący przebieg przesiedleń w Furth im Wald kapitan H.W. Lambert miał okazję szczególnie dobrze zapoznać się z wieloma zmyślnymi metodami zaangażowanych w akcję czechosłowackich rad narodowych, a także czechosłowackiego rządu i armii, zmierzającymi do ukrywania uchybień oraz łamania ustaleń protokolarnych. Amerykańskim obserwatorom, podobnie jak Brytyjczykom, od razu dał do myślenia znaczny odsetek osób w wieku nieprodukcyjnym przybywających w transportach z Czechosłowacji. Na podstawie wstępnej

ankiety z czerwca 1946 roku ustalono, że przyjeżdżało „nie więcej niż 15 procent mężczyzn powyżej 15. roku życia i nadających się do pracy”; do czasu zakończenia akcji deportacyjnej liczbę zdolnych do pracy i wykwalifikowanych robotników przesiedlonych w trakcie całej operacji określono mianem „śmiesznie małej”[128]. Nasuwał się oczywisty wniosek, że siłę roboczą zatrzymywano na miejscu, wbrew ustaleniom, by nie dochodziło do rozdzielania rodzin; wedle ocen Amerykanów dotyczyło to jednej trzeciej wszystkich przypadków. Do głównych wybiegów wykorzystywanych przez czechosłowackie władze należał punkt, zgodnie z którym Niemiec skazany na ponad rok więzienia za udział w zbrodniach wojennych nie był uznawany za „zatrzymanego”; do strefy amerykańskiej przybywali pozostali członkowie danej niemieckiej rodziny, okazując zaświadczenie sądowe o skazaniu brakującego krewnego. Kapitan Lambert zwrócił uwagę na osobliwy fakt, że pociągi przyjeżdżające z takich powiatów jak Bruntál zawsze przywoziły wyjątkowo dużo niepełnych rodzin i że „w większości przypadków [brakło] mężczyzn, którzy byli fachowcami skazanymi tuż przez wysiedleniem ich rodzin. Jeszcze dziwniejsze, że dalej pracowali w swoich zawodach na dawnych stanowiskach, odsiadując wyrok więzienia”. Bywało, że powiatowe rady narodowe nawet nie zadawały sobie trudu wystawienia kopii orzeczenia sądowego, zamiast tego ograniczając się do notki, że nieobecny osobnik zostanie skazany w najbliższej przyszłości. Amerykańscy urzędnicy stwierdzili, że odsyłanie takich niepełnych rodzin z powrotem mijało się z celem, gdyż „byłyby przywożone ponownie następnym pociągiem i z odpowiednimi papierami, zatem oznaczało to tylko

pogłębianie niedoli wysiedlanych. Czeskie władze nie omieszkały tego podkreślać”[129].

Jeszcze częściej deportowanych nakłaniano do podawania kłamliwych powodów na temat nieobecności któregoś z członków rodziny, grożąc zatrzymywanym surowymi karami, jeśli ich krewni nie przekonają amerykańskich inspektorów. Na przykład w maju 1946 roku Amerykanie nie wpuścili do swojej strefy okupacyjnej Anny Laner i jej córki Marii, wysiedlonych z Ołomuńca, ponieważ dokumenty wykazywały, że nastoletni syn Anny, Ludwig, został zatrzymany w Czechosłowacji jako pracownik. Dwa tygodnie później obydwie ponownie zjawiły się na posterunku granicznym. Tym razem błagały, żeby ich nie odsyłać, gdyż „czescy urzędnicy grozili im i powiedzieli, że jeśli będą się upierały przy ewakuacji syna, zostaną podjęte działania dyscyplinarne”[130]. Innym razem Lambert przyłapał oficera armii czechosłowackiej, kapitana Meitnera, na instruowaniu przewodników wagonów, „aby poinformowali poszczególne rodziny w swoich wagonach, że w razie pytań mają stwierdzać, iż zatrzymany członek [rodziny] nie żyje albo zaginął”[131]. Jak raportował pułkownik Fye, wysiedleńców upominano na takich odprawach, że „w razie jakichkolwiek zażaleń [Czesi] odegrają się na przewodnikach [grup uchodźców]”[132].

Podobnie brzmiały historie o chciwości i przekupstwie towarzyszącym akcji wysiedleńczej. Pewien czeski urzędnik nadzorujący deportacje odkrył, że w Pradze dwaj prawnicy handlowali wizami wjazdowymi, uprawniającymi do swobodnego wjazdu do strefy amerykańskiej, sprzedając je po 1500 koron; dokumenty te były najwyraźniej dostarczane przez amerykańskiego oszusta[133]. Komendant głównego obozu w Libercu, jednego z najgorszych czechosłowackich ośrodków odosobnienia,

opracował pomysłowy plan wzbogacenia się, zabraniając wysiedlanym zabierać jakiekolwiek bagaże podczas wyjazdu, zamiast tego kierując ich do komercyjnej firmy przewozowej w mieście, gdzie należało uiścić „opłaty celne" za swoje rzeczy. Te ostatnie nigdy nie dotarły do Niemiec; kiedy we wspomnianej firmie dopytywano się o to, co stało się z dwoma pociągami z bagażami przesiedleńców, uzyskano informację, że wyekspediowano je ku granicy, gdzie zostały skonfiskowane przez SNB (służbę bezpieczeństwa). Pracownicy firmy okazali odpowiednie „pokwitowania", oznajmiając, że sami wywiązali się z umowy. Taki sam los spotykał i inne przesyłki nadane przez ową firmę[134]. Z kolei w pociągach z wysiedleńcami znajdowano czasem kosztowności i waluty – jak odkryli Amerykanie, podsłuchując rozmowy telefoniczne, transporty z deportowanymi bywały wykorzystywane przez międzynarodową siatkę przemytniczą do przewożenia przez granicę tzw. brudnych pieniędzy[135].

Skład osobowy transportów z „wysiedleńcami" też był podobny do tych wywożonych z innych krajów środkowoeuropejskich. W istocie z Czechosłowacji wyruszały pociągi z bardziej nawet wymieszanymi, pod względem etnicznym, grupami pasażerów aniżeli z Polski czy Węgier. Podpułkownik Edgar Jordan z biura zarządu wojskowego w Bawarii przeprowadził kontrolę pociągu nr 7315-A na punkcie granicznym w Freilassing, w którym miało przyjechać 1265 Sudetendeutschów.
W rzeczywistości mniej niż połowa z nich okazała się Niemcami sudeckimi; w pociągu znajdowało się również 256 jugosłowiańskich Volksdeutschów, 126 Niemców z polskich Ziem Odzyskanych, 70 Szwabów z Rumunii, 20 radzieckich Volksdeutschów, a także 94 różnych Reichsdeutschów (Niemców z Rzeszy), zmierzających do

innych stref okupacyjnych. Pociąg nr 7527-A, zlustrowany w tej samej miejscowości dziewięć dni później, wiózł jeszcze bardziej zróżnicowaną grupę, przy czym prawdziwi Sudetendeutsche stanowili mniej niż jedną czwartą pasażerów w wagonach[136]. W związku z tym, że co najmniej połowa z ludzi w czechosłowackich pociągach z wysiedleńcami zmierzających do strefy radzieckiej uciekała z transportów podczas tranzytu przez strefę amerykańską, przedstawiciel Stanów Zjednoczonych w CRX smętnie skonstatował, że wobec nieszczelnych granic nonsensem były wszelkie próby doprowadzenia do demograficznej równowagi między częściami Niemiec okupowanymi przez cztery mocarstwa[137].

Jednak znowu czynnikiem, który powodował największe zadrażnienia między państwami przeprowadzającymi wysiedleniami a tymi, które przyjmowały deportowanych Niemców, były warunki, w jakich ci ostatni docierali na miejsce wywózki. Chociaż mniej nowo przybyłych do amerykańskiej strefy musiano skierować do szpitali w wyniku trudów podróży, to jednak pożytek dla Amerykanów był z tego niewielki, skoro wysiedleńcy, z powodu systematycznego znęcania się nad nimi albo długotrwałego pobytu w obozach internowania, i tak wymagali pomocy medycznej zaraz po przyjeździe. Jeden z transportów z Jablonca do Furth im Wald w kwietniu 1946 roku, jak zauważyli Amerykanie, przywiózł przesiedleńców w „strasznym” stanie – niektóry wygnańcy przypominali „szkielety”. Po pobycie w obozie w Libercu, gdzie nie mieli nic do picia poza wodą deszczową z kałuż, 70 procent z tej grupy Sudetendeutschów cierpiało na ostre biegunki, a niektórym rokowano rychłą śmierć z wygłodzenia[138]. Nawet mimo natychmiastowej interwencji lekarzy zgony nie były niczym niecodziennym. W raporcie medycznym

Czerwonego Krzyża zapisano, że dwutygodniowa hospitalizacja nie uchroniła przed śmiercią z głodu pewnego 45-letniego mężczyzny z jednego z pierwszych czechosłowackich transportów; człowiek ten spędził poprzedni miesiąc w obozie internowania[139].

Wysiedleńcom pewnej kategorii, tak zwanym antyfaszystom, faktycznie zapewniano uprzywilejowane traktowanie. Mimo że przeciwnicy nazizmu teoretycznie byli zwolnieni z obowiązku wyjazdu z Czechosłowacji, to taką formalną przeszkodę łatwo omijano, skłaniając ich do „dobrowolnych" przenosin do okupowanych Niemiec, „gdyż są tam potrzebni dla reedukowania narodu", co stanowić miało uwiarygodnienie ich antyfaszystowskich referencji[140]. W świetle takich faktów jak to, że czechosłowackie MON zarządziło już 28 lipca 1945 roku przerwanie wszystkich dochodzeń zmierzających do potwierdzenia antyfaszystowskiej działalności niektórych Niemców, a komisja denazyfikacyjna we Wrocławiu stwierdziła, że „Polacy chcieli po prostu wypędzenia ich [wszystkich Niemców] z miasta, i nie byli zainteresowani niemiecką pomocą w odbudowie antyfaszystowskiej Polski", pozostawanie w Czechosłowacji i Polsce straciło dla niemieckich antyfaszystów jakikolwiek sens[141]. Zamiast tego, pogodziwszy się z nieuchronnym losem, „antyfaszyści" byli w stanie przynajmniej starać się o zapewnienie im wywózki w lepszych warunkach. Na Słowacji zweryfikowani „antyfaszyści" mogli uniknąć pobytu w obozach internowania i udawać się wprost na stacje kolejowe w dniu wyjazdu[142]. Czechosłowackie transporty z „antyfaszystami" zazwyczaj przewoziły po 300 wysiedleńców, a nie 1200–1500 jak typowe pociągi z deportowanymi Niemcami. Sporadycznie „antyfaszystom" zezwalano nawet na organizowanie własnego transportu.

Przedsiębiorczy wrocławski Niemiec Paul Eggers uruchomił przy współdziałaniu z Komisariatem ds. Repatriacji na Dolnym Śląsku „nadzwyczaj popularną” linię autobusową z centrum miasta do granicznego Zgorzelca. Płacąc za przejazd 1500 złotych, pasażerowie mogli, pod eskortą trzech żołnierzy lub milicjantów, jechać względnie wygodnie, a także przewieźć po dwie walizki i plecak. Skończyło się to jednak na Boże Narodzenie 1945 roku, gdy radzieckie władze okupacyjne zawiesiły na zimę przyjmowanie Niemców do swojej strefy[143].

Jednak podobna pobłażliwość władz krajów zarówno wywożących, jak i tych przyjmujących przesiedlanych, miała swoje granice. Na przykład w Czechosłowacji wykorzystywano transporty z „antyfaszystami” do odzyskiwania 500 marek, bez których wysiedleńców nie wpuszczano do amerykańskiej strefy. Wywożonych uprzedzano przed odjazdem, że jeśli nie zgodzą się na oddanie tych pieniędzy, to zostaną zawróceni do obozów internowania i w końcu deportowani w jednym z „normalnych” transportów w dużo gorszych warunkach. Zaraz po przejechaniu przez pociąg amerykańskiego punktu kontrolnego i znalezieniu się w Niemczech wyznaczona zawczasu osoba zbierała pieniądze od współpasażerów i dostarczała je do jednego z biur Partii Socjaldemokratycznej w Monachium, skąd przesyłano je z kolei do Centralnego Biura Antyfaszystowskiego w Pradze z przeznaczeniem dla kolejnej grupy wysiedleńców[144]. Korzyści ze statusu „antyfaszysty” były zatem mniejsze, niż to się z pozoru wydawało, poza tym ludzi określanych tym mianem wszyscy traktowali szczególnie podejrzliwie. „Lepsze traktowanie, możliwość zabierania dowolnych ilości bagażu”, jakie im zapewniano, wywoływało „silną niechęć ze strony zwykłych wysiedleńców”, którzy

spekulowali ponuro na temat tego, jak daleko posuwała się współpraca „antyfaszystów” z rządami państw deportujących Niemców[145]. Także w miejscach, gdzie niemieckich wysiedleńców przyjmowano, do „antyfaszystów” odnoszono się z wielką nieufnością, choć z zupełnie odmiennych powodów. Pułkownik John Fye ostrzegał swych zwierzchników, że „wśród nich [tj. antyfaszystów] są komuniści, którzy będą próbowali podkopać i osłabić zachodnie wpływy w okupowanej przez USA części Niemiec”. Z kolei władze wschodniego Berlina uważały ich za „dobrowolnych” imigrantów, niezasługujących na żadne przywileje. Tak więc wrocławscy „antyfaszyści”, po „trudnym i poniżającym” przejeździe do radzieckiej strefy, zostali przywitani bardzo chłodno przez miejscowych działaczy KPD (Komunistycznej Partii Niemiec), a „następnie zamknięci w byłym obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie”, nim w końcu osiedli w Weimarze i Halle[146].

Gdy rok 1946, czas „zorganizowanych wysiedleń”, zbliżał się do końca, wszystkie trzy mocarstwa zwycięskiej koalicji zdradzały pewien niepokój. „Obecnie – przestrzegał pułkownik Thicknesse – na ogół uważa się okupowane Niemcy za bezdenny kosz na śmieci, gdzie można bez końca wrzucać niechciane odpadki z całego świata. Nie sądzimy, by takie podejście było właściwe, ani w sensie ekonomicznym, ani politycznym”[147]. Wedle danych liczbowych przesłanych do CRX do listopada do strefy radzieckiej przyjęto ponad 1 800 000 wysiedlonych z Polski i Czechosłowacji, do strefy amerykańskiej około 1 700 000 z Czechosłowacji i Węgier (w tym 160 tysięcy, którzy dotarli tam przez Austrię), a do brytyjskiej – ponad 1 300 000 z polskich Ziem Odzyskanych: w sumie prawie 5 milionów ludzi. Do tej liczby dodać można kolejną, niemożliwą do

precyzyjnego oszacowania – ale z pewnością chodziło o setki tysięcy osób przypadających na każdą ze stref okupacyjnych – na jaką złożyli się ci Volksdeutsche, którzy pod przymusem opuścili rodzinne okolice, niemniej jednak znaleźli się w powojennych Niemczech jako niezarejestrowani „infiltranci". I wszyscy ci ludzie znaleźli się w kraju, którego miejskie ośrodki alianci starali się w ostatnich pięciu latach zrównać z ziemią, co w znacznej mierze im się powiodło i następnie wywołało w Niemczech „problemy z zakwaterowaniem ludności większe, niż kiedykolwiek zaistniały na jakimkolwiek obszarze, porównywalnym pod względem wielkości i zaludnienia"[148]. Nawet po tym, jak wszystkie dostępne obozy, bazy wojskowe, szkoły, kościoły, stodoły, schrony przeciwlotnicze, a niekiedy jaskinie zapełniono wysiedleńcami, nieustająca ludzka fala obracała wniwecz najlepsze starania lokalnej niemieckiej administracji, na której barki siły okupacyjne złożyły odpowiedzialność za zapewnienie przybyszom dachu nad głową. Z reguły, zgodnie z relacjami funkcjonariuszy zajmujących się przyjmowaniem repatriantów w trzech strefach okupacyjnych, deportowani docierali do Niemiec, nie mając niczego poza ubraniem – zwykle mizernym – na sobie. Zdecydowaną większość przybyłych stanowiły kobiety i dzieci. Niewiele z nich było w stanie względnie szybko zadbać o własne utrzymanie. Setki tysięcy wymagały opieki medycznej, w szpitalach, domach starców, sierocińcach oraz ośrodkach dla niepełnosprawnych, choć panujący niedostatek sprawiał, że liczni nie otrzymali takiej opieki.

Zupełnie nie tak alianci wyobrażali sobie przesiedlenia ludności, kiedy akceptowali ten pomysł podczas wojny. Wtedy oficjalnym uzasadnieniem była potrzeba usunięcia kohort „niebezpiecznych" Niemców – przede wszystkim

sprawnych mężczyzn, zdolnych do noszenia broni – mogących zagrażać bezpieczeństwu państw, w których mieszkali. Zamiast tego deportowano najmniej niebezpieczny odłam ludności niemieckiej, natomiast zdrowych i silnych Niemców zatrzymywano i kierowano na roboty przymusowe, nierzadko wbrew ich woli, każąc im przy tym zrzec się polskiego czy czechosłowackiego obywatelstwa. Tym samym mocarstwa okupujące Niemcy doprowadziły do wielkiego społecznego, gospodarczego i humanitarnego kryzysu w tym kraju, grożącego zniweczeniem wszelkich snutych planów odbudowy Niemiec; doszło też, i to na lata, do poważnych zakłóceń w funkcjonowaniu gospodarek państw dokonujących wysiedleń. Jak można się domyślać, każde z mocarstw zwycięskiej koalicji wyzbyło się z czasem do reszty swego początkowego entuzjazmu dla tak nowatorskiej metody „ustabilizowania" politycznego kontynentu europejskiego. Gdy poradzono sobie „z dzikimi wypędzeniami" z 1945 roku – a raczej uznano fiasko tego procederu – oraz stwierdzono, że „zorganizowane wysiedlenia" w roku 1946 okazały się z perspektywy mocarstw okupacyjnych jeszcze mniej zadowalające, główne państwa alianckiej „Wielkiej Koalicji" wkraczały w rok 1947 z tym samym zamierzeniem: zrzucenia, i to możliwie najszybciej, tego co stało się dla nich nieznośnym brzemieniem.

Przypisy

[1] Mjr F.A.C. Boothby, z zespołu łącznikowego nr 1 w Kaławsku, do ppłk. B.I. Jamesa z wydziału repatriacyjnego zarządu wojskowego w Hanowerze, „Report on Train No. 165", 18 V 1946, FO 1049/515.

[2] Memorandum mjr. E. Nelsena Extona, szefa ochrony kwatery głównej UNRRA przy Brytyjskiej Armii Renu, 2

VII 1946; kpt. F. Garner, „Report on Train No. 165 (Jewish)”, bez daty, FO 1049/515.

[3] Gen. mjr G.W.E.J. Erskine, biuro zastępcy gubernatora wojskowego Alianckiej Komisji Kontroli w Niemczech (oddziału brytyjskiego) – [dalej jako CCG (BE)] do Urzędu Kontroli Niemiec i Austrii (COGA), 23 VII 1946, FO 1032/836.

[4] Anonimowy i niedatowany „wyciąg z meldunku oficera PW & DP [wydziału jeńców wojennych i przesiedleńców] wizytującego obóz przejściowy w Marienthal w dniach 6 i 7 VII 1946 roku” („Extract from a Report by an Officer of PW & DP [Prisoners of War & Displaced Persons] Division Visiting Marienthal Transit Camp on 6/7th July 46.”); memorandum Erskine’a, 23 VII 1946, FO 1049/515.

[5] Stały personel CRX składał się z ośmiu oficerów – każde z czterech państw okupujących Niemcy wyznaczało po dwóch z nich – oraz przedstawiciela UNRRA. W razie potrzeby kraje alianckie kierowały do pracy w tej organizacji dodatkowych ekspertów. Gen. por. F.E. Morgan, szef wydziału operacyjnego niemieckiej misji UNRRA, polowy okólnik informacyjny nr 12, 22 X 1945, seria S-0527, zbiór 0090, katalog „UNRRA 1943–1949”, teczka „Repatriation – Conditions Affecting Poland”, t. 1, archiwa UNRRA, Archiwum ONZ w Nowym Jorku.

[6] N. Davies, R. Moorhouse, *Microcosm: Portrait of a Central European City*, Jonathan Cape, London 2002; wyd. polskie: *Mikrokosmos. Portret miasta środkowoeuropejskiego*, tłum. A. Pawelec, Znak, Kraków 2002, s. 473.

[7] Kenchington do płk. A.C. Todda, z-cy szefa wydziału jeńców wojennych i przesiedleńców, CCG (BE), 5 I 1946; terenowa kwatera CCG (BE) w Berlinie do kwatery głównej CCG (BE), Lübbecke, 29 I 1946, FO 1052/470.

[8] Wystąpienie lorda Jowitta, 139 *H.L. Deb*. 5s., kat. 82 (30 I 1946).

[9] Terenowa kwatera gł. CCG (BE) w Berlinie do kwatery gł. CCG (BE), Lübbecke, 13 II 1946, FO 1052/470.

[10] Mjr A.K. Jones, wydział jeńców wojennych i przesiedleńców (dalej jako PW & DP) CCG (BE), bez daty (ok. II 1947), FO 1052/472.

[11] Tekst porozumienia ppłk. F.L. Carrolla, brytyjskiego przedstawiciela w Połączonym Zarządzie Akcji Repatriacyjnej w Berlinie, oraz T. Konarskiego, polskiego przedstawiciela, 14 II 1945, FO 945/560.

[12] Tekst porozumienia zawartego pomiędzy M. Trunowem, kierownikiem delegacji radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech, a dr. A. Kučerą, konsultantem czechosłowackiego MSW i pełnomocnika ds. ewakuacji Niemców z Republiki Czechosłowackiej 1 VI 1946, FO 1052/471; porozumienie między ppłk. Maslennikowem, radzieckim przedstawicielem w Połączonym Zarządzie Akcji Repatriacyjnej, i Konarskim, 5 V 1946, w: P. Lippóczy, T. Walichnowski (red.), *Przesiedlenie ludności niemieckiej z Polski*…, s. 68–69.

[13] Memorandum Czerwonego Krzyża, 9 I 1946; Walter Menzel do CICR w Genewie, 4 III 1946, Archives Générales 1918–1950, B 97/IV, zbiór 1161, CICR, Genewa.

[14] Ppłk J.H. Fye, „Final Report—Transfer of German Populations from Czechoslovakia to U.S. Zone, Germany”, 30 XI 1946, s. 7, 10, 15, archiwa Margaret Eleanor Fait, katalog nr 84040-9.02, zbiór 4, teczka 16, Hoover Institution Archives, Stanford University.

[15] „Summary of minutes of a meeting held on 8th and 9th January [1946] between Czechoslovak and United States’ authorities regarding arrangements for the transfer of Czechoslovak Germans to the American zone of

occupation in Germany", bez daty, FO 1049/297; niedatowane i niepodpisane memorandum CRX, zima 1946, Office of the Military Government for Germany, Prisoners of War and Displaced Persons Branch (biuro zarządu wojskowego w [okupowanych] Niemczech, wydział jeńców wojennych i przesiedleńców), RG 260/390/42/24-25/7-1, katalog 128, NARA.

[16] Memorandum W. Barkera, pierwszego sekretarza ambasady brytyjskiej w Pradze, 18 XII 1945, FO 817/14.

[17] J.H. Fye, „Final Report", s. 16.

[18] Telegram W. Mitchella Carse'a, z brytyjskiej misji politycznej w Budapeszcie, do MSZ, 13 XII 1945, FO 371/55390; telegram CRX do brytyjskiego oddziału Alianckiej Komisji Kontroli w Niemczech (ACC), 22 XII 1945, FO 1032/2284.

[19] Fragment materiału filmowego, z archiwum Stevena Spielberga z Muzeum Pamięci Holokaustu w USA, można obejrzeć w Internecie: http://resources.ushmm.org/film/display/main.php?search=simple&dquery=Tape+Number%3A+920&cache_file=uia_dtfAHp&total_recs=2&page_len=25&page=1&rec=2&file_num=1475

[20] O. Bamborough, konsul brytyjski w Karlowych Warach, do P. Nicholsa, brytyjskiego ambasadora w Pradze, 26 I 1946, FO 945/432.

[21] A.L. Lloyd, *A People Moves Out*, „Picture Post", 17 VIII 1946.

[22] Wiadomość agencji Reutera, 13 II 1946, FO 371/55391; kpt. D. Bloodworth, „Report on Visits to Budaors on 30 and 31 Jan 46 to Inspect Arrangements for Deportation of Schwabians", 1 II 1946, *ibid*.; telegram gen. mjr. W.S. Keya, przedstawiciela USA w Alianckiej Komisji Kontroli na Węgrzech (dalej jako ACC [H]), do d-

cy amerykańskich wojsk okupacyjnych w Austrii, Salzburg, 20 I 1946, FO 1032/2284; ppłk H.G. Reeder, wydział PW & DP (jeńców i przesiedleńców), do gen. S.R. Mickelsena, szefa wydziału PW & DP, 30 I 1946, Office of Military Government for Germany, Records of the Civil Administration Division: The Combined Repatriation Executive, U.S. Elements: Records re: Interzonal Population Transfers, 1945–49", RG 260. 390/42/26-27/6-1, zbiór 221. teczka „C.R.X. Memos to Polish Representative", NARA.

[23] Ks. P. Ramatschi z archdiecezji wrocławskiej, „Report on the First Red-Cross Train which Brought Sick, Old, Care-Needing and Bed-Ridden Persons from Breslau to Aurich", 1 VII 1946, FO 1049/515.

[24] „Manchester Guardian", 10 III 1946.

[25] Raport dr. Busekirta, doradcy medycznego oddziału 508 (R) zarządu wojskowego w Niemczech, Lubeka, 8 III 1946, FO 1052/323.

[26] Raport por. C.M. Weldona, komendanta obozu Pöppendorf, 7 III 1946, FO 1052/470.

[27] Ppłk F.C. Davis, z zarządu wojskowego okręgu Westfalii, dla wydziału PW & DP (jeńców i przesiedleńców) w ACC (Alianckiej Komisji Kontroli) w Niemczech, 15 V 1946, FO 1052/323.

[28] Płk R.M. Jerram, wydz. PW & DP, „Operation Swallow: Extract from Various Reports, Letters and Visits of British Staff Officers", bez daty (III 1946), dodatek B: dane statystyczne na temat pierwszych 112 przybyłych w ramach akcji „Jaskółka", 19 III 1946, FO 1052/323.

[29] Memorandum szefa zarządu wojskowego okręgu Westfalii, 13 III 1946, FO 1052/470.

[30] Mjr A.K. Jones, „A Report on SWALLOW and the Visit to 508 R/Det and 626 DP/Det by Majors Barber and Jones

of P[risoners of] W[ar] & D[isplaced] P[ersons] Division", 5 IV 1946, FO 1052/323. Brytyjski karykaturzysta Frederick Roland Emett („Rowland Emmett") słynął z rysunków przedstawiających groteskowo zniszczone i przestarzałe pociągi, a wiele z tych rycin przypominało surrealistyczne obrazki współczesnego mu amerykańskiego rysownika Rube'a Goldberga.

[31] 709 (R) Detachment, Military Government, „Second Report on Swallow Trains", bez daty (ok. 25 III 1946), FO 1052/470.

[32] Płk R.M. Jerram, „Operation Swallow: Extract from Various Reports", dodatek B, 19 III 1946, FO 1052/323; Brygadier A.G. Kenchington, szef wydziału PW & DP, CCG (BE), do z-cy szefa sztabu (politycznego) brytyjskiej Armii Renu, 30 IV 1946, FO 1052/471.

[33] Extract from report by officer commanding, Military Government Grasleben Detachment, bez daty (c. March 1946), FO 1052/323.

[34] Płk R.M. Jerram, „Operation Swallow: Extracts from Various Reports".

[35] Mjr Bieostocki [*sic*!], komendant grupy operacyjnej w Kławsku, do brytyjskiego zespołu łącznikowego, bez daty (ok. 28 VI 1946), FO 1052/474.

[36] Memorandum por. C. Weldona, komendanta obozu Pöppendorf, dla kwatery głównej VIII Korpusu przez zarządzie wojskowym Niemiec, 7 III 1946, FO 1052/471.

[37] Ppłk F.L. Carroll, CRX, do kmdr. T. Konarskiego, 20 V 1946, FO 1052/324.

[38] Memorandum brytyjskiego zespołu łącznikowego nr 1 w Kławsku, 4 VI 1946, FO 1052/324.

[39] Telegram oddziału 709 (R) zarządu wojskowego Niemiec do kwatery gł. CCG (BE) w Lübbecke, 23 IV 1946, FO 1052/323.

[40] Ppłk H.L.V. Beddington, d-ca zepołu łącznikowego nr 2 w Szczecinie, do Kenchingtona, cotygodniowy raport nr 6, 18 VI 1946, FO 1052/324.
[41] Płk R.M. Jerram do terenowej kwatery gł. CCG (BE) w Berlinie, 26 IV 1946, FO 1052/474; memorandum brytyjskiego zespołu łącznikowego nr 1 w Kaławsku, 4 VI 1946, FO 1052/374.
[42] Boothby do Wolskiego, 26 VI 1946, FO 1052/474.
[43] Memorandum płk. Zdzisława Bibrowskiego, z polskiej misji repatriacyjnej w Berlinie, 11 III 1946, dokumentacja Ministerstwa Ziem Odzyskanych (dalej jako MZO), AAN 196, 527a/B-5638, Archiwum Akt Nowych, Warszawa.
[44] Kazimierz Kuźmicki do Romana Fundowicza, komisarza ds. repatriacji Niemców, Wrocław, 12 VIII 1946, MZO 541b/B-7414, AAN.
[45] Telegram CCG (BE) w Berlinie do CCG (BE) w Lübbecke, 2 IV 1946, FO 1052/470.
[46] Tekst audycji Radia Warszawa, 27 III 1946, FO 371/55393.
[47] Troutbeck do Marka Turnera, Urząd Kontroli Niemiec i Austrii (dalej jako COGA), 12 IV 1946, FO 371/55392.
[48] Telegram FO (MSZ) do Cavendisha-Bentincka, 10 IV 1946, FO 371/55393.
[49] Telegram Cavendisha-Bentincka do FO, 13 IV 1946, FO 371/55393.
[50] Telegram Cavendisha-Bentincka do FO, 15 IV 1946, FO 371/55393; F. Savery do R.M.A. Hankeya, 23 IV 1946, FO 371/55394.
[51] Wilberforce do Troutbecka, 4 IV 1946, FO 945/67.
[52] Notatka A.A.E. Franklina, bez daty (ok. 19 IV 1946), FO 371/55394.
[53] Notatka D. Allena, 19 IV 1946, FO 371/55394.

[54] Telegram kwatery terenowej CCG (BE) w Berlinie do War Office (brytyjskiego Ministerstwa Wojny), 1 V 1946, FO 945/67.
[55] Telegram Bevina do Cavendisha-Bentincka, 7 V 1946, FO 371/55393.
[56] Telegram Stranga do brytyjskiej ambasady w Warszawie, 28 III 1946, FO 945/67.
[57] Ppłk P.F.A. Growse, „Report by Liaison Team, Kohlfurt, up to 3 May 1946", 4 V 1946, FO 1052/474.
[58] Notatka Beddingtona, 6 IV 1946, FO 1052/323.
[59] S. Jankowiak, *„Cleansing" Poland of Germans: The Province of Pomerania, 1945–1949*, w: P. Ther, A. Siljak (red.), *Redrawing Nations*..., s. 95.
[60] Dr Ilse Reicke-von Hülsen, *The Situation of the Women during the Polish Occupation*, bez daty, cyt. w liście płk. R. Jonesa z kwatery głównej zarządu wojskowego Dolnej Saksonii do wydziału politycznego CCG (BE) w Berlinie, 27 XII 1946, FO 1049/521.
[61] Dyspozycje MZO, bez daty [ok. 1946], MZO 541d/B-7416; A. Anatol, „Materiał do okólnika MZO dot. repatriacji Niemców", 13 I 1946, MZO 527a/B-5638, AAN.
[62] J. Walters, brytyjski wicekonsul w Szczecinie, 26 V 1946, FO 371/56596.
[63] Memorandum Wacława Majewskiego, MZO, Warszawa, 21 VIII 1948, MZO 541h/B-7420, AAN.
[64] S. Jankowiak, *„Cleansing" Poland of Germans*..., s. 100.
[65] P. Dudkiewicz, starosta powiatu wolińskiego, do Urzędu Osadnictwa w Szczecinie, 5 VIII 1947, MZO 541h/B-7420, AAN.
[66] J. Chumiński, E. Kaszuba, *The Breslau Germans under Polish Rule*..., s. 98.
[67] Memorandum inspektora J. Lipińskiego, PUR, Szczecin, 16 VII 1948, MZO 541h/B-7420, AAN.

[68] Memorandum L. Łacisza, z wydziału inspekcyjnego MZO, 2 VI 1947, MZO 541b/B-7414, AAN.
[69] Raport mjr. E.M. Tobina, komendanta obozu przejściowego w Marienthal, bez daty (ok. IV 1946), FO 1052/324.
[70] Telegram CCG (BE) w Lübbecke do CCG (BE) w Berlinie, 30 V 1946, FO 1072/471.
[71] Telegram CCG (BE) w Lübbecke do CCG (BE) w Berlinie, 31 V 1946, FO 1052/474.
[72] Boothby do wojewody dolnośląskiego, 17 V 1946, MZO 541f/B-7418, AAN.
[73] Boothby do ppłk. B.I. Jamesa, oddziału 229 (P) zarządu wojskowego Niemiec w Hanowerze, 19 V 1946, FO 1052/474.
[74] Boothby do Jamesa, 25 V 1946, FO 1052/474.
[75] Por. np. raporty na temat pociągów z wysiedleńcami wjeżdżających do radzieckiej strefy okupacyjnej, m.in. z okresu 14–24 XII 1946, MZO 527e/B-7334, AAN.
[76] Raport departamentu kontrolnego MZO na temat inspekcji przeprowadzonej 12–13 marca 1946 roku w obozie zbiorczym nr 3 (Szczecin-Gumieńce), 15 IV 1946, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße…*, t. III, s. 454.
[77] Urywek z raportu nr 2 brytyjskiego zespołu łącznikowego w Szczecinie, przytoczony w liście mjr. F.J. Sibleya z CRX do wydziału PW & DP (jeniecko-repatriacyjnego) w Berlinie, 20 I 1947, FO 1052/472.
[78] Beddington do Kenchingtona, 18 IV 1946, FO 1052/323.
[79] Zeznanie Friedricha Gepperta, przewodnika transportu nr 76, 7 IV 1946, FO 1052/474.
[80] Cavendish-Bentinck do R.M.A. Hankeya, 16 X 1946, FO 1049/515.

[81] Kpt. F. Garner, dowódca brytyjskiego zespołu łącznikowego nr 2 w Szczecinie, do Kenchingtona, 1 II 1947, FO 1052/475.

[82] Miesięczny raport z marca 1947 roku, sporządzony przez dr. Władysława Michno, szefa wydziału zdrowia w PUR, Szczecin, 5 IV 1947, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 514.

[83] Raport J. Adamkiewicza, szefa wydziału zdrowia w PUR w Białogardzie, 1 III 1947, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 508–510.

[84] Raporty E. Kinsnera, MZO, 3 i 4 VII 1946, MZO 541b/B-7414, AAN.

[85] Raport L. Musiała i J. Lipińskiego, MZO, 2 V 1947, MZO 541b/B-7414, AAN.

[86] Kazimierz Kuźmicki do Romana Fundowicza, 28 VII i 12 VIII 1946, MZO 541b/B-7414, AAN.

[87] Kuźmicki do Fundowicza, 12 VIII i 6 X 1946, MZO 541b/B-7414, AAN.

[88] Boothby do wojewody dolnośląskiego Aleksandra Barchacza, 14 IV 1946, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 580; raport wydziału inspekcyjnego MZO na temat obozu zbiorczego nr 3 w Szczecine, 15 IV 1946, *ibid*., s. 454.

[89] Notatki komendanta punktu zbiorczego w Kławsku, sporządzone z myślą o spotkaniu z Fundowiczem, 28 VI 1946, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 580–581; Boothby do Fundowicza, 11 VII 1946, *ibid*., s. 592; kierownik przedstawicielstwa Urzędu Repatriacyjnego Ludności

Niemieckiej w MZO do Barchacza, 21 VIII 1946, *ibid*., s. 598.

[90] Kinsner do MZO, 25 XI 1946, MZO 541c/B-7415, AAN.

[91] J. Lipiński, PUR, do przewodniczącego delegacji MZO w Szczecinie, 14 XII 1946, MZO 541h/B-7420, AAN.

[92] Raport Adam Targosza z PUR, 8 XI 1946, MZO 541d/B-7416; I. Zawadzki do MZO, 7 I 1947, MZO 541b/B-7414, AAN.

[93] Raport Lipińskiego dla wojewody szczecińskiego, 20 IX 1946, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 477.

[94] Beddington do Kenchingtona, 18 IV 1946, FO 1052/323.

[95] List A. Richtera, 7 IV 1946, FO 1052/324.

[96] Zeznanie Käthe Hoffmann, przebywającej przez pewien okres w obozie w Kaławsku, 1 VII 1946; Boothby do wojewody dolnośląskiego, 1 VII 1946, FO 1052/474.

[97] Kuźmicki do Fundowicza, 18 VII 1946, MZO 541c/B-7415, AAN.

[98] M. Langer do siedziby głównej PUR, 15 I 1947, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 493.

[99] Zeznanie Franza Müllera, przewodnika transportu nr 74, 6 IV 1946, FO 1052/474.

[100] Memorandum mjr. I.E. Carra, z zarządu wojskowego w Niemczech, Hanower, 13 VI 1946, FO 1052/324.

[101] Cavendish-Bentinck do C.F.A. Warnera, FO, 19 IX 1945, FO 371/47651.

[102] H. Service, *Reinterpreting the Expulsion of Germans*…, s. 543.

[103] Por. J.T. Gross, *Fear: Anti-Semitism in Poland After Auschwitz–An Essay in Historical Interpretation* , Random House, New York 2006; wyd. pol.: *Strach. Antysemityzm*

w Polsce tuż po wojnie: historia moralnej zapaści, Znak, Kraków 2008.

[104] S. Rolinek, *Jüdische Fluchthilfe im Raum Salzburg: Das Netzwerk von Bricha und Betar 1945 bis 1948*, w: T. Albrich (red.), *Flucht nach Eretz Israel: Die Bricha und der jüdische Exodus durch Österreich 1945* Studien Verlag, Innsbruck 1998, s. 93–118. Por. także tegoż autora, *Jüdische Lebenswelten 1945–1955: Flüchtlinge in der amerikanische Zone Österreichs*, Studien Verlag, Innsbruck 2007.

[105] A.J. Kochavi, *Post-Holocaust Politics: Britain, the United States and Jewish Refugees, 1945–1948*, University of North Carolina Press, Chapel Hill, NC 2001, s. 175.

[106] W.H.B. Mack do Troutbecka, 6 XII 1945, FO 371/46661.

[107] Telegram Hankeya do FO, 9 I 1946, FO 371/57684.

[108] J. Walters, „Stettin General Report No. 3", 26 V 1946, FO 371/56596.

[109] Mjr E.M. Tobin do siedziby głównej CCG (BE) w Hanowerze, 12 VI 1946, FO 1052/324.

[110] Boothby do ppłk. B.I. Jamesa, z oddziału 229 (P) zarządu wojskowego w Niemczech z siedzibą w Hanowerze, 15 VI 1946, FO 1052/474.

[111] Boothby do Forda, 11 VII 1946, FO 1052/474.

[112] Raport Forda dla Kenchingtona, 27 XII 1945, FO 1952/470.

[113] Gen. mjr J.S. Lethbridge, szef wywiadu BAOR (brytyjskiej Armii Renu), do gen. por. Briana Robertsona, z-cy gubernatora wojskowego strefy brytyjskiej w Niemczech, raport datowany na „lipiec 1946 roku", FO 1030/331.

[114] G.W. Rendel do Hectora McNeila, bez daty (ok. 9 I 1946), FO 371/57684.
[115] Erskine do Gilmoura Jenkinsa, COGA, 1 VIII 1946, FO 945/68.
[116] Lethbridge do Robertsona, niepodpisane i niedatowane (z „lipca 1946") memorandum dla BAOR, „Organisation in Prague for the Despatch of Illegal Polish Immigrants to Palestine"; Robertson do Arthura Streeta, stałego sekretarza COGA, 14 VIII 1946, FO 1030/331.
[117] T. Staněk, A. v. Arburg, *Organizované divoké odsuny?*..., č. 3, s. 342.
[118] Por. np. anonimowy i niedatowany (z ok. IX 1945) dokument dotyczący „kalkulacji transportów", archiwa Ministra národní obrany (MNO) 1151/951 (1945), Vojenský ústřední archiv (dalej jako VÚA), Praha.
[119] Gen. B. Boček, szef sztabu MON Czechosłowacji, do gen. por. Dratvina z biura premiera, 6 V 1946, Úřad předsednictva vlády-tajné (ÚPV-T), 127/2, zbiór 308, NAČR.
[120] Memorandum gen. P. Bohumila, 10 IV 1946, MNO 2617/785 (1946), VÚA.
[121] „Pravda" (Plzeň), 27 VII 1946; „Sever", 30 VII 1946; F. Frenzel do ministra spraw wewnętrznych Czechosłowacji, 27 VI 1945, Ministerstvo vnitra–nova registratura (MV-NR), zbiór 7446, teczka B 458, NACR.
[122] A. Kučera do Z. Fierlingera, 9 VI 1946, ÚPV-T 127/2, zbiór 308, NAČR.
[123] „Rudé Právo", 16 V i 8 IX 1946.
[124] Gen. K. Klapálek, „Uwagi na temat przemieszczenia Niemców do radzieckiej strefy okupacyjnej", 18 XII 1946, MNO 196/1140 (1946), VÚA.
[125] Anonimowe memorandum, „Przesiedlenia Niemców w maju i czerwcu 1946 roku: negocjacje z amerykańskimi

dowódcami w Pradze”, 10 IV 1946, MNO 2617/785 (1946), VÚA.

[126] D-ctwo 2. Dywizji do kwatery głównej I Okręgu Wojskowego, 15 I 1946, archiwa I OW, teczka 52005, VÚA.

[127] Gen. K. Klapálek, „Uwagi na temat przemieszczenia Niemców do radzieckiej strefy okupacyjnej”, 18 XII 1946, MNO 196/1140 (1946), VÚA.

[128] Niedatowane i niepodpisane memorandum na temat wysiedleń z Kraju Sudeckiego (prawdopodobnie zima 1946 roku), wydział jeniecko-repatriacyjny (PW & DP) amerykańskie zarządu wojskowego Niemiec (OMGUS), nr katalogowy RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 128; kpt. H.W. Lambert, oficer nadzorujący akcję przesiedleńczą w Furth im Wald, „Problems Encountered in Accepting Sudeten German Refugees”, 5 III 1947, wydział jeniecko-repatriacyjny (PW & DP) amerykańskiego zarządu wojskowego Niemiec (OMGUS), dokumentacja związana z problematyką osób wysiedlanych do amerykańskiej strefy okupacyjnej w latach 1945–1949, RG 260/390/42/26/1-2, zbiór 189, teczka „Expellees (Czech) 1947”, NARA.

[129] Kpt. H.W. Lambert, „Problems Encountered in Accepting Sudeten German Refugees”.

[130] Kpt. Charles B. Rovin, szef sekcji uchodźców w OMGB, do płk. J.H. Fye’a, oficera łącznikowego amerykańskiej 3. Armii przy Sztabie Generalnym MON w Pradze, 5 VIII 1946, zbiór 127, RG 260/390/42/24-25/7-1, NARA.

[131] Lambert, „Problems Encountered in Accepting Sudeten German Refugees”.

[132] Fye, „Final Report”, s. 22.

[133] Ppłk O. Zampach z armii czechosłowackiej do Fye’a, 6 IX 1946, zbiór 127, RG 260/390/42/24-25/7-1, NARA.

[134] W. Rudolf do kierownictwa Fondu Národní Obnoby, Liberec, 14 XII 1946; C.G. Haucke, z agencji przewozowej w Liberecu, do firmy prawniczej Schröder-Barkhausen w Alsfeld (w Hesji), 23 XI 1946, OMGUS RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 128, NARA.

[135] Ppłk H.S. Messec z wydziału PW & DP w OMGUS do urzędu bezpieczeństwa publicznego, 2 X 1946, OMGUS RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 128, NARA.

[136] Ppłk E.J. Jordan, szef wydziału planistyczno-operacyjnego w OMGB, do Messeca, 31 V 1946, zbiór 128, OMGUS RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 128, NARA.

[137] Mjr W.T. Bradbury, CRX, do ppłk. Otta z wydziału PW & DP w OMGUS, 2 XI 1945, zbiór 128, OMGUS RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 128, NARA.

[138] Państwowa komisja ds. uchodźców w Schwaben (w Bawarii) i Neubergu do komisji ds. uchodźców w Monachium, 16 IV 1946, zbiór 128, OMGUS RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 128, NARA.

[139] Raport medyczny dr. Böhma z bawarskiego Czerwonego Krzyża, Wissau, 13 IV 1946, zbiór 128, OMGUS RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 128, NARA.

[140] „Manchester Guardian”, 12 IX 1946.

[141] T. Staněk, A. v. Arburg, *Organizované divoké odsuny?*…, č. 2, s. 32; N. Naimark, *The Russians in Germany: A History of the Soviet Zone of Occupation, 1945–1949*, Belknap Press/Harvard University Press, Cambridge, MA 1995, s. 148.

[142] J.A. Grant z brytyjskiego konsulatu w Bratysławie do Nicholsa, 26 VI 1946, FO 371/55395.

[143] W. Frąck, z-ca komisarza ds. repatriacji we Wrocławiu, do komisarza ds. repatriacji na Dolnym Śląsku, 3 I 1946, w: P. Lippóczy, T. Walichnowski (red.), *Przesiedlenie ludności niemieckiej z Polski*…, s. 135–137.

[144] Gen. mjr G.P. Hays, z-ca gubernatora wojskowego OMGUS w Berlinie, do płk. F. Dasticha, 22 X 1947; Messec do Haysa, 16 VIII 1947, RG 260/390/42/26/1-2, zbiór 189, teczka „Expellees (Czech) 1947", NARA.

[145] Telegram mjr. A.E. Leveya z OMGUS do kpt. Hallera, przedstawiciela amerykańskich sił zbrojnych w Europie, 8 VI 1946, RG 260/390/42/26/1-2, zbiór 189, teczka „Expellees", NARA.

[146] Płk J.H. Fye, „Final Report – Transfer of German Populations from Czechoslovakia to U.S. Zone, Germany", 30 XI 1946, s. 45, archiwa Margaret Eleanor Fait, katalog nr 84040-9.02, zbiór 4, teczka 16, Hoover Institution Archives, Stanford University; A. Bauerkämper, *Assimilationspolitik und Integrationsdynamik: Vertriebene in der SBZ/DDR in vergleichender Perspektive*, w: M. Krauss (red.), *Integrationen: Vertriebene in den deutschen Ländern nach 1945*, Vandenhoeck & Ruprecht, Göttingen 2008, s. 34; N. Naimark, *The Russians in Germany…*, s. 148.

[147] Szkic memorandum autorstwa Thicknesse'a, bez daty (ok. 23 XI 1946), FO 1049/492.

[148] Anonimowe memorandum, „Proposed British Policy with Regard to the Movement of Germans into the British Zone with a View to Permanent Residence" [„Proponowana polityka brytyjska w odniesieniu do migracji Niemców w brytyjskiej strefie w świetle osadnictwa"], III 1946, FO 1051/497.

ROZDZIAŁ 7

Żonglerka danymi statystycznymi

Krzyki zaalarmowały doktora Locha, byłego ordynatora wrocławskiego szpitala Św. Józefa, i szybko zrozumiał, że musi przejść na drugi koniec pogrążonego w całkowitej ciemności wagonu bydlęcego; tylko tak mógł odszukać osobę wołającą o pomoc. Lekarz ten, jako przedstawiciel „wykwalifikowanej siły roboczej", w zasadzie nie powinien był się znaleźć w tym pociągu, przejeżdżającym przez pogrążone w mroku polskie wsie nocą 20 grudnia 1946 roku i zmierzającym do przyjmującego wysiedleńców ośrodka w Marienthalu w brytyjskiej strefie okupacyjnej w Niemczech. Jednak do deportacji wyznaczono jego chorą żonę, a on sam, zamiast czekać na swoją kolej i przeżywać rozłąkę, wolał zostać „dzikim repatriantem" i dostał się do transportu[1]. Kiedy w wagonie stąpał ostrożnie ponad innymi wysiedleńcami, stosami bagaży oraz wiadrami służącymi za ustępy, przejście zagrodziła mu pewna stara kobieta, która nie chciała usłuchać wezwań, aby zrobić mu miejsce. Przypatrzywszy się jej baczniej, doktor Loch stwierdził, że zamarzła na śmierć. Nie mając czasu, by się nią zająć, przeciskał się dalej i w końcu dotarł do ciężarnej, która zaczęła przedwcześnie rodzić.

> Silnie krwawiła. Kiedy próbowałem ułożyć ją w wygodniejszej pozycji, przekonałem się, że przymarzła do własnej krwi na podłodze. Ktoś miał jeszcze małą lampkę spirytusową. Wykorzystując tę lampkę, podgotowaliśmy trochę wody z roztopionego lodu. Rozpryskując tę podgrzaną wodę przez pewien

czas, zdołałem wyswobodzić tę nieszczęsną kobietę. Poza strzykawką do robienia zastrzyków podskórnych i tym, co było pod ręką i nadawało się do tamowania krwi, nie miałem niczego, co było konieczne do przeprowadzenia zabiegu, nawet bawełnianych wacików. Za pomocą zastrzyku udało mi się zatrzymać krwotok. Tylko tyle mogłem zrobić. Podczas tego wszystkiego mnie samemu przymarzły stopy.

Nie wiem, czy ta kobieta przeżyła. Wobec mnóstwa roboty, jaka spadała na lekarzy, straciłem ją z oczu[2].

Większość towarzyszy podróży doktora Locha była prawie tak samo narażona na skutki przejazdu w takich warunkach. Spośród 1534 wysiedlonych z Poznania i Łodzi, upchanych w tym pociągu, 600 przekroczyło 60. rok życia. Nie zabrakło w transporcie niemowląt w wieku od 3 miesięcy oraz 22 dzieci z sierocińca w Lesznie. Wszystkich tych ludzi umieszczono w pociągu pięć dni wcześniej, gdy temperatura już spadła do –15ºC, w wagonach bydlęcych pozbawionych wszelkiego ogrzewania, a nawet bez słomy do wyścielenia desek podłogi. W ciągu czterech i pół dnia, które zajęło przebycie 380-kilometrowej drogi do Marienthalu, każdy z pasażerów otrzymywał dzienne racje żywności, składające się z około 100 gramów chleba, 20 gramów jęczmienia, 5 gramów cukru, odrobiny kawy zbożowej oraz szczypty soli. Każda z 25-osobowych grup dostała do podziału po jednym śledziu. Trzaskający mróz powodował, że nie było wody pitnej; matki umieszczały między swoimi udami naczynia z lodem, próbując go rozpuścić i ugasić pragnienie ich dzieci. Tak minimalne ilości pożywienia nie chroniły przed hipotermią (wychłodzeniem organizmu), a gdy temperatura zaczęła

jeszcze bardziej spadać, najstarsi i najmłodsi zaczęli umierać. Jedna z kobiet wspominała:

> W każdym z wagonów poupychano do 40 osób. Robiło się coraz zimniej. Rankami nasze bagaże, włosy i całe wagony pokryte były grubą warstwą lodu. Oddech zamarzał w powietrzu. Przewodnikiem w naszym wagonie był pewien starzec. Nieustannie starał się dodawać nam otuchy. Po tym, jak minęliśmy Sagan [Żagań], nadal próbowaliśmy wieczorami śpiewać wraz z nim kolędy. Następnego ranka ten przewodnik już nie żył. Nikt nie zauważył, kiedy skonał. Wtedy ja zostałam przewodniczką. Niczego nie byłam w stanie zrobić.

Kiedy wieczorem 21 grudnia pociąg ostatecznie dotarł do Marienthalu, wyniesiono z niego ciała 16 osób, które zmarły z zimna. Po drodze zdarzyły się trzy porody i dwa poronienia[3]. Natychmiastowej hospitalizacji wymagało 53 pasażerów z powodu odmrożeń, przy czym lekarze dokonali sześciu amputacji. Major E.M. Tobon, komendant obozu w Marienthalu, uważał, że przyjezdni najwyraźniej „wcześniej żyli w niewolniczym strachu i sprawiali wrażenie bardziej sponiewieranych kundli niż ludzkich istot”. Nawet w porównaniu ze wcześniejszymi transportami pociąg ten przywiózł „wyjątkowo duży odsetek starców i kalek. Także stopień upośledzenia fizycznego tych kalek był bardzo poważny”[4]. Jednak w Marienthalu nie było gdzie pomieścić tych ludzi i po zdezynfekowaniu wysiedleńców i wydaniu im gorącej strawy brytyjskie władze wojskowe umieściły ich z powrotem w wagonach bydlęcych, odsyłając przybyłych do ostatecznego celu ich podróży. Zanim pociąg dojechał do Hameln, zmarło 16 kolejnych osób, a 130 innych znalazło się w szpitalu. W Rinteln 27 pasażerów odwieziono na leczenie. Gdy transport dotarł wreszcie 23

grudnia do stacji końcowej w Bückenburg w Dolnej Saksonii, po upływie tygodnia od wyruszenia w trasę, 141 z pozostałych w nim ludzi od razu hospitalizowano. Zanim upłynął luty, dalszych 26 pasażerów umarło z powodu przebytej gehenny. Wśród owych zmarłych była żona doktora Locha.

Nie można powiedzieć, żeby losy owego transportu z Wrocławia były czymś wyjątkowym, gdyż w poprzednich miesiącach wiele pociągów przejechało przez Marienthal, a ludzie w nich znajdowali się w niewiele lepszym stanie. Na przykład 7 grudnia grupa 1857 wygnańców ze śląskiego Lubania, w tym 459 dzieci, została zebrana przez władze polskie w Moys [Zgorzelec Ujazd] w pobliżu granicznego Zgorzelca przed wywózką do Niemiec. Pociąg, który miał ich zabrać, przyjechał jednak dopiero 11 grudnia, a wysiedleńcy musieli pozostawać na otwartym polu przez cztery dni i noce. Przez większość tego czasu padał deszcz i wszyscy ci ludzie weszli do pociągu przemoczeni do suchej nitki. Potem temperatura spadła znacznie poniżej zera. Cztery dni później, rankiem 14 grudnia, major Tobin otrzymał wiadomość o pewnym pociągu z wysiedleńcami, który utknął na bocznicy w Eilsleben w radzieckiej strefie – bez lokomotywy. Tobin polecił, żeby – gdyby się okazało, iż to zaginiony transport ze Zgorzelca – bez zwłoki sprowadzić go do Marienthalu. O godzinie 17.00, nie mając nowych informacji, odesłał na kwatery swój personel, oczekujący w pogotowiu od 6.30. Trzy godziny później Tobina zawiadomiono, że pociąg miał właśnie wjechać do brytyjskiej strefy. Nie mając pod ręką swoich ludzi, Tobin rozkazał, aby pociąg zatrzymano na noc w Barmke, aż do momentu ponownego otwarcia ośrodka recepcyjnego. Pociąg przyjechał do Marienthalu następnego ranka o 9.00, po tym jak przebycie 370 kilometrów ze Zgorzelca zabrało

mu cztery dni. Spośród jego pasażerów 109 miało odmrożenia – najmłodszą osobą z poszkodowanych była 5-letnia dziewczynka – z czego 15 wymagało natychmiastowych amputacji. Major Tobin osobiście zbadał dwoje cierpiących z powodu odmrożeń niemowląt, zdrowych jeszcze w Zgorzelcu, gdzie ich matki poowijały je w koce, „ale podczas jazdy pociągu rozpadał się deszcz, a wilgoć w kocach zamieniła się w lód". I tym razem załoga obozu w Marienthalu skierowała 12 najpoważniejszych przypadków do szpitala w pobliskim Helmstedt, a pozostałych przesiedleńców wysłała pociągiem w dalszą, trwającą całą kolejną dobę drogę, rozumując, że przybyli przetrwają jakoś w wagonach kolejne 24 godziny, zresztą w Helmstedt i tak brakowało miejsca dla nowych pacjentów[5]. Tobin ponownie rozmawiał na peronie z niektórymi z wygnańców. „Byli skrajnie zgnębieni, a pewien człowiek wyznał, że nie ma siły nawet na to, by odebrać sobie życie". Mimo wszystko, mając do wyboru „wysadzenie ich z pociągu na miejscu lub zawrócenie ich na mroźne pustkowia, z których przyjechali", Tobin uznał, że „pozostawało tylko wpuszczanie pociągów wyprawionych w drogę"[6].

Cierpienia przesiedleńców z docierających do Marienthalu transportów, opisywane wiele w niemieckiej i brytyjskiej prasie, dały decydentom w Londynie i Lubece to, czego od dawna szukali – okazji do przerwania na dobre akcji „Jaskółka". Agresywna postawa władz polskich, które wydały oficjalne oświadczenie, stwierdzając w nim, że „dokumenty podpisane przez brytyjskie zespoły łącznikowe potwierdzały odbieranie tych transportów w należytym porządku" i odrzucały „wszelką odpowiedzialność za transporty" po ich zaakceptowaniu przez Brytyjczyków, tylko utwierdziły czynniki decyzyjne z Zachodu w słuszności

podjętej decyzji[7]. Jednak niesłuszne byłoby wywnioskowanie, że opisane powyżej drastyczne przypadki poruszyły sumienie tychże władz. Choć cierpienia ludzi przyjeżdżających z Polski były nie do pomyślenia, to przecież podobne rzeczy działy się z niemieckimi wygnańcami i poprzednio, wczesną wiosną 1946 roku. Analogiczne udręki były udziałem Niemców przesiedlanych w tym samym czasie do strefy radzieckiej, czego nie widzieli zachodni reporterzy. Na przykład 16 grudnia pociąg z wysiedleńcami z obozu zbiorczego w szczecińskich Gumieńcach wyruszył do oddalonego o około 260 kilometrów Stendalu leżącego na zachód od Berlina. Większość z pasażerów tego pociągu po pobycie w polskim obozie była wycieńczona i wygłodzona, zawszona i cierpiała na rozmaite choroby zakaźne. Podczas pięciodniowej koszmarnej podróży na wspomniane nieszczęścia nałożyły się odmrożenia trzeciego stopnia. Do chwili, gdy pociąg dotarł do Wriezen tuż za niemiecką granicą, 18 osób w wagonach już nie żyło. Następnych 21 zamarzniętych zwłok wyniesiono z pociągu, kiedy dojechał do stacji docelowej, a łącznie 248 poważnie chorych przyjęto do 21 grudnia do szpitali – większość do szpitala w Stendalu[8].

Zatem pod koniec 1946 roku wygnańcy cierpieli nadal, jednak rozwiał się entuzjazm brytyjskich administratorów i polityków dla projektu, który stał się podłożem nasilającego się, ciągłego i skrajnie kosztownego kryzysu społecznego w ich strefie okupacyjnej, za co płacić musieli brytyjscy podatnicy. Już od lata 1946 roku oficerowie z brytyjskiego zarządu wojskowego w okupowanych Niemczech rozglądali się za dogodnym pretekstem, umożliwiającym położenie kresu akcji „Jaskółka”. Kilkadziesiąt zgonów odnotowanych w transportach do

Marienthalu w grudniu 1946 roku – niemal kropla w morzu nieszczęść w porównaniu z liczbą tych, którzy zginęli podczas wypędzeń w poprzednich 18 miesięcach – dało im w końcu taki pretekst.

O ile pomysł przerwania akcji „Jaskółka” zaczęto poważnie dyskutować w lipcu 1946 roku, o tyle urzędnicy i oficerowie w brytyjskiej strefie okupacyjnej nie ukrywali faktu, że to trudności administracyjne i finansowe powiązane z deportacjami, a nie kwestie humanitarne, dominowały w ich myśleniu. Ze wszystkich stron w strefie okupacyjnej napływały alarmujące raporty o „niemożliwej sytuacji”, w jakiej znaleźli się oficerowie z zarządu wojskowego, próbując poradzić sobie z napływem Niemców z Polski. Zaraz po podpisaniu porozumienia ACC, jak francuska delegacja ostrzegała latem roku 1946, wysiedlenia z trzech krajów „poczdamskich” – Polski, Czechosłowacji i Węgier – wymagały wydzielenia do tej operacji 1800 pociągów miesięcznie. Francuzi zastanawiali się, czy „użycie tak znacznej liczby dodatkowych pociągów nie zaszkodzi poważnie innym niezbędnym transportom w Niemczech, a nawet w [całej] Europie”[9]. Brytyjczycy przekonali się, że te przewidywania spełniały się dosłownie na ich oczach. Nie tylko rozpaczliwie potrzebne środki transportu wykorzystywano na przewóz wygnańców z kraju do kraju, ale także już w samych Niemczech tabor kolejowy przez długi czas służył do „dalekich objazdów, powiązanych z wysadzaniem niewielkich grup przesiedleńców w różnych *Kreise* [okręgach]”. Nakładał się na to ostry w Niemczech niedobór siedzib ludzkich, mieszkań i kwater – jak na ironię pogarszała sprawę niechęć części wywiezionych w czasie wojny do Rzeszy Polaków, robotników przymusowych, jeńców i więźniów do powrotu do ojczystego kraju. Nawet tam, gdzie ostały się domy, brak sprawnych wodociągów

i kanalizacji wespół z nadmierną liczbą mieszkańców stwarzał „bardzo poważnie niebezpieczeństwo” epidemii[10]. Wobec tego, że wśród wysiedleńców był znaczny odsetek chorych, zmaltretowanych i chromych, „wszystkie ośrodki i szpitale w strefie [okupacyjnej] pękały w szwach”[11]. Z ponad miliona wysiedlonych, którzy przybyli do Niemiec z Polski w 1946 roku, oficjalnie bądź nieoficjalnie, tylko 77 tysięcy stanowili mężczyźni zdolni do pracy[12]. Amerykańskie władze okupacyjne przeżywały podobne trudności z odbywającymi się równocześnie deportacjami z Czechosłowacji. Już w kwietniu 1946 roku przedstawiciel USA w dyrektoriacie do spraw siły roboczej w składzie ACC formalnie się poskarżył, że rząd w Pradze „nie pozwalał niemieckim górnikom i innym wykwalifikowanym robotnikom opuszczać Czechosłowacji razem z resztą wysiedlanej ludności niemieckiej”.
W połowie lata problem Czechosłowaków wysyłających „wyłącznie nieproduktywnych” wysiedleńców do amerykańskiej strefy okupacyjnej stał się na tyle ostry, że Amerykanie domagali się, aby co najmniej jeden sprawny człowiek przybywał wraz z każdą z deportowanych rodzin[13]. Takie apele nie odnosiły skutku. Przeciwnie, jak stwierdził pułkownik John Fye, amerykański oficer łącznikowy w Pradze nadzorujący deportacje, „większość czeskich oddziałów wojska, gminnych rad narodowych, SNB [pracowników służby bezpieczeństwa], komendantów i nadzorców obozów przejściowych, zwyczajnie ignorowała liczne polecenia i ostre listy wystosowywane przez sekcję czeską z żądaniami ścisłego przestrzegania warunków porozumień między Czechami a OMGUS w odniesieniu do sudeckich transportów”. Nie tylko dochodziło do „rażących naruszeń umów przesiedleńczych”, ale pracownicy OMG wykryli też „rozmyślne próby oszukiwania władz

amerykańskich oraz grożenia wysiedlanym przez komisarzy w pewnych powiatach w razie skarg zgłaszanych na obszarze Czechosłowacji”[14].

Pomysł przerwania akcji „Jaskółka” był w lecie 1946 roku poważnie rozważany w Wielkiej Brytanii na najwyższych szczeblach rządowych. Pod koniec lipca John Hynd, kanclerz Księstwa Lancaster (czyli mianowany przez monarchę doradca premiera), do którego zakresu obowiązków wchodziło nadzorowanie brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech, przedstawił rządowemu Komitetowi Odbudowy Krajów na Kontynencie [Overseas Reconstruction Committee] dokument, wskazując w nim, że sytuacja w strefie brytyjskiej „stopniowo osiąga warunki nieznanego wcześniej przeludnienia” w ośrodkach wielkomiejskich i przemysłowych. Hynd uznał, że „nadeszła pora na rozważenie ostrzejszych środków”[15]. Te już zostały zastosowane, choć Hynd o tym nie wiedział. Nieco wcześniej oficerowie z brytyjskiego zarządu wojskowego w Niemczech dowiedzieli się, że ich koledzy w strefie amerykańskiej wynegocjowali ograniczenie dopływu wysiedlanych Sudetendeutschów, z 7200 do 4800 dziennie, począwszy od 15 lipca[16]. Zachęceni tym przykładem brytyjscy administratorzy w okupowanych Niemczech doszli do wniosku, że lepiej działać, niż prosić. Dwudziestego szóstego lipca jednostronnie zredukowali liczbę przyjmowanych przesiedleńców z Polski, z 8 do 5 tysięcy dziennie. Równocześnie brytyjskie zespoły łącznikowe poinformowano, że „w żadnym wypadku mają nie wpuszczać do brytyjskiej strefy jakichkolwiek wysiedleńców ośrodków zamkniętych, chorych więźniów, grup z domów dla umysłowo chorych, sierocińców itp. oraz nieniemieckich Żydów”[17]. Kiedy wystraszony podpułkownik Ford z CRX wyraził swe wątpliwości,

wskazując, że instrukcja taka zdawała się przeczyć angielsko-polskiemu porozumieniu z lutego poprzedniego roku, odpowiedziano mu ostro: „Odmowa musi być natychmiastowa, stanowcza i otwarta. Nie wolno powoływać się na względy humanitarne”[18]. Podobne słowa usłyszał w Kaławsku major Boothby, który obawiał się, że pogrom w Kielcach mógł być preludium do masakrowania polskich Żydów w całym kraju, i pytał, co ma robić, jeśli pojawi się pociąg z Żydami próbującymi uciec z Polski jednym ze szlaków przesiedleńczych. Jemu także polecono, w razie gdyby doszło do takiej sytuacji, „uczynienie wszystkiego, by zatrzymać taki pociąg i zawrócić go do Polski”[19].

Wobec niemal panicznych reakcji brytyjskich administratorów w Niemczech politycy z Londynu nie wycofali się z zajmowanego stanowiska i zatwierdzili wspomniane cięcia liczby przyjmowanych uchodźców. Ale nie chcieli całkowitego przerywania akcji „Jaskółka” pomimo natarczywych próśb personelu zarządu wojskowego, by to uczynić. Niemcy z polskich Ziem Odzyskanych, twierdzili administratorzy z brytyjskiej strefy okupacyjnej, nie mogli „się w żaden sposób przyłożyć do własnego utrzymania ani do jakiejkolwiek odbudowy Niemiec z powodu swego żałosnego stanu fizycznego i materialnego”. W rezultacie „realizujemy plan wyjątkowo niekorzystny dla brytyjskiej strefy [okupacyjnej], który obecnie staje się nieznośnym brzemieniem”[20]. Niektórzy dyplomaci z MSZ podzielali taką opinię. Jak stwierdził bez ogródek Andrew Franklin z Wydziału Niemieckiego FO, „przesiedlani byli w większości ludzkimi wrakami” i mieli stanowić nieustanne obciążenie dla brytyjskich podatników[21]. Jednak mimo takich protestów dobiegających z Niemiec ostatecznie zadecydowano, że

przyjmowanie wysiedlanych powinno trwać, tyle że w znacznie ograniczonej skali. Przede wszystkim przesiedlenie Niemców było „jedyną sprawą, co do której wszystkie partie w Polsce są zgodne”, a Wielka Brytania stałaby się tam od razu bardzo niepopularna, „gdybyśmy nie byli w stanie jasno wyjaśnić, dlaczego nie możemy dokonać tego, czego podjęliśmy się w listopadzie zeszłego roku”. Po wtóre, Londyn stanowczo nie chciał dopuścić do tego, aby to Brytyjczycy mieli na głowie w swojej strefie okupacyjnej jugosłowiańskich i innych „niepoczdamskich” Volksdeutschów przybywających do Austrii. W trakcie czterostronnych rokowań Wielka Brytania zgodziła się wziąć, wraz ze Związkiem Radzieckim, odpowiedzialność za wysiedleńców napływających z północnych obszarów środkowoeuropejskich, USA i Francja natomiast miały się zająć tymi z południa. Odrzucenie takich zobowiązań mogło narazić Brytyjczyków na żądania przyjęcia nowej fali Niemców bałkańskich. I wreszcie 166 tysięcy Niemców z Prus Wschodnich, dla których powrót do domów był wykluczony, nadal przetrzymywano w obozach w Danii. Londyn miał nadzieję na porozumienie się z ZSRR; Niemcy ci mieli przejść przez granicę do strefy brytyjskiej, Sowieci natomiast – zobowiązać się do przyjęcia 166 tysięcy deportowanych z Polski w ramach akcji „Jaskółka”. „Takie rozwiązanie byłoby w oczywisty sposób korzystne dla nas, gdyż dostalibyśmy lepiej odżywionych Niemców i moglibyśmy liczyć na pomoc Duńczyków w zakresie żywności i organizowania obozów”[22].

Mimo wszystko, choć przesiedlenia trwały dalej w zmniejszonej skali, perspektywa ostatecznego zrzucenia z siebie zobowiązań związanych z akcją „Jaskółka” okazała się nazbyt kusząca. Od tego czasu politycy i urzędnicy państwowi w Wielkiej Brytanii, a także w okupowanych

Niemczech zajęli się wyszukiwaniem argumentów świadczących o tym, że Brytyjczycy wypełnili swe zobowiązania wobec Polaków, które pozwoliłyby na zakończenie raz na zawsze operacji przesiedleńczej. Jeden z takich argumentów brzmiał, że o ile Brytyjczycy lojalnie wypełniali swoje powinności, o tyle nie dało się tego powiedzieć o Sowietach. Od połowy 1946 roku w MSZ nabierano coraz większego przekonania, że Polacy i Sowieci zmówili się w celu pokierowania wszystkich wysiedlanych z Ziem Odzyskanych do strefy brytyjskiej, pomysłowo preparując stosowne dokumenty, które to umożliwiały. Zwłaszcza Orme Sargent zawsze podejrzliwie odnosił się do podsuwanych przez Polaków danych statystycznych dotyczących ludności. Już w grudniu 1945 roku powiedział, że „tak jak byliśmy w Poczdamie oszukiwani przez Rosjan, twierdzących, że tylko 1,5 miliona Niemców pozostało na wschód od Odry i Nysy, tak i teraz powinniśmy, jak sądzę, podejrzewać, że nadal [Aliancka] Komisja Kontroli powinna uwzględniać w swoim budżecie znacznie ponad 3,5 miliona [niemieckich przesiedleńców] [23]. Jego podwładny Robin Hankey, były dyplomata z ambasady w Warszawie, w owym czasie zatrudniony w Whitehallu, doszedł do analogicznych wniosków na podstawie zupełnie innych przesłanek. Jak obwieścił w lipcu 1946 roku, nie potrafił wyzbyć się „podejrzenia, że jesteśmy oszukiwani w sprawie berlińskiej ugody. Nigdy nie uwierzyłem zapewnieniom o 3,5 miliona Niemców w Polsce. Podejrzewam, że Sowieci nie przyjmują [do swojej strefy okupacyjnej] nikogo z tychże, poza zdolnymi do pracy”. Pięć dni później, wspomniał Conowi O’Neillowi o swym przeświadczeniu, że „Sowieci kiwają nas w tej sprawie”. Andrew Franklin był kolejnym człowiekiem, który uważał, iż Wielka Brytania została „nabrana na akcję «Jaskółka»”[24].

W rezultacie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zaczęto niemal obsesyjnie gromadzić świadectwa potwierdzające, że radziecka strefa okupacyjna nie przyjmowała tylu Niemców, ilu powinna. Informacja podana przez Radio Warszawa, że do 17 lipca 1946 roku usunięto z Ziem Odzyskanych 900 tysięcy Niemców, została uznana za kluczowe potwierdzenie takich przypuszczeń: skoro w ramach akcji „Jaskółka" do strefy brytyjskiej już trafiło aż 700 tysięcy wysiedleńców, to najwyraźniej Sowieci przyjęli do swojej dużo mniej – a może nawet nikogo[25]. Sowieci przedstawiali mnóstwo danych na temat warunków mieszkaniowych w Niemczech, świadczących o tym, że gęstość zaludnienia we wschodniej części tego kraju była mniejsza od szacowanej: jeżeli naprawdę znalazły się tam 2 miliony deportowanych, to przypadająca na osobę powierzchnia mieszkalna nie powinna była przekraczać 6 metrów kwadratowych, a nie 14,4, jak utrzymywali Sowieci[26]. Rzucona mimochodem uwaga pewnego oficera z polskiej misji wojskowej w Berlinie, że Sowieci wysłali dwa pociągi z wysiedleńcami, aby oczyścić z Niemców należący do ZSRR region Kłajpedy, została potraktowana jako dowód braku radzieckiego zaangażowania w realizację akcji „Jaskółka"[27].

W istocie wiele uzasadniało sceptyczne nastawienie Brytyjczyków wobec danych liczbowych o Niemcach przybywających do radzieckiej strefy. Nie trzeba było specjalnej fachowości w dziedzinie statystyki, aby stwierdzić, że dotyczące transferu ludności dane dostarczane CRX przez ZSRR były, przynajmniej w pierwszej połowie 1946 roku, wyssane z palca. Jeśli wierzyć Sowietom, to aż 209 tysięcy Niemców wywieziono z Polski w ciągu 10 dni bezpośrednio po podpisaniu porozumienia ACC w listopadzie roku 1945 – czyli więcej

niż Brytyjczycy zdołali przetransportować, koleją i drogą morską, w ciągu pierwszych dwóch miesięcy akcji „Jaskółka”. Kolejnych 341 tysięcy rzekomo przejechało w grudniu 1945 roku, to jest w samym środku zimy. Z kolei liczba przesiedleńców podobno przetransportowanych przez Sowietów w pierwszej połowie czerwca 1946 roku wynosiła zaledwie 938. Łącznie ZSRR przypisywał sobie wywiezienie 748 373 ludzi z polskich Ziem Odzyskanych do 15 czerwca 1946 roku, a polski przedstawiciel w CRX podpułkownik Konarski niezwłocznie to oficjalnie potwierdził[28]. Pytani o budzącą podejrzenia ścisłość tych liczb, Sowieci i Polacy twierdzili, że uwzględniały one ruch pieszy między obydwoma krajami, Niemcami i Polską, a także rzekome „masowe migracje przez zamarzniętą Odrę” zimą 1945/1946 – zrozumiałe, że w Brytyjczykach takie wyjaśnienia wzbudzały podszyte kpinami niedowierzanie[29].

W efekcie od końca sierpnia atmosferę comiesięcznych posiedzeń z udziałem reprezentantów czterech mocarstw dyrektoriatu odpowiedzialnego za nadzorowanie przesiedleń ożywiły wzajemne oskarżenia radzieckich i brytyjskich przedstawicieli, podważające wiarygodność danych na temat liczby deportowanych przedstawiane przez obie strony. Brytyjczycy irytowali się z powodu radzieckich zapewnień, że 100 tysięcy wysiedlonych z Ziem Odzyskanych nielegalnie przeszło ze strefy brytyjskiej do radzieckiej, z kolei Sowieci odrzucali twierdzenia Brytyjczyków, iż 188 800 Niemców przekroczyło granice między obiema strefami, ale w odwrotnym kierunku. Wzajemnie zarzucano sobie potajemne „podrzucanie” niechcianych Niemców – przeprowadzanie ich przez granicę stref; wedle jednego z raportów Polacy mieli wwieźć do brytyjskiej strefy około 80 tysięcy wysiedleńców

nieuwzględnionymi w oficjalnych statystykach pociągami jadącymi ze Szczecina do Schwerina, miasta leżącego na północny zachód od Berlina, i zostawiać tam Niemców, którym następnie kazali przejść do brytyjskiego sektora w Berlinie[30]. Próbując uzyskać wiarygodne dane i zakończyć tę wojnę na słowa, brygadier Kenchington zaproponował utworzenie wspólnego radziecko-brytyjskiego urzędu kontrolnego, współpracującego z CRX, który miałby przeprowadzać inspekcje dokumentacji obozów przejściowych, ośrodków zbiorczych oraz działań organów zajmujących się kwaterunkiem. Jednak Sowieci ostatecznie odrzucili tę propozycję, argumentując, że rezygnacja z systemu przedstawiania raportów „stanowiłaby wyraz nieufności wobec danych przedłożonych przez zainteresowane delegacje”[31]. Strona brytyjska uznała to za ostateczne potwierdzenie swego przekonania o tym, że przedstawiciele ZSRR rutynowo fabrykowali „dane liczbowe zupełnie nie do przyjęcia i niewiarygodne, ażeby wykazać, że wszelkie bilanse [dotyczące wysiedleńców] przemawiają na ich korzyść”[32].

Choć istniały powody, dla których Brytyjczycy traktowali nader podejrzliwie radzieckie dane, to jednak pomylili się co do faktycznych przyczyn oczywistego manipulowania statystykami przez Moskwę. W rzeczywistości Sowietom nie chodziło o wykręcenie się z zobowiązań podjętych w ramach porozumienia ACC; podobnie jak sami Brytyjczycy borykali się oni z zalewem wysiedleńców. Wziąwszy na siebie główny ciężar skutków „dzikich wypędzeń” z Czechosłowacji i Polski w roku 1945, kiedy to w krótkim czasie prawie 1,5 miliona uchodźców dotarło do radzieckiej strefy okupacyjnej, głównie na obszary wiejskie i rolnicze, Sowieci zmagali się w swej strefie z problemem skrajnego przeludnienia. Wedle nieujawnianych radzieckich

rachub co najmniej 248 tysięcy kolejnych Niemców przeniknęło do tej strefy jako „nielegalni repatrianci”. Początkowe przyjmowanie zorganizowanych transportów z okolic Gdańska i Poznania pod koniec listopada 1945 roku trzeba było przerwać nie tylko ze względu na pogorszenie pogody, ale i z powodu przeciążenia sieci przewozowej[33]. Jak przepracowany i znerwicowany generał Kwaszyn, szef zarządu transportowego w strefie radzieckiej, powiedział w marcu 1946 roku swojemu czechosłowackiemu odpowiednikowi, nawet zapewnianie tranzytu Brytyjczykom w pierwszym etapie akcji „Jaskółka” przeciążało wschodnioniemiecką sieć kolei[34]. Tak więc w 1946 roku dla Kwaszyna priorytetowe było maksymalne opóźnianie wznowienia przesiedleń ludności niemieckiej z Polski, zwłaszcza że Sowieci nie bardzo wiedzieli, jak odnieść się do realnej perspektywy napływu kolejnych 750 tysięcy deportowanych z Czechosłowacji. W związku z tym porozumienie uściślające warunki transferu ludności podpisano z Polską 5 maja, a masowe przesiedlenia zostały wznowione dopiero 17 czerwca. Mimo to przez cały ten czas ZSRR zapewniał Warszawę, że wywiąże się w pełni z podjętych zobowiązań; późnym latem 1947 roku Sowieci przystali nawet na przyjęcie do swej strefy wszystkich Niemców pozostających jeszcze w Polsce, bez względu na ich liczbę. Można zatem tylko spekulować, czemu Sowietom tak bardzo zależało na ukryciu swoich trudności przed zachodnimi aliantami. Prawdopodobnie i oni, i Polacy obawiali się, że przyznanie się do tego, iż nie udawało się ściśle realizować porozumienia, sprawi, że Amerykanie i Brytyjczycy wykorzystaliby to jako pretekst do wycofania się z własnych obietnic.

I jeżeli państwa zachodnie jeszcze nie były skłonne do podjęcia tak radykalnego kroku, to w każdym razie

zdecydowanie nie miały zamiaru przyjąć choćby o jednego wysiedleńca więcej, aniżeli zobowiązywała ich do tego zawarta umowa. Najgorszym scenariuszem byłaby sytuacja, w której, po pełnym wywiązaniu się z porozumienia ACC, stanęłyby w obliczu nieprzerwanego dopływu kolejnych Niemców przenikających przez „zieloną granicę” – razem ze znaczną liczbą politycznych uchodźców oraz wygnanych z radzieckiej strefy przez nędzę. W rezultacie Amerykanie i Brytyjczycy zaczęli naciskać, aby wszystkich przybywających z Czechosłowacji i Polski, w tym „nielegalnych repatriantów”, uwzględniać w ustalonych limitach. Pewni sprytni brytyjscy urzędnicy zaproponowali nawet, aby około 550 tysięcy Niemców z polskich Ziem Odzyskanych, którzy znaleźli się w brytyjskiej strefie w 1945 roku, jeszcze przed zawarciem porozumienia ACC, odjąć od łącznej liczby 1,5 miliona niemieckich deportowanych ze wschodu, jakich miano tam przyjąć, co umożliwiłoby zakończenie akcji „Jaskółka” do 27 czerwca 1946 roku. Brytyjczyków tych przekonano jednak, aby nie posługiwali się takim argumentem, przypominając im – jak niezupełnie serio stwierdził pewien radziecki urzędnik w kwietniu poprzedniego roku – o prawie 3 milionach Niemców z Ziem Odzyskanych oraz dalszych 800 tysiącach Sudetendeutschów już znajdujących się w strefie radzieckiej. Jeśliby brać ich pod uwagę, to ZSRR mógł utrzymywać, że wywiązał się z podjętych zobowiązań, zanim jeszcze pierwszy pociąg w ramach „zorganizowanych wysiedleń” wyruszył w kierunku okupowanych Niemiec[35]. Ale Anglosasi upierali się, żeby do puli wysiedleńców, którymi się zajęli, zaliczyć przynajmniej owych „nielegalnych repatriantów” docierających do obozów przejściowych w zachodnich strefach okupacyjnych od 20 listopada 1945 roku. Na początku sierpnia

Brytyjczycy twierdzili, że przyjęli 184 182 tych ludzi z Polski, co oznaczało, że jeden transport „nielegalnych repatriantów” przypadał średnio na każde pięć przybywających oficjalnie. Również w strefie amerykańskiej przebywało 100 tysięcy Niemców wywodzących się z polskich Ziem Odzyskanych. Zamiast odsyłać ich do Polski tylko po to, by stamtąd trafili do strefy brytyjskiej, gdzie panowały znacznie gorsze warunki bytowe, Londyn zgodził się przyjąć ich od razu i wliczyć do grona wysiedleńców objętych akcją „Jaskółka”. Amerykanie dokonywali swoich szacunkowych wyliczeń w nieco inny sposób, dodając do liczby przybyłych do swojej strefy tych, który dotarli tam z Czechosłowacji jeszcze przed zawarciem porozumienia ACC. Tak czy owak, na dzień 31 marca 1947 roku, amerykańskie władze żądały uznania faktu przyjęcia 325 439 Sudetendeutschów, którzy dotarli do ich strefy na własną rękę, wraz z 118 574 kolejnymi, zbiegłymi do Austrii bądź wyrzuconymi tam siłą, których władze w Wiedniu chciały się pozbyć[36].

Jednak w końcu oba rządy, amerykański i brytyjski, postanowiły nie przeciwstawiać się dalszemu przyjmowaniu Niemców, uznając, iż kłótnie o liczby nie przyniosą większego pożytku. Zamiast tego zdecydowały się powołać na deklarację przyjętą w traktacie poczdamskim głoszącą, że deportacje winny przebiegać „w sposób uporządkowany i po ludzku”, co z kolei miało stanowić przewodnią zasadę wszystkich późniejszych porozumień, w tym i ugody ACC. Pracownicy brytyjskiego zarządu wojskowego w Berlinie wskazywali w sierpniu, że z powodu całkowitego zapełnienia wszystkich pomieszczeń nadających się choćby teoretycznie na kwatery, ostrego braku żywności, rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych w rodzaju gruźlicy i tyfusu, wreszcie z racji nienormalnej sytuacji

demograficznej wynikającej ze zdecydowanej przewagi liczebnej osób niezdolnych do pracy, „doszło do sytuacji, w której dalszego wpuszczania uchodźców nie sposób uzasadnić względami humanitarnymi”[37]. W rezultacie Brytyjczycy poinformowali polski rząd, że wobec „zagrożeń dla zdrowia publicznego wynikających ze skrajnego niedoboru kwater mieszkalnych i żywności”, konieczne będzie ograniczenie limitu Niemców wpuszczanych do strefy brytyjskiej do dwóch pociągów tygodniowo, poczynając od 5 września 1946 roku. W tej samej nocie powiadomiono również polskie władze, że Brytyjczycy postarają się też o formalną ocenę przebiegu operacji deportacyjnej zgodnie z literą porozumienia czterech mocarstw z 17 listopada 1945 roku[38].

Brytyjska inicjatywa wywołała nerwową i nieprzychylną reakcję Polaków oraz ambasadora Cavendisha-Bentnicka, który wbrew jasnym świadectwom świadczącym o czymś przeciwnym zdołał sobie wmówić, że kluczem do dobrych stosunków między Warszawą a Londynem było prezentowanie przez Wielką Brytanię wyrozumiałości wobec kwestii niemieckiej. Przekazując pilną prośbę ministra Wolskiego, aby tę decyzję ponownie rozważono i zgodzono się w efekcie na przyjmowanie minimum siedmiu pociągów tygodniowo, Cavendish-Bentnick ostrzegał, że poczynania brytyjskiego rządu wywołają „znaczny wstrząs wśród polskiej opinii publicznej, która jest bardzo przewrażliwiona w tej sprawie”[39]. Jednak londyńscy politycy i dyplomaci słyszeli już od ambasadora wiele podobnych stwierdzeń i czekali zbyt długo na jakikolwiek wyraz wdzięczności ze strony polskiego rządu, by tym razem dać posłuch takim argumentom. Nie poruszył ich także ostry atak podpułkownika Jakuba Prawina z polskiej misji wojskowej w związku z ogłoszonymi nowymi

cięciami. Prawin przypomniał Brytyjczykom, że przecież musieli mieć odpowiednie środki umożliwiające przyjęcie 1,5 miliona napływowych Niemców, podpisując porozumienie ACC w listopadzie poprzedniego roku, i stwierdził stanowczo, że Polska nie może ponosić odpowiedzialności za niepowodzenia Brytyjczyków w wyszukiwaniu kwater dla przesiedleńców oraz iż Polaków nie należy karać za okazywaną przez nich elastyczność, skoro zgodnie z umową ACC akcja „Jaskółka" miała dobiec końca do czerwca 1946 roku. Zauważył przy tym, że brytyjskie narzekania na chaos i nieludzkie warunki deportacji brzmiały dość niepoważnie w świetle faktu, iż wielu polskich osadników ze wschodu trzeba było teraz umieścić na zimę w obozach przejściowych, zamiast osiedlić ich w przyobiecanych im poniemieckich nieruchomościach, co stanowiło podłoże równie poważnego kryzysu humanitarnego. Co się tyczyło odwołania do porozumienia poczdamskiego jako prawa nadrzędnego, Prawin stwierdził, że artykuł 13 tego układu narzucał „na zainteresowane państwa okupujące międzynarodowe zobowiązania, których w żadnym wypadku nie wolno przedstawiać w taki sposób, by podważać tę główną zasadę". W przypadku wydania przez cztery mocarstwa oceny przebiegu wysiedleń, do czego nawoływali Brytyjczycy, oraz wydania ewentualnych zaleceń w tej sprawie, w mocy pozostawało brytyjsko-polskie porozumienie z lutego 1946 roku i „NIE MOGŁO zostać unieważnione przez jednostronne deklaracje"[40].

Postępując zgodnie ze słowami Prawina, polskie władze 6 września skierowały ku granicy sześć pociągów z wysiedleńcami. Rozumując, że przyjęcie tych transportów do strefy brytyjskiej mogło zostać potraktowane jako akt dobrej woli, mimo obowiązującego od poprzedniego dnia

ograniczonego limitu, Brian Robertson, zastępca gubernatora wojskowego, zezwolił na ich wjazd. Ale także zaplanował działania przeciwko powtarzaniu się podobnych zdarzeń. Wydając rozkaz, aby kolejnych pociągów nie przyjmować aż do 12 września, a od owej daty wpuszczać tylko po dwa tygodniowo, rozmieścił oddziały pułku z południowego Staffordshire w Helmstedt i Lubece, gdzie miały przeciwdziałać wszelkim próbom Polaków i Sowietów, by „przecisnąć" przesiedleńców przez granicę. Żołnierzom polecono przy tym, ażeby w razie „konieczności użycia broni strzelali wyłącznie ponad głowami"[41]. Ostatecznie udało się uniknąć konfrontacji. Mimo że pięć kolejnych pociągów pojawiło się na granicy 9 września, zawrócono je bez incydentów.

Tak więc Brytyjczycy zademonstrowali Polakom swoje usztywnione stanowisko. Jak skonstatował Andrew Franklin, było „nieodzowne przyjęcie twardej linii postępowania, jeśli nawet oznacza to trochę kłótni"[42]. W stanowczej odpowiedzi udzielonej Prawinowi generał „Bobby" Erskine jasno dał do zrozumienia, że nie obawiał się konfliktu. Porozumienie poczdamskie, stwierdził, jednoznacznie potwierdzało wolę Wielkiej Trójki, aby wszelkie przesiedlenia odbywały się „w należytym porządku i po ludzku". I nie mogła tego podważać żadna decyzja ACC, czyli organu niższego stopnia. Ponadto przewidywany zamysł wywiezienia wszystkich Niemców z Polski, Czechosłowacji i Węgier do lipca 1946 roku był tylko planem, a nie wiążącym zobowiązaniem, które nakazywałoby do tego czasu zakończenie akcji deportacyjnych. „Wedle posiadanych przez mnie informacji", zauważył Erskine, „żadne z państw okupacyjnych w istocie nie uważa za możliwe przyjmowanie [wysiedlanych] Niemców w takim tempie". Wskazując

wprost, na kogo, jego zdaniem, spadała odpowiedzialność za wynikłe problemy, Erskine zapewnił Prawina, że

> […] władze brytyjskie są w pełni świadome znaczenia, jakie polski rząd tymczasowy przykłada do wyjścia ludności niemieckiej z Polski, ale musiały szybciej ograniczyć tempo przyjmowania Niemców wobec rozpaczliwego stanu, w jakim wiele wysiedlanych osób przybywało do brytyjskiej strefy, oraz skrajnie małego odsetka sprawnych fizycznie pośród nich[43].

Późniejsze polskie apele traktowano równie obcesowo i stanowczo. Lamenty Wolskiego w ambasadzie brytyjskiej w Warszawie, że władze radzieckie „są bardziej pomocne", przyjmując do swojej strefy 15 pociągów na tydzień, nie wywarły wrażenia na urzędnikach i wojskowych ze strefy brytyjskiej. „Jeżeli podaje się to nam jako przykład do naśladowania, nie wzrusza nas to, gdyż w miesiącach letnich obsługujemy tygodniowo 30 do 40 pociągów"[44]. Brytyjczycy nie przejęli się także, gdy Warszawa, przekonawszy się, że usiłowania wzbudzenia współczucia dla polskich osadników nic nie dały, postarała się sprawdzić, czy Brytyjczycy okażą się bardziej wrażliwi na aluzyjne napomknienia, iż niemieccy wysiedleńcy mogą ucierpieć w Polsce, o ile szybko nie opuszczą tego kraju. Pod koniec września polskie MSZ powiadomiło brytyjską ambasadę, że „większa część niemieckiej ludności w Polsce […] jest obecnie zakwaterowana w obozach przejściowych. Niemcy ci będą musieli pozostać w tych obozach przez cały okres jesienny i zimowy w warunkach, które, jak łatwo zrozumieć, będą trudne. Zatem brytyjskie zarządzenie odbije się boleśnie również na tej ludności". Ową zawoalowaną groźbę Duncan Wilson z brytyjskiego MSZ skomentował zjadliwie: „Polakom można kiedyś

przypomnieć o tym, co ich mistrz Stalin powiedział w Poczdamie – że na ziemiach zajętych przez Polaków nie ma żadnych Niemców, ani 7 milionów, ani 3, ani nawet miliona. Ale lepiej jeszcze nie teraz”[45].

Mimo że w demokratycznych mocarstwach anglosaskich zaskakująco niewiele dyskutowano o sprawach powiązanych z deportacjami, to w OMGUS w Niemczech wczesnym latem 1946 roku również zapanowało podobne wyczerpanie i poirytowanie, co wśród Brytyjczyków. Amerykański gubernator wojskowy generał Clay wyliczył w maju 1946 roku, że w jego strefie okupacyjnej przebywało już 2 900 000 uchodźców, choć do tego czasu oficjalnie przyjęto tam zaledwie 375 tysięcy z 1 750 000 oczekiwanych Sudetendeutschów oraz tylko 75 tysięcy z pół miliona węgierskich Niemców[46]. O ile w OMGUS, choć niechętnie, godzono się z koniecznością zobowiązań złożonych Czechosłowacji, o tyle jednak bynajmniej nie donosiło się to Węgier. Wobec faktu, że rząd budapeszteński wyraźnie był radziecką marionetką, mało korzyści mogło przynieść spełnienie jego życzeń w kwestii niemieckiej.

Ze względu na to, że Węgry znajdowały się podczas wojny w obozie wroga, nie zaistniała potrzeba układania się z tymczasowym rządem w Budapeszcie w sprawie procedury przesiedlania Niemców. Na konferencji poczdamskiej obarczono tylko ACC(H) (Aliancką Komisję Kontroli na Węgrzech), w skład której, podobnie jak w okupowanych Niemczech, weszli dowódcy wojskowi z armii radzieckiej, amerykańskiej, francuskiej i brytyjskiej z zadaniem nadzorowania deportacji z tego kraju. Nie oznacza to jeszcze, że węgierski rząd przeciwstawiał się pomysłowi wygnania niemieckiej ludności, tyle tylko, że planujący tę operację nie mogli liczyć na powszechnie

panujące nastroje antyniemieckie, które ułatwiały wysiedlenia z Polski i Czechosłowacji. W latach wojny około pół miliona przedstawicieli niemieckojęzycznej populacji na Węgrzech witało początkowe zwycięstwa nazistowskich Niemiec z tym samym entuzjazmem co Volksdeutsche w innych krajach środkowoeuropejskich. Około 46 tysięcy z nich ochotniczo wstąpiło do niemieckich sił zbrojnych, choć wiązało się to ze zrzeczeniem się węgierskiego obywatelstwa. Jednak po tym, jak szala wojny przechyliła się w drugą stronę po bitwie pod Stalingradem, takie dodatkowe źródło rekruta dla wojsk niemieckich rychło wyschło. Pod silnym naciskiem Berlina rząd węgierski zgodził się w 1944 roku na przymusowy pobór miejscowych Volksdeutschów do Wehrmachtu. Nie chcąc stać się mięsem armatnim i ginąć za przegraną sprawę, przedstawiciele niemieckiej mniejszości pospiesznie stawali się na powrót Węgrami, zaciągając się do armii węgierskiej i publicznie demonstrując przeciwko wcielaniu ich „do wojska obcego państwa". Niewiele to dało i ocenia się, że około 100 tysięcy węgierskich Volksdeutschów w końcowym okresie wojny zmuszono do noszenia niemieckiego munduru[47]. Niemniej jednak dylemat przynależności narodowościowej będący udziałem Volksdeutschów był rozumiany przez przynajmniej część węgierskiej większości. Wielu Madziarów dawało posłuch argumentom, że to w rezultacie zarządzeń ich rządu w Budapeszcie, wydanych w porozumieniu z nazistowskimi Niemcami, owi Volksdeutsche trafiali do niemieckich sił zbrojnych. Z kolei powojenne władze węgierskie, choć nie negowały planów deportacji, nie wyrażały się jasno co do ich skali. Największym zwolennikiem wysiedleń w czteropartyjnej koalicji rządowej była Narodowa Partia Chłopska, której reprezentanci nie kryli się z zamiarem konfiskaty

niemieckiej własności. Występując w imieniu węgierskich małorolnych rolników, liczących na wywłaszczenie Volksdeutschów, przywódca tej partii Imre Kovács głosił, że ci ostatni „powinni opuścić ten kraj tak, jak tu przybyli, z tobołkami”[48]. Także komuniści Mátyása Rákosiego rozpętali na wiosnę 1945 roku kampanię prasową, żądając degermanizacji Węgier. Z kolei Partia Drobnych Posiadaczy, reprezentowana przez Ferenca Nagya, przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego, oraz ministra spraw zagranicznych Jánosa Gyöngyösiego, wskazywała, iż było co najmniej niesprawiedliwe dążyć do wypędzenia całej niemieckiej populacji na Węgrzech akurat w czasie, kiedy Budapeszt usiłował nakłonić zwycięskie mocarstwa, aby te powstrzymały Czechosłowację od deportacji pół miliona swoich Węgrów[49]. Członkowie ostatniej partii koalicyjnej, socjaldemokraci, nie angażowali się zbytnio w ten spór, poza próbami dość pokrętnego określania swoich niemieckojęzycznych działaczy mianem „Madziarów” albo „antyfaszystów”. Tak jak w roku 1938, gdy Węgrzy przyłączyli się entuzjastycznie do zastraszania Czechosłowacji przez Hitlera, za co zostali nagrodzeni skrawkiem czechosłowackiej Rusi Zakarpackiej, w 1945 roku nie pozbyli się miana „sępów”, dla których liczyły się bardziej względy materialne niźli ideologiczne. Generalnie Węgrzy po wojnie byli rozdarci między chęcią osobistego wzbogacenia się na konfiskatach i wygnaniu zamożnej, choć chwilowo bezsilnej mniejszości a niepokojem, czy przypadkiem nie przyjdzie im samym później za to zapłacić.

Rząd budapeszteński usiłował jakoś z tego wybrnąć, zrzucając całą odpowiedzialność za deportacje na trzy mocarstwa antyhitlerowskiej koalicji, którym rzekomo musiał niechętnie okazywać posłuszeństwo.
W rzeczywistości brał dużo aktywniejszy udział w usuwaniu

niemieckiej mniejszości. Kiedy oddziały Armii Czerwonej wyparły ostatnie jednostki Wehrmachtu z Węgier w grudniu 1944 roku, węgierskie władze niezwłocznie ogłosiły przymusowy nabór wszystkich Volksdeutschów – mężczyzn w wieku od 17 do 45 lat i kobiet od lat 18 do 30 – do robót w Związku Radzieckim. Nowy minister spraw wewnętrznych w Budapeszcie, Ferenc Erdei, bynajmniej nie utrudniając tej obławy na niemieckojęzycznych obywateli węgierskich, wydał dalsze zarządzenia zmierzające do zliczenia i klasyfikowania potencjalnych wysiedleńców. Do 65 tysięcy posługujących się niemczyzną Węgrów miało opuścić ziemię węgierską do lutego 1945 roku, z czego, jak się szacuje, jedna trzecia straciła życie w radzieckich łagrach. Wielu ocalałym nie zezwolono na powrót w ojczyste strony, przesadzając ich od razu po powrocie z ZSRR do pociągów jadących do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech[50]. Ci, którym jakoś udało się wrócić, na ogół przekonywali się, że w czasie ich nieobecności zabrano im domy, a rodziny deportowano do Niemiec[51]. Na podstawie kolejnych rozporządzeń zostały zorganizowane trybunały do sądzenia tak zwanych zbrodniarzy wojennych; stawali przed nimi ci, którzy służyli w niemieckich siłach zbrojnych lub policyjnych (nieco później premier Béla Miklós ogłosił, że nie będzie się czynić rozróżnienia między tymi, którzy wstępowali do nich na ochotnika, a tymi objętymi obowiązkową służbą w takich formacjach). Ponadto przewidziano możliwość internowania wszystkich niemieckich obywateli – w praktyce do owej kategorii zaliczono członków Volksbund der Deutschen in Ungarn, przedwojennego związku etnicznych Niemców na Węgrzech – i wreszcie, 14 maja 1945 roku, wydano zgodę na pozbawianie wolności także członków rodzin osób internowanych.

Na długo przed tym, jak ACC(H) zajęła się tą sprawą, deportacje na Węgrzech już nabierały tempa. W istocie przedstawiciele węgierskiego MSZ w zwrócili się do A.D.F. Gascoigne'a, brytyjskiego dyplomaty w Budapeszcie, zaledwie po upływie tygodnia od kapitulacji Rzeszy, aby półoficjalnie wybadać możliwość wydalenia do Niemiec 200 tysięcy Volksdeutschów – podobne życzenie wyrażając w tym samym czasie także w Moskwie i Waszyngtonie[52]. Joseph Grew, p.o. amerykański sekretarz stanu, odpowiedział Węgrom, że Departament Stanu USA „nie zamierza troszczyć się o grupę [ludności], prawdopodobnie złożoną z nazistów", chociaż rząd federalny generalnie nadal podchodził z rezerwą do idei masowych przesiedleń[53]. W Londynie odniesiono się do sugestii Węgrów bardzo nieprzychylnie, wobec tego, że wielkie rzesze wygnańców przybywały do okupowanych Niemiec z Polski i Czechosłowacji. Jednak, wbrew wyrażonemu przez Brytyjczyków pod koniec maja 1945 roku żądaniu zarzucenia takiego pomysłu, z Budapesztu nadeszła odpowiedź, że przystąpiono już do wyłapywania węgierskich Volksdeutschów, co miało stanowić wstęp do ich deportacji. Celem tej akcji, jak Gyöngyösi wyjaśnił Gascoigne'owi, było zarówno ukaranie tej mniejszości, jak i zapewnienie miejsca etnicznym Madziarom, wypędzonym lub spodziewającym się deportowania z sąsiednich krajów, głównie z Czechosłowacji[54]. O rzeczywistych zamiarach Budapesztu świadczyło to, że najpierw przystąpiono na Węgrzech do wywłaszczania i konfiskat. Na mocy dekretu z 1 lipca 1945 roku powstały okręgowe komitety badające to, wobec kogo byli lojalni przedstawiciele niemieckojęzycznej ludności węgierskiej powyżej 16. roku życia. Liderów Volksbundu albo znanych wojennych kolaborantów bezzwłocznie internowano, a państwo

konfiskowało ich mienie. Cztery dni później węgierski rząd wystosował notę do ACC(H), formalnie domagając się współdziałania w deportowaniu Volksdeutschów z Węgier.

Jednak dokładne określenie liczby osób, które miano wysiedlić, okazało się trudne. W początkowych rozmowach z reprezentantami Wielkiej Brytanii i USA Gyöngyösi wspominał o planach wydalenia z kraju od 200 do 340 tysięcy niemieckojęzycznych obywateli. Tuż po konferencji poczdamskiej radziecki przedstawiciel w ACC(H), generał porucznik Władimir Swiridow, zażądał od Miklósa możliwie najszybszego nakreślenia planu deportowania do 450 tysięcy węgierskich Volksdeutschów. Pobudki, jakimi się w tym kierował, pozostają kwestią sporną. Francuski historyk Jean-Leon Muller uważa, że powodem takiego pośpiechu było dążenie do zredukowania liczebności antykomunistycznego elektoratu przed zbliżającymi się na Węgrzech wyborami, a ponadto ułatwienie procesu wywłaszczania majątków ziemskich i rozdawnictwa ziemi uprawnej oraz, być może, do zdestabilizowania sytuacji w krajach zachodnich poprzez wyrzucenie do ich stref okupacyjnych następnego pół miliona spauperyzowanych Niemców. Z kolei niektórzy węgierscy historycy dopatrzyli się w tym żądaniu zakulisowych machinacji Pragi, sugerując, że to rząd Beneša naciskał na wypędzenie z Węgier maksymalnej liczby Volksdeutschów, aby pozbawić Budapeszt pretekstu do odmowy przyjęcia podobnej liczebnie grupy Madziarów wysiedlonych z Czechosłowacji[55]. Tak czy owak, wspomniana radziecka inicjatywa wywołała podziały w węgierskim rządzie, gdyż niektórzy członkowie chcieli za jednym zamachem pozbyć się wszystkich Volksdeutschów, natomiast bardziej umiarkowani obawiali się, że byłoby to korzystne przede wszystkim dla Pragi. Ostatecznie został osiągnięty

kompromis – deportować miano wszystkich tych, którzy w spisie powszechnym z 1941 roku podali niemiecki jako język ojczysty oraz przyznali się do niemieckiego pochodzenia: ogółem około 303 tysiące osób.

Niepowodzenie Komunistycznej Partii Węgier w osiągnięciu spodziewanego sukcesu w wyborach w listopadzie 1945 roku sprawiło wszak, iż zajęła ona bardziej radykalną postawę wobec kwestii niemieckiej. Dając jasno do zrozumienia, że występowali w imieniu radzieckich władz okupacyjnych, węgierscy komuniści zmusili rząd do wznowienia debaty w tej sprawie. Imre Nagy, nowy komunistyczny minister spraw wewnętrznych, który po upływie dekady miał pokierować skazaną na fiasko węgierską próbą wyrwania kraju z radzieckiej sfery wpływów, okazał się szczególnie nieprzejednany wobec Volksdeutschów, opisując plany oczyszczenia Węgier z niemieckich wpływów mianem „naszej narodowej powinności” i naciskając na wypędzenie każdego, kto w spisie powszechnym z 1941 roku przyznał się do posługiwania się językiem niemieckim. Takie nowe, ostrzejsze nastawienie znalazło odzwierciedlenie w zarysach planu ostatecznie zaprezentowanego ACC(H) przez rząd budapeszteński w grudniu 1945 roku. Plan ten zawierał propozycję deportowania wszystkich 510 tysięcy węgierskich Volksdeutschów w ramach operacji, która wymagała wykorzystania dziewięciu batalionów wojska, 7 tysięcy wagonów kolejowych miesięcznie oraz 22 obozów przejściowych. Najpierw przewidywano oczyszczenie z Niemców komitatu Tolna w południowo-zachodniej części kraju oraz Budapesztu wraz z okolicami, następnie Baranyi przy granicy z Chorwacją i na koniec reszty Węgier. Obawiano się głównie ucieczek Niemców oraz niszczenia i ukrywania ich majątku. Aby do tego nie dopuścić, sześć

z dziewięciu wydzielonych do tej akcji batalionów zamierzano skierować do zajmowania i konfiskowania dóbr Volksdeutschów, którzy w warunkach stanu wyjątkowego znaleźliby się w areszcie domowym do czasu wywozu do obozów. Akcja ta winna była zakończyć się do lipca 1946 roku[56].

Jednak faktycznie niewiele z tych planów weszło w życie. Major A.D. Spottswood, zajmujący się kwestią deportacji oficer amerykańskiego przedstawicielstwa w ACC(H), trafnie określił Węgrów jako „organizatorów operacji na papierze". Zaplanowane obozy przejściowe wcale nie powstały; zamiast tego otaczano kordonami wsie, określając je mianem miejsc zbiorczych, gdzie miano zsyłać deportowanych. Kiedy tylko rozpoczęły się „zorganizowane wysiedlenia", zapanował – zgodnie z przewidywaniami Spottswooda – chaos. Nie tylko rutynowo wysyłano pociągi bez żywności dla pasażerów, ale także na początku maja dwie trzecie pociągów z deportowanymi pojawiły się we Freilassing i Pasawie w strefie amerykańskiej bez zapowiedzi. Tylko 15 pociągów, zestawionych z wagonów podkradzionych zachodnim aliantom lub wypożyczonych przez Sowietów, mogło uczestniczyć w akcji wysiedleńczej. Niektóre z nich były w „rozpaczliwym stanie". Według generała Claya „większość Szwabów przybywa do strefy amerykańskiej ogołocona do cna i bez grosza"[57]. A więc amerykańskie władze okupacyjne miały wiele powodów do wysuwania oskarżeń, że deportacjom z Węgier daleko do spełniania „uporządkowanych i ludzkich" warunków, wymaganych przez porozumienie poczdamskie.

Sami Węgrzy wydawali się niepewni tego, czy chcieli pozbyć się z kraju całej niemieckiej populacji. W styczniu 1946 roku Miksa Fenyö, węgierski Żyd, były parlamentarzysta i znany literat, oraz György Parragi,

ocalały więzień obozu koncentracyjnego w Mauthausen, wystosowali w imieniu węgierskich intelektualistów manifest, zdecydowanie krytykując deportowanie tych Niemców, którzy „nie popełnili zbrodniczych aktów, a tylko ulegli zbiorowej histerii, oraz tych, którzy byli [wobec niej] obojętni". Wielu Węgrów, jak wskazywali, można było zaliczyć do jednej z tych kategorii w latach wojny[58]. Prymas Węgier kardynał Józef Mindszenty i inni biskupi katoliccy otwarcie potępili to, co uznali za niesprawiedliwe potraktowanie niemieckiej mniejszości (choć złośliwi zauważyli, że tylko nieliczni z nich wypowiadali się przeciwko deportacjom węgierskich Żydów dwa lata wcześniej). Wydawało się, że nie było zbytnich powodów do obaw, iż zawieszenie wysiedleń doprowadzi do antyamerykańskich wystąpień węgierskiej opinii publicznej. Tak więc 4 czerwca 1946 roku, przyjąwszy 118 474 Niemców z Węgier, OMGUS ogłosił wstrzymanie dalszych transportów do nieokreślonego czasu. Jak przyczynę podano „nadużycia zaobserwowane w wysyłaniu pociągów ze Szwabami, chaotyczny tryb realizacji programu [wysiedleń] oraz nieludzkie konsekwencje obciążania niemieckich agencji pomocy społecznej ograbionymi z pieniędzy i wszystkiego innego ludźmi"[59].
W rzeczywistości nic nie wskazywało na to, by deportacje z Węgier były gorsze od transportów z Czechosłowacji, które Amerykanie nadal przyjmowali. Dziewięć miesięcy wcześniej Con O'Neill z brytyjskiego MSZ pisał, że „gdyby trzeba było oceniać w punktach, w skali do 100, ład i ludzkie warunki [przybywających transportów], to przyznałbym Węgrom 40 [punktów], Czechosłowacji 30, a Polsce 5"[60]. Wobec tego amerykańska decyzja o wstrzymaniu przyjmowania wysiedleńców z jednego tylko kraju miała mniej wspólnego z warunkami, w jakich

odbywały się deportacje, a więcej z faktem, że ze zdaniem Pragi należało się liczyć, a z Budapesztem już nie.

Rząd węgierski był skonsternowany z powodu tego nieoczekiwanego postanowienia OMGUS. Jak nieco później Mátyás Rákosi przyznał markotnie w rozmowie z Mołotowem, węgierskie władze „rozpoczęły ten proces eksmisji, zakładając, że zdoła przesiedlić o 100 tysięcy [więcej] Szwabów do amerykańskiej strefy”[61]. Gdy nie udało się zorganizować sieci licznych obozów, takich jak te w Polsce czy Czechosłowacji, aby internować w nich Niemców, i bez realnej możliwości zwrócenia się o pomoc oraz poparcie krajowej opinii publicznej w uruchamianiu takich obozów, ministrowie z Budapesztu nie mieli wyjścia i musieli zaakceptować takie warunki dalszych wysiedleń, jakie Amerykanie byli gotowi im zaoferować. Po rozmowach prowadzonych latem 1946 roku Węgrzy i Amerykanie sporządzili 22 sierpnia zrewidowany protokół operacji deportacyjnej. Budapeszt został zobligowany do zawiadamiania wysiedlanych z co najmniej dziesięciodniowym wyprzedzeniem o wywózce i dopiero potem mógł przystąpić do obław na Volksdeutschów. Pociągi z przesiedleńcami miały się składać z 35 wagonów osobowych, pięciu wagonów bagażowych, wagonu z kuchnią i wagonu medycznego; każdemu z transportów winien był towarzyszyć co najmniej jeden lekarz, dwie sanitariuszki i straże. Minimalna liczba pasażerów w jednym transporcie miała wynosić 1100 osób. Każda z wywożonych grup mogła wybierać ze swego grona pięcioosobowy komitet, który współdziałając ze strażnikami, zapobiegałby rabunkom. Poza dopuszczalnym stukilogramowym bagażem każdy z pasażerów miał dostać minimum 500 marek (około 50 ówczesnych dolarów) w gotówce, a nadto wolno było zatrzymać obrączki

i zegarki. Władzom budapeszteńskim zakazano uniemożliwiania wyjazdu niektórym wysiedleńcom i wywozu innych w pierwszej kolejności na podstawie ich „obecnej przynależności politycznej, zamożności, wieku, płci [lub] stanu zdrowia". Inspektorzy ACC(H) albo OMGUS mieli prawo przeprowadzania wyrywkowych kontroli pociągów na stacjach wyjazdowych, docelowych i wszędzie na trasie przejazdu. Deportacje należało zawieszać w okresach niesprzyjającej pogody albo w razie wybuchu epidemii chorób zakaźnych. W razie spełnienia wszystkich tych wymagań Amerykanie zobowiązali się do ponownego przyjmowania wysiedleńców, poczynając od 1 września 1946 roku i wpuszczać do swojej strefy po 20 transportów kolejowych miesięcznie do 1 kwietnia 1947 roku i do tej ostatniej daty przyjąć maksymalnie 90 tysięcy Niemców. Jeśliby OMGUS zadowoliła współpraca z Węgrami, wówczas Amerykanie mieli się zgodzić na przyjęcie kolejnych 100 tysięcy uchodźców, na identycznych warunkach, do 1 grudnia 1947 roku, czyli przewidywanego ostatecznego terminu zakończenia operacji deportacyjnej. Budapeszt uprzedzono o konieczności ścisłego trzymania się terminarza kursowania pociągów z wysiedleńcami. O przyjeździe każdego z takich pociągów do amerykańskiej strefy przygranicznej należało powiadamiać stosowne władze z miesięcznym wyprzedzeniem. W razie gdyby dany transport nie przybył wyznaczonego dnia, przewidziane dlań „okienko" miało zostać niezwłocznie skasowane, a Węgrom nie wolno było dołączać danej partii przesiedleńców do następnego transportu[62].

Takie skorygowane przepisy, narzucone Węgrom przez OMGUS, były bez wątpienia najsurowszymi wymogami owego rodzaju postawionymi jakiemukolwiek krajowi w trakcie całego procesu powojennych przesiedleń. Podanie

ich do wiadomości wzbudziło pewne rozgoryczenie Brytyjczyków, po pierwsze dlatego, że okazało się, iż można było skutecznie zażądać od państw dokonujących wysiedleń norm „dużo surowszych od wszystkiego, czego domagaliśmy się od Polaków”, a po wtóre ponieważ „akurat wstrzymujemy akcję „Jaskółka” i byłoby dobrze, gdyby udało nam się wykazać, że Amerykanie również jednostronnie wstrzymali przyjmowanie [deportowanych] z Węgier”[63]. Jak się okazało na podstawie późniejszych wydarzeń, w Londynie zbytecznie się tym przejmowali. Na Węgrzech, tak jak gdzie indziej, organizatorzy masowych wysiedleń stali przed nieuchronnym wyborem między postępowaniem humanitarnym a względami natury praktycznej. I kiedy tylko zostali przymuszeni przez Amerykanów do przestrzegania względów humanitarnych, z tymi drugimi nie mogli się uporać. Wedle skorygowanego planu w ciągu trzech miesięcy po wznowieniu akcji przesiedleńczej we wrześniu 1946 roku do strefy amerykańskiej winno było trafić 57 200 Niemców. Faktycznie tylko sześć pociągów z 6090 ludźmi łącznie dotarło tam w dwutygodniowym okresie po 10 listopada. I choć Amerykanie wyrazili zadowolenie realizacją nowego porozumienia przez Budapeszt, to 1 grudnia ponownie przerwali operację aż do marca, powołując się na trudne warunki zimowe i nagromadzenie się ponad 100 tysięcy bezdomnych wygnańców w obozach przyjmujących w ich strefie[64]. Równocześnie stwierdzili oficjalnie, że niewykorzystanie przez Węgrów wydzielonych „okienek” dla 60 pociągów z wysiedleńcami w okresie od września do pierwszej połowy listopada – na skutek, jak zapewniano w Budapeszcie, braku marek niemieckich, jakie należało wydawać każdemu z deportowanych – oznaczało, że liczba

Niemców mających przyjechać do strefy amerykańskiej nieodwołalnie ulec miała zmniejszeniu do 66 tysięcy.

Owo powtórne wstrzymanie akcji spowodowało, że Węgrom i Sowietom ostatecznie puściły nerwy. Składając formalny protest dr Gyula Fischer z węgierskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych domagał się wyjaśnienia, co stałoby się, gdyby rządowi węgierskiemu udało się wypełnić wspomniane „okienka" od początku września. „Czy po przesiedleniu 5000 osób ekspatriację należałoby przerwać z powodu braku pomieszczeń w [amerykańskich] obozach?" Na posiedzeniu ACC(H) 6 grudnia generał Swiridow zarzucił stronie amerykańskiej próby sabotowania procesu przesiedleńczego za pomocą fabrykowania nowych wymyślnych wymagań po tym, jak Budapeszt spełnił poprzednie. Jako przykład przytoczył „nowy warunek wymagający, żeby każdy z pociągów wiózł 50 ton węgla, bez którego nie zostałby wpuszczony do Niemiec". Nawet generał Oliver Edgcumbe, brytyjski przedstawiciel w ACC(H), poparł swojego radzieckiego kolegę, wyrażając zdziwienie z powodu tego, „że porozumienie między władzami amerykańskimi a rządem węgierskim pozwoli Szwabom na pozostanie na Węgrzech tylko dlatego, że doszło do naruszenia ustalonych terminów realizacji programu"[65].

Zadanie obrony nowej amerykańskiej polityki w sprawach przesiedleń powierzono generałowi brygady George'owi „Pappy" Weemsowi. Był on jedną z najbardziej egzotycznych postaci związanych z akcją przesiedleńczą. Wyznaczony latem 1946 roku na następcę bezkompromisowego generała Williama Keya na stanowisko przedstawiciela USA w ACC(H), ten były kawalerzysta nie dorównywał swemu poprzednikowi. Zdaniem jednego z jego podwładnych, podpułkownika

Williama Karpa, Weems postępował tak nieprzewidywalnie, iż jego podkomendni powszechnie uważali, że niedawno przeszedł nierozpoznany udar mózgowy. Poza tym, że Weems miał chwilowe zaniki pamięci, wszystko mu się myliło, utykał i często wpadał w szał, kiedy przerywano mu wywody, „żywił obsesyjną myśl, że istnieje jakiś rodzaj międzynarodowego spisku, zajmującego się wykradaniem maszyn do pisania, a w każdym razie maczającym palce w kradzieży jednej z takich maszyn, o której mu wspomniano”[66]. Wyznaczenie kogoś takiego do nadzorowania wysiedleń z Węgier zapewne dobrze odzwierciedla nikłe zaangażowanie Waszyngtonu w skuteczną realizację tej akcji. W każdym razie Weems spisał się niezawodnie, jeśli chodziło o wyszukiwanie wszelkich możliwych przeszkód na drodze do jej wznowienia. Przez kilka miesięcy uskarżał się oficjalnie na zwyczaj władz budapeszteńskich, by ująć rzecz słowami kolegi Weemsa, generała Edgcumbe’a, prób „stwarzania wrażenia, iż deportacje odbywają się wskutek alianckiej presji, a nie próśb rządu węgierskiego”[67]. Porozumienie ACC z listopada 1945 roku, jak przekonywał Weems, „umożliwiało węgierskiemu rządowi deportowanie tych, których chcieli [wysiedlić], ale nie wymagało deportowania do amerykańskiej strefy określonej liczby ludzi”. Na początku marca, kiedy zimowa pauza dobiegała końca, Weems oznajmił przedstawicielom Budapesztu, że program przewidziany na rok 1947 nie zostanie podjęty, o ile rząd węgierski nie wyśle delegata do Berlina dla przedyskutowania dodatkowych warunków do spełnienia. Kiedy administracja premiera Tildy’ego przystała nawet na to, Weems na powrót zastosował destrukcyjną taktykę, informując ACC(H), że amerykańskie władze w okupowanych Niemczech nie mogą myśleć o przyjęciu

nowych wysiedleńców z Węgier, dopóki warunki społeczne i ekonomiczne w amerykańskiej strefie się nie poprawią. „Organy władzy USA w Niemczech nie oczekują, by doszło do wyraźnej poprawy warunków osiedleńczych w strefie amerykańskiej w ciągu co najmniej 12 miesięcy”[68].

W obliczu wspomnianego ponownego zawieszenia – które, jak sądził generał Clay i czego w rozmowach prywatnych nie skrywał, oznaczało ostateczne przerwanie akcji – rząd Tildy’ego zrezygnował ze stwarzania pozorów, że jedynie posłusznie wprowadzał w życie instrukcje ACC(H). Budapeszt protestował, że usunięcie pozostałych Niemców z Węgier stanowiło pilne, pierwszoplanowe zadanie dla tego kraju. Około 25 tysięcy już „wyznaczono” do wysiedlenia; jeśliby Amerykanie nadal stwarzali przeszkody, w rezultacie miał zapanować chaos.

> Mienie tych osób zostało zatrzymane, a rodziny albo przemieszczone do innych szwabskich rodzin bądź też węgierscy osadnicy wprowadzali się do domów zamieszkanych jeszcze przez Szwabów. W takiej sytuacji nieruchomość znajdowała się pod wspólną opieką nowego osadnika oraz szwabskiego właściciela, co doprowadziło do wymieszania ludności wsi. Władze węgierskie donoszą o tym, że codziennie wybuchają bójki i kłótnie między Szwabami a węgierskimi osadnikami i że doszło do kilku morderstw. […] Napływają informacje o tym, że Szwabi mówią otwarcie, iż Amerykanie popierają ich opór wobec ekspatriacji, a wstrzymanie programu [przesiedleń] oznacza objęcie ich [węgierskich Niemców] ochroną. […] W efekcie przerwania wyrzuceń [*sic*!] Szwabów, grupy pragnące wydalenia wszystkich Szwabów wywierają silne naciski, a pewne zamieszanie wynikło

w rezultacie z niezdolności rządu do spełnienia swoich zapowiedzi w tej sprawie[69].

Takie skargi węgierskiego rządu na wzrost liczby konfliktów związanych z przesiedlaniem ludności na pewno odpowiadały rzeczywistości, tyle że większość tych incydentów wynikała z działań samego Budapesztu. W istocie Węgry były tuż po wojnie jedynym krajem, gdzie wysiedlani czuli się na tyle pewnie, by w poważniejszy sposób przeciwstawiać się konfiskatom i eksmisjom. „Wedle doniesień w komitacie Baranya Szwabi atakują napływowych Cyganów [węgierskich osadników], a czasem napadają na nich w biały dzień”[70]. Z kolei osadnicy, nierzadko pod wpływem komunistów i działaczy chłopskich, prezentowali mentalność „linczującego motłochu” i dawali upust swej frustracji z powodu powolnego tempa konfiskat niemieckiego mienia, co nieraz prowadziło do rozlewu krwi. Ale władze były bardzo zaniepokojone również przejawami sympatii dla wysiedlanych – na przykład w komitacie Tolna 80 przedstawicieli węgierskiej większości aresztowano za udzielanie pomocy konwojowi deportowanych i zaopatrywanie tych ostatnich w żywność na drogę[71]. Załamując ręce z powodu widocznych niepowodzeń programu wysiedleń, Rákosi zwrócił się do Mołotowa z prośbą o zezwolenie na odesłanie Niemców nieprzyjętych przez Amerykanów do radzieckiej strefy okupacyjnej, zapewniając przy tym, że śmiertelny lęk, jaki wzbudzał w deportowanych bolszewizm, z pewnością sprawi, iż przenikną stamtąd do Bawarii przez „zieloną granicę”. Sceptyczny radziecki minister spraw zagranicznych, mniej od Węgrów przekonany, że radziecka strefa posłuży w tej kwestii za odpowiedni „straszak”, odrzucił tę prośbę[72]. Jednak ZSRR, w geście pomocy dla uwikłanej w kłopoty

Komunistycznej Partii Węgier, po wymianie not z Budapesztem w lipcu 1947 roku zgodził się przyjąć 50 tysięcy węgierskich Niemców do swojej strefy okupacyjnej i wpuszczać tam co tydzień po trzy pociągi z deportowanymi[73].

Ostatnia runda deportacji z Węgier przeobraziła się tragikomiczną parodię pierwotnego planu wysiedleń opracowanego w Budapeszcie. Wcześniej objęto deportacjami głównie tych, których uważano za „najgorszych" Niemców: rodziny osób służących podczas wojny w Volksbundzie lub Waffen-SS. Na ogół jednak byli to przedstawiciele najniższych warstw społecznych, zaciągający się do formacji sił zbrojnych Rzeszy nie tyle z pobudek ideologicznych, ile pod przymusem albo ze względów „ekonomicznych". Przyglądanie się deportacjom ubogich chłopów i robotników, podczas gdy zamożniejsi niemieccy „kułacy" – a wielu z nich udało się w latach wojny wykręcić od służby wojskowej – byli pozostawiani w spokoju, irytowało działaczy Komunistycznej Partii Węgier. W dążeniu do pozbycia się „wroga klasowego" w 1947 roku zmieniono kryteria akcji wysiedleńczej i od tamtej pory tylko ci, którzy „dobrowolnie" wstępowali wcześniej do Volksbundu i SS, podlegali deportacjom. Nie objęto natomiast wywózką robotników przemysłowych i rolnych, górników oraz tych, których pracę uznano za niezbędną dla gospodarki kraju – często mimo tego, że w czasie wojny ludzie należący do tych kategorii nierzadko służyli w niemieckich siłach zbrojnych. Jak zauważył z przekąsem Michael Mevius: „Unikanie naboru do SS bardziej zaczęło zakrawać na przestępstwo niż walka w składzie SS"[74].

Sowieci okazali się znacznie bardziej elastyczni od Amerykanów, jeśli chodziło o minimalne standardy opieki

zapewnianej węgierskim wysiedleńcom. Jak stwierdzili brytyjscy obserwatorzy wojskowi, rzucało się w oczy to, że Sowieci prawie w ogóle się tą kwestią nie przejmowali. Trwająca przez tydzień w sierpniu 1947 roku operacja oczyszczania z ludności niemieckiej niewielkich miast Dunabogdány, Wyszehrad i Nagymaros leżących na północ od Budapesztu stanowiła dobry przykład metod, jakie stosowano w deportacjach do strefy radzieckiej.
W miasteczku Dunabogdány, w którym ponad połowę trzytysięcznej populacji stanowili etniczni Niemcy, major M. Hanley z brytyjskiej misji wojskowej zauważył, że „Szwabów zawiadamiano o wysiedleniu z najwyżej dwugodzinnym wyprzedzeniem, a niekiedy dawano im jeszcze mniej czasu". Około 1400 osób zostało przewiezionych ciężarówkami na stację kolejową w Nagymaros. „Wolne miejsca w ciężarówkach zapełniano cokolwiek pospiesznie i, wedle meldunków, [pomyłkowo] zabrano w ten sposób jednego czy dwóch Węgrów (choć w tej sprawie potrzeba więcej dowodów)"[75].
W Nagymaros rozgrywały się sceny jeszcze większego chaosu. Kapral C. Sassie, któremu uniemożliwiono obserwowanie obławy w Wyszehradzie, mimo wszystko zauważył węgierskich policjantów pośród 700 Niemców zapędzonych na stację kolejową w Nagymaros. Miejscowi powiedzieli mu, że posterunkowi uczestniczący w tej akcji byli „zdyscyplinowani, pomocni, wyrozumiali", za to „oficerowie postępowali jak świnie". Sam Sassie uważał podobnie. „Zastraszali, wrzeszczeli, wydawali się pod wpływem alkoholu. Trzem z nich towarzyszyły policjantki w cywilnych ubraniach czy też narzeczone". Węgierscy policjanci z kordonu wokół miasta powiedzieli Sassiemu, że niektórzy Niemcy uciekli na pobliskie wzgórza, a oni sami przymknęli na to oko; że trzech starszych Niemców zginęło

już w trakcie łapanki; że widziano, jak kierujący akcją oficerowie zabierali mienie wysiedleńcom i ładowali je do swoich aut oraz że wbrew nadziejom Komunistycznej Partii Węgier „wielu bogatych Szwabów uzyskało prawo do pozostania na miejscu, przekupując policję. […] Niemal wszyscy ekspatrianci wywodzili się z niższych klas społecznych. Wielu byłych członków Volksbundu i SS wykupiło się od wywózki”.

Podobne zamieszanie panowało na stacji kolejowej, gdzie niebawem dotarł Sassie. Zastał tam

> […] 20 wagonów bydlęcych, jedne kryte, inne bez dachu; w każdym z nich miało się pomieścić po 35 osób z bagażami, którymi najczęściej była pościel. Na stacji nie było sanitariatów. Nie było wagonu kuchennego ani medycznego. Nie dostarczono żywności, ludzie musieli się w nią sami zaopatrywać. […] Prawie wszyscy płakali. Sceneria bardzo przypominała etap przejściowy wywózki więźniów. Widziałem pewną matkę błagającą strażników, by pozwolili jej zabrać dziecko, które pozostało z jej najstarszą córką. […] Spotkałem starca spieszącego na stację; powiedział mi, że leżał w szpitalu, gdy dowiedział się, że jego żona już znalazła się w punkcie zbiorczym, gdzie popędził, aby do niej dołączyć[76].

Pomimo nieporządku i dezorganizacji charakteryzujących deportacje do strefy radzieckiej przyznać trzeba, że trwały one względnie krótko. Po wywiezieniu 50 tysięcy Volksdeutschów proces ów dobiegł końca w sierpniu 1948 roku i dalszych wysiedleń z Węgier już nie było. Nie ma wątpliwości, że spowalnianie akcji przez amerykańskie władze okupacyjne niemal od jej początku uchroniło wielu węgierskich Niemców od wypędzenia z rodzinnych stron.

Z 25 tysięcy przewidzianych do wywózki w styczniu 1946 roku tylko 3866 faktycznie wydalono z kraju; liczba wygnańców doszła do 41 500 z końcem kwietnia – choć Węgrzy planowani deportowanie do tego czasu 250 tysięcy Niemców[77]. W sumie 126 843 węgierskich Volksdeutschów zmuszono do wyjazdu do strefy amerykańskiej i około 50 tysięcy do radzieckiej zamiast 447 tysięcy przewidzianych pierwotnie do deportowania przez rząd budapeszteński. A więc przypadek Węgier dobitnie potwierdza prawdę, że jeśli wysiedleń nie dało się przeprowadzić niezwłocznie, to nierzadko w ogóle do nich nie dochodziło. Jak Mołotow oznajmił oschle Rákosiemu w 1948 roku: „Przegapiliście dogodną chwilę”[78].

Fakt, że Amerykanie po prostu oświadczyli, iż nie będą więcej przyjmować ekspatriantów z Węgier, i wykazali się w tej mierze konsekwencją, podziałał też inspirująco na brytyjskich polityków, którym marzyło się podobne radykalne przerwanie akcji „Jaskółka”. Po budzących grozę transportach docierających do Marienthalu w grudniu 1946 roku urzędnicy CCG w pierwszej kolejności wstrzymali przyjmowanie dalszych na dwa tygodnie. William Strang, doradca polityczny głównodowodzącego brytyjskiej strefy okupacyjnej, uważał, że oprócz tego należało przestrzec Polaków przed „gromadzeniem uchodźców w punktach zbiorczych, gdzie, jak się wydaje, przetrzymuje się ich w jeszcze gorszych warunkach od tych panujących w pociągach” oraz że „wszelkie poczynania z ich [Polaków] strony zmierzające do obejścia tego wymogu spowodują przedstawienie opinii publicznej warunków, w jakich przewożono repatriantów w ostatnich tygodniach”[79]. Jednak zaledwie dziesięć dni po ogłoszonym zawieszeniu akcji polskie władze poddały próbie stanowczość Brytyjczyków, wysyłając do Marienthalu kolejny transport

wysiedleńców. Z uwagi na to, że wagony tego pociągu zostały wyścielone słomą, były ogrzewane i dojechały z „tylko” siedmioma zmarłymi po drodze pasażerami, transport wpuszczono do strefy brytyjskiej. Ale zespół łącznikowy w Szczecinie ostatecznie przeciwstawił się 6 stycznia 1947 roku przepuszczeniu podstawionego przez Polaków pociągu z transportem Niemców, mającym dojechać do oddalonej o 350 kilometrów Lubeki. Gdy pociąg ten w końcu znalazł się w Szczecinie, z dwudniowym opóźnieniem, wysiedleńcy, w tym 693 dzieci, czekali nań pod gołym niebem przez prawie sześć godzin w temperaturze –21ºC. Skład, uznany przez brytyjski zespół łącznikowy za „nieodpowiedni do przewozu bydła, nie mówiąc już o ludziach”, był zestawiony z dziewięciu wagonów pasażerskich bez okien oraz z 23 wagonów towarowych; w połowie z tych ostatnich nie zamykały się drzwi. A ponieważ na wspomnianym szlaku pociągi z wysiedleńcami na ogół nie przebywały więcej niż 70–80 kilometrów dziennie, jasne było, że po drodze wiele osób umrze w razie przepuszczenia tego transportu. Wobec tego Brytyjczycy po raz pierwszy oficjalnie nie zgodzili się na umieszczenie deportowanych w pociągu i wystosowali ostry protest pod adresem kierownictwa polskich kolei[80].

Polskie ostrzeżenia – czy też groźby – że nie umniejszy to cierpień wysiedleńców niebawem miały się spełnić. Do początków lutego ponad 4 tysiące Niemców zebrano w Kaławsku; codziennie przybywali tam następni, mimo że brakowało dla nich miejsca[81]. Kolejne tysiące – „głównie kobiet, starców i dzieci” według Polskiego Czerwonego Krzyża – władze zebrały w obozie zbiorczym Szczecin-Golęcino, wcześniej tymczasowo zamkniętym z powodu wybuchu epidemii tyfusu. Ludzie tłoczyli się tam w ruinach budynków otaczających obóz, „w nie do opisania złych

warunkach sanitarnych i bez jakiejkolwiek opieki czy pomocy". Lokalny pracownik PCK markotnie donosił, że „delegat amerykańskiego Czerwonego Krzyża, pan Slendziński, zechciał w czasie swego ostatniego pobytu odwiedzić ten […] obóz. […] Z pewnymi trudnościami zdołałem mu to wyperswadować, gdyż wiedziałem dobrze, iż raport z tej wizytacji byłby bardzo nieprzychylny i skompromitowałby nas na arenie międzynarodowej"[82]. Jeszcze gorzej przedstawiała się sytuacja w Gdańsku, gdzie Marta Dobrzyńska, pełnomocnik wojewody do spraw osadnictwa, raportowała, że warunki bytowe pozostałej na miejscu ludności niemieckiej pogorszyły się dramatycznie po wstrzymaniu deportacji:

> W województwie gdańskim przebywa 34 500 Niemców. Zdecydowana większość z nich to kobiety, dzieci i starcy.
>
> Śmiertelność wśród tych Niemców jest zastraszająca – pomiędzy 1 stycznia 1947 roku a 1 kwietnia 1947 roku zmarło 5,7 procent z nich.
>
> Przyczyny [zgonów]: głód i brak opieki lekarskiej nad chorymi[83].

Jednak oficerowie zarządu wojskowego w okupowanych Niemczech dość optymistycznie oceniali zaistniałą sytuację. „Uważamy – pisał jeden z nich – że to dobra okazja do wstrzymania akcji «Jaskółka»"[84]. O ile niektórzy wyżsi rangą urzędnicy państwowi w Londynie z trudnością pojmowali, po co robić takie zamieszanie wokół podobnej dość trywialnej sprawy – jeden z nich zwrócił uwagę na prasowe doniesienia o tym, że 37 osób z Hamburga zamarzło w styczniu 1947 roku, dopisując: „Powinno to sprawić, że spojrzymy trzeźwiej na «Jaskółkę»" – o tyle brytyjscy administratorzy i w Wielkiej Brytanii,

i w Niemczech postarali się już o to, aby o łamaniu przez Polaków przyjętych ustaleń w kwestii wysiedleń rozpisano się w gazetach. Niecodzienne było to, że cenzorzy zezwolili niemieckiej prasie na opublikowanie szczegółowych i bardzo krytycznych relacji o transportach, jakie wysłano do strefy brytyjskiej pod koniec grudnia i na początku stycznia. W Izbie Gmin parlamentarzyści wypytywali o sprawę, a John Hynd stwierdził bez ogródek, że „polskie władze nie przeprowadzają przewozów tych Niemców po ludzku i w należytym porządku, wbrew uzgodnieniom porozumienia poczdamskiego”[85]. Politycy brytyjscy stanęli przed wyborem: wznowić przyjmowanie przesiedleńców na znacznie zaostrzonych warunkach, przy czym oficerowie z zarządu wojskowego w Niemczech dawali „Londynowi wolną rękę w niezwłocznym zatrzymaniu przesiedleń na zawsze, w razie złamania nawet jednej klauzuli naszego porozumienia”, albo też, wzorem Amerykanów, jednostronnie i wyraźnie ogłosić, że okres „zorganizowanych wysiedleń” się zakończył[86].

Po debatach w tej sprawie trwających na wiosnę 1947 roku Londyn wybrał drugą z tych opcji. Choć podjęta decyzja od razu „wywołała rozpaczliwy odzew HMA [brytyjskiego ambasadora] w Warszawie, czego można się było spodziewać”, to zarówno w MSZ, jak i w zarządzie wojskowym w okupowanych Niemczech zignorowano te lamenty i zajęto się konkretami związanymi z zakończeniem akcji „Jaskółka”[87]. Pierwszym krokiem było wycofanie brytyjskich zespołów łącznikowych z Kaławska i Szczecina. „Jak wykazują doświadczenia – pisał jeden z administratorów z placówki w Berlinie – są oni [personel tychże zespołów] bezsilni w zapobieganiu wywożeniu Niemców w nieludzkich warunkach, a ich obecność stanowi dla Polaków wymówkę, umożliwiającą stwierdzanie, że

organy brytyjskie akceptują warunki, w jakich ci Niemcy są deportowani”[88]. Drugi krok polegał na sformułowaniu odpowiedniego uzasadnienia przerwania realizacji programu. W tym celu zarząd wojskowy wykazał się pewną kreatywnością w zestawianiu statystyk. Zgodnie z danymi liczbowymi przedłożonymi CRX od końca listopada 1946 roku przejęto oficjalnymi kanałami 1 134 000 niemieckich wychodźców z Polski, wraz z kolejnymi 184 tysiącami „nieoficjalnych uchodźców” z Ziem Odzyskanych, którzy samodzielnie dotarli do brytyjskich obozów. Ponadto 100 tysięcy Niemców z Ziem Odzyskanych przeniknęło, w taki czy inny sposób, do amerykańskiej strefy okupacyjnej. Brytyjczycy byli nadto zobowiązani do uczestniczenia w międzystrefowej wymianie ludności. Łącznie zatem do brytyjskiej strefy przyjęto lub miano wkrótce przyjąć ponad 1 140 000 Niemców z polskich Ziem Odzyskanych. Ponieważ „nieoficjalni” uchodźcy nadal napływali, średnio w liczbie 2 tysięcy tygodniowo, brytyjski limit przyjęcia 1,5 miliona ludzi wysiedlonych z Polski uzgodniony w porozumieniu ACC miał być osiągnięty pod koniec lipca 1947 roku[89]. Nie zachodziła więc potrzeba dalszych „zorganizowanych wysiedleń” i przyjmowania nowych transportów z deportowanymi.

Jak łatwo się domyślić, pułkownik Prawin, popierany przez radzieckich przedstawicieli w złożonym z reprezentantów czterech zwycięskich mocarstw zarządzie okupacyjnym Niemiec, energicznie zanegował te brytyjskie wyliczenia. Prawin nie zgadzał się, ażeby jakichkolwiek „nielegalnych” ekspatriantów zaliczać do wspomnianego półtoramilionowego grona deportowanych. Nie było jak stwierdzić, kiedy i w jaki sposób ludzi ci przybywali do Niemiec, ale wobec faktu, że Polska nie graniczyła z brytyjską strefą okupacyjną, nie mogli docierać tam

bezpośrednio z Polski. Wedle polskich danych do brytyjskiej strefy przemieszczono zaledwie 1 156 000 Niemców. Pozostało więc do przesiedlenia tam jeszcze 334 tysiące. Kiedy Brytyjczycy nie ustępowali, Prawin nieco spuścił z tonu. Jego rząd, oświadczył brytyjskim negocjatorom, „interesowało nie tyle wpuszczenie wszystkich [Niemców z Ziem Odzyskanych] do strefy [brytyjskiej], ile to, aby władze brytyjskie nie odrzucały całkowicie zasady przyjmowania wszelkich przesiedleńców z Polski”[90]. Gdyby Londyn wyraził zgodę na przyjęcie, powiedzmy, kolejnych 150 tysięcy Niemców, to Warszawa mogła być skłonna do odwołania akcji „Jaskółka”[91]. Machając Brytyjczykom przed nosem jeszcze bardziej atrakcyjną marchewką, Prawin dodał, że „odsetek sprawnych fizycznie ludzi wśród potencjalnych przesiedleńców jest znaczny i obejmuje wykwalifikowanych pracowników przemysłu i górnictwa, którzy mogą zostać wykorzystani z pożytkiem w waszej strefie. W [takich] okolicznościach stanowczo uważam, że brytyjska zgoda na wpuszczenie transportów do strefy brytyjskiej przyniosłaby realną korzyść gospodarce w waszej strefie i na pewno zostałaby doceniona przez polski rząd”. W trakcie bezpośrednich rozmów z Bevinem pod koniec kwietnia 1947 roku polski minister spraw zagranicznych Zygmunt Modzelewski poinformował poufnie, że byłby zadowolony, gdyby Brytyjczycy przyjęli jeszcze tylko 50 tysięcy wysiedleńców. Zgoda na to, jak stwierdził, „uczyniłaby wiele dobrego dla poprawy stosunków angielsko-polskich”[92].

Na brytyjskich politykach nie wywarło to wrażenia. Po dwóch latach niezmiennie coraz ostrzejszych sporów pomiędzy obydwoma krajami, dotyczących niemal wszystkiego, od losów polskich władz emigracyjnych w Londynie po przyszłość Polaków wywiezionych w czasie

wojny do Niemiec i nadal tam przebywających, Brytyjczycy nie uważali, aby perspektywa lepszych relacji z Warszawą warta była zapłaty nawet tak skromnej ceny, jaką Modzelewski gotów był zaakceptować. Poza łatwowiernym Cavendishem-Bentnickem jeszcze bardziej sceptycznie odnieśli się oni do złożonej przez Prawina oferty odesłania wykwalifikowanej siły roboczej. Kilka miesięcy wcześniej Polacy zaproponowali dwukrotne przyspieszenie tempa deportacji przed nastaniem najmroźniejszych miesięcy zimowych, dając do zrozumienia, że gdyby Brytyjczycy na to poszli, wtedy zostaliby wynagrodzeni wysłaniem im znacznej liczby niemieckich górników – czyli przedstawicieli najbardziej poszukiwanej kategorii wykwalifikowanej siły roboczej w powojennej Europie. Oferta ta została odrzucona; po pierwsze dlatego, że Brytyjczycy byli przeświadczeni, iż „nie powinniśmy przyjmować tych górników i dawać Polakom następnej okazji do oszustw", a po drugie dlatego że, stanowczo podkreślając brak miejsca w Niemczech dla kolejnych przybyszów, zarząd wojskowy uznał kwestię kwaterunku i żywności dla szczególnie cennych robotników za „argumenty, którymi sami się posługiwaliśmy, kiedy ograniczenie skali akcji „Jaskółka" wyglądałoby na niemądre, by nie rzec – nieuczciwe"[93]. Tak czy inaczej, brytyjscy politycy i dyplomaci potraktowali zawoalowane przyznanie przez Prawina, że Polacy faktycznie zatrzymywali u siebie sprawnych mężczyzn, zarzucając brytyjską strefę nienadającymi się do pracy ludźmi z Ziem Odzyskanych, jako kolejne potwierdzenie, o ile takie było jeszcze potrzebne, że Warszawie nie można ufać.

Jeszcze ostrzej Brytyjczycy zareagowali na radzieckie oskarżenia o ukradkowe próby wymigania się od pełnej realizacji zobowiązań zawartych w porozumieniu ACC.

Zaliczanie „nieoficjalnych uchodźców” do łącznej ich liczby oznaczało, zdaniem Sowietów, że Niemców oficjalnie wywiezionych z polskich Ziem Odzyskanych do wschodnich Niemiec, którzy następnie samodzielnie przedostali się do strefy brytyjskiej, należałoby liczyć podwójnie, na niekorzyść Polski. Ponadto brytyjskim zapewnieniom, że w ich strefie brakowało już miejsca, przeczyła obecność przybywających tam w obozach dla przesiedleńców 260 tysięcy polskich antykomunistów oraz dziesiątków tysięcy antykomunistycznych Bałtów, Jugosłowian i osób innych narodowości, którym władze udzieliły azylu. Gdyby ludzi tych zmusić do powrotu do ich krajów, jak stwierdził radziecki delegat, wówczas na Zachodzie zrobiłoby się mnóstwo miejsca dla pozostałych Niemców z Ziem Odzyskanych[94]. Na takie argumenty brytyjski zarząd wojskowy zareagował z nieskrywaną furią. Jeden z oficerów pieklił się: „Mamy gdzieś, czy tych [nieoficjalnych uchodźców] policzono dwukrotnie (raz na granicy strefy radzieckiej, ponownie na naszej) – faktem jest, że są u nas, tutaj jedzą i tu mieszkają”. Co więcej, po stanowczych zapewnieniach, że radziecka strefa okupacyjna nie może już przyjmować nowych uchodźców, ZSRR nie powinien obmawiać innych państw, wobec swej niedawnej decyzji o przyjęciu dodatkowych 50 tysięcy deportowanych z Węgier, co Sowieci uczynili, aby uchronić od kompromitacji swoich protegowanych z Budapesztu. „To przejaw wiarołomności, a także znakomity powód, aby zatkać [Sowietom] usta w sprawie naszych czetników [antykomunistycznych serbskich partyzantów] i [innych] Jugosłowian”[95].

W konsekwencji 28 lipca 1947 roku brytyjski rząd oficjalnie ogłosił zakończenie akcji „Jaskółka”. Na Zachodzie nikt jej przerwania nie opłakiwał, a już na pewno

nie czynili tego pracownicy organizacji humanitarnych, dwojąc się i trojąc w wysiłkach na rzecz uśmierzenia cierpień ofiar tej operacji. Wiele z nich nie znalazło odzwierciedlenia w oficjalnych statystykach. Jak zauważył ksiądz Edward Swanstrom z Akcji Amerykańskiego Kościoła Katolickiego na rzecz Ofiar Wojny, „Jaskółka" należała do najgorszych „przejawów bezdusznego manipulowania ludźmi, do jakich doszło na powojennym Zachodzie". W prowizorycznym domu starców, który Swanstrom odwiedził, urządzonym w byłym obozie koncentracyjnym w Salzgitter na południowy wschód od Hanoweru, „ponad 400 sędziwych osób, osłabionych przez deportację oraz skutki głodu i braku opieki, umarło w trakcie prowadzenia akcji „Jaskółka"[96]. O takich czysto ludzkich w swoim wymiarze skutkach owej akcji, a których nie wspomina się w aktach brytyjskiego MSZ, warto pamiętać w świetle niedawnych zapewnień, że akcję „Jaskółka" rzekomo przeprowadzono „przy bardzo nieznacznych stratach w ludziach"[97].

Tryb, w jakim władze amerykańskie zrzuciły z siebie brzemię dalszych „zorganizowanych wysiedleń" z Czechosłowacji, był niemal identyczny z metodami, którymi posłużyli się Brytyjczycy, choć nic nie wskazuje na to, by oba te zachodnie kraje w jakikolwiek sposób koordynowały ze sobą te działania. W kwietniu 1946 roku pułkownik Fye wystarał się o spotkanie z prezydentem Benešem i opowiedział mu „dosyć szczerze o trudnościach, jakie mamy w rezultacie działań »trybików« z jego machiny [państwowej], albo umyślnie, albo pod wpływem zobojętnienia lekceważących warunki przesiedlania ludności". Fye był zdumiony tym, że prezydent „świetnie się orientował w szczegółach akcji wysiedleńczej, gdy chodzi o jej szczegóły techniczne", ale zauważył przy tym, że

Beneš „nie zobowiązał się ani nie obiecał podjęcia działań interwencyjnych”[98]. Wobec tego władze amerykańskie zadziałały same. Jak już wspomniano, limit przyjmowanych transportów został 15 lipca zmniejszony z sześciu pociągów dziennie do czterech. Czwartego października OMGUS poinformował Czechosłowaków, że nie będą wpuszczane transporty z ośmiu wymienionych z nazwy powiatów w związku z uporczywym naruszaniem warunków porozumienia o przesiedleniach. Dwanaście dni później dzienną normę zredukowano ponownie, do trzech transportów, a od 1 listopada została ona obniżona znowu, do zaledwie trzech zwykłych pociągów oraz pięciu z „antyfaszystami” – każdy z tych ostatnich przewoził po 300 traktowanych w uprzywilejowany sposób niemieckich wysiedleńców z grona socjalistów lub komunistów oraz ich bagaże – na tydzień. Wreszcie, po przyjęciu oficjalnymi kanałami około 1 340 000 Sudetendeutschów – choć Czechosłowacy podważali tę liczbę, twierdząc, iż wywieźli tylko 1 222 000 ludzi – OMGUS ogłosił 1 grudnia 1946 roku nieokreślone w terminie zawieszenie przyjmowania ekspatriantów, uzasadniając to złą pogodą oraz „rozpaczliwymi warunkami ekonomicznymi i mieszkalnymi panującymi w [amerykańskiej] strefie”[99].

Amerykanie, podobnie jak Brytyjczycy, nie widzieli powodu, aby tej „tymczasowej” przerwy nie potraktować jak zakończenia akcji na dobre, doliczając 118 tysięcy Sudetendeutschów, którzy dotarli do ich strefy przez Austrię, oraz kolejnych 325 tysięcy, którzy znaleźli się tam w okresie pomiędzy zawarciem porozumienia ACC a początkiem zorganizowanych wysiedleń dwa miesiące później lub dostali się do ich strefy nielegalnie. Sumowując te liczby i dodając je do tych wysiedlonych Niemców, którzy właściwie powinni byli trafić do strefy radzieckiej lub

brytyjskiej, ale nie było praktycznych możliwości ich przemieszczenia, ambasada USA w Pradze obliczyła, że Amerykanie przyjęli już o około 30 procent więcej Niemców, aniżeli przyjąć mieli[100]. Generał major Frank Keating, zastępca Claya, nieoficjalnie potwierdził w kwietniu 1947 roku, że, jeśli chodziło o OMGUS, wysiedlenia z Czechosłowacji i Węgier do amerykańskiej strefy okupacyjnej zakończyły się i nie zostaną wznowione[101]. Jednak władze amerykańskie nie ogłaszały tej decyzji aż do sierpnia, wywołując „lamenty Czechów, którzy stwierdzili, że Amerykanie nie dotrzymują danego słowa, łamią porozumienie poczdamskie itd.”[102]. Uciekając się do taktyki zastosowanej już wcześniej przez Polaków, czechosłowacki minister spraw wewnętrznych Vaclav Nosek zaprzeczył w zakulisowych kontaktach z władzami USA, aby 230 tysięcy nieoficjalnych uchodźców mogło się przedostać do strefy amerykańskiej. OMGUS, wedle czechosłowackich rachub, był zobowiązany do przyjęcia jeszcze 400 tysięcy Sudetendeutschów. Jednak, dla szybkiego rozstrzygnięcia tej kwestii, Praga wyraziła gotowość do powstrzymania się od wszelkich dalszych roszczeń, jeśli Amerykanie wezmą jeszcze tylko 100 tysięcy Niemców[103]. Propozycja ta wywarła na OMGUS równie znikome wrażenie, jak podobne oferty, złożone przez pułkownika Prawina brytyjskiemu MSZ. Jeden z amerykańskich urzędników zaznaczył w rozmowie z Erikiem Mayerem z MKCK, że przyjęcie każdego dodatkowego wysiedleńca obciąży amerykańskiego podatnika kosztami okupacji przekraczającymi 100 dolarów rocznie na osobę, a rząd USA nie miał już zamiaru ponosić takich nakładów[104]. A zatem tak jak Brytyjczycy, pod koniec 1946 roku Stany Zjednoczone poniekąd wycofały się z udziału w akcji deportacyjnej.

Ostatnim z mocarstw, które jeszcze w niej uczestniczyło, pozostał więc ZSRR. Krótko po tym, jak Anglosasi zamknęli wysiedleńcom wjazd do swojej strefy u schyłku 1946 roku, Sowieci skorzystali z okazji, by uczynić to samo. Mając na względzie dotychczasowe doświadczenia, nie spieszyli się też ze wznowieniem przyjmowania ekspatriantów. Rokowania z Polakami toczyły się powoli i trwały aż do 12 kwietnia 1947 roku. Tym razem, w zamian za wysiedlenie 520 tysięcy Niemców, które, jak oceniał Wolski, pozostawali jeszcze na Ziemiach Odzyskanych, okupacyjne władze radzieckie wymusiły podpisanie protokołu znacznie korzystniejszego dla nich – a zarazem i dla przesiedleńców – w porównaniu z poprzednim z 1946 roku. Na mocy tego porozumienia Prawin (awansowany w 1946 roku do stopnia generała brygady) został zobligowany do zniesienia wszelkich ograniczeń, jeśli chodzi o bagaże i pieniądze, jakie Niemcom pozwalano wywozić z kraju. Ponadto miał zadbać o przestrzeganie przepisów w zakresie zaświadczeń lekarskich (w poprzednim roku Sowieci nieustannie uskarżali się na „złe warunki sanitarne, w jakich przewożono chorych”), o to, aby każdy z deportowanych miał ważny dokument tożsamości oraz o zaopatrzenie wszystkich wysiedlonych w trzydniowe zapasy żywności na drogę[105]. W zamian Sowieci zgodzili się na przyjmowanie dwóch pociągów tygodniowo, mających przewozić nie więcej od półtora tysiąca Niemców, odprawianych w Kaławsku bądź w Tuplicach.

Pewne świadectwa wskazują, że Sowieci rzeczywiście skrupulatniej niż w poprzednich latach wymagali przestrzegania tych standardów. Ale znowu dominująca potrzeba przewiezienia wielkiej liczby ludzi w krótkim okresie uniemożliwiła spełnianie ustalonych wymogów w tym zakresie. Wkrótce po tym, jak 18 kwietnia ponownie

wyruszyły pociągi z wysiedleńcami, dało się słyszeć te same skargi – na przepełnienie w wagonach, ekspediowanie niedożywionych i chorych Niemców, rozdzielanie rodzin oraz nielegalne konfiskaty i rabunki. W ciągu niespełna tygodnia radziecka misja wojskowa przedstawiła podobnej misji polskiej długą listę „grzechów": podstawianie niehigienicznych wagonów bydlęcych bez wyścielanych podłóg; zapewnianie niedostatecznej ilości prowiantu na podróż; brudne, wypisywane ołówkiem i nieczytelne zaświadczenia lekarskie; niestaranne spisy nazwisk; niehigieniczne wagony ambulatoryjne lub też zupełny ich brak w składach pociągów oraz wiele innych podobnych skarg. Problemy takie po części wynikały z tego, że jak stwierdził urzędnik przedkładający owe zażalenia dyrektorowi PUR (Państwowego Urzędu Repatriacyjnego) we Wrocławiu, iż jego ludzie nie dostali zapłaty za poprzedni miesiąc[106].

Przynajmniej dwa razy podczas deportacji w roku 1947 władze radzieckie doprowadziły do częściowego wstrzymania transportów z powodu wybuchu epidemii tyfusu wśród wysiedlanych[107]. Jak z rozdrażnieniem meldowali pracownicy oddziału PUR w Kaławsku, „raptowne przerwanie" akcji repatriacyjnej nastąpiło jeszcze przed drugą z takich pauz w rezultacie nieudolnego zarządzania, złej łączności i niejasnych instrukcji oraz nadużywania alkoholu przez polski personel. Podczas przerwy w wywózkach Kaławsk – gdzie brakowało odpowiednich kwater, toalet i punktów dezynfekcyjnych – przeobraził się w istne bagno, siedlisko szokującego brudu. „Można było odnieść wrażenie, że [tamtejsze] kierownictwo kolei, dyspozytornia pociągów, dyżurny lekarz itd. zmówili się, aby podsunąć najpierw misji brytyjskiej, a potem radzieckiej argumenty dyskredytujące dzisiejszą Polskę".

PUR zażądał, aby kierownikowi tej placówki nadano uprawnienia „dyrektora repatriacyjnego” i podporządkowano mu wszystkich urzędników, którzy „łaskawie zgadzali się” wypełniać powierzone im obowiązki tylko wtedy, kiedy mieli na to ochotę[108]. Jednak nie zrobiono nic dla poprawy tej sytuacji. Delegat MKCK odwiedzający Kaławsk w sierpniu wykrył wiele nieprawidłowości i nadużyć, między innymi przypadek pobicia i obrabowania pary staruszków przez milicjantów. (Kiedy złożył skargę u polskiego komendanta, ów początkowo stwierdził, że to pierwszy incydent takiego rodzaju, który się wydarzył – jak zauważył zjadliwie pracownik MKCK, „dość dziwnym zbiegiem okoliczności” zdarzyło się to akurat podczas jego wizytacji – a potem tłumaczył, że „tego aktu na pewno dopuścili się bandyci przebrani za milicję”)[109]. Trwało okradanie i maltretowanie Niemców, i to do tego stopnia, że inspektor z MZO przebywający w Olsztynie zaproponował przerwanie nocnych wywózek, aby choć nieco ochronić deportowanych przed bandyckimi napadami[110]. Przyznać trzeba, że Sowieci próbowali uporać się z problemem rozdzielania rodzin, pewnego razu odsyłając cały transport z powrotem do obozu w Potulicach z powodu odseparowania po drodze członków niektórych wywożonych rodzin[111]. Jednak, jak wskazuje Bernadetta Nitschke, mniejsza liczba zgonów w transportach z 1947 roku w równym stopniu wynikała z tego, że nie ekspediowano ich w miesiącach zimowych i z przypuszczalnej poprawy ich organizacji[112].

Choć skala wywózek znacznie się zmniejszyła w porównaniu z masowymi deportacjami roku poprzedniego, to w 1947 roku wysiedlenia ludności z Polski wciąż nakładały brzemię administracyjne na radziecką strefę okupacyjną. Wraz ze zbliżaniem się jesieni i wbrew

wcześniejszym obietnicom przyjęcia tylu Niemców, ilu Polacy gotowi byli wysiedlić, radzieckie władze w Niemczech zaczęły coraz wyraźniej sugerować, że pora położyć kres tej akcji, skoro liczba przyjętych przesiedleńców osiągnęła limit 520 tysięcy, wspomniany przez Wolskiego rok wcześniej. Ostatecznie limit ten został nieco przekroczony. Ostatnimi przyjętymi oficjalnymi transportami były te, które już wyruszyły w kierunku punktu granicznego w Tuplicach przed 1 listopada; inne, które dotarły tam później, zostały zawrócone. Mimo wszystko, wedle zestawień MZO, ogółem usunięto z Polski w 1947 roku 593 120 Niemców; wraz z niezarejestrowanymi wyjazdami przeciętnie w ciągu 30 tygodni owego roku, kiedy miały miejsce zorganizowane wysiedlenia, wywożono ponad 20 tysięcy Niemców tygodniowo. Do czasu zakończenia tej akcji liczba Niemców pozostałych w „nowej Polsce” była już nieznaczna; składało się na nią kilkaset tysięcy wykwalifikowanych robotników, więźniów w obozach pracy, niezwolnionych jeszcze z niewoli jeńców wojennych, osoby (zwykle kobiety) z mieszanych niemiecko-polskich małżeństw oraz dzieci, których krewnych nie udało się odszukać. Wraz z zakończeniem głównej fazy programu wysiedleńczego polskie władze państwowe wykonały wyraźny zwrot w stronę prób zatrzymania w kraju i spolonizowania wspomnianych pozostałych Niemców, a ci z kolei dążyli do wyjazdu, nie chcąc pozostawać w kurczącej się i dyskryminowanej mniejszości.

Mimo to pomniejsze fale wysiedleń trwały jeszcze w 1948 i 1949 roku. Od października 1947 do października 1948 roku około 100 tysięcy Niemców zostało deportowanych przez Armię Czerwoną ze wschodniopruskich obszarów w okolicach Kaliningradu (Królewca), zaanektowanych

przez ZSRR i włączonych do radzieckiej strefy okupacyjnej. Każdej z wysiedlonych stamtąd rodzin zezwolono na zabranie 300 kilogramów dóbr osobistych, a całą tę akcję sami przesiedleńcy chwalili jako wyjątkowo sprawnie przeprowadzoną[113]. W dwustronnym porozumieniu zawartym w Warszawie w maju 1948 roku Sowieci zobowiązali się do przyjęcia w miesiącach letnich i jesiennych dodatkowych 30 tysięcy Niemców, wyekspediowanych w 20 pociągach przez Tuplice, w zamian za co Polska zagwarantowała, że deportowanym będą towarzyszyły 3 tysiące niemieckich górników (70 procent z nich, jak przezornie zastrzegli Sowieci, miało nie przekroczyć 45. roku życia) wraz z rodzinami[114]. Ostatnie zorganizowane transporty miały miejsce latem 1949 roku, kiedy to na mocy kolejnego polsko-radzieckiego porozumienia przewidywano rozwiązanie pozostałych obozów pracy dla Niemców w Polsce oraz wywózkę ich więźniów, łącznie 24 tysięcy osób, do wschodnich Niemiec. Zgodnie z tą umową w każdym z tych transportów znaleźć się winien określonych odsetek zdolnych do pracy robotników, a konkretną ich liczbę powiązano z przekrojem wiekowym grup deportowanych ludzi. Akcja ta miała zostać przeprowadzona w okresie od kwietnia do sierpnia 1949 roku[115]. Ze wszystkich transferów ludności, do jakich doszło po wojnie, właśnie te w największym stopniu odpowiadały postanowieniom ugody poczdamskiej o zapewnieniu deportowanym „uporządkowanych i ludzkich” warunków. Wynikało to nie tyle z kroków podjętych przez rząd w Warszawie – na przykład obóz zbiorczy w Głubczycach pozostał „czarnym punktem”, gdzie zbyt licznych ekspatriantów stłoczono na wiele dni w niehigienicznych warunkach – ile z tego, że władze radzieckie w końcu przestały tolerować naruszanie przez

Polaków litery porozumienia[116]. Począwszy od lata 1948 roku, radziecki zespół łącznikowy w Tuplicach zaprezentował nieprzejednaną postawę w tym względzie, odrzucając wszelkie transporty, które nie odpowiadały w pełni określonym minimalnym normom[117]. To z kolei zmusiło Polaków do skrupulatniejszego wypełniania swoich zobowiązań. I kiedy Jerzy Szczepanik z PUR stwierdził w czerwcu 1948 roku, że jadący z Gorzowa Wielkopolskiego pociąg z 1528 wysiedleńcami wiózł głównie osoby sparaliżowane i kalekie, inwalidów, matki z małymi dziećmi, zakonnice i osoby bez doświadczenia w pracy na roli – nakazał zawrócenie go ku stacji początkowej i tam wyselekcjonowanie na nowo pasażerów, gdyż był niemal pewny, że Sowieci nie wpuszczą takiego transportu[118].

W tym ostatnim stadium wysiedleń z rodzinnych okolic w Polsce deportowano około 77 tysięcy Niemców. Nieznaczna ich liczba wyjeżdżała w kolejnych latach, a w sumie około 30 tysięcy byłych Volksdeutschów z Polski przetransportowano do NRD, na mocy porozumienia ze wschodnioniemieckimi władzami, w 1950 i 1951 roku[119]. Dużo wcześniej państwa, skąd dokonywano wysiedleń, zorganizowały cykl publicznych uroczystości, lokalnych i ogólnokrajowych, z okazji „oczyszczenia” swoich terytoriów. Na przykład na Dolnym Śląsku tamtejszy personel PUR otrzymał premię w wysokości 300 tysięcy złotych w nagrodę za wydalenie pół miliona Niemców z tej prowincji[120]. Wyjazd pięćsettysięcznego wysiedleńca z granicznej stacji w Kaławsku również stał się okazją do świętowania. Wspomniany Niemiec, w istocie małe dziecko, dostał z tej okazji od PUR tabliczkę czekolady; tego samego wieczoru polska załoga urządziła sobie bankiet[121]. Także w Czechosłowacji zorganizowano serię pokazówek z okazji wyjazdu ostatnich etnicznych Niemców. Rządowi w Pradze

zależało na zakończeniu operacji deportacyjnej do 28 października 1946 roku, czyli czechosłowackiego święta narodowego. I choć terminu tego nie udało się dotrzymać, a osiem transportów wyjeżdżało co tydzień do amerykańskiej strefy aż do 1 grudnia, to pod koniec 1946 roku w licznych miastach w całym kraju odbyły się huczne uroczystości, na które zostali zaproszeni zagraniczni dygnitarze i podczas których odznaczono osoby wyróżniające się gorliwością podczas kampanii degermanizacyjnej[122]. Uhonorowano również najbardziej pomocnych oficerów alianckich: na przykład pułkownik John Fye otrzymał Order Białego Lwa, najwyższe czeskie odznaczenie państwowe nadawane obcokrajowcom, w uznaniu za zasługi, jak to sformułowano w gazecie „Rudé Právo", „w wydalaniu Niemców z Czechosłowacji"[123]. W radiowym wystąpieniu z okazji Bożego Narodzenia Edvard Beneš zachęcał swych rodaków do radowania się z faktu, że „to pierwsza Gwiazdka w Czechosłowacji bez Niemców"[124].

Jednak radość z tego powodu miała nie potrwać długo. Przede wszystkim mieszkańcy krajów, z których dokonywano wysiedleń, nie byli wcale pewni, że ludność niemiecka wyemigrowała na dobre. A ponieważ z końcem wojny nie został zawarty traktat pokojowy, granice powojennych Niemiec – i ich sąsiadów – pozostały tymczasowe. Nie było gwarancji, że alianci nie uznają ostatecznie, iż zbyt ryzykownie jest pozostawić podzielone Niemcy, pełne wysiedlonych, rozgoryczonych uchodźców i wygnańców ze środkowowschodniej części kontynentu europejskiego, i że na pewnym etapie w przyszłości nie zechcą zwrócić Niemcom przynajmniej części utraconych przez ten kraj terytoriów. Nie do końca rozwiały się też obawy, że pewnego dnia Niemcy mogą ponownie urosnąć

w siłę i wziąć odwet za to, co działo się podczas wysiedleń. W efekcie Polacy, Czesi i Słowacy woleli mieć się na baczności. A niektórzy z nich do dziś nie wyzbyli się wynikających z tego powodu lęków.

Następną budzącą pewne niepokoje sprawą były rozmiary szkód poczynionych w demograficznej i gospodarczej tkance państw przeprowadzających deportacje. Poważnie wyniszczone przez wojnę, były źle przygotowane do następnej rundy głębokich zaburzeń społecznych – zwłaszcza że te zostały narzucone odgórnie przez polityków i biurokratów, których ideologiczne *ideés fixes* miały mało wspólnego z realiami codzienności. Wiara władz w to, że osadnicy ochoczo i tłumnie napłyną do dzielnic niedawno oczyszczonych Niemców, rychło się rozwiała. Przez następne dziesięciolecia pograniczne regiony pozostawały słabo zaludnionymi i stosunkowo zacofanymi częściami krajów, do których należały i należą.

Ale zapewne najgorszych konsekwencji wysiedleń nie da się ująć w liczbach. W każdym z dokonujących deportacji krajów wypędzenia Niemców wiązały się nieuchronnie z zawieszeniem praw człowieka i idei praworządności. Odgórne zarządzenia ogłaszały grupy ludności, jak to ujęli amerykańscy historycy, „ludźmi bez praw przysługujących człowiekowi”. Na mocy administracyjnych dekretów określone osoby pozbawiano mienia, nietykalności osobistej, wolności, a czasem nawet życia. Nadgorliwość w przeprowadzaniu czystek etnicznych – przemoc wobec nawet najbardziej bezradnych, niezdolnych do stawiania oporu ofiar – uważano za coś pozytywnego, demonstrację patriotyzmu, ewentualnie za przykre, ale konieczne do realizacji zadanie. Informacje o związanych z tym zbrodniach i nadużyciach ukrywano lub też zaprzeczano ich prawdziwości, co czyniły nie tylko władze państwowe, ale

także przeciętni obywatele, którzy tym samym stawali się współwinowajcami, choćby i biernymi, tego co robiono w ich imieniu. Kłamstwom i fałszom, będącym środkami uciszania albo zagłuszania sumienia, a także, w nie mniejszym stopniu, instrumentami oficjalnej polityki, pozwalano zatriumfować. I nawet po podobno ostatecznej klęsce totalitarnej herezji, jaką stanowił nazizm, całe społeczeństwa w dalszym ciągu utwierdzały się w przekonaniu, że z nader złożonymi, rozwijającymi się przez wieki, problemami politycznymi i socjalnymi można się uporać za jednym zamachem za sprawą radykalnych rozwiązań połączonych z masowym stosowaniem przemocy. Założenie, że przemoc tę można było skierować przeciwko określonej grupie rzekomych wrogów, a potem już nigdy się do niej nie uciekać, że później uda się przywrócić pokojową, uporządkowaną egzystencję, w której prawa jednostek znowu będą przestrzegane i respektowane, miała się okazać najbardziej złudnym aspektem całego tego tragicznego epizodu dziejowego.

Przypisy

[1] „Der Spiegel”, 25 I 1947.

[2] „Picture Post”, 15 II 1947.

[3] Mjr E.M. Tobin, „Report on Train No. 514 carrying Expellees under Operation Swallow”, 27 XII 1946, FO 1049/739.

[4] *Ibid.*

[5] Tobin, „Report on Swallow Train No. 513 ex Kohlfurt”, 18 XII 1947, FO 1052/323; anonimowy meldunek (bez daty), „Nominal Roll of Frostbite Cases on Swallow Train no. 513 of 15 Dec. 1946”, *ibid.*; anonimowy i niedatowany meldunek „Brief for the Deputy Military Governor for his Discussion with the Chancellor”, FO 1049/739; Dr Loebell

(lekarz z obozu w Marienthalu), „Second Report on Swallow Train no. 513 of 15 Dec 1946”, 17 XII 1946, FO 1052/472.

[6] Telegram z terenowej placówki (BE) w Berlinie kwatery głównej CCG (BE) w Lubece, 18 I 1947, FO 1052/472.

[7] „Times”, 1 II 1947.

[8] B. Nitschke, *Wysiedlenie ludności niemieckiej z Polski…*, przyp. 278.

[9] „Note of the French Delegation on Transport Difficulties Confronting Transfers of Population in Germany”, 30 XI 1945, FO 1032/2284.

[10] Brygadier A.C. Kenchington do oddziału jeńców wojennych i przesiedleńców, PW & DP, 6 VII 1946, FO 1052/471.

[11] Memorandum płk. A.C. Todda, z-cy naczelnika oddziału PW & DP, 8 VII 1946, FO 1052/471.

[12] Telegram kwatery głównej CCG (BE) w Lubece do Biura Kontroli w Niemczech i Austrii, 29 VI 1946, FO 1052/471.

[13] Telegram Williama Stranga, doradcy politycznego naczelnego dowódcy w okupowanych Niemczech do ambasady brytyjskiej w Pradze, 23 IV 1946; P.B. Nichols, ambasador brytyjski w Pradze, do C.R. Attlee’ego, 31 VII 1946, FO 945/432.

[14] Płk J.H. Fye, „Final Report – Transfer of German Populations from Czechoslovakia to U.S. Zone, Germany”, 30 XI 1946, s. 20–21, archiwa Margaret Eleanor Fait, katalog nr 84040-9.02, zbiór 4, teczka 16, Hoover Institution Archives, Stanford University.

[15] J. Hynd, „The Problem of the German Refugee Populations in the British Zone”, O.R.C. (46) 74, 27 VII 1946, FO 945/67.

[16] Nichols do Attlee'ego, 31 VII 1946, FO 945/432; nota szefa wydziału politycznego urzędu premiera w Pradze o dyskusjach ambasadora Steinhardta z dr. F. Ševčikiem, 23 VII 1946, Úřad předsednictva vlády-tajné (UPV-T), 127/2, zbiór 308, NAČR; Fye, „Final Report", s. 18.
[17] Telegram kwatery głównej CCG (BE) w Lubece, do CRX w Szlezwiku-Holsztynie i Hanowerze, 19 VII 1946, FO 1052/471.
[18] Mjr E.A.L. Ford z CRX do oddziału PW & DP, 26 VII 1946; telegram jednostki 709 (R) zarządu wojskowego do Forda, 26 VII 1946, FO 1052/471.
[19] Mjr F.A.C. Boothby do ppłk. B.I. Jamesa z jednostki 229 (P) zarządu wojskowego w Hanowerze, 14 VII 1946; Kenchington do centrali oddziału PW & DP, 25 VII 1946, FO 1052/471.
[20] Telegram kwatery terenowej CCG (BE) w Berlinie do COGA, 14 VII 1946, FO 371/55395.
[21] Notatka A.A.E. Franklina, 19 VII 1946, FO 371/55395.
[22] Telegram COGA do kwatery terenowej CCG (BE) w Berlinie, 6 VIII 1946, FO 1049/515; depesza COGA do tej placówki, 23 X 1946, FO 945/673.
[23] Notatka Sargenta, 3 XII 1945, FO 371/46816.
[24] Notatka Sargenta, 3 XII 1945, FO 371/46816; notatka R.M.A. Hankeya, 21 VII 1946; Hankey do Warnera, 26 VII 1946, FO 371/55395; A.A.E. Franklin, „Operation Swallow", 24 VIII 1946, FO 371/55396.
[25] Tekst audycji Radia Warszawa, 18 VII 1946, FO 371/55396; D. Wilson (FO) do R.S. Crawforda (COGA) 30 VII 1946, FO 1049/515.
[26] Kenchington do Crawforda, bez daty [ok. 3 X 1946], FO 371/55397.
[27] *Ibid*.

[28] Zestawienie sporządzone przez ppłk. Ugriumowa i kmdr. T. Konarskiego, przedstawicieli ZSRR i Polski w CRX, z wykazem przesiedlonych Niemców z Polski do radzieckiej strefy okupacyjnej, 30 XI 1945–15 VI 1946, FO 1052/471.

[29] „Report of the Activities of C.R.X.”, DPOW/P (46) 50, 26 IV 1946, FO 1005/839; identycznie zatytułowany dokument, DPOW/P (46) 82, 12 VII 1946, FO 1005/840; Kenchington do Crawforda, bez daty [ok. 3 X 1946], FO 371/55397.

[30] Telegram kwatery głównej CCG (BE) w Lubece do terenowej placówki CCG (BE) w Berlinie, 6 IV 1946, FO 1032/2285; ppłk E.D. Bevan z zarządu wojskowego do CCG (BE) w Lubece, 18 V 1946, FO 1052/474.

[31] Kenchington do Erskine’a, 1 X 1946, FO 1052/472; „Report of the Activities of C.R.X.”, DPOW/P (46) 101, 26 VIII 1946.

[32] Telegram terenowej placówki CCG (BE) do COGA, 19 VIII 1946, FO 371/55396.

[33] J. Misztal, *Wysiedlenia i repatriacja obywateli polskich z ZSRR a wysiedlenia i przesiedlenia Niemców z Polski – próba bilansu*, w: H. Orłowski, A. Sakson (red.), *Utracona ojczyzna: Przymusowe wysiedlenia deportacje i przesiedlenia jako wspólne doświadczenie*, Instytut Zachodni, Poznań 1996, s. 69–70.

[34] MSZ Czechosłowacji do MON, 28 III 1946, ÚPV-T 127/2, katalog 308, NAČR.

[35] Memorandum ppłk. G.B. Vaughana Hughesa (z wydziału PW & DP brytyjskiego zarządu wojskowego w okupowanych Niemczech), 10 VIII 1946; stenogram 20. posiedzenia dyrektoriatu PW & DP, 5 IV 1946, FO 1032/2285.

[36] Mjr A.K. Jones, „German Expellees from Poland (Operation «Swallow»)”, bez daty, FO 1052/472; brytyjski konsul generalny we Frankfurcie nad Menem do C.E. Steela z wydziału politycznego CCG (BE) w Berlinie, 27 VIII 1947, FO 945/760.
[37] Telegram CCG (BE) w Berlinie do COGA, 19 VIII 1946, FO 371/55396.
[38] Erskine do płk. J.P. Prawina z polskiej misji wojskowej, 26 VIII 1946, FO 1049/515.
[39] Telegram Cavendisha-Bentincka do MSZ, 2 IX 1946, FO 1049/515.
[40] Prawin do biura z-cy gubernatora generalnego CCG (BE), 3 IX 1946, FO 1049/515 (wersaliki w oryginale).
[41] Obiegowy telegram wydziału PW & DP, Lemgo, 11 IX 1946, FO 1032/2285.
[42] Notatka Franklina, 13 IX 1946, FO 371/55397.
[43] Erskine do Prawina, 20 IX 1946, FO 1049/515.
[44] Kenchington do Crawforda, bez daty [ok. 3 X 1946], FO 371/55397.
[45] Polskie MSZ do ambasady brytyjskiej w Warszawie, 30 IX 1946; notatka D. Wilsona, 8 X 1946, FO 1049/515.
[46] L.D. Clay do G.H. Weemsa, 19 V 1946, Departament Stanu USA, *FRUS, 1947: Eastern Europe, the Soviet Union*, t. IV, Government Printing Office, Washington, DC 1972, s. 376, przyp. 14; „Report of the Activities of C.R.X.”, DPOW/P (46) 62, 24 V 1946, FO 1005/840.
[47] J. L. Muller, *L'expulsion des Allemands de Hongrie…*, s. 31.
[48] S. Balogh, *Population Removal and Population Exchange in Hungary After World War II*, w: F. Glatz (red.), *Études historiques hongroises 1990*, Institute of History of the Hungarian Academy of Sciences, Budapest 1990, s. 410.

[49] A. Toth, *Zwang order Möglichkeit? Die Annahme der Maxime von der Kollektiveschuld und die Bestrafung der Deutschen Minderheit in Ungarn*, w: R.G. Plaschka, H. Haselsteiner i in. (red.), *Nationale Frage und Vertreibung in der Tschechoslowakei und Ungarn 1938–1948*, Verlag der Österreichischen Akademie der Wissenschaften, Wien 1997, s. 101.

[50] J. L. Muller, *L'expulsion des Allemands de Hongrie*…, s. 42–44, 48, 154.

[51] C.D. Eby, *Hungary at War: Civilians and Soldiers in World War II*, Pennsylvania State University Press, University Park, PA 1998, s. 292.

[52] Telegram Gascoigne'a do MSZ, 15 V 1945, FO 371/46810; E. Roman, *Hungary and the Victor Powers 1945–1950*, St Martin's Press, New York 1996, s. 64. W pracy Romana znalazła się nieścisła informacja o tym, że „do zachodnich mocarstw nie kierowano podobnych próśb…".

[53] J. Grew do H.F. Arthura Schoenfelda, przedstawiciela USA na Węgrzech, 14 VI 1945, FRUS: Diplomatic Papers, 1945: General: Political and Economic Matters, t. II, s. 1254.

[54] Telegram Gascoigne'a do Churchilla, 26 VI 1945, FO 371/46810.

[55] J. L. Muller, *L'expulsion des Allemands de Hongrie*…, s. 85–86.

[56] Niedatowany „raport o deportacjach Niemców z Węgier", zacytowany w liście marszałka Woroszyłowa do gen. O.P. Edgcumbe'a, 8 XII 1945, FO 371/55390.

[57] Mjr A.D. Spottswood z wydziału ds. przesiedleńców w amerykańskich wojskach okupacyjnych w Austrii do majora Williama Bradbury'ego z CRX, 16 I 1946; tenże do płk. E.E. Hyde'a, szefa wspomnianego wydziału, 4 I 1946;

telegram Keya do Hyde’a, 7 II 1946; tenże do naczelnego dowódcy amerykańskich wojsk okupacyjnych w Austrii, 14 III 1946; mjr J.F. Asselta do ACC (H), 9 V 1946; Key do Hyde’a, 9 V 1946; telegram ppłk. J.D. Wilmetha z ACC (H) do wydziału PW & DP w składzie OMGUS, 23 VII 1945; telegram Claya do ACC (H), 2 VI 1946, materiały archiwalne zarządu wojskowego okupowanych Niemiec, dokumentacja wydziału administracji cywilnej, połączonego kierownictwa ds. repatriacji: dokumenty dot. wymiany ludności między strefami okupacyjnymi w latach 1945–1949, katalog 226, teczka „Przesiedlenia Szwabów, cz. I”, RG 360/390/42/26-27/6-1, NARA.

[58] Tekst audycji Radia Budapeszt, 18 I 1946, FO 371/55390.

[59] G.H. Weems, „Final Report by the United States Military Representative on the Allied Control Commission for Hungary”, dodatek F, 15 IX 1947, *FRUS, 1947: Eastern Europe, the Soviet Union*, t. IV, s. 376.

[60] Notatka O’Neilla, 28 III 1946, FO 371/55624.

[61] Cyt. za: A.F. Noskova, *Migration of the Germans after the Second World War: Political and Psychological Aspects*, „Journal of Communist Studies and Transition Politics” 2000, 16/1-2 (III–VI), s. 106.

[62] „Agreement on Conditions Established for the Execution of Swabian Expulsion Program”, dokument sygnowany przez George’a Weisza, kierownika sekcji ds. uchodźców w wydziale PW & DP w OMGUS, oraz dr. Juliusa Fischera, szefa biura kierowniczego węgierskiego MSW, Budapeszt, 22 VIII 1946, FO 371/55397.

[63] Notatki Franklina, 14 IX 1946, FO 371/55397; 27 VIII 1946, FO 371/55396.

[64] Kopia listu Weemsa do gen. por. W.P. Swiridowa, 9 XI 1946, FO 371/55398.

[65] Gyula Fischer z kierownictwa węgierskiego MSW do Weemsa, 4 XII 1946; wyciąg ze stenogramu posiedzenia ACC (H), 6 XII 1946, FO 371/55398.
[66] I. Sayer, D. Botting, *Nazi Gold: The Story of the World's Greatest Robbery – and its Aftermath*, Congdon & Weed, New York 1984; wyd. polskie: *Złoto III Rzeszy*, tłum. S. Kędzierski, Amber, Warszawa 2006.
[67] Gen. O.P. Edgcumbe, „Memorandum on the Deportation of Swabians", 21 XI 1946, FO 371/55398.
[68] Fragment stenogramu posiedzenia ACC (H), 6 XII 1946, FO 371/55398; kopia listu Nagya do Weemsa, bez daty [ok. III 1947], FO 945/673; Weems do Swiridowa, 27 III 1947, *ibid*.
[69] Weems do Claya, ze streszczeniem skarg rządu węgierskiego, 24 IV 1947, FO 371/64224.
[70] M. Mevius, *Agents of Moscow: The Hungarian Communist Party and the Origins of Socialist Patriotism 1941–1953*, Clarendon Press, Oxford 2005, s. 137.
[71] J. L. Muller, *L'expulsion des Allemands de Hongrie*…, s. 117.
[72] A.F. Noskova, *Migration of the Germans after the Second World War*…, s. 106.
[73] A.K. Helm z brytyjskiej misji politycznej w Budapeszcie do Bevina, 23 VII 1947, FO 371/64225; „Report of the Activities of C.R.X.", DPOW/P (47) 60, 19 kwietnia 1947, FO 1005/842.
[74] M. Mevius, *Agents of Moscow*…, s. 139.
[75] Mjr M. Hanley, „Deportation of Swabians", 28 VIII 1947, FO 371/64225.
[76] Raport kaprala C. Sassie'ego z polowej służby bezpieczeństwa, 28 VIII 1947, FO 371/64225.
[77] J. L. Muller, *L'expulsion des Allemands de Hongrie*…, s. 119.

[78] Cyt. za: A.F. Noskova, *Migration of the Germans after the Second World War*…, s. 106.
[79] Telegram Williama Stranga do FO, 20 XII 1946, FO 1049/515.
[80] Telegram jednostki 508 (R) zarządu wojskowego w Lubece do kwatery głównej CCG (BE) w Lubece, 6 I 1947; memorandum brytyjskiego zespołu łącznikowego w Szczecinie, 14 I 1947, FO 1052/323.
[81] Komisarz główny MZO do dyrektora wojewódzkiego wydziału PUR, „4 stycznia 1947 roku" [właśc. 4 lutego 1947], w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 492.
[82] List kierownictwa PCK w województwie szczecińskim, 11 IV 1947, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 516–517.
[83] Nota MZO w sprawie śmiertelności niemieckiej ludności w Gdańsku, 9 IV 1947, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 261.
[84] Telegram wydziału PW & DP, Lemgo, do wydziału PW & DP CCG (BE) w Berlinie, 1 II 1947, FO 1032/835.
[85] 432 *H.C. Deb*. 5s, c. 58W (22 I 1947).
[86] Niedatowana notatka (z ok. 25 II 1947) Vaughana-Hughesa, FO 1052/472.
[87] Płk R. Thicknesse, z-ca szefa wydziału PW & DP, do płk. Pulvermana, z wydziału PW & DP (BE), Lemgo, 9 VI 1947, FO 1052/472.
[88] I.T.M. Pink, z-ca szefa wydziału politycznego CCG (BE) w Berlinie, do wydziału PW & DP w Berlinie, 8 II 1947, FO 1052/472.
[89] „Report of the Activities of C.R.X.", DPOW/P 46 (132), 25 XI 1946, FO 1005/841; Jones, „German Expellees from

Poland (Operation «Swallow»)”; memorandum COGA (bez tytułu), 7 II 1947, FO 945/673.

[90] Prawin do Kenchingtona, 8 V 1947, FO 1052/472.

[91] Kenchington do Thicknesse’a, 5 III 1947, FO 1052/472.

[92] Ambasada brytyjska w Warszawie do FO, 29 IV 1947, FO 945/673.

[93] Vaughan-Hughes do kwatery głównej CCG (BE) w Lubece, 1 XI 1946; telegram terenowej placówki CCG (BE) w Berlinie do kwatery głównej CCG (BE), 4 XI 1946, FO 1049/515.

[94] Aliancka Komisja Kontroli, kierownictwo sekcji PW & DP, „Intention of the British Authorities to Discontinue the Acceptance of Germans to be Transferred from Poland (Point of View of the Soviet Member)” [Major-General Yurkin], 26 X 1947, FO 945/673.

[95] Vaughan-Hughes do T. Williamsona z wydziału kadrowego CCG (BE) w Berlinie, 25 X 1947, FO 1052/466.

[96] E.E. Swanstrom, *Pilgrims of the Night: A Study of Expelled Peoples*, Sheed & Ward, New York 1950, s. 13, 18–19.

[97] M. Frank, *Expelling the Germans*…, s. 256.

[98] Spotkanie to odbyło się 12 kwietnia 1946 roku. Fye, „Final Report”, s. 29.

[99] „Bi-Monthly Report of the Military Governor, U.S. Zone, on Displaced Persons, Stateless Persons and Refugees for the Period February 1–March 31, 1947”, RG 260/390/42/24-25/7-1, Biuro Zarządu Wojskowego w [okupowanych] Niemczech (OMGUS), wydział PW & DP, zbiór 128, teczka „Bi-Monthly Reports, 1946 to 1947”, NARA.

[100] 100 Brytyjski konsul generalny we Frankfurcie nad Menem do C.E. Steela z wydziału politycznego CCG (BE) w Berlinie, 27 VIII 1947; anonimowy dokument bez daty

„Statement Issued by the United States Authorities”, FO 945/760

[101] Gen. mjr F.A. Keating do Jamesa R. Newmana, dyrektora biura zarządu wojskowego w Hesji, 27 IV 1947, RG 260/390/42/24-25/7-1, OMGUS, wydział PW & DP, zbiór 128, teczka „Expellee General”, NARA.

[102] Kancelaria ambasady brytyjskiej w Pradze do departamentu północnoeuropejskiego FO, 4 III 1949, FO 1110/171.

[103] „Statement Issued by the Czechoslovak Authorities” („Oświadczenie wydane przez władze czechosłowackie”), 23 VIII 1947, FO 945/760.

[104] E. Mayer, członek delegacji MKCK w Monachium, do D. de Traza, kierownika sekcji ds. więźniów, internowanych i cywilów w Międzynarodowym Komitecie Czerwonego Krzyża, 16 VI 1948, Archives Générales 1918–1950, G. 97/IV, katalog 1157, CICR.

[105] Tekst porozumienia kpt. Laskowskiego z polskiej misji wojskowej w Berlinie z płk. Maslennikowem z radzieckiego zarządu wojskowego w Niemczech, zawartego 12 kwietnia 1947 roku, w: P. Lippóczy, T. Walichnowski (red.), *Przesiedlenie ludności niemieckiej z Polski*…, s. 71–73; B. Nitschke, *Vertreibung und Aussiedlung der Deutschen Bevölkerung aus Polen 1945 bis 1949*, Oldenbourg, München 2004, s. 235.

[106] Kierownik placówki tranzytowej w Kaławsku (Węglińcu) do dyrektora PUR we Wrocławiu, 24 IV 1947, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. IV, s. 633.

[107] Dr Ziempliński, lekarz w obozie tranzytowym PUR w Kaławsku, do naczelnego lekarza PUR, 1 VII 1947; w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. I s. 331; telegram inspektora E.

Kinsnera do głównego pełnomocnika MZO, 16 V 1947, *ibid*., t. III, s. 531.

[108] Raport placówki PUR w Kaławsku, 22 VI 1947, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. IV, s. 644–647.

[109] F. Ehrenhold, „Rapport sur la visite du Centre de Formation des Trains d'Evacués allemande à KAŁAWSK (anciennement Kohlfurth)", 21 VIII 1947, Archives Générales 1918–1950, G. 97/IV, zbiór 1158, CICR.

[110] K. Uściniewicz do MZO, 12 XI 1947, archiwa Ministerstwa Ziem Odzyskanych 541b/B-7414, Archiwum Akt Nowych (dalej jako AAN), Warszawa.

[111] Notatka opatrzona podpisem „Kurpias", MZO, Tuplice, 29 VIII 1947; notatka inspektora E. Kinsnera, MZO, 18 IX 1947, MZO 541g/B-7419, AAN.

[112] B. Nitschke, *Vertreibung und Aussiedlung*…, s. 250.

[113] J. Kostiaszow, *Wysielienie niemcew iz Kaliningradskoj obłasti w posliewojennyje gody*, „Woprosy Istorii" 1994 (VI), s. 186–187. Por. także E. Beckherrn, A. Dubatow (red.), *Die Königsberg-Papiere: Schicksal einer deutschen Stadt. Neue Dokumente aus russischen Archiven*, Langen Müller, München 1994, s. 199–223.

[114] J. Misztal, *Wysiedlenia i repatriacja obywateli polskich z ZSRR*…, s. 59.

[115] *Ibid*., s. 62.

[116] B. Nitschke, *Vertreibung und Aussiedlung*…, s. 266.

[117] *Ibid*., s. 258.

[118] Notatka Jerzego Szczepanika z PUR, 21 VI 1948, archiwa Ministerstwa Ziem Odzyskanych (MZO), 541g/B-7419, AAN.

[119] L. Olejnik, *Zdrajcy narodu?*…, s. 196.

[120] Wolski do pełnomocnika ds. repatriacji ludności niemieckiej, 18 VIII 1946; notatka pełnomocnika MZO ds.

repatriacji, 27 IX 1946; Roman Fundowicz, komisarz PUR we Wrocławiu, do przedstawiciela MZO, MZO 527c/B-7332, AAN.

[121] Boothby do Jamesa, 22 VI 1946, FO 1052/474.

[122] Nichols do Attlee'ego, „The Transfer of Germans from Karlovy Vary" („Wysiedlenie Niemców z Karlowych Warów"), 30 XI 1946, FO 371/56070.

[123] „Rudé Právo", 12 XI 1946.

[124] Telegram Nicholsa do Bevina, 27 XII 1946, cotygodniowe streszczenie informacyjne na temat wydarzeń z 22–27 grudnia 1946 roku, FO 371/56005.

ROZDZIAŁ 8

Dzieci

W kwietniu 1946 roku Willy Montandon, członek delegacji MKCK (Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża) w Czechosłowacji, odwiedził obóz internowania w Modřanach na południowych przedmieściach Pragi. Przyprowadził ze sobą lekarza, licząc na to, że zajmie się on pewną starszą więźniarką z grupy Sudetendeutschów, która niebawem miała zostać deportowana, ale Montandonowi nie pozwolono opuścić gabinetu komendanta obozu. Pokazano mu tam rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych, wydane dwa tygodnie wcześniej, które „formalnie zabraniało komukolwiek wchodzenia na teren obozu i rozmawiania z internowanymi bez pisemnej zgody ministerstwa – w tym przedstawicielom Międzynarodowego Czerwonego Krzyża oraz UNRRA”. Kiedy Montandon zbierał się do wyjścia z obozu, zatrzymała go młoda więźniarka Emma Duda i poprosiła o pomoc. Pochodząca z Pragi Duda powiedziała, że władze czeskie odebrały jej dwie córki – pięcioletnią Ingę i trzyletnią Ilsę – gdy została aresztowana podczas „rewolucji” w maju 1945 roku. Od tamtej pory nie miała o nich żadnych wieści.

> Po naszym pytaniu, czy mogłaby podać nam jakieś szczegóły, jakieś wskazówki, które ułatwiłyby poszukiwania, zamilkła na chwilę, a potem podjęła tym samym, ledwie słyszalnym, spokojnym, zrównoważonym tonem głosu: „Tak, obie były naprawdę bardzo ładne i grzeczne”. I nic ponadto. Widok tej matki, zobojętniałej na wszystko z wyjątkiem losu zaginionych córeczek, jej niemal instynktowna

> rozpacz, jej zupełna nieświadomość tego, co działo się wokół, jej zupełny brak troski o własne warunki bytowe; kontrast między beznamiętnym głosem a wymizerowaną twarzą o ściągniętych rysach, wzrok zarazem spokojny i tragiczny – miał w sobie coś nie do zniesienia, co sprawiło, że choć nawykły do takich rzeczy, zaniemówiłem. Nie byłem w stanie uczynić niczego poza uściśnięciem w milczeniu jej sztywnej dłoni, po czym szybko dałem kierowcy znak, żeby ruszał[1].

Takie zdarzenia nie były ani niecodzienne, ani przypadkowe. Wedle szacunków księdza Edwarda Swanstroma z Akcji Amerykańskiego Kościoła Katolickiego na rzecz Ofiar Wojny po wojnie w Europie 160–180 tysięcy dzieci odebrano ich rodzicom w czasie akcji przesiedleńczej, a rozłąka potrwała aż do 1950 roku[2]. Wiele z tych wydarzeń, jak stwierdził, stanowiło nieuchronną konsekwencję „pochopnych" wysiedleń, jak choćby historia „pewnego chłopca, który poszedł do sklepu w pobliskim miasteczku, a zanim wrócił, całą jego rodzinę siłą załadowano na ciężarówkę i zabrano do obozu odosobnienia, by ją deportować"[3]. Równie powszechna była praktyka rozdzielania rodzin podczas samego wysiedlania, kiedy to „mężczyzn i kobiety, jeśli byli zdrowi i zdolni do pracy, wyciągano z pociągu [którym wywożono deportowanych] […] a dzieci jechały tym pociągiem same"[4]. Ale w nader licznych wypadkach dzieci świadomie karano za „grzechy" ich rodziców, zarówno w obozach dla internowanych, jak i poza nimi. Wielu innych nieletnich, w tym córki Dudy, potraktowano jak wojenne łupy i zatrzymano po aresztowaniu i wypędzeniu rodziców, aby uzupełnić wojenne straty ludnościowe lub też pod

wpływem quasi-rasistowskich teorii, jeżeli w żyłach tych dzieci płynęło trochę czechosłowackiej bądź polskiej krwi.

Tak jak w przypadku wielu innych elementów programu wysiedleńczego precedens stanowiły wojenne plany nazistowskich Niemiec dotyczące podbitej Polski. W ramach Generalplan Ost, czyli niemieckiego zamysłu przeprowadzenia czystek etnicznych w środkowo wschodniej Europie, Główny Urząd Rasy i Osadnictwa (RuSHA), jedną z agencji podległych SS, obarczono zadaniem identyfikacji i odebrania rodzicom „wartościowych pod względem rasowym" polskich dzieci poniżej 8.–10. roku życia. Na Heinrichu Himmlerze, który wizytował Polskę po kampanii wrześniowej roku 1939, duże wrażenie wywarła znaczna liczba jasnowłosych i niebieskookich dzieci, jakie tam widział. Wielu rzekomych „Polaków", jak uważał, było Aryjczykami poddawanymi „polonizacji", a jeśli osoby takie nie osiągnęły jeszcze określonego wieku, nadawały się do reedukacji i wcielenia w skład narodu niemieckiego. W następnych latach zespoły kobiet (przezywanych „brunatnymi siostrzyczkami") z Nationalsozialistische Volkswohlfahrtsamtu (NSV), czyli Narodowosocjalistycznej Opieki Społecznej, przemierzały okupowaną Polskę wraz z ekspertami rasowymi z SS, zabierając „potencjalnie nordyckie" dzieci z sierocińców, szkół, a czasem po prostu z ulic. Dzieci te poddawano następnie serii badań lekarskich i psychologicznych. Wiele z nich, jeżeli nie spełniały norm – łącznie około 90 procent – odesłano do domów, wywieziono na roboty przymusowe do Rzeszy albo niekiedy zsyłano do obozów śmierci, gdzie były natychmiast zabijane. Z kolei dzieci spełniające kryteria rasowe trafiały do ośrodków Lebensbornu; jeżeli miały nieco więcej lat, mogły być adoptowane przez niemieckie rodziny, którym powierzano zadanie odwrócenia skutków

„polonizowania” tych dzieci od chwili ich narodzin[5]. Większość dokumentacji odnoszącej się do tej nazistowskiej akcji uległa zniszczeniu przed zakończeniem wojny; szacunki dotyczące łącznej liczby polskich dzieci poddanych tym procedurom wahają się od 20 do 200 tysięcy[6]. Niezależnie od tego, jaki zakres miały faktycznie te działania, sądzi się, że nie więcej niż 15 procent dzieci odebranych rodzinom ostatecznie do nich powróciło[7]. Nieco mniejsza liczba „wartościowych rasowo” dzieci, których rodzice zostali zabici przez Niemców jako partyzanci albo w ramach odwetowych represji – jak w przypadku masakry w Lidicach – została wywieziona z okupowanych obszarów Czechosłowacji, Związku Radzieckiego i Jugosławii i zesłana do Rzeszy w celu zgermanizowania[8]. Dodatkowym uzasadnieniem całej tej akcji było, zgodnie z wyjaśnieniami Himmlera, nie tylko zadbanie o to, aby nie przepadły rezerwy „cennego materiału genetycznego”, lecz także osłabienie w wymiarze rasowym wrogów Niemiec na Wschodzie przez zmniejszenie współczynnika „nordyckiej krwi” w narodzie polskim czy ukraińskim.

Po wojnie dyskusje prowadzone w Czechosłowacji i Polsce na temat losu dzieci podczas wysiedleń czasami niepokojąco przypominały te z okresu nazistowskiego. Dokuczliwa kwestia „kto jest Niemcem”, pojawiała się szczególnie ostro w odniesieniu do dzieci z mieszanych małżeństw. Spór ten często dotyczył rzekomej „siły” odpowiednich wpływów rasowych: czy „aryjskie”, czy też raczej „słowiańskie” cechy i skłonności – a w epoce tuż po wojnie po prostu odwrócono kryteria stosowane w tym względzie przez nazistów – dojdą bardziej do głosu, kiedy dziecko wkroczy w wiek dorosły. Odpowiedź na takie pytanie nierzadko decydowała o tym, czy dzieci mieszanych

małżeństw były deportowane wraz z ich niemieckimi rodzicami, wobec tego, że w ich żyłach płynęła „skażona” niemieckością krew, czy też pozwalano im zostać w kraju, licząc na to, że górę wezmą u dziecka cechy „słowiańskie”. I choć takie kryteria społecznego darwinizmu wydawały się mocno podejrzane, to przesądzały o tym, że dziecku pozwalano pozostać pod opieką przynajmniej jednego z rodziców. Z kolei ci urzędnicy, którzy utrzymywali, że „wychowanie” znaczy więcej od „natury”, skłaniali się ku realizacji jeszcze bardziej złowieszczego scenariusza: dzieci z mieszanych małżeństw lub nawet te o czysto niemieckim rodowodzie mogły zostać wychowane na dobrych Czechosłowaków bądź Polaków, jeśli odcięłoby się je całkowicie od złych wpływów ich germańskich krewnych.

Przed II wojną światową namiętne spory dotyczące narodowej tożsamości dzieci stanowiły istotny element życia publicznego czechosłowackiej I Republiki. Zwłaszcza szkoły uważano za główne „pola bitewne” na drodze do degermanizacji kraju. Jak zauważa Tara Zahra, w pierwszych latach czechosłowackiej niepodległości „lokalne czeskie stowarzyszenia narodowe wręcz zalewały rząd petycjami, domagając się od władz państwowych likwidacji niemieckich szkół […] w imię ochrony czeskości oraz demokracji”[9]. Niemcy sudeccy reagowali na to dewastowaniem czeskojęzycznych szkół – co było popularną „rozrywką” tamtejszych Czechów i Niemców jeszcze przed I wojną światową, gdy obie te grupy językowe wchodziły w skład Cesarstwa Austro-Węgierskiego[10]. W okresie I Republiki dążenia niektórych czeskich rodziców, aby wysyłać swoje dzieci do szkół niemieckojęzycznych, wobec przekonania, że nauczą się w nich więcej, a język niemiecki bardziej im się przyda w życiu, wywoływały szczególne zaniepokojenie czeskiej i słowackiej większości. W takim

wypadku nierzadko interweniowała miejscowa żandarmeria, przymusowo zapisując owe dzieci do czeskich szkół; zdarzało się czasem, że władze państwowe zamykały niemieckie szkoły za przyjmowanie dzieci „niewłaściwej” narodowości. Z kolei jeśli niemieccy rodzice posyłali swoje pociechy do lepiej finansowanych szkół czeskich, to podczas spisów powszechnych uznawano to za podstawę do zaklasyfikowania tychże dzieci do grona etnicznych Czechów. Rezultatem było jeszcze poważniejsze zaostrzanie podziałów między obiema społecznościami, gdyż etniczni Niemcy czuli się zmuszeni do zapisywania swych dzieci do niemieckich placówek edukacyjnych, starając się uzyskać w taki sposób o „obiektywne” wyznaczniki narodowej tożsamości, uznawane przez czechosłowackie sądy i trybunały. „W dążeniach do zapobiegania germanizacji czeskich dzieci – stwierdza Zahra – państwo czechosłowackie doprowadziło do ostrych podziałów społeczno-kulturowych między ludnością niemiecką a czeską na ziemiach czeskich”[11].

Podczas wojny sytuacja obu tych grup etnicznych uległa odwróceniu, jednak pozostało zasadnicze źródło konfliktu. Nazistowscy okupanci i czescy nacjonaliści nadal dążyli do ochrony narodowej tożsamości dzieci z Protektoratu Czech i Moraw, osiągając w tej mierze niewiele więcej od przedwojennych polityków i urzędników. Pragnące poprawy swego statusu materialnego czeskie rodziny miały dodatkowy bodziec, aby zapisywać dzieci do niemieckich szkół lub choćby na kursy nauki języka niemieckiego; z drugiej strony tej etnicznej bariery zaskakująco duża liczba Sudetendeutschów opierała się temu, co uznawali za zbyt natarczywą politykę germanizacyjną okupantów do tego stopnia, że niektórzy z nich nie chcieli starać się o niemieckie obywatelstwo dla siebie i swoich dzieci, mimo

że w świetle nazistowskich przepisów byli do takiego obywatelstwa uprawnieni[12]. Generalnie dzieci z mieszanych małżeństw automatycznie zaliczano do Niemców. Mimo wszystko względnie liberalne rządy niemieckie w Protektoracie Czech i Moraw – podkreślmy, że ów „liberalizm" należy traktować relatywnie, w odniesieniu do nazistowskiego spektrum zbrodni – pewien rodzaj poszanowania, okazywany przez okupantów dla „lojalnej wobec Niemiec" czeskiej kultury, nieingerencja Niemców w edukacyjną politykę kolaboranckiego reżimu księdza Tiso na Słowacji, wreszcie stosunkowo krótki okres okupacji – wszystko to wpłynęło na fakt, że w latach wojny podejmowano tylko dosyć niemrawe, w porównaniu z tym, czego można by oczekiwać, próby wpisania czechosłowackich nieżydowskich dzieci w ramy nazistowskiego nowego porządku.

W Polsce wyglądało to zupełnie inaczej. W okresie międzywojennym starania państwa polskiego, zmierzające do likwidacji przejawów „germanizmu" w kraju, zwłaszcza w szkołach, miały charakter jeszcze energiczniejszy i ostrzejszy aniżeli w Czechosłowacji. Zasilana hojnymi subwencjami z Berlina niemiecka mniejszość zdecydowanie się temu opierała, najmując niemieckich nauczycieli do uczenia w swoich domach dzieci, zmuszanych uczęszczać do polskich szkół[13]. Żywiona przez obie strony paranoiczna obawa przed „germanizacją" polskich dzieci albo „polonizacją" niemieckich była podgrzewana przez poczucie niepewności. Od najwcześniejszych dni istnienia II Rzeczypospolitej rząd w Warszawie pozostawał świadom kruchości odrodzonego polskiego państwa. W jego granicach znalazło się kilkanaście mniejszości etnicznych, między innymi Ukraińcy na południowym wschodzie i Litwini na Wileńszczyźnie. W chwili odrodzenia Polski

mniej niż dwie trzecie jej obywateli było Polakami. Przemożny wpływ Kościoła katolickiego na polskie szkolnictwo prowadził do ciągłych napięć z etnicznymi Niemcami, wyznającymi na ogół protestantyzm. Przed 1939 rokiem, w odpowiedzi na agresywniejsze nastawienie Hitlera wobec sąsiadującej z Rzeszą Polski, warszawskie władze coraz usilniej nękały tych przedstawicieli niemieckiej mniejszości, którzy posyłali swoje dzieci do prywatnych niemieckojęzycznych szkół[14]. Niemiecka ludność w Polsce miała więcej powodów do narzekań od swoich ziomków w Czechosłowacji, ale i po podboju Polski przez Wehrmacht w 1939 roku wzięła nieporównanie okrutniejszy odwet. Poza przymusową germanizacją młodzieży na włączonych do Rzeszy zachodnich ziemiach polskich, a także „wartościowego pod względem rasowym" elementu młodzieży z pozostałych obszarów zajętej Polski, naziści uznali polskie dzieci, jak zresztą wszystkich Polaków, za nadające się tylko do pracy fizycznej na użytek III Rzeszy. Wszystkie polskie szkoły ponadpodstawowe pozamykano, nauczycieli często mordowano w ramach celowej strategii pozbawienia narodu polskiego klasy inteligenckiej; dzieci zabierano z domów, kierując do robót przymusowych na rzecz wojennej gospodarki niemieckiej, a niektóre z nich padły ofiarą nieludzkich eksperymentów medycznych w nazistowskich obozach.

Po klęsce nazistów nowe władze w krajach środkowo- i wschodnioeuropejskich nie przejawiały więc specjalnej ochoty do czynienia rozróżnienia między winnymi a niewinnymi Niemcami. Skutki takiej mściwości dotknęły także niemieckie dzieci, dla których rzadko robiono wyjątek. Za przykład panujących wtedy nastrojów może posłużyć zadowolenie wyrażone na łamach praskiej gazety „Mláda Fronta" z powodu odrzucenia przez rząd brytyjski

propozycji zapewnienia tymczasowej opieki 10 tysiącom głodujących niemieckich dzieci zimą 1945/1946, przeciwko czemu energicznie protestowano w czeskiej prasie – nagłówek obwieszczający, że ostatecznie do realizacji wspomnianego pomysłu miało nie dojść, głosił: „Brytyjczycy nie wykarmią małych hitlerowców: nasze starania uwieńczone powodzeniem”[15]. Inny podobny przykład to normy racji żywnościowych ustalone przez czeski rząd, obejmujący nawet najmłodsze dzieci Niemców sudeckich odpowiedzialnością za przewinienia ich rodziców. Począwszy od sierpnia 1945 roku, niemieckie dzieci poniżej szóstego roku życia miały dostawać tylko połowę przydziału mleka i jeszcze mniej jęczmienia w porównaniu z dziećmi czeskimi. Nie przysługiwały im mięso, jaja, dżem oraz syrop owocowy, zastrzeżone dla czeskich nieletnich[16]. Natomiast na polskich Ziemiach Odzyskanych w ogóle nie zajmowano się podobnymi detalami: ponieważ stopniowo zaprzestano tam wydawania kartek na żywność wszystkim przedstawicielom niemieckiej ludności, to niemieckim dzieciom, tak jak ich rodzicom, nie przysługiwały żadne racje prowiantu. W związku z tym naczelnik komisariatu Szczecin-Stołczyn ze wzburzeniem odpierał zarzuty lokalnej gazety, jakoby tamtejsi Niemcy otrzymywać mieli codzienne przydziały mleka; od końca 1945 roku, jak z dumą poinformował, nawet niemieckie dzieci poniżej drugiego roku życia mleka wcale nie dostawały[17]. Tak samo wiek, w jakim dzieci były uznawane za osoby „dorosłe” i podlegały obowiązkowi pracy, zależał zasadniczo od kaprysów lokalnych administratorów. Normalnie Niemcy w Czechosłowacji zostali zobowiązani do pracy od dnia swoich czternastych urodzin (czasami w przypadku dziewcząt – od piętnastych). Jednak w niektórych powiatach pracować fizycznie musieli wszyscy powyżej

dziesiątego roku życia[18]. Podobnie w Jugosławii kierowano do robót przymusowych nawet dziesięciolatki[19].

Zdecydowanie najgorsza okazała się sytuacja dzieci w ośrodkach odosobnienia. Gdy powstały pierwsze, zaimprowizowane obozy internowania – łącznie około 40, w których znalazło się 20–25 tysięcy etnicznych Niemców, zorganizowano w samej tylko Pradze do końca maja 1945 roku[20] – zamknięto w nich niemowlęta i dzieci wraz z ich rodzicami. Słabość układu odpornościowego i osłabienie fizyczne sprawiały, że właśnie osoby niedorosłe okazały się szczególnie podatne na skutki głodu i chorób. Zatrważające tempo, w jakim pogarszał się stan najmłodszych w tych obozach, zostało odnotowane przez pracownika opieki społecznej z Pragi Přemsyla Pittera latem 1945 roku. Pitter, mało znany bohater tamtych lat, wyznawał głęboko chrześcijański pacyfizm, na jaki nawrócił się po przeżyciach frontowych w armii austro-węgierskiej w latach I wojny światowej. W okresie międzywojennym kierował schroniskiem dla pokrzywdzonych dzieci; jego osobista odwaga w chronieniu młodych żydowskich podopiecznych przed nazistami podczas całej okupacji doczekała się wyróżnieniem go medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata nadanym przez jerozolimski Instytut Jad wa-Szem. Po zakończeniu wojny Pitter uruchomił ponownie ochronkę w zniszczonym zamku w Lojovicach, gdzie pomagał żydowskim dzieciom, które przeżyły nazistowskie obozy. Jednak odwiedzając ośrodki odosobnienia zorganizowane przez nowe władze czechosłowackie, szybko się przekonał, że zdecydowaną większość potrzebujących teraz jego pomocy stanowili etniczni Niemcy. Na przykład w prowizorycznym obozie w gmachu gimnazjum K.V. Raisa w praskiej dzielnicy Vinohrady Pitter i garstka jego

pomocników ujrzeli pod koniec lipca 1945 roku „piekło, o którym przechodnie nie mieli najmniejszego pojęcia”. Ponad tysiąc niemieckich więźniów, w zdecydowanej większości kobiety i dzieci, „stłoczono w ścisku nie do opisania. Kiedy wynosiliśmy wycieńczone i apatyczne dzieci i układaliśmy je na trawie, uważałem, że niewiele z nich przeżyje. Nasz lekarz dr E. Vogl, Żyd z pochodzenia, który przeszedł piekło Oświęcimia i Mauthausen, prawie się rozpłakał na widok tych ciałek. «I to my, Czesi, doprowadziliśmy do tego w ciągu dwóch i pół miesiąca!» – krzyknął”[21]. Warunki w innych praskich obozach, jak stwierdzili pracownicy Czerwonego Krzyża, nie były lepsze. MKCK poinformował na początku czerwca czechosłowackiego ministra spraw wewnętrznych Václava Noska, że 51 niemieckich dzieci internowanych w zaimprowizowanym ośrodku odosobnienia w domu przy ulicy U Půjčovny w pobliżu dworca kolejowego Masarykovo dostawało tak mało jedzenia, że w poprzednim tygodniu dwoje z nich zmarło z powodu niedożywienia. Noskowi oznajmiono, że podobna sytuacja panuje w innych tego typu prowizorycznych więzieniach[22]. Poza stolicą warunki bywały jeszcze gorsze. W jednym z najcięższych obozów w Suchdolu nad Odrą zamknięto pod koniec sierpnia 1945 roku 508 dzieci, w tym 74 poniżej drugiego roku życia; po upływie trzech tygodni od chwili uruchomienia owego obozu zmarło 13 z nich[23].

Reakcja władz na apele w obronie tych uwięzionych dzieci, w Czechosłowacji i gdzie indziej, polegała niemal zawsze na ignorowaniu takich próśb. To prawda, że w pierwszych zarządzeniach dotyczących zamykania Niemców w obozach zazwyczaj wspominano o wyłączeniu z aresztowań młodszych dzieci i ich matek. W praktyce jednak nie było to przestrzegane. Właśnie z tego powodu,

że większość pozostałych na miejscu Volksdeutschów stanowiły kobiety z dziećmi, zapewnienie im nietykalności osobistej oznaczałoby, iż gros populacji etnicznych Niemców nie podlegałoby internowaniu. Nie wchodziło poważnie w rachubę także zsyłanie do obozów tylko osób dorosłych bez obciążania się koniecznością roztoczenia przez państwo opieki nad milionami młodocianych. Rezultat był więc taki, że – jak w przypadku podobnej „pobłażliwości" wobec niemieckich antyfaszystów – władze czeskie, słowackie, polskie i rumuńskie zadowalały się wydawaniem, a w razie zagranicznych protestów powtórnym ogłaszaniem zarządzeń, których w istocie nie zamierzano wprowadzać w życie. Na przykład Nosek w sierpniu 1945 roku ogłosił, że z obozów internowania w całym kraju nakazano niezwłocznie pozwalniać wszystkie dzieci poniżej lat czternastu, z wyjątkiem tych, których rodzice pragnęli zatrzymać przy sobie z myślą o zbliżającej się deportacji. Nastolatkowie w wieku od 14 do 18 lat mieli pozostać internowani, ale w specjalnych obozach, z dala od swoich rodzin[24]. W rzeczywistości nie zrobiono niczego dla wprowadzenia w czyn tej instrukcji do czasu, kiedy Philip Nichols poprosił czechosłowackiego premiera Fierlingera pod koniec października o wypuszczenie kobiet i dzieci z obozów. Mimo że premier ponownie obiecał to uczynić, Nichols przezornie uprzedził Ernesta Bevina, że Fierlinger powiedział „to w czasie nieoficjalnej rozmowy i trudno mi uwierzyć, że czechosłowacki rząd faktycznie będzie w stanie zrealizować taką politykę, przynajmniej w najbliższym czasie"[25]. Tak więc, wedle danych MKCK, na 1 kwietnia 1946 roku w obozach tylko w Słowacji znajdowało się około 2 tysięcy dzieci w wieku poniżej sześciu lat, prawie 3300 w wieku od szóstego do szesnastego roku życia oraz ponad 1200 starszej młodzieży,

liczącej od 16 do 20 lat[26]. Podobnie zarządzenie polskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego wydane w kwietniu 1945 roku wyszczególniało, że nie można było więzić nikogo poniżej trzynastego roku życia, co w praktyce tak samo miało się do rzeczywistości jak analogiczne przepisy zabraniające fizycznego znęcania się nad więźniami[27]. Ponad dwa lata później Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej skarżyło się, że przepisy dotyczące więzionych dzieci nadal były „całkowicie lekceważone”[28]. Jeszcze pod koniec stycznia 1949 roku międzyministerialna komisja poleciła natychmiastowe wypuszczenie na wolność 128 niemieckich dzieci, osadzonych bezprawnie w miejscach internowania, a kolejna inspekcja odkryła w sierpniu roku 1950, że nie tylko 171 dzieci wciąż przetrzymywano w obozie w Gronowie, lecz także uniemożliwiano im wszelkie kontakty z ich więzionymi rodzicami[29].

Codzienny reżim w obozach dla więzionych dzieci był tak bardzo zróżnicowany jak w obozach dla dorosłych. Poza pewnymi wyjątkami niewiele świadectw wskazuje, że władze starały się chronić dzieci przed najgorszymi aspektami obozowego życia. W niektórych ośrodkach odosobnienia zapędzano do pracy nawet dzieci poniżej czternastego roku życia[30]. (Skrajnym przypadkiem był Mirošov, gdzie za „dorosłych” uważano wszystkich więźniów w wieku powyżej sześciu lat)[31]. W istocie w okresie bezpośrednio po wojnie uwięzienie równie często oznaczało śmierć dla dzieci, w takim samym stopniu jak dla starszych. W obozie Postoloprty w północnych Czechach w czerwcu 1945 roku policjant Bohuslav Marek wychłostał pięcioro niemieckich dzieci za próbę ucieczki. Jak sam przyznał, zeznając przed czechosłowacką komisją parlamentarną dwa lata później, oficer wojska nadzorujący

wspomniany obóz, major Vojtěch Černy, zganił Marka za rzekomą „pobłażliwość” i jeszcze tego samego dnia postawił piątkę niedoszłych młodocianych uciekinierów przed plutonem egzekucyjnym[32]. Często – w opisanym przypadku również – uzasadniano kary tym, że ofiary należały wcześniej do Hitlerjugend i dlatego należało traktować je tak jak byłych członków innych nazistowskich organizacji, w związku z czym samowolne egzekucje dzieci były skutkiem takiej samej bezkarności, jaka prowadziła do krwawych ekscesów, których ofiarami padali dorośli.
W rzeczy samej rozpowszechnione, acz niezupełnie zgodne z prawdą przekonanie, że w wyniku indoktrynacji, jakiej poddawano niemieckie dzieci w okresie nazizmu, stawały się one „bezwolnymi automatami, fanatycznie oddanymi Führerowi”, ślepo słuchającymi przełożonych, nierzadko „szantażowały swoich rodziców, grożąc im zadenuncjowaniem przed partią [nazistowską] za brak gorliwości”, mogło prowadzić do tego, iż takie dzieci uważano za jeszcze bardziej niebezpieczne od dorosłych nazistów[33]. Nie powinno zatem dziwić, że w 1947 roku wspomniana komisja, prowadząca dochodzenie w sprawie masakr w Postoloprtach, uznała, mimo otwartego przyznania się Černego do popełnionych czynów, że nie zaszła konieczność wytoczenia mu sprawy sądowej[34].

Sporadycznie powstawały wyspecjalizowane obozy dziecięce, w których młodzi więźniowie, czasami osieroceni lub odseparowani od rodziców w trakcie wysiedleń, byli traktowani po ludzku. Brytyjski parlamentarzysta Richard Stokes odniósł nader korzystne wrażenie, zapoznając się z opieką, jaką zapewniano internowanym w obozie dziecięcym w Litoměřicach, który odwiedził we wrześniu 1946 roku, choć zastrzegał, że wizytacja ta trwała bardzo krótko[35]. MKCK docenił także starania czynione przez

kierownictwo obozów w Brnie-Jundrovie i Českich Křídovicach. Choć przetrzymywanym tam dzieciom brakowało odpowiedniej odzieży i obuwia, a także nie wolno im było mówić po niemiecku, to pracownicy Czerwonego Krzyża wizytujący tę placówkę latem 1947 roku uznali, że wyraźnie dbano tam o dobro internowanych[36]. Jednak w obu tych przypadkach inspekcje odbyły się w czasie, kiedy większość Sudetendeutschów już deportowano.

Gdzie indziej sytuacja w obozach dla dzieci przedstawiała się znacznie gorzej. Dwóch niemieckich piętnastolatków, którzy zbiegli z zaszczurzonego polskiego obozu w Bolesławcu na Dolnym Śląsku w lecie 1948 roku, zeznało, że 1200–1300 przetrzymywanych tam dzieci zmuszano do pracy na budowach. W grudniu 1947 roku tysiąc tych chłopców wywieziono do Związku Radzieckiego; słuch o nich zaginął[37]. Obozy dziecięce z personelem wyselekcjonowanym spośród niemieckich więźniarek działały też krótko w 1946 roku w Jugosławii; trzymano tam dzieci, których rodzice zginęli lub zmarli w obozach Gakovo bądź Kruševlje. Po trzech miesiącach dzieci te zostały zabrane, a obóz uległ likwidacji. Także w tym przypadku Czerwony Krzyż nie uzyskał żadnych informacji o ich dalszych losach[38].

Mimo dramatycznych warunków bytowych w najgorszych obozach dziecięcych, jak w tym w Bolesławcu, było tam lepiej niż w miejscach, gdzie dzieci więziono razem z dorosłymi. Dodać jednak należy, że opieka roztaczana przez internowanych rodziców tu i ówdzie zadecydowała o przeżyciu wielu z tych dzieci. Brytyjscy oficerowie, którzy przeprowadzili wizytację zapuszczonego obozu dla Volksdeutschów, Turnu Māgurele na południu Rumunii, we wrześniu 1945 roku zarekomendowali, aby tamtejsze dzieci

poniżej lat 12 wypuszczano na wolność tylko „wówczas, gdy nie istniały polityczne przeciwwskazania wobec zwolnienia ich matek lub ojców” – bez wątpienia z obawy, że sytuacja tych młodych ludzi będzie jeszcze gorsza, gdy zostaną zmuszone do samodzielnego radzenia sobie poza obozem[39]. Ale w innych ośrodkach przymusowego odosobnienia młodzi więźniowie musieli dzielić trudy i udręki ze starszymi, z łatwymi do przewidzenia konsekwencjami. MKCK poskarżył się Noskowi we wrześniu 1945 roku, że w czechosłowackich obozach młodzi strażnicy traktowali internowanych z „najwyższym okrucieństwem”, a bicie dzieci, podobnie jak dorosłych, było na porządku dziennym[40]. Na znęcanie się fizyczne nakładało się psychiczne zadręczanie dzieci, a niektóre z nich zmuszano – na przykład w Kruševlje w Jugosławii – do przyglądania się torturowaniu albo egzekucjom rodziców oraz karom wymierzanym przez obozowe straże[41].

Jednak w sumie zdecydowanie więcej dzieci straciło życie w rezultacie głodu i wynikających ze skrajnego niedożywienia chorób aniżeli z powodu maltretowania. I znów w najgorszym stopniu odbijało się to na najmłodszych dzieciach. Według wiarygodnej i szczegółowej relacji jednej z więźniarek z Potulic ze 110 dzieci urodzonych w tym obozie w okresie między początkiem roku 1945 a deportacją tej więźniarki w grudniu 1946 roku zaledwie 11 przeżyło do ostatniej z tych dat[42]. Dochodzenia przeprowadzone przez MKCK ustaliły, że wysoka śmiertelność niemowląt wskutek niedożywienia panowała również w obozach w Czechosłowacji, gdzie udało się przeniknąć nielicznym zachodnim dziennikarzom, takim jak Eric Gedye.

> Najbardziej wstrząsający był widok niemowląt, których było pełno w większości baraków. Jedna z kobiet siedziała z buteleczką wypełnioną mlekiem z piersi – w obozie innego mleka nie było – usiłując zwilżyć usta stworzeniu, które nazywała swoim dzieckiem.
>
> Miało dwa miesiące, a było mniejsze od zdrowego noworodka. Miało pomarszczoną, podobną do małpki twarzyczkę, ciemnobrązową skórę rozciągniętą na kościach, ramionka jak zapałki – głodujące niemowlę.
>
> Koło niej stała inna matka, trzymając skurczoną istotkę, sama skóra i kości, mniejszą od normalnego dwumiesięcznego niemowlęcia. Spojrzałem na nią z niedowierzaniem, kiedy powiedziała mi, że [jej dziecko] ma 14 miesięcy[43].

To, że Gedye opisywał bez przesady warunki w Hagiborze, obozie, do którego uzyskał dostęp w październiku 1945 roku, podając się za przedstawiciela Czerwonego Krzyża, znalazło potwierdzenie w raporcie prawdziwej delegacji MKCK, przeprowadzającej inspekcję tej placówki trzy miesiące później. Czechosłowacki komisarz, „który sprawił na nas wrażenie bardzo surowego osobnika i hipokryty”, poinformował delegację, że ciężarnym kobietom nie przysługiwało dodatkowe pożywienie. Karmiące matki, jak twierdził, dostawały po 750 ml mleka na dzień, czemu zaprzeczały same więźniarki. „Mąż zaufania”, do którego więźniarki zwróciły się z prośbą, aby porozmawiał w ich imieniu z przedstawicielami MKCK, stwierdził, że w obozie umierały średnio trzy osoby na dobę – prawie zawsze były to niemowlęta albo staruszki[44].

To samo działo się w innych obozach. Reporter gazety „Obzory”, oglądający jeden z praskich ośrodków

odosobnienia jesienią 1945 roku w towarzystwie pewnego pięciolatka, byłego więźnia hitlerowskich obozów koncentracyjnych, uznał, że „śmiertelność wzrosła zastraszająco” wśród dzieci, z powodu zupełnego braku mleka dla niemowląt oraz faktu, iż większość karmiących matek była zbyt wycieńczona, by karmić piersią noworodki[45]. W Novákach na Słowacji, gdzie strażnicy często uniemożliwiali matkom pranie bielizny niemowląt, uwięzionym, bez względu na wiek, „zmniejszano dzienne racje żywności, jeżeli z jakiejś przyczyny nie mogli pracować. W związku z tym chorująca matka posyła do pracy swoje dziecko, jeśli nawet nie ukończyło jeszcze 12 lat”. W tym okrytym ponurą sławą miejscu w lipcu 1945 roku codziennie umierało dziecko poniżej trzeciego roku życia w efekcie niedożywienia i nieodpowiednich warunków sanitarnych[46]. W obozie Petržalka I przebywało 1279 kobiet i dzieci, kiedy delegacja MKCK przeprowadzała inspekcję tej placówki w listopadzie 1945 roku; więzionych tam w tym czasie 30–50 karmiących matek teoretycznie miało otrzymywać łącznie 18 litrów mleka dla uzupełnienia wartości odżywczej codziennych posiłków, ocenianej przez obozowy personel medyczny na 430–520 kalorii.
W praktyce często nie wydawano nawet tak nędznych przydziałów. Ludzie z MKCK zauważyli w spisie zmarłych w Petržalce I „zaiste przerażającą liczbę dzieci” i to, że odzież żyjących dzieci była w „żałosnym, okropnym stanie”[47]. W obozie Hradišťko na wschód od Pragi panowało takie „niedożywienie, prowadzące do wielu zgonów”, a dowódca obozowych straży niefortunnie zdradził delegatom MKCK, że „czeskie dzieci” – prawdopodobnie raczej potomstwo mieszanych małżeństw – w tym więzieniu „otrzymują dwa razy tyle co Niemcy”, że zakłopotani urzędnicy czechosłowackiego MSW, którzy

sprowadzili tam przedstawicieli Czerwonego Krzyża, aby pochwalić się humanitarnymi warunkami w obozach dla Sudetendeutschów w krajach czeskich, niezwłocznie zwolnili komendanta ze stanowiska[48]. Jeszcze gorzej rzeczy się miały w słowackim obozie Trnavská Cesta w Bratysławie, gdzie pod koniec 1945 roku MKCK ustalił, iż wszystkie więzione tam wymizerowane niemowlęta i dzieci „cierpiały na szkaradną wysypkę skórną" i gdzie warunki były „generalnie tak rozpaczliwie, że trudno było znaleźć słowa" pociechy dla internowanych[49].

Dodatkowym powodem wysokiej śmiertelności dzieci były kłopoty, a czasem wręcz brak możliwości otoczenia chorujących dzieci opieką lekarską. Choć Tomáš Staněk zauważa, że z reguły niemieccy internowani wymagający hospitalizacji trafiali do szpitala, to jednak liczne przykłady świadczą o tym, że dzieciom nie udzielano pomocy medycznej ze względu na ich narodowość. Brytyjka uwięziona w obozie internowania Rupa w Pradze latem 1945 roku odnotowała, że nawet osobista interwencja komendanta tej placówki nie wystarczyła do przekonania personelu pobliskich szpitali, aby przyjąć chore dziecko norweskiej więźniarki, żony Niemca. Zeznała też, że nie było ani jednego dnia w trakcie jej uwięzienia, by w obozie nie zmarło jakieś dziecko, a pewnego dnia zmarło aż troje[50]. Komendant Suchdolu nad Odrą uzasadnił odmowę podjęcia jakichkolwiek środków, aby zapobiec przerażająco wysokiej śmiertelności dzieci w tym obozie, tym że więzione matki celowo doprowadzają swoje dzieci do choroby, licząc w ten sposób na uzyskanie zwolnienia. Strażnik z tegoż obozu posłużył się identycznym argumentem; tyle że, jego zdaniem, celem matek rzekomo podtruwających swe dzieci było „rozkręcenie antynarodowej, wrogiej, zagranicznej propagandy"[51].

Wielu zatrwożonych taką sytuacją okolicznych mieszkańców robiło, co w ich mocy, aby ulżyć cierpieniom więzionych dzieci Volksdeutschów. Więzień Potulic zeznał, że „dobrzy chłopi” ratowali niektóre dzieci z obozu, gdy wieziono je do Bydgoszczy, i chowali je w swoich domach. Zdarzało się, że przedstawiciele większości pokładali nadzieje w zachodnich środkach przekazu, do których apelowali, aby zmobilizowały międzynarodową opinię publiczną, a ta z kolei wywarła presję na rządy ich krajów. Jeden ze strażników z Hagiboru zwierzył się Ericowi Gedye’owi: „Sam mam dziecko. Czy ktoś nie może czegoś zrobić, przynajmniej z koszmarem, jakie te dzieci przechodzą? Czasami czuję się tak, jakbym nie mógł już tego znieść ani dnia dłużej”[52]. Ze swojej strony MKCK usiłował badać niektóre z przypadków zgłaszanych – zarówno anonimowo, jak i oficjalnie – przez zwykłych obywateli, lecz wobec nieścisłości takich informacji nierzadko nie był w stanie pomóc. Na przykład w styczniu 1946 roku praska delegatura MKCK dostała list od pewnej Czeszki z wiadomością, że więźniarki obozu dla dziewcząt w Veltrusach w pobliżu Pragi cierpiały straszliwie w wyniku zaniedbań. Grupa przedstawicieli Czerwonego Krzyża poświęciła dzień na poszukiwania w owej okolicy, ale nie natknęła się na ten obóz. Później dowiedziano się, że internowano tam około 50 młodocianych więźniarek. Wszystkie one zostały zatrzymane w dniu zwycięstwa w Pradze i przewiezione do Veltrus miesiąc później. Od tamtej pory sześć z nich zmarło z niedożywienia[53].

Wszelkie rachuby na to, że rządy lub ludność państw Zachodu podejmą interwencję, aby przyjść z pomocą choćby tylko dzieciom przetrzymywanym za kolczastymi drutami, rychło się rozwiały. Chociaż współczucie i oburzenie z powodu ich niedoli było wyrażane przez

nieliczne organizacje pozarządowe i polityków niższego szczebla – czasami, przyznać trzeba, w bardzo ostrych słowach – to zachodnia opinia publiczna generalnie nie zdradzała gotowości do odrzucenia schematu traktowania Niemców jako sprawców wojny, bez względu na wiek „Niemców", o których w danym wypadku chodziło. Mimo że zarówno kraje dokonujące wysiedleń, jak i zachodni alianci podpisali w 1926 roku międzynarodową Deklarację Praw Dziecka, głoszącą, że dzieci winny „jako pierwsze otrzymywać pomoc w okresach trudności", bez „uwzględniania rasy, narodowości i wyznania", to pozostawała ona martwą literą. Dzieciom Volksdeutschów, tak jak ich rodzicom, odmawiano, w ramach oficjalnie realizowanej polityki, pomocy udzielanej przez ponadnarodowe agencje takie jak UNRRA czy Międzynarodowa Organizacja ds. Uchodźców (IRO). W typowym zarządzeniu ze stycznia 1948 roku szef oddziału kwalifikacyjnego IRO w Austrii uznał dziewięcioro dzieci za „niespełniające warunków do udzielenia im jakiegokolwiek wsparcia z uwagi na ich niemieckie pochodzenie"[54]. Nawet Fundusz Narodów Zjednoczonych na rzecz Dzieci (UNICEF) podtrzymywał takie dyskryminacyjne stanowisko, traktując priorytetowo zasadę pomagania dzieciom „ofiar agresji" i umieszczając dzieci pochodzenia niemieckiego na końcu kolejki oczekujących[55].

W obliczu takiego nastawienia usiłowania zatroskanych tą sprawą obywateli w krajach, skąd wysiedlano Niemców oraz poza nimi, by doprowadzić do poprawy warunków bytowych więzionych dzieci, niemal zawsze kończyły się fiaskiem. Korespondent londyńskiej gazety „Daily Herald" wyraził pogląd wielu Brytyjczyków, kiedy pisał: „Wrogowie pozostają wrogami, mimo że ustały działania sił zbrojnych,

a wszystko, co czyni się dla ulżenia ich zasłużonej niedoli, jest sprzeczne z brytyjskimi interesami”[56]. Podczas debaty w Izbie Gmin w październiku 1945 roku Hector McNeil nie chciał dokonać rozróżnienia między dziećmi Volksdeutschów a ich rodzicami czy też „przyjąć sugestii, że to względnie niewinni ludzie”[57]. Naród niemiecki jako całość, oznajmił, ponosił zbiorową odpowiedzialność za występki swoich byłych przywódców politycznych. Lord Llewellin, były minister żywności w koalicyjnym rządzie Churchilla, zaprezentował podobnie nieprzejednaną postawę:

> Pamiętam, że pod koniec ostatniej wojny [I wojny światowej] występowano z apelami, mówiąc, że młodzież niemiecka cierpiała z powodu niedożywienia i krzywicy, i że powinniśmy coś uczynić dla wybawienia ich ze straszliwych warunków, w jakich musiała żyć. Boże jedyny! Przecież to ci sami młodzieńcy, którzy zostali esesmanami Hitlera 25 lat później. Tym razem nie pozwólmy sobie na taką głupotę[58].

Kolega Llewellina z partii konserwatywnej, lord Mountevans, zdecydowanie go poparł, wyrażając oburzenie z powodu nadszarpnięcia brytyjskiego prestiżu przez napływające z zagranicy humanitarne apele odnośnie do dzieci etnicznych Niemców. „Dopraszamy się w Europie, w istocie prowokujemy cały świat, żeby się z nas śmiał. […] Na co wszystkie te ckliwe sentymenty?”[59]. Na próżno Michael Foot, nowo wybrany deputowany laburzystowski, przypomniał parlamentarzystom ustęp z Ewangelii Św. Łukasza, w którym Jezus ostrzega: „Byłoby lepiej dla niego, gdyby kamień młyński zawieszono mu u szyi i wrzucono go w morze, niż żeby miał być powodem grzechu jednego z tych małych” [Łk 17,2; przekł. „Biblia Tysiąclecia”,

Poznań–Warszawa 1990]. Foot ze smutkiem zauważył, że „jeśli tej hańbie pozwoli się trwać, to w Europie zbraknie, poza innymi rzeczami, także kamieni młyńskich”[60]. Lewicowy publicysta Victor Gollancz również chciał się dowiedzieć, dlaczego McNeil, „nadzwyczaj przyzwoity i ludzki” człowiek, poczuł się zmuszony, „i to w momencie, kiedy został ministrem, wyrażać się jak nazista?”.

> W jakim wieku dziecko staje się „winne” albo „współodpowiedzialne”? Mając lat 12? Sześć? W chwili jego poczęcia? Jeszcze przed poczęciem? To, jak sądzę, dzielenie włosa na czworo: oni wszyscy są winni, powiada pan McNeil, osobiście albo „za sprawą swoich przywódców” – ponieważ „są Niemcami”.
>
> A przecież to samo, kropka w kropkę, twierdzili hitlerowcy[61].

Z kolei Přemsyl Pitter stwierdził na początku 1946 roku, że humanitarne apele pod adresem czechosłowackiego rządu, aby oszczędzić Sudetendeutschów, niczego nie dawały. Poprzedniego lata, w ramach podjętej przez władze w Pradze próbie oddalenia nieustannych skarg MKCK na temat warunków w obozach, został mianowany doradcą Komisji Socjalnej Komitetu Centralnego i miał odpowiadać zwłaszcza za stan kobiet i dzieci w obozach. Sprawując tę funkcję, odwiedził kilka obozów internowania w Pradze i okolicach, w towarzystwie przedstawiciela Federacji Młodzieży Czeskiej, gromadząc dowody popełnianych tam zabójstw, chłostania ciężarnych więźniarek, tortur oraz okradania uwięzionych z przeznaczonej dla nich żywności. Jego karierze oficjalnego inspektora wkrótce położył kres Ladislav Kopřiva, przyszły minister bezpieczeństwa państwowego, który jesienią pozbawił go wspomnianej funkcji[62]. Jednak jako znany obrońca praw człowieka

w Czechosłowacji i orędownik prześladowanych Niemców sudeckich Pitter nadal otrzymywał od współobywateli informacje o przerażających scenach, jakich byli świadkami – równocześnie, trzeba zaznaczyć, coraz częściej w listach i artykułach prasowych oskarżano go o zdradę narodu czeskiego i żądano wydalenia go do Niemiec wraz z jego młodocianymi podopiecznymi[63]. Nieoficjalnego poparcia udzielali Pitterowi niektórzy pracownicy Ministerstwa Opieki Społecznej, toczący zakulisowe zmagania ze swoimi odpowiednikami z MSW oraz z powiatowymi i okręgowymi radami narodowymi, w największym stopniu odpowiedzialnymi za codzienne administrowanie obozami. Niebawem Pitter doszedł do wniosku, że jedyną szansą na ocalenie życia dzieci Sudetendeutschów było wywiezienie ich wraz z matkami, i to możliwie najszybciej, z Czechosłowacji. Zamiast zapobiegać deportacjom, należało je przyspieszyć, przy czym najsłabsi powinni opuścić kraj w pierwszej kolejności. Nawet pobyt w jednym z obozów przejściowych w zniszczonych i znajdujących się na krawędzi głodu Niemczech zapewniał internowanym lepsze widoki na przetrwanie niż dalsza egzystencja w uwięzieniu w Czechosłowacji.

Pod wpływem zachęt ze strony Brytyjskiego Czerwonego Krzyża oraz czechosłowackiego ministra spraw zagranicznych Jana Masaryka, który wyposażył go w list polecający do MSZ, Pitter udał się w lutym 1946 roku do Londynu, aby nakłonić rządy Wielkiej Brytanii i USA do przyjęcia 10 tysięcy dzieci i matek więzionych w najgorszych obozach w centralnych Czechach. Nie jest jasne, dlaczego Masaryk poparł zakulisowymi kanałami tę misję. Być może dopadły go poniewczasie wyrzuty sumienia, po ponad półrocznym zapewnianiu MKCK, że warunki w obozach wkrótce się poprawią; jednak bardziej

prawdopodobne, że czechosłowacki minister spraw zagranicznych liczył na to, iż usunięcie tych Sudetendeutschów z kraju może stanowić precedens i przyspieszyć deportacje innych ludzi, których życie alianci uznaliby za szczególnie zagrożone.

W rzeczywistości misja Pittera była już z góry skazana na niepowodzenie. Pięć miesięcy wcześniej ministerstwa spraw zagranicznych i wewnętrznych (Foreign Office i Home Office) rozważały zapewnienie w Wielkiej Brytanii tymczasowego schronienia najbardziej bezbronnym dzieciom Niemców sudeckich, aby umożliwić im przetrwanie zimy. Ostatecznie jednak MSZ stanowczo przeciwstawiło się takiemu pomysłowi. „Uważamy, że lepiej nie zrobić nic, niż uczynić tak mało. […] Gdybyśmy wzięli pewną liczbę tych ludzi, to bylibyśmy naciskani, aby przyjąć ich więcej; nie mamy sprawiedliwych kryteriów ich wyboru; stworzylibyśmy mnóstwo niezręcznych precedensów". Nawet gdyby prawo do tymczasowego azylu ograniczono tylko do prześladowanych od dawna sudeckich niemieckojęzycznych Żydów, „nie wpłynęłoby to na zmianę naszych poglądów [w tej kwestii], gdyż jesteśmy zdania, że na tym etapie ledwie jesteśmy w stanie przychodzić z pomocą europejskim Żydom i przystosowywać ich do życia pomiędzy innymi nacjami"[64]. Nic zatem dziwnego, że Pitter – którego Brytyjczycy pomyłkowo uznali za czechosłowackiego ministra opieki społecznej – nie wskórał w Londynie więcej niż w Pradze. Warunki panujące w obozach w centralnych Czechach, jak wyjaśniał politykom w Londynie, „były skrajnie złe, a śmiertelność niemowląt dochodziła [tam] do 100 procent"[65]. Nie było możliwe „z powodów politycznych zapewnienie im pomocy w Czechosłowacji, nawet z zagranicznych źródeł"[66]. Brytyjskich ministrów takie apele nie poruszyły. John Hynd

kategorycznie odmówił przyjęcia większej liczby wysiedleńców ponad tę ustaloną w porozumieniu Alianckiej Komisji Kontroli w listopadzie 1945 roku. Czechosłowacja, jak wskazał, już dostawała wielkie ilości pomocy żywnościowej z UNRRA i nie istniał powód, aby nie przeznaczyć części tej żywności dla więzionych Sudetendeutschów. „Zamysł, ażeby wywozić ich z kraju [objętego pomocą] UNRRA do Niemiec, gdzie już pojawiły się oznaki groźby powszechnego głodu i gdzie nie zezwala się na pomoc UNRRA, wydaje się niedorzeczny”[67].
W Whitehallu kwestia niedoli dzieci Niemców sudeckich nie wydawała się tak pilna wobec faktu, że ambasador Nichols z Pragi nie odniósł się do apelu Pittera aż do początków kwietnia 1946 roku, czyli do czasu, gdy upłynęły dwa miesiące od wizyty Pittera w Londynie. Z „rozmaitych przyczyn – stwierdził – trudno Czechom wyraźnie poprawić warunki w tych obozach”. Sądził, że Brytyjczycy nie mogli i nie powinni w tej sprawie robić wiele, choć optymistycznie przewidywał, że „z nadejściem wiosny […] warunki w obozach same poprawią się do pewnego stopnia”[68].

Jednak do tego czasu nawet te dzieci, które dotychczas uniknęły zamknięcia w jednym z obozów, nierzadko znajdowały się w dramatycznej sytuacji. W szczególności konfiskaty mienia niemieckich organizacji wyznaniowych i dobroczynnych spowodowały, że dzieci z sierocińców i zakładów dla upośledzonych fizycznie i umysłowo straciły dach nad głową. Instytucje takie, niejednokrotnie zajmujące atrakcyjne rezydencje otoczone przestronnymi parkami, okazały się wyjątkowo kuszącymi nieruchomościami dla urzędników powojennych reżimów, którzy potrzebowali gmachów podkreślających ich nowo nabyty status.
W polskim Kłodzku, jak zauważyli brytyjscy dyplomaci, „dwaj członkowie PPR-u zjawili się z dokumentem, na mocy

którego przejęli w osobiste posiadanie dom dziecka”[69]. Do kwietnia 1946 roku warunki bytowe pensjonariuszy niemieckich sierocińców na Ziemiach Odzyskanych stały się, jak stwierdzili nadzorujący wysiedlenia brytyjscy oficerowie w rozmowie z wojewodą dolnośląskim, „rozpaczliwe”[70].

Nawet te niemieckie dzieci, którym poszczęściło się na tyle, że miały gdzie mieszkać, na ogół nie mogły uczęszczać do szkół zarówno w Polsce, jak i w Czechosłowacji. Czechosłowacki rząd nakazał w czerwcu 1945 roku zamknięcie wszystkich placówek szkolnych z niemieckim językiem wykładowym[71]. Przepisy wydane nieco później przez ministra szkolnictwa głosiły, że uczniowie uczęszczający do takich placówek w czasie wojny powinni być przyjmowani do czeskich szkół tylko w „wyjątkowych przypadkach, dotyczących wyłącznie dzieci narodowości czeskiej mogące wykazać, że chodziły do niemieckich szkół zmuszane przez Niemców. […] Do podań […] należy dołączyć zaświadczenie wydane przez powiatowe rady narodowe, potwierdzające narodowość ucznia i jego rodziców”[72]. Podobne przepisy obowiązywały w Polsce – gdzie mimo wszystko przez pewien czas działało nieco „podziemnych” szkółek, zazwyczaj pod protekcją radziecką – oraz w Jugosławii[73].

Na dłuższą metę jedyną nadzieją dla tych dzieci, jak słusznie stwierdził Přemysl Pitter, był możliwie najszybszy wyjazd do Niemiec. Znacznej ich liczbie wszakże – obecnie niemożliwej do określenia – nigdy nie pozwolono wyjechać. Dotyczyło to niektórych sierot albo potomstwa mieszanych małżeństw; zdarzało się również, że te o bardziej „słowiańskim” rodowodzie po prostu odbierano rodzicom w obozach, aby uzupełnić w taki sposób wojenne straty demograficzne oraz skutki samych deportacji.

Problem „półniemieckich” dzieci jątrzył się we wszystkich krajach przeprowadzających wysiedlenia. Przed wojną małżeństwa niemiecko-słowiańskie były zjawiskiem dosyć rozpowszechnionym. Benjamin Frommer ocenia, że w samej tylko Czechosłowacji w 1945 roku żyło co najmniej 90 tysięcy mieszanych małżeństw oraz 150 tysięcy ich dzieci[74]. I choć większość takich małżeństw została zawarta jeszcze przed wybuchem wojny, to liczba podobnych związków w latach światowego konfliktu powoli rosła: w pierwszym roku wojny w co piątym małżeństwie zawieranym przez Sudetendeutschów jedno z partnerów było pochodzenia czeskiego. Ostrzejsze kryteria rasowe wprowadzone w 1941 roku, zgodnie z którymi od Czecha czy Czeszki chcących poślubić Niemkę czy Niemca władze wymagały między innymi przedłożenia własnej fotografii nago, sprawiły, że liczba takich małżeństw spadła; inną przyczyną był fakt, iż w latach okupacji wielu Czechosłowaków uważało mieszane małżeństwa, szczególnie jeśli chodziło o Czeszki wychodzące za Volksdeutschów, za formę „codziennej kolaboracji” z wrogiem. W Polsce w okresie przedwojennym liczba kościelnych mieszanych małżeństw, zwłaszcza w katolickich powiatach na Górnym Śląsku, mogła być jeszcze większa, chociaż zawieranie formalnych związków między Niemkami czy też Volksdeutschami a Polakami lub Polkami stało się w praktyce wykluczone po kampanii wrześniowej roku 1939, a w 1943 roku nielegalne. Pod rządami nazistów polskich współmałżonków z zawartych przed wojną małżeństw mieszanych najczęściej zaliczano do którejś kategorii na Volkslistach. Jeśli nieniemiecki partner nie poddawał się takiej germanizacji albo też nie spełniał określonych kryteriów rasowych, takie małżeństwo zwyczajowo rozwiązywano, a opiekę nad dziećmi

powierzano niemieckiemu rodzicowi. W obydwu okupowanych krajach – choć zdarzały się wyjątki od reguły – dzieci z mieszanych związków małżeńskich na ogół uznawano za Niemców w świetle nazistowskich przepisów narodowościowych[75]. Jednak, jak zauważa Tara Zahra, praktyczną wartość takiej dość nieelastycznej kwalifikacji nierzadko osłabiał fakt „dwujęzyczności rodzin, nieokreślonego poczucia przynależności narodowej lub całkowitej obojętności wobec tej kwestii". Jako przykład niech świadczy to, że w Przerówie (Přerov) we wschodnich Morawach w miejscowym oddziale Hitlerjugend „80 procent członków mówiło po czesku, a dowódca z konieczności musiał wydawać komendy w tym języku. Oddział Hitlerjugend z [fabryki] Baty także składał się głównie z dzieci mieszanych małżeństw, mówiących tylko po czesku"[76].

Po wojnie prawny status „hybrydowych" dzieci okazał się szczególnie złożony. Przedwojenne przepisy o narodowości nie miały większego praktycznego zastosowania, gdyż odmiennie traktowały dzieci ślubne i te z nieprawego łoża, różnicowały płeć „niemieckiego" rodzica oraz datę narodzin – przed rozpoczęciem nazistowskiej okupacji lub w jej trakcie. W kilku krajach wprowadzone *ex post facto* prawa zatwierdzały zbiorową deportację dzieci „skażonych" niemiecką krwią. Na przykład na podstawie ogłoszonych w Norwegii zaraz po wojnie ustaw Norweżki, które wyszły za mąż za Niemców po 9 kwietnia 1940 roku, czyli dacie inwazji Wehrmachtu na Skandynawię, formalnie pozbawiono obywatelstwa (znamienne, że we wspomnianym przepisie nie wspomniano o Norwegach, którzy poślubili Niemki). Znaczny odsetek tych kobiet, wraz z ich urodzonymi w Norwegii dziećmi, internowano w obozach, a potem wydalono do Niemiec; formalnie

przepis ten zniesiono dopiero w 1989 roku. Z kolei podobne prawo w Danii w praktyce nie weszło w życie, choć rozlegały się hałaśliwe nawoływania, na przykład w podziemnej gazecie „De Frie Danskere”, do przymusowego przesiedlenia „smoczego pomiotu”, jak określano dzieci z mieszanych małżeństw, do Niemiec po wojnie[77]. Zupełnie inny charakter, przynajmniej w teorii, miał węgierski dekret o wysiedleniach z grudnia 1945 roku oraz zarządzenia rządu jugosłowiańskiego wydane pół roku wcześniej: zwalniały one od przymusowego opuszczenia kraju wszystkie dzieci mieszanych małżeństw, a także ich niemieckojęzycznych rodziców – choć, jak się niebawem przekonamy, praktyka znacznie odbiegała od tej zasady[78].

Najczęściej jednak państwa dokonujące wysiedleń potraktowały dzieci z mieszanych małżeństw tak samo jak wcześniej, w latach okupacji, Niemcy: te, które miały „słowiańską krew”, winny przejść stosowną reedukację i zostać odzyskane dla narodu. Niekiedy nie różniło się to zbytnio od prób powielania nazistowskiej polityki rasowej i osadniczej. I tak Polski Czerwony Krzyż we Wrocławiu powiadomił Ministerstwo Ziem Odzyskanych w czerwcu 1946 roku, że władze nazistowskie podczas wojny przekazywały potomstwo wielu mieszanych małżeństw niemieckim rodzinom z zadaniem zgermanizowania tych dzieci. Często prawie nie mówiły one po polsku i nie zdawały sobie sprawy z częściowo polskiego pochodzenia, zawisło więc nad nimi poważne niebezpieczeństwo wywózki do Niemiec wraz z ich niemieckimi przybranymi rodzicami – na szkodę demograficznej przyszłości Polski. PCK nakłaniał, aby temu zapobiegać, a w szczególności zalecał skrupulatne przeglądanie świadectw urodzenia przez organy repatriacyjne[79].

Wielu przedstawicieli władz czechosłowackich i polskich utrzymywało, że analogiczna zasada powinna odnosić się do potomstwa mieszanych małżeństw pozostającego pod opieką swoich rodziców. Najmniej komplikacji wynikało wówczas, gdy niemiecki rodzic – zwłaszcza ojciec – zginął bądź zaginął. Urząd pełnomocnika rządu na Dolnym Śląsku zgłosił w lutym 1946 roku przypadek pewnej Polki, której niemiecki mąż przepadł bez wieści. W świetle obowiązujących przepisów o narodowości takim kobietom nie przysługiwało polskie obywatelstwo. Jednocześnie deportacja oznaczała, że ich dzieci zostałyby „zgermanizowane i na zawsze stracone dla polskości”[80]. Podobne zażalenia napływały do władz z różnych stron w Czechosłowacji. Wydany przez Edvarda Beneša dekret nr 33, który w sierpniu 1945 roku pozbawił „obywateli państwa czechosłowackiego pochodzenia niemieckiego lub węgierskiego” ich praw, zawierał instrukcję dla powiatowych rad narodowych, nakazującą „uważne” analizowanie podań niemieckich żon czechosłowackich mężów oraz ich dzieci. „Takich petentów należy uważać za obywateli czechosłowackich do czasu rozpatrzenia składanych przez nich wniosków”[81]. Jak zauważa Benjamin Frommer, zwracając uwagę na dyskryminacyjny, w odniesieniu do płci wnioskodawców, charakter tego zastrzeżenia, „władze i opinia publiczna najwyraźniej uważały Niemki za dużo mniej zagrażające państwu aniżeli ich mężowie”[82]. Z takim względnie liberalnym nastawieniem sprzeczne były jednak inne przepisy, które określały śluby zawierane z niemieckimi współmałżonkami po utworzeniu Protektoratu Czech i Moraw (lub też, w zaostrzonej wersji, po ogłoszeniu przez Czechosłowację mobilizacji 21 maja 1938 roku) za podlegający karze akt kolaboracji. Na mocy tak zwanego małego dekretu z 27

października 1945 roku towarzyskie lub płciowe stosunki z Sudetendeutschami, małżeńskie bądź pozamałżeńskie, były na ogół traktowane jako „niestosowne […] i stanowiące obrazę uczuć narodowych Czechów lub Słowaków”, podlegając karze do roku więzienia i wysokiej grzywnie. Jak już się przekonaliśmy, rządowe zalecenie „rozważnego” rozpatrywania spraw Niemek i ich dzieci nie przeszkodziło radom narodowym zsyłać dziesiątki tysięcy niemieckich matek z dziećmi do obozów, skąd ostatecznie zostały deportowane.

O ile apele o łagodniejsze traktowanie Niemek z Kraju Sudeckiego nie robiły większego wrażenia, o tyle nieszczęścia czechosłowackich żon i dzieci tamtejszych Niemców z czasem zaczęły budzić pewne współczucie. Doniesienia o zamykaniu ich w brudnych obozach, w których panowała przemoc, gdzie były zmuszane do noszenia opasek identyfikujących je jako Niemki oraz wydawano im głodowe „niemieckie racje” żywności, poruszały stopniowo coraz więcej czechosłowackich sumień. Na przykład w gazecie „Nová Doba” ukazał się latem 1946 roku cykl artykułów poświęconych niedoli etnicznych Czeszek, które zostały „potępione przez Czechów i Republikę Czeską za wybór niemieckich partnerów w czasie, kiedy nie było to zdradą”. Jak zapytywał retorycznie pewien rozgoryczony Czech: „Mamy teraz porzucić nasze niemieckie kobiety i pluć na nasze dzieci?”[83]. Krewni i przyjaciele prześladowanych postarali się o to, aby takie paradoksy nie uszły uwagi polityków i opinii publicznej. Dziennikarze pisali szczególnie dużo o często widywanych transportach wywożonych mówiących wyłącznie po czesku dzieci, wraz z ich czechosłowackimi matkami i niemieckimi ojcami, do jedynego kraju, który w przyszłości mógł zagrozić

Czechosłowacji. W „Obzorach” przekonywano, że taka nieludzka i krótkowzroczna polityka pozostawi rozgoryczenie, z jakim następne pokolenie Czechosłowaków będzie musiało sobie radzić. „W interesie republiki jest zatrzymanie tych dzieci w kraju i w łonie narodu, skoro są – choćby w połowie – czeskimi dziećmi, które wyrzucone z ziemi, gdzie się urodzili, znienawidzą z całą mocą to, jak potraktowano ich matki!”[84]. Odwołując się jeszcze bardziej bezpośrednio do racji stanu, minister spraw wewnętrznych ostrzegał w następnym roku: „Wiele setek dzieci niepotrzebnie, bezmyślnie lub złośliwie wydajemy na pewną germanizację, a tym samym zasilamy szeregi największych wrogów czeskiego narodu – gdyż dzieci te wyrosną na niemieckich janczarów. Zubażając nasz naród, zasilamy obcy, nieprzyjazny nam kraj”[85].

A jednak władze w Pradze miały się przekonać, że nawet kiedy w grę wchodziły dzieci, proces wysiedlania miał własny impet i łatwiej było go rozpocząć, aniżeli powściągnąć. Trzydziestego pierwszego grudnia 1945 roku, gdy miały się zacząć usankcjonowane przez aliantów masowe deportacje, minister spraw zewnętrznych wydał rozporządzenie, zgodnie z którym nie tylko niemieckie żony czechosłowackich obywateli, lecz także niemieccy mężowie Czeszek byli zwolnieni z obowiązku opuszczenia kraju, pod warunkiem że wzięli ślub kościelny przed 21 maja 1938 roku[86]. Ale skłonienie lokalnych organów władzy do honorowania takiego przepisu okazało się dużo trudniejsze. Sześć miesięcy później MSW uskarżało się, że wbrew wydanym instrukcjom wywieziono koleją setki czeskich dzieci i ich czeskich matek do południowych Niemiec. „Czeski język słychać było w całym transporcie – jak gdyby wywożono Czechów, a nie Niemców – gdyż w transporcie tym przeważały mieszane małżeństwa, Czeszki

z niemieckimi mężami”. O podobnych wywózkach donoszono jeszcze we wrześniu następnego roku, gdy czechosłowacka faza masowych wysiedleń dobiegała już końca[87]. Frommer sugeruje, że to względy materialne, a nie ideologiczne przyczyniały się do niesubordynacji rad narodowych w tej mierze. Wyłączenie mieszanych małżeństw z deportacji oznaczało bowiem zmarnowanie okazji do zawładnięcia ich mieniem. Pomimo cokolwiek abstrakcyjnych trosk o demograficzną przyszłość narodu przedstawiciele nielicznych tylko lokalnych władz byli w stanie zdobyć się na wyrzeczenia, z jakimi wiązało się realizowanie oficjalnej polityki.

Bardziej bezwzględna metoda rozwiązywania trudności stwarzanych przez mieszane w sensie etnicznym rodziny polegała na usuwaniu tych ich członków, którzy stanowili przyczynę problemu. Podczas okupacji naziści wywierali silną presję na nieżydowskich Czechów i Czeszki, żonatych i zamężne z Żydówkami i Żydami, aby się rozwodzili, a tym samym unikali wielu dyskryminujących przepisów, jakim podlegały rodziny „niearyjskie”. Po zakończeniu wojny rady narodowe postępowały analogicznie, tyle tylko, że nakłaniając słowiańskich partnerów w mieszanych związkach, by porzucić współmałżonków – i odzyskać dzięki temu prawo do normalnych przydziałów żywności, uczestnictwa w publicznych imprezach, względnie swobodnego podróżowania i poruszania się poza domem po godzinie policyjnej. Zachęty te czasem odnosiły skutek, a uczony i prawnik Josef Frydruch zjadliwie zauważył w 1945 roku, że plaga rozwodów czechosłowackich „Aryjczyków” z Żydami i Żydówkami w czasie wojny „powtarza się teraz w postaci […] spraw rozwodowych wnoszonych przez współmałżonków, z których jedno jest Czechem, a drugie obywatelem niemieckim”[88]. Nie

wszyscy jednak nie ulegali tak łatwo, choć zapewne tylko nieliczni wykazali się takim samozaparciem jak pewien Czech z Szumperku (Šumperk). Udawał on wysiedleńca, aby dostać się do obozu i nie rozstawać się ze swoją niemiecką małżonką[89]. Dla zachęty w rozwiązywaniu mieszanych małżeństw znowelizowane po wojnie polskie prawo cywilne od razu po zakończeniu działań zbrojnych ułatwiło uzyskanie rozwodu, jeśli jedno z małżonków „zadeklarowało przynależność do narodu niemieckiego" lub zostało wyznaczone do wywózki, aczkolwiek wpływy katolicyzmu w kraju utrudniły władzom rozwiązywanie mieszanych etnicznie małżeństw w ramach rozwiązywania problemu niemieckiego[90].

O ile liczne przeszkody utrudniały odseparowywanie rodziców od ich dzieci, o tyle rządzącym w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech i w Jugosławii znacznie łatwiej szło oddzielanie dzieci od rodziców, co zresztą czynili wcześniej, podczas wojny, także Niemcy. Jak ilustruje przytoczona historia Emmy Dudy i jej córek, odbieranie dzieci Volksdeutschom rozpoczęło się od razu po wycofaniu się wojsk niemieckich. Czasem, tak jak w przypadku Dudy, dzieci zabierano w chwili aresztowania ich rodziców. Kiedy indziej przygotowania do przymusowej deportacji prowadziły do porzucania dzieci przez wysiedlanych rodziców. Kardynał József Mindszenty uskarżał się w pozostawionym bez odpowiedzi liście do węgierskiego premiera, że lokalne komisje od przesiedleń bezprawnie aresztowały i wysyłały do Niemiec oboje partnerów z mieszanych małżeństw, zatrzymując „dzieci, za którymi nikt nie ośmiela się wstawić, ze strachu przed konsekwencjami politycznymi"[91].

Częściej, zwłaszcza w Polsce, pracownicy opieki społecznej od czasu do czasu zaglądali do obozów

internowania, co umożliwiało im dość swobodne wybieranie najbardziej odpowiednich dzieci – w sytuacjach, które nieraz musiały przywodzić na myśl handel niewolnikami w starożytnym Rzymie. Zazwyczaj wyselekcjonowane dzieci były od razu zabierane, bez szansy pożegnania się z rodzicami. W obozie w Potulicach latem 1945 roku pierwszą partię dzieci „wywieziono tak pospiesznie, że matki nie zdążyły nawet doczepić na ubrankach dzieci tabliczek z nazwiskami. Wiele z tych maluchów jeszcze nie wiedziało, jak się nazywa”[92]. Martha Kent, amerykańska neuropsycholog, która jako siedmiolatka znalazła się w dziecięcych barakach więziennych w Potulicach (jej autobiografia, pozycja klasyczna literatury wysiedleńczej, niestety nie doczekała się jeszcze publikacji w języku angielskim [i polskim]), opisała, jaką presję wywierano na starsze dzieci – i pod którą jej siostra, również internowana – niemal się ugięła, aby „wybrały” pozostanie w Polsce po deportacji rodziców; za zachętę posłużyć miały lepsze jedzenie i lepsze warunki życiowe[93].

W konsekwencji po podjęciu „zorganizowanych wysiedleń” w 1946 roku władze alianckie zostały zasypane błagalnymi prośbami o interwencję, kierowanymi przez przybywających do Niemiec zrozpaczonych rodziców, którym odebrano dzieci w obozach. Frau Bauer z Łodzi, internowanej od kwietnia 1945 roku, odebrano w listopadzie tego roku czteroletniego syna Gerda; kierownictwo obozu poinformowało ją, że „jej dziecko pozostanie w Łodzi i zostanie wychowane na Polaka”. Sześć tygodni później wywieziono ją do brytyjskiej strefy w okupowanych Niemczech i nie miała żadnych wiadomości o dziecku aż do czasu, kiedy władze zajęły się tą sprawą we wrześniu 1946 roku[94]. Dwudziestotrzyletnią Lydię Hauk, internowaną w Jaworznie, zmuszono do rozstania się

w maju 1946 roku z młodszym bratem Robertem, a polscy milicjanci zapewniali ją, że skoro „jej brat ma dopiero 13 lat, to na pewno wyrośnie na dobrego Polaka”. Josefa Arndt także została uwięziona wraz z mężem i ich pięciorgiem dzieci w Jaworznie, gdzie krakowska milicja odebrała jej najmłodszą trójkę – w wieku 14, 9 i 8 lat – przeznaczoną do adopcji. Ida Hartmann z Matzhausen oraz jej dwaj synowie, szesnasto- i dziewięcioletni, znaleźli się w areszcie pod koniec wojny; wywieziono ich na roboty przymusowe do szczególnie ciężkiego obozu w Sikawie koło Łodzi; 6 lutego 1946 roku polscy żołnierze zabrali dziewięciolatka, a matkę ze starszym dzieckiem deportowano do Niemiec. To samo przydarzyło się Magdalenie Martin, innej więźniarce z Sikawy, która straciła w ten sposób dwójkę młodszych z czworga swych dzieci, dwunastoletniego chłopca i dziewięcioletnią dziewczynkę. Lisbeth Fladdę ze Szczytna (Ortlesburg) w Prusach Wschodnich przetrzymywano wraz z matką, piętnastoletnią córką i jedenastoletnim synem w różnych obozach i zaimprowizowanych więzieniach. Matka podczas uwięzienia zmarła z głodu. Syn Fladdy znalazł się po tym, jak ją samą deportowano, w więzieniu w Skierniewicach, a następnie został oddany pewnej Polce ze Strzybogi pod Skierniewicami[95]. Wieści o podobnych wypadkach docierały też z Czechosłowacji. Na przykład pewien Sudetendeutsch, jeniec wojenny w niewoli brytyjskiej, szukał pomocy u MKCK po tym, jak się dowiedział, że jego dzieci, jedno w wieku dwóch lat, a drugie półroczne, czechosłowacka policja odebrała jego żonie, uwięzionej w zaimprowizowanym obozie w Pradze, proponując umieszczenie ich w jednym z domów w Ujściu nad Łabą, „aby móc wychować je na Czechosłowaków i wcielić je do cz.[echosłowackiego] narodu”[96].

Do lata 1946 roku brytyjskie władze okupacyjne stwierdziły, że z całą pewnością trwało skrywane „przymusowe rekrutowanie siły roboczej na przyszłość za sprawą przeobrażania młodych Niemców w «dobrych Polaków». Wydaje się, że dotyczy to głównie osób w wieku od ośmiu do 15 lat”[97]. Polskim władzom zależało także na jeszcze młodszych dzieciach, również tych spoza obozów. Max Runge, urzędnik, któremu amerykański komendant wojskowy miasta Aš (Asch) zlecił dopilnowanie oddania rodzicom 54 niemowląt i maluchów – dzieci Sudetendeutschów, wcześniej ewakuowanych z domów w Kłodzku (Glatz), aby nie znalazły się tam w wirze walk w ostatnich dniach wojny, ustalił, że miasto zostało zajęte przez Polaków, a rodziców tych dzieci już stamtąd wypędzono. Szefowa Polskiego Związku Zachodniego nie pozwoliła mu na zabranie młodych podopiecznych do Niemiec i przekazanie ich rodzinom. „Zamierzała odesłać do Rzeszy [*sic*!] tylko te dzieci, których rodzice stawiliby się [osobiście w Kłodzku], a z pozostałych uczynić polskich obywateli. A ponieważ jej dążenia do zatrudnienia w tym celu polskich zakonnic i innych polskich opiekunek skończyły się niepowodzeniem (brak pieniędzy, za mało żywności), stwierdziła, że gotowa jest oddać te dzieci polskim rodzinom”[98].

Spory wokół narodowości dzieci i prawa opieki nad nimi miały się ciągnąć i w przyszłych latach stanowić jedno ze źródeł konfliktów między państwami, skąd wysiedlano Niemców, a zachodnimi aliantami. Niektóre z matek „nieustannie usiłowały przedostać się do polskiej strefy okupacyjnej [tj. na Ziemie Odzyskane], aby zabrać stamtąd swoje dzieci”[99]. I choć próby takie prawie zawsze kończyły się fiaskiem, nierozwiązana kwestia „skradzionych dzieci” była przeszkodą na drodze do normalizacji

stosunków między Wschodem a Zachodem. Dochodziło też do żenujących przepychanek w rezultacie niezaplanowanej separacji rodziców i dzieci w czasie deportacji. Zgodnie z prawem obowiązującym w Czechosłowacji dzieci „niczyje”, pozbawione rodziców, podlegały adoptowaniu przez przybrane rodziny po upływie roku. Często działo się tak, że etnicznych Niemców zapędzano do obozów i przetrzymywano tam w odosobnieniu albo też wysiedleńcom dawano kwadrans na opuszczenie siedzib, a dochodziło do tego w czasie, kiedy dzieci znajdowały się poza domem. W chwili, gdy uwięzieni Niemcy odzyskiwali wolność i docierali do swoich dzieci, wiele z nich mieszkało już z czechosłowackimi rodzinami i przywiązało się do przybranych rodziców, którzy nie chcieli się z nimi rozstawać. Stanowiło to podłoże ostrych konfliktów między rządami zainteresowanych krajów[100].

Po obu stronach żelaznej kurtyny najbliższa przyszłość tych dzieci nie malowała się zbyt różowo. Bez względu na to, czy mogły pozostać w ojczystych stronach z rodzicami, czy też trafiały na wychowanie do rodzin należących do etnicznych grup większościowych, niemieckie dzieci zmuszano bezwzględnie do wymazania z pamięci wszelkich śladów swej byłej tożsamości. Nosząc piętno „winy”, a także karane za jakiekolwiek przejawianie swojej niemieckości, choćby w języku, akcencie czy nawet w nazwisku, nauczyły się w okresie dorastania traktować niemieckie pochodzenie jak mroczny, wstydliwy sekret. W powojennej Polsce noszenie brzmiącego z niemiecka nazwiska stanowiło rodzaj przeszkody czy też ułomności. „Na przykład Helmut zostawał Kazimierzem, a Hilda – Haliną. Czasami […] zmieniali również nazwiska. Polonizacja wkraczała w najbardziej intymne zakątki tożsamości”[101]. Dla owego pokolenia skrytość stawała się

życiowym nawykiem, a aktywność społeczna czymś stosunkowo rzadkim. Utrzymało się to do dziś, a Karl Cordell i Stefan Wolff zauważają, że nawet młodsza generacja Niemców w Republice Czeskiej „nie zapisuje swoich dzieci do szkół jako Niemców i nieczęsto przyznaje się do niemieckiej kultury i niemieckich tradycji, częściowo ze strachu przed nieprzychylnymi reakcjami i złymi konsekwencjami". W Polsce, gdzie pozostała na miejscu niemiecka społeczność jest liczniejsza i lepiej zorganizowana, „niezwykle rzadko napotyka się członka niemieckiej społeczności urodzonego przed rokiem 1980, który ukończyłby studia uniwersyteckie"[102].

Równie traumatyczne były przeżycia dzieci wysiedleńców, które docierały do powojennych Niemiec czy Austrii same, bez rodziców. Irlandzka dziennikarka Dorothy Macardle donosiła, że przechodziły udręki „nie do opisania" oraz że „panoszyły się wśród nich wszelkiego rodzaju choroby. […] Potrzebowały dobrego pożywienia, ale bardzo rzadko dostawały coś poza kleikiem i owsianką"[103]. Podobnie Aleta Brownlee, kierowniczka austriackiego oddziału opieki nad dziećmi w Międzynarodowej Organizacji ds. Uchodźców (IRO), ustaliła, że odłączone od rodziców i osierocone dzieci z Jugosławii, które widywała, opowiadały niemal zawsze mniej więcej te same historie:

> Zostały internowane w obozach Volksdeutschów [*sic*!] pod zarządem jugosłowiańskich władz; ich ojcowie służyli w wojsku niemieckim i jeśli jeszcze żyli, to przebywali w jugosłowiańskiej albo rosyjskiej niewoli. Kobiety i dzieci trafiły do obozów; kobiety pracowały, póki mogły; kiedy chorowały albo były zbyt stare, żeby pracować, powoli ginęły z głodu. Czasami [obcy] ludzie pomagali dzieciom; straże najwyraźniej nie

> przejmowały się zbytnio ucieczkami; [dzieci] przeciskały się przez ogrodzenia i wyruszały w daleką tułaczkę, najczęściej przez Węgry, do Austrii[104].

Skrępowana przepisami IRO, Brownlee niewiele mogła zrobić dla tych młodych uchodźców poza częstym wyrażaniem narastającej frustracji. Wreszcie, we wrześniu 1948 roku, straciła resztki cierpliwości i na własną odpowiedzialność wydała polecenie swoim podwładnym, aby „piętno Kaina", jakim naznaczano Volksdeutschów, nie odnosiło się więcej do przybywających do Austrii dzieci niemieckiego pochodzenia. Poinstruowała, żeby w przyszłości wpisywano im w dokumentach „kraj pochodzenia albo domniemane obywatelstwo lub, w razie wątpliwości, nieustaloną narodowość"[105].

W samych Niemczech zostały przyjęte różnorakie doraźne rozwiązania problemów osieroconych bądź odłączonych od rodziców dzieci wysiedleńców. Pułkownik Wilfred Byford-Jones z brytyjskiej misji wojskowej przebywał akurat w Berlinie, kiedy radzieckie władze okupacyjne urządziły „pokaz zaginionych dzieci", na którym „ludzie mogli oglądać te uznane za sieroty i brać je do adopcji. Zjawiło się o wiele więcej osób, aniżeli się spodziewano, a po kilku godzinach jakiś spryciarz spośród organizatorów wywiesił przed budynkiem, w którym odbywała się ta impreza, tabliczkę z napisem *Ausverkauft* (Wyprzedane)"[106]. W całych Niemczech znajdowało się jednak tak wiele zabłąkanych dzieci, że przedsięwzięcia takiego rodzaju prawie nic nie zmieniały. W latach tuż po wojnie zachodnie i radziecka strefy okupacyjne przypominały gigantyczny kocioł, w którym rozłączeni rodzice i zagubione dzieci usiłowały odszukać się nawzajem. Jak donosił ksiądz Swanstrom:

> Poszukiwania prowadzone za pomocą afiszy, ogłoszeń i wielu tysięcy informacji radiowych nadały ton tragedii codziennego życia w Niemczech. Emitowane są specjalne programy radiowe dla tych dzieci, które wiedzą, jak się nazywają, i znają dawne adresy swoich rodziców. Są także specjalne audycje dla rodziców, którzy nadal uważają, że ich dzieci, zaginione w czasie deportacji, można odnaleźć gdzieś w Niemczech lub w sąsiednich krajach.
>
> Dzień po dniu słyszy się te jakże poruszające komunikaty rodziców wciąż liczących na odszukanie swoich dzieci po upływie trzech albo czterech lat od chwili rozłąki[107].

Nawet dla tych dzieci sytuacja nie zawsze była beznadziejna. Zdumiewająco sprawna służba poszukiwawcza Czerwonego Krzyża, z bazą w Hamburgu, doprowadzała do odnajdywania się rodziców i ich dzieci jeszcze w latach pięćdziesiątych. Poza tym większość dzieci przesiedleńców, których rodzinom nie stało się nic złego, okazała się bardziej odporna na przeciwności losu, niż przewidywali to nawet najwięksi optymiści. Obawy, że wśród „pokolenia wysiedleńców” rozprzestrzeni się plaga przestępczości, rozwiązłości obyczajowej czy niechęci do nauki, nie znalazły potwierdzenia w rzeczywistości. To, czy owi młodzi ludzie mieli się zadomowić w nowym otoczeniu lub też, wkroczywszy w wiek dorosły, skłonni byli szukać odwetu za skrajnie trudne dzieciństwo i zażądać zwrotu ziem, z których pochodzili, pozostało otwartą kwestią na znacznie dłużej. Od odpowiedzi na to pytanie zależał los obu państw niemieckich, a także przyszły pokój w całej Europie.

Przypisy

[1] W.L. Montandon, „Visite et revitaillement d'une internée allemande au camp de rassamblement de MODŘANY près Prague", 1 V 1946, G 97/IV, zbiór 1161, CICR.

[2] E.E. Swanstrom, *Pilgrims of the Night*…, s. 48.

[3] *Ibid*., s. 50.

[4] Zeznanie Anneliese Gerbing, pielęgniarki z obozu przejściowego Szczecin-Gumieńce, bez daty [ok. IV 1946], FO 1052/474.

[5] I. Heinemann, *„Until the Last Drop of Good Blood": The Kidnapping of „Racially Valuable" Children and Nazi Racial Policy in Occupied Eastern Europe*, w: A.D. Moses (red.), *Genocide and Settler Society: Frontier Violence and Stolen Indigenous Children in Australian History*, Berghahn Books, Oxford 2004, s. 246–255.

[6] I. Heinemann, *Rasse, Siedlung, deutsches Blut: Das Rasse- und Siedlungshauptamt der SS und die rassenpolitische Neuordnung Europas*, Wallstein, Göttingen 2003; R. Hrabar, Z. Tokarz, J.E. Wilczur (red.), *Kinder im Krieg – Krieg gegen Kinder: Die Geschichte der polnischen Kinder, 1939–1945*, Rowohlt, Reinbek bei Hamburg 1981.

[7] N. Davies, R. Moorehouse, *Mikrokosmos*…, s. 438.

[8] I. Heinemann, *„Until the Last Drop of Good Blood"*…, s. 250–255.

[9] T. Zahra, *Kidnapped Souls*…, Cornell University Press,Ithaca, NY 2008, s. 113.

[10] N. Wingfield, *Flag Wars and Stone Saints: How the Bohemian Lands Became Czech*, Harvard University Press, Cambridge, MA 2007, s. 161.

[11] *Ibid*., s. 131.

[12] Por. C. Bryant, *Either German or Czech*…, s. 683–706.

[13] Por. P. Hauser, *The German Minority in Poland in the Years 1918–1939: Reflections on the State of Research and Interpretation: Proposals for Further Research*, „Polish Western Affairs” 1991, 32/2, s. 13–38.
[14] G. Jérome, *Les milices d’autoprotection de la communauté allemande*…, s. 57.
[15] Cotygodniowy biuletyn informacyjny ambasady brytyjskiej, 4–10 I 1946, FO 371/56003.
[16] Niedatowane memorandum J.W. Taylora, chargé d’affaires ambasady brytyjskiej w Pradze, „Food Rations in Bohemia, Moravia and Silesia for 1 Person for 4 Week’s [*sic*!] Period (20.8 to 16.9.1945)”, ok. 3 IX 1945, FO 371/47093.
[17] Komendant komisariatu Szczecin-Stołczyn do prezydenta Szczecina, 18 XII 1945, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 424.
[18] T. Staněk, *Tábory v Českych zemích 1945–1948*…, s. 60.
[19] V. Geiger, *Josip Broz Tito i sudbina*…, s. 57.
[20] T. Staněk, A. v. Arburg, *Organizované divoké odsuny?*…, č. 3, s. 338.
[21] Niewydane wspomnienia Pittera, cyt. za: T. Pasák, *Přemysl Pitters Protest: Eine Unbekannte Stimme Gegen die Greuel in den Internierungslagern 1945*, „Bohemia” 1994, 35, s. 94–95. We wspomnianym artykule nazwisko Vogl występuje błędnie jako „Vogel”.
[22] G. Dunand do V. Noska, 5 VII 1945, G 97/IV, zbiór 1160, CICR.
[23] T. Staněk, *Tábory v Českych zemích*…, s. 90.
[24] S. Gabzdilová, M. Olejnik, *Proces internácie Nemeckého obyvatel’stva*…, s. 434.
[25] Nichols do Bevina, 19 X 1945, FO 371/46814.

[26] Okólnik G. Dunanda do organizacji pomocy humanitarnej z siedzibą w Genewie, 28 V 1946, G 97/IV, zbiór 1155, CICR.

[27] Okólnik nr 45 wydziału więzień i obozów w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego (MBP), 15 IV 1945, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neißen*…, t. I, s. 148; A. Dziurok, *Obóz pracy w Świętochłowicach*…, s. 24–26.

[28] Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej do MZO, dokument opatrzony datą „czerwiec 1947 roku", w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. I, s. 339.

[29] Nota dla ministra administracji publicznej na temat międzyministerialnej komisji ds. obozów pracy dla folksdojczów, 31 I 1949, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. I, s. 393; raport komisji przeprowadzającej inspekcje w obozach dla Niemców w Potulicach, Lesznie i Jaworznie, 16 VII 1949, *ibid*., s. 405.

[30] T. Staněk, *Tábory v Českych zemích*…, s. 60.

[31] Rejestr internowanych w obozie zbiorczym w Mirošovie, 13 IX 1945 (Koncentrační tábor Mirošov), kat. 534, zbiór 1, teczka 18, SOA Plzeň.

[32] I. Willoughby, „Czech Police Investigation Names Two Responsible for June 1945 Murder of Sudeten Germans", audycja Radia Praskiego, 2 VI 2009, http://www.radio.cz/en/article/116881.

[33] S.H. Roberts, *The House that Hitler Built*, Methuen, London 1939, s. 205; D. Macardle, *Children of Europe: A Study of the Children of Liberated Countries, their War-time Experiences, their Reactions, and their Needs*, Gollancz, London 1951, s. 35. Dokładniejszy opis tego zagadnienia, zob. N. Stargardt, *Witnesses of War:*

Children's Lives under the Nazis, Random House, New York 2005, s. 35.
[34] E. Bártová, „Největší poválečný masakr Němců vyřešen: Známe vrahy", 1 VI 2009.
[35] R.R. Stokes, „Memorandum on visit to Camp at MOST (MATHEUSEN) [*sic*!], USTI and LITOMERICE on 10.9.46", bez daty, G 97/IV, zbiór 1161, CICR.
[36] Dr O. Lehner, szef delegacji MKCK w Pradze, do ministra spraw wewnętrznych Czechosłowacji, 6 VIII 1947; anonimowe memorandum, „Constations que nos délégués ont faites au cours du mois de juillet 1947, sur la situation des civils internés en Tchécoslovaquie", 27 VIII 1947, G 97/IV, zbiór 1162, CICR.
[37] Herr Lang, Riegerungsgeauftragter für das Flüchtlingswesen, Regensburg, to the Staatssekretariat für das Flüchtlingswesen, München, 17 VIII 1948, G 97/IV, zbiór 1156, CICR.
[38] Anonimowe memorandum, „Les camps de concentration du gouvernement Tito dans le Batchka", VII 1947, G 97/IV, zbiór 1164, CICR.
[39] Ppłk A.C. Kendall i mjr G.B. Shirlaw, „Report on Turnu-Măgurele Internment Camp, Visited on the 17th of September 1945 together with an American and a Russian Delegate", FO 371/48670.
[40] Menzel do Noska, 4 IX 1945, G 97/IV, zbiór 1160, CICR.
[41] M. Gärtner, K. Gärtner, A. Gimpl i E. Gimpl, „Tatsachenbericht", bez daty, cyt. z listu M. Iconomowa, delegata MKCK w Salzburgu, do centrali MKCK w Genewie, 13 V 1947, G 97/IV, zbiór 1164, CICR.
[42] Anonimowe memorandum, cyt. w liście O.P. Brennscheidta (krewnego autora) do MKCK, 15 VI 1947, G 97/IV, zbiór 1159, CICR.

[43] „Daily Herald”, 9 X 1945.
[44] W.L. Montandon, „Distribution de marchandises au camp d’internement de Prague-Hagibor et ravitaillement du camp de P[risonniers de] G[uerre] et d’internés civils «Auto-Park» à Prague-Smichov”, 23 XII 1945, G 97/IV, zbiór 1161, CICR.
[45] „Obzory”, 24 XI 1945.
[46] S. Gabzdilová, M. Olejnik, *Proces internácie Nemeckého obyvatel’stva*…, s. 429.
[47] P.W. Mock, „Camp d’internés civils de Petržalka (Bratislava)”, 6 XI 1945, G 97/IV, zbiór 1160, CICR.
[48] Memorandum Menzla dotyczące wizytacji w obozach Modřany, Rusyn, Hradištko i Stechovice, bez daty [ok. XI 1945], G 97/IV, zbiór 1160. CICR.
[49] Mock, „Camp d’internés civils de Trnavskà Cesta, Bratislava”, 15 XI 1945, G 97/IV, zbiór 1160, CICR.
[50] M. Schenk-Sopher, „Report on Conditions in „Rupa” Internment Camp”, 17 VII 1945, Úřad předsednictva vlády-tajné (ÚPV-T), zbiór 11c, nr 488, NAČR.
[51] T. Staněk, *Tábory v Českych zemích*…, s. 90.
[52] „Daily Herald”, 9 X 1945.
[53] M. Saschková do praskiej delegacji MKCK, dokument datowany na „styczeń 1946 roku”; Menzel do MKCK w Genewie, 9 I 1946; list P. Drozda z miejscowości Veltrusy nad Vltavou, 5 I 1946, G 97/IV, zbiór 1160, CICR.
[54] Dr A. Bedo, szef wydziału kwalifikacyjnego komisji przygotowawczej Międzynarodowej Organizacji ds. Uchodźców do A. Brownlee, 13 I 1948, dokumentacja Alety Brownlee kat. nr 69059-9.13, zbiór nr 5, teczka „Displaced Persons – Children: Ethnic Germans (*Volksdeutsche*), 1945–1949” („Wysiedleni – dzieci etnicznych Niemców [folksdojczów], 1945–1949”), Hoover Institution Archives, Stanford University.

[55] D. Macardle, *Children of Europe*…, s. 301.
[56] M.I. Robinson z Rayner's Lane w Londynie, w gazecie „Daily Herald", 16 IX 1945.
[57] 414 *H.C. Deb.* 5s, nr 366 (10 X 1945).
[58] 138 *H.L. Deb*. 5s., nr 388 (5 XII 1945).
[59] 138 *H.L. Deb*. 5s., nr 390 (5 XII 1945).
[60] 414 *H.C. Deb.* 5s., nr 2362 (26 X 1945).
[61] „Daily Herald", 12 X 1945.
[62] T. Pasák, *Přemysl Pitters Protest*…; „Obzory", 24 XI 1945.
[63] Por. np. „Rudé Právo", 8 V 1946.
[64] H.H.C. Prestige, z departamentu nielegalnych imigrantów Home Office (brytyjskiego MSW), do C.F.A. Warnera, z Foreign Office (brytyjskiego MSZ), 19 IX 1945; B.A.B. Burrows, FO, do Prestige'a, 9 X 1945, FO 817/14.
[65] C. O'Neill do J.E. Barrella, prywatnego sekretarza kanclerza Księstwa Lancaster, 7 II 1946, FO 938/241.
[66] Notatka mjr. P.B. Monahana z wydziału spraw cywilnych (wysiedleńców) War Office (brytyjskiego Ministerstwa Wojny), 4 II 1946, FO 938/241.
[67] Hynd do P.J. Noela-Bakera, 15 II 1946, FO 938/241.
[68] Nichols do J.M. Troutbecka (FO), 1 IV 1946, FO 938/241.
[69] R.M.A. Hankey, M. Winch, „Tour of Upper and Lower Silesia – September 1945", 8 X 1945, FO 371/47651.
[70] Ppłk P.F.A. Growse z brytyjskiego zespołu łącznikowego w Kaławsku do wojewody dolnośląskiego we Wrocławiu, 22 IV 1946, FO 1052/471.
[71] Telegram Archibalda Clarka Kerra z brytyjskiej ambasady w Moskwie do Foreign Office, 13 VI 1945, FO 371/47087; telegram Nicholsa z ambasady brytyjskiej w Pradze do Foreign Office, 22 VI 1945, FO 371/47088.

[72] Cyt. za: Socjaldemokratyczna Partia Niemców Sudeckich, *Evidence on the Reign of Racialism in Czechoslovakia*, Der Sozialdemokrat, London 1945, s. 11.

[73] Por. np. Rada Miejska w Szczecinie do wydziału bezpieczeństwa publicznego w województwie szczecińskim, 20 XII 1946; Rada Miejska w Szczecinie do wydziału osadnictwa w województwie szczecińskim, 15 X 1947, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 488–489, 565–566.

[74] B. Frommer, *Expulsion or Integration: Unmixing Interethnic Marriage in Postwar Czechoslovakia*, „East European Politics and Societies" 2000, 14/2, s. 382.

[75] G.E. Schafft, *From Racism to Genocide*…, s. 127–128; D. Majer, *„Non-Germans" Under the Third Reich: The Nazi Judicial and Administrative System in Germany and Occupied Eastern Europe, with Special Regard to Occupied Poland, 1939–1945*, Johns Hopkins University Press, Baltimore, MD 2003, s. 121–127, 246–248.

[76] T. Zahra, *„Children Betray Their Father and Mother": Collective Education, Nationalism, and Democracy in the Bohemian Lands, 1900–1948"*, w: D. Schumann (red.), *Raising Citizens in the „Century of the Child": The United States and German Central Europe in Comparative Perspective*, Berghahn, Oxford 2010, s. 187, 196–197.

[77] A. Warring, *Intimate and Sexual Relations*, w: R. Gildea, O. Wieviorka, A. Warring (red.), *Surviving Hitler and Mussolini: Daily Life in Occupied Europe*, Berg, Oxford 2007, s. 107–108, 112.

[78] Treść zarządzenia nr 12250/M.E. (1945), 22 XII 1945, FO 371/55390.

[79] Polski Czerwony Krzyż we Wrocławiu do głównego delegata ds. repatriacji z MZO, 3 VII 1946, MZO 527c/B-7332, AAN.

[80] Memorandum S. Jarzyka z urzędu pełnomocnika rządu na Dolnym Śląsku, 12 II 1946, MZO 323/B-5427, AAN.
[81] Tekst zarządzenia nr 33, August 2, 1945, FO 371/47154.
[82] B. Frommer, *Expulsion or Integration*…, s. 388.
[83] „Nová Doba”, 23 VIII 1946.
[84] „Obzory”, 24 XI 1945.
[85] Cyt. za: *ibid*., s. 393.
[86] Data ogłoszenia mobilizacji czechosłowackich sił zbrojnych w pierwszych dniach kryzysu sudeckiego.
[87] Cyt. za: *ibid*., s. 392–393.
[88] Cyt. za: *ibid*., s. 399, przyp. 64.
[89] „Právo Lidu”, 3 VIII 1946.
[90] Prawo cywilne z dn. 24 IX 1945 rok, art. XII, cyt. za: J. Szwołdrzyński, *The Pattern of Life in Poland*, t. VI: *The Family*, Mid-European Research and Planning Centre, Paris 1952, s. 47.
[91] E. Roman, *Hungary and the Victor Powers*…, s. 66.
[92] Zeznanie 26-letniej więźniarki Potulic, bez daty, cyt. za listem O.P. Brennscheidta do MKCK, 15 VI 1947, G 97/1159, CICR.
[93] M. Kent, *Eine Porze1llanscherbe im Graben: Eine deutsche Flüchtlingskindheit*, Scherz Verlag, Bern 2003, s. 83.
[94] Kwatera jednostki w Husum i Eiderstedt Komisji Kontroli w Niemczech (członu brytyjskiego) do jednostki nr 312 kwatery głównej zarządu wojskowego regionu Schlezwiku-Holsztyna, 16 IX 1946, FO 1052/358.
[95] Anonimowy list do Landsratamtu, Herford, 16 V 1946, w sprawie Roberta Hauka; anon. list do tegoż urzędu, 15 V 1946, dotyczący Josefa Arndta; anonimowe i niedatowane (ok. V 1946) zeznanie w sprawie Idy Hartmann; anonimowe i niedatowane (ok. V 1946)

zeznanie w sprawie Magdaleny Martin; anonimowe i niedatowane (ok. V 1946) zeznanie w sprawie Lisbeth Fladdy, FO 1052/474.

[96] Por. np. list H.J. von Joedena, 1 VII 1946, G 97/Box 1161, CICR.

[97] Główny sekretarz biura zastępcy gubernatora wojskowego do wydziału ogólnego Alianckiej Komisji Kontroli w Niemczech i Austrii, 14 VI 1946, FO 1049/515.

[98] Zeznanie M. Rungego, 11 IV 1946, FO 1052/323.

[99] Dr Mawick, Oberkreisdirektor okręgu (hrabstwa) Bentheim, do *Oberpräsidenta* Regionalnego Biura ds. Młodzieży, Hanower, 16 IV 1946, FO 1052/474.

[100] O. Lehner, szef delegacji MKCK w Pradze, do MSW Czechosłowacji, 6 VIII 1947, G 97/1162, CICR.

[101] N. Davies, R. Moorehouse, *Mikrokosmos*…, s. 481.

[102] K. Cordell, S. Wolff, *Ethnic Germans in Poland and the Czech Republic: A Comparative Evaluation*, „Nationalities Papers” 2005, 33/2 (VI), s. 262, 268.

[103] D. Macardle, *Children of Europe*…, s. 285.

[104] Niepublikowany maszynopis wspomnień *Whose Children* (*Czyje dzieci*), zbiór nr 9, cz. II, s. 201, w dokumentacji Alety Brownlee, Hoover Institution Archives.

[105] Okólnik Brownlee z 20 IX 1948, zbiór nr 5, teczka „Displaced Persons–Children: Ethnic Germans (*Volksdeutsche*), 1945–1949”, dokumentacja A. Brownlee.

[106] W. Byford-Jones, *Berlin Twilight*, Hutchinson, London 1947, s. 54–55.

[107] E.E. Swanstrom, *Pilgrims of the Night*…, s. 49.

ROZDZIAŁ 9

„Dziki Zachód”

Kazimierz Trzciński należał do setek tysięcy osadników, którzy w 1947 roku tłumnie podążali z centralnej Polski na Ziemie Odzyskane w poszukiwaniu fortuny. Takich właśnie kolonistów, jak ten zdemobilizowany żołnierz, polskie władzy najchętniej widziały na zachodnich terytoriach – gdyż umiał walczyć i nie zawahałby się bronić swojej posiadłości w razie potrzeby z bronią w ręku, jeśliby Niemcy lub, co jeszcze bardziej prawdopodobne, ustalenia konferencji pokojowej próbowałyby mu ją odebrać. Jednak niektóre z jego poczynań wskazywały, że nie był takim wzorowym osadnikiem, jakim się z pozoru wydawał. Świadczyć o tym mogło choćby skierowane przez niego podanie do burmistrza Jeleniej Góry (niem. Hirschberg), uroczego miasteczka u podnóży Karkonoszy, gdzie Trzciński najpierw trafił. Prosił on, aby przydzielono mu na tyle zamożną poniemiecką posiadłość, żeby zapewniła mu utrzymanie bez pracy. Majątki takie już rozdano osobom stojącym znacznie wyżej od Trzcińskiego w hierarchii polskiej nomenklatury, zamiast tego zaoferowano mu więc do wyboru cztery niewielkie gospodarstwa rolne, ale nie przyjął żadnego z nich. Następnie Trzciński upatrzył sobie hotel i restaurację „Jelonek” w pobliskim uzdrowisku, Szklarskiej Porębie, uznając, że taki interes znacznie bardziej odpowiadał jego statusowi dzielnego, zasłużonego dla Rzeczypospolitej żołnierza niż mała chłopska działka. Niestety, wspomniana nieruchomość w Szklarskiej Porębie już została zajęta przez niejaką panią Pudło, a ta nie miała najmniejszego zamiaru z niej rezygnować. Aczkolwiek władze miejskie w Jeleniej Górze przez krótki czas myślały

o tym, żeby zmusić oboje tych osadników do wspólnego prowadzenia „Jelonka”, to ostatecznie postanowiły namówić Trzcińskiego, aby objął w posiadanie pobliski narożny sklep. Trzcińskiemu nie odpowiadał wszakże żywot sprzedawcy, a interes ów nie przynosił mu spodziewanych dochodów – choć główną przyczynę marnych obrotów stanowić mógł jawny alkoholizm Trzcińskiego. Kiedy inny osadnik otworzył przy tej samej ulicy konkurencyjny sklepik, Trzciński postanowił zrezygnować z prowadzenia sklepu i ze wzmożoną natarczywością zaczął się dopominać o „Jelonka”. Czynił to z takim uporem, że lokalni urzędnicy zajęli się zbadaniem tytułu własności pani Pudło do hotelu i stwierdzili ze zdumieniem, że miała do tej nieruchomości jeszcze mniej praw aniżeli Trzciński. Gdy przybyła do Szklarskiej Poręby, przydzielono jej pewną poniemiecką willę, jednak wyniosła z tej willi dosłownie wszystko, by wyposażyć „Jelonka”, gdzie samowolnie się usadowiła i uruchomiła interes, firmując go własnym nazwiskiem. Zapoznawszy się z takimi faktami, rada miejska wydała nakaz eksmisji pani Pudło i przyznała Trzcińskiemu prawo do owej nieruchomości. Kiedy przybył, aby objąć hotelik w posiadanie, zmusiła go do czekania przez dłuższy czas; ostatecznie wpuściła go do środka i zaczęła metodycznie rozbijać w hotelowym holu wszystko wokoło skulonego ze strachu Trzcińskiego. A ponieważ w pobliżu nie było posterunku milicji, Trzciński wziął nogi za pas i wybiegł na ulicę, a pani Pudło obrzuciła go stekiem wyzwisk i pogróżek. Po tym dramatycznym incydencie ojcowie miasta uznali, że łatwiej będzie przekonać Trzcińskiego, żeby zadowolił się inną skonfiskowaną posesją przy ulicy Rokossowskiego – choć powojenne losy tej nieruchomości też były skomplikowane: przeszła przez kilka par rąk, odkąd odebrano ją niemieckim właścicielom – i pozostawić

„Jelonka” w bezdyskusyjnym posiadaniu wzbudzającej postrach pani Pudło[1].

Choć historyjka ta może się wydać banalna, to opisany spór dobrze ilustruje mikrokosmos wielu problemów powiązanych z „rekolonizacją” ziem, z których wypędzono ludność niemiecką. Wygnanie etnicznych Niemców było nie tylko wielkim przedsięwzięciem logistycznym. Stanowiło też przyczynę wysoce destruktywnych ekonomicznych i społecznych przeobrażeń na tych obszarach, a ich skutki pozostają widoczne do dzisiejszego dnia. I tak jak podczas wojny przeciętni Niemcy (a w istocie także Polacy, Ukraińcy i przedstawiciele innych nacji) współuczestniczyli w prześladowaniu i w wysiedleniach Żydów, co stworzyło okazję do przejmowania mienia ofiar Holokaustu, tak samo entuzjazm polskich, czechosłowackich i węgierskich obywateli, z jakim odnosili się oni do deportacji Niemców, wynikał w znacznej mierze z perspektywy osobistego dorobienia się na skonfiskowanym poniemieckim majątku. Jednak nowo nabyte ziemie nie okazały się eldoradem, a ekonomiczne i społeczne realia, wytworzone w nienormalnych okolicznościach, przyniosły nowe i nieprzewidziane komplikacje.

W dużym stopniu właśnie pogoń za łupami dyktowała szalone tempo akcji deportacyjnej, gdyż przedstawicielom lokalnych władz, członkom oddziałów milicji oraz osobnikom z odpowiednimi koneksjami politycznymi spieszyło się do zagarnięcia dla siebie najatrakcyjniejszych poniemieckich nieruchomości; nie zamierzali dać się uprzedzić władzom centralnym, które także chciały położyć na nich łapę. Ostatecznie jednak lwia część łupów znalazła się w rękach państwa i stała się ważnym instrumentem komunizacji. Przed wybuchem II wojny światowej partie komunistyczne miały znikome wpływy w krajach środkowej

i wschodniej Europy (poza ZSRR). Pakt Ribbentrop–Mołotow z 1939 roku, zdradzieckie uderzenie Stalina na wschodnią część Polski prowadzącej rozpaczliwą walkę w Niemcami, późniejsze deportacje i masakry za Kresach Wschodnich, między innymi w Lesie Katyńskim, wreszcie cyniczne wydanie przez Armię Czerwoną polskiej Armii Krajowej na pastwę nazistów podczas powstania warszawskiego w sierpniu 1944 roku – wszystko to nie mogło przekonać przeciętnych Polaków o tym, że rosyjski lew nagle złagodniał. I choć w Czechosłowacji notowania ZSRR były nieco wyższe – w dużej mierze za sprawą przekonania, że Moskwa, w odróżnieniu od nastawionych ugodowo mocarstw Zachodu, gotowa była wesprzeć zbrojnie rząd w Pradze przed konferencją monachijską – to i tam nie było zbytniego entuzjazmu dla państwowego socjalizmu w stylu radzieckim. Ale ponieważ po wojnie komuniści kontrolowali w obu tych krajach, to jest w Polsce i Czechosłowacji, ministerstwa spraw wewnętrznych i rolnictwa, to mogli również decydować o trybie redystrybucji skonfiskowanego niemieckiego mienia. I w pełni wykorzystali taki patronat do zdobycia jeśli nie poparcia obywateli, to przynajmniej do biernej zgody na ich rządy. Wobec tego wysiedlenia zapewniły rządom radzieckich państw satelickich materialną bazę do umocnienia pozycji w swoich krajach, kiedy ta nie była jeszcze silna.

Jak wykazuje przedstawiony spór o hotel „Jelonek”, redystrybucja mienia mogła jednak nie tylko spajać społeczeństwo, lecz także być źródłem konfliktów społecznych. Kłótnie o skonfiskowane domy czy gospodarstwa rolne, w sytuacji, gdy nieruchomości niejednokrotnie co tydzień zmieniały właścicieli, przegrywane i wygrywane przy karcianych stołach, na

wiele lat sparaliżowały systemy sądownicze krajów, z których przeprowadzano wysiedlenia. Obszary pograniczne błyskawicznie zostały ogołocone nie tylko z niemieckiej populacji, ale i agencji rządowych: wraz z pustoszeniem niemieckich miasteczek zazwyczaj znikały również, wraz z lokalnymi mieszkańcami, rady i zarządy, siły policyjne, administratorzy oraz dostawcy niezbędnych usług – choćby śmieciarze czy pracownicy wodociągów. Nawet w tych relatywnie rzadkich wypadkach, kiedy udało się znaleźć odpowiednich urzędników i pracowników na ich miejsce, radzieccy dowódcy wojskowi, woląc utrzymywać cugle władzy w swoich rękach, często uniemożliwiali im objęcie stanowisk. W wielu powiatach zapanowało bezprawie, i to w sensie dosłownym, nie tylko metaforycznym – o czym przekonał się choćby nieszczęsny Kazimierz Trzciński, gdy usiłować przejąć hotel. Na kilka lat po wprowadzeniu nowej jurysdykcji wystąpiła próżnia. Nie zdołały jej zapełnić organy władzy państwowej i zapanowały rządy siły i bezprawia. Nic dziwnego zatem, że mniej ludzi, niż oczekiwano, osiedlało się na stałe na tych ziemiach, a znaczny odsetek tych, którzy już się na to decydowali, tak jak Trzciński raczej nie pasował do wizerunku twardych, zaradnych pionierów, przedstawianego przez komunistyczną propagandę. Nazwa nadana zarówno przez Polaków, jak i Czechosłowaków regionom pogranicznym po wojnie – „Dziki Zachód” – odzwierciedlała świadomość, że nawet po wyjściu Niemców terytoria te pod wieloma względami pozostały obce w krajach, w których skład nominalnie wchodziły.

Kiedy obmyślano plany deportacyjne, przewidziano niewiele takich trudności. Autorzy tych projektów odnieśli się entuzjastycznie do okazji stwarzanych przez programy kolonizacji i redystrybucji poniemieckiego majątku – nie

tylko w odniesieniu do stworzenia nowej społeczno-ekonomicznej rzeczywistości na ziemiach pogranicza, ale również do perspektyw przeobrażeń na obszarach centralnych. Jak już wspomniano, podczas złożonej w Moskwie wizyty w grudniu 1943 roku Edvard Beneš, starając się uzyskać radzieckie poparcie dla planów deportacyjnych, roztoczył przed swoimi gospodarzami wizję pokrycia kosztów upaństwowienia całej czechosłowackiej gospodarki pieniędzmi z majątku wysiedlonych Sudetendeutschów. „Siedemdziesiąt procent [czechosłowackich] Niemców – jak powiedział Mołotowowi – to ludzie bogaci, a transfer ich majątku będzie oznaczał nie tylko czechizację, lecz także wstęp do wielkich przemian społecznych”[2].

> Przekazanie niemieckich posiadłości w ręce prywatne doprowadziłoby do ostrych sporów pomiędzy ludźmi, wskazywał Beneš; w konsekwencji Czesi będą musieli zdecydować się na podobne wyrzeczenia, godząc się na daleko idącą nacjonalizację. Odpowiadając na pytanie Mołotowa, czy Czesi to zaakceptują, Beneš stwierdził, że trudno ich będzie do tego przekonać, ale że przejście niemieckiego majątku będzie oznaczało początek generalnej nacjonalizacji[3].

W rzeczywistości Beneš nie miał wcale zamiaru tworzyć w powojennej Czechosłowacji zarządzanej centralnie gospodarki w radzieckim stylu; mówiąc o tym Mołotowowi, świadomie wprowadzał go w błąd, podobnie jak wówczas, kiedy zapewniał zachodnich aliantów, że deportacji będą podlegać wyłącznie „faszyści” i „kolaboranci” z Kraju Sudeckiego. Niewątpliwie jednak pragnął po wojnie zdecydowanej socjalizacji kraju i w trakcie tego procesu rozciągnięcia kontroli państwa nad gospodarką. Tym

samym dążył nie tylko do poprawienia stosunków z ZSRR – co, jego zdaniem, było nieodzownym warunkiem zapewnienia przyszłego bezpieczeństwa Czechosłowacji – ale i do umocnienia swojej pozycji politycznej w kraju. „Postępowa" redystrybucja majątku narodowego, jak uważał Beneš, za jednym zamachem miała osłabić te klasy społeczne, które udzielały poparcia partiom narodowosocjalistycznym i chłopskim, a także odebrać pozorną atrakcyjność komunizmowi, co stawiało prezydenta republiki, pozostającego ponad rozgrywkami politycznymi, w roli narodowego arbitra. Ostatecznie miało się okazać, że Beneš stanowczo przecenił zarówno swoje zdolności w kwestii przeprowadzenia tak głębokich przemian, w sytuacji, kiedy wpływy Armii Czerwonej i rad narodowych były dużo większe od wpływów rządu w Pradze, jak i własną, niezbywalną, jak sądził, rolę w czechosłowackim życiu publicznym. Z kolei Komunistyczna Partia Czechosłowacji miała zupełnie inne ambicje: „uczynienia regionu [pogranicznego] modelem oraz laboratorium budowy socjalizmu"[4]. Dopóki prezydent gotów był pomagać w dążeniach do tego celu, dopóty komuniści ochoczo z nim współpracowali; gdy jego przydatność miała się wyczerpać, sami zamierzali przechwycić ster rządów.

Równie ambitne wizje przeobrażenia ziem zachodnich w wizytówkę socjalizmu roztaczał również rząd polski. Po trwających przez tydzień uroczystościach we Wrocławiu i Jeleniej Górze z okazji „powrotu terytoriów poczdamskich do państwa polskiego" komunistyczny minister przemysłu Hilary Minc cieszył się z „nabycia dobrze rozwiniętych obszarów z nieliczną pozostałą ludnością niemiecką, którą mamy wszelkie prawo, międzynarodowe i moralne, zlikwidować w czasie i z użyciem metod, jakie uznamy za odpowiednie". I dodał ostrzeżenie: „Największym

zagrożeniem dla naszych ziem zachodnich jest niebezpieczeństwo stwarzane przez małostkowych ludzi z ciasnymi perspektywami [umysłowymi]”[5]. Z pewnością nikt nie mógł zarzucić samemu Mincowi i jego ministerialnym kolegom takich wad. Wręcz przeciwnie – lista celów ogłoszonych przez rząd polski, związanych z Ziemiami Odzyskanymi wydawała się tak ambitna, że niemal oderwana od rzeczywistości. I tak w sierpniu 1945 roku w Warszawie ustalono, że docelowo pół miliona kolonistów miało osiąść w okolicach Olsztyna jeszcze przed nadejściem zimy. Jak łatwo się domyślić, spis z 1 stycznia 1946 roku wykazał, że na miejscu znalazło się zaledwie 20 procent z tej liczby[6].

Czynnikiem utrudniającym program osadnictwa było to, że ani rząd czechosłowacki, ani polski nie dopracowały jeszcze podczas wojny szczegółowego planu określającego metody przejmowania i redystrybucji niemieckiego majątku. Początkowo, aby uzyskać poparcie Zachodu dla projektu wysiedleń, Edvard Beneš obiecał aliantom, że nikt z wysiedleńców nie zostanie wywłaszczony bez rekompensat, o ile tylko nie wszedł nielegalnie w posiadanie swoich nieruchomości. Władze na uchodźstwie nie miały jednak najmniejszego zamiaru wywiązywać się z takiego zobowiązania, które nałożyłoby brzemię ekonomiczne na powojenne państwo czechosłowackie. Umiejętnie lawirując wśród sprzecznych żądań i postulatów, Hubert Ripka oznajmił w październiku 1944 roku, że formuła przyjęta przez rząd w Pradze przewidywała, iż wszyscy Sudetendeutsche znani jako kolaboranci oraz wyznawcy „pangermańskich sentymentów i poglądów” utracą całe mienie na rzecz państwa czechosłowackiego, a jakiekolwiek należne im rekompensaty zostaną wypłacone po „stosownym

uwzględnieniu finansowych i ekonomicznych roszczeń, z jakimi Czechosłowacja wystąpi wobec Niemiec”[7]. Zgodnie ze słowami Ripki wysiedleńców winno się zaopatrywać w wydane przez władze czechosłowackie pokwitowania z wyceną wartości odebranego im majątku. Czechosłowackie żądania reparacyjne pod adresem Niemiec miały się przełożyć na odjęcie od owej wartości określonej kwoty; następnie wysiedleni mogli zwrócić się o zadośćuczynienie do rządu powojennych Niemiec. Było to zasadniczo niczym więcej niż tylko gestem propagandowym, dodatkowo odwracającym uwagę od kwestii uściślenia skali wojennych strat materialnych Czechosłowacji.

W istocie, choć trudno wyrazić w liczbach terror, w jakim ludność żyła w okresie niemieckiej okupacji, to w sensie ekonomicznym wojna wcale nie była dla Czechosłowacji taka „niekorzystna”. Wedle szacunków Jaroslava Krejčíego, realne dochody tamtejszej klasy robotniczej wzrosły o około 20 procent, a zarobki kobiet o prawie 30 procent w okresie od 1939 do 1945 roku[8]. Ponadto Czechosłowacja wyszła z tej wojny z większym nawet kapitałem akcyjnym od tego posiadanego w roku 1939, za sprawą decyzji Niemców o przemieszczeniu tam wielu zakładów przemysłowych w miejsca pozostające praktycznie poza zasięgiem alianckich bombowców. Na paryskiej konferencji reparacyjnej określono wojenne zniszczenia w Czechosłowacji na 347,5 miliarda koron (69,5 miliona ówczesnych dolarów), nie uwzględniając tamtejszych niemieckich inwestycji; nieprzypadkowo mniej więcej tyle samo miała wynosić oszacowana początkowo przez Czechosłowaków – nierealistycznie skromna – wartość zajętego mienia Sudetendeutschów[9]. Tak czy inaczej, wysiedlonym Niemcom sudeckim nie wydano żadnych

pokwitowań, a na wspomnianej konferencji w Paryżu rząd praski, znowu uciekając się do zręcznej sztuczki, z powodzeniem przekonywał, że trwających wysiedleń nie należy odnosić do czechosłowackich roszczeń wobec powojennych Niemiec, gdyż Sudetendeutsche w 1938 roku nie byli niemieckimi, tylko czechosłowackimi obywatelami, w związku z czym kojarzenie wywłaszczeń z reparacjami było bezpodstawne. Węgrzy w 1946 roku obwieścili swój zamiar skopiowania czechosłowackiego przykładu; ostatecznie fakt, że sprzymierzeni uznali, iż Węgrom nie przysługiwały niemieckie reparacje, oznaczał w praktyce, że deportowani nie dostali żadnych rekompensat i nie zaproponowano im nawet bezwartościowych pokwitowań czy zaświadczeń[10]. Ani polski rząd na uchodźstwie, ani też stalinowski PKWN nie uznał żadnych oficjalnych uzasadnień deportacji za niezbędne: dla władz tych było zrozumiałe samo przez się, że Niemcy muszą opuścić nowe ziemie polskie, a ich majątki tam pozostaną. W Warszawie w ogóle nie podnoszono kwestii, choćby tylko teoretycznie, jakichś „rekompensat” dla wysiedlanych. Gdyby było inaczej, to kolosalne straty materialne poniesione podczas niemieckiej okupacji przez Polskę – o których świadczyła najdobitniej zniszczona stolica kraju – dałyby Polakom do ręki o wiele mocniejsze argumenty od tych, którymi posługiwali się Czechosłowacy.

Jednak brak sporządzonych zawczasu planów miał przynieść ogromne trudności praktyczne. Zwracając uwagę na doświadczenia Niemców w konfiskowaniu i redystrybucji należących do mniejszości narodowych dóbr w czasie wojny, magazyn „The Economist” przewidująco ostrzegał w 1944 roku rządy emigracyjne, że rezultatem będą prawdopodobnie dzikie szarpaniny wśród miejscowej ludności o pozostawione bogactwa. „W wielu przypadkach”,

jak wskazywano, ci, którzy weszli w posiadanie nabytej własności podczas wojny, byli „nie tylko – a nawet nie głównie – Niemcami. Chorwaci zajmowali posesje Serbów wygnanych z Chorwacji. Węgrzy wzbogacali się kosztem Rumunów z Siedmiogrodu. Podczas gdy Niemcy zajmowali posesje Polaków, Polakom przypadały domy i sklepy wymordowanych lub wywiezionych Żydów”. Nie było powodu, by przypuszczać, że po wojnie w Polsce czy Czechosłowacji miało się dziać inaczej. Prowadzone na wielką skalę konfiskaty mogły wręcz zakłócić proces gospodarczych i społecznych reform za sprawą powstawania „nowych i potężnych grup interesów”, które stałyby na drodze powszechniejszemu rozdawnictwu dóbr[11].

Wypadki potwierdziły słuszność tych przestróg. Kiedy na wiosnę 1945 roku Wehrmacht wycofywał się na północ i zachód, rządy polski i czechosłowacki wydały pierwsze dekrety wywłaszczeniowe. Edykt PKWN z 28 lutego 1945 roku o „wykluczeniu elementów wrogich wobec narodu polskiego” z życia społecznego obwieszczał przepadek na rzecz państwa polskiego wszelkiego majątku w posiadaniu tych wszystkich, którzy podpisali Volkslistę (*Deutsche Volksliste*). Dekret ów wywołał natychmiastową konsternację. Z prawie 3 milionów mieszkańców Pomorza, Wielkopolski i Górnego Śląska, z tego co najmniej dwie trzecie etnicznych Polaków, pozwoliło się zarejestrować jako Niemcy podczas wojny. W setkach tysięcy przypadków postąpili tak, gdyż w przeciwnym razie czekało ich deportowanie do Generalnego Gubernatorstwa; na Górnym Śląsku nie postąpiło w ten sposób zaledwie 50 tysięcy osób z blisko 1 400 000, a ludność była wielokrotnie wręcz nakłaniana zarówno przez emigracyjne władze w Londynie, jak i biskupa diecezji katowickiej Stanisława Adamskiego

do takiego kroku i tym samym uniknięcia prześladowań[12]. Niektórzy Polacy, jak Adamski przypomniał już po wojnie swoim skorym do ferowania pospiesznych wyroków rodakom, zostali „awansowani” do drugiej kategorii na Volkslistach dlatego, że byli ważni dla gospodarki okupantów, a nie z powodu rzekomego oddania dla sprawy nazistowskiej[13]. Dopiero po upływie dwóch kolejnych miesięcy wydano drugą, skorygowaną wersję wspomnianego dekretu, stanowiącą próbę ukrócenia nadużyć wynikłych z powodu wersji poprzedniej. To uruchomiło proces „weryfikacji”, w której ramach osoby z trzeciej i czwartej kategorii na Volkslistach, wciągnięte na nie „wbrew swojej woli albo pod przymusem” oraz te, które „dowiodły swego przywiązania do polskiego narodu” mogły odzyskać mienie pod warunkiem dostatecznego dowiedzenia swojej polskości.

W Czechosłowacji oficjalne zarządzenie wywłaszczeniowe, czyli dekret prezydencki nr 12, zostało ogłoszone jeszcze później, 21 czerwca 1945 roku. Przewidywało, że cała ziemia w posiadaniu Niemców, Węgrów oraz „zdrajców i wrogów republiki” zostanie przejęta przez państwo. Państwowy Fundusz Ziemi utworzony pod patronatem Ministerstwa Rolnictwa (kierowanego przez komunistę Juliusa Duriša) miał wziąć te tereny w zarząd powierniczy i nadzorować rozdawnictwo 12-hektarowych działek czeskim i słowackim osadnikom. Jeśli chodziło o przedsiębiorstwa komercyjne, zbyt rozbudowane, by mógł nimi kierować jeden właściciel, to powiatowe i krajowe rady narodowe wyznaczały specjalnych „administratorów”. Ci ostatni mieli za zadanie przejąć zarząd nad takimi przedsiębiorstwami i kierować nimi, w miarę możności, aż do podjęcia przez władze ostatecznej decyzji o ich losie. Sprawowanie funkcji takiego

ustanowionego zarządcy stwarzało mnóstwo okazji do różnych defraudacji i osobistego wzbogacania się, a przy tym stanowiło ważną formę zdobywania poparcia i „kupowania” głosów wyborców. Mimo że najczęściej nagradzano takimi lukratywnymi posadkami członków partii komunistycznej, to nierzadko bywało i tak, iż oferta objęcia zarządu szła w parze z propozycją wstąpienia do partii. Tym samym skonfiskowane niemieckie mienie stało się w efekcie niemal niewyczerpanym funduszem politycznym, umożliwiając komunistom zdobywanie poparcia tych osób, których komunistyczna ideologia nigdy specjalnie nie pociągała. Nieprzypadkowo podczas wyborów w maju 1946 roku partia komunistyczna uzyskała w Kraju Sudeckim prawie 75 procent głosów, czyli około dwóch razy więcej niż w pozostałych dzielnicach Czechosłowacji[14]. Tak samo było w Polsce, gdzie Władysław Gomułka, późniejszy nadzorca programu osadnictwa, otwarcie przyznał na zjeździe Polskiej Partii Robotniczej na początku roku 1945, że „ziemie zachodnie są jednym z powodów popierania rządu przez naród”[15].

W Polsce nieoczekiwaną trudnością okazało się znalezienie wystarczającej liczby chętnych do zasiedlenia oczyszczonych z Niemców obszarów. Wbrew nieustannym oświadczeniom ministrów, że Niemców należało wyrzucić możliwie najszybciej, aby zrobić miejsce dla Polaków wysiedlonych przez Stalina zza Bugu, szybko stało się jasne, że na Ziemiach Odzyskanych znalazło się zbyt mało ludności. Początkowo polski rząd liczył na grupowe przesiedlenia, czyli przemieszczenie całych wiosek do nowych osiedli na zachodzie kraju, odpowiadających w możliwie największym stopniu charakterystyce opuszczonych terenów. W praktyce taka wizja symetrycznej wymiany ludności załamała się w obliczu trudności

administracyjnych i logistycznych, a także z powodu niechęci ludzi do podporządkowywania się narzucanym im planom. W rezultacie tu i ówdzie na ogólnie słabo zaludnionych obszarach wyrastały „wysepki” – bardzo zatłoczone miejscowości. Na przykład do powiatu jeleniogórskiego napłynęło późnym latem 1945 roku tak wielu osadników, zarówno pod oficjalnymi auspicjami, jak i na własną rękę, że lokalne władze określiły tamtejszą sytuację mieszkaniową mianem „katastrofalnej”. Pomimo energicznego wypędzania ludności niemieckiej, której część pozamykano w obozach pracy przymusowej oraz „skoncentrowania” następnych 36 tysięcy Niemców w zaimprowizowanym jeleniogórskim getcie, udręczonym urzędnikom pozostały próby „zmuszania «osadników» z centralnej Polski do «dobrowolnego» opuszczenia powiatu i powrotu w rodzinne strony poprzez odbieranie im [poniemieckich] gospodarstw i domów”[16].

Mimo takich kroków – a może częściowo za ich sprawą – tylko około 1 700 000 „repatriantów” ze Wschodu – a liczba ta obejmowała etnicznych Polaków wypędzonych z radzieckiej Ukrainy i Białorusi, państw bałtyckich włączonych ponownie w skład Związku Radzieckiego oraz ocalałe ofiary stalinowskich czystek na polskich Kresach Wschodnich w 1939 roku, napływające z Syberii – przesiedlono do powojennej Polski i oficjalnie mieli oni zająć miejsce 8 milionów Niemców wygnanych z Ziem Zachodnich. W rzeczywistości zaskakująco niewielu tych „repatriantów” ze Wschodu dotarło na nowe polskie ziemie zachodnie, a jeszcze mniej tam pozostało. Liczni zatrzymywali się w centralnych rejonach Polski, gdyż woleli osiąść w tej części kraju, która miała na pewno pozostać polska, zamiast decydować się na ryzyko związane z pionierskim życiem na nowym, niepewnym pograniczu,

który przyszłoby znowu opuścić, jeśliby tak zadecydowały zwycięskie mocarstwa. Spis ludności z 1950 roku, czyli okresu, kiedy proces przesiedleńczy zasadniczo już dobiegał końca, wykazał, że zaledwie 27 procent populacji na poniemieckich obszarach stanowili przybysze zza Bugu. Nawet gdyby wszyscy repatrianci i wysiedleńcy polskiej narodowości znaleźli się na Ziemiach Odzyskanych, to i tak nie rozwiązałoby to problemu. Jak obliczono w MSZ w Londynie w 1945 roku, znacznie powyżej jednej trzeciej ludności powojennej Polski musiałoby przenieść się na ziemie zachodnie i północne, aby te można było uznać za „zasiedlone". Zaludnianie tychże terenów metodami naturalnymi, z uwzględnieniem tempa przyrostu naturalnego w pozostałych częściach Polski, potrwałoby aż do 1977 roku[17].

W rezultacie osoby odwiedzające Ziemie Odzyskane w pierwszych latach powojennych odnosiły wrażenie, że przybyły na pustkowie. Rozgłośnia radiowa w Lublinie niewiele przesadzała, gdy wzywając osadników do zaludnienia poniemieckiej północy, obwieściła pod koniec maja 1945 roku, że „Prusy Wschodnie są puste"[18]. Brytyjski attaché handlowy Leonard Holliday stwierdził to samo, objeżdżając te obszary we wrześniu. Wyprawa do Prus Wschodnich, jak napisał, była

> …w istocie wyjazdem na pustkowia. Wysoka po szyję plątanina chwastów zarastała pola, co wskazywało jasno, że nikt ich nie uprawiał od przynajmniej roku. Miasta Deutsch Eylau [Iława], Freistadt [Wolne Miasto Gdańsk] i w mniejszym stopniu Marienwerder [Kwidzyn], a także mniejsze miejscowości, były nie tylko zniszczone, lecz również niemal opustoszałe. Zalegają tam ruiny, nietknięte i nieuprzątnięte,

> przywodzące na myśl konia wypatroszonego na arenie walk byków. Liczba polskiej ludności w tych okolicach nadal jest znikoma. W każdym miasteczku i każdej wiosce jest posterunek milicji, a w nich osobnicy o bojowym wyglądzie, przypominający bohaterów książek o walkach na pograniczu Dzikiego Zachodu w czasach Buffalo Billa[19].

Na Pomorzu było niemal równie pusto. Kiedy Holliday wybrał się tam w połowie 1946 roku, jechał „milami drogi od Szczecina do starej granicy, gdzie pól nikt nie tykał, a łącznie uprawiano może 10 procent ziemi. […] Jeszcze gorzej było na obszarach na południe od Legnicy, które przeobraziły się we wrzosowiska”[20]. Jeszcze w roku 1947, choć do tego czasu władze przydzieliły osadnikom ponad 360 tysięcy gospodarstw rolnych, paru brytyjskich dyplomatów, przemierzających Ziemie Odzyskane z południa na północ, napotkało wiele zupełnie opustoszałych wiosek i zauważyło, że „wszędzie wzdłuż szlaku rozciągają się rozległe pola, na których pozostały resztki upraw z 1945 roku”[21]. Takie zapuszczenie gruntów rolnych doprowadziło do pewnych osobliwych zmian i zjawisk w środowisku naturalnym. Jerzy Morzycki z kierownictwa Państwowej Inspekcji Sanitarnej ujawnił w 1946 roku, że na Ziemiach Odzyskanych, a zwłaszcza w Prusach Wschodnich

> szaleje plaga myszy. Wynika to z faktu, że w minionym roku, wobec […] braku ludności polskiej, pszenica zasiana przez Niemców nie mogła zostać zebrana. […] Ta plaga przybiera poważne rozmiary, a władzom bardzo zależy na zdobyciu bakterii [*sic*!], które wywołają wśród tych myszy zarazę i wyniszczą je[22].

Choć takie miasta-widma i opuszczone farmy były znacznie rzadszym widokiem w Czechosłowacji, to i tam można było się natknąć na całe bezludne powiaty. Godfrey Lias, korespondent gazety „The Times” w Pradze, który objechał Kraj Sudecki latem 1947 roku, zauważył, że „nie tylko stoi tam wiele pustych domów, w miastach i we wsiach, ale są i całe wioski bez jednego choćby mieszkańca. […] Wystarczy zejść nieco z bitej drogi, by natrafić na wielkie pola zeszłorocznych ziemniaków dotychczas niewykopanych i akry niezebranych zbóż”[23].
W mniejszym stopniu wynikało to z niedoboru osadników – z końcem 1945 roku ludność pasa czechosłowackich ziem przygranicznych przewyższyła już nawet trochę jej przedwojenną liczbę – a bardziej z faktu, że tak jak w Polsce, przybysze zdecydowanie woleli osiadać w większych i mniejszych miastach, a nie na odległych terenach wiejskich, gdzie trudno było dojechać i brakowało udogodnień. Gospodarstwa rolne bardzo często i szybko zmieniały właścicieli, a prawie jedna trzecia poniemieckich farm była porzucana po kilku latach przez nowych gospodarzy[24]. Z konieczności rząd w Pradze musiał się zdecydować na rezygnację z uprawy znacznych połaci gruntów rolnych i przeznaczył je na zalesienie, uzasadniając to oficjalnie tym, że taka zapora z lasów miała przeszkodzić ewentualnej niemieckiej inwazji w przyszłości[25]. I tak z 29 wsi w okolicach Sušic na obrzeżach Szumawskiego Parku Narodowego tylko siedem przeznaczono na częściowe skolonizowanie we wrześniu 1946 roku, a pozostałe popadły w ruinę[26].

Tam, gdzie nie było zadomowionych społeczności, nie było też porządku i praworządności. Rzucało się to w oczy zwłaszcza na polskich Ziemiach Odzyskanych, gdzie każda nowa grupa osadników rychło zapoznawała się z ponurymi

historiami o piekielnym chaosie, jaki zapanował w wielu powiatach w okresie bezpośrednio po wojnie. Pierwsze gromady kolonistów, które przybyły do Wrocławia na początku maja 1945 roku, zastały radzieckich żołnierzy wdających się w strzelaniny między sobą na tle kłótni o poniemieckie łupy: szczególnie zażarte walki między oddziałami Armii Czerwonej o sklepy spożywcze przy ulicy Sienkiewicza trwały aż dwa dni[27]. Dokonywane przez wojska radzieckie „kradzieże, napady, gwałty i morderstwa były na (nie)porządku dziennym” w Wielkopolsce, gdzie polska ludność była traktowana przed nominalnych radzieckich sojuszników niczym podbity naród[28]. Ale i polskie siły bezpieczeństwa na ogół uważano raczej za jedną z przyczyn rozpasanej przestępczości, a nie lek na nią. W Bytowie koło Gdańska rywalizujące oddziały UB urządzały istne wojny gangów, z zapałem ścierając się ze sobą[29]. Brytyjscy obserwatorzy słusznie zauważyli, że sporo „bezprawia przypisywanego Polakom” było dziełem „młodocianych prostaków, uzbrojonych po zęby, z których składa się «milicja»”[30]. Polskie władze myślały o milicjantach to samo. Urzędnicy od przesiedleń mówili, że „brakuje ich do zapobiegania kradzieżom – albo sami są zajęci plądrowaniem”[31]. Sołtys wsi Michałków był tak zastraszony mafijnymi działaniami teoretycznie mu podlegającej jednostki milicji, że kiedy wyznaczono go do eskortowania transportu Niemców do brytyjskiej strefy okupacyjnej w ramach akcji „Jaskółka”, ukrył się pośród wysiedleńców w wagonie bagażowym, z którego wyszedł dopiero wtedy, gdy pociąg przyjechał do Marienthalu[32]. Podczas gdy napływały niezliczone raporty o przestępstwach popełnianych przez milicjantów, pewien polski obserwator, objeżdżający w sierpniu 1945 roku rejony między Poznaniem a Szczecinem, odniósł się ze

współczuciem do problemów, z jakimi borykała się milicja, zwracając uwagę, że jej członkowie nie mieli innego wyjścia, poza życiem na koszt powierzonych ich pieczy terenów wiejskich. „Problem zaopatrzenia w żywność z reguły pozostawia się do rozwiązania samym zaradnym milicjantom. Większość z nich do młode chłopaki. […] W najlepszym razie mają karabiny, do których często brakuje im amunicji. […] Stąd też rola milicjantów, tych stróżów porządku i obrońców mienia osadników, sprowadza się do biernego przyglądania się zbrojnym napadom”[33].

Także w Czechosłowacji strefy przygraniczne rychło zdobyły niechlubną reputację miejsc, do których ludzie udawali się na własne ryzyko. I choć fala przestępstw, do których dochodziło tam w drugiej połowie roku 1945 i na początku 1946 roku, była nieporównywalnie mniejsza od tej na polskich Ziemiach Odzyskanych, to i w tych regionach bandyci, przestępcy działający w grupach i na własną rękę oraz rozmaitego rodzaju awanturnicy wzbogacali się w stopniu bezprecedensowym w historii niepodległego państwa czechosłowackiego. Tak jak w Polsce, ten, kto nosił mundur – niezależnie do tego, czy był do tego uprawniony – jeszcze częściej od „cywilnych” przestępców nękał współobywateli. Powszechnie było wiadomo, że czerwonoarmiści nie odróżniali często Czechosłowaków od Niemców, gdy rabowali, gwałcili i bezmyślnie niszczyli mienie, jednak nierzadko i policjanci, członkowie SNB (bezpieki) oraz „gwardii rewolucyjnej” robili to samo.

Wojsko czechosłowackie obwiniano o wiele aktów bezprawia, a jednostki w rodzaju 1. Dywizji Czechosłowackiej, w której służył znaczny odsetek Słowaków, Ukraińców i żołnierzy z Wołynia, w szczególności dopuszczały się różnych przestępstw, stacjonując na ziemiach czeskich. Często

odpowiedzialne stanowiska przypadały osobnikom o nie dość dobrze sprawdzonym życiorysie. Szef tzw. Urzędu do spraw Niemców w Svitavie, niejaki K. Haas, był człowiekiem z bogatą kryminalną przeszłością. B. Kovař, partyzancki „porucznik” i zarazem samozwańczy komisarz z Miroslava, miejscowości leżącej na południe od Moravskiego Krumlova, miał na koncie – jak wyszło na jaw w chwili jego aresztowania w czerwcu 1945 roku – siedem wyroków za oszustwa. Š. Gába z Ołomuńca, którego główne zadanie polegało na aresztowaniu „wrogów” i konfiskowaniu ich mienia, też miał za sobą podejrzane „partyzanckie” dokonania – był wcześniej skazany aż 11 razy[34].

Jaskrawym przykładem samowoli panującej tuż po wojnie, a także płynności linii oddzielającej przestępców od stróżów prawa, było pewne zdarzenie, do którego doszło w przygranicznym miasteczku Česká Kamenice koło Deczyna. Jak opisuje David Gerlach, pod koniec maja 1945 roku powstała tam gminna rada narodowa i zgodnie z wytycznymi przystąpiła do konfiskowania niemieckich nieruchomości oraz dystrybucji niemieckiej odzieży, sprzętów domowych i innych przedmiotów codziennego użytku miejscowej ludności czeskiej; kosztowności miały zostać odesłane do Pragi. Jednak sumienny przewodniczący owej rady, Karel Caidler, szybko popadł w konflikt z szefem lokalnej komórki wywiadowczej. Ten z kolei z pomocą innego „partyzanckiego” dowódcy o wątpliwej reputacji, Adolfa Charousa, „zaangażował się w masowe zawłaszczanie” poniemieckich dóbr, wykazując szczególną skłonność do „gromadzenia motocykli”. Po tym, jak Caidler nie zgodził się na takie dorobkiewiczostwo, został aresztowany wraz z kilkoma innymi członkami rady za rzekomą współpracę z Werwolfem. Torturowano go w lochu

urządzonym w podziemiach powiatowego sądu, natomiast sam Charous objął stanowisko miejskiego komisarza. Charous przechadzał się ulicami Českiej Kamenice z pejczem w ręku, konfiskując niemieckie przedsiębiorstwa i przekazując je swoim kamratom. „Jak donosił jeden z miejscowych policjantów, rabunki tak wymknęły się spod kontroli, że policjanci nie mieli czasu na pilnowanie Niemców. Byli zbyt zajęci próbami opanowania napływu osadników”[35].

Chociaż o potencjalnych osiedleńców łatwiej było w Czechosłowacji niż w Polsce, to rekrutacja kolonistów odpowiedniego rodzaju okazała się równie trudna. Oczekiwania władz, związane z rachubami na powrót z zagranicy znacznej liczby emigrantów, miały się nie spełnić. Do czasu, kiedy naczelne organy państwowe 31 lipca 1945 roku formalnie wezwały przebywających na obczyźnie Czechów i Słowaków do powrotu do kraju, większość najatrakcyjniejszych nieruchomości już została, oficjalnie bądź nieoficjalnie, zajęta. Centralny urząd nadzorujący osadnictwo repatriantów doczekał się otwarcia dopiero w 1947 roku. W efekcie liczba powracających do ojczyzny pozostała niewielka. Największy kontyngent – prawie 72 tysiące ludzi – przybył z Węgier; poza tym napłynęło ponad 35 tysięcy osób z Wołynia na zachodniej Ukrainie, a 21 tysięcy nadciągało z Rumunii. Znaczny odsetek pozostał na obczyźnie; wielu przybyszów z Węgier nie znało ani czeskiego, ani słowackiego, a miejscowi odnosili się do nich z niechęcią i traktowali ich jak obcych i intruzów konkurujących w staraniach o skonfiskowane majątki. I choć ponad 570 milionów koron wydano na kursy języka czeskiego, zapewniając stypendia i organizując programy społeczne dla przybywających, to cała ta akcja poniosła fiasko. Już niebawem liczni repatrianci, uskarżając

się na dyskryminację, zaczęli się starać o powrót do krajów, z których przybyli[36].

Większe sukcesy zostały odnotowane w zachęcaniu czeskich i słowackich mieszkańców Kraju Sudeckiego, którzy w 1938 roku uciekli przed nazistami w głąb Czechosłowacji, do powracania w rodzinne strony. Najczęściej ci „starzy osadnicy" po prostu wracali z własnej inicjatywy. Niektóre samorządy wykorzystywały wysiedlenia jako instrument inżynierii społecznej, składając we władzach zwierzchnich podania o usunięcie lokalnych Sudetendeutschów w pierwszej kolejności, „głównie w celu uczynienia miast atrakcyjniejszymi dla potencjalnych osadników, którzy nie chcieliby mieć niemieckich sąsiadów"[37]. Za świadectwo tego, w jakim stopniu uznawano deportacje za panaceum na wszelkie problemy społeczne, niech posłuży przykład rady z Rýmařova. Zażądała ona we wrześniu 1946 roku, ażeby wraz z Niemcami wysiedlić „niesolidnych mieszkańców, żuli, hazardzistów, nałogowych alkoholików i Cyganów"[38]. Ale państwowi funkcjonariusze, a także przedstawiciele lokalnej ludności w krajach czeskich narzekali równie głośno na napływ „niepożądanego" elementu razem z osadnikami. U źródeł tych antagonizmów leżały pewne różnice klasowe i pokoleniowe: jak potwierdza Andreas Wiedemann, przypuszczenia, że osadnicy na terenach pogranicznych mieli się wywodzić z młodzieży i klasy robotniczej, okazały się generalnie niesłuszne[39]. Mimo wszystko liczba osób przybywających, aby rozpocząć nowe życie na „oczyszczonych" obszarach, robiła wrażenie. Do 1950 roku czwarta część całej czeskiej populacji przeniosła się w pobliże granicy, choć i wielu stamtąd po pewnym czasie powracało[40].

Jak na ironię, mimo odejścia Niemców napięcia na tle etnicznym nadal były bardzo widoczne. Philip Nichols donosił pod koniec 1946 roku, że ze znacznej liczby Słowaków, którzy przyjechali szukać szczęścia w Kraju Sudeckim, „wielu kolonistów nie okazało się dobrymi osadnikami i po splądrowaniu pewnych posesji powracali do swoich dawnych domów”[41]. Przybywały także rodziny Romów, co rozbudziło silny lokalny szowinizm. Po tym, jak rządowi w Pradze nie udało się nakłonić aliantów do zgody na wygnanie z Czechosłowacji, oprócz Niemców, etnicznej ludności węgierskiej, narodziły się plany przymusowego wywiezienia 250 tysięcy Węgrów do pogranicznych regionów na północy kraju. Ostatecznie przemieszczono tam tylko 42 tysiące z nich, a większość powróciła do opuszczonych domostw na południu Słowacji, kiedy tylko im na to zezwolono.

W Polsce, tak jak w Czechosłowacji, na szczeblu lokalnym podejmowano pewne starania, by pokierować procesem migracji i odsiać nieodpowiednich lub niechcianych osadników. Szczególnie zdecydowane stanowisko w tym względzie prezentowały polskie władze osiedleńcze w Miastku, gdzie „uchylającym się od pracy” kolonistom pozwolono zabrać ze sobą po 10 kilogramów rzeczy osobistych i odprowadzono pod eskortą milicji na najbliższą stację kolejową, aby ich odesłać tam, skąd przyjechali[42]. Czeskie siły policyjne w mieście Rychnov na północy Czech postąpiły podobnie z nowo przybyłymi Romami ze Słowacji, podejrzewanymi o to, że zjawili się, aby handlować z Niemcami albo kraść, a nie osiąść jak „prawdziwi” migranci[43]. Mimo wszystko to, że w obu krajach pogranicze wykorzystywano do wywożenia tam społecznych czy etnicznych wyrzutków i odszczepieńców, raczej

zniechęcało potencjalnych osadników z centralnych dzielnic do podążania na owe ziemie.

Dwie przeszkody w największym stopniu utrudniały uporządkowaną kolonizację w trzech krajach objętych porozumieniem poczdamskim, czyli w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech: zgraje poszukiwaczy łupów i szabrowników, ściągających na oczyszczone z Niemców obszary, żeby zająć najlepsze domy i przedsiębiorstwa albo po prostu aby złupić opuszczone zabudowania i wywieźć je na własny użytek bądź na sprzedaż, oraz obecność jednostek Armii Czerwonej. Z owych dwóch czynników większe zagrożenie początkowo zdawał się stwarzać ten pierwszy. Na Węgrzech rząd był „poważnie zaniepokojony możliwością pozostawienia opuszczonych szwabskich posesji choćby na dobę, ze względu na prawdopodobieństwo ich złupienia”[44]. Jeżeli Budapesztowi zadanie ochrony tych nieruchomości ułatwiała nieco względnie niewielka skala przesiedleń, to i w Polsce, i w Czechosłowacji władze centralne już na samym początku utraciły kontrolę nad procesem redystrybucji skonfiskowanego niemieckiego majątku i nigdy w pełni tej kontroli nie odzyskały.

Nie będzie zbytnią przesadą stwierdzenie, że szabrownicy i spekulanci wywodzili się w Czechosłowacji i Polsce ze wszystkich grup społecznych, od najuboższych do najzamożniejszych. Na przykład po powrocie do Pragi z wojennej emigracji w Londynie Hubert Ripka, nowo mianowany minister handlu zagranicznego, przywłaszczył „wielką, siedemnastopokojową willę, należącą pierwotnie do niemieckich właścicieli, którzy zostali deportowani”. (Obecnie w budynku tym mieści się ambasada Wenezueli). Minister „wkrótce wyposażył ten dom w najwyższej jakości meble”, pozyskane z tego samego źródła[45]. Jednak dla

niektórych nadgorliwych szabrownictwo było li tylko dalszym ciągiem spekulacyjnego wzbogacania się z czasów Holokaustu. Jak zauważono z niesmakiem w gazecie „The Economist” w lipcu 1946 roku, w środkowej Europie „nowa *lumpenburżuazja* wyrosła w trakcie wojny, najpierw zagarniając mienie wymordowanych Żydów, a potem wysiedlonych Niemców”[46].

Szabrownicy zdarzali się nawet wśród kleru, który z entuzjazmem skorzystał z okazji do nabycia nowych posesji, a także eliminowania wpływów konkurencyjnych wyznań. Protestantyzm stanowił niemal równie silny element czeskiej tożsamości narodowej, jak katolicyzm polskiej, a duchowieństwo głównych wyznań w obu tych krajach nie szczędziło praktycznego i werbalnego wsparcia dla działań władz zmierzających do usunięcia „obcych” – w sensie religijnym i rasowym. Jak wspominał późniejszy polski minister spraw zagranicznych Władysław Bartoszewski, „Kościół katolicki odegrał ważną rolę w polonizacji regionów nad Odrą i Nysą. Niezwłocznie wysłano setki księży na te poniemieckie terytoria. Nowi osadnicy, prawie bez wyjątku katolicy, mówili: skoro proboszcz już tu jest, to pewnie wszystko w porządku”[47]. „Głos Katolicki”, najważniejsza z gazet katolickich w Wielkopolsce, „otwarcie popierał prowadzone przez nowe władze czystki etniczne w Polsce i cieszył się, że pociągną one za sobą również czystki wyznaniowe”[48]. Z 3020 protestanckich zborów na Ziemiach Odzyskanych do 1948 roku aż 2895 przekazano pod katolicki zarząd. Karol Milik, tymczasowy zwierzchnik duchowieństwa na Dolnym Śląsku, kierujący tamtejszą diecezją po usunięciu niemieckiego biskupa zaprzeczył w rozmowie z jednym z brytyjskich dyplomatów, aby w trakcie wysiedleń dochodziło do jakichkolwiek prześladowań Niemców, i zarzucał niektórym

z podlegających mu niemieckich duchownych organizowanie „grup oporu pod płaszczykiem Kościoła” w trakcie oczekiwania na deportację[49]. Antyniemieckie nastroje w kościelnych kręgach nie zawsze jednak dominowały, a brytyjska ambasada odnotowała, że katolicka diecezja wrocławska „zgłosiła ostry protest przeciwko […] przejawom nietolerancji” wobec kleru luterańskiego. Pewien katolicki ksiądz, który „odmówił koncelebrowania mszy w zborze protestanckim, zajętym przez Polaków i przydzielonym mu”, został ukarany usunięciem z tej placówki. Zasadniczo wszakże polski Kościół katolicki pozytywnie odniósł się do wypędzenia duchowieństwa protestanckiego, a także niemieckich księży katolickich oraz wiernych i ze wszech miar pomagał władzom świeckim w realizacji tej polityki, zarazem energicznie upominając się o opuszczone ziemie i budynki protestanckich zborów[50].

Odmienna sytuacja wystąpiła w Czechosłowacji, gdzie katolicki kler, jak stwierdziła Emilia Hrabovec, „nie ośmielał się na żadną otwartą konfrontację” z władzami państwowymi z obawy przed „znacjonalizowaniem jego znacznego majątku […] lub niebezpiecznymi skutkami określania go mianem zacofanego i niepatriotycznego przez coraz bardziej lewicowe i radykalne społeczeństwo”[51]. Niepokoje te wcale nie były bezpodstawne. W kraju Jana Husa wyjście katolickich na ogół Sudetendeutschów uznane zostało, zwłaszcza przez duchowieństwo protestanckie, za wyraz Bożej woli. Ewangelicki teolog František Bednář argumentował publicznie, popierając wysiedlenia, że Sudetendeutsche w istocie mieli na sumieniu podwójny grzech główny. Ich postępowanie w okresie nazistowskiej okupacji „było tylko kulminacją i manifestacją tego, co nosili w sercach od stuleci” i rzekomo opowiedzieli się „w

pełni i świadomie po stronie kłamstw, przemocy, nieludzkiego okrucieństwa". Ich usunięcie było zatem, w odczuciu czechosłowackich protestanckich duchownych, „z całym szacunkiem dla chrześcijaństwa" praktyczną i moralną koniecznością. „Dalsza obecność niemieckiej ludności w Czechosłowacji w przyszłości zagroziłaby duchowemu stanowi tego narodu"[52]. Nie trzeba dodawać, że taka interpretacja woli Opatrzności bardzo odpowiadała doczesnym aspiracjom czeskich duchownych. A ponieważ niemiecki Kościół luterański w Czechosłowacji „w sensie prawnym przestał istnieć", jego majątek przypadł protestanckiemu Kościołowi Braci Czeskich (ČCE). Pewien szkocki duchowny, który w tym czasie odwiedził Czechosłowację, odniósł się jednak z dezaprobatą do nacisków wywieranych przez „pozbawionych skrupułów ludzi z innych Kościołów", roszczących sobie pretensje do części pozostawionych majątków. Jak zauważył, nawet w sferach religijnych perspektywa szybkiego wzbogacenia się stawała się „moralną pokusą, a szarpanina o niemieckie mienie przypomina kalifornijską gorączkę złota albo podział bogactw klasztorów rozwiązanych przez Henryka VIII"[53]. Mimo wszystko w przyszłości większość Kościołów w Czechosłowacji i Polsce miała powody, aby żałować wykorzenienia zasiedziałych społeczności, kultywujących tradycje i praktyki religijne. Okazało się, że znacznie łatwiej je zniszczyć, niż odtworzyć czy rozbudzić. Zwłaszcza w Czechosłowacji osadnicy demonstrowali dużo mniejszą religijność od wysiedleńców; w nadchodzących latach świątynie i pomniki nierzadko posłużyły nowym parafianom głównie jako przydatne źródło materiałów budowlanych[54].

Co się tyczyło wydarzeń o bardziej przyziemnym charakterze, to nadana we wrześniu 1945 roku audycja

Radia Warszawa informowała słuchaczy o niepokojącym rozprzestrzenianiu się nowej „choroby społecznej”. Dlaczego, zapytywał retorycznie spiker, tak trudno porządnym polskim obywatelom dostać miejsce w którymś z pociągów jadących na zachód. Z pozoru odpowiedź wydawała się oczywista. Pociągi te były zatłoczone, gdyż osadnicy wyjeżdżali na Ziemie Odzyskane, aby tam zacząć nowe życie. Każdy z tych kolonistów miał prawo do darmowego przejazdu i państwowej dotacji na pierwsze wydatki do czasu urządzenia się na nowym miejscu. Jednakowoż uczciwi obywatele ze zdziwieniem obserwowali, że osadnicy wywozili na ziemie zachodnie prawie wszystko, co posiadali. Zdumiewano się jeszcze bardziej, widząc „powracające te same pociągi, zapchane dziesięć razy bardziej, nie tylko pasażerami, ale i tobołkami, walizkami, paczkami, maszynami do pisania i do szycia, radioodbiornikami itd.”. Wyjaśnienie było jasne: „Ci «osadnicy» wracali jako «szabrownicy», obładowani wszelkiego rodzaju dobrami, nabytymi w sposób bardziej lub mniej legalny”.

> Skoro pierwsza wyprawa okazała się dochodowa, to trzeba spróbować znowu! Kiedy jedna miejscowość zostanie ogołocona przez tych „osadników”, jadą do następnej: ze Śląska na Pomorze, z Pomorza na Mazury, a stamtąd z powrotem na Śląsk. […] Niektórzy ludzie powiadają, że spekulanci zaspokajają nasz popyt na odzież, pościel i inne dobra użytkowe; że zubożali mieszkańcy Warszawy także chcą sypiać na poduszkach, okrywać się kocami, nosić czystą koszulę i porządny garnitur. Niemcy ograbili całą Polskę, więc Polacy powinni kupować te rzeczy w rozsądnych cenach. […] Wszystko to prawda, ale czyż organizacje

> społeczne albo związki zawodowe nie mogą się tym zająć i rozdzielić te dobra między ludzi? […].
>
> Tymczasem zawodowi spekulanci: 1) okradają państwo, podróżując za darmo; 2) powodują tłok w pociągach; 3) są powodem nieprawdziwych danych statystycznych dotyczących ruchu osadników na zachód, gdyż nawet najlepsi statystycy nie są w stanie odróżnić prawdziwych osadników od tych, którzy tylko się za takich podają; 4) ogałacają okolice tak doszczętnie, że prawdziwi osadnicy zastają tam pustkę. To choroba, zaraza, którą należy energicznie zwalczać[55].

To bez wątpienia prawda, że prawdziwych kolonistów wyprzedzali szabrownicy i „dzicy osadnicy", zajmując najlepsze domy, gospodarstwa i ruchomości bez oficjalnego zezwolenia. Bolesław Drobner, prezydent Wrocławia, oceniał, że 60 procent przybyszów, którzy zjawili się tam w roku 1945, zjechało tylko po to, aby rabować; w Szczecinie i innych większych miastach odsetek szabrowników przypuszczalnie był zbliżony[56]. Przedstawiciele cywilnych władz często słali do Warszawy skargi na nieodpowiedzialnych osadników, a zdarzyło się nawet na oficjalne zażalenie „po tym, jak z Krakowa przyjechał pociąg z wielką zgrają ludzi z krakowskiego «marginesu» – przestępców, spekulantów i nałogowych alkoholików". Na drodze poszukiwaczom cennych drobiazgów nie stali nawet zmarli. Jan Gross i inni zwracali uwagę, że podczas wojny tereny w pobliżu obozów zagłady, gdzie grzebano zwłoki ofiar Holokaustu, były miejscami wykopalisk, gdzie polscy cywile i radzieccy żołnierze poszukiwali złotych plomb i koronek zębowych oraz innych wartościowych rzeczy przeoczonych przez Niemców[57].

Podobnie działo się na niemieckich cmentarzach po wojnie. François Ehrenhold, szef delegacji MKCK w Polsce, po zapoznaniu się z raportem o tym, że „na cmentarzach we Wrocławiu [niemieckie] grobowce rodzinne były systematycznie bezczeszczone w poszukiwaniu łupów, które mogły się tam znajdować (złotych zębów, biżuterii itp.), a sprawcy tych haniebnych czynów nie trudzili się nawet zamykaniem splądrowanych grobów", postanowił odwiedzić cmentarz w Osobowicach (Ostwitz). Zastał tam „otwarte rodzinne grobowce, porozbijane trumny oraz sześć, siedem, a może i więcej czaszek i ogołoconych [ludzkich szczątków] porozbijanych siekierą"[58]. Doniesienia z polskich źródeł o plądrowaniu niemieckich cmentarzy – skąd kradziono nie tylko złoto, ale i ołowiane lub cynkowe wieka trumien na złom, marmurowe płyty nagrobne, którymi ozdabiano następnie domy, oraz rozbierano krypty na materiały budowlane – napływały aż do późnych lat pięćdziesiątych.

Grabieżcy z Armii Czerwonej zapewne doprowadzali do wyjazdu z Ziem Odzyskanych prawdziwych osadników w jeszcze większym stopniu aniżeli najgorsi z szabrowników. Niezliczone meldunki potwierdzały, że radzieccy żołnierze niezmiennie wyznawali „zasadę, iż wszystko, co pozostało po wycofaniu się Niemców, to ich «zdobycz wojenna»: maszyny i żywiec, płody rolne, wyposażenie fabryk itp."[59]. Nawet „tak prymitywne narzędzia jak siekiery, brony, kosy itp. były wywożone do Rosji"[60]. Paradoksalnie, „dzikie wypędzenia" z lata 1945 roku sprzyjały Sowietom: skutkiem chwilowego braku osadników na miejsce wygnańców i po wywozie ludności niemieckiej był, jak po czasie donoszono z gorzowskiego oddziału PUR w Wielkopolsce, przepadek „całego niemieckiego mienia ruchomego w Gorzowie na rzecz radzieckich żołnierzy", podczas gdy zboża we wschodniej

części byłej Marchii Brandenburskiej gniły na polach[61]. Rozczarowany sekretarz lokalnej komórki partii komunistycznej użalał się, że kiedy tylko napływowym Polakom udawało się w miarę uporządkować poniemiecką farmę, pojawiali się czerwonoarmiści i ją zajmowali.

Zatem, tak jak w Czechosłowacji, jeszcze większym problemem od rekrutacji chętnych do osiedlenia się na Ziemiach Odzyskanych było skłonienie ich, aby na nich pozostali. Chociaż Warszawa wolała kierować tam „pionierów" – chłopów zza Bugu, ponieważ umieli gospodarować i zwykle wieźli ze sobą sprzęt rolniczy oraz zwierzęta hodowlane, to

> jednak nie zawsze odpowiadało [im] podporządkowywanie się władzom. W Kaliszu Nowym [Kaliszu Pomorskim], wedle naszego komunistycznego informatora, stało osiem wagonów kolejowych pełnych nowych osadników, którzy wysłali jednego ze swego grona na zlustrowanie okolicy, a po wysłuchaniu jego relacji zastrajkowali. Pewien rolnik z Tarnopola pytał, czy mógłby zabrać się z nami „gdziekolwiek z powrotem do Polski"[62].

Kolejny zmęczony osadnik opowiedział Leonardowi Hollidayowi, jak to jemu samemu i innym repatriantom „znudziło się spanie przy koniach, z bronią w ręku"[63]. Często kolonistom tak bardzo brakowało żywności, że musieli zjadać ziarno na zasiewy, aby przetrwać pierwszą zimę w swoich nowych domach[64]. Niewielki areał działek rolnych, jakie im przydzielano – na ogół od 7 do 15 hektarów, w zależności od klasy gruntu – także nie chronił od możliwych nieszczęść, przynajmniej w pierwszych trudnych latach. Nic dziwnego, że w miejscowości Grodków na Śląsku lokalny urzędnik wyznał Hollidayowi, iż głodnych

osadników „trzeba było siłą powstrzymywać od powrotu na Wschód”[65].

Warunki, w jakich znaleźli się repatrianci ze Wschodu, były zaiste tragiczne, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę to, co przeszli przed przybyciem do swoich nowych domostw. Setki tysięcy miało za sobą doświadczenia zbliżone do tych, które były udziałem Michała Sobkowa, zmuszonego przez Sowietów do opuszczenia swojego gospodarstwa w Koropcu we wschodniej Galicji w 1945 roku. Po wysiedleniu musiał wraz z rodziną wyczekiwać w namiocie w obozie w Pyszkowicach na transport na Ziemie Odzyskane. Kiedy w końcu powiadomiono ich o wyjeździe, z zaledwie dwugodzinnym wyprzedzeniem, stłoczyli się wraz ze zwierzętami gospodarskimi w wagonach i pociąg raptownie ruszył. Połowa wagonów pozostała na miejscu. Sobków i jego krewni właściwie nie mieli zapasów jedzenia na podróż; zwierzęta zaczęły padać z braku paszy i wody. Ludzie umierali także i grzebano ich koło torów kolejowych. Po tej piekielnej jeździe trwającej ponad miesiąc rodzina Sobkowa osiadła w Brochowie koło Wrocławia i wtedy przekonała się, że ci, którzy przybyli tam wcześniej, pozajmowali już wszystkie porządniejsze poniemieckie nieruchomości[66].

Łatwym do przewidzenia rezultatem było rozczarowanie i rozgoryczenie z powodu nieprawdziwego obrazu nowych ziem zachodnich, przedstawianego przez rządowych ministrów. Przebywający na miejscu brytyjski dziennikarz zwrócił uwagę na mnóstwo afiszy zachęcających do wyjazdu go „polskiego nowego raju”, porozlepianych na murach w miastach w centralnych rejonach kraju. „«Wzbogać się na zachodzie», głoszą gazety. «Ziemia i praca dla wszystkich», słychać w radiu, w każdej kolejnej audycji”[67]. Szczególnie Radio Lublin roztaczało świetlane

wizje, przekonując przyszłych osadników w czerwcu 1945 roku, że „wszystkie gospodarstwa na zachodnim Pomorzu są porządne; mają dobre zabudowania i dosyć sprzętu, wielkie zapasy ziemniaków i ziarna. Perspektywy osiedlenia się w miastach też są dobre; nadal jest tam wiele pustych umeblowanych mieszkań, a także wiele zakładów pracy”[68]. W podobnie pewnym tonie na łamach „Trybuny Związkowca” obiecywano osadnikom na Ziemiach Odzyskanych „największe bezpieczeństwo”[69].

Rzeczywistość najczęściej przedstawiała się zupełnie inaczej. Ambasador Cavendish-Bentnick donosił o przeżyciach pewnego znajomego Polaka, który w sierpniu 1945 roku przeniósł się z siostrzenicą z Poznania do Szczecina, by tam poszukać szczęścia. „Perspektywy wydawały się kuszące – rządowa propaganda obiecywała przyszłym osadnikom niesłychane możliwości wszelkiego rodzaju. Przepełniony pociąg, z żądnymi przygód podróżnymi na stopniach i dachach [wagonów], dowodził wiary polskiej opinii publicznej w prawdziwość tych zapewnień”. Znajomy ambasadora przekonał się jednak, że około 70 procent miasta było morzem ruin w wyniku wojennych bombardowań RAF-u i że Armia Czerwona zajęła większość ocalałych domów. Trwała otwarta wojna między bandami radzieckich żołnierzy, często pijanych, polujących bez skrępowania na cywilów, a polskimi milicjantami. Po dwóch dniach niedoszli osadnicy wrócili do Poznania. „Pociąg był zatłoczony powracającymi, rozczarowanymi «poszukiwaczami szczęścia», którzy nie szczędzili mocnych słów, wyrażając swoje zdanie na temat rosyjskiego «żołdactwa żądnego złota» i «nowych władz» w Polsce, tolerujących taki stan rzeczy i chodzących na pasku Moskwy”[70]. Również Robin Hankey i Michael Winch przekonali się, że większość repatriantów, z którymi

rozmawiali na Dolnym Śląsku, „była bardzo zdenerwowana […] skarżąc się, że Rosjanie często ich rabowali, a niektórzy powiadali, że oddaliby wszystko, aby wyjechać gdzie indziej, jeśliby tylko wiedzieli, dokąd się udać”[71]. Paradoksalnie w większych miastach na Ziemiach Odzyskanych przestępczość raptownie wzrosła już po pierwszej fali szaleńczego wyścigu po poniemieckie mienie. Brytyjski wicekonsul w Szczecinie objaśnił to zjawisko faktem, że „opustoszałe domy i perspektywa łupów przyciągnęły znaczną liczbę awanturników, którzy przez pewien czas żyli sobie dostatnio, zbywając swoje nieuczciwie zdobyte dobra w Warszawie i w innych miastach, a nawet sprzedając je prawdziwym osadnikom”. Kiedy to źródło łatwych zdobyczy z poniemieckich źródeł się wyczerpało, bardzo licznie reprezentowane środowisko przestępcze musiało na powrót zająć się „tradycyjną” działalnością kryminalną, a wskutek tego liczba zabójstw, rozbojów i napadów bandyckich oraz włamań wzrosła niepomiernie[72].

Ale choć repatrianci i koloniści z centralnej Polski mieli wszelkie powody do rozczarowania, to etniczni Polacy z Ziem Odzyskanych, którzy przetrwali na tych terenach całą wojnę, też nie mieli lekkiego życia. Przekonał się o tym pewien urzędnik z komitetu repatriacyjnego w Bydgoszczy w trakcie podróży służbowej po tych obszarach w lipcu i sierpniu 1945 roku. Zaraz po wycofaniu się oddziałów Wehrmachtu polscy chłopi i robotnicy rolni z okolic pospiesznie zajmowali niemieckie gospodarstwa. Jednak zaledwie 25 procent ziemi uprawnej zostało przeznaczone przez ministerstwo do rozdania wśród miejscowych, pozostałe 75 procent zarezerwowano dla osadników z utraconych Kresów Wschodnich oraz z centralnej Polski. Miejscowi bardzo niechętnie odnosili się do tych

przybyszów, uważając, że dzięki przymusowej pracy, jaką wykonywali w niemieckich gospodarstwach w czasie wojny, nabyli prawa do owych gruntów. Głosząc hasło „Pomorze dla Pomorzan”, nie chcieli ustępować miejsca osadnikom. Co gorsza, owi dzicy lokatorzy dewastowali gospodarstwa, wyprzedawali zwierzęta hodowlane i pozwalali niszczeć nieużywanym maszynom rolniczym. Podobnie działo się w samej Bydgoszczy, gdzie osadnicy, którym przydzielono tam domy, drobne przedsiębiorstwa i warsztaty, zastawali już w nich zasiedziałych okolicznych mieszkańców[73]. O ile obowiązujące prawo niewątpliwie faworyzowało oficjalnych osadników spoza danego regionu, o tyle jest niezupełnie jasne, czy ich roszczenia do poniemieckiego mienia były bardziej uzasadnione.

Od czasu do czasu czerwonoarmiści udaremniali Polakom wywłaszczanie niemieckich właścicieli – albo dlatego, że Sowieci nie kryli swojej polonofobii, albo z tego powodu, że ci Niemcy wykonywali przydatne im usługi. W styczniu 1946 roku nowy minister Ziem Odzyskanych Władysław Gomułka zwrócił się z protestem do marszałka Żukowa, dowódcy wojsk radzieckich w Polsce Konstantego Rokossowskiego i radzieckiego ambasadora w Warszawie Wiktora Lebiediewa z powodu nieskrywanego proniemieckiego nastawienia niektórych starszych rangą oficerów Armii Czerwonej i zaproponował, aby zakazać żołnierzom wojsk radzieckich na Ziemiach Odzyskanych stacjonowania w kwaterach prywatnych dla zapobieżenia ich „fraternizacji z Niemcami i faworyzowania ich [Niemców] kosztem ludności polskiej”[74]. Niewątpliwie istniały pewne podstawy do takich skarg[75], choć przypadki wspomnianego rodzaju zapewne nie zdarzały się aż tak często, jak to się niekiedy utrzymuje. Znacznie częściej Niemcy bywali wyrzucani z domów przez polskich

urzędników niższej rangi, „ale po krótkim czasie mogli zawsze wrócić i wtedy stwierdzali, że chociaż domy zostały splądrowane, to nadal byli w stanie jakoś je naprawić”. W rezultacie Niemcy nabrali wprawy w ukrywaniu swoich cennych rzeczy w nadziei, że później będą mogli po nie wrócić. To jednak wystawiało ich na wielkie niebezpieczeństwo, gdyż rabusie nie wahali się stosować tortur, aby ich zmusić do ujawnienia kryjówek. Po tym, jak pewien mieszkaniec Dolnego Śląska został aresztowany w lutym 1946 roku przez polską bezpiekę, „czterej Polacy bili go gumowymi pałkami, aż zdradził niektóre skrytki w aptece mojego kuzyna”[76]. Ci, którzy podobnych kryjówek nie ujawniali, czasami ginęli podczas takich przesłuchań.

Wobec znacznej niepewności, niebezpieczeństw, trudności materialnych i wygórowanych cen – koszt życia na Ziemiach Odzyskanych był ponad dwa razy wyższego od tego w centralnej Polsce, a różnicy tej nie kompensował specjalny „dodatek zachodni” do zarobków – znaczny odsetek osadników porzucał te terytoria. Do początków 1946 roku co czwarty z nowych mieszkańców Wrocławia powrócił w rodzinne strony albo przeprowadził się do innej miejscowości, gdzie życie mogło być lżejsze. Ale inni zostawali, zdecydowani przetrzymać trudności. Bynajmniej nie wszyscy przybysze byli ludźmi z marginesu, którzy nie wahali się zabić dla zysku. Tak jak miliony radzieckich obywateli, przepełnionych entuzjazmem wobec perspektyw „budowy socjalizmu” jeszcze za ich życia, podążyło do na poły tylko zbudowanych miast na wschód od Uralu w okresie pierwszej pięciolatki pod koniec lat dwudziestych, podobnie wielu Polaków dało się skusić wyzwaniom i możliwościom, związanym z życiem w społeczności kolonistów. Do takich ludzi należał Jakub

Egit, żydowski działacz z Galicji, który w czasie wojny służył w Armii Czerwonej i stracił wtedy prawie całą rodzinę zabitą przez Niemców w Bełżcu. Po wejściu w skład Centralnego Komitetu Żydów w Polsce (CKŻP) latem 1945 roku Egit pojechał na Dolny Śląsk z zamiarem zorganizowania tam żydowskich osiedli dla posługujących się językiem jidysz ocalałych więźniów obozów koncentracyjnych i ich rodzin oraz zajęcia w tym celu skonfiskowanych niemieckich posesji. Wpadło mu w oko miasteczko Dzierżoniów (Reichenbach), gdzie wprowadzono lokalnie obowiązujące zarządzenie, zgodnie z którym „Niemiec spotykający na chodniku Żyda musiał zejść mu z drogi”[77]. Ostatecznie jednak, mimo obiecujących początków, ów społeczny eksperyment Egita został uznany przez komunistyczne władze za „syjonistyczne odchylenie”, a on sam musiał uciekać do Kanady.

Polscy urzędnicy państwowi często twierdzili, że poważną przeszkodą na drodze do zasiedlenia Ziem Odzyskanych była niezgoda zachodnich aliantów na uznanie tego, że „tymczasowy zarząd” na obszarach przyznanych władzom w Warszawie na konferencji poczdamskiej miał w istocie charakter stały i nieodwracalny. Osadnicy do czasu zyskania całkowitej pewności, że nie będą zmuszeni do opuszczenia tych obszarów na skutek decyzji zwycięskich mocarstw, nie byli gotowi do podejmowania ryzyka związanego z rozpoczynaniem nowego życia na terenach pogranicznych. Na pewno Stany Zjednoczone, kierując się własnymi celami, nie chciały przesądzać o przyszłości polskich Ziem Odzyskanych. Sekretarz stanu James Byrnes wywołał krótkotrwałe poruszenie swoim przemówieniem wygłoszonym w Stuttgarcie we wrześniu 1946 roku, przypominając słuchaczom, że konferencja poczdamska nie

zatwierdziła *de iure* przekazania „Śląska i innych terytoriów wschodnich Niemiec” Polsce, a „zakres obszarów przyznanych Polsce musi zostać określony w ostatecznym porozumieniu [pokojowym]”. Polscy komuniści uznali to wystąpienie za dowód, że Zachód zaplanował odtworzenie Niemiec w ich przedwojennych granicach w ramach swoich antyradzieckich poczynań i dawał wysiedleńcom promyk nadziei na powrót w rodzinne strony. W rzeczywistości wspomniane przemówienie było li tylko zagrywką polityczną ze strony Barnesa. Jego zamiar polegał raczej na próbie zmuszenia Związku Radzieckiego do publicznego potwierdzenia istniejącej granicy polsko-niemieckiej, co osłabiłoby szanse Komunistycznej Partii Niemiec w zbliżających się wyborach w radzieckiej strefie okupacyjnej. Wystąpienie Barnesa przyniosło pożądany skutek, skłaniając Mołotowa do oświadczenia, że ZSRR, podobnie jak inne mocarstwa uczestniczące w konferencji poczdamskiej, w pełni popierał przesiedlenia ludności i „wcale nie przewidywał jakiegokolwiek zrewidowania tej decyzji w przyszłości”. Choć radziecki minister spraw zagranicznych nie był kimś szczególnie uprawnionym do wygłaszania moralnych pouczeń, niemniej jednak tkwiło ziarno prawdy w jego zarzutach, że Barnes, wzbudzając niepokój wśród osadników i na próżno rozbudzając nadzieje wysiedleńców, postąpił „okrutnie […] zarówno w stosunku do Polaków, jak i samych Niemców”[78]. Przemówienie w Stuttgarcie było, wedle słów Cavendisha-Bentnicka, „darem z niebios dla polskiego Ministerstwa Propagandy i dało pretekst do organizowania w całym kraju „spontanicznych” demonstracji – nie bez przyczyny często odbywających się w tych miejscowościach, gdzie silne wpływy miało PSL Stanisława Mikołajczyka[79]. Jednak sami osadnicy nie

przejęli się zbytnio pogróżkami Barnesa. Francis Bourdillon z wydziału analiz MSZ, odwiedzający w czasie wygłoszenia owego przemówienia polskie Ziemie Odzyskane, stwierdził, że osadnicy zasadniczo je zlekceważyli. Uważano tam na ogół, jak donosił, że „Rosjanie nie zgodzą się na zmiany granic, [zachodni] alianci nigdy nie użyją siły, żeby nas wyrzucić, a my nie ugniemy się przed niczym innym”[80].

Największym problemem polskich władz było to, co zrobić z niemal 2 milionami Polaków z ziem inkorporowanych wcześniej do Rzeszy, którzy podczas wojny podpisali Volkslistę, a tym samym podlegali deportacji do Niemiec – kraju wcześniej prześladującego i wykorzystującego wielu z nich. Zgodnie z główną zasadą, ogłoszoną w rozporządzeniu z 6 maja 1945 roku „o wykluczeniu wrogich elementów z polskiego społeczeństwa”, Volksdeutsche mający polskie obywatelstwo przed wojną, których nazwiska znalazły się na Volksliście, bez względu na kategorię, do jakiej zostali przypisani, mieli zostać pozbawieni obywatelstwa polskiego oraz należących do nich nieruchomości. Jednak wobec tego, że tak wielu Polaków podpisało Volkslisty pod przymusem, wprowadzenie takiego przepisu doprowadziłoby do deportowania setek tysięcy ludzi, którzy wcześniej poważnie ucierpieli z rąk Niemców. Pozostawał także palący problem tak zwanej ludności „autochtonicznej” – niemieckojęzycznej, lecz pochodzenia słowiańskiego, głównie Mazurów i Kaszubów. Wielu z nich wolało wyjechać do Niemiec, ale rząd warszawski uważał, że są oni „zgermanizowanymi” Polakami i należy ich „odzyskać” dla narodu. Wspomniane rozporządzenie otwierało więc dwie furtki dla sygnatariuszy Volkslist.

Jak na ironię, decydując o przywróceniu polskiego obywatelstwa tym, którzy utracili je w poprzednich

dekadach, rząd w Warszawie poniekąd kopiował nazistowską politykę narodowościową. Tak jak w czasie wojny kryteria wciągania etnicznych Polaków na Volkslisty stały się na tyle rozmyte, że nierzadko nie stawiano praktycznie żadnych warunków, tak samo władze warszawskie, z identycznych pobudek, dokładały starań, aby komisje weryfikacyjne dodatkowo nie wyludniły nowych ziem zachodnich za sprawą nazbyt skrupulatnego badania wojennych losów sygnatariuszy Volkslist[81]. Po uruchomieniu procesu „rehabilitacyjnego" warunki odzyskania polskiego obywatelstwa były nieliczne i łatwe do spełnienia. W ramach „administracyjnej procedury rehabilitacyjnej" ci, którzy mieli „stałą siedzibę na Ziemiach Odzyskanych przed 1 stycznia 1945 roku", nigdy nie należeli do partii nazistowskiej, na Volkslistach zostali przypisani najwyżej do III kategorii oraz wyrażali gotowość formalnego zadeklarowania lojalności wobec państwa polskiego przed „komisją weryfikacyjną", kwalifikowali się do odzyskania polskiej narodowości – początkowo dostawali oni tymczasowe zaświadczenie o obywatelstwie ważne przez pół roku, a następnie mogli wystarać się o stałe obywatelstwo. Volksdeutschom z kategorii II, którzy nie spełniali takich wymagań, lecz „z innych ważnych powodów mogli być uznani za polskich obywateli", oferowano uzyskanie „rehabilitacji na drodze sądowej", jeśliby przekonali sąd, że podpisali Volkslistę pod przymusem i nigdy świadomie nie wyrzekli się polskości. Co się tyczy Mazurów i innych autochtonów, to zdecydowanej większości z nich nie dano wyboru i zmuszono do przyjęcia polskiej narodowości. (Ale kiedy w połowie lat pięćdziesiątych możliwa stała się emigracja, prawie cała populacja Mazurów przesiedliła się do Niemiec Zachodnich)[82].

Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR) na ogół popierał taką liberalną interpretację zarządzeń. W pomorskim Miastku Paweł Grzeszczak, miejscowy urzędnik zajmujący się osadnictwem, raportował, że hasłem przyświecającym decyzjom weryfikacyjnym w owym regionie było: „Ani kropli polskiej krwi za Odrę”[83]. Leonard Holliday w trakcie jednej z wizyt na Górnym Śląsku także stwierdził, że komisje weryfikacyjne otrzymały zalecenie, aby osoby, które mówiły po polsku i wcześniej nie wstępowały dobrowolnie do niemieckich organizacji, mogły pozostać na miejscu. Nawet dla mniejszości niespełniającej kryteriów stworzono możliwość odwołania się. „Dwukrotnie słyszałem, że ci, którzy nie zdali tego egzaminu (a część z nich naprawdę była propolska), odwołali się do władz radzieckich, a te często umieszczały ich w należących do nich domach i gospodarstwach, wyrzucając stamtąd nowych osadników, skierowanych tam przez polską komisję repatriacyjną”[84].

Gdy jednak w grę wchodziło zwracanie posesji „zrehabilitowanym”, o równie liberalnym podejściu najczęściej już nie było mowy. Teoretycznie nieruchomości byłych Volksdeutschów powierzano opiece PUR lub Głównego Urzędu Likwidacyjnego aż do czasu zakończenia procedury weryfikacyjnej. Ale w rzeczywistości działo się tak sporadycznie. Komisjom weryfikacyjnym nie dano jasnych wskazówek dotyczących trybu wdrażania podjętych decyzji, a w trakcie procesu weryfikacyjnego posesje w niezliczonych przypadkach „poprzydzielano” lub po prostu pozajmowano, podczas gdy ich właściciele tkwili w obozach internowania dla „Niemców”. A więc, niezależnie od losu wysiedlanych Niemców, owe przepisy narażały wielu etnicznych Polaków na kaprysy lokalnych władz bądź skutki pazerności sąsiadów. Na przykład

komendant obozu w Złotowie najczęściej lekceważył orzeczenia lokalnej komisji weryfikacyjnej, przetrzymując „zrehabilitowanych” Polaków za drutami kolczastymi, a w tym czasie sam ograbiał ich domy[85]. Same komisje mogły czerpać dodatkowe dochody ze swoich oficjalnych funkcji albo biorąc łapówki od osób, którym zależało na korzystnym werdykcie – w Poznaniu żądano „wpisowego” w wysokości 6 tysięcy złotych (110 ówczesnych dolarów) w zamian za przyjęcie deklaracji lojalności – albo też za sprawą odrzucania uzasadnionych roszczeń, ażeby członkowie komisji sami byli w stanie przejąć nieruchomości osób ubiegających się o przywrócenie obywatelstwa[86]. Mirosław Dybowski, inspektor weryfikacyjny w województwie gdańskim, donosił o „skandalicznym postępowaniu” tamtejszej komisji, która tylko jednego dnia odrzuciła 37 takich podań. Nieprzypadkowo gospodarstwa rolne i inne dobra odesłanych z kwitkiem aplikantów rychło znalazły się w rękach kompanów członków komisji z miejscowego wydziału Urzędu Bezpieczeństwa (UB), czyli tajnej policji. W jednym ze szczególnie drastycznych przypadków ujawnionych przez Dybowskiego ubekowi o nazwisku Słysk wpadło w oko gospodarstwo należące do rodziny z sąsiedztwa, Regenbrechtów, zakwalifikowanych do weryfikacji. I choć rodzina ta w czasie wojny postępowała nienagannie, to Słysk doprowadził do uwięzienia Regenbrechta w areszcie UB w Kwidzynie i zesłania jego żony wraz z trójką dzieci do obozu pracy przymusowej. Potem sam zajął ich gospodarstwo. Kiedy Dybowski wykrył wiele takich zdarzeń, prowadzone przezeń dochodzenie zostało raptownie przerwane przez pewnego urzędnika z powiatowego zarządu terenów rolnych, który

poinformował go, że nie wolno mu przeprowadzać dalszych inspekcji w Kwidzynie[87].

Poza podobnymi nadużyciami większość problemów brała się z tego, że status prawny nieruchomości Volksdeutschów w Polsce od samego początku był nader niejasny, a kilkanaście niejednoznacznych i często sprzecznych rozporządzeń w tej sprawie zostało wydanych przez władze w Warszawie w okresie od 1944 do 1948 roku. Na mocy zarządzenia z 6 maja 1945 roku tylko te osoby z III i IV kategorii na Volkslistach, które „dobrowolnie" uznały się za Niemców podczas wojny, były narażone na konfiskaty majątku. W praktyce dla przytłoczonych nadmiarem obowiązków urzędników od osadnictwa działających w terenie czynienie takich rozróżnień okazało się niemożliwe i prawie wszystkich „Niemców", bez względu na kategorię, wywłaszczono w ciągu pierwszych miesięcy pokoju. Większość ich posesji przekazano repatriantom ze Wschodu i z centrum kraju, a choć ci ostatni zazwyczaj nie mieli tytułu prawnego do tych nieruchomości, to wielu z nich od chwili objęcia ziemi w posiadanie zainwestowało w nią dużo pieniędzy i pracy, wobec czego usuwanie tych ludzi i oddawanie posesji „zrehabilitowanym" właścicielom wywołałoby silne napięcia i byłoby bardzo źle widziane.

Co najmniej trzykrotnie władze starały się jakoś zaradzić temu grożącemu rozruchami problemowi. Wprowadzona 30 października 1945 roku poprawka do przepisów o osadnictwie głosiła, że „zrehabilitowane" osoby, którym skonfiskowano ziemię, przydzielając ją innym, były upoważnione do otrzymania rekompensaty o podobnej wartości gdzie indziej[88]. Z wielu powodów, między innymi z braku odpowiednich posesji, takie rozwiązanie okazało się niepraktyczne, tak samo zresztą jak podobne, zawarte w ustawie o reformie rolnej z następnego miesiąca.

Wreszcie dekret z czerwca 1946 roku, unieważniający wcześniejsze zarządzenia w tej sprawie, stanowił próbę przecięcia tego węzła gordyjskiego. Lecz i to ostatnie rozporządzenie miało dwie fatalne skazy. Odnosiło się bowiem tylko do konfiskat przeprowadzonych siłą na mocy obowiązujących wcześniej przepisów prawnych i przemilczało zupełnie te dokonane bezprawnie. Ponadto było na tyle źle sformułowane, że nie określało jasno, czy majątek osób występujących w którejś z kategorii na Volkslistach podlegał od tej pory konfiskatom – co doprowadziło do tego, że niewątpliwi „Niemcy" albo nawet „naziści", deportowani wcześniej, mieli prawo ubiegać się o zwrot swojej własności[89].

Jak wskazał pewien pracownik Urzędu Likwidacyjnego w Łodzi, nawet precyzyjnie sformułowane prawa nie były stosowane przez sądy. Pomimo wyraźnych zaleceń rządu, aby znieść niefortunną kategorię „tymczasowej polskości", polska opinia publiczna i sądy często nadal uważały ludzi z Volkslist, bez względu na to, czy ci podpisali je pod przymusem, czy z własnej woli, za takich, którzy nie dotrzymali wierności Polsce w najtrudniejszym okresie dla kraju. I nie godzono się z tym, aby w świetle prawa traktować ich tak samo, jak tych, którzy ucierpieli z rąk nazistów za to, że nie chcieli się wyrzec polskości nawet mimo wywieranych na nich nacisków[90]. Szef polskiej misji repatriacyjnej w brytyjskiej strefie okupacyjnej przemówił w imieniu wielu, zapewniając oficjalnie, że osoby z Volkslist „w zasadzie były wszystkie w różnym stopniu niemieckimi kolaborantami" i należało je odpowiednio potraktować. Częściowo wskutek takiego nastawienia, choć do 31 czerwca 1946 roku sądy przyjęły aż 223 331 podań o rehabilitację, po upływie następnego roku rozpatrzyły pozytywnie zaledwie jedną trzecią z nich. Liczba

uprawnionych do składania takich wniosków, którzy jednak tego nie uczynili, była jeszcze większa. W konsekwencji, jak to celnie ujęto w łódzkim Urzędzie Likwidacyjnym, w terenie obowiązywało hasło *Chacun pour soi et Dieu pour tous* („Każdy dla siebie, a Bóg dla nas wszystkich"), natomiast sądy wydawały niezgodne z obowiązującym prawem wyroki dotyczące konfiskat nieruchomości[91].

Chociaż dokonujące wysiedleń kraje nieobjęte porozumieniem poczdamskim borykały się z mniejszym natłokiem problemów formalnych, gdyż deportowanych stamtąd Volksdeutschów było znacznie mniej niż ludzi wypędzonych z Czechosłowacji i Polski, to istnieją świadectwa wskazujące na ogólny zamęt towarzyszący kolonizacji również w tamtych regionach. Pewien oficer alianckiej misji wojskowej objeżdżający rumuńskie wsie w okolicach Braszowa, Făgăraş i Sibiu, z których deportowano niemiecką ludność, widział „wielkie połacie cennej ziemi uprawnej [...] leżącej odłogiem. Szklarnie na pomidory, sałatę i inne uprawy też stały porzucone, a niekiedy wymagały znacznego kapitału dla odnowy i napraw szkód, wywołanych przez zimowe mrozy"[92]. Takie wrażenia potwierdził dziennikarz agencji Reutera przeprowadzający wywiady z miejscowymi Rumunami z tego regionu w 1946 roku. „Wszyscy oni stwierdzili, że sympatyzują z Sasami [Volksdeutschami] i że przykro im, iż skonfiskowano im [Niemcom] ziemię w ramach reformy rolnej, gdyż grunty te zostały oddane Cyganom, których poparcie rząd chciał w ten sposób zdobyć, a ci Cyganie są bardzo leniwi i nie uprawiają roli"[93]. Podobnie w Jugosławii minister kolonizacji Sreten Vukosavljević ujawnił u schyłku 1945 roku, że program przesiedleń w Wojwodinie nie został zrealizowany zgodnie z planem. Warunki, na jakich zaproponowano obywatelom

jugosłowiańskim 390 tysięcy hektarów skonfiskowanej Niemcom ziemi, były bardzo nieatrakcyjne: pięcioosobowa rodzina była uprawniona do otrzymania zaledwie dwuhektarowej działki. Nowi właściciele musieli czekać 20 lat, zanim wolno im było sprzedać ziemię. Nic więc dziwnego, że z 45 tysięcy rodzin wyznaczonych do osiedlenia w Wojwodinie, z których największy odsetek pochodził z Bośni i Hercegowiny, zaledwie 5 tysięcy przybyło tam do końca 1945 roku. Jednak chłopi ci „nie nawykli do intensywnej uprawy roli. […] W związku z tym w pierwszych latach po kolonizacji dojdzie do określonego spadku produkcji [rolnej]”[94]. Rzeczywistość okazała się dużo gorsza. Do 1950 roku Wojwodina znalazła się na skraju buntu, gdyż 230 tysięcy chłopów, w większości Serbów osiedlonych na poniemieckich gospodarstwach, często siłą opierało się rekwizycjom przeprowadzanym przez państwo jugosłowiańskie, które z kolei uważało ich za „kułaków” i „sabotażystów”[95].

Niewątpliwie głównym skutkiem wysiedleń okazały się wstrząsy ekonomiczne, zarówno na krótką, jak i na dłuższą metę. Rządy państw dokonujących wysiedleń widziały to wyraźnie i twierdziły uparcie, że takie przejściowe zakłócenia normalnej gospodarki to cena warta zapłaty. W jednym z wielu przemówień czechosłowackich przywódców, w których zapewniano, że żaden spadek produkcji nie odwiedzie władz od przyjętej linii politycznej, minister spraw wewnętrznych Václav Nosek oświadczył w lipcu 1946 roku, że jeśliby usłuchać apeli o wyłączenie z akcji deportacyjnej wykwalifikowanych niemieckich pracowników, „wszelkie korzyści materialne wynikłe z takiego postępowania zostałyby zniweczone przez niezbędne koszty związane z bezpieczeństwem”[96]. Jednak sfrustrowany kierownik z zakładów chemicznych w Podlinie

zwrócił uwagę na realne i codzienne konsekwencje takiej polityki, kiedy wskazał, że w jego fabryce „9 tysięcy robotników czeka na uruchomienie produkcji, ale wstrzymuje ich to, że przedsiębiorstwo nie może znaleźć zastępstwa dla 270 niemieckich […] chemików, którzy zostali wyrzuceni”[97]. Także na prowincji do lata 1946 roku niezbędne okazało się sprowadzenie do Czech 6 tysięcy bułgarskich robotników rolnych, aby uzupełnić brak rąk do pracy, spowodowany deportacją Niemców. Podobne przykłady z Polski i Czechosłowacji można by przytaczać bez końca. Choć, zgodnie z oficjalnymi polskimi danymi, które prawdopodobnie były zdecydowanie zawyżone, około 4 milionów kolonistów osiadło na Ziemiach Odzyskanych do końca roku 1946, to zakłady produkcyjne zasadniczo stały tam bezczynnie, w znacznej mierze z powodu wywozu wykwalifikowanej siły roboczej. Tylko 7 tysięcy osób pracowało w branży chemicznej w porównaniu ze 180 tysiącami na tych samych obszarach przed wojną. Działało zaledwie pięć z 54 przędzalni bawełny, a sektor mechaniczno-inżynieryjny znajdował się we wprost opłakanym stanie[98].

W każdym z krajów, skąd wysiedlano Niemców, rządy, ludność i duchowieństwo starały się usilnie zacierać wszelkie zastane ślady niemieckości. Edvard Beneš nawoływał swoich rodaków: „Musimy odniemczyć naszą republikę. […] Nazwiska, nazwy regionów i miast, obyczaje – wszystko, co tylko się da, trzeba poddać degermanizacji[99]. Nazwy geograficzne zmieniano z dnia na dzień, często po prostu przekładając je na nowy język (np. Grünberg stał się Zieloną Górą); niszczono pomniki, wymyślając niestworzone historie, aby odesłać w niepamięć wieki niemieckiej obecności[100]. „We Wrocławiu władze zorganizowały specjalne ekipy, które latami usuwały

niemieckie inskrypcje z dzieł sztuki. Zaniedbane niemieckie cmentarze zostały pozamieniane w parki, a kamienie nagrobne posłużyły do budowy kanałów i ścieków”[101]. Za najbardziej ambitną – i nierealistyczną – próbę wymazania przejawów niemieckości uznać wypada rozkaz wydany przez komendanta okręgu wojskowego w jugosłowiańskim Banacie, Srevicia, aby w ciągu 12 godzin pozdejmować z budynków wszystkie niemieckie szyldy i tablice, pod karą egzekucji na miejscu zajmujących te siedziby Niemców[102]. Nie była to li tylko przejściowa tendencja. Jeszcze w 1989 roku podania o wizę wjazdową do Polski składane przez Niemców pochodzących z Ziem Odzyskanych bywały rutynowo odrzucane, jeżeli aplikant w rubryce informującej o miejscu urodzenia wpisywał dawną, niemiecką nazwę miejscowości[103]. Degermanizacja obejmowała nie tylko kary za posługiwanie się językiem niemieckim, ale i naciski wywierane na mieszkańców, aby zmieniali brzmiące z niemiecka nazwiska. Jednak kampania ta przyniosła niejednoznaczne rezultaty. Dochodziło do kulturowych, a czasem i fizycznych konfrontacji między polskimi osadnikami a autochtonami z Ziem Odzyskanych, którzy przez lata ulegli znacznemu zniemczeniu. Miejscowi potrafili też odrzucać nowe nazwy miejscowości, czasami je „bojkotując, a nawet niszcząc przydrożne tablice z nowymi nazwami. […] Dla nich zmienianie nazw na ziemiach, na których żyli, nigdy nie było procesem repolonizacji, lecz raczej polonizacją wbrew ich woli”[104].

Wrzucanie świadectw niemieckiego osadnictwa do Orwellowskiej „dziury w pamięci” było jednym; lokowanie w jego miejscu zdolnych do utrzymania się społeczności okazało się osobnym problemem. Norman Davies i Roger Moorhouse twierdzą, że repatriantom ze wschodniej Polski

przybywającym, aby osiąść na Ziemiach Odzyskanych, nigdy nie powiodło się urzeczywistnienie drugiego z tych celów:

> Przynajmniej do 1970 roku sądzili, że ich pobyt na Śląsku jest tymczasowy. […] Popadali w alkoholizm. Nie naprawiali rynien ani centralnego ogrzewania, a potem masowo cierpieli na reumatyzm w wilgotnych i zimnych pomieszczeniach. Patrzyli obojętnie na sterty porzuconych maszyn i narzędzi rolniczych, które rdzewiały w przeciekających stodołach. […] Jeśli mieli taką możliwość, wysyłali swoje dzieci do centralnej Polski. Obiektywnie rzecz ujmując, ich los był równie tragiczny jak dola wypędzonych Niemców, których ziemię i mienie z takimi oporami przejęli. Ich sytuację można podsumować trzema słowami: apatia, alkoholizm, alienacja[105].

I choć ten ponury obraz dotyczył bardziej pierwszego pokolenia osadników niż ich potomstwa, to oznaki społecznego zdeprawowania i różnych trudności życiowych utrzymywały się uparcie na skolonizowanych pograniczach wszystkich krajów, z których po wojnie deportowano Niemców. Pomimo energicznych starań rządu czechosłowackiego alkoholizm szerzył się wśród osadników we wsiach w Kraju Sudeckim[106]. Nierównomierny skład socjalny migrujących grup – zwłaszcza niechęć przedstawicieli pracującej klasy średniej do przenosin w oczyszczone z Niemców regiony – sprawił, że tamtejszym społecznościom dawał się we znaki brak podstawowych udogodnień i usług. W okręgu wokół miasta Tachov w zachodnich Czechach na początku lat pięćdziesiątych na 17 tysięcy mieszkańców przypadał tylko jeden lekarz. Dotkliwy niedobór nauczycieli okazał się szczególnie trudny

do rozwiązania i wraz z brakiem takich placówek kulturalnych jak kina czy biblioteki należał do głównych czynników, które powodowały, że osadnicy przenosili się ze wsi z powrotem do dużych miast. W połowie lat pięćdziesiątych trend ów przeobraził się we wzorzec; mimo usilnych starań państwa, aby zapobiec wyludnianiu się terenów rolniczych, zjawisko to trwało aż po kres XX wieku. W 1985 roku liczba ludności czeskiego pogranicza, mimo przyrostu naturalnego, nie osiągnęła poziomu z 1930 roku, a tym bardziej z roku 1945[107].

Inni komentatorzy stwierdzili, że rzeczywisty wpływ operacji wysiedleńczej na społeczeństwa objętych nimi krajów stał się widoczny dopiero po upływie dziesięcioleci. Edvard Kardelj, wicepremier w rządzie Tity, miał później w rozmowie z Milovanem Dżilasem zauważyć niewesoło, że Jugosławia pozbawiła się „naszych najbardziej produktywnych mieszkańców”[108]. Czechosłowacja również nie nadrobiła ekonomicznych strat z drugiej połowy lat czterdziestych. Chociaż proces konfiskaty i redystrybucji niemieckiego majątku miał zasilić Fundusz Odnowy Narodowej 80 miliardami koron, to w istocie tylko mniejsza jego część, o wartości zaledwie 34 miliardów koron, została spieniężona przez państwo czechosłowackie[109]. Pisarz Petr Příhoda uznał, że poza takim zmarnowaniem lub nieodpowiednim wykorzystaniem zasobów deportacje wyrządziły Czechosłowacji trwałą szkodę, której nie sposób zmierzyć w samych tylko kategoriach finansowych. Próba zastąpienia zintegrowanych społeczności rozwijających się przez stulecia nowymi, zmontowanymi w wielkim pośpiechu, złożonymi z mało stabilnych grup ludności, znacznie uzależnionych od szczodrości czechosłowackiego państwa, wyjałowiła czechosłowackie społeczeństwo i bardzo osłabiła

polityczny „system odpornościowy” tego kraju. Szkody nie ograniczały się zresztą wyłącznie do regionów pogranicznych. Wyjazd tak wielu ludzi z dzielnic centralnych na peryferia w tak krótkim czasie stworzył też nienaturalny wzorzec wewnętrznej migracji, nadwyrężył żywotność obszarów porzucanych przez osadników w równie dużym stopniu jak tych, do których osadnicy napływali. Eagle Glassheim nie przypisuje aż tylu zgubnych skutków wysiedleniom co dekadom komunistycznego złego zarządzania, niemniej w studium poświęconym północnym powiatom byłego Kraju Sudeckiego wskazał, że w chwili, gdy deportacje ruszyły pełną parą, „urzędnicy z władz centralnych nie przestali traktować północnych Czech jako wielkiego laboratorium”[110]. Wywózka Niemców, twierdzi Glassheim, posłużyła zatem za wzór – oraz katalizator – niefortunnych eksperymentów związanych z odgórnym budowaniem komunistycznej utopii, która siała spustoszenie w Czechosłowacji i innych krajach środkowoeuropejskich przez cztery następne dekady.

Bez względu na ostateczną ocenę tych długofalowych konsekwencji pozostaje faktem, że regiony oczyszczone z Niemców w latach czterdziestych XX wieku w żaden sposób nie mogą świadczyć o pozytywnym wpływie przesiedleń ludności. Częściowym tego powodem była nadgorliwość rządów zainteresowanych państw w dekretowaniu rzekomej pełnej integracji tamtych ziem z resztą kraju oraz przedwczesne zaprzestanie udzielanie pomocy tamtym terenom przez władze centralne. Na otwartej z wielką pompą Wystawie Ziem Odzyskanych zorganizowanej pod koniec lipca 1948 roku we Wrocławiu obwieszczono „całkowite zintegrowanie ziem zachodnich i północnych z resztą kraju”[111]. Cztery miesiące później rząd polski postanowił rozwiązać Ministerstwo Ziem

Odzyskanych, oficjalnie dlatego że nie było już potrzeby, by istniała taka organizacja, oraz by umniejszyć rangę PUR podporządkowanego od tej pory Ministerstwu Administracji Publicznej. Jak chełpliwie zapewniał w styczniu 1949 roku jeden z polskich parlamentarzystów, „problem Ziem Odzyskanych jako odrębnej kwestii w Polsce Ludowej przestał istnieć”[112]. Rzeczywistość znacznie od tego odbiegała. Choć do roku 1950 przekazano 700 tysiącom rodzin około 5 milionów hektarów poniemieckich ziem uprawnych na Ziemiach Odzyskanych, a obszary te znowu stały się samowystarczalne pod względem żywnościowym, niebawem zaznaczył się tam odpływ ludności wiejskiej do miast pod wpływem przyspieszonego przez władze i coraz bardziej przymusowego programu kolektywizacji rolnictwa[113]. A ponieważ łącznie tylko pięć procent użytkowników gruntów w poniemieckich gospodarstwach otrzymało pełne tytuły własności do swoich posesji, to setki tysięcy osadników z Ziem Odzyskanych padło ofiarą odgórnego planu „zachęty i przekrętów” po zaledwie pięciu latach pobytu w nowym miejscu[114]. Większość obszarów zachodniej Polski, z których usunięto Niemców, należy do dzisiaj do najsłabiej zaludnionych i najbardziej zacofanych gospodarczo regionów tego kraju. W dużych miastach, jak już wspomniano, trzeba było przez wiele lat wypłacać robotnikom „dodatek zachodni”, aby skłonić ich do stawienia czoła trudom życia na ziemiach pogranicznych. Podobne zachęty dla pewnych kategorii mieszkańców części dawnego Kraju Sudeckiego stosowano aż do końca lat osiemdziesiątych. W krajach czeskich, jak wskazał Caitlin Murdock, nawet po upadku komunizmu „skutki polityki ludnościowej i gospodarczej w okresie powojennym i w epoce komunistycznej odbijają się szczególnie wyraźnie na terenach przygranicznych, znanych na arenie

międzynarodowej z ubóstwa i niszczejącego przemysłu, nie zaś ze swego wyraźnie czeskiego charakteru”[115].

Mimo że powojenne przesiedlenia niewątpliwie otworzyły przed nielicznymi szansę awansu społecznego, zwłaszcza przed mającymi odpowiednie koneksje, to dla większości ludzi nadzieje na obłowienie się tym, co pozostało po Niemcach, miały się nigdy nie ziścić. Zamiast tego koszty akcji wysiedleńczej sprawiły, że na dłuższą metę ci, którzy zajęli miejsce wypędzonych, skorzystali na niej niewiele bardziej od tych, których zmuszono do wyjazdu.

Przypisy

[1] Memorandum inspektora Jana Słowikowskiego z MZO (Ministerstwa Ziem Odzyskanych), 18 VIII 1948; oświadczenie złożone przez Tomasza Dziedzica, przedstawiciela samorządu jeleniogórskiego w Szklarskiej Porębie, 9 II 1948; memorandum Ryszarda Pietkiewicza z wydziału osadnictwa w województwie wrocławskim, 29 I 1948; notatka Kazimierza Ociepki ze Szklarskiej Poręby, 12 V 1948; notatka Dziedzica, 13 V 1948, dokumentacja Ministerstwa Ziem Odzyskanych (MZO), AAN 196, teczka 783/B-5903, AAN, Warszawa.

[2] Cyt. za: F.D. Raška, *The Czechoslovak Exile Government*…, s. 66.

[3] Z.A.B. Zeman, A. Klimek, *The Life of Edvard Beneš*…, s. 189.

[4] Cyt. za: E. Glassheim, *Ethnic Cleansing, Communism, and Environmental Devastation in Czechoslovakia’s Borderlands, 1945–1989*, „Journal of Modern History” 2006, 78/1 (III), s. 78.

[5] V.F. Cavendish-Bentinck do E. Bevina, 13 IX 1945, FO 371/47608.

[6] C. Kraft, *Who Is a Pole*…, s. 116.

[7] „Manchester Guardian”, 30 X 1944.
[8] J. Krejčí, S. Machonin, *Czechoslovakia, 1918–92: A Laboratory for Social Change*, St Martin’s Press, New York 1996, s. 79.
[9] A. Suppan, *Austrians, Czechs, and Sudeten Germans as a Community of Conflict in the Twentieth Century*, Center for Austrian Studies, Minneapolis 2006, s. 34.
[10] I.S. Pogány, *Righting Wrongs in Eastern Europe*, Manchester University Press, Manchester 1997, s. 54.
[11] „The Economist”, 1 I 1944.
[12] L. Olejnik, *Zdrajcy narodu?…*, s. 27–28, 32.
[13] W.R. Dubiański, *Obóz Pracy w Mysłowicach…*, s. 7; A. Ehrlich, *Between Germany and Poland: Ethnic Cleansing and Politicization of Ethnicity in Upper Silesia under National Socialism and Communism, 1939–1950*, rozprawa doktorska, Indiana University, 2005, s. 209, 220.
[14] Z. Radvanovský, *The Social and Economic Consequences of Resettling Czechs into Northwestern Bohemia, 1945–1947*, w: P. Ther, A. Siljak (red.), *Redrawing Nations…*, s. 251.
[15] Cyt. za: Y. Weiss, *Ethnic Cleansing, Memory and Property – Europe, Israel/Palestine, 1944–1948*, w: R. Gross, Y. Weiss (red.), *Jüdische Geschichte als allgemeine Geschichte: Frestschrift für Dan Diner zum 60. Geburtstag*, Vandenhoeck & Ruprecht, Göttingen 2006, s. 164.
[16] H. Service, *Reinterpreting the Expulsion of Germans…*, s. 539.
[17] FO Economic Intelligence Department (Wydział Wywiadu Gospodarczego MSZ), „The Polish Settlement and the Population of Germany”, 27 VIII 1945, FO 371/46990.

[18] Anonimowe memorandum polskiego rządu na uchodźstwie w Londynie, „Warunki w Polsce” (Memorandum nr 5), bez daty (ok. VI 1945), FO 371/47649.

[19] L.G. Holliday, sekretarz handlowy ambasady brytyjskiej w Warszawie, „Report on a Tour of the Baltic Ports”, bez daty (ok. 16 IX 1945, FO 371/47650.

[20] L.G. Holliday, „Observations on a Tour Made Between May 5th and May 14, 1946 by Mr L.G. Holliday, First Secretary (Commercial) of H.M. Embassy, Warsaw”, 20 V 1946, FO 371/36596.

[21] P. Ther, *Deutsche und polnische Vertriebenen: Gesellschaft und Vertriebenenpolitik in der SBZ/DDR und in Polen 1945–1956*, Vandenhoeck & Ruprecht, Göttingen 1998, s. 190; memorandum wydziału raportów specjalnych przy szefostwie wywiadu CCG (BE), 18 V 1947, FO 943/321.

[22] Cavendish-Bentinck do Hankeya, 24 IX 1946, FO 371/56691.

[23] Memorandum (bez nagłówka) G. Liasa, 10 VI 1947, cytowane w liście Anthony’ego Rumbolda, ambasadora brytyjskiego w Pradze, do G.M. Warra z departamentu północnoeuropejskiego MSZ, 15 VIII 1947, FO 371/65823.

[24] J. Topinka, *Zapomenutý kraj: České pohraničí 1948–1960 a takzvaná akce dosídlení*, „Soudobé Dějiny” 2005, 12/3–4, s. 538–539.

[25] „Svobodné Slovo”, 2 VIII 1945.

[26] „Pravda” (Plzeň), 26 IX 1946.

[27] N. Davies, R. Moorhouse, *Mikrokosmos…*, s. s. 444.

[28] T.D. Curp, *The Politics of Ethnic Cleansing: The P.P.R., the P.Z.Z. and Wielkopolska’s Nationalist Revolution, 1944–1946*, „Nationalities Papers” 2001, 29/4, s. 585.

[29] Jan Czyżew, urząd starostwa gdańskiego, „Meldunek sytuacyjny za miesiąc kwiecień 1946 roku z terenu bytowskiego powiatu administracyjnego w województwie gdańskim”, bez daty, AAN 196, 666/B-5777, AAN.
[30] Raport mjr. E.M. Tobina, bez daty (ok. IV 1946), FO 1052/324; ppłk P.F.A. Growse, „Report by Liaison Team, Kohlfurt, up to 3 May 1946”, 4 V 1946, FO 1052/474.
[31] C. Kraft, *Who Is a Pole*…, s. 114.
[32] Raport wywiadu brytyjskiej Armii Renu z przesłuchania Filipa Stanisława Kornelaka, 22 VI 1946, FO 371/56596.
[33] *Anon*., „Beobachtungen und Eindrücke von einer Reise Poznań–Szczecin–Poznań”, 27 VIII 1945, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 384.
[34] T. Staněk, *Verfolgung 1945*…, s. 85.
[35] D.W. Gerlach, *For Nation and Gain*…, s. 40–45.
[36] J. Vaculík, *Reemigrace zahraničnich Čechů a Slováků v letech 1945–1948*, „Slezský Sborník”, 1995, 93/1–2, s. 53–58.
[37] D.W. Gerlach, *For Nation and Gain*…, s. 80.
[38] *Ibid*., s. 94.
[39] A. Wiedemann, *„Komm mit uns das Grenzland aufbauen!”: Ansiedlung und neue Strukturen in den ehemaligen Sudetengebieten 1945–1952*, Klartext, Essen 2007, s. 165–169.
[40] A. v. Arburg, *Tak či onak: Nucené přesídlení v komplexním pojetí poválecné sídelní politiky v českých zemich*, „Soudobé Dějiny” 2003, 10/3, s. 253.
[41] P.B. Nichols, „The Transfer of Germans from Karlovy Vary”, 30 XI 1946, FO 371/56070.
[42] Raport Pawła Grzeszczaka, urzędnika ds. osadnictwa w Miastku, 28 VI 1946, dokumentacja MZO, AAN 196,

666/B-5777, AAN.

[43] D. Gerlach, *Beyond Expulsion*…, s. 280–281.

[44] Mjr A.D. Spottswood, wydział ds. przesiedleńców w amerykańskich wojskach okupacyjnych w Austrii, do płk. E.E. Hyde'a, 28 XII 1945, z połączonego dyrektoriatu ds. repatriacji wydziału administracji cywilnej alianckiego zarządu wojskowego w Niemczech: „Records re Interzonal Population Transfers, 1945–49"; teczka „C.R.X. Memos to Polish Representative", RG 260, 390/42/26-27/6-1, zbiór 221, NARA.

[45] Z. Březina, *The Czechoslovak Democrat: The Life, Writing, and Politics of Hubert Ripka from 1918 to 1945*, rozprawa doktorska, Boston University, 2008, s. 260–261.

[46] „The Economist", 20 VII 1946.

[47] Tekst wywiadu z W. Bartoszewskim w „Der Spiegel"(z roku 2002), w: S. Auer, S. Burgdorff (red.), *Die Flucht: Über die Vertreibung der Deutschen aus dem Osten*, Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart 2002, s. 166.

[48] T.D. Curp, *A Clean Sweep? The Politics of Ethnic Cleansing in Western Poland, 1945–1960*, University of Rochester Press, Rochester 2006, s. 56.

[49] J.G. Holliday, „Observations on a Tour Made Between May 5th and May 14, 1946".

[50] Por. G. Strauchold, *Myśl zachodnia i jej realizacja*…, s. 86–87.

[51] E. Hrabovec, *The Catholic Church and Deportation of Ethnic Germans from the Czech Lands*, „Journal of Communist Studies and Transition Politics" 2000, 16/1–2 (III–VI), s. 66.

[52] F. Bednář, *The Transfer of Germans from Czechoslovakia from the Ideological and Ecclesiastical Standpoint*, Protestant Publishing Company, Praha 1948, s. 26, 57–58.

[53] Robert Smith w „The Scotsman”, 5 XI 1946.
[54] J. Topinka, *Zapomenutý kraj*…, s. 554.
[55] Transkrypcja audycji Radia Warszawa z 10 IX 1945, FO 371/46990.
[56] P. Kenney, *Rebuilding Poland: Workers and Communists, 1945–1950*, Cornell University Press, Ithaca 1997, s. 140.
[57] Por. np. J. Gross, I. Grudzińska-Gross, *Golden Harvest: Events at the Periphery of the Holocaust*, Oxford University Press, Oxford 2012; wyd. polskie: *Złote żniwa. Rzecz o tym, co się działo na obrzeżach zagłady Żydów*, Znak, Kraków 2011, s. 22–30); E.S. Kerstein, *Red Star over Poland*, Nelson, Appleton 1947, s. 81–82.
[58] F. Ehrenhold do wydziału PIC, 21 VIII 1947, G 97/IV, zbiór 1159, CICR.
[59] Anonimowe memorandum (bez daty; ok. IX 1945), „Reforma rolna”, FO 371/47651.
[60] Cavendish-Bentinck do Sargenta, 26 VIII 1945, FO 371/47650.
[61] T.D. Curp, *A Clean Sweep?*…, s. 54.
[62] J.G. Holliday, „Observations of a Tour Made Between May 5th and May 14, 1946”.
[63] *Ibid*.
[64] P. Ther, *Deutsche und polnische Vertriebenen*…, s. 167.
[65] J.G. Holliday, „Report on a Tour in Silesia”, 28 VIII 1945, FO 371/47650.
[66] N. Davies, R. Moorhouse, *Mikrokosmos*…, s. 463–464.
[67] Ch. Lambert w „Daily Herald”, 7 XI 1945.
[68] Zapis audycji Radia Lublin z 2 VI 1945, FO 371/46731.
[69] Cyt. za: P. Kenney, *Rebuilding Poland*…, s. 143.
[70] Anonimowy list, „A Trip to Stettin” („Podróż do Szczecina”), 15 VIII 1945, cytowany w liście Cavendisha-Bentincka do Bevina, 23 VIII 1945, FO 371/47650.

[71] R.M.A. Hankey, M.B. Winch, „Tour of Upper and Lower Silesia – September 1945”, 8 X 1945, FO 371/47651.
[72] J. Walters, brytyjski wicekonsul w Szczecinie, „Stettin General Report No. 3”, 26 V 1946, FO 371/56596.
[73] F. Król z wojewódzkiego komitetu ds. przesiedleń w Bydgoszczy, 5 IX 1945, MZO 665/B-5776, AAN.
[74] W. Gomułka do G. Żukowa, K. Rokossowskiego i W. Lebiediewa, 10 I 1946, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. I, s. 205.
[75] W kwestii podobnych wypadków w radzieckiej strefie okupacyjnej w Niemczech, por. N. Naimark, *The Russians in Germany*…, s. 92–93.
[76] Zeznanie A. Richtera, Brackewede bei Bielefeld, 17 IV 1946, FO 1052/324.
[77] J. Egit, *Grand Illusion*, Lugus, Toronto 1991.
[78] Cyt. za: D.J. Allen, *The Oder-Neisse Line*…, s. 52.
[79] Cavendish-Bentinck do Bevina, 21 IX 1946, FO 371/56598; A.B. Lane, *I Saw Poland Betrayed* (Indianapolis Bobbs-Merrill, 1948), s. 262–263.
[80] F.B. Bourdillon, „Impressions of Poland”, bez daty (ok. XI 1945), FO 371/56598.
[81] D. Gosewinkel, S. Meyer, *Citizenship, Property Rights and Dispossession in Postwar Poland (1918 and 1945)*, „European Review of History” 2009, 16/4 (VIII), s. 587.
[82] R. Blanke, *When Germans and Poles Lived Together: From the History of German-Polish Relations*, w: K. Bullivant, G. Giles, E. Pape (red.), *Germany and Eastern Europe: Cultural Identities and Cultural Differences* (Yearbook of European Studies, t. XIII), Rodopi, Amsterdam 1999, s. 47.
[83] Raport Pawła Grzeszczaka z urzędu ds. osadnictwa w Miastku, 17 V 1946, dokumentacja MZO, AAN 196,

666/B-5777, AAN.

[84] L.G. Holliday, „Report on a Tour in Silesia”, 28 VIII 1945, FO 371/47650.

[85] Wersja robocza raportu jednego z pracowników Inspektoratu MZO, 27 X 1946, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 481.

[86] L. Olejnik, *Zdrajcy narodu?*…, s. 105.

[87] Raport M. Dybowskiego, 24 V 1946, w: W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße*…, t. III, s. 217–218.

[88] L. Olejnik, *Zdrajcy narodu?*…, s. 101.

[89] Anonimowe memorandum MZO (bez daty; ok. XII 1947), „Kwestia zwrotu własności osobom, które podczas wojny 1939–1945 wyrzekły się swej narodowości (tak zwanych *Volksdeutsche*)”, MZO 499/B-5609, AAN.

[90] L. Olejnik, *Zdrajcy narodu?*…, s. 106–107.

[91] A. Malinowski z wydziału prawnego Urzędu Likwidacyjnego w Łodzi do ministra finansów, 26 VII 1947, MZO 499/B-5609, AAN.

[92] Ppłk C.R.S. Wheeler, „Tour of 1427 Kes by Lt. Col. Wheeler”, bez daty, FO 371/48590.

[93] E.M. Barker, „Notes on a Journey to Transylvania February 21–26 1946”, bez daty, FO 371/59125.

[94] M. Portmann, *Politik der Vernichtung?*…, s. 335; R.C.S. Stevenson, ambasador brytyjski w Belgradzie, do Bevina, 23 XI 1945, FO 371/48876.

[95] M. Portmann, *Repression und Widerstand*…, s. 370–393.

[96] Tekst przemówienia Noska w Libercu 14 VII 1946 roku, Cyt. za: cotygodniowym załącznikiem informacyjny ambasady brytyjskiej, 12–18 VII 1946, FO 371/56004.

[97] Memorandum W. Barkera, sekretarza ambasady brytyjskiej w Pradze, 29 VI 1945, FO 817/14.
[98] L.G. Holliday, „Memorandum", 28 X 1946, FO 371/55831.
[99] Cyt. za: E. Glassheim, *Ethnic Cleansing*..., s. 74.
[100] T.D. Curp, *A Clean Sweep?*..., s. 84.
[101] E. Langenbacher, *Ethical Cleansing?*: *The Expulsion of Germans from Central and Eastern Europe*, w: N.A. Robins, A. Jones (red.), *Genocides by the Oppressed: Subaltern Genocide in Theory and Practice*, Indiana University Press, Bloomington 2009, s. 64.
[102] Treść rozkazu z 18 X 1944 roku, Cyt. za: M. Portmann, *Politik der Vernichtung?*..., s. 342.
[103] T. Urban, *Der Verlust: Die Vertreibung der Deutschen und Polen im 20. Jahrhundert*, C.H. Beck, München 2004, s. 181.
[104] J. Yoshioka, *Imagining their Lands as Ours: Place Name Changes on Ex-German Territories in Poland after World War II*, w: T. Hayashi (red.), *Regions in Central and Eastern Europe: Past and Present*, Slavic Research Centre, Hokkaido University, Sapporo 2007, s. 285.
[105] N. Davies, R. Moorhouse, *Mikrokosmos*..., s. 478.
[106] J. Topinka, *Zapomenutý kraj*..., s. 552.
[107] 107 A. Wiedemann, *„Komm mit uns"*..., s. 411, 427.
[108] M. Djilas (Dżilas), *Wartime*, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1977, s. 423.
[109] B.F. Abrams, *Morality, Wisdom and Revision: The Czech Opposition of the 1970s and the Expulsion of the Sudeten Germans*, „East European Politics and Societies" 1995, 9/2 (wiosna), s. 245–246.
[110] E. Glassheim, *Ethnic Cleansing*..., s. 88.
[111] G. Strauchold, *Myśl zachodnia i jej realizacja*..., s. 322.

[112] L. Dura, cyt. za: G. Strauchold, *Myśl zachodnia i jej realizacja*..., s. 334.
[113] H.Å. Persson, *Viadrina to the Oder-Neisse Line: Historical Evolution and Regional Cooperation*, w: S. Tägil (red.), *Regions in Central Europe: The Legacy of History*, Purdue University Press, West Lafayette 1999), s. 242.
[114] P. Ther, *Deutsche und polnische Vertriebenen*..., s. 225.
[115] C. Murdock, *Changing Places: Society, Culture, and Territory in the Saxon-Bohemian Borderlands, 1870–1946*, University of Michigan Press, Ann Arbor 2010, s. 208.

ROZDZIAŁ 10

Reakcja zagranicy

Johannes Kostka, niemiecki jeniec wojenny przebywający w brytyjskim obozie w Egipcie, pod koniec 1947 roku napisał do biura amerykańskiego zarządu wojskowego we Frankfurcie, wyrażając w tym liście niepokój o losy swojej młodej żony Gertrudy, mieszkanki Bielska-Białej (Bielitz) w południowo-zachodniej Polsce. Urodzona w roku 1921 Gertruda Kostka przyszła na świat niedługo po rozpadzie Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Chociaż okolice Bielska zamieszkane były głównie przez ludność niemieckojęzyczną, to po I wojnie światowej zostały przekazane Polsce. W przypadku Gertrudy Kostki rok urodzenia okazał się kluczową sprawą. Po inwazji Niemiec na Polskę w 1939 roku nie uznano jej za Austriaczkę, tylko zaliczono do II kategorii na Volksliście, to jest do niewątpliwych w sensie etnicznym, acz biernych politycznie Niemców; jej mąż, pracujący jako inżynier w „starej Rzeszy”, niebawem został powołany do służby wojskowej. Córka Kostków, Barbara (Bärbel), urodziła się w październiku 1944 roku, lecz zmarła wiosną, jak setki tysięcy innych dzieci, w trakcie chaosu towarzyszącego ofensywie Armii Czerwonej w Polsce. Po prawie czterech latach rozłąki Johannes Kostka w końcu dostał list od żony, który przekazał amerykańskim władzom okupacyjnym:

> Po tym, jak widzieliśmy się ostatnio, znowu poszedłeś na front walczyć o życie. Nasze niedole zaczęły się dopiero po kapitulacji. Nigdy dotąd nie pisałam ci o tym, bo nie sposób wyrazić panującego głodu i rozpaczy. Ale dzisiaj muszę cię o czymś

poinformować. Musiałam walczyć o dziecko, o swoją matkę i o siebie. Znali mnie tu jako żonę Reichsdeutschera [Niemca z Rzeszy]. Może to wystarczy, abyś zrozumiał moją sytuację. Cztery razy odłączano mnie od Bärbel, żeby wywieźć na Syberię z wieloma innymi; cztery razy pewien człowiek uchronił mnie przed takim losem. Kiedy umierało nasze dziecko i nie było lekarza, który mógł przyjść z pomocą, załamałam się. Chciałam umrzeć, jak moje dziecko. Ale odratowali mnie i mordęga trwała dalej. Od pierwszych trudnych chwil pomagał mi pewien człowiek, zawsze okazując mi poszanowanie należne matce i żonie innego mężczyzny. Ale w końcu, po upływie trzech lat, upomniał się o nagrodę.

Nie mogę niczego obiecać w tym liście, bo czuję się wypalona i martwa. Ale te moje ostatnie słowa muszą być tak szczere i uczciwe, jak było nasze wspólne życie. Nie mam win do wyznania. Nie ronię łez. Pozostała mi tylko wiara, że Bóg sprawi, że uwierzysz w moje słowa. Po przejściowym bólu odnajdziesz nowe szczęście. Mnie pozostanie rozpacz i nadzieja, że Bóg mnie nie opuści i zawezwie mnie do siebie w tej najtrudniejszej godzinie, gdzie znowu będę razem ze swoim dzieckiem. Ufna w Jego pomoc rozstaję się z tobą i ze swoim życiem. Więcej nie mogę już pisać. Mogę cię tylko błagać, abyś uwierzył, że jestem bez winy.

Żegnaj, Hans

Johannes Kostka zaapelował do władz amerykańskich, aby te zwróciły się do rządu polskiego o udzielenie jego żonie – która zaszła w ciążę w wyniku gwałtu – zezwolenia na wyjazd w pierwszej kolejności, zanim Gertruda

urzeczywistni podjęty zamiar odebrania sobie życia[1]. Ale ponieważ Amerykanie zajmowali się tylko wysiedleniami z Czechosłowacji i Węgier, przekazali ten list do brytyjskiej ambasady w Warszawie z żądaniem podjęcia działań w tej sprawie. Po upływie czterech miesięcy z warszawskiej ambasady odpowiedziano na zapytanie MSZ w Londynie, dotyczące owej kwestii. Przyznano, że Johannes Kostka niewątpliwie znalazł się w niewątpliwie „bardzo trudnej sytuacji". Niemniej jednak

> wszelkie protesty, jakie moglibyśmy złożyć na ręce rządu polskiego w imieniu niemieckiego obywatela, dadzą tylko tutejszym władzom materiał propagandowy przeciwko nam. Nadto takie zażalenia mogłyby w Polsce jeszcze tylko pogorszyć położenie osoby, której dotyczą.
>
> Co więcej, polskie władze twierdzą stanowczo, że deportacja Niemców to wyłącznie wewnętrzna sprawa Polski, w którą nie mamy prawa się wtrącać. Jeżeli waszym zdaniem ów przypadek nie jest aż tak ważny, proponujemy zaniechanie działań w tej kwestii.

W MSZ nie uznano tego przypadku za aż tak istotny i w efekcie w danej sprawie Brytyjczycy rzeczywiście już nic nie zrobili[2].

Historia Kostki ukazuje jak w pigułce typową oficjalną reakcję Zachodu na rażące naruszanie postanowień porozumienia poczdamskiego, dotyczące „ludzkiego i uporządkowanego" charakteru akcji wysiedleńczej. W niemal wszystkich innych wypadkach, w których wynikła kwestia ulżenia cierpieniom wygnańców, najpierw i przede wszystkim brano pod uwagę żywotne interesy państw zachodnich. Zaraz potem dochodziło do głosu fatalistyczne przeświadczenie, że wszelkie tego rodzaju poczynania albo

niczego nie zmienią, albo przyniosą zdecydowanie zły skutek – co, jak w opisanym przypadku, było sprzeczne zarówno z logicznym rozumowaniem, jak i faktyczną oceną sytuacji. I wreszcie, choć deportacje odbywały się w zgodzie z oficjalną polityką brytyjsko-amerykańską i wymagały od mocarstw Zachodu aktywnego współuczestnictwa w tej akcji, to zachodnie demokracje odrzucały wszelką odpowiedzialność za cierpienia będące rezultatem wysiedleń, które, jak utrzymywano, stanowiły wyłącznie problem państw, skąd wypędzano Volksdeutschów, oraz samych Niemców.

Wobec takiego nastawienia rządów działania pojedynczych ludzi i organizacji pozarządowych dążących jeśli nie do położenia kresu wysiedleniom Niemców, to przynajmniej do złagodzenia najgorszych skutków akcji deportacyjnej, mogły dać niewielkie efekty. Największą przeszkodę na ich drodze stanowiło nieprzejednane stanowisko zachodnich aliantów, zgodnie z którym Volksdeutschów należało odciąć od jakiejkolwiek międzynarodowej ochrony czy też pomocy. Oznaczało to nie tylko odmowę wydawania im żywności i odzieży oraz zapewniania kwater. Dopóki obowiązywała ta zasada, żadna organizacja nie była uprawniona do składania skarg i zażaleń w imieniu deportowanych do władz państw dokonujących wysiedleń albo do alianckich zarządów wojskowych w okupowanych Niemczech. W rezultacie agencjom humanitarnym w rodzaju Czerwonego Krzyża można było – co w praktyce czyniono – zabronić udzielania choćby minimalnej pomocy, nawet jeśli miały ku temu okazję. Brakowało też organizacji, krajowej czy międzynarodowej, do której mogli się zwrócić traktowani nieludzko Volksdeutsche. Paradoksalnie kobiety i dzieci, stanowiące większość wysiedleńców, miały jeszcze mniej

praw od esesmanów, gdyż tych, jako byłych kombatantów, członków niemieckich sił zbrojnych, chroniła konwencja genewska. Z takich powodów obrońcom deportowanych pozostawały głównie próby odwoływania się do opinii publicznej. I choć odnosili na tym polu pewne ograniczone sukcesy, to nigdy nie wystarczyły one do zmiany trybu, w jakim odbywały się wysiedlenia. Już to samo w sobie jest godne odnotowania. Mimo że deportacji i ich skutków nie można było ukryć, i nikt nawet nie próbował tego robić, to tylko niewielu Europejczyków, poza krajami bezpośrednio objętymi akcją przesiedleńczą, w ogóle zwracało na nie uwagę. Z wyjątkiem punktu zaczepienia, jaki stanowiły dla Czerwonego Krzyża w Czechosłowacji rewelacje Richarda Stokesa z października 1946 roku, w żadnym z owych krajów władze właściwie nigdy nie zostały zmuszone, pod naciskiem opinii publicznej, do rezygnacji z ustalonej polityki wysiedleńczej lub choćby do jej zmodyfikowania. Poza obozem komunistycznym zapewne nie było porównywalnego w skali epizodu w dziejach nowożytnych, którego współuczestnicy i sprawcy mieli taką swobodę i nie musieli się liczyć z międzynarodową opinią publiczną.

To prawda, że podobne przymykanie oczu miało po części charakter świadomy i celowy. Od 1943 roku, gdy zwycięstwo sprzymierzonych stawało się coraz bardziej prawdopodobne, o ile nie pewne, wielką wagę przykładano na Zachodzie do kwestii zbiorowej winy Niemców za nazizm i zbrodnie tego systemu. Nim wojna dobiegła końca, spory wokół tego tematu zostały już w znacznej mierze rozstrzygnięte. Sondaże opinii publicznej w Wielkiej Brytanii wykazywały, że znaczna większość ankietowanych nie dostrzegała różnicy między „przeciętnymi Niemcami” a „nazistami”; podobne badania w Stanach Zjednoczonych dowodziły, iż Amerykanie uważali, że Niemców nie

traktowało się dostatecznie surowo, a sondaże przeprowadzone we Francji ujawniły, że 59 procent respondentów opowiadało się za wysiedleniem przynajmniej części Niemców[3]. I choć wielu ludzi z Zachodu zapewne nie podpisywało się pod wysuwanym przez Polaków i Czechosłowaków argumentem, że Volksdeutsche byli jeszcze bardziej winni od mieszkańców „starej Rzeszy", gdyż poza barbarzyństwem zgrzeszyli też zdradą, to jednak podzielano pogląd Huberta Ripki, że „nazizm stanowił tylko współczesną postać i punkt kulminacyjny brutalnego pangermanizmu, tkwiącego głęboko w umysłach i sercach Niemców"[4]. Niektórzy szli jeszcze dalej i twierdzili, że należało karać nawet niemieckie dzieci za zło nazizmu. Kiedy mająca siedzibę w Londynie National Peace Council we wrześniu 1945 roku wystosowała oficjalny apel do Brytyjczyków wzywający do pogodzenia się ze zmniejszeniem przydziałów żywności w Wielkiej Brytanii, aby jej nadwyżkami można było wykarmić wysiedlone do Niemiec kobiety i dzieci, korespondent gazety „Daily Herald" potępił tych swoich rodaków, którzy wciąż żywili „pozytywne odczucia wobec tej rasy morderczych białych dzikusów". List otwarty, podpisany przez 60 byłych robotników przymusowych, stawiał sprawę jeszcze ostrzej, żądając zagłodzenia narodu niemieckiego, tak jak głodzono „mężczyzn, kobiety i dzieci w Grecji i Rosji podczas nazistowskiej okupacji"[5]. Nawet niektórzy oficerowie przydzieleni do alianckiego zarządu wojskowego w okupowanych Niemczech, tacy jak Goronwy Rees, utrzymywali, że jeśli nawet masowe zgony wśród deportowanych nie stanowiły celu wojennego sprzymierzonych, to i tak nie miały większego znaczenia wobec nadrzędnej przesłanki, aby nie drażnić niepotrzebnie Związku Radzieckiego:

> To nieuchronne, że miliony Niemców muszą umrzeć podczas nadchodzącej zimy. Nieuniknione, że miliony tych nomadów, którzy błąkają się bez celu w całych Niemczech, spocznie dopiero w grobach. […] Jeżeli w ogóle dałoby się coś z tym zrobić, to tylko za sprawą powszechnej filantropii, która odwróciłaby wynik wojny. […]
>
> Obecnie realnym zagrożeniem w Niemczech nie jest to, że miliony Niemców muszą głodować, marznąć i umierać w trakcie zimy; rzecz w tym, ażeby z litowania się nad Niemcami nie wynikła przyczyna rozbicia jedności sprzymierzonych, którzy ich pokonali[6].

Podobne opinie, choć bynajmniej nie odosobnione, mimo wszystko nie przeważały. O ile ludzie z Zachodu uważali, że wszyscy Niemcy, być może z wyjątkiem najmłodszych dzieci, choćby w ograniczonym stopniu ponosili współodpowiedzialność za wojnę i zasługiwali za to na karę, o tyle nie zgadzali się z tym, iż wszelkie formy karania były uzasadnione. Mimo że autor relacji zamieszczonej w londyńskiej gazecie „Daily Express” stwierdził, iż „dzikie wypędzenia” stanowiły odpowiednią nauczkę dla Volksdeutschów, że „wojna nie popłaca”, to jednak cykl artykułów prasowych publikowanych późnym latem 1945 roku o stanie, w jakim wygnańcy docierali do Berlina, wywołał krótkotrwałą, lecz ostrą reakcję w Wielkiej Brytanii. Protest skierowany do Ernesta Bevina przez oddział Peace Pledge Union z Coventry, potępiający wysiedlenia jako „całkowitą głupotę”, został określony przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych jako „jeden z niezliczonych listów, jakie otrzymujemy w tej sprawie”; do końca września nadeszło ich tak wiele, że Jack Troutbeck

sporządził rodzaj szkicowej odpowiedzi na te protesty do rozesłania wszystkim korespondentom[7]. Dwie delegacje – pierwsza z nich, zorganizowana przez George'a Bella, anglikańskiego biskupa Chichesteru, reprezentowała brytyjskie Kościoły, na czele drugiej, składającej się z przedstawicielu wielu środowisk, stanął William Beveridge – złożyły wizyty premierowi Clementowi Attlee we wrześniu i w październiku, aby zapytać, jakie kroki można podjąć dla przyjścia z pomocą wysiedleńcom, i czy dałoby się przynajmniej wstrzymać dalsze wygnania podczas zbliżającej się zimy. Chociaż premier początkowo potraktował delegację duchownych cokolwiek obcesowo, odpowiadając im, że ludzie objęci deportacjami „ponosili karę" za swój udział w wojnie i stwierdzając, że „szczególny problem niemieckich uchodźców ze wschodniej Europy nie należy do tych, za które [brytyjski] rząd ponosi jakąkolwiek odpowiedzialność", to jednak wyraźnie grzeczniej odniósł się do drugiej z przybyłych grup. Wobec niej „wyraził wielkie zrozumienie dla celów [wizyty] delegacji", dowodząc tym samym, że brytyjscy politycy zdawali sobie sprawę, iż cała sprawa mogła nabrać znacznego rozgłosu[8].

Przez krótki okres wydawało się, że tak właśnie będzie. Chaos, w jaki przeobraziły się „dzikie wypędzenia", spowodował, że te środowiska opiniotwórcze, które już wcześniej sprzeciwiały się planom deportacyjnym, przypomniały o tym opinii publicznej. A to, że makabryczne relacje napływały ze środkowej Europy akurat w czasie, kiedy rozpoczynał się w Norymberdze proces niemieckich zbrodniarzy wojennych, wzmagało powszechne zaniepokojenie. W liście do gazety „Times" filozof Bertrand Russell zwrócił uwagę na fakt, iż jednym z zarzutów kierowanych pod adresem nazistowskich oskarżonych był

ich udział w „deportacjach i innych nieludzkich aktach przeciwko cywilizowanej ludności”.

> Obecnie we wschodniej Europie przeprowadzane są przez naszych sojuszników masowe deportacje na bezprecedensową skalę. […] I nie jest to akt wojenny, ale część świadomej „pokojowej” polityki. […]
>
> Czy masowe deportacje były zbrodniami, jeśli dokonywali ich nasi wrogowie w czasie wojny, i są usprawiedliwionymi korygującymi działaniami społecznymi, jeżeli wprowadzają je w życie nasi sojusznicy w okresie pokoju? Czy bardziej ludzkie jest przepędzanie staruszek oraz dzieci, żeby zginęły gdzieś daleko, od duszenia Żydów w komorach gazowych? Czy odpowiedzialnych za śmierć tych, którzy zginęli po wysiedleniach, powinno się uważać za mniej winnych, bo nie widzieli ani nie słyszeli agonii swoich ofiar? Czy przyszłe prawa wojenne mają usprawiedliwiać zabijanie obywateli wroga po tym, jak nieprzyjacielski zbrojny opór już ustanie?[9].

Inni krytycy wskazywali, że doktryna „zbiorowej odpowiedzialności” jest obosieczna. Lewicowy publicysta Victor Gollancz, będący pochodzenia żydowskiego, argumentował często, że „jeśli każdy Niemiec faktycznie był współodpowiedzialny za to, co wydarzyło się w [obozie zagłady] Belsen, to w takim razie my, jako obywatele państwa demokratycznego, a nie faszystowskiego, bez wolnej prasy i parlamentu, odpowiadamy indywidualnie oraz zbiorowo” za to, co wyprawiano z niemieckimi kobietami i dziećmi w imię Wielkiej Brytanii[10]. W trakcie następnych dwóch miesięcy Gollancz zorganizował kilka głośnych mityngów protestacyjnych, w tym największy w sali koncertowej Royal Albert Hall[11]. Pod wpływem

biskupa Canterbury, Bella, oraz Yorku, Garbetta, synod duchowieństwa Kościoła anglikańskiego jednomyślnie potępił wysiedlenia jako „pogwałcenie zasad humanitaryzmu, których alianci uroczyście zobowiązali się bronić”[12]. Jednak ta fala powszechnego zaniepokojenia opadła równie szybko, jak się wzniosła. Pospiesznie zmontowana organizacja o nazwie Save Europe Now („Ocalmy Europę”), powołana do istnienia przez Gollancza we wrześniu 1945 roku, popełniła poważny błąd, apelując do Brytyjczyków o dobrowolne wyrażenie zgody na zmniejszenie przydziałów racjonowanej żywności, aby nadwyżki można było przekazać na rzecz wysiedleńców i innych głodujących Europejczyków. I choć około 60 tysięcy osób, w tym wiele powiązanych z grupami wyznaniowymi i pokojowymi, podpisało ów apel, to generalnie spotkał się on w Wielkiej Brytanii z powszechną niechęcią[13]. Po sześciu latach wojennych wyrzeczeń Brytyjczycy wyraźnie opierali się wszelkim próbom dalszego obniżania ich standardu życiowego, zwłaszcza jeśli skorzystać z tego mieli byli wrogowie[14]. Generał RAF (*Air Chief Marshal*) Philip Joubert de la Ferté w artykule opublikowanym w gazecie „The Observer” prawdopodobnie wyraził za-patrywania swoich rodaków znacznie lepiej, aniżeli uczynili to aktywiści z Save Europe Now. „Wolałbym, żeby to moje dzieci, wychowane w wolności i życzliwości dla ludzi, korzystały z pełni życia, a nie Niemcy, którzy mogą wykorzystać swoje siły do wywołania kolejnej wojny na świecie w następnym pokoleniu”[15]. Save Europe Now rychło ograniczyła swoje inicjatywy do „akcji misyjnych”, odwracając uwagę od problemu niedożywionych wysiedleńców i zajmując się kwestią zapewniania jeńcom wojennym wypuszczanym z alianckich obozów w Niemczech dostępu do książek i prasy. Ostatecznie

ogłoszenie wydane pod koniec listopada 1945 roku, że „dzikie wypędzenia” zostaną zastąpione „zorganizowanymi”, rozbudziło wiarę w to, że kwestią deportowanych należycie się zajęto. Mimo najlepszych intencji Save Europe Now i podobnych ugrupowań przyczyniły się one bardziej do rozwiania moralnego dyskomfortu Brytyjczyków niż do ulżenia niedoli Volksdeutschów. Wedle nieco cynicznej, niemniej jednak celnej opinii Matthew Franka, „kryzys związany z wysiedleniami i niemieckimi uchodźcami umożliwił Brytyjczykom przejrzenie się w zwierciadle i zasadniczo spodobało im się to, co w nim ujrzeli”[16].

Jednak bynajmniej nie wszyscy odnosili wrażenie, że deportacje Niemców miały nieludzki charakter. W okresie międzywojennym rząd czechosłowacki nie szczędził wydatków na rzeczników prasowych i dbałość o wizerunek swojego kraju na arenie międzynarodowej, odnosił więc spore sukcesy w tej mierze. Ośrodkiem tych działań była III Sekcja w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, która kierowała hojnie dotowaną służbą informacyjno-propagandową. Poza nawiązywaniem i rozwijaniem relacji z zagranicznymi dygnitarzami i czynnikami opiniotwórczymi sekcja działała też „jako półoficjalne wydawnictwo rządowe, drukując gazety, broszury i inne materiały propagandowe we wszystkich ważniejszych językach europejskich”[17]. Kontrolowała między innymi sieć rozgłośni radia Centralna Europa, mającą główną siedzibę w Genewie. Zakulisowo kierowała nadto koncernem wydawniczym Orbis, który nie tylko zalewał europejski rynek zawoalowanymi „proczechosłowackimi tekstami propagandowymi wszelkiego rodzaju”, umieszczanymi nawet w przewodnikach turystycznych, lecz także drukował utwory nastawionych przyjaźnie do

Czechosłowacji pisarzy zagranicznych, takich jak Robert Seton-Watson i Lewis Namier, które w przeciwnym razie pozostałyby niedostępne i nieznane. Subsydiowała co najmniej 26 francuskich gazet, rozgłośni radowych i agencji prasowych, wspierała finansowo zaprzyjaźnionych brytyjskich autorów, wreszcie zamawiała teksty o pozytywnej wymowie, wykupując płatne szpalty w międzynarodowych periodykach. Zbierała odpowiednie materiały i podsuwała tematy artykułów prasowych, pokrywając związane z podróżami wydatki wielu zagranicznych dziennikarzy i pisarzy odwiedzających Czechosłowację – jedyne powołane do istnienia na konferencji w Wersalu państwo, w którym w okresie międzywojennym utrzymał się demokratyczny system parlamentarny. W okresie kierowania czechosłowackim MSZ przez Edvarda Beneša III Sekcja nie bez racji twierdziła, że jej pracownicy „mieli udział w powstaniu prawie każdej książki na tematy czeskie wydanej poza Czechosłowacją”[18]. Choć takie starania wiązały się z bardzo poważnymi, jak na taki niewielki i tylko częściowo rozwinięty kraj, obciążeniami finansowymi, to pieniądze te nie poszły na marne. W okresie międzywojennym czechosłowacki program dyplomacji kulturalnej zasługiwał na miano zdecydowanie najskuteczniejszego i najbardziej wyrafinowanego w Europie. W znacznym stopniu dzięki staraniom wspomnianej sekcji utrwalił się na tak długo wizerunek Czechosłowacji jako modelowego państwa demokratycznego w stylu zachodnim – funkcjonował nawet po tym, jak rząd w Pradze, w następstwie uchwalenia w 1933 roku ustawy o nadzwyczajnych pełnomocnictwach, coraz bardziej marginalizował parlament, sprawując władzę za pomocą dekretów uchwalanych w trybie wyjątkowym, co

pod wieloma względami przypominało ostatnie dni Republiki Weimarskiej w Niemczech.

Po II wojnie światowej byli pracownicy III Sekcji podjęli na nowo zadanie odtworzenia takiego wizerunku Czechosłowacji, jaki chcieli widzieć mieszkańcy Zachodu, a także oni sami. Sprzyjał temu fakt, że zwłaszcza w Wielkiej Brytanii wiele wpływowych osób udzielających się w środkach masowego przekazu czuło głębokie zawstydzenie z powodu tego, w jaki sposób pozostawiono Czechosłowację na lodzie w 1938 roku. W związku z tym, że przeciętnemu Brytyjczykowi bardzo zależało na przypisaniu własnej ówczesnej „pacyfistycznej" postawy znienawidzonej klasie arystokratycznych „ugodowców" hasło „Monachium" kojarzyło się w Londynie równie źle jak w Pradze. Wyraźne po wojnie zorientowanie Czechosłowacji na współpracę z ZSRR, które zbiegło się z demokratycznym wyborem socjalistycznego (laburzystowskiego) rządu w Wielkiej Brytanii, również zyskało Pradze wielu nowych przyjaciół w kręgach brytyjskiej lewicy. Chociaż przywrócony rząd Beneša nie był już w stanie w takim stopniu hołubić i rozpieszczać zagranicznych dziennikarzy, jak to czynił w przeszłości, to rzucało się w oczy proczechosłowackie nastawienie brytyjskiej prasy, tak samo zauważalne w krytycznych latach 1945–1946, jak przed wojną.

Mimo wszystko politycy w Pradze starali się możliwie najmniej pozostawiać przypadkowi. W tamtejszym MSZ i wydziale wywiadu politycznego w MSW sporządzano szczegółowe akta osobowe czołowych zachodnich dziennikarzy, badając ich polityczne i ideologiczne środowiska, koneksje, wcześniejsze opinie o czechosłowackiej polityce. Jon Kimche, korespondent informacyjnej agencji Reutera, został określony mianem „kompetentnego", choć nie znano go z przedstawiania

czechosłowackiej republiki w korzystnym świetle. Michael Foot, wcześniej redaktor londyńskiej gazety „Evening Standard", a w opisywanym okresie laburzystowski parlamentarzysta, miał być odpowiedzialny za to, że „Daily Herald," dziennik powiązany z laburzystami, zwracał nazbyt baczną uwagę na ciemniejsze strony spraw czechosłowackich. W ocenie jego kariery znalazła się taka informacja: „Uprzedzano o działaniach Foota współpracującego z Jakschem [emigracyjnym przywódcą niemieckich socjaldemokratów z Kraju Sudeckiego]"[19].

W sumie jednak władze praskie miały pod tym względem niedużo powodów do narzekań. Ralph Parker, praski korespondent „Timesa" w lecie 1945 roku, wcześniej pracujący jako ekspert MSZ do spraw czechosłowackich, był kryptokomunistą, który później miał objąć posadę szefa moskiewskiego biura gazety „Daily Worker"[20]. W liście do redaktora naczelnego „Timesa", Robina Barringtona-Warda, napisanym w lipcu 1945 roku, podkreślał znaczenie tego, aby Wielka Brytania nie sprawiała wrażenia „źle nastawionej do narodowych aspiracji" państw środkowoeuropejskich z powodu przeciwstawiania się wysiedleniom, i liczył na to, że w Poczdamie aliancka Wielka Trójka poprze projekt deportacji[21]. Następca Parkera, Godfrey Lias, napisał w 1940 roku hagiograficzną biografię Beneša, a później przełożył wspomnienia czeskiego prezydenta na angielski. Maurice Hindus, rezydujący w Pradze korespondent „New York Herald Tribune", także miał w dorobku publikacje pochlebne wobec Czechosłowacji, w tym książkę sławiącą ten kraj jako „cytadelę humanizmu", która stanowiła kompendium tematów rozwijanych przez III Sekcję[22]. Niektórzy dziennikarze, tacy jak George Bilainkin z londyńskiej gazety „Daily Mail", uważali za swoją powinność już nie tylko

przedstawianie deportacji w świetle korzystnym dla Czechosłowaków, ale wręcz nieskrywane popieranie tej akcji. W wywiadzie z Benešem, przeprowadzonym w listopadzie 1945 roku, Bilainkin pytał prezydenta: „Co mógłbym zrobić, żeby pomóc wam najbardziej?". Beneš poprosił go o „wyjaśnienie ludziom" konieczności usunięcia Niemców. Bilainkin obiecał to uczynić, uznając spełnienie prośby „za najmniejszy z długów wobec Czechosłowacji, najdłużej cierpiącego kraju we współczesnej historii"[23].

Ochocze współdziałanie ze strony takich zagranicznych pomocników odgrywało główną rolę w staraniach czechosłowackiego rządu, dążącego do odwrócenia międzynarodowej uwagi od bardziej niepokojących aspektów akcji deportacyjnej. Na przykład dziesięć dni po ujawnieniu przez Erica Gedye'a warunków panujących w obozie w Hagiborze Tom Williamson, brytyjski parlamentarzysta laburzystowski i członek ogólnokrajowego kierownictwa Partii Pracy, odwiedził Pragę i wygłosił tam publiczne przemówienie, zapewniając swoich gospodarzy, że „komentarzy w prasie brytyjskiej nie należy brać zbyt poważnie i że brytyjska Partia Pracy jest przekonana o konieczności przesiedlenia Niemców". Senator Claude Pepper (z lewicowo-liberalnego skrzydła amerykańskiej Partii Demokratycznej), który także znalazł się przejazdem w Czechosłowacji, wyraził się w podobnych słowach na konferencji prasowej nieco później[24]. Potiomkinowski objazd zorganizowano pospiesznie dla Sheili Grant Duff, w czasach wojny szefowej sekcji czeskiej w BBC, znajomej Huberta Ripki i autorki poczytnej i proczechosłowackiej książki o kryzysie monachijskim wydanej w serii „Penguin Special", aby za sprawą bezpośredniej relacji z takiego pokazu odeprzeć zarzuty przedstawione przez Gedye'a w gazecie „New Statesman"

i innych publikacjach[25]. George Bilainkin już wcześniej oglądał podobny pokaz w obozie w Libercu, gdzie zobaczył „ładne, cięte kwiaty” w izbie jednej z internowanych osób i rozkoszował się „wyśmienitą zupą” oraz „świeżym, smacznym chlebem”, które przy tej okazji wydano więźniom[26]. Guy Bettany, specjalny wysłannik agencji Reutera w Pradze, niezgodnie z prawdą zapewniał czytelników, że „przedstawicielom Międzynarodowego Czerwonego Krzyża umożliwiono obecnie w pełni przeprowadzanie inspekcji [w obozach] i zgłaszanie sugestii, i zasadniczo są oni usatysfakcjonowani tym, co zobaczyli”[27]. Dennis Bardens z „Sunday Dispatch”, wcześniej oficer łącznikowy przy władzach czechosłowackich na uchodźstwie w Londynie, też dał się wciągnąć w tę propagandową kampanię i sumiennie zaświadczał o dobrym stanie pokazywanych mu obozów[28]. Nawet ci dziennikarze, w których zainwestowano mniej, aby bronili rządu Beneša przed wszelką krytyką, zazwyczaj „podkreślali pozytywne aspekty i zakładali […] niewinność Czechów. W razie krytyki dbano o oczyszczenie władz centralnych ze wszelkiej odpowiedzialności, obwiniając o wszystko lokalne, zawsze komunistyczne władze”[29].

Z kolei czechosłowackie środki masowego przekazu jednomyślnie upatrywały we wszystkim zły wpływ Niemców, przede wszystkim Wenzela Jakscha, na wszystkie nieprzychylne komentarze pojawiające się w zagranicznej prasie. Ezven Klingler zapytywał retorycznie w „Svobodnych Novinach”, wpływowym czasopiśmie czechosłowackim:

> Czy przeciętny czytelnik w Wielkiej Brytanii wie o fakcie, że redaktor naczelny działu polityki

> zagranicznej w „najbardziej angielskim z czasopism”, jak często bywa określany „Manchester Guardian”, to dziennikarz niemieckiego pochodzenia? […] Jak typowy Anglik ma ustalić, że większość artykułów o polityce międzynarodowej w „Observerze” jest pisana przez dziennikarza o niemiecko-polskich korzeniach? Jak może zweryfikować, że do „Tribune” docierają relacje osób z otoczenia Wenzla Jakscha?[30]

Podane przez Klinglera przykłady potajemnych germanofilów okazały się szczególnie nietrafne, gdyż pierwszy z wymienionych dziennikarzy, Frederick Voight z „Guardiana”, należał do zapewne najbardziej bezkompromisowych antynazistów i przeciwników ugodowej polityki wobec Hitlera wśród przedstawicieli europejskiej prasy w latach trzydziestych, natomiast następny, Sebastian Haffner z „Observera”, uciekł z Niemiec nie tylko z powodu jawnego przeciwstawiania się hitlerowcom, ale także dlatego, że zawarcie przezeń małżeństwa z Żydówką naraziło go w Trzeciej Rzeszy na wyrok wieloletniego więzienia na mocy ustaw norymberskich[31]. Jednak takie drobiazgi nie obchodziły rozwścieczonych czechosłowackich orędowników deportacji, którzy w dalszym ciągu przypisywali całą dochodzącą z zagranicy krytykę „Jakschowi i innym, dzisiaj opowiadającym się za sudecką autonomią i przyłączeniem tego, co niegdyś nosiło nazwę Sudetenland, do Bawarii”[32].

Podejmowane przez Polskę amatorskie próby sterowania informacjami okazały się znacznie mniej udane. Tylko nieliczni członkowie polskich powojennych władz byli znani zachodnim dziennikarzom, którzy wcześniej nie zetknęli się bliżej, z wyjątkiem Stanisława Mikołajczyka, z żadnym

z nich. Zamiast starać się rozwijać kontakty z zagraniczną prasą, polscy politycy i publicyści zadowalali się albo znieważaniem jej za brak zrozumienia konieczności surowego traktowania Niemców, albo też fabrykowali różne historie z zamiarem dowiedzenia w taki sposób, że nikomu nie działa się krzywda. Do pierwszej kategorii zaliczyć można pewien artykuł z „Dziennika Polskiego", organu prasowego londyńskiej emigracji, w którym, jak na ironię, przedstawiono marksistowską analizę brytyjskiej krytyki „dzikich wypędzeń" z Ziem Odzyskanych. „Przyszli niemieccy klienci Anglii, przyszli konsumenci angielskich dóbr, w świetle oczekiwanych znacznych korzyści już tak jakby stali się pupilkami Anglików. Jakżeby inaczej interpretować oświadczenia angielskiej prasy o strasznych nieszczęściach doznawanych przez Niemców z rąk Polaków?"[33] Do drugiej należało parę wywiadów udzielonych rzekomo polskim dziennikarzom przez członków brytyjskich zespołów łącznikowych w Kaławsku i Szczecinie, którzy podobno stwierdzili, że „przewozu wysiedleńców nie można było lepiej zorganizować, […] wysiedlani cieszą się znakomitym zdrowiem, a warunki ich przewozu są humanitarne. […] Deportowani wyjeżdżają z Polski zadowoleni", a doniesienia brytyjskiej prasy przeczące temu to „wierutne kłamstwa". Rzekomi autorzy tych wypowiedzi nie przyznawali się do nich[34].

Z pewnością dość skuteczne okazywało się niewyszukane manipulowanie informacjami wobec generalnego zobojętnienia opinii publicznej na całą tę sprawę. W Stanach Zjednoczonych wysiłki działaczy walczących o poszanowanie praw człowieka oraz ich stronników w prasie przynosiły jeszcze mniejsze efekty od działań organizacji Save Europe Now w Wielkiej Brytanii. Pod wieloma względami dzieje „antydeportacyjnych" kampanii

humanitarnych w obu tych krajach były dosyć podobne. W USA, tak jak w Wielkiej Brytanii, zaniepokojenie wywołane wysiedleniami powstało pod wpływem relacji prasowych z Niemiec, a zwłaszcza napisanego w pierwszej osobie reportażu Anne O'Hare McCormick w gazecie „The New York Times". McCormick, należąca ówcześnie do najbardziej znanych zagranicznych korespondentek, jako pierwsza kobieta zdobyła w 1937 roku dziennikarską Nagrodę Pulitzera. Po wojnie wróciła do Europy, gdzie uczyniła z odbudowy Starego Kontynentu główny temat swoich artykułów. Najostrzejsze słowa krytyki pod adresem mocarstw alianckich kierowała w związku z programem wysiedleńczym, sprzecznym jej zdaniem z ideałami, o które walczyli podczas wojny. „Skala tego przesiedlenia – pisała w październiku 1946 roku – i warunki, w jakich się ono odbywa, są bez precedensu w dziejach. Nikt, kto widzi ten koszmar na własne oczy, nie może mieć wątpliwości, że to zbrodnia przeciwko ludzkości, za którą historia wymierzy srogą karę"[35]. Jej koleżanka po fachu, dziennikarka Dorothy Thompson (mająca męża Czecha), poszła w wyrażanej krytyce jeszcze o krok dalej. We współpracy z Christopherem Emmetem, radiowcem znanym z internacjonalistycznych i republikańskich poglądów, a także innymi czołowymi intelektualistami z lewej i prawej strony amerykańskiej sceny politycznej, takimi jak John Dewey, Sidney Hook, A. Philip Randolph, Norman Thomas i Oswald Garrison Villard, doprowadziła do utworzenia w Nowym Jorku Komitetu przeciwko Masowym Wysiedleniom (CAME). Komitet ten starał się poruszyć opinię publiczną w Stanach Zjednoczonych przez organizowanie mityngów i wydawanie broszur, w których zamieszczano głównie relacje naocznych świadków, zachodnich dziennikarzy i oficerów, opisujące dosyć

szczegółowo skutki czystek etnicznych w Czechosłowacji i Polsce w wymiarze ludzkim. Dziesięć tysięcy egzemplarzy pierwszej z takich publikacji, zatytułowanej *Land of the Dead* (*Ziemia umarłych*) sprzedano w 1947 roku; w roku następnym bezpłatne kopie drugiej, *Men Without the Rights of Man* (*Ludzie bez ludzkich praw*), dostarczono wszystkim członkom amerykańskiego Kongresu i brytyjskiej Izby Gmin, bibliotekom wszystkich uniwersytetów i college'ów w USA i Kanadzie oraz naczelnym redaktorom 1500 gazet[36]. „Poprzez dążenia do utopijnego celu stworzenia czystych rasowo państw europejskich – pisano w tej publikacji – jedynie nasilamy nacjonalizm, który w przeszłości doprowadził do dwóch wojen w Europie"[37]. Nadto wnioski wyciągnięte z przebiegu wysiedleń wskazywały jasno, że nie sposób przeprowadzić masowego przemieszczenia ludności bez łamania praw człowieka na gigantyczną skalę, za co mocarstwa alianckie oraz państwa dokonujące deportacji ponosiły pełną współodpowiedzialność.

Jednak działalności komitetu CAME przeciwstawiało się stanowczo Stowarzyszenie Germanofobów dla Zapobieżenia III Wojnie Światowej, kierowane przez powieściopisarza Rexa Stouta, z którym współpracowali między innymi Eleanor Roosevelt, spiker rozgłośni BBC William Shirer (w przyszłości autor bestsellerowej książki *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy*) oraz senator Harley Kilgore z Partii Demokratycznej[38]. CAME znalazł się także w ogniu krytyki Amerykańskich Przyjaciół Czechosłowacji, organizacji, której honorowym przewodniczącym był Beneš, zrzeszającej jeszcze bardziej imponujące grono członków z koneksjami, między innymi prezydenta Uniwersytetu Columbia Nicholasa Murraya Butlera oraz Jamesa T. Shotwella, doradcę Departamentu Stanu

i przewodniczącego Fundacji Carnegiego na rzecz Międzynarodowego Pokoju. Grupa ta energicznie zaprotestowała przeciwko rewelacjom ujawnionym przez CAME, twierdząc, że podczas pierwszej fazy wysiedleń z Czechosłowacji „większość […] wygnanych z tego kraju była członkami gestapo, SS, urzędnikami Rzeszy i uchodźcami z Rzeszy”[39]. Choć Przyjaciołom Czechosłowacji nie udało się zdyskredytować informacji podawanych przez CAME, to spór między tymi dwiema grupa wkrótce przeobraził się w rodzaj prywatnej wojny o coś, co działo się w odległym kraju, o którym większość Amerykanów nic nie wiedziała. Ale zasadniczym czynnikiem osłabiającym kampanię propagandową CAME było to, że nabrała większego rozmachu dopiero wtedy, gdy główna fala zorganizowanych wysiedleń dobiegała już końca. W konsekwencji, skoro komitet nie nawoływał do umożliwienia deportowanym powrotu w rodzinne strony, było niezupełnie jasne, czego właściwie organizacja oczekiwała od polityków w tej sprawie.

Rozgłos nadany przez znane z mediów osoby, takie jak Anne McCormick i Dorothy Thompson i grupy nacisku w rodzaju CAME sprawie łamania praw człowieka podczas deportacji doprowadził przynajmniej do tego, że politycy i inni, którzy wcześniej otwarcie popierali przesiedlenia ludności, zaczęli się dystansować od swoich wygłoszonych opinii w tej kwestii. Winston Churchill, wyczulony na zmiany trendów w polityce bardziej od większości mężów stanu, należał do pierwszych, którzy zorientowali się, że kojarzenie ich z masowymi wysiedleniami nie poprawi ich notowań w perspektywie historii. W przemówieniu wygłoszonym w Izbie Gmin w sierpniu 1945 roku w dość typowy dla siebie sposób ronił krokodyle łzy nad skutkami własnej polityki:

> Obecnie jestem szczególnie zaniepokojony dochodzącymi doniesieniami o warunkach, w jakich odbywa się wypędzanie i exodus Niemców z nowej Polski. Owe regiony zamieszkane były przed wojną przez 8 do 9 milionów ludzi. […] Przeciekają skąpe i ostrożne relacje na temat tego, co tam się działo i dzieje, ale nie jest niemożliwe, aby tragedia na tak wielką skalę rozgrywała się za „żelazną kurtyną” w chwili, gdy Europa podzieliła się na dwie części. Chętnie wysłuchałbym jakiegokolwiek oświadczenia premiera, które poprawiłoby sytuację albo przynajmniej poinformowało nas o tej wielce niepokojącej i ponurej kwestii[40].

Znamienne, że z wyjątkiem parlamentarzysty i dziennikarza Michaela Foota nikt publicznie nie zaatakował tej przewrotnej próby oczyszczenia się ze współwiny[41]. Jednak rzekoma potrzeba zapewnienia, aby zachodnie demokracje nie zostały obarczone odpowiedzialnością za wprowadzony w życie plan deportacji, w jeszcze bardziej niezwykły i cyniczny sposób doszła do głosu w amerykańskiej Izbie Reprezentantów w 1949 i 1950 roku. Z inicjatywy Komisji Sądowej podkomisja pod przewodnictwem demokraty Francisa E. Waltera przeprowadziła we wrześniu 1949 roku trzytygodniowy objazd Niemiec i Austrii. Misja ta wykazała „fałszywość teorii o amerykańskiej odpowiedzialności za sytuację niemieckich wysiedleńców i uchodźców”. Podkomisja doszła do tego oryginalnego wniosku, wmawiając sobie, że „bardzo znaczny odsetek Niemców został wyrzucony ze Europy Wschodniej” jeszcze przed konferencją poczdamską; ponadto, że „wielki i żywiołowy exodus osób niemieckiej narodowości” dodatkowo

zredukował liczbę deportowanych, a co się tyczyło pozostałych, Stany Zjednoczone

> …zgodziły się na sformułowania zawarte w Artykule XIII [porozumienia poczdamskiego] tylko dlatego, że chciały: 1) nadać bardziej uporządkowany i ludzki charakter nieuniknionym wydaleniom tych Niemców, którzy nadal pozostawali we wschodniej Europie, oraz 2) otworzyć okupowane Niemcy przed tymi, którym zagrażała deportacja do odludnych subarktycznych obszarów radzieckiej Rosji, równoznaczna z fizyczną likwidacją. Dokumentacja konferencji poczdamskiej jasno o tym zaświadcza[42].

Chociaż te zapewnienia podkomisji Waltera były bałamutne i pokrętne, niemniej jednak sygnalizowały zmianę nastawienia wobec wysiedleńców. Wcześniej na ogół uważano ich za autorów ich własnych nieszczęść. Nawet źródło informacyjne tak odległe od europejskiej sceny politycznej jak „Mercury” z Tasmanii przyklaskiwało deportacjom, uznając je za sprawiedliwą karę dla „zdrajców” i członków „wielkiej, spójnej piątej kolumny”, w latach trzydziestych cierpliwie wyczekujących na rozkazy z Berlina, aby wystawić kraje, w których żyli, na pastwę hitlerowskich najeźdźców[43]. Częściowo z takiego powodu deportowanych pozbawiono pomocy udzielanej przez międzynarodowe organizacje humanitarne, w tym takie jak UNRRA czy IRO (Międzynarodowa Organizacja Uchodźców)[44]. Nawet Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża (MKCK) przyjął taktykę „powstrzymywania się od wyrażania swojej opinii na temat samej decyzji o wysiedleniach, gdyż była do kwestia polityczna, za którą odpowiedzialne są wyłącznie zaangażowane w sprawę rządy”, a od końca 1946 roku

postanowił zupełnie zaniechać udzielania jakiejkolwiek pomocy deportowanym cywilom[45]. Od tej pory MKCK ograniczył się do wypytywania rządów, do których delegacje tej organizacji miały dostęp, o warunki traktowania wysiedleńców oraz do dystrybucji dóbr dostarczanych przez inne agencje. Tylko trzy neutralne podczas wojny kraje – Szwajcaria, Irlandia i Szwecja – nie wykluczyły Volksdeutschów z listy korzystających z funduszy przekazywanych MKCK na rzecz potrzebujących na kontynencie europejskim. I choć wsparcie takie było cenne, bardziej może nawet w aspekcie psychologicznym niż fizycznym, to bynajmniej nie zaspokajało potrzeb: w roku 1949 Światowa Rada Kościołów odnotowała, że religijne organizacje charytatywne w samych Niemczech dostarczyły wysiedlonym większą pomoc materialną aniżeli wszystkie inne agencje, krajowe i zagraniczne, razem wzięte[46].

Co się tyczyły chrześcijańskich Kościołów, to te w istocie gotowe były do udzielania nieznacznej pomocy, korzystając w tym z własnych zasobów. Zorganizowanie większego wsparcia dla Volksdeutschów wymagałoby przynajmniej zaapelowania do ludności w ich imieniu, a na to nie chciała się zdecydować żadna z grup wyznaniowych. Mimo że większość deportowanych stanowili katolicy, Watykan wyraźnie wstrzymywał się od zajęcia jasnego stanowiska w kwestii wysiedleń. Nie ulega wątpliwości, że papież Pius XII przeciwstawiał się im w teorii i praktyce. Podczas prywatnego spotkania z trzema amerykańskimi kongresmanami papież powiedział, że „nieszczęścia milionów, którym przypisano teraz ohydne miano «wysiedleńców», nie są już tylko kwestią upokorzeń i żalów” oraz że sam „stanowczo wolałby, aby to wielkie widmo człowieczego upadku na zawsze wymazano

z sumienia ludzkości”[47]. Poza tym papieża bardzo przygnębiało to, jak wojenne antagonizmy doprowadziły do podziałów w Kościele w powojennych latach. Wedle słów Michaela Phayera, „Pius zapłakał, kiedy dowiedział się, że kardynał Hlond zabronił w Polsce po wojnie odprawiania obrządków liturgicznych po niemiecku w tych miejscach, gdzie jeszcze przebywali katoliccy Volksdeutsche”[48]. Ale w parze z osobistymi odczuciami nie szły publiczne inicjatywy – poza pośrednimi i zawoalowanymi, w rodzaju wyznaczania przez Watykan „administratorów Stolicy Apostolskiej”, a nie biskupów na polskich Ziemiach Odzyskanych aż do czerwca 1972 roku[49]. O ile Kościół katolicki słusznie krytykowano za anemiczną reakcję na prześladowania Żydów w czasie wojny, o tyle w istocie Kościół ten zajął równie bierną postawę wobec powojennych wysiedleń. Całkiem możliwe, że jedno miało związek z drugim, a Kościół nie chciał w latach powojennych narażać się na zarzuty, że bardziej przejmował się Niemcami aniżeli ich ofiarami. Ale choć pojedynczy księża i biskupi w Stanach Zjednoczonych i centralnej Europie ostro potępiali masowe deportacje jako niezgodne z ustanowionymi przez Boga prawami, to Watykan oficjalnie nigdy tego nie uczynił. Dodać wypada, że nie zrobiły tego również ciała kierownicze inne Kościołów chrześcijańskich.

Pod koniec lat czterdziestych politycy i komentatorzy polityczni – wśród nich generał Lucius Clay, Brian Robertson oraz członkowie podkomisji kongresmana Waltera – doszli do wniosku, że tylko masowa emigracja ludności Niemiec może doprowadzić do rozwiązania problemu wysiedleńców[50]. W szczególności francuski rząd obawiał się konsekwencji skupienia populacji liczniejszej od tej w przedwojennych Niemczech na

terytorium pomniejszonym o prawie jedną czwartą. W Paryżu uważano, że było tylko kwestią czasu, kiedy ponowne żądania *Lebensraumu* („przestrzeni życiowej”) zakłócą pokój w Europie. Niezależnie od intensywności i długowieczności francusko-niemieckich antagonizmów powojenny rząd Georges’a Bidaulta zajął się badaniem możliwości przyjęcia sporej liczby imigrantów z grona wysiedlonych etnicznych Niemców – aby uzupełnić wojenne straty Francji oraz zachęcić inne kraje do tego, żeby postąpiły podobnie. Już w październiku 1945 roku francuski ambasador w Pradze wstępnie dawał do zrozumienia, że jego rząd wyraził zainteresowanie przyjęciem pół miliona Sudetendeutschów do Francji albo do francuskich kolonii. W Paryżu, jak powiedział, „przekonano się, że Niemcy łatwo się asymilują i są dobrymi obywatelami. Pod tym względem mogliby być lepszymi francuskimi obywatelami od Polaków czy Włochów”[51]. Na konferencji ministrów spraw zagranicznych w marcu 1947 roku Bidault oficjalnie zgłosił gotowość Francji do przyjmowania niemieckich imigrantów. W istocie rząd francuski tak zdecydowanie preferował przyjęcie imigrantów z grona Volksdeutschów, że ze wzgardą odrzucił energiczne brytyjskie starania, zmierzające do osiedlenia we Francji, zamiast niemieckich wygnańców, złożonej głównie z Polaków populacji z alianckich obozów, w których przebywali wojenni przesiedleńcy. Polacy, jak Francuzi odpowiedzieli Londynowi, „powinni pozostać w Niemczech, by dodać pokojowy słowiański zaczyn do teutońskiego szczepu, podczas gdy Niemcy powinni emigrować do Francji, aby stać się cywilizowanymi Galami”[52].

Rząd francuski nie był jedynym, który wystąpił z podobną inicjatywą. Gdy tuż po wojnie niedobory rąk do pracy, zwłaszcza w najważniejszych gałęziach przemysłu, dawały

się we znaki, inne kraje także zaczęły zerkać łasym okiem na to, co wydawało się nadzwyczaj cennym rezerwuarem wykwalifikowanej siły roboczej. Rząd Szwecji zgłosił latem 1947 roku nieformalne zapotrzebowanie na 2 tysiące Sudetendeutschów, konkretyzując, że chodziło o dobrych fachowców z takich branży jak inżynieria, hutnictwo, wytop szkła, przemysł tekstylny i zapałczany oraz o znających się na rzeczy hodowców bydła. Ludzie ci mieli liczyć sobie od 20 do 45 lat i „nie być skompromitowani" pod względem politycznym[53]. Norwegia poprosiła władze amerykańskiej strefy okupacyjnej o dostarczenie 150 izolatorów, mechaników, tokarzy i tkaczy[54]. Przemysłowcy z Wielkiej Brytanii domagali się 5–6 tysięcy „sudeckich kobiet stanu wolnego" z tego samego źródła „w celu uzupełnienia siły roboczej w naszych odczuwających niedobór rąk do pracy różnych dziedzinach przemysłu, głównie w branży tekstylnej"[55]. Nawet w odległych południowych regionach Stanów Zjednoczonych pilnie poszukiwano do pracy etnicznych Niemców jako tanie zastępstwo dla czarnoskórych robotników rolnych, którzy w latach II wojny światowej wyemigrowali do wielkich miast na północy i zachodzie USA[56].

Dla konsekwentnych przeciwników wysiedleń wieści o tym, że kraje będące sprawcami akcji deportacyjnej zamierzały rozwiązać wynikłe problemy społeczne i ekonomiczne za pomocą zasiedlenia przedstawicieli wygnanych niemieckich mniejszości poza granicami Niemiec, zakrawały na ponury dowcip. Anne McCormick ostro skrytykowała taką propozycję przedstawioną przez Bidaulta, wskazując, że Francja, dotychczas nieoponująca z pobudek humanitarnych przeciwko temu, co było „przerażającą akcją masowego pozbywania się ludzi", teraz oświadczała „na dobrą sprawę, że ta «chirurgiczna

operacja», która w imię pokoju uczyniła miliony osób bezdomnymi, obecnie zagroziła pokojowi Francji”[57]. Przywódcy niemieccy wyrazili stanowczy sprzeciw wobec takiego zamysłu. To, że ich kraj miał zostać pozbawiony stosunkowo nielicznych wykwalifikowanych pracowników, którzy przybyli wraz z innymi wysiedleńcami, oznaczałoby konieczność utrzymywania nieproduktywnych i niezdolnych do pracy ze skromnych zasobów, w tak oczywisty sposób było sprzeczne z niemieckimi interesami ekonomicznymi, iż nie zasługiwało na poważne rozpatrzenie[58].

Ostatecznie tylko zaskakująco niewielu Niemców urodzonych w Rzeszy oraz wysiedleńców wyjechało z kraju, kiedy narzucony Niemcom przez aliantów zakaz emigrowania został w końcu zniesiony w 1949 roku. Do tego czasu oznaki gospodarczego ożywienia w Niemczech oznaczały, że przesłanki skłaniające do myśli o emigracji stały się mniej oczywiste. Populacja wysiedleńców, składająca się w znacznej mierze z kultywujących więzi rodzinne kobiet, miała taki skład demograficzny, który niemal w każdym kraju i każdej epoce historycznej najmniej skłaniał się ku emigracji. Zrozumiałe, że przeżywszy już jedno traumatyczne przesiedlenie do nowego dla siebie, nieznanego kraju, deportowani nie mieli ochoty na kolejne. Z tego i innych powodów uderzająco nieznaczna liczba Niemców – zaledwie 780 tysięcy, czyli poniżej 2 procent ludności – w latach 1945–1961 opuściła kraj i zamieszkała na obczyźnie. Wśród nich niespełna połowę stanowili wysiedleńcy[59].

To, że zachodnie państwa alianckie ochoczo ich przyjmowały, świadczy jednak, iż pod koniec lat czterdziestych zaszła radykalna zmiana w nastawieniu do Volksdeutschów. W dużej mierze wpłynęła na to zimna wojna, podczas której Związek Radziecki niejako zastąpił

nazistowskie Niemcy jako symbol politycznego zdeprawowania. Wyrazistym potwierdzeniem tego, że nowa „bajka” zajęła miejsce starej, było przemówienie wygłoszone przez Johna Gibsona, szefa amerykańskiej Komisji do spraw Przesiedleńców, do pierwszej grupy 500 imigrantów-Volksdeutschów tuż po ich przybyciu do Stanów Zjednoczonych w październiku 1951 roku. „Te daty, o których wielu z was mi mówiło – dzień, w którym waszej rodzinie kazano się wynosić z domu i kraju urodzenia, dzień, kiedy was aresztowano, pierwszy dzień długotrwałego pobytu w uwięzieniu, dzień, w którym zrozumieliście, że już nie jesteście ludźmi wolnymi, tylko uciskanymi ofiarami bezbożnej dyktatury… Od dzisiaj daty te ulegną wymazaniu”[60]. Od tej pory z zachodniej terminologii zniknął termin „wysiedleńcy”; etniczni Niemcy zostali wyniesieni do statusu „uchodźców politycznych” – ofiar komunizmu, nie zaś alianckiej polityki. Był to zabieg, początkowo powitany z uznaniem przez większość z nich, gdyż naturalnie woleli to od określania ich jako „piątą kolumnę” lub „pierwszych neofitów Hitlera”. Jednak z końcem XX stulecia wielu z tych ludzi, zbliżając się do kresu życia, już znacznie mniej chętnie podtrzymywało tę polityczną fikcję. Po upadku komunizmu coraz odważniej opowiadali własne, prawdziwe historie i dążyli do uznania tej prawdy przez innych, a w razie konieczności wręcz tego żądali.

Przypisy

[1] J. Kostka do OMGUS, Frankfurt nad Menem, 27 XI 1947, OMGUS RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 128, NARA.

[2] Kancelaria ambasady brytyjskiej w Warszawie do wydziału północnoeuropejskiego MSZ, 9 III 1948; tenże

wydział do wydziału politycznego CCG (BE), 9 IV 1948, FO 1049/1514.

[3] S. Casey, *Cautious Crusade: Franklin D. Roosevelt, American Public Opinion, and the War against Nazi Germany*, Oxford University Press, New York 2001, s. 222; G. MacDonogh, *After the Reich*…, s. 11. Por. także: A. Capet, *Deux régards antinomiques sur l'Allemagne, 1933–1946*, w: J.P. Pichardie (red.), *Contre le nazisme ou contre l'Allemagne: Le débat sur l'anti-germanisme en Grande-Bretagne depuis la Deuxième Guerre mondiale*, Centre d'études en littérature et civilisaiton de langue anglaise, Rouen 1998, zwł. s. 7–16.

[4] H. Ripka, *Czechoslovakia's Attitude to Germany and Hungary*, „Slavonic and East European Review" 1945, 23, s. 48.

[5] „Daily Herald", 19 i 20 IX 1945.

[6] G. Rees, *Problems of Germany*, „Spectator", 2 XI 1945.

[7] A. Jones, sekretarz honorowy Peace Pledge Union w Coventry, do Bevina, 11 IX 1945; anonimowa notatka z 27 IX 1945, FO 371/46812.

[8] Chichester do Attlee'ego, 4 IX 1945; notatka Troutbecka, 8 IX 1945, FO 371/46812; „Daily Herald", 14 IX 1946; „Times", 26 X 1945; M. Frank, *Expelling the Germans*…, s. 157–158.

[9] „Times", 23 X 1946.

[10] V. Gollancz, *In Darkest Germany*, Regnery, Hinsdale 1947, s. 19.

[11] „Daily Herald", 27 XI 1945.

[12] Synod Yorku (Kościoła Anglikańskiego), *The York Journal of Convocation, Containing the Acts and Debates of the Convocation of the Province of York in the Sessions of 11th and 12th October, 1945*, W.H. Smith, York 1945, s. 54.

[13] „Times”, 3 I 1946.
[14] J. Farquharson, *„Emotional but Influential”: Victor Gollancz, Richard Stokes and the British Zone of Germany, 1945–9*, „Journal of Contemporary History” 1987, 22/3 (VII), s. 505–506, 511.
[15] „Observer”, 13 I 1946.
[16] M. Frank, *The New Morality – Victor Gollancz, „Save Europe Now” and the German Refugee Crisis, 1945–46*, „Twentieth Century British History” 2006, 17/2, s. 255.
[17] A. Orzoff, *Battle for the Castle*…, s. 71.
[18] *Ibidem*, s. 74.
[19] Obiegówka gen. Josefa Bartíka, ministra spraw wewnętrznych, 13 X 1945, Úrad predsedníctva vlády–tajná spisovna (ÚPV-T), zbiór 11, nr 782; MSW do Zdeněka Fierlingera, 19 IX 1945, ÚPV-T, zbiór 11, nr 831; MSW do Fierlingera, 30 XI 1945, ÚPV-T, zbiór 11, teczka nr 1064, NAČR. Dobry opis działań czechosłowackich służb wywiadowczych w owym okresie można znaleźć w: I. Lukes, *The Czechoslovak Special Services and their American Adversary during the Cold War*, „Journal of Cold War Studies” 2007, 9/1 (zima), s. 3–28.
[20] P. Knightley, *The First Casualty: From the Crimea to Vietnam – The War Correspondent as Hero, Propagandist, and Myth Maker*, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1975, s. 251–252, 266.
[21] Sporządzony przez cenzurę pocztową odpis listu Parkera do Barringtona-Warda, 9 VII 1945, FO 371/47090.
[22] M.G. Hindus, *We* Shall *Live Again*, Doubleday, Doran, New York 1939.
[23] G. Bilainkin, *Second Diary of a Diplomatic Correspondent*, Sampson Row, Martin, London 1947, s. 380 (wpis z 16 XI 1945).

[24] L. Steinhardt do J. Byrnesa, 3 XI 1945; tenże do tegoż 6 XII 1945, dokumenty amerykańskiego Departmentu Stanu dotyczące wewnętrznych spraw Czechosłowacji w latach 1945–1949, RG 59, LM 84, 860F.00, taśma 1, NARA.

[25] Por. np. „New Statesman and Nation", 27 X 1945.

[26] G. Bilainkin, *Second Diary*..., s. 263–264 (wpis z 28 IX 1945).

[27] Cyt. za: J.B. Schechtman, *Postwar Population Transfers in Europe 1945–1955*, University of Pennsylvania Press, Philadelphia 1962, s. 69.

[28] M. Frank, *Expelling the Germans*..., s. 188–189.

[29] *Ibidem* s. 189.

[30] „Svobodné Noviný", 17 X 1945.

[31] W kwestii nastawienia Haffnera do „pangermanizmu" por. jego przedwojenne (choć wydane pośmiertnie) pamiętniki *Geschichte eines Deutschen: die Erinnerungen 1914–1933*, Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart 2000.

[32] J. Bartl, *Internační tábory: Lživá propaganda o týraní Němců*, „Pravda" (Plzeň), 28 XII 1945.

[33] „Dziennik Polski", 18 X 1945.

[34] Por. tekst rzekomego wywiadu z pplk P.F.A. Growse'em w: P. Lippóczy, T. Walichnowski (red.), *Przesiedlenie ludności niemieckiej z Polski*..., s. 203; telegram CCG (BE) w Berlinie do 508. oddziału zarządu wojskowego, 20 IV 1946 w sprawie oświadczeń rzekomo złożonych przez kapitana Thomsona w Szczecinie reporterowi „Kuriera Szczecińskiego"; CCG (BE) w Berlinie do 709. oddziału zarządu wojskowego, 20 IV 1946 w sprawie oświadczeń przypisywanych Growse'owi w Kławsku; telegram 508. do CCG (BE), 9 V 1946; CCG (BE) do War Office (brytyjskiego Ministerstwa Wojny), 11 V 1946, FO 1052/323.

[35] „The New York Times”, 23 X 1946.
[36] Obiegówka C.T. Emmeta, 30 VI 1947; dr Alexander Boeker do prof. Ferdinanda A. Hermensa, Notre Dame University, 24 XI 1947, dokumenty Christophera T. Emmeta, nr kat. 74105 8M.47/48, zbiór 19, Hoover Institution Archives, Stanford University (Palo Alto).
[37] Committee Against Mass Expulsions (Komitet przeciwko Masowym Wysiedleniom): *Men Without the Rights of Man: A Report on the Expulsion and Extermination of German Speaking Minority Groups in the Balkans and Prewar Poland*, The Committee, New York 1948, s. 3.
[38] 38 Por. S. Casey, *The Campaign to Sell a Harsh Peace for Germany to the American Public, 1944–1948*, „History” 2005, 90/1 (I), s. 62–92.
[39] Jay Schieffelin i Brackett Lewis, z „Amerykańskich Przyjaciół Czechosłowacji” (American Friends of Czechoslovakia), do Oswalda Garrisona Villarda, 22 III 1946, dokumenty Emmeta nr kat. 74105 8M.47/48, zbiór 19.
[40] 413 *H.C. Deb*. 5s., nr 83–84 (13 VIII 1945).
[41] „Daily Herald”, 6 III 1946.
[42] Izba Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych (United States Congress; House of Representatives): *Expellees and Refugees of German Ethnic Origin: Report of a Special Subcommittee of the Committee on the Judiciary, House of Representatives, Pursuant to H. Res. 238, A Resolution to Authorize the Committee on the Judiciary to Undertake a Study of Immigration and Nationality Problems* (Report No. 1841), Government Printing Office, Washington, DC 1950, s. 6.
[43] „Mercury” (Hobart), 16 X 1945.

[44] Por. Statut IRO (*Constitution of the International Refugee Organisation*), 14 I 1947; aneks I, cz. II: „Persons Who Will Not Be the Concern of the Organization”.

[45] Dr H.G. Beckh do G.W. von Fleckensteina z Ligi Niemiecko-Amerykańskiej, Montrose (Kalifornia), 10 III 1947; dr R. Voegeli, szef wydziału delegacji MKCK w Genewie, do dr K. Lauppera z biura MKCK w Linzu, 20 IX 1946, archiwa MKCK, Archives Générales 1918–1950, G. 97/IV, zbiór 1155, CICR.

[46] Por. listy z podziękowaniami za pomoc z Irlandii od niemieckich wysiedleńców, Department of External Affairs records 419/4/22, 419/4/22/2A, National Archives of Ireland, Dublin; Beckh do Rogera Gallopina, delegata MKCK, 18 V 1949, Archives Générales 1918–1950, G. 97/IV, zbiór 1156, CICR.

[47] U.S. Congress (Kongres USA), *Displaced Persons in Europe and their Resettlement in the United States*.

[48] M. Phayer, *Pius XII and the Genocides*…, s. 261–262.

[49] Por. J. Pietrzak, *Działalność kard. Augusta Hlonda jako wysłannika papieskiego na Ziemiach Odzyskanych w 1945 r.*, „Nasza Przeszłość” 1974, 42, s. 195–249; V.C. Chrypinski, *Church and Nationality in Postwar Poland*, w: S.P. Ramet (red.), *Religion and Nationalism in Soviet and East European Politics*, Duke University Press, Durham 1988, s. 244–246.

[50] Por. np. „The Economist”, 22 III 1947.

[51] Memorandum P.B. Nicholsa, 10 X 1945, FO 817/14

[52] Notatka A.W.H. Wilkinsona, 29 XI 1947, FO 371/64225.

[53] „Memorandum Concerning an Immigration to Sweden of Displaced Persons from Austria, Written in Consequence of Lieutenant General J. Balmer’s Letter to Sweden’s Chargé d’Affaires in Vienna, Malling, June 17, 1947”, FO 371/66754.

[54] Mjr H. Jacobsen, z norweskiej misji wojskowej, do W.W. Schotta, szefa alianckiej sekcji łącznikowo-protokolarnej (oddziału amerykańskiego) w Berlinie, 19 VII 1947, Office of Military Government for Germany, Records of the Civil Administration Division, Prisoners of War & Displaced Persons Branch: Records Relating to Expellees in the U.S. Zone, 1945–49, RG 260/390/42/26/1-2, zbiór 189, teczka „Expellees (Czech) 1947", NARA.

[55] W.B. Bradshaw, z brytyjskiego Ministerstwa Pracy, do T.J. Bligha z Ministerstwa Skarbu, 18 X 1948, LAB 9/193.

[56] Memorandum Komitetu Akcji Chrześcijańskiej, bez daty (ok. I 1951), Displaced Persons Commission, Legal Division General Records, Subject File, RG 278/350/C/48/02, zbiór 63, teczka „German Ethnic", NARA.

[57] „The New York Times", 17 III 1947.

[58] G.E.C. Ball z brytyjskiego Ministerstwa Pracy do W.B. Bradshawa, 16 XII 1948, LAB 9/13.

[59] C. Lieb, *Moving West: German-Speaking Immigration to British Columbia, 1945–1961*, rozprawa doktorska, University of Victoria, 2008, s. 106.

[60] Tekst przemówienia Gibsona z 1 października 1951 roku, Records of the Displaced Persons Commission, Legal Division General Records, Subject File, RG 278/350/C/48/02, zbiór 63, teczka „German Ethnic", NARA.

ROZDZIAŁ 11

Przesiedlenie

Najbardziej dramatyczne wydarzenia i punkty zwrotne dziejów w naturalny sposób przyciągają uwagę historyków. Z tego właśnie powodu bardzo łatwo przeoczyć znaczenie tego, co George Trevelyan Macaulay określił mianem takich „punktów zwrotnych", które „nie odwróciły historii" – momenty sprzyjające jakiemuś postępowi, rozwojowi, ten jednak ostatecznie nie zachodził, nie następował[1]. Pośród owych niezauważanych dziejowych „okazji" na szczególną uwagę zasługuje fakt pomyślnego zapuszczenia nowych korzeni, czyli asymilacji ponad 12 milionów niemieckich wysiedleńców, z których prawie jedna dziesiąta w swoim czasie ledwie rozumiała język niemiecki. Wedle wszelkich racjonalnych przewidywań przemieszczenie tej gigantycznej, zubożałej i wstrząśniętej populacji do wyniszczonego wojną kraju, w którym ludzi tych nie chciano i nie poczyniono żadnych przygotowań na ich przyjęcie, winno było doprowadzić do katastrofy. W roku 1919 alianci narzucili Niemcom w Wersalu surowe warunki pokoju; rezultatem tego po upływie 14 lat i przejściu kryzysu ekonomicznego okazało się dojście Adolfa Hitlera do władzy. W 1945 roku sytuacja Niemiec przedstawiała się o wiele gorzej. Niemcy straciły prawie dwa razy większe terytoria niż w 1919 roku i nie były już w stanie się wyżywić. Paradoksalnie jednak powojenna ludność tego okrojonego i podzielonego kraju była większa niż w 1939 roku, a napływ wysiedlonych bardziej niż zrekompensował pod tym względem wojenne straty. Życie gospodarcze zamarło, a niefortunna aliancka polityka likwidacji całego niemieckiego przemysłu powyżej określonego limitu,

z obawy, że mógłby zostać wykorzystany przez Niemców do produkcji na rzecz przyszłej wojny, oznaczała, że nieliczne źródła zatrudnienia, które ostały się ze zniszczeń, często świadomie odcinano[2]. Niedobór mieszkań i kwater był tak dotkliwy, że przedstawiciele okupacyjnych władz wojskowych w zimie 1945 roku spodziewali się, iż wybuch epidemii wśród wysiedleńców i wielka liczby zgonów będąca jej skutkiem na tyle zredukuje liczbę ludności w Niemczech, iż przybyli wygnańcy wreszcie będą mieli gdzie się pomieścić. Co się tyczyło tych ostatnich, zepchniętych na sam dół drabiny społecznej i pozbawionych wszelkiego statusu, to wydawało się prawie niewyobrażalne, iż nie staną się oni zapleczem jakiegoś nowego radykalnego czy rewanżystowskiego ruchu politycznego, skrajnie lewicowego lub skrajnie prawicowego, zdecydowanego odegrać się za swe niedawne cierpienia i dążyć do odzyskania obszarów, z których się wywodzili. Zakrawało niemal na cud, że do niczego takiego nie doszło. W ciągu niesłychanie krótkiego okresu wygnańcy zostali w praktyce – choć może jeszcze nie w pełni – wchłonięci w skład społeczeństw Niemiec Zachodnich i Wschodnich. Jednak nie należy tego faktu uznawać za retrospektywne potwierdzenie słuszności powojennej alianckiej polityki. Nawet z dzisiejszej perspektywy ówczesne poczynania sprzymierzonych wydają się zdumiewająco nierozważne. To, że Niemcy i cała Europa nie ucierpiały najgorszych skutków tych działań, wynikało przede wszystkim z zaradności i roztropności samych Niemców oraz wyjątkowego szczęścia, jakie sprzyja nie każdemu pokoleniu.

Alianci nie poczynili w czasie wojny żadnych konkretnych planów związanych z przemieszczeniem wysiedleńców do Niemiec i wykazali się taką samą beztroską, gdy wynikła

kwestia, gdzie pomieścić przesiedlonych i jak ich zintegrować z resztą Niemców. Jeżeli w ogóle obowiązywało jakiekolwiek przesłanie polityczne w tym względzie, to dało się ująć je w znanej maksymie: „Niechaj Niemcy sami się o to zatroszczą”[3]. Zgodnie z tą zasadą rola alianckich zarządów wojskowych sprowadzała się do „nadzorowania spraw niemieckich poprzez niebezpośrednie rządy, tj. wydawały one polecenia lokalnym niemieckim władzom i pilnowały ich wypełniania, ale w miarę możności powstrzymywały się same od jakichkolwiek działań wykonawczych”[4]. Samo w sobie nie było to złą strategią, jednak wiązało się z dwiema sprzecznymi tendencjami. Po pierwsze alianci równocześnie przeprowadzali czystki wśród tych Niemców, którym przydzielali konkretne zadania, starając się odsuwać osoby skażone nazizmem od wszelkich funkcji publicznych. W trakcie dość niezdarnie przeprowadzanych akcji denazyfikacyjnych Anglosasi doprowadzali czasem do niefortunnych rezultatów. Ów odsiew nie był na tyle skrupulatny i surowy, by doprowadzić do ukarania wszystkich najbardziej skompromitowanych nazistów, ani też na tyle liberalny, żeby pozostawić na urzędach kadrę doświadczonych administratorów, którzy bez względu na swą przeszłość polityczną, odznaczali się przynajmniej kompetencjami. (Sowieci i ich lokalni niemieccy zausznicy, mniej drobiazgowi – albo mniej naiwni – od swoich zachodnich sojuszników rychło wciągnęli do współpracy tych byłych nazistów z „drugiego szeregu”, którzy wyrazili gotowość służenia nowym panom równie posłusznie jak „antyfaszyści”)[5]. Drugi problem związany z powierzaniem Niemcom odpowiedzialności za wypełnianie zleceń dawanych im przez aliantów wynikał z tego, że nie przekazywano im odpowiednich instrumentów, aby mogli zlecenia te wykonać. Jak to ujął

jeden z brytyjskich administratorów, usiłując uzasadnić takie z pozoru sprzeczne nastawienie, „kiedy prawie cały świat cierpi z powodu ostrego braku dóbr […] trudno nie ustawiać wszystkiego tak, by Niemcy dostawały wszystko na samym końcu”[6]. Można zrozumieć, co kryło się za takim myśleniem, ale na dłuższą metę niewydolność takiej polityki dawała się we znaki. W sierpniu 1945 roku codzienna średnia liczba zgonów w Berlinie wzrosła ze 150, czyli przedwojennego poziomu, do 4 tysięcy, choć populacja tego miasta znacznie się zmniejszyła. W amerykańskim sektorze Berlina na 12 dzieci urodzonych latem 1945 roku przeżywało tylko jedno[7]. Dwa miesiące później w mieście tym zapanował taki głód, że widywano kobiety „odsączające kuchenne zlewki w budynku, gdzie mieściła się aliancka mesa, żeby uchronić od spłynięcia do ścieków skrawki tłuszczu, które mogły wykorzystać w swoich domach”[8].

Tak przedstawiały się warunki w kraju, gdzie, nie licząc wysiedlonych już z obszarów wschodnich Niemców, alianci chcieli upchnąć 7 czy 8 milionów ludzi. Na podstawie oceny późniejszych poczynań sprzymierzonych trudno oprzeć się wrażeniu, że nie byli oni przygotowani pod względem psychologicznym, a tym bardziej administracyjnym, na konsekwencje decyzji, które podjęli ponad dwa lata wcześniej. W każdym razie już podczas pierwszych tygodni po ostatecznym zwycięstwie w Europie aliancki okupacyjny zarząd wojskowy został zalany przez ludzką falę napływającą ze wschodu i z południa. Chwilowo wszystko, co mogli zrobić, sprowadzało się do zakwaterowania części nowo przybyłych na noc lub dwie gdziekolwiek i zmuszenia pozostałych do przemieszczenia się w inne miejsca, w których stanowiliby problem już dla kogoś innego. Do września w Berlinie powstało 45 prowizorycznych obozów recepcyjnych, pozakładanych w byłych koszarach

Wehrmachtu, szkołach oraz budynkach, które jeszcze nie zostały przeznaczone na inne cele. Typowy dla tego okresu był obóz przy Kruppstrasse w okolicach Tiergarten. W uszkodzonych budynkach tamtejszych koszar znajdowało się 400 prycz dla 3 tysięcy wysiedleńców; 600 spało „pośród gruzu w zniszczonych stajniach". Matki, dzieci i starcy stanowili ponad 80 procent ludzi w tym obozie. Większość z nich dotarła tam pieszo z dworców kolejowych Stettiner Banhof lub Lehrter Banhof po wyjeździe z polskich Ziem Odzyskanych; jedna czwarta cierpiała na dyzenterię. Dostawali jeden posiłek dziennie, złożony z 200 gramów chleba i 750 mililitrów zupy. Po noclegu w obozie ludzi tych wyrzucano, by zrobić miejsce dla następnych 3 tysięcy przybyszów[9].

Liczba szukających miejsca w takich obozach wielokrotnie przekraczała liczbę dostępnych miejsc. Usiłując skłonić wysiedleńców do omijania Berlina, podjęto decyzję polityczną o zapewnianiu im jedynie „minimalnych udogodnień zapobiegających rozwijaniu się chorób" oraz, po 1 października 1945 roku, wstrzymano wydawanie kartek żywnościowych przybywającym do tego miasta osobom. Efekt był jednak taki, że tłumy koczowały na ulicach[10]. Tysiące nie opuszczało dworców kolejowych, na które przyjechali, śpiąc na peronach albo w wagonach towarowych stojących na bocznicach, czasami przez całe tygodnie albo miesiące. Inni tworzyli prowizoryczne wioski namiotowe w miejskich parkach albo w lasach na przedmieściach. Gdy zrobiło się zimniej, liczni zaczęli umierać z powodu wychłodzenia, a widok zwłok osób, które zmarły na progach domów, na ulicach i w rowach, był czymś nierzadkim w trakcie pierwszej pokojowej zimy w Niemczech.

Jednak, z makabrycznej, choć możliwej do zrozumienia perspektywy pewnych alianckich urzędników, liczba zmarłych była mniejsza od spodziewanej. Jak zauważono w gazecie „The Economist” w listopadzie 1945 roku: „Być może jest odrobinę za dużo fatalizmu w przewidywaniach obecnie tak często czynionych, że «masy Niemców powymierają tej zimy na poboczach dróg»”[11]. O ile nie będzie prawdziwe stwierdzenie, że gubernatorzy wojskowi naprawdę liczyli na powszechny głód czy też pandemię chorób, o tyle powszechne oczekiwania, że natura doprowadzi do rozwiązania przynajmniej części problemów z przesiedleniem, kiedy tylko nastanie mroźna zima, w istocie wprawiły niektórych w nieco lepsze humory – w obliczu nowych wyzwań, jakich się spodziewano po mających się rozpocząć w następnym roku „zorganizowanych wysiedleniach”. Ostatecznie jednak zima roku 1945 okazała się znacznie łagodniejsza od poprzednich, a podszyte strachem oczekiwania Hectora McNeila z MSZ, że może „dojść […] do katastrofy bez precedensu od stuleci”, miały się nie ziścić[12].

Uświadomienie sobie tego, że wysiedleni mimo wszystko wbrew przewidywaniom nie wymierają tak masowo, sprawiło, że władze okupacyjne gorzko pożałowały, iż ich polityczni zwierzchnicy nie powołali do życia komisji przesiedleńczej w Niemczech i nie wyposażyły jej w uprawnienia wykonawcze. Częściową przyczyną tej opieszałości w tworzeniu odpowiedniej machiny administracyjnej, nawet poniewczasie, która mogłaby uporać się z masami deportowanych, jakie miały niebawem napłynąć, była niechęć ze strony alianckich rządów do przekazywania swoim ludziom w okupowanych Niemczech – najczęściej oficerom średniej rangi, bez doświadczenia w administracji cywilnej – najbardziej nawet podstawowych

informacji o charakterze i skali postawionego przed nimi zadania. Pułkownik John Fye, odpowiedzialny za kontakty między amerykańskimi władzami wojskowymi a Czechosłowakami, wspominał, że „jeszcze w listopadzie 1945 roku żadne szczegóły" zawartego przez cztery mocarstwa układu dotyczącego terminarza i zakresu wysiedleń nie zostały ujawnione jego przełożonym w Pilznie. „Krążyły słuchy o podpisaniu takiego porozumienia. I to wszystko"[13]. Dopiero w styczniu 1946 roku treść raportu międzywydziałowego komitetu do spraw przesiedlenia ludności niemieckiej dotarła do szefostwa brytyjskiego zarządu wojskowego w Niemczech. Gdyby zapoznali się z nią wcześniej, jak wskazał pewien poirytowanym tym faktem urzędnik, byłoby możliwe zawarcie niektórych zaleceń z tego dokumentu w porozumieniu ACC z 20 listopada 1945 roku. Ale „w tej fazie nie ma już jakichkolwiek perspektyw na uwzględnienie w naszym czterostronnym porozumieniu wniosków z tego raportu albo zawartych w nim rekomendacji". Próba uczynienia tego sprawiłaby tylko, że w krajach, skąd wywożono Niemców, wyciągnięto by wniosek, iż alianci zamierzali wycofać się ze złożonej obietnicy – i w reakcji na to doszłoby do wznowienia „dzikich" wypędzeń[14]. Mimo wszystko nawet nieodpowiednie planowanie nie wyjaśnia powodów braku współpracy czy choćby podstawowej wymiany informacji pomiędzy władzami odpowiedzialnymi za osiedlenie deportowanych w alianckich strefach okupacyjnych. Zapewne najłatwiej zrozumieć obojętne nastawienie Francuzów, których strefa okupacyjna w południowo-zachodnich Niemczech ucierpiała podczas wojny w najmniejszym stopniu i pewnie najlepiej nadawała się na przyjęcie wygnańców. Rząd w Paryżu odnosił się

z dezaprobatą do zamysłu masowych deportacji – nie tylko z pobudek humanitarnych, lecz także z niepokoju, że wywiezienie milionów Niemców do okrojonych Niemiec, pozbawionych możliwości wyżywienia ich, doprowadzi na pograniczu z Francją do identycznej sytuacji – przeludnienia w tamtejszej części Niemiec i poszukiwań „przestrzeni życiowej" dla tego narodu – która przyczyniła się do przejęcia władzy przez Hitlera w latach trzydziestych. Chociaż Francuzi zobowiązali się w ramach porozumienia ACC z listopada 1945 roku przyjąć do swojej strefy 150 tysięcy Niemców tymczasowo przebywających w Austrii, to rychło wycofali się z tej obietnicy. Twierdząc, że zrozumieli, iż chodziło o przyjęcie do 150 tysięcy obywateli starej Rzeszy, a nie Volksdeutschów z Austrii, Francuzi wpuścili do swojej strefy tych, którzy zaliczali się do tej kategorii – zaledwie 4500 osób – a następnie zamknęli wjazd, oświadczając, że wypełnili zobowiązanie. W czasie, gdy relacje między Wschodem a Zachodem zaczęły się psuć, zapewne nie było też zbyt zaskakujące, że uległa ograniczeniu wymiana opinii o problemach z wysiedleńcami między władzami radzieckimi a Anglosasami. Ale także brytyjscy i amerykańscy urzędnicy nie porozumiewali się wzajemnie w kwestii przesiedleńców, utrzymując izolacjonistyczną postawę nawet po tym, jak ich kraje w styczniu 1947 roku postanowiły połączyć swoje strefy okupacyjne w jednostkę terytorialną o zabawnej nazwie „Bizonia". Dopiero w grudniu, prawie rok po powstaniu Bizonii, brytyjski i amerykański personel zajmujący się przesiedleniami porozumiał się ze sobą po raz pierwszy. Ze stenogramu kolejnych spotkań jasno wynika, że wcześniej Brytyjczycy i Amerykanie z rozmysłem uchylali się od wszelkiego współdziałania w tej sprawie, a w dodatku wiedzieli zaskakująco mało o tym, co działo się

w strefie sojusznika, jaka polityka i jakie procedury tam obowiązywały[15]. Wydaje się zatem, że alianckie zarządy wojskowe zazdrośnie strzegły swej niezależności, być może z obawy, że międzynarodowe kontakty i dyskusje mogą nadać niemiły publiczny rozgłos ich praktykom.

Mimo to uderzające jest, jak bardzo metody przyjęte niezależnie przez władze okupacyjne trzech państw niebawem zaczęły się do siebie upodabniać. Choć Sowieci, w odróżnieniu od Anglosasów, nie wypracowali w tym względzie określonej polityki lub reguł, to oni także musieli „oddać sprawy w ręce samych Niemców" wobec ogromu ludzkiej lawiny, schodzącej do ich strefy z północy, ze wschodu i z południa latem 1945 roku. Chaos panujący w strefie radzieckiej przewyższał nawet ten na zniszczonym zachodzie Niemiec. Z desperacji wynikającej z napływu mas ludzi, z którymi trzeba było coś począć, jak wspominał Philipp Ther, „władze w Saksonii wsadziły kilka tysięcy wysiedleńców na tratwy, aby te dryfowały po Łabie"[16]. Według nadburmistrza Frankfurtu nad Odrą, miasta będącego jednym z głównych punktów napływu Niemców z Ziem Odzyskanych, w okresie od 8 maja do 1 grudnia 1945 roku odnotowano tam około 12 tysięcy zgonów będących, w mniejszym lub większym stopniu, skutkiem głodu[17]. A w obozie dla deportowanych w Kaisersteinbruch w Austrii, kraju tak samo jak Niemcy podzielonym na cztery strefy okupacyjne, w październiku radzieckim władzom wyczerpał się prowiant dla ponad 5 tysięcy Sudetendeutschów przebywających w tym ośrodku przejściowym, więc wyrzucono ich wszystkich stamtąd, nakazując im udać się pieszo do Wiednia i tam zatroszczyć się o siebie[18]. Kiedy w następnym miesiącu obwieszczono przez radio w strefie radzieckiej, że wszyscy Niemcy, zamieszkujący kiedykolwiek na obszarze którejś

z zachodnich stref okupacyjnych, mieli do 5 listopada opuścić okręg Brandenburgii, aby zrobić miejsce dla nowych wysiedleńców, wielkie kolumny „bezdomnych, głodujących starców, dzieci i kalek z Wehrmachtu” zaczęły wędrować ku strefie brytyjskiej. Po upływie 24 godzin od tego obwieszczenia brytyjscy reporterzy poinformowali, iż „ocenia się, że na 70-milowym [110-kilometrowym] odcinku drogi między Weimarem a stykiem granicznym trzech stref we Friedlandzie co najmniej pół miliona ludzi zalega na szosach, ścieżkach i w rowach”[19]. Gorączkowe protesty Anglosasów spowodowały, że Sowieci odwołali to zarządzenie, tłumacząc je „pomyłką tłumacza”, choć część podejrzliwych przedstawicieli Zachodu nie była przekonana, czy nie stanowiło to przypadkiem rozmyślnego manewru mającego na celu wywarcie wpływu na przebieg właśnie toczących się rokowań nad porozumieniem ACC i pokazanie, co się wydarzy, jeżeli władze radzieckie nie zechcą pójść na współpracę[20]. Ową dyrektywę poprzedziła podobna, obowiązująca równie niedługo, a wydana przez władze Saksonii pod koniec sierpnia. Nakazywała ona opuszczenie tej krainy w ciągu 48 godzin 4 milionom wysiedleńców, zdaje się jednak, że lokalni urzędnicy i dowódcy wojskowi, przytłoczeni ogromem stojących przed nimi zadań, po prostu chwytali się wszystkiego, co mogło choćby chwilowo rozładować trudności, nie mając ani czasu, ani chęci na analizowanie ewentualnych konsekwencji[21].

Dźwigając początkowo najcięższe brzemię, zarówno jako strefa głównych przesiedleń, jak i strefa tranzytowa – tylko w lecie 1945 roku przybyło tam od 2 do 2,5 miliona wysiedlonych ludzi – wschodnie Niemcy jako pierwsze doprowadziły do utworzenia na swoim obszarze czysto niemieckiej organizacji zajmującej się asymilacją

deportowanych. Centralna Agencja do spraw Niemieckich Przesiedleńców rozpoczęła działalność we wrześniu 1945 roku, nadzorując przyjmowanie i rejestrację wysiedleńców, rozsyłanie ich do różnych landów w strefie radzieckiej, zapewnianie przybyłym kwater i podstawowych sprzętów, wreszcie ich integrację i asymilację ze wschodnioniemiecką społecznością. Agencja ta wypełniała polecenia radzieckich władz wojskowych, składając im też raporty – a taki łańcuch dowodzenia miał przynajmniej tę zaletę, że był krótki i nieskomplikowany. W strefach zachodnich administracyjny aparat przesiedleńczy zaczął się formować pod koniec 1945 i w 1946 roku i był bardziej złożony. Większość bieżących zadań spadała tam na barki niemieckich lokalnych urzędników państwowych na szczeblu miast i okręgów (Kreis). Ich poczynania były nadzorowane przez „komisje do spraw uchodźców" w strefie amerykańskiej i „strefowe rady doradcze" w strefie brytyjskiej; w skład tych ciał wchodzili również sami wysiedleńcy, podlegając wszak zwierzchności alianckich władz okupacyjnych. Jednak poczynając od 1946 roku, zarządy landów zaczęły odgrywać większą rolę w administrowaniu poszczególnymi niemieckimi krajami, a niektóre z nich, na przykład Bawaria, powołały nawet ministerstwa do spraw uchodźców i wysiedleńców – opierając się na dyrektywach politycznych wydawanych przez odpowiednie alianckie władze wojskowe. Jak widać, ten anglosaski model, odzwierciedlający wagę, jaką zachodni sprzymierzeni przykładali do tego, by w powojennych Niemczech doszło do ukształtowania się zdecentralizowanej formy rządów, wiązał się w znacznym stopniu z dublowaniem się zakresu odpowiedzialności, co wywoływało nieuniknione zamieszanie i nieporozumienia wynikające z funkcjonowania takiego systemu. Pewna jego

niewydolność była wszakże rekompensowana przez zaangażowanie do współpracy dużo liczniejszej niemieckiej kadry administracyjnej, potrafiącej doraźnie rozwiązywać mnożące się problemy, co w pewnej mierze równoważyło niedoskonałości takiej formy rządów.

W każdym razie, jak już wspomniano, mimo swojej strukturalnej niedoskonałości strefowe władze ostatecznie przyjęły zadziwiająco podobną strategię w kwestii uporania się z kryzysem wynikłym z powodu napływu uchodźców. Z trudności, przed jakimi stanęły, wyróżniały się dwie – krótko- i długoterminowe. Początkowo najważniejsze było rozesłanie przybyłych do landów i zapewnienie im tam jakiegoś schronienia. Po osiągnięciu tego wyłoniło się trudniejsze zadanie zintegrowania ich z niemiecką gospodarką i likwidacji różnic między przesiedleńcami a miejscową ludnością. W istocie okazało się, iż cele te wzajemnie się dopełniały, w tym sensie zwłaszcza, że powodzenie lub niepowodzenie w realizacji pierwszego w dużym stopniu decydować miało o sukcesie albo fiasku drugiego z nich.

Przezwyciężenie kryzysu mieszkaniowego było zdecydowanie najpilniejszą sprawą – o ile istniała możliwość importu żywności, o tyle domów nie dało się sprowadzić – i trudniejszą nawet od rozwiązywania problemów związanych z racjonowaniem produktów spożywczych. Wobec tego, że w latach 1945–1946 codziennie napływała do Niemiec grupa ludności odpowiadająca populacji miasta średniej wielkości, władze nie miały wyboru i musiały upychać tyle osób, ile się dało, w każdej dostępnej izbie. A tych ostatnich ciągle brakowało. W Düsseldorfie, jednym z najbardziej zniszczonych wskutek bombardowań miast, z końcem wojny 93 procent domów i mieszkań nie nadawało się do wykorzystania na kwatery.

W całych Niemczech, zanim jeszcze zaczęły się deportacje, statystycznie „10 Niemców mieszkało tam, gdzie w 1939 roku mieszkało zaledwie czterech, choć niektóre z piwnic i schronów raczej nie zasługiwały na miano kwater mieszkalnych”[22]. Prawo mieszkaniowe ACC z marca 1946 roku, będące jedną z bardzo niewielu decyzji, podjętych wspólnie na wysokim szczeblu przez cztery zwycięskie mocarstwa alianckie, zatwierdziło zajmowanie wolnej powierzchni mieszkalnej, nawet pokojów w prywatnych domach, i umieszczanie tam wysiedleńców. A ponieważ najwięcej niezniszczonych kwater ostało się w oddalonych od wielkich miast regionach wiejskich, właśnie tam skierowano 85 procent przybyłych deportowanych[23]. Skutkiem tego niemal od razu przeludnienie wsi osiągnęło astronomiczny poziom. W małej wiosce Bakede na zachód od Hildesheim, normalnie liczącej 700 mieszkańców, dokwaterowano w kwietniu 1946 roku 400 wysiedleńców[24]. We Flensburgu na granicy niemiecko-duńskiej tamtejszy Landrat (starosta) pomieścił 17 wysiedlonych we własnym domu. „Pewien rolnik zapewnił dach nad głową 70 ludziom, a inni często upychali bydło w jednej oborze, aby pozostałe zabudowania gospodarcze przeznaczyć dla bezdomnych”[25].

Problemy z zakwaterowaniem występowały z niejednakowym nasileniem w trzech strefach okupacyjnych, w których przyjmowano wysiedleńców. Generalnie w strefach zachodnich, gdzie znajdowały się największe skupiska ośrodków miejskich, podczas wojny najintensywniej atakowanych przez alianckie bombowce, sytuacja mieszkaniowa przedstawiała się najgorzej. W 1950 roku, czyli w piątym roku powojennej odbudowy, metraż mieszkalny przypadający na jedną osobę w Niemczech był dwukrotnie mniejszy niż przed wojną[26]. Z największymi

kłopotami kwaterunkowymi borykano się w strefie brytyjskiej. W lipcu 1946 roku zaszła konieczność uznania wiejskiego okręgu Szlezwika-Holsztynu, którego ludność zwiększyła się o dwie trzecie na skutek napływu deportowanych, za „czarny” obszar, pozbawiony możliwości przyjmowania kolejnych wysiedleńców; Zagłębie Ruhry oraz Hamburg niebawem znalazły się w tej samej kategorii. Z kolei strefa radziecka w Niemczech, poza wielkimi miastami takimi jak Berlin czy Drezno, ucierpiała w trakcie wojny o wiele mniej; zasadniczy problem wynikał z tego, że w rolniczych głównie regionach wschodnich Niemiec przeważały nie najlepsze domy i kwatery. Fakt, że tylu Niemców, zarówno wysiedleńców, jak i miejscowych, nieustannie przechodziło przez „zieloną granicę” ze strefy radzieckiej do stref zachodnich, stanowił dla Sowietów pewien, acz niewystarczający, wentyl bezpieczeństwa, jakiego nie miały przytłoczone kłopotami brytyjskie i amerykańskie władze okupacyjne[27].

Gdy trudności związane z przeludnieniem osiągnęły krytyczny poziom, władze przesiedleńcze uciekły się do bardziej pomysłowych – czy też desperackich – rozwiązań. Faworyzowaną opcję stanowiło adaptowanie na kwatery mieszkalne schronów przeciwlotniczych, choć te pozbawione były okien oraz najczęściej choćby najprymitywniejszych urządzeń sanitarnych. W Hanowerze jeden z takich schronów zajmowało 750 wysiedleńców, 945 – podobny schron we Frankfurcie nad Menem, a 644 w Höchst. Ale już wkrótce nawet z tych pomieszczeń nie dało się korzystać, gdyż naczelne dowództwa alianckie nakazywały wysadzanie ich w powietrze, aby nie mogły posłużyć w ewentualnej przyszłej wojnie[28]. Na propozycję Waltera Manna, krajowego komisarza do spraw uchodźców w Hesji, część kompleksu mieszkalnego Adolfa Hitlera

w Berchtesgaden wykorzystano na kwatery dla wypędzonych Sudetendeutschów[29]. Pomimo takich pomysłów nie istniała inna możliwość zakwaterowywania wysiedleńców na dłuższe okresy niż w rozmaitych obozach. Do końca 1945 roku Centralna Agencja do spraw Niemieckich Przesiedleńców we wschodnich Niemczech kierowała 625 obozami różnego rodzaju – przejętymi byłymi obozami koncentracyjnymi, obozami Frontu Pracy i opuszczonymi obozami jenieckimi – a w nich znalazło się ponad 480 tysięcy osób[30]. Liczba obozów w zachodnich strefach okupacyjnych sięgała tysięcy[31].

Władze wszystkich trzech stref odnosiły się do tego coraz bardziej niechętnie. Początkowo liczono na to, że przybyli będą pozostawać w obozach recepcyjnych przez kilka dni albo, w razie przypuszczalnego ryzyka epidemii i zalecanej kwarantanny, maksymalnie do dwóch lub trzech tygodni. Dłuższy pobyt wiązał się z groźbą segregacji i podziałów wśród populacji wysiedleńców, podczas gdy zarządy wojskowe trzech stref okupacyjnych „dążyły pilnie do czynienia wszystkiego, co tylko możliwe, aby Niemcy akceptowali osoby przybywające ze Wschodu jako swoich rodaków, a nie narzuconych im obcokrajowców”[32]. Spore zaniepokojenie czynników oficjalnych wzbudzały demoralizujące skutki długiego przebywania w obozach, a „Frankfurter Allgemeine Zeitung” obawiał się ukształtowania patologicznego społecznie podtypu: *Homo barackensis* („człowieka barakowego”):

> *Homo barackensis* nauczył ludzkość w XX wieku straszliwej prawdy: postęp, humanizm i poczucie godności istnieją tylko w warunkach wolnego świata. Kiedy dochodzi do załamania się prawa i porządku, pojawiają się obozy – ten najbardziej ponury i okrutny

> wyraz ludzkich zdolności – będące wylęgarnią nihilizmu[33].

Bez wątpienia można znaleźć wiele przykładów głębokiej demoralizacji wysiedleńców pod wpływem długotrwałego odosobnienia w obozach, gdzie jak im się wydawało, zostali zapomniani przez świat. Losy *Frau* Klug, rezydentki obozu Burlagsberg leżącego około 65 kilometrów na północ od Osnabrück, która znalazła się tam w 1945 roku po ucieczce z Ziem Odzyskanych, świadczą wymownie o stopniowej degrengoladzie postępującej w trakcie jej siedmioletniego pobytu w takim miejscu – i o sytuacji w wielu innych podobnych ośrodkach. Początkowo pani Klug była zadowolona, że w ogóle miała się gdzie podziać, ale panująca wśród obozowej społeczności atmosfera, zrazu dobra, wkrótce zaczęła się psuć:

> Najpierw baraki stały w lesie, więc otaczające drzewa przyjemnie je ocieniały, ale wobec braku opału, zwłaszcza [zimą] 1946/1947, wiele drzew ścięto, a tym samym baraki znalazły się na piaszczystej równinie, wystawione na wiatr i niepogodę. Zaczął się też rzucać w oczy toporny charakter baraków, gdyż zabudowania te były w opłakanym stanie, tu i ówdzie pozabijane kawałkami żelastwa i desek. […] Wkrótce […] duch wspólnoty się ulotnił i każdy z mieszkańców zajął się własnym życiem.
>
> Po reformie monetarnej sytuacja finansowa stale się pogarszała, a bezrobocie wzrastało (obecnie około 90 procent zdolnych do pracy mężczyzn dostaje zasiłki dla bezrobotnych). Kiedy z niewoli powracali mężowie i synowie, problem przestrzeni bytowej stał się katastrofalny. […] Większość baraków jest w bardzo złym stanie, ponieważ samorząd Löningen nie dokonał

> żadnych napraw poza smołowaniem dachów. Wszelkiego rodzaju znoszone wspólnie nieszczęścia wraz z niepewną przyszłością sprawiły, że ludzie zgorzknieli, gdyż nie widzieli kresu; tyle im naobiecywano, a niczego nie zrobiono[34].

Warunki w innych obozach były równie nędzne. Archiwa władz okupacyjnych oraz organizacji humanitarnych w rodzaju MKCK, katolickiego Caritasu, protestanckiej Evangelisches Hilfswerke i amerykańskiego Friends Service Committee pełne są opisów przepełnionych, nieogrzewanych, niezdrowych, czasem nawet pozbawionych dachów zabudowań, w których wysiedleni tkwili miesiącami i latami. Zwroty takie jak „przypomina londyńską stację metra w pierwszych dniach nalotów", „siedziby, które robią wrażenie, jak gdyby sam diabeł je stworzył" czy „bardziej żałosne od nawet najgorszych obozów jenieckich, na które się natknęliśmy", pojawiają się często w sprawozdaniach z inspekcji[35]. W Bawarii obozy przejściowe (dulagi) były „nadal otoczone murami i/lub drutami kolczastymi, a uchodźców, których złapano poza nimi bez przepustek, policja siłą sprowadzała z powrotem, więc trudno było nie uważać dulagów za rodzaj więzień"[36].

Jednak pomimo obaw, że obozowe życie doprowadzi do wychowania całego pokolenia nierobów i wykolejeńców, niepokoje tego rodzaju okazały się przesadne. Demoralizacja i poczucie rozpaczy wynikały nie tylko z samego faktu mieszkania w obozach, lecz także z długotrwałych pobytów w odległych i nieprzystępnych miejscach takich jak Burlagsberg, gdzie nie było widoków na znalezienie pracy zarobkowej i rozwój osobisty. W obozach znajdujących się bliżej dużych ośrodków

problemami, z którymi władze nierzadko musiały się zmagać, były nie tyle apatia i fatalizm części obozowej populacji, ile jej wojowniczość i gniew. Na przykład były obóz koncentracyjny w Dachau, w 1948 roku zamieniony na tymczasowe schronisko dla około 2 tysięcy Sudetendeutschów, niebawem stał się miejscem aktywnej działalności wysiedlonych. W sierpniu 1948 roku, pod wpływem protestujących z Dachau, 72 tysiące ludzi z bawarskich obozów podjęło siedmiodniowy strajk głodowy, domagając się lepszego pożywienia i poprawy warunków bytowych. Jednak dopiero w roku 1953 budowlana kooperatywa złożona z obozowych rezydentów zdołała przygotować wystarczająco wiele mieszkań, by mogły się do nich przeprowadzić ci, którzy przebywali w tym obozie najdłużej. Ich miejsca zajęli nowi przybysze z Czechosłowacji – niedobitki niemieckiej mniejszości, której w 1948 roku rząd w Pradze pozwolił zostać w kraju – a ostateczne zamknięcie Dachau jako tymczasowego osiedla dla wypędzonych etnicznych Niemców nastąpiło dopiero w 1965 roku.

Ale nie wszędzie tak to wyglądało. Meryn McLaren zauważa, że lepsze obozy dla uchodźców odegrały rolę ważnego etapu przejściowego na drodze do integracji wysiedlonych z niemiecką społecznością: „Dawały rezydentom okazję do przywyknięcia do nowej sytuacji i pogodzenia się z tym, że powrotu [w rodzinne strony] nie będzie, w pomocnym i samowystarczalnym środowisku, gdzie mogli poznawać nowe i utwierdzać się w swej kulturowej tożsamości z dala od wrogości miejscowych ludzi”[37]. Gdzie indziej, jak w Norymberdze, mieszkańców tamtejszego obozu połączyły tak silne więzi, że opierali się oni czynnie próbom przeniesienia ich do stałych siedzib, co skłoniło jednego z urzędników do refleksji, że „do usunięcia

ich [z obozu] konieczne mogą się okazać siły policji”[38]. Zdarzało się tak zwłaszcza, gdy sporej części obozowej populacji zapewniano płatną pracę. Mimo wszelkich istniejących niedogodności efekty tego bywały czasem widoczne nawet w wyglądzie przejściowego obozowiska. Treffling, obóz leżący nieco na zachód od Klagenfurtu w Austrii, gdzie umieszczono 3 tysiące Volksdeutschów, z których wielu znalazło zatrudnienie jako robotnicy rolni w okolicznych gospodarstwach, zrobił wrażenie na jednym z brytyjskich inspektorów z powodu „nienagannej czystości i świetnej organizacji, co głównie jest zasługą samych jego mieszkańców”[39]. Nawet w trochę gorzej funkcjonujących miejscach możliwość zarobkowania okazała się kluczem do przetrwania określonego czasu i maksymalnego skrócenia pobytu w dość obskurnym obozowym otoczeniu.

Ale zapewnianie odpowiedniej pracy wysiedlonym stanowiło źródło piętrzących się trudności. Wobec głównej, w latach 1945–1947, konieczności kierowania napływających ludzi tam, gdzie mogli znaleźć schronienie, spowodowała, że większość z nich trafiła na odludne tereny wiejskie, gdzie nie mogli zrobić większego użytku z posiadanych umiejętności zawodowych. Odbiło się to szczególnie mocno na Sudetendeutschach, z których większość wcześniej pracowała w przemyśle. Zdarzało się, że przesiedleńcy usiłowali zakładać własne firmy w nowych dla siebie miejscach. Najbardziej znany przykład tego rodzaju stanowili dmuchacze szkła i jubilerzy z Jablonca nad Nysą (niem. Gablonz), którzy po wysiedleniu do bawarskiego Kaufbeuren, założyli tam nowe miasteczko – Neu-Gablonz – uruchamiając produkcję szklanych ozdób i biżuterii w dawnej fabryce amunicji. Do 1947 roku prawie tysiąc mieszkańców Neu-Gablonz podjęło pracę w wyuczonym fachu, a ich eksportowane wyroby przynosiły

dochody zachodnioniemieckiej gospodarce. Jednak mimo zainteresowania, jakie wzbudził eksperyment z Neu-Gablonz, nie był to wzorzec łatwy do powielenia gdzie indziej. W trakcie deportacji społeczności Volksdeutschów uległy znacznemu rozproszeniu, ponadto tylko nieliczni Sudetendeutsche mieli umiejętności dające się tak łatwo wykorzystać z zyskiem, a ludziom, których cały dobytek składał się głównie z ubrania, jakie mieli na sobie, brakowało kapitału potrzebnego na uruchomienie komercyjnych przedsiębiorstw. I dlatego nawet ci Niemcy z Jablonca, którzy trafili do Saksonii-Anhalt czy Turyngii, a nie do Bawarii, spotkali się z „kolosalnymi trudnościami", gdy chcieli ponownie uruchomić swoje firmy[40].

Jeśli nawet wysiedlonym udawało się znaleźć jakąkolwiek pracę, zwykle zarabiali mało, by nie rzec, że jawnie ich wykorzystywano. Dochodziło do tego zwłaszcza w Austrii, gdzie w odróżnieniu od Niemiec, Volksdeutsche nie mogli zgodnie z prawem pozostać. Teoretycznie po tym jak obowiązki administrowania obozami dla przesiedleńców państwa alianckie przekazały w 1948 roku Wiedniowi, wszyscy lub prawie wszyscy przebywający w Austrii Volksdeutsche powinni byli otrzymać prawo stałego pobytu. Jednak wielu go nie dostało, gdyż nie mogli znaleźć austriackiego sponsora, który zapewniłby, że nie obciążą budżetu publicznego. Zobowiązani do odnawiania pozwolenia na pobyt co trzy miesiące albo co pół roku, nierzadko bywali eksploatowani przez nieuczciwych właścicieli i pracodawców[41]. Pewien brytyjski administrator w Karyntii poskarżył się austriackiej Izbie Rolnej w 1947 roku, że lokalni chłopi najmowali Volksdeutschów do pracy w okresie letnim, by zwalniać ich z dnia na dzień od razu po żniwach. Wysiedleńców „wyciągano z obozów i odsyłano tam, kiedy nie było już

zapotrzebowania na ich usługi”[42]. Dyrektor jednej z organizacji zajmującej się niesieniem pomocy przesiedleńcom dwa lat później określił warunki, na jakich ich zatrudniano, jako analogiczne do tych z czasów „feudalnych chłopów pańszczyźnianych”[43]. Dopiero w roku 1952 Austriacka Federacja Związków Zawodowych zniosła obowiązujące restrykcje, co umożliwiło Volksdeutschom podejmowanie pracy na takich samych warunkach, jakie oferowano pracownikom austriackim, we wszystkich zawodach, z wyjątkiem lekarskiego.

Pracujący wysiedleńcy w Niemczech nie stali przed podobnymi przeszkodami prawnymi, ale i oni nie mieli pełnej swobody poczynań. W świetle przepisów można ich było zmuszać do zapełniania wakatów na rynku pracy. Niektórzy z pozbawionych skrupułów urzędników *Arbeitsamtów* (urzędów pracy) nabrali zwyczaju wizytowania pociągów z deportowanymi, gdy te docierały do obozów przejściowych, i przymusowego werbowania silniejszych i zdrowych pasażerów do zajęć, na które brakło chętnych. Na przykład w Helmstedt na wiosnę 1946 roku miejscowy urząd pracy wybierał „wszystkich sprawnych mężczyzn z każdego przybywającego konwoju, odłączając ich od rodzin i kierując do lokalnych fabryk. Nienadający się do pracy, razem z kobietami i dziećmi, byli pozostawiani w obozie w danym Kreisie [okręgu]”[44]. Nieco inną odmianę tego procederu uprawiały władze Bawarii, które jak protestowały zarządy Wirtembergii i Hesji, realizowały politykę selektywnego przyjmowania wysiedleńców. Twierdzono, że kiedy tylko niezapowiedziany pociąg z Kraju Sudeckiego pojawiał się na punkcie granicznym w Bebra, Bawarczycy wpuszczali go, jeżeli wiózł znaczny odsetek młodych osób dorosłych, za to zawsze odsyłali transporty z kobietami i dziećmi. W rezultacie Wirtembergia i Hesja

borykały się z problemem mnóstwa osób niezdolnych do pracy, podczas gdy w Bawarii produktywną część populacji wysiedlonych kierowano niezwłocznie do pracy[45].
W strefie radzieckiej władze próbowały przezwyciężyć skutki przypadkowego kierowania robotników rolnych do miast, a pracowników umysłowych na wieś, organizując obowiązkowe transfery ludności pomiędzy strefami. Jednak jedyny raz, kiedy zostało to przeprowadzone, wysiedleńcy, raz już przymusowo wywiezieni i nieskłonni, by znosić kolejny taki wstrząs, protestowali tak gorączkowo, że niebawem całego eksperymentu zaniechano.

W strefach zarówno zachodnich, jak i wschodnich przybysze nierzadko ścierali się z realiami „chłodnego powitania w ojczyźnie". Dla zasiedziałej na miejscu społeczności, już ledwie wiążącej koniec z końcem, pojawienie się takiej masy nowych ludzi, których niemieckość często wydawała się wysoce wątpliwa, bywało traktowane jako nieznośne brzemię. Praktyka przymusowego zakwaterowywania wysiedleńców też nie przysparzała tym ostatnim sympatii wśród lokalnej ludności, a o napięciach towarzyszących takiemu prowizorycznemu rozwiązaniu świadczyć może fakt stanowczego opierania się zarządzeniu o konieczności wydzielania kwater przybyłym. Jeden z oficerów alianckiego zarządu wojskowego zauważył, że zasiedziała ludność w strefie brytyjskiej nie wahała się ignorować obowiązku zapewniania schronienia Niemcom napływającym ze wschodu. „W najlepszym razie podporządkowują się temu zarządzeniu w minimalnym stopniu, a w najgorszym wypadku [wysiedleńcy] muszą zajmować pomieszczenia ledwie nadające się dla bydła"[46]. W całych Niemczech dobrze znane były przypadki otwartego sprzeciwu wobec owego prawa kwaterunkowego. Nierzadko opierającym się

ludziom sprzyjali po cichu lokalni niemieccy administratorzy, bardzo dobrze zdający sobie sprawę, że miejscowa ludność miała prawo głosu, podczas gdy napływający przesiedleńcy, przynajmniej początkowo, zazwyczaj nie. Przypadek burmistrza miasta Niedel-Weisel w Hesji, który stłoczył 35 wysiedleńców w dwóch izbach na okres dwóch tygodni, zamiast rozdzielić ich po mieszkaniach lokalnych obywateli, bynajmniej nie należał do wyjątkowych[47]. Dodatkowe problemy nastręczała skłonność tych właścicieli domów i mieszkań, którzy podporządkowywali się zarządzeniom, do traktowania zakwaterowanych uchodźców jak nieproszonych gości czy intruzów, zabraniania im korzystania z łazienki lub kuchni i pozwalania na wychodzenie z kwater tylko o określonych porach. Przypuszczalnie władze w strefach zachodnich tępiły takie praktyki aktywniej, niż czyniły to władze strefy wschodniej, czasami wykazując się pomysłowością w tym względzie. Na przykład w 1947 roku skazano frankfurckiego piekarza Wilhelma Rappa wraz żoną i dwiema córkami na czterotygodniowy pobyt w obozie przejściowym za dyskryminowanie zakwaterowanych u nich wysiedleńców[48]. Z kolei zadanie zmuszenia miejscowych społeczności w strefie radzieckiej do wypełniania narzuconych im powinności okazało się trudne do przeprowadzenia zapewne głównie z powodu biurokratycznej niewydolności urzędów oraz obojętnego nastawienia niektórych przedstawicieli tamtejszych władz. Tylko w Brandenburgii do 1948 roku udało się zlustrować zaledwie 25 tysięcy z 600 tysięcy mieszkań wyznaczonych na kwatery[49].

Polityka sprzymierzonych zmierzała nie tylko do tego, by skłonić miejscowych do potraktowania wysiedleńców jak równoprawnych członków narodu niemieckiego, ale także

by przekonać samych deportowanych, że „«już tu zostaną» i że buntowanie się przeciwko temu zaszkodzi tylko interesom przyszłych demokratycznych Niemiec”[50].
I z jednym, i z drugim ludność niemiecka nie bardzo chciała się pogodzić. We wschodnich i zachodnich regionach Niemiec deportowanych z Ziem Odzyskanych często określano ironicznie mianem Wasserpolen („ledwie zgermanizowanych Polaków”), „Rusków”, Rucksackdeutsche („Niemców z plecakami”) i „czterdziestokilogramowych Cyganów”[51].
Przeprowadzony przez Amerykanów w Badenii-Wirtembergii w listopadzie 1946 roku sondaż opinii publicznej wykazał, że tylko połowa członków miejscowego społeczeństwa uważała wysiedleńców za współobywateli; równie liczni twierdzili, że ci ostatni pewnego dnia wrócą tam, skąd przybyli. Jeszcze bardziej zaskakujące, że niemal taki sam odsetek wysiedlonych – około 40 procent – nie przyznawał się do niemieckości, uznając się za Czechosłowaków, Węgrów i przedstawicieli innych narodowości. Prawie tyle samo skarżyło się, że miejscowa ludność „uważała ich za gorszych ludzi, za obcokrajowców albo żebraków”[52]. W niektórych częściach kraju alianckie władze wojskowe stwierdzały, iż przesiedleńców traktowano z góry i „z nienawiścią”, a ci ze swej strony „uważali miejscowych, a nie władze okupacyjne, za prześladowców”[53]. Austriacy czasami odnosili się do obcych w swoim gronie z jeszcze większą wrogością, chociaż wielu czyniło rozróżnienie między Sudetendeutschami wywodzącymi się z sąsiedniego kraju a jeszcze bardziej egzotycznymi kulturowo Volksdeutschami z Jugosławii i Rumunii. Na przykład starostwo miejscowości Oberzaucher w Styrii poinformowało okupacyjne władze brytyjskie w 1947 roku, iż przeciętny miejscowy obywatel

nie potrafił zrozumieć, dlaczego „dostaje głodowe przydziały żywności tylko z takiej przyczyny, że znaczna część dostępnego pożywienia jest zjadana przez licznych obcokrajowców”[54]. Paradoksalnie, spora część przedstawicieli lokalnych społeczności w obu krajach, Niemczech i Austrii, a zwłaszcza ci słabiej wykształceni, podchwytywała argumenty rządów czechosłowackiego i polskiego, obwiniające wysiedlanych o „wywołanie wojny” i ściągnięcie na Rzeszę nieszczęść i zniszczeń. Dwie ogólnokrajowe ankiety przeprowadzone w Niemczech w marcu 1946 roku i we wrześniu 1947 roku świadczyły o nasileniu się wzajemnych nieporozumień. W pierwszej z nich 7 procent wysiedleńców wyraziło niezadowolenie z traktowania przez miejscową ludność; w drugiej – odsetek niezadowolonych wzrósł do 45 procent[55].

Ale nie wszędzie wzajemne stosunki były takie wrogie. Czasem ludność miejscową i napływową łączyła odraza odczuwana dla jeszcze bardziej pogardzanych grup, choćby polskich przesiedleńców z czasów wojny[56]. Część deportowanych Niemców miała krewnych w Niemczech czy Austrii, którzy mogli im pomóc albo przynajmniej złagodzić kulturowy szok związany z rozpoczynaniem nowego życia w nieznanym otoczeniu. A nawet tam, gdzie relacje między obiema społecznościami, między miejscowymi a deportowanymi, były najbardziej napięte, większość Niemców – jakkolwiek bardzo nieznaczna, wśród której przeważali wykształceni ludzie z klasy średniej oraz byli członkowie partii nazistowskiej – pojmowała, iż należało pomóc przybyszom w potrzebie.

Zarazem jednak większość wysiedleńców miała ogromne problemy z pogodzeniem się ze swoim losem. Szczegółowy profil psychologiczny typowego wysiedleńca, sporządzony

przez OMGUS w lutym 1947 roku, ostrzegał, że przeciętny niemiecki deportowany wciąż się nie godził

> z perspektywą spędzenia reszty życia wśród obcej społeczności, gdzie miejscowi są usposobieni nieprzyjaźnie i niechętnie, ich obyczaje wydają się dziwne, a wszystko już do kogoś należy.
>
> Wysiedlony ochoczo słucha wszelkich doniesień i pogłosek o okazjach powrotu do „domu” i podpisuje każdą petycję, która to obiecuje, podsuwaną im przez cynicznych prowokatorów. Będzie rozsyłał listowne „łańcuszki” do wszystkich znajomych, póki może się łudzić myślą o szansie na powrót. Kiedy rozgląda się wokoło, wydaje mu się, że to on sam utracił najwięcej na tej wojnie, gdyż miejscowi Niemcy, których nie wysiedlono, nadal mają swoje domy, ziemię i bydło. Wysiedlonemu trzeba coś dać w nowym kraju, zanim będzie się oczekiwało, że on sam czymś się zainteresuje albo rozwinie w sobie poczucie „przynależności” [do wspólnoty][57].

Sondaże potwierdzały tę silną tęsknotę za „domem”. Pomimo przebytych udręk i cierpień aż 85 procent wysiedleńców ankietowanych w amerykańskiej strefie okupacyjnej we wrześniu 1947 roku stwierdziło, że powróciliby do miejsc pochodzenia, gdyby tylko nadarzyła się taka sposobność[58]. I choć niektórzy komentatorzy zjadliwie zauważyli, że takie nostalgiczne przywoływanie minionego życia w Czechosłowacji czy Jugosławii ostro kontrastowało z tym, jak ci sami ludzie zaliczali samych siebie do „uciskanych” mniejszości w latach trzydziestych, to zarówno rezultaty ankiet, jak i stanowczy ton takich udzielanych odpowiedzi bardzo niepokoił alianckich

urzędników, upatrujących w tym potencjał dla nowej fali ruchów „rewizjonistycznych", żerujących na społecznej i ekonomicznej marginalizacji wysiedleńców i poczuciu rozżalenia. Populacja uchodźców i deportowanych, jak ostrzegał w kwietniu 1949 roku pewien ważny amerykański urzędnik państwowy, stanowiła „najbardziej jawnie nacjonalistyczny odłam w powojennych Niemczech"[59]. Jeśli miałoby nie dojść do szybkiej integracji tej grupy, zagrażało to poważnymi konsekwencjami.

Początkowo wojska okupacyjne w trzech alianckich strefach energicznie zwalczały wszelkie przejawy mobilizacji politycznej w kręgach wysiedleńców, dla odmiany zezwalając na działalność w legalnych partiach politycznych. Kiedy pewni amerykańscy politycy nie widzieli powodu, dla którego wysiedleńcy nie mieliby się organizować, uważając takie związki za „podobne do partii chłopskich dbających o interesy rolników", generał Lucius Clay w czerwcu 1946 roku wyraźnie zakazał tworzenia takich stowarzyszeń. Dopuszczanie do ich zakładania, jak stwierdził, byłoby równoznaczne z uznaniem, że „wszystkie większe grupy migrantów mają prawo zawiązywać partie polityczne. Nic nie byłoby bardziej szkodliwe dla ich sprawy – albo dla demokracji"[60]. Brytyjczycy podjęli analogiczne przeciwdziałania już miesiąc wcześniej. Jednak do przełomu roku 1947 i 1948 zarządy wojskowe, brytyjski i amerykański, po cichu zaakceptowały powstawanie towarzystw skupiających wysiedleńców i pielęgnujących ich dziedzictwo kulturowe – tak zwanych ziomkostw, czyli *Landmannschaften*. W rzeczywistości różnice między działalnością „apolityczną" a „polityczną" bywały bardzo nieznaczne i ostatecznie uznano, że nie warto zaprzątać sobie tym głowy. Po powstaniu Republiki Federalnej Niemiec w maju 1949 roku rząd Konrada Adenauera szybko

pogodził się z nieuniknionym, zezwalając wysiedleńcom na formowanie organizacji politycznych, działających na równi z innymi legalnymi partiami. W styczniu 1950 roku powstał Związek Wypędzonych (BdV; *Bund der Heimatvertreibenen und Entrechteten*), a na jego czele stanął Waldemar Kraft, były kapitan SS z dość niechlubną wojenną przeszłością.

Pojawienie się nowej siły politycznej w postaci wysiedleńczego lobby było zarówno kluczowym elementem integracji deportowanych, jak i pewnym zagrożeniem dla młodej Republiki Federalnej Niemiec. Nic nie dałyby próby zduszenia politycznej aktywności wysiedleńców, poza zepchnięciem ich jeszcze dalej na margines niemieckiego społeczeństwa. Jednocześnie perspektywa powstania zwartego bloku skupiającego jedną czwartą potencjalnego elektoratu, ludzi rozgoryczonych niedawnymi przejściami i dążących usilnie do rewizji zmian terytorialnych w latach powojennych, działającego w ramach młodej, nieokrzepłej jeszcze niemieckiej demokracji stanowiła oczywisty powód do niepokoju.

To, że wysiedleńcy nie okazali się jednak destruktywnym elementem życia politycznego, wynikało z trzech przyczyn: umiarkowania większości ich przywódców, rozwoju gospodarczego kraju oraz operatywności pierwszego powojennego kanclerza Niemiec, Konrada Adenauera. Wbrew oczekiwaniom wysiedleńcy nie wstępowali tłumnie do radykalnych ugrupowań. A skoro większość z nich obwiniała za swe wygnanie komunistyczne reżimy rządzące w ich byłych ojczyznach, prawdopodobieństwo, że znaczna liczba wysiedlonych będzie ciążyła ku skrajnej lewicy, która w Niemczech i w innych krajach, nadal broniła przesiedleń jako przejawu politycznej mądrości, było zawsze dość znikome. Poza hałaśliwymi „oszołomami” wysiedleńcy w większości nie dawali też posłuchu sloganom

prawicowych „rewizjonistów” ze swego kręgu. Świadome, że należy zapewnić ogół Niemców oraz międzynarodową opinię publiczną o swoich dobrych intencjach, ziomkostwa na zlocie w Stuttgarcie w sierpniu 1950 roku – w piątą rocznicę konferencji poczdamskiej – przyjęły „Kartę Niemieckich Wypędzonych”. Deklaracja ta odcinała się od „wszelkich myśli o zemście i odwecie” i wzywała do rozwijania europejskiej jedności jako jedynego trwałego rozwiązania problemu mniejszości na kontynencie. Głosząc, że „prawo do ojczyzny jest danym przez Boga prawem fundamentalnym”, Karta prezentowała też przewidziany do realizacji w najbliższej przyszłości program, zawierający wyłącznie plany poprawy warunków życia wysiedleńców w niemieckim społeczeństwie. Obejmował on dążenia do formalnego i faktycznego równouprawnienia Niemców napływowych z ludnością miejscową, integrację w ramach organizacji zawodowych oraz „sprawiedliwe i rozsądne rozłożenie brzemienia [skutków] minionej wojny na cały naród niemiecki”[61].

Zamysł owego „równomiernego obciążenia” już wcześniej stał się hasłem przewodnim społeczności wysiedleńców po tym, jak alianckie władze poleciły przywódcom zachodnioniemieckim w 1948 roku zajęcie się tym problemem. Cenne międzynarodowe wsparcie zostało udzielone tej idei na początku roku 1951 ze strony wysokiej komisji Zarządu Współpracy Gospodarczej, organu nadzorującego realizację Planu Marshalla, a złożonego głównie z wybitnych amerykańskich i zachodnioniemieckich uczonych, w tym ekonomisty z Harvardu, Johna Kennetha Galbraitha. W raporcie tej komisji, przedłożonym Adenauerowi w marcu 1951 roku, określono kwestię wysiedlonych jako „zasadniczo problem samych Niemiec” i zarekomendowano ambitny plan wydatków publicznych:

przeznaczenie około 12,5 miliarda marek (około 3 miliardów dolarów) na zapewnienie przesiedleńcom mieszkań, szkolenia zawodowego i zatrudnienia przy robotach publicznych w najbliższych sześciu latach. Oznaczało to czterokrotne zwiększenie federalnych wydatków na te cele, a środki miano czerpać z pożyczek i wpływów ze specjalnego podatku *Lastenaugleich* („wyrównawczego”)[62].

Choć trzy główne partie w RFN już zdecydowały się na podjęcie radykalnych kroków ekonomicznych dla uporania się z socjalno-ekonomicznymi problemami przesiedlonej ludności, to Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna (CDU) Adenauera uczyniła najwięcej dla priorytetowego potraktowania tej sprawy w swym programie. Adenauer, zrzędliwy, autokratyczny, a czasem i podstępny polityk, który wcześniej był burmistrzem Kolonii, reprezentując katolicką Partię Centrum do czasu zdymisjonowania go przez nazistów w 1933 roku, odznaczał się subtelniejszym, w porównaniu ze swoimi rywalami, zmysłem dotyczącym tego, co osiągalne w sensie politycznym. Był pod szczególnym wrażeniem przełomowego, jak się zdawało, sukcesu kierowanego przez Krafta BdV w lipcu 1950 roku, gdy organizacja ta zdobyła ponad jedną czwartą głosów w wyborach w Szlezwiku-Holsztynie oraz niezły wynik w Bawarii i Dolnej Saksonii kilka miesięcy później. W istocie sukces ów nie był aż tak znaczny – w żadnym z tych trzech landów procent głosów zdobytych przez BdV nie dorównywał odsetkowi wysiedleńców wśród tamtejszych wyborców – niemniej jednak dla Adenauera, który podówczas był kanclerzem od ponad roku, przekładał się na konieczność zażegnania groźby, jaką taki wynik stanowił dla przyszłości politycznej RFN, a także,

nieprzypadkowo, dla politycznych perspektyw samego Adenauera.

Na szczęście dla niego i dla Niemiec ruch wysiedlonych miał wiele słabych punktów. Jego polityczne skrzydło było o wiele mniej ważne od ziomkostw, łącznie 20, liczących ogółem w połowie lat pięćdziesiątych około 1 300 000 członków[63]. Miały one charakter terytorialny i nie zgadzały się ze sobą w wielu kwestiach. Na przykład wschodniopruski *Landsmannschaft* łączyło stosunkowo niewiele z ziomkostwem Niemców z Jugosławii. Związek Wypędzonych był zatem niejednolitym i niejednomyślnym ciałem, które nigdy nie zapewniło sobie poparcia większości osób, jakie rzekomo reprezentowało, oraz podatnym na podziały, co odnosiło się zwłaszcza do jego frakcji prawicowej. W jego skład wchodzili znani ludzie o przeszłości jeszcze mniej chlubnej od Krafta – między innymi Wilhelm Stuckart, współautor ustaw norymberskich. Mógł on mówić o szczęściu, że nie został powieszony za uczestnictwo w niesławnej konferencji w Wannsee w 1942 roku. I wreszcie, choć wysiedleńcy należeli do najbardziej zepchniętych na margines społeczny w powojennych Niemczech, to bynajmniej nie tylko oni starali się zwrócić na siebie uwagę władz państwowych. Ci, którzy potracili domy w wyniku alianckich bombardowań (tzw. *Ausgebombt*), inwalidzi wojenni, a także inne dobrze zorganizowane grupy – wszyscy oni starali się o rządowe zapomogi i nie mieli zamiaru znaleźć się w cieniu BdV.

Tak przebiegły gracz polityczny jak Adenauer miał więc nad czym pracować. Jego strategia zneutralizowania Związku Wypędzonych była prosta, lecz skuteczna: przeciągnąć na swoją stronę liderów tej organizacji i przekonać jej elektorat, że on sam i chadecja będą reprezentowali ich interesy lepiej. Pierwszy krok polegał na

doprowadzeniu do przyjęcia przez Bundestag *Lastenausgleich* i innych korzystnych dla wysiedleńców praw jeszcze przed następnymi wyborami powszechnymi, co wytrącało z rąk BdV główne argumenty. Wspomniane prawo, zatwierdzone w sierpniu 1952 roku, ustanawiało pozabudżetowy fundusz finansowany z połowy wpływów z podatku od kapitałów zgłoszonych przez niemieckich podatników w „roku bazowym" 1948. Choć wydawało się to drakońskim rozwiązaniem, wprowadzono tak wiele ulg, że obciążenie podatkowo nałożone na społeczeństwo okazało się dużo lżejsze od spodziewanego. Podatku nie ściągano od razu; mógł być spłacany w okresie 30 lat. Ponadto, jak zauważył Aidan Crawley, „to, że w roku bazowym wartość nieruchomości była najniższa, oznaczało, iż z nagłym wzrostem dochodów i wartości spowodowanym poprawą sytuacji [gospodarczej], większość ludzi mogła bez trudu spłacać raty"[64]. A więc *Lastenausgleich* okazał się programem zakrojonym na mniejszą skalę i realizowanym dłużej od tego przewidzianego w raporcie Zarządu Współpracy Gospodarczej, wiązał się z relatywnie znośnymi kosztami na poziomie 1,5 miliarda marek rocznie – to jest nieco powyżej 5 procent ogółu federalnych, krajowych i samorządowych wpływów z podatków (choć ostatecznie, w końcowej fazie obowiązywania tego programu, w roku 2001, wypłacono w jego ramach 145 milionów DM)[65]. Wysiedleni oraz inni Niemcy, którzy ponieśli straty materialne w wyniku wojny, byli upoważnieni do otrzymania od państwa rekompensat w skali ruchomej – od 100 procent w przypadku najskromniejszych roszczeń do 6,5 procent w przypadku największych. Przesiedleńcy mogli się również ubiegać o pożyczki na mieszkania i pomoc w szkoleniu zawodowym. Następnie, w maju 1953 roku, uchwalono prawo o wysiedleńcach. Na jego mocy powołano Federalne

Ministerstwo do spraw Wysiedlonych, Uchodźców i Ofiar Wojny oraz umożliwiano tym członkom etnicznych mniejszości niemieckich, którzy jeszcze pozostawali poza granicami Niemiec, emigrację do RFN bez zbytecznych komplikacji. Wreszcie ustawa o uposażeniach dla uchodźców, wprowadzona tuż przed wyborami w roku 1953, zapewniała wysiedleńcom i uciekinierom prawo do korzystania z ubezpieczeń społecznych na takich samych zasadach, jakie przysługiwały tym, którzy zawsze mieszkali i pracowali w Republice Federalnej Niemiec.

Drugi manewr Adenauera w rozgrywkach z BdV polegał na przejęciu linii tej organizacji w polityce zagranicznej. Niekoniecznie oznaczało to występowanie w imieniu wypędzonych Niemców na arenie międzynarodowej, w każdym razie nie nazbyt aktywne. Z wyjątkiem komunistów wielu Niemców z prawie wszystkich pozostałych środowisk oburzało się z powodu strat terytorialnych poniesionych w 1945 roku i choć z tego powodu nie byli gotowi do zakłócania europejskiego pokoju, to opowiadali się za przywróceniem niemieckich granic z 1937 roku. Adenauer chciał tego również, przynajmniej częściowo, chociaż niezwykła stanowczość, z jaką wyrażał publicznie poglądy w tej sprawie, wskazywała zapewne, że nie był nieświadom, jak odniesie się do tego naturalne zaplecze Związku Wypędzonych. O tym, że w tym względzie osiągał na ogół zamierzone rezultaty, świadczyły wyniki wyborów federalnych w 1953 roku. Chrześcijańscy demokraci i ich koalicyjni partnerzy zdobyli ponad 45 procent głosów, zdecydowanie pokonując socjaldemokratyczną opozycję. BdV uzyskał poniżej 6 procent (a głosowało nań mniej wysiedleńców niż na zwycięską chadecję), nie zaskarbiając sobie jakiegokolwiek poparcia zasiedziałej niemieckiej ludności. Jak zwrócił

uwagę Michael Hughes: „Wybory te powszechnie uznawano za referendum poparcia dla Adenauera i jego polityki – i w pewnym stopniu takim referendum były; Adenauer wygrał”. Szybko wykorzystując to zwycięstwo, kanclerz zaproponował liderom osłabionego BdV, Waldemarowi Kraftowi i jego zastępcy Theodorowi Oberländerowi, miejsca w swoim rządzie, tym samym „przywiązując tę partię do polityki Adenauera”[66]. Dwa lata później Kraft i Oberländer porzucili swoje ugrupowanie polityczne i wstąpili do CDU, w praktyce przypieczętowując losy BdV jako liczącego się ruchu politycznego.

Konrad Adenauer i jego następcy często byli krytykowani za „oportunistyczną” i „manipulacyjną” postawę prezentowaną w latach pięćdziesiątych w kwestii wysiedleńców, a szczególnie za chłodne odniesienie się do propozycji poprawy stosunków ze wschodnimi sąsiadami Niemiec, co nie zyskałoby przychylności ziomkostw. Mimo że przywódcy CDU w istocie ani nie spodziewali się, ani pewnie nawet nie chcieli odzyskania utraconych przez Niemcy obszarów czy rekompensaty od państw, z których deportowano etnicznych Niemców, za skonfiskowane w 1945 roku niemieckie mienie lub też „prawa do powrotu” wysiedleńców do Czechosłowacji, na Węgry i gdzie indziej, to oficjalnie podpisywali się pod utopijnym programem rewindykacyjnym i podtrzymywali w zachodnioniemieckim elektoracie szkodliwe złudzenia dla własnych korzyści politycznych. Twierdzili publicznie, że pakt monachijski z 1938 roku nadal obowiązywał, chociaż mieli świadomość, jak takie stanowisko było odbierane za granicą. „Stanowczo za długo – pisał Pertti Ahonen – elity polityczne tego kraju kierowały się taktycznym oportunizmem, mówiąc wysiedlonym i ludziom z innych grup nacjonalistycznych to, co ci chcieli usłyszeć, niezbyt się przejmując ówczesnymi

realiami albo możliwymi długofalowymi konsekwencjami” takich wypowiedzi[67].

Wypada nieco dodać na temat takiej interpretacji, gdyż jej zwolennicy na pewno przeceniają skromne pole manewru, jakie w owych latach mieli zachodnioniemieccy przywódcy w polityce zarówno wewnętrznej, jak i zagranicznej. Niewątpliwie Adenauer zazwyczaj mówił jedno, gdy zwracał się do wysiedleńców – ci od połowy lat pięćdziesiątych należeli do najbardziej zagorzałych stronników chadecji – a co innego, kiedy zwracał się do ogółu niemieckiego społeczeństwa. Niewiele z aspiracji ziomkostw można było urzeczywistnić w warunkach lat pięćdziesiątych, podobnie zresztą jak i dziś. To, że przywództwo tych organizacji często trafiało w ręce cokolwiek podejrzanych osobników z nie najlepszą wojenną przeszłością oraz gotowość kanclerza do brania ich mimo to pod swoje skrzydła, każe stawiać zasadne pytania o trzeźwość jego osądu i roztropność. Adenauer, kładąc nacisk na kwestię wysiedleńców – i wykorzystując ją do celów politycznych – równocześnie wolał milczeć o barbarzyństwach, za które odpowiedzialność ponosiły nazistowskie Niemcy i bez których do wysiedlenia ludności niemieckiej niemal na pewno by nie doszło.

Uwzględniając wszystkie te krytyczne opinie, mimo wszystko trudno nawet z perspektywy czasu stwierdzić, jak Adenauer mógłby inaczej radzić sobie z wyzwaniami, przed którymi stał. Zwyczajne zlekceważenie obaw i aspiracji tak znacznej części elektoratu było, w sensie politycznym, nierealne; zresztą inne partie natychmiast by to wykorzystały. Czasami zapomina się, że liderzy konkurencyjnych zachodnioniemieckich ugrupowań też raczej bez skrupułów rozbudzali oczekiwania wysiedleńców: na przykład Willy Brandt z umiarkowanie

lewicowej Socjalistycznej Partii Niemiec (SPD) nie omieszkał zapewniać ich w 1961 roku, że „Śląsk pozostaje, w naszej świadomości, niemiecką krainą” (*Schlesien bleibt in unserem Bewusststein deutsches Land*)[68]. Z pewnością zażegnanie kryzysu związanego ze sprawą wysiedlonych wymagało szczęścia w większym nawet stopniu niż talentu politycznego. Adenauer objął urząd kanclerski w momencie, gdy relacje między przesiedleńcami a lokalną ludnością niemiecką były zapewne najgorsze. Reforma monetarna z 1948 roku, związana z wymianą starych marek Rzeszy na nowe marki niemieckie po wysoce niekorzystnym kursie 10:1, najsilniej uderzyła właśnie w nowo przybyłych. W odróżnieniu od zasiedziałej ludności mieli oni niewiele aktywów poza gotówką, a wspomniana reforma w praktyce pozbawiła ich nader skromnych oszczędności i zepchnęła znowu na sam dół drabiny społeczno-ekonomicznej. Pod koniec 1949 roku stopa bezrobocia wśród wysiedleńców była dwukrotnie wyższa aniżeli wśród pozostałej ludności Niemiec; prawie co trzeci z przybyłych wysiedlonych pozostawał bez pracy. Niecały miesiąc przed powstaniem RFN pewien amerykański dyplomata ostrzegał, że jego zdaniem, a także w opinii trzech komisarzy do spraw uchodźców w amerykańskiej strefie okupacyjnej „dzisiejsza sytuacja jest przynajmniej tak zła jak w 1946 roku”[69].

Zapewne najważniejszym czynnikiem, który wybawił kraj od urzeczywistnienia czarnego scenariusza, było ożywienie niemieckiej gospodarki. Od początku lat pięćdziesiątych bezrobocie zaczęło zdecydowanie maleć, a w połowie owej dekady zostało prawie zupełnie zlikwidowane. W Niemczech Zachodnich zaczął się długotrwały boom eksportowy, a jego tempo było niedoścignione dla gospodarek innych państw rozwiniętych, gotowość samych wysiedleńców do podejmowania niezbyt dobrze płatnych

prac pomogła złagodzić presję inflacyjną. Taki korzystny dla ekonomii kraju okres nie tylko umożliwił wdrożenie kosztownych programów społecznych w rodzaju *Lastenausgleich*, ale również stopniowo uwolnił rząd w Bonn od konieczności dokonywania wyboru, kto – przesiedleni czy miejscowi Niemcy – miał w głównej mierze skorzystać z ograniczonej pomocy państwa; w demokratycznym systemie, gdzie decyduje głos większości, niemal na pewno zadbano by przede wszystkim o tych ostatnich.

W Niemczech Zachodnich nie przewidziano takiego bezprecedensowego rozwoju ekonomicznego i nie liczono, iż potrwa on w nieskończoność. W przypadku długotrwałego kryzysu, jak te z 1923 i 1929 roku, wszelkie zagrożenia związane z obecnością niezasymilowanej i rozgoryczonej ośmiomilionowej masy przesiedleńców znowu ujawniłyby się z całą mocą. Adenauer nie mógł wykluczać takiej możliwości i musiał starać się za pomocą wszelkich dostępnych środków bronić młodej republiki przed ewentualnymi skutkami takiego obrotu sprawy. Skoro najpewniejszą drogą wiodącą do spełnienia przepowiedni o buncie radykalnej i wyobcowanej mniejszości było traktowanie wysiedleńców i ich przedstawicieli podejrzliwie i z rezerwą albo podejmowanie prób utemperowania ich skrajnych poglądów przed wchłonięciem ich w główny nurt niemieckiej polityki, kanclerz nie miał specjalnego wyjścia i musiał czynić to, co czynił. Jak słusznie stwierdza Ahonen: „Często wyrażane stwierdzenie, że integracja wysiedleńców zajmowała na liście zachodnioniemieckich triumfów miejsce tuż za ściśle powiązanym z nią zjawiskiem cudu gospodarczego, jest zasadniczo słuszne. Republika Federalna ma powody do dumy w tym względzie, zwłaszcza

wobec licznych potencjalnych zagrożeń, które czyhały po drodze”[70].

Być może bardziej zaskakujące jest to, że i Niemcy Wschodnie doprowadziły do dość prostego rozwiązania problemu wysiedleńców, acz za pomocą zupełnie innych metod. Oczywiście, przeszkody i zagrożenia w tej części Niemiec miały całkiem inny charakter. Władze wschodnioniemieckie dysponowały nieograniczonymi środkami przymusu. Za tamtejszym reżimem, w razie gdyby temu się nie powiodło, stał Związek Radziecki. Istniało więc raczej nieduże niebezpieczeństwo, że wysiedleńcy mogli zagrozić przetrwaniu tego państwa. Rolniczy głównie wschód Niemiec znalazł się w okresie bezpośrednio po wojnie w lepszej sytuacji żywnościowej aniżeli inne części kraju. I wreszcie względne zacofanie ekonomiczne niemieckiego wschodu dało przynajmniej taką korzyść, że mniej rzucał się w oczy rozziew miedzy napływowymi uchodźcami a miejscową ludnością i, przynajmniej w teorii, był łatwiejszy do zlikwidowania niż w RFN.

Mimo wszystko władze radzieckie, Centralna Agencja do spraw Niemieckich Przesiedleńców i, po 1949 roku, rząd w Berlinie Wschodnim nie mogły polegać wyłącznie na siłowych rozwiązaniach w osiąganiu swoich celów. Zasadnicza trudność, przed jaką stały, sprowadzała się do tego, że na wschodzie Niemiec wygnańców witano niemal równie niechętnie, jak na zachodzie kraju. Cykl tzw. tygodni przesiedleńców w 1948 roku, kiedy przymuszano miejscową ludność do zbiórki odzieży i sprzętów domowych dla przybyłych uchodźców, przyniósł w wielu rejonach żenująco skromne rezultaty. Na przykład w Turyngii zebrano w trakcie tej dobroczynnej akcji zaledwie 110 par butów, 132 garnki i 10 kuchenek[71]. Władze nie mogły w tym względzie postępować zbyt ostro ze względu na to,

że były niepopularne. Na przykład latem 1947 roku władze Saksonii wyraziły pogląd, że „przymusowa zbiórka [dóbr do rozdania wysiedleńcom] jest niemożliwa. Nie możemy ryzykować pogorszenia nastrojów ludności”[72]. W końcu radzieckie władze wojskowe musiały zapewnić pomoc dla przesiedleńców z funduszy państwowych. Dotacje w wysokości 300 marek na osobę dorosłą i 1000 marek na dziecko wydano w październiku 1946 roku przybyłym do Niemiec Wschodnich. I jeśli nawet za tą subwencją kryło się dążenie do zapewnienia lepszego wyniku zdominowanej przez komunistów Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED) w wyborach w owym roku, to na Wschodzie zdecydowano się na taki krok wcześniej niż w zachodnich strefach okupacyjnych. Ponadto Sowieci wykazali też zaskakującą elastyczność we współpracy z kościelnymi organizacjami pomocy społecznej oraz z Czerwonym Krzyżem, zachęcając je do skupienia działań na udzielaniu wsparcia zwłaszcza dzieciom wysiedleńców[73]. Szczególnie wykazali się w tym względzie marszałkowie Żukow i Sokołowski.

Mimo to Sowieci nie mieli zamiaru dopuścić, aby kwestia „przesiedlonych” (określenie „wysiedleńcy” uznano w Niemczech Wschodnich za politycznie niepoprawne, gdyż implikowało zbytnią surowość rządów krajów, skąd dokonywano deportacji) bez końca stanowiła problem w ich strefie okupacyjnej. Skoncentrowano się zatem na zadaniu zakończenia akcji przesiedleńczo-asymilacyjnej – a w każdym razie na ogłoszeniu jej zakończenia – w przewidywalnym okresie. W związku z tym główny nacisk został położony na wyprowadzenie wysiedleńców z obozów, a następnie na zamykanie tych obozów, co w znacznej mierze udało się zrealizować do 1950 roku. Do osiągnięcia tego imponującego rezultatu konieczne okazały się pewne

sztuczki biurokratyczne, manipulowanie statystykami; na przykład tu i ówdzie „obozy” przemianowano na „kompleksy mieszkalne” dla wypełnienia wspomnianego planu[74]. Jednak dokonania Niemiec Wschodnich w tej mierze były i tak znaczne, jeśli wziąć pod uwagę, że w Niemczech Zachodnich w 1951 roku w obozach wciąż przebywały 324 tysiące osób, a ostatni tego rodzaju ośrodek został ostatecznie zamknięty dopiero 20 lat później.

Koncepcja „wspólnego dźwigania brzemienia” nie zdobyła zbytniego uznania na wschodnioniemieckich obszarach. Jak zauważył Philipp Ther, przekonanie, że wysiedleńcy wcześniej stanowili nazistowską „piątą kolumnę”, energicznie rozpowszechniane przez „bratnie kraje socjalistyczne”, sugerowało, że wypędzeni nie zasługiwali na pomoc – a jeżeli nawet, to na dużo mniejszą niż wsparcie, jakiego należało udzielić miejscowej ludności. Wprowadzenie „[prawa] *Lastenausgleich*, jak na zachodzie kraju, było więc niemożliwe z przyczyn ideologicznych”[75]. Wobec tego radzieckie władze wojskowe postanowiły upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, wiążąc sprawę osiedlania wygnańców z reformą rolną. A ponieważ większość wysiedleńców w Niemczech Wschodnich, podobnie jak w Niemczech Zachodnich, rozmieszczono już na terenach wiejskich – w Brandenburgii prawie 55 procent przybyłych osiadło do grudnia 1947 roku w osadach liczących mniej niż 2 tysiące mieszkańców – to tego rodzaju rozwiązanie przyniosło taką korzyść, że nie zachodziła szczególna potrzeba dalszego przemieszczania czteromilionowej rzeszy wysiedleńców w tym kraju[76]. Posiadłości ziemskie powyżej 100 hektarów oraz te należące do „zbrodniarzy wojennych” rozparcelowano. Chociaż po przeprowadzeniu tego programu około 567 tysięcy hektarów znalazło się

w rękach przesiedleńców, to Michael Schwartz stwierdził, iż przypadały im w udziale gorsze działki niż członkom lokalnej ludności, która korzystała z politycznych i towarzyskich znajomości dla promowania własnych interesów[77].

Rezultaty generalnie potwierdziły słuszność prognoz tych brytyjskich polityków, którym udało się odwieść Ernsta Bevina od realizacji podobnie utopijnego programu w 1944 roku. Reforma rolna okazała się kosztownym fiaskiem. „Jeszcze pod koniec 1946 roku trzy czwarte spośród *Neubauerów* [nowych rolników] musiało pracować bez koni […] a tylko jedna trzecia tych, którzy stali się rolnikami po reformie rolnej, miała krowę. Zaledwie co czwarte gospodarstwo miało pług, co piąte żelazne brony, a tylko jedno na 14 – mechaniczne kosiarki i młockarnie”[78]. Co więcej, ci, którym przypadły zwierzęta hodowlane i maszyny rolnicze, wywodzili się na ogół z miejscowej ludności; mieli lepsze koneksje w lokalnych społecznościach, „dojścia” do osób kierujących przydziałami ziemi i sprzętu, podczas gdy „przesiedleńców” zazwyczaj pomijano. I wreszcie przesadnie wygórowane normy obowiązkowych dostaw, zmuszające nowych rolników do oddawania władzom ziarna na zasiew i ziemniaków, powodowały, że wielu nie było w stanie zatrzymać choćby minimum płodów rolnych umożliwiających przetrwanie. W efekcie poziom życia *Neubauerów* był, jak donosili państwowi inspektorzy w 1950 roku, „niemal niewyobrażalnie niski”, podczas gdy koszty reformy, które w 1953 roku osiągnęły astronomiczną sumę 900 milionów marek, zostały określone przez ministra planowania Heinricha Raua jako „studnia bez dna”[79]. Zamiast pogodzić się z niepowodzeniem tego eksperymentu i, jak to czyniono później w Niemczech Zachodnich,

stopniowo przenosić wysiedleńców z ich pierwszych kwater na wsi do miast i miasteczek, gdzie znajdowało się dla nich coraz więcej miejsc pracy i domów, radzieckie władze wojskowe podwoiły nakłady na beznadziejnie nieopłacalne inwestycje i ogłosiły w 1947 roku wielki program budowy osiedli wiejskich. Gdy praktycznie cały budżet mieszkaniowy Niemiec Wschodnich przeznaczono na budowę gospodarstw dla przesiedleńców, którzy wkrótce je porzucali, odbudowa zniszczonych podczas wojny miast właściwie stanęła w miejscu. Jak zanotował pewien *Neubauer:* „Rozpacz i złość osadników nie mają granic. […] Całe grupy osadników nocą porzucają osiedla i uciekają na zachód”[80]. Dopiero w 1950 roku przerwano realizację tego kosztownego planu, który przyniósł bardzo mizerne rezultaty.

Jednak do tego czasu władze uznały za stosowne ogłoszenie „zwycięstwa” i zamiar kontynuowania przyjętej polityki. Centralna Agencja do spraw Niemieckich Przesiedleńców uległa rozwiązaniu w lipcu 1948 roku, a jej uprawnienia zostały przekazane niewielkiemu i mało ważnemu wydziałowi w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Od tej pory nawet określenie „przesiedleniec” (*Umsiedler*) wyszło z oficjalnego użycia, podobnie jak wcześniej słowo „wysiedleniec”: wszyscy ludzie z tej kategorii mieli stać się równorzędnymi obywatelami Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Zmiana ta znalazła odzwierciedlenie w polityce wewnętrznej i zagranicznej. W kraju władze rozprawiły się z nieoficjalnymi stowarzyszeniami wysiedleńców, nawet tymi, które miały zupełnie apolityczny charakter; jak zauważył Philipp Ther: „oznaczało to konkretnie, że nawet skargi na problemy integracyjne mogły doprowadzić do wszczęcia policyjnego śledztwa”[81]. Co się tyczyło areny

międzynarodowej, to o ile w Niemczech Zachodnich rząd w Bonn bardzo delikatnie obchodził się z odczuciami wysiedleńców, o tyle w Niemczech Wschodnich całkowicie je lekceważono. W ramach wymuszonej przez Sowietów ugody komunistyczne władze polskie i wschodnioniemieckie podpisały w lipcu 1950 roku traktat zgorzelecki, uznający linię Odry i Nysy za ostateczną granicę między obydwoma państwami. Stanowiło to straszliwy cios dla wysiedleńców w Niemczech Wschodnich, gdyż wielu z nich zdecydowało się na pozostanie w radzieckiej strefie okupacyjnej w nadziei, że niebawem zdołają powrócić do swoich dawnych domów. Jak zauważył Ian Connor: „Część z nich zamieszkała tak blisko granicy, że dostrzegali stamtąd domostwa, które wcześniej musieli opuścić”[82].

Rzucając przesiedleńcom ostatni ochłap, nim ci musieli sobie samodzielnie radzić we wschodnioniemieckim społeczeństwie, państwo wprowadziło jesienią 1950 roku – w wyniku silnych nacisków radzieckich władz wojskowych – ustawę o znamiennej nazwie: „O dalszej poprawie sytuacji byłych przesiedleńców”. Umożliwiała ona wykorzystanie trzech nieoprocentowanych pożyczek w wysokości do 1000 marek na zakup wyposażenia domowego, kredytów na cele budowlane oraz skromnych stypendiów na naukę dla dzieci wysiedleńców. Ale ponownie ambicje wschodnich Niemców przewyższyły ich zdolności i możliwości. Producenci mebli i artykułów gospodarstwa domowego nie byli w stanie zaspokoić gwałtownie rosnącego popytu na ich wyroby, ponadto ani rząd centralny, ani też zarządy poszczególnych powiatów nie miały funduszy do wypłacenia pożyczek wszystkim starającym się o nie. Wobec tego, choć Niemiecka Republika Demokratyczna przeznaczyła, w porównaniu z RFN, znacznie większą część swoich

skromnych zasobów na rzecz przesiedlonych, to rezultaty tego były dużo skromniejsze i wzbudziły głębokie rozczarowanie tych, którzy mieli z nich skorzystać.

Mimo wszystko w obu niemieckich republikach udało się do połowy lat pięćdziesiątych przezwyciężyć największe problemy związane z zorganizowaniem nowego życia przesiedleńcom. To prawda, że w Niemczech Wschodnich zasadnicza strategia rządzącej partii po 1948 roku polegała w tym względzie na „tuszowaniu trudności integracyjnych i «rozwiązywaniu» ich poprzez zaprzeczanie ich istnieniu”[83], niemniej do czasu wzniesienia muru berlińskiego w 1961 roku ci, którym to nie odpowiadało, mieli możliwość „zagłosowania nogami” i przenosin na Zachód, gdzie tym razem witano ich jak prawdziwych „uchodźców”. Uczyniło tak ostatecznie ponad 830 tysięcy osób[84]. W RFN likwidacja bezrobocia i pojawienie się nowszej i jeszcze bardziej zmarginalizowanej w sensie społecznym grupy „gastarbeiterów” z Turcji i z krajów basenu śródziemnomorskiego okazały się ważnymi czynnikami integracyjnymi. Z pewnością niełatwo było przenosić się z niczym i rozpoczynać życie od nowa; liczne badania wykazały, że nie tylko sami wysiedleńcy, lecz także ich dzieci byli i są bardziej narażeni na skutki społecznej deprawacji. Ponadto, jak wykazała Marita Krauss, nawet w Niemczech występowały różnice w trybie przystosowywania się do nowej sytuacji bytowej – nie mówiąc już o różnicach w tej mierze pomiędzy obydwoma państwami niemieckimi – należałoby więc raczej wspominać o „integracjach”, różnorakich procesach dostosowawczych, a nie o jednolitym zjawisku[85]. Ale obawy dotyczące lokalnych antagonizmów, przestępczości nieletnich i politycznego radykalizmu się nie potwierdziły i wbrew błędom czy niedopatrzeniom, zawinionym przez

władze zarówno alianckie, jak i niemieckie, powszechne przeświadczenie, że starania integracyjne przyniosły – ogólnie rzecz biorąc – sukces, oparło się nawet najbardziej stanowczym atakom rewizjonistów.

Nie oznacza to wszak, iż udało się zlikwidować wszelkie napięcia. Wysiedlenia pozostały głęboko traumatycznym epizodem dziejowym i doprowadziły do nowych podziałów w społeczeństwie doświadczonyum już przez wiele wstrząsów od początków XX stulecia. Zarówno w samych Niemczech, jak i poza ich granicami radzono sobie z ich psychologicznymi reperkusjami za pomocą tych samych wypróbowanych sposobów – zaprzeczenia, mitologizowania, wyjmowania z kontekstu, racjonalizowania – które posłużyły do „przetrawiania" innych kłopotliwych wydarzeń z niemieckiej przeszłości. Wraz z upadkiem komunizmu, zjednoczeniem Niemiec i nieuchronnymi sporami ze wschodnimi i południowymi sąsiadami w rezultacie powiększenia Unii Europejskiej strategie te utraciły swoją zdolność do panowania nad nierozwiązanymi problemami z lat czterdziestych przez zamiatanie ich pod dywan. W końcowych rozdziałach niniejszej książki zajmiemy się tym, jak i dlaczego „pogrzebana historia" wysiedleń na nowo zaczęła wzbudzać silne emocje w Niemczech i innych państwach europejskich, które, jak się mogło zdawać, odeszły od swej burzliwej przeszłości, nawet jeśli nie do końca sobie z nią poradziły.

Przypisy

[1] G.M. Trevelyan, *British History in the Nineteenth Century (1782–1901)*, Longmans, Green, London 1922, s. 292.

[2] Por. S.J. Wiesen, *West German Industry and the Challenge of the Nazi Past, 1945–1955*, University of

North Carolina Press, Chapel Hill 2003, s. 60–64.

[3] S. Schraut, *Flüchtlingsaufnahme in Württemberg-Baden 1945–1949: Amerikanische Besatzungsziele und demokratischer Wiederaufbau im Konflikt*, Oldenbourg, München 1995, s. 45.

[4] „Outline Sketch of British Military Government in Germany", bez daty (ok. V 1945), FO 371/46974.

[5] Por. np. T.R. Vogt, *Denazification in Soviet-Occupied Germany: Brandenburg, 1945–1948*, Harvard University Press, Cambridge, MA 2000.

[6] Cyt. za: J. Farquharson, *„Emotional but Influential"*…, s. 511.

[7] M. Balfour, J. Mair, *Four-Power Control in Germany and Austria 1945–1946*, Oxford University Press, Oxford 1956, s. 76.

[8] „Manchester Guardian", 15 X 1945.

[9] R.R. Plimmer, wydział kadrowy alianckiego Zarządu Wojskowego w Niemczech, „Report on Visits to German Refugee Camp, Krupp Strasse, Tiergarten, 17th and 18th Sept. 1945", 20 IX 1945; Plummer, „Refugees: The Position As It Affects Berlin", 22 IX 1945, FO 1049/205.

[10] Brygadier W.R.N. Hinde, z-ca brytyjskiego gubernatora wojskowego w Berlinie, do kwatery głównej CCG (BE) w Lubece, 7 XI 1945, FO 1032/2298.

[11] „Economist", 16 XI 1945.

[12] 414 *H.C. Deb.* 5s, kat. 370 (26 X 1945).

[13] Płk J.H. Fye, „Final Report – Transport of German Populations from Czechoslovakia to U.S. Zone, Germany", 30 XI 1946, s. 7, archiwa Margaret Eleanor Fait, nr kat. 84040-9.02, zbiór 4, teczka nr 16, Hoover Institution Archives, Stanford University.

[14] I.T.M. Pink, wydział polityczny CCG (BE), do Kenchingtona, 4 II 1946; Robertson to Streeta, 23 II 1946,

FO 1049/492.

[15] Ppłk H.S. Messec, wydział jeńców i przesiedleńców D&P, OMGUS, do brygadiera A.C. Kenchingtona, D & P CCG (BE), 9 I 1948; „Minutes of Second Meeting of U.S. and British Military Government Representatives on Expellees and Dislodged Germans", 6 II 1948, Biuro Zarządu Wojskowego w Niemczech, wydział jeńców i przesiedleńców, RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 131, teczka „Meetings General", NARA.

[16] P. Ther, *Expellee Policy in the Soviet-Occupied Zone and the GDR: 1945–1953*, w: D. Rock, S. Wolff (red.), *Coming Home to Germany? The Integration of Ethnic Germans from Central and Eastern Europe in the Federal Republic*, Berghahn, Oxford 2002, s. 60.

[17] „News Chronicle", 31 I 1946.

[18] „Manchester Guardian", 19 X 1945.

[19] *Ibid*., 5 XI 1945.

[20] „The Economist", 10 XI 1945.

[21] „News Chronicle", 30 VIII 1945.

[22] M. Balfour, J. Mair, *Four-Power Control*…, s. 7–8.

[23] Tekst wystąpienia Wernera Middelmanna, asystenta dyrektora Bundesministerium für Vertreibene (Ministerstwa do spraw Wysiedlonych) w Bonn, na konferencji oddziałów Czerwonego Krzyża, Hanower, 9–14 IV 1951, dokumentacja Wysokiej Komisji ONZ ds. Uchodźców, seria 1, teczka z utajnionymi dokumentami z lat 1951–1970, kat. 11: dokumenty rejestru centralnego, zbiór 265, teczka 15/4/1 (cz. I), Archiwa Wysokiej Komisji ONZ ds. Uchodźców (dalej jako UNHCR), Genewa.

[24] List A. Richtera, 17 IV 1946, FO 1052/324.

[25] „British Zone Review" 1/17 (11 V 1946).

[26] H. Lukaschek, minister rządu federalnego do spraw osób wysiedlonych, „Die Bedeutung der

Heimatvertriebenen in der Deutschen Bundesrepublik (Westdeutschland)", bez daty [ok. IV 1950], dokumenty Bundeskanzleramtu B 136/805, Bundesarchiv Koblenz (dalej jako BAK).

[27] I. Connor, *Refugees and Expellees in Post-War Germany*, Manchester University Press, Manchester 2007, s. 206.

[28] Frau Oehler, Niemiecki Czerwony Krzyż, Hanower, „Report on the Inspection of Refugee Accommodation", 8 XI 1946, FO 1032/2293; mjr S.L. Hatch, rzecznik prasowy wydziału D&P, OMGUS, Hesja, „Weekly Summary Report of Public Welfare & Displaced Persons Division of Week 14–20 September 1946", 21 IX 1946; dokument pod takim samym tytułem dotyczący tygodnia 5–11 I 1947, 13 I 1947, Biuro Zarządu Wojskowego w Hesji, wydział administracji cywilnej: korespondencja dot. działalności oddziału pomocy społecznej, 1945–48, RG 260/390/49/26-27/4-5, zbiór 1113, teczka „Weekly Summaries", NARA.

[29] Biuro Zarządu Wojskowego w Hesji, „Report on Länderrat Meeting, Evacuee Committee, held on 28 May 1946, 1000 hrs, at Stuttgart, Villa Reitzenstein", 30 V 1946, OMGUS RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 130, NARA.

[30] M. Völklein, *„Mitleid war von niemand zu erwarten"*…, s. 56.

[31] S. Wolff, *The German Question since 1919*, Praeger, Westport, CT 2003, s. 79.

[32] Richard Wilberforce, aliancki Urząd Kontroli Niemiec i Austria z siedzibą w Londynie, do s. Deana z MSZ, 9 VIII 1946, FO 371/55913.

[33] Cyt. za: M. Krauss, *Die Integration Vertriebener am Beispiel Bayerns – Konflikte und Erfolge*, w: D. Hoffmann, M. Schwartz (red.), *Geglückte Integration? Specifika und*

Vergleichbarkeiten der Vertriebenen-Eingliederung in der SBZ/DDR, Oldenbourg, München 1999, s. 50. Por. także V. Ackermann, *Homo barackensis: Westdeutsche Flüchtlingslager in den 1950er Jahren*, w: V. Ackermann, B.A. Rusinek, F. Wiesemann (red.), *Anknüpfungen: Kulturgeschichte–Landesgeschichte–Zeitgeschichte: Gedenkschrift für Peter Hüttenberger*, Klartext, Essen 1995, s. 330–346.

[34] M. Klug, „Report on Burlagsberg Refugee Camp near Löningen i[m] O[ldenburger Münsterland]", bez daty (ok. X 1952), dokumenty Bundesministerium für Vertreibene, Flüchtlinge und Kriegsgeschädigte, B 150/569, folder 1, BAK.

[35] E.C.Wilkinson, minister edukacji, „Visit to Germany, 2nd-6th October, 1945", 10 X 1945, FO 371/46935; kwatera główna, kompania D 3. Pułku Zarządu Wojskowego, sekcja pomocy dla uchodźców US Army, tygodniowy raport dot. 10–16 VIII 1947, Biuro (alianckiego) Zarządu Wojskowego w Niemczech, wydział D&P, zbiór 127, teczka „Chronological File of Outgoing Correspondence", RG 260/ 390/42/24-25/7-1, NARA; D. Favre, delegacja MKCK w Baden-Baden, „Camp de Refugiés de Giessen", 8 II 1950, dokumentacja MKCK, Archives Générales 1918–1950, G. 97/IV, zbiór 1157, CICR.

[36] H. Marcuse, *Legacies of Dachau: The Uses and Abuses of a Concentration Camp, 1933–2001*, Cambridge University Press, Cambridge 2001, s. 162.

[37] M. McLaren, *„Out of the Huts Emerged a Settled People": Community-Building in West German Refugee Camps*, „German History" 2010, 28/1 (III), s. 41.

[38] N. Gregor, *Haunted City: Nuremberg and the Nazi Past*, Yale University Press, New Haven 2008, s. 45.

[39] M.F. Cullis, „Report on Visit to Displaced Persons' Camps in British Zone of Austria", bez daty (ok. VIII 1946), FO 1020/36.
[40] I. Connor, *Refugees and Expellees*..., s. 207.
[41] Dr J. Richter, dyrektor *Volksdeutscheberatungstelle*, „Report on the Present Situation of the *Volksdeutsche* in Austria", IX 1950, FO 1020/2519.
[42] D.A. Griffin, asystent kierownika ds. cywilnych *Landu* Kärnten, do sekretarza (austriackiej) Izby Rolnej, Klagenfurt, 8 IX 1947, FO 1020/2748.
[43] Richter, „Report on the Present Situation of the Volksdeutsche in Austria".
[44] Oficjalny przedstawiciel *Regierungspräsidenta* w obozie przejściowym w Siegen do brytyjskiego Zarządu Wojskowego, 24 III 1946, FO 1051/498.
[45] Biuro Zarządu Wojskowego Wielkiej Hesji (Nadrenii), „Report on Länderrat Meeting, Evacuee Committee, held on 26 Apr 46 1000 hrs, at Stuttgart, Villa Reitzenstein", 27 IV 1946, Biuro Zarządu Wojskowego w Niemczech, wydział jeńców i przesiedleńców (D&P), RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 130, NARA.
[46] Gen. mjr W.C.D. Knapton, DCOS (kierownictwo) CCG (BE), Lübbecke, do z-cy regionalnych komisarzy *Länder* w strefie brytyjskiej, 9 I 1948, FO 1032/2525.
[47] Hatch, „Weekly Summary Report of Public Welfare & Displaced Persons Division of Week 7–13 September 1946", 17 IX 1946, Zarząd Wojskowy Hesji, wydział administracji cywilnej, korespondenta dot. działań sekcji pomocy społecznej w latach 1945–1948 (*Office of Military Government, Hesse, Civil Administration Division: Correspondence re. Public Welfare Branch Activities, 1945–48*), RG 260/390/49/26-27/4-5, zbiór 1113, teczka „Weekly Summaries".

[48] „Chicago Tribune”, 25 IX 1947.
[49] I. Connor, *Refugees and Expellees*…, s. 204.
[50] George Weisz, kierownik sekcji do spraw uchodźców w wydziale administracji cywilnej OMGUS, do pani H. Doerr z wydziału demokratyzacji, 7 IV 1949, Biuro Zarządu Wojskowego w Niemczech, wydział D&P, RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 127, teczka „chronological File of Outgoing Correspondence”, NARA.
[51] A. Kossert, *Kalte Heimat: Die Geschichte der deutschen Vertriebenen nach 1945*, Siedler, Berlin 2008, s. 41.
[52] „An Investigation to Determine Any Changes in Attitudes of Native Germans Toward the Expellees in Württemberg-Baden”, 14 XI 1946, Biuro Zarządu Wojskowego w Niemczech, sekcja ankiet przy OMGUS, oddział kontroli informacyjnej, RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 128, NARA.
[53] Kpt. Walter Schoenstedt, d-ctwo kompanii D, 3. Pułku Zarządu Wojskowego (dalej jako OMG), sekcja pomocy dla uchodźców, OMG w Bawarii, „Weekly Report for Week Ending 30 August 1947”, 30 VIII 1947, OMG w Niemczech, wydział D&P, RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 130; memorandum Alfreda J. Bacha, wydział wywiadowczy w Heilbronn, OMG w Badenii-Wirtembergii, do szefa wydziału kontroli informacji, OMG w Wirtembergii, 3 XII 1946, OMG w Niemczech, dokumentacja wydziału administracyjnej, sekcja D&P: dokumenty dot. wysiedleńców w amerykańskiej strefie okupacyjnej w latach 1945–1949, RG 260/390/42/26/1-2, zbiór 187, teczka „Psychological conditions-Buchen (Expellees)”, NARA.
[54] Landesrat Oberzaucher, Graz, do majora E.J. Taylora, z kwatery d-ctwa wojsk okupacyjnych w *Land* Steiermark,

wydział do spraw przesiedleńców, bez daty (ok. III 1947), FO 1020/2748.

[55] Raport nr 81 wydziału kontroli informacji, „German Reactions to Expellees and DPs”, 3 XII 1947, OMG w Niemczech, dokumentacja wydziału administracyjnego, sekcja D&P: dokumenty dot. wysiedleńców w amerykańskiej strefie okupacyjnej w latach 1945–1949, RG 260/390/42/26/1-2, zbiór 187, teczka „Military Surveys (Expellees)”, NARA.

[56] Por. np. A.R. Seipp, *Refugee Town: Germans, Americans and the Uprooted in Rural West Germany, 1945–52*, „Journal of Contemporary History” 2007, 44/4 (X), s. 675–695.

[57] Brudnopis memorandum OMGUS, „Expellees”, 8 II 1947, OMG w Niemczech, sekcja ankiet przy OMGUS, wydział kontroli informacji, RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 128, NARA.

[58] Raport nr 81 wydziału kontroli informacji, „German Reactions to Expellees and DPs”, 3 XII 1947, OMG w Niemczech, dokumentacja wydziału administracyjnej, sekcja D&P: dokumenty dot. wysiedleńców w amerykańskiej strefie okupacyjnej w latach 1945–1949, RG 260/390/42/26/1-2, zbiór 187, teczka „Military Surveys (Expellees)”, NARA.

[59] G. Weisz do dyrektora wydziału administracji cywilnej, 28 IV 1949, OMG w Niemczech, wydział D&P, RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 127, teczka „Chronological File of Outgoing Correspondence”, NARA.

[60] Memorandum H. Parkmana, dyrektora wydziału administracji cywilnej, 25 VI 1946; Clay do Parkmana, 27 VI 1946, OMG w Niemczech, dokumentacja wydziału administracyjnego, sekcja D&P: dokumenty dot. wysiedleńców w amerykańskiej strefie okupacyjnej

w latach 1945–1949, RG 260/390/42/26/1-2, zbiór 190, teczka „Expellees Political Activity”, NARA.

[61] Tekst dokumentu „Charta der deutschen Heimatvertreibenen”, 5 VIII 1950, archiwum Bundeskanzleramtu, B 136/9087, BAK.

[62] Economic Co-Operation Administration (Zarząd współpracy gospodarczej), *The Integration of Refugees into German Life: A Report of the ECA Technical Assistance Commission on the Integration of the Refugees in the German Republic Submitted to the Chancellor of the Federal Republic of Germany, March 21, 1951* (Bonn, 1951).

[63] P. Ahonen, *After the Expulsions: West Germany and Eastern Europe 1945–1990*, Oxford University Press, Oxford 2003, s. 30.

[64] A. Crawley, *The Spoils of War: The Rise of Western Germany 1945–1972*, Bobbs-Merrill, New York 1973, s. 190.

[65] A. Kossert, *Kalte Heimat*…, s. 100.

[66] M.L. Hughes, *Shouldering the Burdens of Defeat: West Germany and the Reconstruction of Social Justice*, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1999, s. 179.

[67] P. Ahonen, *After the Expulsion*…, s. 278.

[68] Cyt. za: A. Kossert, *Kalte Heimat*…, s. 172.

[69] G. Weisz do dyrektora wydziału administracji cywilnej, 28 IV 1949, OMG w Niemczech, wydział D&P, RG 260/390/42/24-25/7-1, zbiór 127, teczka „Chronological File of Outgoing Correspondence”, NARA.

[70] P. Ahonen, *After the Expulsions*…, s. 273–274.

[71] P. Ther, *Deutsche und polnische Vertriebenen*…, s. 162.

[72] Cyt. za: M. Völklein, *„Mitleid war von niemand zu erwarten”*…, s. 61.

[73] W. Strang do J. Troutbecka, 15 XI 1945; Strang do Troutbecka, 27 XI 1945, FO 371/46978; tenże do tegoż, 6 III 1946 oraz 18 IV 1946, FO 1049/508.
[74] I. Connor, *Refugees and Expellees*..., s. 205.
[75] P. Ther, *Deutsche und Polnische Vertriebenen*..., s. 212. Por. także M. Schwartz, *Lastenausgleich: Ein Problem der Vertriebenenpolitik im doppelten Deutschland*, w: M. Krauss (red.), *Integrationen*, Vandenhoeck + Ruprecht, Göttingen 2008, s. 167–193.
[76] A. Bauerkämper, *Assimilationspolitik und Integrationsdynamik*..., s. 27–28.
[77] Por. M. Schwartz, *Vertriebene und „Umsiedlerpolitik": Integrationskonflikte in den deutschen Nachkriegs-Gesellschaften in der SBZ/DDR 1945 bis 1961*, Oldenbourg, München 2004, s. 637–892.
[78] P. Ther, *Expellee Policy*..., s. 64–65.
[79] M. Schwartz, *Staatsfeind „Umsiedler"*, w: S. Auer, S. Burgdorff (red.), *Die Flucht: Überr die Vertreibung der Deutschen aus dem Osten*, Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart 2002, s. 211.
[80] Cyt. za: N. Naimark, *The Russians in Germany*..., s. 159.
[81] *Ibid*., s. 71.
[82] I. Connor, *German Expellees in the SBZ/GDR and the „Peace Border"*, w: A. Goodbody, P.O. Dochartaigh i in. (red.), *Dislocation and Reorientation: Exile, Division and the End of Communism in German Culture and Politics*, Rodopi, Amsterdam 2009, s. 169.
[83] P. Ther, *Expellee Policy*..., s. 62.
[84] A. Kossert, *Kalte Heimat*..., s. 223.
[85] M. Krauss, *Integrationen: Fragen, Thesen, Perspektiven zu einer vergleichenden*

Vertriebenenforschung, w: M. Krauss (red.), *Integrationen*..., s. 11.

ROZDZIAŁ 12

Prawo

Czeski prezydent Václav Klaus zaskoczył i zirytował innych europejskich przywódców w październiku 2009 roku, kiedy niespodziewanie zażądał, aby wydali oficjalne oświadczenia potwierdzające legalność dekretów Edvarda Beneša z 1945 roku, zezwalających na pozbawienie obywatelstwa i wydalenie z kraju czechosłowackich Niemców oraz na konfiskatę ich mienia. Spór ten rozgorzał w okresie, gdy proces ratyfikacyjny traktatu lizbońskiego związany z centralizacją Unii Europejskiej zbliżał się do końca. Aby porozumienie to weszło w życie, potrzebna była zgoda wszystkich 27 członków UE. Do chwili, gdy odpowiednie dokumenty trafiły na biurko Klausa, pozostałych 26 państw członkowskich już ratyfikowało ten traktat; obie izby czeskiego parlamentu zatwierdziły go zdecydowaną większością głosów, a Trybunał Konstytucyjny potwierdził jego zgodność z czeskim prawem. Aby traktat zaczął obowiązywać, potrzebny był już tylko podpis czeskiego prezydenta. Jednak Klaus sprzeciwiał się włączeniu Karty Praw Podstawowych do lizbońskiego układu, gdyż, jak twierdził, dwa z jej postanowień narażało Republikę Czeską na roszczenia prawne niemieckich wysiedleńców i ich potomków. Artykuł 17 Karty potwierdzał nienaruszalne prawo do własności i głosił, że rekwizycje i konfiskaty dokonane przez państwo wymagały wypłacenia w odpowiednim czasie należnych rekompensat. Artykuł 19 par. 1 głosił jednoznacznie: „Wydalenia zbiorowe są zakazane”[1]. Dla zapewniania, że „traktat lizboński nie doprowadzi do podważenia tak zwanych dekretów Beneša”, prezydent obwieścił na konferencji prasowej w zamku na

Hradczanach, że konieczne jest uzyskanie „wyjątku” gwarantującego, że sądy europejskie nie będą mogły negować prawomocności owych dekretów[2]. Jeżeli taki warunek nie zostanie uznany, Klaus zagroził wstrzymaniem się od złożenia swego podpisu, a tym samym unieważnieniem traktatu.

Dla wielu obserwatorów to, że Klaus zagrał „kartą wysiedleńczą”, było li tylko ostatnim desperackim manewrem znanego z „eurosceptycyzmu” prezydenta, próbą zakłócenia porozumienia, któremu sam tak hałaśliwie się opierał. Niezależnie od tego, czy tak właśnie rzecz się miała, Klaus wcale nie był jedynym czeskim politykiem poważnie zaniepokojonym możliwym wpływem legislacji UE na dekrety Beneša. W kwietniu 2002 roku, czyli na dwa lata przed tym, jak Czechy weszły w skład UE, obie izby parlamentu praskiego jednogłośnie zatwierdziły uchwałę, zgodnie z którą „stosunki prawne i własnościowe [wynikające z dekretów Beneša] są niepodważalne, nienaruszalne i niezmienne”. Brytyjski premier Tony Blair, prezydent Rosji Władimir Putin i amerykański podsekretarz stanu Marc Grossman publicznie poparli stanowisko Czech w tej sprawie po tym, jak czeski premier Miloš Zeman wyjaśnił im, że leżało to „w interesie” nie tylko Republiki Czeskiej, ale i sygnatariuszy porozumienia poczdamskiego[3]. Bez względu na to, czy obiekcje Klausa wobec traktatu lizbońskiego siedem lat później były szczere, czy też miały charakter taktyczny, przyniosły Czechom oczekiwany skutek. W następnym miesiącu liderzy pozostałych państw członkowskich UE zatwierdzili „nadprogramowy” protokół, stwierdzający, że Karta Praw Podstawowych nie nadawała obywatelom nowych uprawnień, sprzecznych z postanowieniami czeskich sądów.

W tej sytuacji Václav Klaus podpisał traktat, który zaczął obowiązywać od grudnia 2009 roku.

Ten spór wokół prawomocności dekretów Beneša ponownie zwrócił uwagę na sprawę dostosowywania prawa międzynarodowego do powojennych wysiedleń. W okresie, kiedy nowo powołany Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze wysuwał zarzuty przeciwko oskarżonym z byłej Jugosławii na podstawie statutu, który określał „deportacje czy też przymusowe przesiedlenia ludności" mianem „zbrodni przeciw ludzkości", pomysł, że dekrety zezwalające na takie działania miały pozostać w innym kraju europejskim prawomocne, wydawał się sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Jednak z punktu widzenia prawa międzynarodowego powojenne wysiedlenia wiązały się z trzema osobnymi kwestiami: czy deportacje te były legalne w czasie ich trwania, czy pozostały legalne do dziś i czy podobne przesiedlenia gdzie indziej mogą być uprawomocnione w przyszłości. Odpowiedzi na każde z tych pytań są o wiele bardziej niejednoznaczne, aniżeli mogłoby się to na pozór wydawać.

Koncepcja uznawanych na płaszczyźnie międzynarodowej praw człowieka to stosunkowo nowy wynalazek w dziejach świata. Aż do końca XIX wieku idea „praw" odnosiła się wyłącznie do uprawnień przysługujących ludziom w relacjach w władzami ich krajów. W epoce renesansu niektórzy ówcześni myśliciele proponowali ustanowienie przepisów chroniących jednostki, obowiązujących w pewnych okolicznościach także na obczyźnie. Siedemnastowieczny holenderski prawnik i uczony Hugo Grocjusz (Grotius) zapoczątkował to, co obecnie nosi nazwę „praw powszechnych", przekonując, że monarchom wolno pociągać winowajców do odpowiedzialności „nie tylko za szkody wyrządzone im samym albo ich poddanym, lecz

także za takie, które bezpośrednio w nich nie uderzają, za to rażąco naruszają prawo naturalne albo narodowe jeśli chodzi o jakąkolwiek osobę”[4]. Ale takie idee na razie nie zostały pochwycone. W czasach Grocjusza tendencje kształtujące stosunki międzynarodowe pchnęły je w przeciwnym kierunku. Postanowienia pokoju westfalskiego, czyli traktatu z 1648 roku kończącego niezwykle wyniszczającą wojnę trzydziestoletnią, położyły podwaliny pod ówczesne normy prawa międzynarodowego, zgodnie z którymi najwyższą władzą dysponowały poszczególne państwa.

Doktryna „państwowej suwerenności”, będąca podstawą tego, co do dzisiaj znane jest pod nazwą systemu westfalskiego, obowiązywała niepodzielnie aż do czasu konferencji haskiej w 1899 roku. Paradoksalnie, konferencję tę zwołano z inicjatywy rosyjskiego cara Mikołaja II, człowieka, którego imię kojarzy się nieodłącznie z jedynowładztwem i bezwzględnością; car chciał w ten sposób odwrócić uwagę świata od wielu przypadków łamania praw człowieka przez jego władze. Strojąc się, cokolwiek nieudolnie, w szaty apostoła pokoju, car Mikołaj nakłonił delegacje z 26 krajów do opracowania szkicu porozumienia zakazującego państwom zbrojnego rozstrzygania konfliktów, a jeśliby okazało się to nierealne, gwarantującego to, aby przyszłe wojny miały względnie humanitarny charakter. W efekcie w cyklu konwencji haskich określono zasady dopuszczalnych i niedopuszczalnych metod prowadzenia wojny oraz powołano do istnienia Trybunał Haski – pierwszy międzynarodowy sąd rozjemczy, odkąd papiestwo zrzekło się tej roli w XV stuleciu. Druga konferencja haska, wraz z podpisanymi podczas niej konwencjami, rozwinęła w 1907 roku roku wcześniejsze postanowienia w tej kwestii.

Konwencje haskie bynajmniej nie były doskonałe. Do ich przestrzegania zobowiązane były wyłącznie te państwa, które zostały ich sygnatariuszami. W niewielkim stopniu chroniły ludność cywilną – co stanowiło poważne zaniedbanie, bardzo utrudniające w przyszłości działania organizacjom humanitarnym w rodzaju Czerwonego Krzyża. Pomijały sytuacje, w których władze i rządy prześladowały własnych obywateli, a nie mieszkańców obcych ziem, okupowanych przez wojska. Odnosiły się tylko do konfliktów zbrojnych po formalnym wypowiedzeniu wojny, nie zaś do „niewypowiedzianych wojen” lub okresu pokojowego. Nie przewidywały żadnej formy rekompensat ani mechanizmów związanych z egzekucją wprowadzonych praw. Mimo wszystko stanowiły krok naprzód o ogromnym znaczeniu w dziedzinie prawa międzynarodowego. Po raz pierwszy uznane zostało, choćby tylko ogólnikowo, że państwa i ich przywódcy odpowiadają przed społecznością międzynarodową za naruszanie praw człowieka. Głównie na podstawie konwencji haskich, ratyfikowanych do 1914 roku przez niemal wszystkie ówcześnie istniejące kraje, wprowadzono jedną z zasad norymberskich, która uniemożliwiła posługiwanie się argumentami o „wypełnianiu rozkazów przełożonych” oskarżonym o popełnione zbrodnie.

O ile I wojna światowa pozornie zniwelowała ów postęp w zakresie prawa międzynarodowego, o tyle w istocie doprowadziła paradoksalnie do szybszego rozwoju praw człowieka. Na pierwszy rzut oka wojna ta stanowiła katastrofę dla haskiego procesu nadawania bardziej humanitarnego charakteru międzynarodowym konfliktom. W warunkach wojny totalnej główne wojujące kraje – a niemal zawsze niechlubny prym wiodły w tym względzie Niemcy – systematycznie łamały postanowienia konwencji

haskich. Do metod stosowanych na co dzień podczas tej wojny należało branie zakładników, rozmyślne niszczenie zabytków, użycie broni chemicznej, nieograniczona wojna podwodna, nieskrępowane bombardowania miast oraz korzystanie z pracy przymusowej. A jeżeli nawet przestrzegano takich postanowień haskich, jak zakaz zatruwania studni oraz pobierania opłat pocztowych za paczki przesyłane jeńcom, to głównie dlatego, że w owym czasie nie uznawano takiego postępowania za przydatne z militarnego punktu widzenia.

Gigantyczna skala zbrodni popełnionych podczas I wojny światowej przyczyniła się wszak do rozbudzenia w ludziach ze wszystkich krajów powszechnej świadomości, że nowożytna wojna jest czymś niszczycielskim, iż istnieje pilna potrzeba zapewnienia międzynarodowej ochrony cywilom, zwłaszcza szczególnie narażonym na prześladowania mniejszości narodowych, etnicznych i religijnych. Pierwszy krok w tym kierunku został zrobiony przez rządy krajów Ententy w maju 1915 roku, gdy w odpowiedzi na pierwsze doniesienia o masowym mordowaniu Ormian, wydały one oświadczenie potępiające działania reżimu w Konstantynopolu jako „zbrodnie przeciwko ludzkości i cywilizacji, za które wszyscy członkowie tureckich władz zostaną pociągnięci do odpowiedzialności razem z bezpośrednimi sprawcami tych masakr”[5]. Był to akt o przełomowym znaczeniu, gdyż pierwszy raz znaczna część międzynarodowej społeczności podjęła próbę powstrzymania zbrodni popełnianych przez jedno z państw na swoich obywatelach. Podobnie traktat wersalski wymusił na rządzie niemieckim uznanie „prawa państw alianckich i sprzymierzonych z nimi do postawienia przed trybunałami wojskowymi osób oskarżonych o popełnienie czynów sprzecznych z prawami i obyczajami

wojny”[6]. Wypada dodać, że realny skutek obu tych postanowień był minimalny. Tak jak później, w latach dziewięćdziesiątych, kiedy administracja Clintona wystąpiła ze sprzeciwem wobec powołania międzynarodowego trybunału karnego[7], tak samo Woodrow Wilson i jego sekretarz stanu Robert Lansing skutecznie storpedowali czynione w Wersalu starania, by zorganizować trybunał mający ukarać zbrodniarzy wojennych – pomysł taki został po raz pierwszy rzucony przez Gustave’a Moyniera, ówczesnego wiceprzewodniczącego MKCK, w 1872 roku[8]. W efekcie zarówno w przypadku Turcji, jak i Niemiec alianci pozostawili pokonanym nieprzyjaciołom osądzenie zbrodniarzy wojennych. Rezultaty tego były łatwe do przewidzenia. Tylko nieliczni funkcjonariusze niskiej rangi spośród sprawców rzezi Ormian stanęli przed sądem do czasu upadku rządu w Konstantynopolu; w 1923 roku nowy reżim Kemala Atatürka objął amnestią wszystkich oskarżonych i skazanych. Procesy w Niemczech miały jeszcze bardziej farsowy charakter. Reichsgericht (Sąd Najwyższy) w Lipsku w latach 1921–1931 wszczął 907 spraw sądowych przeciw osobom wskazanym przez aliantów jako winnych zbrodni wojennych. Tylko siedem z nich skazano; sędziowie albo uznawali zapewnienia o tym, że oskarżeni „tylko wypełniali rozkazy”, albo też, w zdecydowanej większości wypadków, stwierdzali, że nie było podstaw do rozpatrywania spraw. Gerd Hankel przekonująco dowodził, że rozpowszechnione w samych Niemczech przekonanie, iż owe procesy zbrodniarzy wojennych to tylko forma rytualnego upokorzenia narzucona pokonanym krajom, miało zaowocować tragicznymi konsekwencjami w trakcie II wojny światowej, podczas której Niemcy okazywali pogardę dla wszelkiego rodzaju prawnych ograniczeń[9]. Jednak chociaż wszystkie

te rozprawy trąciły „sprawiedliwością zwycięzców” – a przeświadczenie to nie do końca zostało podważone przez niemal automatyczne uznawanie oskarżonych za niewinnych przez sądy lub też unieważnianie zarzutów – to idea, że przedstawicielom ludności cywilnej przysługiwało prawo do ochrony nawet w czasie najbardziej krwawego konfliktu zbrojnego w historii, w innych krajach przyczyniła się znacznie do podniesienia statusu i prestiżu uznawanych na arenie międzynarodowej praw człowieka.

Prawie z tych samych powodów ustanowienie międzynarodowego systemu ochrony praw mniejszości stało się fundamentalnym elementem powojennej odbudowy w Europie. Przekonawszy się na konferencji pokojowej, że nie uda się tak wytyczyć granic państwowych w środkowej i wschodniej Europie, aby zapewnić „narodowe samostanowienie” w warunkach prawdziwej mozaiki etnicznej w tym regionie Starego Kontynentu, autorzy traktatu wersalskiego – poniekąd traktując Ligę Narodów jak wór bez dna, do którego można bezceremonialnie wrzucać wszelkie niezliczone problemy, jakie nie znalazły rozwiązania w porozumieniu pokojowym – zwrócili się ku idei obarczenia tej organizacji obowiązkiem ochrony mniejszości narodowych przed rządami krajów, w których alianci owe mniejszości pozostawili. O potrzebie czegoś podobnego jasno zaświadczał fakt, że pomimo usilnych starań, aby możliwie sprawiedliwie wytyczyć granice, 10 milionów Europejczyków znalazło się po roku 1918 po „złej” stronie owych granic. Ponad jedna trzecia ludności Rumunii należała do takiej czy innej mniejszości narodowej; prawie połowa obywateli przedwojennej Polski nie była etnicznymi Polakami. Organizacje żydowskie wywierały silne naciski, domagając się ochrony ze strony Ligi Narodów, słusznie się obawiając, że bez niej powstałe

i odrodzone po I wojnie światowej państwa szybko sobie „poradzą” z Żydami. Tak więc w styczniu 1919 roku alianci wymusili na polskim rządzie podpisanie traktatu, gwarantującego mniejszościom prawa wyznaniowe i prawo posługiwania się swoim językiem, przekazując nadzorowanie warunków tego układu Lidze Narodów, której zakres kompetencji był wówczas jeszcze określony bardzo mgliście. Wkrótce potem podobne porozumienia zostały zawarte z Austrią, Bułgarią, Czechosłowacją, Grecją, Węgrami, Rumunią i Jugosławią, a do połowy lat dwudziestych już 14 państw zgodziło się na to, by Liga Narodów czuwała nad mniejszościami etnicznymi na ich terytoriach.

Tak jak konwencje haskie, traktaty o ochronie mniejszości miały wiele wad. Najczęściej potwierdzały, że mniejszości narodowe, językowe, rasowe i religijne miały takie prawa jak populacja większościowa oraz prawa przedstawicieli tychże mniejszości do wychowywania dzieci w wybranym języku. Ale nigdzie nie definiowały kryteriów przynależności do grupy mniejszościowej, wobec czego nie było jasne, kogo właściwie Liga Narodów miała chronić. Z wyjątkiem Niemców z polskiej części Śląska same mniejszości nie miały prawa odwoływać się do Rady Ligi Narodów, która mogła rozpatrywać wyłącznie skargi poparte przez jedno z państw członkowskich. Nieuchronnie oznaczało to, że zażalenia największych i najbardziej aktywnych politycznie mniejszości, popieranych przez rządy krajów powiązanych etnicznie z owymi mniejszościami, przyciągały największą uwagę, podczas gdy prawa mniejszych i bierniejszych grup, choćby Ukraińców z Polski, macedońskich Słowian w Grecji czy Austriaków we Włoszech, były bezkarnie gwałcone. Wielu przedstawicieli ludności odnosiło się do

wspomnianych traktatów z wielką niechęcią: jeszcze w 1984 roku pewien polski naukowiec utrzymywał (niesłusznie), że miały one na celu „umożliwianie zachodnim mocarstwom wtrącanie się w sprawy nowych państw, sygnatariuszy traktatów mniejszościowych, pod pretekstem działania w interesie mniejszości zamieszkujących w tych państwach”[10]. I wreszcie ochrona wynikająca z traktatów o mniejszościach nie miała uniwersalnego charakteru, gdyż obejmowała tylko państwa powstałe lub odrodzone po rozpadzie imperiów w 1918 roku oraz nieliczne inne kraje, np. Turcję, zmuszone do ich podpisania. Brytyjczycy stanowczo przeciwstawiali się wszelkim próbom rozciągnięcia zasięgu objętego traktatami z obawy, że międzynarodowa opinia publiczna mogła się zainteresować traktowaniem przez nich katolików w Irlandii Północnej. Stany Zjednoczone, choć nie weszły w skład Ligi Narodów, również nie miały ochoty, by zwracać uwagę świata na warunki życia czarnoskórych Amerykanów w USA. Główną wadą była jednak praktyczna niezdolność Ententy w Wersalu do zmuszenia Niemiec, by podporządkowały się systemowi Ligi Narodów. W rezultacie Rada Ligi Narodów uznała, że nie było podstaw do interweniowania, kiedy naziści pozbawili niemieckich Żydów praw obywatelskich wraz z wprowadzeniem ustaw norymberskich w 1935 roku.

Zasadnicza słabość systemu ochrony mniejszości w okresie międzywojennym związana była z tym, że w roku 1919, tak samo jak w 1945, etniczni Niemcy stanowili zdecydowanie najliczniejszą mniejszość narodową w środkowej i wschodniej Europie. Wobec tego kierowany przez Ligę Narodów system ochrony w znacznej mierze sprowadzał się do rozpatrywania przez zwycięskie państwa Ententy skarg składanych przez przedstawicieli

pokonanych krajów – skarg dotyczących bezpośrednich skutków poniesionej klęski. „Liga Zwycięzców”, podejrzewając nie bez powodów, że wiele z owych protestów miało na celu rewizję powojennych ustaleń, a nie rozstrzyganie bieżących niesnasek, niezbyt poważnie odnosiła się do tych skarg. Jak zauważył Mark Mazower,

> ingerencje Ligi [Narodów] w prawa mniejszości nie podobały się nikomu. Zachodnim mocarstwom coraz mniej się uśmiechało wydawanie osądów o tym, jak Polacy, Rumuni czy Czesi – państwa będące ich klientami – traktowały swoje mniejszości. Gdy Niemcy i ZSRR rosły w siłę, Brytyjczycy i Francuzi tracili ochotę na cokolwiek, co mogło osłabić państwa wschodnioeuropejskie powołane przez nich samych do istnienia. Te ostatnie ze swej strony czuły się upokorzone międzynarodowymi zobowiązaniami, które tylko one musiały podpisać, i obwiniały swoje mniejszości o wylewanie żalów za granicą i o niechęć do asymilacji. A same mniejszości, w rezultacie tego wszystkiego, stopniowo traciły wiarę w ochronę zapewnianą przez prawo międzynarodowe, i zaprzestały wysyłania skarg do Genewy[11].

Zanim więc jeszcze naziści zaczęli wykorzystywać Volksdeutschów do wysuwania – powtarzanego przy wszystkich kolejnych okazjach – „ostatnich roszczeń terytorialnych w Europie”, system ochrony grup mniejszościowych całkowicie się załamał. Śmiertelny cios został mu zadany przez rząd polski, który ogłosił jednostronnie we wrześniu 1934 roku, iż nie będzie dłużej tolerował nadzorowania przez Ligę Narodów mniejszości narodowych w Polsce. Było to ze strony Warszawy nader krótkowzroczne posunięcie, gdyż „skoro niemiecka

mniejszość nie mogła się odwoływać do Rady [Ligi Narodów], musiała nieuchronnie zwrócić się o ochronę do Berlina”[12]. Z końcem lat trzydziestych „wpływy Rady na tym polu zmniejszyły się prawie do zera”[13].

Powszechny pogląd, że podjęty przez Ligę Narodów eksperyment z ochroną praw człowieka zakończył się zupełnym fiaskiem – czy też, jak to ujął zjadliwie Edvard Beneš, okazał się „groteskowym nonsensem” – wart jest jednak przeanalizowania[14]. Pomimo niedostatków był nieporównywalnie bardziej humanitarnym zamysłem od masowych wysiedleń. Miarą moralnego upadku, jaki cechował XX stulecie, jest to, że autorzy systemu ochrony praw mniejszości, w odróżnieniu od swoich sukcesorów z ONZ ćwierć wieku później, „uznawali za barbarzyńskie wykorzenianie całych społeczności, jeśli nawet odpowiadało to ich doraźnym interesom”[15]. Zresztą nie wszystkie inicjatywy tego rodzaju okazały się nieudane. Za jeden ze wskaźników tego, że były bliższe powodzenia, niż to się na ogół sądzi, niech posłuży determinacja krajów dokonujących wysiedleń po II wojnie światowej, by nie dopuścić do wprowadzenia czegokolwiek podobnego po 1945 roku, przynajmniej w kwestii deportacji Niemców. Nakreślając plany czechosłowackiego rządu na uchodźstwie względem Sudetendeutschów Hubert Ripka podkreślał, że „nie możemy pozwolić, aby te sprawy stanowiły przedmiot postanowień albo wspólnych decyzji jakichkolwiek organizacji międzynarodowych”[16]. Naturalnie, wysuwając tego rodzaju żądania, kraje wysiedlające mniejszości wyważały otwarte drzwi. Aliantom bowiem równie mało zależało na odtworzeniu systemu ochrony mniejszości. „Perspektywa takiej protekcji – przestrzegał komitet międzywydziałowy MSZ w 1944 roku – miała uczynić operację transferu [ludności] trudniejszą do

przeprowadzenia”[17]. Amerykański sekretarz stanu Ed Stettinius przyznał również na konferencji w San Francisco, podczas której powołano do istnienia ONZ, że Karta Narodów Zjednoczonych nie powinna zawierać „wyliczania indywidualnych i zbiorowych praw człowieka i fundamentalnych swobód”[18]. Zamiast tego, przy entuzjastycznym poparciu innych mocarstw, prezydent Truman przeforsował pomysł, ażeby opracowanie projektu „konwencji praw człowieka” odłożyć na dogodniejszy termin w przyszłości. Nawet kiedy ostatecznie doszło do ogłoszenia Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, to okazała się ona bardziej wyrazem pobożnych życzeń państw-sygnatariuszy aniżeli wiążącym zobowiązaniem.

Gdy pojawił się pomysł masowych deportacji, najwyraźniej zdumiewająco mało uwagi poświęcono kwestii ich legalności. Wypada dodać, że istniało niewiele prawnych przepisów albo precedensów, na które można się było powołać. Wysiedlenia miały się odbywać w czasie pokoju, co tym samym pozwalało na obejście konwencji haskich z 1899 i 1907 roku. Dotyczyły ludności cywilnej, w związku z czym nie miały zastosowania w danym przypadku postanowienia konwencji genewskiej z 1929 roku. Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża (MKCK) w 1934 roku zwrócił uwagę na paradoksalny fakt, że prawo międzynarodowe w o wiele większym stopniu chroniło żołnierzy, zdolnych przecież do obrony, niż bezbronnych cywilów, i opracował w Tokio szkic konwencji, która miała to zmienić. Dokument ów przewidywał, że internowanym cywilom należało zapewnić warunki „w żadnym razie nie gorsze” od tych, jakie gwarantowano jeńcom wojennym; wyraźnie zakazywano przeprowadzania deportacji, „o ile nie są rzeczywistymi ewakuacjami, powiązanymi z operacjami wojskowymi, dla zapewnienia

bezpieczeństwa ludności”[19]. Niestety zaplanowana na rok 1940 konferencja dyplomatyczna i ratyfikacja tego dokumentu nie odbyły się z powodu wybuchu II wojny światowej. Dopiero w 1949 roku doszło do przyjęcia IV Konwencji Genewskiej i był to pierwszy instrument prawny sporządzony z myślą o ochronie ludności cywilnej.

Niewątpliwie powojenne wysiedlenia w żaden sposób nie odnosiły się do traktatów mniejszościowych Ligi Narodów, sygnowanych przez wszystkie państwa, z których wysiedlono Niemców. Traktaty te zobowiązały rządy tych państw do zapewnienia, aby „członkowie rasowej, religijnej lub językowej mniejszości […] korzystali z takiego samego traktowania i takiej samej ochrony prawnej i faktycznej” jak przedstawiciele populacji większościowej. Wadą traktatów o mniejszościach był jednak brak jakichkolwiek mechanizmów egzekucyjnych i w praktyce nic nie powstrzymywało tych krajów, które podjęły zobowiązania w kwestii chronienia mniejszości, od późniejszego uchylenia się od nich, jak uczyniła to Polska. Ponadto ONZ ustaliła, że po wojnie wspomniane traktaty przestaną obowiązywać – nie z powodu zastąpienia ich jakimś nowym instrumentem prawnym czy też oficjalnego zwolnienia ich sygnatariuszy od podjętych zobowiązań, lecz po prostu dlatego, iż „między 1939 a 1947 rokiem panująca sytuacja zmieniła się do tego stopnia, że mówiąc ogólnie, system [ochrony mniejszości] należy uznać za nieistniejący”[20]. W związku z tym przestały też obowiązywać prawa o ochronie mniejszości jako takie. Patrick Thornberry stwierdził, że z perspektywy prawa międzynarodowego „powojenny świat stanowić zaczął niejako *tabula rasa*, jeśli chodziło o tolerancję i popieranie mniejszości. Państwa mogły postępować wedle własnego uznania ze swoją ludnością, o ile nie były skrępowane odnośnymi

traktatami”[21]. W dodatku, jak przytomnie wskazywali dyplomaci z brytyjskiego MSZ, skoro sprzymierzeni współdziałali z rządami Polski i Czechosłowacji w realizacji programu wysiedleńczego, to problem mniejszości narodowych miał w Europie na dobrą sprawę rozwiązać się sam i nie istniała już potrzeba ponownego wprowadzania systemu ochrony tychże mniejszości[22].

Jedyną przeszkodą prawną, która pozostała i mogła stanąć na drodze do przeprowadzenia deportacji, były formalne oskarżenia wysunięte przeciwko Niemcom przez aliantów podczas wojny i bezpośrednio po niej. Na konferencji sprzymierzonych w styczniu 1942 roku wymieniono „masowe wysiedlenia” wśród zbrodni, za które ich niemieccy sprawcy winni zostać ukarani[23]. Polskie władze emigracyjne osiem miesięcy później zagroziły karą śmierci osobom uczestniczącym w „przesiedlaniu ludności”[24]. Najważniejsza ze wszystkich okazała się Karta Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze, ogłoszona 8 sierpnia 1945 roku i zawierająca listę przestępstw, za które mieli zostać osądzeni przywódcy nazistowskich Niemiec. Na pierwszy rzut oka znajdująca się w tym dokumencie definicja „deportacji i innych nieludzkich aktów popełnionych przeciwko wszelkiej ludności cywilnej” jako stanowiących „zbrodnie przeciwko ludzkości” wydawała się odnosić w równej mierze do programu zatwierdzonego przez przywódców Wielkiej Trójki w Poczdamie niespełna tydzień wcześniej. Jednak alianci, przewidując, że postanowienia wspomnianej Karty mogły zostać obrócone przeciw nim, przezornie ograniczyli ich zakres do „zbrodni osądzanych przez Trybunał” w Norymberdze – to jest do tych popełnionych przez państwa Osi w okresie od 30 stycznia 1933 roku do 8 maja 1945 roku. Kiedy obrońca Hansa

Franka, byłego zwierzchnika Generalnego Gubernatorstwa, usiłował usprawiedliwić udział swojego klienta w wojennych deportacjach Polaków i Żydów, wskazując, że sprzymierzeni zaangażowali się w znacznie większą akcję przesiedleńczą, odbywającą się nieco ponad 100 kilometrów od miejsca, w którym toczyła się rozprawa, sąd odrzucił ten argument, twierdząc, iż powojenne sprawy pozostawały poza jego jurysdykcją. I choć może zakrawać na sprzeczność, że Karta uznawała za niezgodne z prawem czyny popełnione przez Niemców i ich sprzymierzeńców, podczas gdy identyczne poczynania innych państw uchodziły bezkarnie, to ta znana z procesu norymberskiego zasada znalazła w ciągu minionych 60 lat znacznie mniejsze zastosowanie, niż to się powszechnie sądzi[25]. Zdaniem Egona Schwelba, eksperta w dziedzinie prawa międzynarodowego, zbrodnie przeciw ludzkości określone w Karcie Międzynarodowego Trybunału Wojskowego nie są „podstawą systemu międzynarodowego prawa karnego odnoszącego się w równej mierze do czasów wojny i pokoju, chroniącego prawa mieszkańców wszystkich krajów lub «wszelkiej ludności cywilnej» w razie naruszania ich przez kogokolwiek, w tym własne władze państwowe oraz rządy”[26]. W istocie dotyczą tylko przestępstw popełnionych w związku z udziałem w prowadzeniu „wojny agresywnej”, a do kategorii tej zaliczono wyłącznie kraje, które poniosły klęskę podczas II wojny światowej[27].

Późniejszy rozwój instrumentów prawnych mających chronić prawa człowieka nie przyczynił się nazbyt do wypełnienia takiej luki. Komisja Praw Człowieka w ONZ, obradująca w 1947 roku nad sformułowaniem ogólnych zasad w tej kwestii, okazała się zdecydowanie nieprzychylna idei prawnej ochrony praw mniejszości. Przewodnicząca tej komisji Eleanor Roosevelt uparcie

przeciwstawiała się próbom podkomisji do spraw zapobiegania dyskryminacji i ochrony mniejszości, by włączyć odpowiednią klauzulę do przygotowywanego dokumentu. Carol Anderson twierdzi, że Eleanor Roosevelt zawsze rozumiała, iż jakaś organizacja międzynarodowa może zaprotestować przeciwko traktowaniu czarnoskórych Amerykanów w południowych stanach USA, czyli w regionie zdominowanym przez Partię Demokratyczną, do której Roosevelt należała. W związku z tym „dokładała starań dla zapewnienia, żeby żadna osoba ani organizacja pozarządowa nie miały prawa zgłoszenia do ONZ odbywającego się tam łamania praw człowieka”[28]. Niektóre z wysuwanych przez Roosevelt argumentów były, mówiąc delikatnie, osobliwe – a zwłaszcza stwierdzenie, że skoro nie we wszystkich państwach żyły etniczne lub rasowe mniejszości, to prawa tych mniejszości nie mogą być z definicji powszechne, wobec czego nie ma na nie miejsca w obradach odnośnej komisji. W każdym razie Powszechna Deklaracja Praw Człowieka, opracowana przez tę komisję, nie stała się, by przytoczyć słowa delegata Stanów Zjednoczonych w Trzecim Komitecie Zgromadzenia Ogólnego ONZ, „traktatem czy międzynarodowym porozumieniem i nie narzucała prawnych zobowiązań”[29]. Również treść konwencji o zapobieganiu ludobójstwu, równocześnie opracowywanej przez Komitet Ekonomiczno-Społeczny ONZ z pomocą zespołu prawników, została rozwodniona pod wpływem nacisków wywieranych przez USA. W pierwszej jej wersji określono „wymuszone i systematyczne wypędzanie osób reprezentujących odrębną grupę kulturową” mianem formy ludobójstwa. Amerykański delegat ostro przeciwstawiał się takiej klauzuli, wskazując, że „można pod nią podciągnąć zbiorowe przymusowe przesiedlenia grup

mniejszościowych, jak te już przeprowadzone przez państwa członkowskie Narodów Zjednoczonych”[30]. Zakaz wysiedleń w związku z tym usunięto z tekstu wspomnianej konwencji, 25 głosami przeciw 16, przy czym czterech uprawnionych wstrzymało się od głosu[31].

W następnych dziesięcioleciach wielu uczonych i prawników próbowało formułować teorie, w których świetle przymusowe przesiedlenia mogłyby zostać uznane za sprzeczne z prawem międzynarodowym. Największą popularnością cieszy się argument, że masowe deportacje wiążą się z łamaniem zasady *ius cogens* (czyli „norm bezwzględnie obowiązujących”) lub też „zwyczajowego prawa międzynarodowego”. Pierwsze ze wspomnianych głosi, że istnieją w prawie międzynarodowym pewne „niezbywalne normy”, jak zakaz masowego zabijania i niewolnictwa, których żaden spisany traktat ani żaden inny instrument prawny nie może unieważnić. Konwencja wiedeńska o prawie traktatów określa zasadę *ius cogens* mianem „akceptowanej i uznawanej przez międzynarodową społeczność państw normy, od której odstępstwa są niedopuszczalne i którą można modyfikować tylko na mocy innego ogólnego prawa międzynarodowego mającego taki sam charakter”[32]. Grupa robocza obradująca nad kwestią masowych wysiedleń w San Remo uznała w 1983 roku, że przymusowe przesiedlenia ludności, usankcjonowane traktatami lub też nie, ze swej natury należą do takiej kategorii, a zatem należy je uznawać za sprzeczne z prawem w każdych okolicznościach. Jednak sformułowane przez tę grupę zastrzeżenie, iż „istnieje wiele luk w prawie zwyczajowym, a problem masowych wysiedleń nie został dostatecznie omówiony w prawie międzynarodowym i krajowym”, poważnie osłabiło wymowę wniosku o powszechnej, utrwalonej zgodzie co do

niedopuszczalności tego rodzaju akcji[33]. Istotnie, jedną z trudności związanych ze skutecznym zastosowaniem zasady *ius cogens* jest to, że uznaje ona za bezprawne wyłącznie to, co nie zostało przez kogokolwiek uznane za prawomocne.

Mniej ogólnikowa teoria głosi, że zakaz wysiedleń może stać w pewnej sprzeczności ze zwyczajowym prawem międzynarodowym. Działając w zgodzie z pewnymi zasadami, jak gdyby te stanowiły prawo, państwa nadają owym zasadom status praworządności, co wynika z ich utrwalonego w czasie obowiązywania i powszechnego przyzwolenia na nie. Tym samym uczeni uznali Powszechną Deklarację Praw Człowieka, zasady norymberskie, Europejską Konwencję Praw Człowieka i inne podobne akty za powszechnie akceptowane normy, chociaż nie nienaruszalne zobowiązania, niemniej jednak będące wyrazem zwyczajowego prawa międzynarodowego. Wedle takiej interpretacji przymusowe przesiedlenia ludności są pośrednio zakazane, ponieważ w praktyce nie sposób ich przeprowadzić bez arbitralnych poczynań albo bez dyskryminowania objętej nimi mniejszości, co w związku z tym stoi w sprzeczności z obyczajowymi normami określanymi przez któryś z instrumentów prawnych[34]. Problemy wynikające z takiego rozumowania wiążą się wszak z tym, że brak wystarczających dowodów, pozwalających uznać, iż zapisy z Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, Europejskiej Konwencji Praw Człowieka i podobnych aktów prawnych są naprawdę powszechnie uznawane i przestrzegane; jak stwierdził Patrick Thornberry: „W tym wypadku, jak i w wielu innych, zaczyna się wierzyć, że życzenia mogą się urzeczywistniać”[35]. Za jeden z wielu przykładów, iż jest inaczej, może posłużyć reakcja międzynarodowej społeczności na wypędzenie

przez Idi Amina południowoazjatyckiej populacji Ugandy – około 40 tysięcy ludzi – jesienią 1972 roku. Jak wspomina Alfred-Maurice de Zayas: „Zgromadzenie Ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych […] nie przyjęło rezolucji potępiającej te wysiedlenia, a propozycję zgłoszoną przez podkomisję do spraw zapobiegania dyskryminacji i ochrony mniejszości, aby wysłać do prezydenta Ugandy depeszę wyrażającą »poważne zaniepokojenie« z powodu planów takiej akcji odrzucono 14 głosami do 1, przy 6 wstrzymujących się[36]. Wiele innych deportacji podobnego rodzaju – na przykład wypędzenie etnicznych Serbów z Kosowa w roku 1999 i następnych – wywołało równie anemiczne reakcje.

Mimo wszystko wraz z rozpadem Związku Radzieckiego i krachem komunizmu jako jednej z głównych ideologii europejskich do początków lat dziewięćdziesiątych XX wieku otwarła się inna droga prawna wiodąca do zakazu wysiedleń. Rozwój demokracji w większości państw, z których wysiedlano ludność tuż po wojnie, a także późniejsza ratyfikacja dokumentów w rodzaju Europejskiej Konwencji Praw Człowieka zdają się świadczyć o tym, że żyjący jeszcze wysiedleńcy, a może i ich potomkowie, mogą uzyskać za pośrednictwem sądów cywilnych rekompensatę za niegdysiejszą utratę praw obywatelskich, mienia i deportację. Szybko wniesiono kilka „próbnych” spraw tego rodzaju, większość przeciwko państwu noszącemu od 1993 roku nazwę Republiki Czeskiej. Ponieważ Czechosłowacja podjęła kroki zmierzające do zwrócenia swoim obywatelom własności znacjonalizowanej w czasach komunistycznych, to nadzieje na korzystny wynik starań rewindykacyjnych poprzez odwołanie się do zasady niedyskryminacji były tam większe niż w Polsce, gdzie relatywnie niewiele nieruchomości przejmowało państwo

w latach komunizmu, a w związku z tym nie zachodziła potrzeba powszechnej restytucji. I choć żadna z podobnych prób podjętych przez wysiedleńców się nie powiodła, to poruszyły one skomplikowane kwestie prawne, które są nierozwiązane do dziś, a jeśli pozostawi się je w takim stanie, to mogą doprowadzić do jeszcze większych komplikacji w przyszłości.

A stawka jest wysoka. Mimo że, co zrozumiałe, wielu wysiedleńców zmarło do lat dziewięćdziesiątych XX wieku, to odszukanie nadal żyjących, których niegdyś pozbawiono bezprawnie czechosłowackiego obywatelstwa, doprowadziłoby, i to szybko, do pojawienia się dość dużej grupy nowych – czy też „starych” – obywateli w kraju liczącym ledwie 10 milionów mieszkańców. Ale nawet to nie miałoby aż tak wielkiego znaczenia wobec niemal niewyobrażalnych dylematów i sporów, które musiałyby wyniknąć w rezultacie skutecznych roszczeń o zwrot skonfiskowanej własności. W jednym z przypadków ziemia, o której zwrot ubiegał się pewien wysiedleniec, w czasie wystąpienia z roszczeniami znajdowała się w posiadaniu czterech agencji państwowych, spółdzielni oraz kilku firm komercyjnych, a także wielu osób prywatnych. Zakres starań o zadośćuczynienie za szkody poniesione przez byłych więźniów czeskich obozów koncentracyjnych, o odszkodowania za pracę przymusową, do jakiej ich zapędzono, również był bardzo trudny, o ile w ogóle możliwy, do oszacowania. Jednak poza kwestią związaną z tym, ile pieniędzy mogłoby usatysfakcjonować setki tysięcy czy wręcz miliony występujących o odszkodowania wysiedleńców i ich spadkobierców, cała ta sprawa niosła ze sobą potencjalnie wybuchowe konsekwencje natury politycznej. Czechy, jako jedyny kraj spośród ofiar nazistowskich Niemiec, nigdy nie otrzymały choćby

symbolicznej rekompensaty finansowej[37] od RFN, gdyż nie chciały, aby wysiedleńcy domagali się w związku z tym odszkodowań za majątki na terenie Czechosłowacji utracone w 1945 roku. Ewentualność, że państwo czeskie musiałoby zadośćuczynić finansowo osobom, które podczas wojny były obywatelami Rzeszy i popierały nazistowską okupację, podczas gdy czeskim obywatelom nikt nie wynagrodziłby mordów, niedoli i terroru z czasów hitlerowskiego Protektoratu, była nie do przyjęcia dla czeskiej opinii publicznej w latach dziewięćdziesiątych. Prawdopodobieństwo, że zaakceptowałaby i uznała korzystny dla niemieckich wysiedleńców werdykt czy też całą serię takich orzeczeń, nawet gdyby te zostały wydane przez dysponujące największymi uprawnienia sądy międzynarodowe, było w praktyce zerowe.

W istocie z tej właśnie przyczyny czeskie przepisy o zwrocie nieruchomości zajętych przez państwo w okresie komunizmu obwarowano na początku lat dziewięćdziesiątych takimi zastrzeżeniami, aby wysiedleni niegdyś byli właściciele mieli niewiele sposobności do dochodzenia swoich praw. Uchwała restytucyjna przegłosowana w czechosłowackim parlamencie w 1991 roku zatwierdzała zwrócenie byłym właścicielom ich mienia, które zostało znacjonalizowane w czasie od przewrotu w lutym 1948 roku do upadku reżimu komunistycznego w 1989 roku. Korzyść wynikająca z ograniczenia tego okresu od roku 1948 polegała na wykluczeniu za jednym zamachem z grona ubiegających się o zwrot majątków prawie wszystkich Sudetendeutschów wywłaszczonych dwa i pół roku wcześniej, a także etnicznych Węgrów, wyrzuconych ze swoich siedzib w czasie niefortunnej „wymiany” ludności między Słowacją a Węgrami w latach 1946–1947[38]. Z tego samego powodu

wspomniany przepis precyzował, że tylko tym, którzy mieli czechosłowackie obywatelstwo i na stałe zamieszkiwali w kraju, przysługiwała możliwość ubiegania się o zwrot posiadłości. W efekcie cywilne roszczenia Niemców przeciw państwu czeskiemu przebiegały dwiema oddzielnymi drogami. Pierwsza z nich wiązała się z zakładaniem spraw w czeskich sądach i próbach dowodzenia, że dekrety Beneša były sprzeczne z nową demokratyczną konstytucją Czech, lub też uznaniu legalności tychże rozporządzeń, lecz stwierdzeniu przy tym, że niezgodnie z prawem objęto nimi również „antyfaszystów", którzy nie powinni byli być wywłaszczeni i wysiedleni. Druga droga wiodła przez międzynarodowe trybunały, takie jak Europejski Trybunał Praw Człowieka czy Komisja Praw Człowieka ONZ, gdzie dowodzono, że wspomniane dekrety i/lub czeskie prawo o zwrocie majątku były niezgodne z prawami międzynarodowymi, które obowiązywały również Republikę Czeską.

Starania o uzyskanie jakiegoś zadośćuczynienia czy odszkodowania w ramach pierwszej z tych strategii – w czeskich sądach krajowych – prawie nigdy nic nie dawały. W jednej z najgłośniejszych spraw tego rodzaju, rozstrzygniętej ostatecznie przez czeski Trybunał Konstytucyjny w marcu 1995 roku, Rudolf Dreithalter, obywatel czeski niemieckiego pochodzenia, ubiegał się o zwrot domu, który odziedziczył po krewnym Sudetendeutschu, jednak nieruchomość tę skonfiskowano, zanim Dreithalter objął ją w posiadanie. Sąd wydał w tej sprawie znamienny wyrok. Z jednej strony potwierdził, że dekret uwłaszczeniowy Beneša został wydany przez prezydenta w 1945 roku zgodnie z prawem, wobec czego pozostawał w mocy. Z drugiej zaś stwierdzono, że ów akt prawny nie był sprzeczny z prawem międzynarodowym,

ponieważ nie wykorzystywano go do pozbawiania kogokolwiek mienia w trakcie minionych czterdziestu lat i nie było możliwości zastosowania go w przyszłości – stąd też nie miał „konstytucyjnego charakteru”. I wreszcie sąd uznał, że konfiskaty mienia „osób narodowości niemieckiej […] nie oznaczały aktu narodowej zemsty, lecz tylko odpowiednią reakcję na agresję nazistowskich Niemiec”, w którą Sudetendeutsche byli uwikłani i za którą mogli być prawnie pociągnięci do odpowiedzialności. „Komory gazowe, obozy koncentracyjne, masowe mordy, prześladowania, zabijanie i dehumanizacja milionów”, głosiło uzasadnienie wyroku, były dziełem nie tylko nazistów, ale i tych, „którzy po cichu dorobili się na tym ruchu politycznym, którzy wypełniali jego rozkazy i nie stawiali mu oporu”[39]. Tym samym werdykt ów nie tylko odwoływał się do uznania zbiorowej odpowiedzialności Niemców za nazistowskie zbrodnie za fakt, ale i pozostawił dekret Beneša w konstytucyjnej próżni, w której zarówno obowiązywał, jak i nie obowiązywał – w zależności od tego, czy punktem odniesienia było prawo krajowe, czy też międzynarodowe.

Odwoływanie się wysiedleńców do trybunałów międzynarodowych przynosiło jeszcze mniejszy efekt. Typowy przykład to sprawa Gerharda Malika – w połowie lat dziewięćdziesiątych zwrócił się on do Komisji Praw Człowiek ONZ. Malik, w chwili zakończenia wojny dwudziestolatek, został wysiedlony z Novego Jičína na Morawach do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech w lipcu 1946 roku; dom, w którym przyszedł na świat, został skonfiskowany. Poprzez arbitralne pozbawienie go czechosłowackiego obywatelstwa i sformułowanie aktu prawnego o zwrocie majątku w taki sposób, aby uniemożliwić ubieganie się o to jemu i innym

Sudetendeutschom, Republika Czeska, jak twierdził, naruszyła postanowienia konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności. W odpowiedzi udzielonej Komisji rząd czeski argumentował, że w okresie deportacji Malikowi zapewniono półroczne „okienko", miał wówczas okazję ubiegać się o przywrócenie mu obywatelstwa czechosłowackiego, czego nie uczynił. Ponadto na mocy decyzji czeskiego Trybunału Konstytucyjnego z marca 1995 roku, orzekającej o wywłaszczeniowym dekrecie Beneša, uznano, iż ów akt prawny „już nie obowiązuje jako zapis konstytucyjny" i dlatego można go podważać w czeskich sądach. Z takiej możliwości Malik również nie skorzystał. Malik stwierdził, iż sugestia, że nie starał się o przywrócenie mu czechosłowackiego obywatelstwa w 1945 roku jest bezzasadna, gdyż więźniowie obozów internowania i pracy przymusowej nie byli w stanie złożyć takich podań, a wszelkie próby uczynienia tego często skutkowały fizycznym maltretowaniem petentów przez obozowy personel. Skoro Republika Czeska uznawała, że występowanie z podaniami tego rodzaju było efektywną metodą odzyskiwania czechosłowackiego obywatelstwa przez Niemców, „to powinna podać przykłady tych, którym się to udało". Podobnie stwierdzenie, iż werdykt Trybunału Konstytucyjnego potwierdzający ważność dekretu Beneša w jakiś sposób jakoby umożliwia podważanie go przed czeskim sądem, również było wewnętrznie sprzeczne. Jednak Komisja Praw Człowieka nie chciała rozpatrywać tej sprawy z dwóch zupełnie różnych powodów. Otóż fakt, że czeski Trybunał Konstytucyjny podtrzymał ważność dekretu Beneša (nr 108/1945) w sprawie Dreithaltera, nie oznaczał jeszcze, że dekret o pozbawieniu obywatelstwa (nr 33/1945), z którym był powiązany, również uznano za nadal

obowiązujący. Komisja uchyliła się od interwencji, dopóki Malik lub inna osoba w podobnej sytuacji nie uzyska orzeczenia czeskich sądów także w tej kwestii[40]. Gdy chodziło o roszczenia do odzyskania własności, Komisja oświadczyła, że „nie wszystkie różnice w traktowaniu [obywateli] oznaczają dyskryminowanie". Fakt, że Republika Czeska postanowiła wypłacić odszkodowania czechosłowackim obywatelom za bezprawne konfiskaty po 1948 roku, nie narzucał jeszcze temuż państwu obowiązku zrekompensowania innym osobom podobnie bezprawnych konfiskat sprzed tej daty.

A więc choć Komisja uznała bezzasadność odwołania Malika, nie wydając werdyktu w kwestii związanych z jego sprawą faktów, to jednak jej orzeczenie było mimo wszystko problematyczne z dwóch powodów. Pierwszym z nich było to, że stwierdzenie, iż konwencja o ochronie praw człowieka nie zobowiązuje państwa czeskiego do zwrotu mienia osobom nieobjętym ustawą restytucyjną, okazało się rażąco sprzeczne z werdyktami już wydanymi w sprawach czechosłowackich obywateli znajdujących się w analogicznej sytuacji. Na przykład w sprawie Adama przeciwko Republice Czeskiej z 1996 roku ta sama Komisja uznała, iż przypadki Josepha Adama i innych etnicznych Czechów i Słowaków, którzy w okresie od 1948 do 1989 roku przejściowo byli pozbawieni praw obywatelskich, oznaczały pogwałcenie Artykułu 26 – klauzuli antydyskryminacyjnej – Konwencji Praw Człowieka. Republika Czeska formalnie nie musiała komukolwiek zwracać zajętego mienia. Jednak, skoro już się do tego zobowiązała, nie mogła czynić rozróżnienia między kategoriami wywłaszczonych osób, nie naruszając przy tym przepisu konwencji o równouprawnieniu. A przecież Komisja uznała przy innej okazji, właśnie w sprawie Malika,

że różne traktowanie nie oznaczało dyskryminowania, jeżeli „kryteria takiego zróżnicowania są rozumne i obiektywne oraz prowadzą do osiągnięcia celu uznanego za zgodne z prawem w ramach niniejszej konwencji”[41]. István Pogány z wydziału prawa Uniwersytetu Warwick zwraca uwagę, że odnosząc się w tej sprawie do konkretnych faktów, Komisja „nie przedstawiła podstaw, logicznych ani prawnych, swego stwierdzenia, że niektóre różnice w traktowaniu [ludzi] oznaczają bezprawną dyskryminację, inne zaś nie”[42]. Niemniej jednak w sprawie Malika dowodzono, że odmówienie mu praw restytucyjnych faktycznie było usprawiedliwione „rozumnymi i obiektywnymi” kryteriami, zastosowanymi dla osiągnięcia „uprawnionego” celu. Innymi słowy, Komisja Praw Człowieka, podobnie jak czeski Trybunał Konstytucyjny w marcu 1995 roku, uznała pośrednio, że dwudziestoletni Malik, w obliczu swojej współodpowiedzialności za poczynania nazistów, został, w przeciwieństwie do Josepha Adama, „rozumnie” i „zgodnie z prawem” pozbawiony posiadanego mienia przez państwo czechosłowackie[43].

Drugim budzącym wątpliwości aspektem werdyktu wydanego w sprawie Malika było uznanie, że odwołujący się nie wykorzystał wszystkich przysługujących mu możliwości, ponieważ nie sprawdził w czeskim sądzie konstytucyjności dekretu Beneša (nr 33/1945), na którego mocy został niegdyś pozbawiony obywatelstwa. W tym kontekście wypada zauważyć, że o ile wnioskodawca miał skorzystać z możliwości ubiegania się o swoje prawa przed krajowymi sądami przed wniesieniem sprawy do trybunału międzynarodowego, to musiałyby istnieć przesłanki jakiejkolwiek skuteczności dochodzenia tych roszczeń. Innymi słowy, nie ma obowiązku występowania do sądów krajowych, jeżeli jasne jest, że składający wniosek realnie

nie może się spodziewać należnego odszkodowania. Wobec faktu, że Trybunał Konstytucyjny już ogłosił, że dekret ekspropriacyjny obowiązuje ze względu na uznanie zbiorowej współodpowiedzialności Niemców sudeckich za nazistowskie zbrodnie – a Komisja Praw Człowieka najwyraźniej zaakceptowała taki argument – nie wydaje się zbyt logiczne sugerowanie Malikowi, że ten sam sąd, odwołujący się do takiej samej interpretacji dekretu, który pozbawił czechosłowackiego obywatelstwa Sudetendeutschów, mógł wydać inne orzeczenie.

To, że wysiedleńcy i ich spadkobiercy nie powinni się spodziewać uzyskania należnego zadośćuczynienia w czeskich sądach, znalazło potwierdzenie w późniejszej sprawie, badanej przez Komisję Praw Człowieka w 2005 roku. Eugen Czernin, pozbawiony obywatelstwa oraz mienia i skierowany do pracy przymusowej Sudetendeutsch, w listopadzie 1945 roku złożył wniosek we władzach powiatu Jindřichův Hradec o przywrócenie mu czechosłowackiego obywatelstwa na podstawie dekretu nr 33/1945. Powiatowa rada narodowa faktycznie uznała Czernina za antyfaszystę, niemniej jego podanie nadal oczekiwało na rozstrzygnięcie w czechosłowackim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, kiedy w 1947 roku Czernin zbiegł do Austrii, gdyż zainteresowało się nim NKWD. Po pewnym czasie zmarł na emigracji, ale w 1995 roku jego syn wystąpił o zwrot nieruchomości należącej niegdyś do ojca, a niezbędnym warunkiem takiego ewentualnego zwrotu było pozytywne rozpatrzenie dawnego, odłożonego *ad acta* wniosku Eugena Czernina. Mimo że minister spraw wewnętrznych obiecał zbadanie tej sprawy w 1996 roku, niczego takiego nie uczyniono. Rozporządzenie Trybunału Konstytucyjnego w 1997 roku zobligowało ministra spraw wewnętrznych do rozpatrzenia

owego wniosku w trybie przyspieszonym. Także to polecenie zostało zignorowane. MSW i urząd powiatu Jindřichův Hradec zwlekały z rozpatrzeniem sprawy Czernina pomimo kolejnych ponagleń wydawanych przez czeskie sądy w następnych latach. Ostatecznie sprawa trafiła do Komisji Praw Człowieka, która stwierdziła, że Republika Czeska stale odmawia rodzinie Czernina należnego odszkodowania, co stanowiło naruszenie międzynarodowych zobowiązań tegoż państwa[44]. I choć takie orzeczenie było formalnie korzystne dla Czerninów, to tak samo jak wcześniejsze rozporządzenia, nie przyspieszyło rozstrzygnięcia danej sprawy. Do roku 2011, czyli mimo upływu 66 lat od chwili złożenia wniosku, sprawa obywatelstwa Eugena Czernina nadal pozostała w zawieszeniu.

W wymiarze krajowym i międzynarodowym los roszczeń wysiedleńców z polskich Ziem Odzyskanych był podobny. W 2001 roku polski Sejm przyjął ustawę reprywatyzacyjną, przewidującą zwrot skonfiskowanych majątków, tyle że, tak jak Czesi, wykluczył z niej niemieckich wysiedleńców. Kwestia ta stała się jednak przedmiotem sporu, kiedy ówczesny prezydent Aleksander Kwaśniewski zawetował ów akt prawny. Europejski Trybunał Praw Człowieka w 2008 roku stwierdził oficjalnie, że „indywidualne akty przemocy, wypędzenia, wydziedziczania i zajmowania lub konfiskaty własności” dokonane niegdyś przez władze polskie były „czynami jednorazowymi”, które nie doprowadziły do „trwałego «pozbawienia praw»”. Europejska Konwencja Praw Człowieka nie działa wstecz, a zatem nie można jej odnieść do wszelkich jej naruszeń przez Polskę do czasu ratyfikacji konwencji przez ten kraj w 1991 roku[45].

Zresztą, wbrew obawom Václava Klausa, przystąpienie do Unii Europejskiej większości państw, z których deportowano Niemców, nie zmieniło w poważniejszym stopniu sytuacji prawnej. W 2002 roku Parlament Europejski, chcąc zawczasu zaradzić trudnościom, jakie mogły wyniknąć po przyjęciu Czech do UE, zlecił trzem wybitnym uczonym wydanie opinii prawnej na temat możliwej niezgodności dekretów Beneša z prawem obowiązującym w Unii Europejskiej. Choć będące efektem takiej analizy studium, w którego opracowaniu główny udział miał były wiceprzewodniczący Europejskiej Komisji Praw Człowieka doktor Jochen Frowein, nie miało statusu oficjalnego dokumentu, to w oczywisty sposób zbieżne było z polityką, jaką UE zamierzała przyjąć w tej materii. Frowein stwierdził, że dekrety Beneša stwarzały niewiele problemów z perspektywy prawa UE. I chociaż proceder pozbawiania obywatelstwa całych klas ludności i pozbawiania ich mienia bez odpowiednich przewodów sądowych z pewnością zostałby uznany za bezprawny, gdyby do czegoś takiego doszło w 2002 roku, to jednak nic w prawodawstwie UE nie wymagało od państw członkowskich wypłacania odszkodowań za bezprawie, jakiego dopuszczono się tam przed przystąpieniem owych krajów do Unii Europejskiej. Frowein zgadzał się też z orzeczeniem Komisji Praw Człowieka ONZ w sprawie Malika, że zbiorowe deportacje Niemców i Węgrów były „rozsądną” karą za nielojalność tychże ludzi wobec państwa czechosłowackiego; tak czy owak fakt, iż realizowany w Czechach program restytucyjny miał się zakończyć do czasu przystąpienia tego kraju do UE, oznaczał, że wynikające z tegoż programu działania nie mogły zostać podważone przez żadną z unijnych organizacji. Frowein i jego współpracownicy dopatrzyli się źródła ewentualnych

problemów w dwóch tylko aspektach dekretów Beneša. Pierwszym z nich była klauzula upoważniająca państwo czechosłowackie do sądzenia „zdrajców” i „kolaborantów” *in absentia* (zaocznie). Wszelkie próby podejmowane przez dzisiejszą Republikę Czeską zmierzające do zatrzymania osób skazanych w 1945 i 1946 roku na podstawie owego dekretu, byłyby, zdaniem opiniodawców, „sprzeczne z fundamentalnymi prawami i zbiorami niezbywalnych praw, obowiązującymi od daty ich wprowadzenia”. Drugi problematyczny element – dekret nr 115/1946, zwalniający od odpowiedzialności karnej tych czechosłowackich obywateli, którzy zabijali lub maltretowali Niemców w trakcie „sprawiedliwego odwetu” podczas pierwszego półrocza powojennego pokoju – potraktowany dosłownie zdawał się sugerować, że nawet zbrodnie ludobójstwa nie podlegały karze, o ile tylko ich ofiarą padali Niemcy przed październikiem 1945 roku. Jednak Frowein stwierdził, że skoro w owym czasie nie istniał rząd niemiecki, to dekret ów da się praktyce uchylić poprzez odwołanie się do zasady *estoppel* (okoliczności sprzecznych z wcześniejszymi warunkami). W istocie, w deklaracji ogłoszonej w 1997 roku wespół z czeskim rządem stwierdzono, że dąży się do uniknięcia „obciążania wzajemnych stosunków politycznymi i prawnymi kwestiami wynikającymi z przeszłości”. Ponadto uznano za niesprawiedliwe, że czechosłowaccy obywatele, którzy przez pół wieku byli oficjalnie zapewniani, iż nie spotka ich kara, musieliby nagle liczyć się z perspektywą ścigania za dawne przestępstwa[46].

Mimo że wysiedleńcy i ich spadkobiercy nadal zakładają nowe sprawy restytucyjne, to na postawie dotychczasowych doświadczeń można uznać, że żadne z nich nie przyniosą rezultatów, na jakie liczą wnioskodawcy. Dieter Blumenwitz z Uniwersytetu Bawarskiego w Würzburgu miał rację, kiedy

stwierdził, że „nie ma czego się spodziewać […] po czeskich sądach, które powołają się na dekrety ekspropriacyjne z 1945 roku”[47]. Sądząc na podstawie rezolucji parlamentu słowackiego z września 2007 roku, głoszącej, że dekrety Beneša „nie podlegają zmianom”, to samo dotyczy zapewne także systemu sądowniczego na Słowacji[48]. Trybunały w rodzaju Komisji Praw Człowieka ONZ i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka wciąż odrzucają podobne wnioski zgłaszane przez pojedyncze osoby, nawet jeśli uzasadniają takie odmowy naciąganymi i wyraźnie nielogicznymi argumentami prawnymi. W szczególności, jak zauważa István Pogány, konsekwentna niechęć Komisji Praw Człowieka do precyzyjnego określenia kryteriów uzasadnionego w świetle prawa dyskryminowania niemieckich wysiedleńców „skłania do wniosku, że trzeba po prostu oczekiwać na decyzje w indywidualnych przypadkach i zakładać, że będą słuszne”[49]. Analogicznie, jeżeli poglądy Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, czyli sądu najwyższego UE, ukształtują się pod wpływem opinii Froweina i decyzji o pozostawieniu Czechom w 2009 roku swobody w rozstrzyganiu takich spraw, to zabraknie podstaw do uznawania roszczeniowych wniosków byłych wysiedleńców za uzasadnione i nie będą one traktowane jako godne rozpatrywania.

A zatem zaznacza się rozbieżność opinii pomiędzy uczonymi, z których wielu uważa wysiedlenia i ich trwałe skutki za oczywiste pogwałcenie prawa międzynarodowego, a sądami, wykazującymi w tej kwestii konsekwentny oportunizm. James Wolfe z University of Southern Mississippi uznaje na przykład, że deportacje były złamaniem konwencji haskich i zasad norymberskich, gdy decyzja o przeprowadzeniu wysiedleń zapadła w czasie

wojny, a „zamiar popełnienia czynów sprzecznych z prawami wojny to karalne naruszenie prawa”[50]. Alfred-Maurice de Zayas z Geneva School of Diplomacy and International Relations również nie daje się przekonać argumentowi często wysuwanemu przez państwa, z których wysiedlano Niemców, że powojenna akcja deportacyjna była zgodna z prawem, ponieważ została zatwierdzona przez Wielką Trójkę w Poczdamie. Skoro sprzymierzeni mogli „nadać Polsce, Czechosłowacji i Węgrom uprawnienia do wysiedlania niemieckich cywilów, to same mocarstwa alianckie z konieczności musiały dysponować tak dalekosiężnymi i nadzwyczajnymi uprawnieniami”. I to takimi, jak dodaje, których nie miały Niemcy, gdyż nazistowskie „deportacje […] wszelkiej ludności cywilnej” stanowiły jedną ze „zbrodni przeciwko ludzkości”, za które nazistowskich przywódców skazano w Norymberdze. A przecież alianci nigdy nie wskazali legalnych podstaw pozwalających im samym na bezkarne dokonywanie podobnych czynów[51].

To, czy powojenne wysiedlenia były zgodne z prawem w okresie ich trwania, pozostaje kwestią, w której żaden międzynarodowy trybunał nie wydał jasnego werdyktu. Widoczna jest niechęć owych trybunałów choćby do wskazania, czy trwałe skutki deportacji są zgodne z obecnym prawem – unikają tego, odwołując się do formalnego zagadnienia dopuszczalności, tym samym spychają całą sprawę w rodzaj legalistycznej próżni, w której najprawdopodobniej ugrzęźnie na zawsze. Większość autorytetów w tej dziedzinie uważa w każdym razie za pewnik, że podobne masowe wysiedlenia nie będą mogły być przeprowadzane w przyszłości w zgodzie z prawem. Pod wpływem potwornych scen, jakie towarzyszyły upadkowi Jugosławii w latach

dziewięćdziesiątych XX wieku, wprowadzono wiele międzynarodowych instrumentów – w szczególności Statut Rzymski Międzynarodowego Trybunału Karnego – które jednoznacznie uznają przymusowe przesiedlenia ludności – z wyjątkiem przejściowego przemieszczenia ich poza strefę objętą walkami, dla bezpieczeństwa samych cywilów – za złamanie prawa międzynarodowego[52].

Jednak niedawno Timothy Waters z Indiana University zwrócił uwagę na możliwość zaistnienia w zwyczajowym prawie międzynarodowym „sudeckiego następstwa" – czyli prawnego precedensu stworzonego przez działania państw. Fakt, że dotychczasowe orzeczenia sądowe sprowadziły w praktyce do zera możliwość uzyskania jakichkolwiek odszkodowań za wysiedlenia, jest sam w sobie czynnikiem wpływającym na ewolucję prawa międzynarodowego – które wobec braku globalnego organu prawodawczego, swoistego światowego rządu, działa w o wiele większym stopniu na podstawie precedensów aniżeli statutów. Zatem orzeczenie Komisji Praw Człowieka ONZ w sprawie Malika, a tym bardziej opinia prawna Froweina, że Sudetendeutsche zostali sprawiedliwie i należycie ukarani pozbawieniem obywatelstwa i przepadkiem mienia za to, co Edvard Beneš w 1942 roku określił mianem „biernego współuczestniczenia w zbrodniach wojennych", wskazują, że z perspektywy najważniejszych prawodawców, zaistniał co najmniej jeden zbiór okoliczności, w którym ludność cywilną w świetle prawa potraktowano w taki sposób[53]. Wypada dodać, że nie oznacza to jeszcze prawdopodobieństwa, iż zakazy wymuszonych przesiedleń w dokumentach w rodzaju Statutu Rzymskiego będą rutynowo lekceważone. Ale w istocie sprawia to, że zakazy te nie są aż tak kategoryczne, jak to się może wydawać.

> Wprost przeciwnie, deklaracje i poczynania państw i instytucji europejskich ujawniają złożoną, lecz oczywistą warunkowość: takie kroki [jak deportacje] są nie do przyjęcia w przypadku braku nagłych zagrożeń dla porządku europejskiego. Europa i jej porządek prawny nie odrzuciły uciekania się do czystek etnicznych bez względu na okoliczności; zastrzegły sobie takie prawo – oraz zwolnienie z konieczności wypłacania odszkodowań po jego wprowadzeniu – w sytuacji skrajnego zagrożenia panującego porządku. Takie jest prawdziwe oblicze tego prawa[54].

A jednak, ponieważ masowe wysiedlenia niemal zawsze, przynajmniej w mniemaniu tych, którzy je przeprowadzają, to radykalne rozwiązanie stosowane w nadzwyczajnych sytuacjach, to powszechna akceptacja choćby jednego podobnego epizodu dziejowego jako wydarzenia zgodnego z prawem – a w każdym razie łatwo wytłumaczalnego – może się okazać precedensem, jak wskazuje Waters, „o jednym za dużo”. Ludzie w skrajnych warunkach są skłonni do podejmowania decyzji na podstawie niefortunnych analogii historycznych i nie wymaga wielkiej wyobraźni przywołanie na myśl takich okoliczności, w których przesiedlanie pozornie niebezpiecznej grupy etnicznej, wyznaniowej czy rasowej, do jakiej świat już odnosi się nieprzychylnie, może się wydać równie konieczne, jak deportowanie etnicznych Niemców w latach czterdziestych XX wieku. Jeśli nawet nie przywraca się metod przesłuchań stosowanych niegdyś przed gestapo, to mieliśmy już okazję przekonać się, że zakaz tortur obowiązujący na Zachodzie zaczął po zamachu z 11 września 2001 roku ulegać erozji w tempie, które wydawało się niewyobrażalne jeszcze kilka lat przed tym wydarzeniem[55]. I jeżeli obecność

niechcianej mniejszości ponownie wzbudzi poczucie międzynarodowego zagrożenia, wówczas możliwość powołania się na „precedens sudecki” oraz skorzystania z niejasności i luk, które nadal istnieją w prawach odnoszących się do przymusowych przesiedleń ludności, bez wątpienia wyda się jeszcze bardziej kusząca.

Przypisy

[1] Parlament Europejski, „Charter of Fundamental Rights of the European Union” („Karta Praw Fundamentalnych Unii Europejskiej”), 2007/C 303/01, *Official Journal of the European Union*, 14 XII 2007, http://eur-lex.europa.eu/LexUriServ/LexUriServ.do?uri=OJ:C:2007:303:0001:0016:EN:PDF.

[2] Oświadczenie prezydenta Václava Klausa w sprawie ratyfikacji traktatu lizbońskiego, 9 X 2009, http://www.hrad.cz/en/president-of-the-cr/current-president-of-the-cr-vaclav-klaus/selected-speeches-and-interviews/96.shtml.

[3] T.W. Waters, *Remembering Sudetenland: On the Legal Construction of Ethnic Cleansing*, „Virginia Journal of International Law” 2006, 47/1 (jesień) s. 105; J. Rupnik, *Joining Europe Together or Separately? The Implications of the Czecho-Slovak Divorce for EU Enlargement*, w: J. Rupnik, J. Zielonka (red.), *The Road to the European Union*, t. I: *The Czech and Slovak Republics*, Manchester University Press, Manchester 2003, s. 48–49, przyp. 61.

[4] H. Grotius (Grocjusz), *De Iure Belli ac Pacis,* księga II, rozdział XX.

[5] Cyt. za: S.L. Goldenberg, *Crimes Against Humanity – 1945–1970: A Study in the Making and Unmaking of International Criminal Law*, „Western Ontario Law Review” 1971, 10/1, s. 5.

[6] *The Treaty of Peace between the Allied and Associated Powers and Germany, the Protocol Annexed Thereto...Signed at Versailles, June 28th, 1919*, HMSO, London 1919, art. 228.
[7] S. Power, *„A Problem from Hell": America and the Age of Genocide*, Basic Books, New York 2002, s. 491.
[8] D.M. Segesser, *„Unlawful Warfare is Uncivilized": The International Debate on the Punishment of War Crimes, 1872–1918*, „European Review of History" 2007, 14/2 (VI), s. 216.
[9] Por. G. Hankel, *Der Leipziger Prozesse: Deutsche Kriegsverbrechen und ihre strafrechtliche Verfolgung nach dem Ersten Weltkrieg*, HIS Verlag, Hamburg 2003.
[10] W. Czapliński, *The Protection of Minorities under International Law (Comments on the Alleged Existence of a German Minority in Poland)*, „Polish Western Affairs" 1984, 25/1, s. 126.
[11] M. Mazower, *The Strange Triumph of Human Rights, 1933–1950*, „Historical Journal" 2004, nr 47, s. 382–383.
[12] F.P. Walters, *A History of the League*..., s. 616.
[13] *Ibid*., s. 410.
[14] E. Beneš, *Odsun Němců: Výbor z pamětí a projevů doplněný edičními přílohami*, Společnost Edvarda Beneše, Praha 1995, s. 22. por. także np. S. Sierpowski, *Les dilemmes à la Société des Nations au sujet des minorités*, „Polish Western Affairs" 1984, 25/2, s. 187–210; J. Zarnowski, *Le système de protection des minorités et la Pologne*, „Acta Poloniae Historica" 1985, 52/1, s. 105–124.
[15] P.B. Finney, *„An Evil for All Concerned": Great Britain and Minority Protection After 1919*, „Journal of Contemporary History" 1995, 30/3 (VII), s. 542.
[16] H. Ripka, *The Future of the Czechoslovak*..., s. 18.

[17] „Report of the Inter-Departmental Committee on the Transfer of German Populations", 12 V 1944, A.P.W. (44) 34, CAB 121/85.
[18] Tekst telegramu brytyjskiej delegacji na konferencji w San Francisco w sprawie powołania ogólnoświatowej organizacji do FO (Foreign Office), 16 V 1945, FO 371/50843.
[19] MKCK, „Draft International Convention on the Condition and Protection of Civilians of Enemy Nationality who are on Territory Belonging to or Occupied by a Belligerent", 1934, http://www.icrc.org/ihl.nsf/FULL/320?OpenDocument.
[20] P. Thornberry, *International Law and the Rights of Minorities*, Clarendon Press, Oxford 1991, s. 72.
[21] *Ibid*., s. 113.
[22] Memorandum J.D. Mabbotta, FORD, 8 VI 1945, FO 371/50843.
[23] „The Times", 14 I 1942.
[24] „The Times", 20 X 1942.
[25] S.L. Goldenberg, *Crimes Against Humanity – 1945–1970*..., s. 5–9.
[26] E. Schwelb, *Crimes Against Humanity*, „British Yearbook of International Law" 1946, nr 23, s. 206.
[27] To, czy zbrodnie przeciwko ludzkości są traktowane przez prawo bez powiązania z międzynarodowymi konfliktami zbrojnymi, pozostaje kwestią sporną. W sprawie sporów na ten temat, por. W.A. Schabas, *An Introduction to the International Criminal Court* (wyd. III), Cambridge University Press, Cambridge 2007, s. 98–103.
[28] C. Anderson, *Eyes Off the Prize: The United Nations and the African American Struggle for Human Rights, 1945–1955*, Cambridge University Press, Cambridge 2003, s. 133.

[29] Cyt. za: P. Thornberry, *International Law and the Rights*..., s. 231–232.
[30] Cyt. za: *ibid*., s. 72. por. też J. Cooper, *Raphael Lemkin and the Struggle for the Genocide Convention*, Palgrave Macmillan, Basingstoke, Hampshire 2008.
[31] W.A. Schabas, *„Ethnic Cleansing" and Genocide: Similarities and Distinctions*, *European Yearbook of Minority Issues*, t. III, Brill, Leiden 2005, s. 118–120.
[32] Cyt. za: A. Aust, *Handbook of International Law*, wyd. II, Cambridge University Press, Cambridge 2010, s. 10.
[33] International Institute of Humanitarian Law (Międzynarodowy Instytut Praw Człowieka), *Report of the Working Group on Mass Expulsion*, International Institute of Humanitarian Law, San Remo 1983, s. 5.
[34] Por. J.M. Henckaerts, *Mass Expulsion in Modern International Law and Practice*, Martinus Nijhoff, Hague 1995, zwłaszcza s. 8–45.
[35] P. Thornberry, *International Law and the Rights*..., s. 240.
[36] A.M. de Zayas, *An Historical Survey of Twentieth Century Expulsions*, w: A.C. Bramwell (red.), *Refugees in the Age of Total War*, Unwin Hyman, London 1988, s. 32.
[37] Autor nie uwzględnił tego, że Niemcy przekazały Czechom w 1998 r. 90 milionów marek pomocy humanitarnej dla ofiar nazizmu, a od roku 2000 wypłaciły prześladowanym w czasie wojny 432 miliony marek z funduszów Federalnej Fundacji „Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość". W podobnych wypłatach uczestniczyły Polska, Białoruś, Ukraina i Rosja (przyp. red.).
[38] E. Barkan, *The Guilt of Nations: Restitution and Negotiating Historical Injustices*, Johns Hopkins University Press, Baltimore 2001, s. 135.

[39] Cyt. za: T.W. Ryback, *Dateline Sudetenland: Hostages to History*, „Foreign Policy” 1996/1997, nr 105 (zima), s. 173.
[40] *Malik v. Czech Republic*, Communication No. 669/1995, UN Doc. CCPR/C/64/D/669/1995 (3 XI 1998).
[41] Urząd Wysokiego Komisarza ONZ do spraw Praw Człowieka (United Nations; Office of the High Commissioner for Human Rights), „General Comment No. 18: Non-Discrimination”, 11 X 1989, http://www.unhchr.ch/tbs/doc.nsf/0/3888b0541f8501c9c12563ed004b8d0e?Opendocument.
[42] I.S. Pogány*, International Human Rights Law, Reparatory Justice and the Re-Ordering of Memory in Central and Eastern Europe*, „Human Rights Law Review” 2010, 10/3, s. 422.
[43] P. Macklem, *Rybná 9, Praha 1: Restitution and Memory in International Human Rights Law*, „European Journal of International Law” 2005, 16/1 (II), s. 18.
[44] Komisja Praw Człowieka ONZ (United Nations; Human Rights Committee), *Selected Decisions of the Human Rights Committee under the Optional Protocol, International Covenant on Civil and Political Rights*, t. VIII*:* United Nations Publications, New York 2007, s. 78–84.
[45] Europejski Trybunał Praw Człowieka, sekcja IV: „Decision as to the Admissibility of Application no. 47550/06 by *Preussische Treuhand GmbH & Co., KG A. A.* against Poland”, 7 X 2008, http://cmiskp.echr.coe.int/tkp197/view.asp?action=html&documentId=841872&portal=hbkm&source=externalbydocnumber&table=F69A27FD8FB86142BF01C1166DEA398649.

[46] Parlament Europejski, *Legal Opinion on the Beneš-Decrees and Accession of the Czech Republic to the European Union*, PE 323.934 (X 2002), http://www.europarl.europa.eu/activities/committees/studies/download.do?language=en&file=26119któr search=%20%20%22legal%20opinion%20on%20the%20benes-decrees%22%20.

[47] D. Blumenwitz, *Standards for the Political Handling of Dealings Concerning Property after World War II*, w: G. Loibi (red.), *Austrian Review of International and European Law 2001*, t. VI, Martinus Nijhoff, Hague 2003, s. 189.

[48] S. Auer, *Slovakia: From Marginalization of Ethnic Minorities to Political Participation (And Back?)*, w: B. Rechel (red.), *Minority Rights in Central and Eastern Europe*, Routledge, Abingdon, Oxfordshire 2009, s. 201.

[49] I.S. Pogány, *International Human Rights Law*..., s. 422.

[50] J.H. Wolfe, *International Law and Diplomatic Bargaining: A Commentary on the Sudeten German Question*, „Bohemia" 1973, nr 14, s. 384.

[51] A.-M. de Zayas, *The Legality of Mass Population Transfers: The German Experience 1945–48*, „East European Quarterly" 1978, 12/1 (wiosna), s. 15.

[52] Por. W.A. Schabas, *An Introduction to the International Criminal Court*..., s. 105.

[53] Por. *passim.*

[54] T.W. Waters, *Remembering Sudetenland*..., s. 127.

[55] P. Maguire, *Law and War: International Law and American History*, wyd. poprawione: Columbia University Press, New York 2010, s. 213–214.

ROZDZIAŁ 13

Pokłosie wysiedleń i pamięć o nich

Robin Hankey, ekspert od spraw Polski w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i były dyplomata z brytyjskiej ambasady w Warszawie, należał do licznego grona wpływowych Brytyjczyków, którzy latem 1947 roku otrzymali nieoczekiwany list od Michaela Vyvyana – przyjaciela Hankeya i jego niegdysiejszego współpracownika z MSZ. Do listu tego dołączona była relacja pewnej dwudziestosześcioletniej kobiety. Znalazła się ona w Niemczech pół roku wcześniej, spędziwszy przedtem ponad 18 miesięcy w obozie internowania w Potulicach w Polsce. Relacja, szczegółowa, rzeczowa i chłodna, choć w pewnych miejscach humorystyczna (jej autorka zauważyła na przykład, że jakość pożywienia wydawanego więźniom poprawiła się zauważalnie po tym, jak z końcem 1946 roku zwolniono obozowego kucharza), zawierała opis systematycznego znęcania się, tortur i maltretowania, którym poddawano więźniów Potulic i pobliskiego podobozu w Nakle nad Notecią – gdzie kobietę tę także przez krótki okres przetrzymywano. Relacja ta wydawała się prawdziwa, gdyż odpowiadała wielu innym zeznaniom, jakie zachodni alianci otrzymywali o Potulicach i podobnych obozach. W odpowiedzi udzielonej Vyvyanowi Hankey niczego nie podważał. Ale też nie sądził, żeby wspomniana relacja była szczególnie godna uwagi:

> Zgadzam się, że opisane warunki są przerażające. Byłbym tym o wiele bardziej poruszony, gdybym sam nie odwiedził obozów zagłady w Majdanku

> i Oświęcimiu i nie zapoznał się z dostępnymi świadectwami, dowodzącymi, że Polacy nie kłamią, utrzymując, że około 6 milionów Żydów i Polaków zostało wybitych jak muchy przez Niemców. Ponieważ osobiście widziałem 800 tysięcy par butów ludzi, których zamordowano (w tym buciki małych dzieci, dwu- i trzyletnich), […] nie potrafię wykrzesać w sobie współczucia dla nieszczęsnych Niemców [z polskich obozów], choć potępiam sposób, w jaki ich traktowano[1].

Tuż po wojnie taka reakcja należała do typowych. Uderza jednak to, że mimo upływu ponad 60 lat od zakończenia wysiedleń etnicznych Niemców niewiele się pod tym względem zmieniło. W popularnych i naukowych ujęciach tego wydarzenia europejskiej historii spory na temat powojennych deportacji Niemców na ogół prowadzone są w kontekście Holokaustu – a nawet, jak w przypadku Hankeya, Holokaust powoduje, że w ogóle zamyka się ów temat. W rezultacie powojenne wysiedlenia zajmują osobliwe miejsce we współczesnych dyskursach historyczno-etycznych. Wśród przykładów masowego gwałcenia praw człowieka w czasach nowożytnych w żadnym innym przypadku nie wysuwa się argumentu, iż nie należy o tym rozprawiać, gdyż mogłoby to umniejszyć wrażenie potworności, wywierane przez jeszcze większą ludobójczą zbrodnię.

Z pewnością łączenie deportacji Niemców z Holokaustem, a także z wieloma innymi zbrodniami reżimu hitlerowskiego jest zarówno nieuniknione, jak i właściwe. Próba oddzielania tych dwóch kwestii niosłaby ryzyko stworzenia wyrwanej z kontekstu opowieści o prześladowaniach, w której cierpienia Niemców przyćmiłyby jeszcze większe

cierpienia zadane przez Niemców przedstawicielom innych nacji. Jednak o ile warto od tego zastrzeżenia zacząć, to bynajmniej nie jest jasne, czy powinno się na nim kończyć omawianie tej problematyki. Hankey nie rozumiał, podobnie jak wielu innych późniejszych komentatorów, że konfrontowanie określonych aktów przemocy i nieprawości z największą zbrodnią współczesności oraz uznawanie ich za nieistotne w świetle takiego porównania zwiększa prawdopodobieństwo powtórki takich wydarzeń. Ponadto, zupełnie niezależnie od oceny, w jakim stopniu bolesna historia wysiedleń zasługuje na pamięć, takie porównawcze podejście uniemożliwia wszelkie dyskusje o poczynaniach i motywach sprawców powojennych zbrodni, pośrednio odbierając im wymiar ludzki przez uznawanie tych sprawców za osoby ułomne pod względem moralnym i etycznym, niezdolne do przyjęcia odpowiedzialności za własne poczynania. I wreszcie wiedzie to do unikania trudnych, lecz koniecznych pytań, wyłaniających się w dzisiejszych czasach, gdy znowu mamy do czynienia z coraz częstszymi przypadkami głodzenia i bicia ludzi, gwałcenia kobiet i zastraszania dzieci, uznawanymi za element starotestamentowej sprawiedliwości, wymierzanej „wrogiej” zbiorowości – idei instynktownie uważanej za kuszącą.

To, jak należy o tym mówić bez milczenia o sprawcach lub czynienia z nich anonimowych, „niewidzialnych” ludzi, stanowi trudny i drażliwy problem, którym nie zajmowali się, i którego nawet nie dostrzegali, nieliczni aktywni uczestnicy sporów dotyczących deportacji w trakcie powojennego półwiecza. Na krótko w latach dziewięćdziesiątych wydawało się, że uda się przezwyciężyć trudności tego rodzaju. Od tamtej pory jednak podejście do tej kwestii znowu uległo usztywnieniu, a obecne dyskusje

w sferze polityki i w mediach przypominają dialog głuchych. Wątpliwe wszakże, czy próby oceny i rozstrzygnięcia spraw związanych z wysiedleniami da się odłożyć na nieokreślony czas. Deportacje ludności bynajmniej nie odeszły na dobre w przeszłość, a coraz więcej wpływowych osób przewiduje nadejście nowej ich fali w przyszłości. Bez względu na to, co się sądzi o takich perspektywach, wypracowanie obiektywnego spojrzenia na największy „eksperyment" deportacyjny w dziejach jest w każdym razie kwestią bardzo ważną.

Jak się przekonaliśmy, w trakcie przesiedleń trwała intensywna, choć może niezbyt wyrafinowana kampania propagandowa, prowadzona przez kraje, skąd deportowano Niemców, oraz przez popierające wysiedlenia osobistości zagraniczne; opierały jej się, choć najczęściej nieskutecznie, pojedyncze osoby z zachodnich środków przekazu i organizacji pozarządowych. Po zakończeniu akcji przesiedleńczej jednak takie werbalne spory wokół kwestii deportacji niemal ustały. W USA i Wielkiej Brytanii stronnicy i przeciwnicy wysiedleń na początku lat pięćdziesiątych zaakceptowali je jako nieodwracalne fakty dokonane. W Czechosłowacji komunistyczny rząd Klementa Gottwalda roztropnie podjął politykę odwracania uwagi opinii międzynarodowej od tej sprawy – politykę kontynuowaną przez jego stalinowskiego sukcesora, Antonína Novotnego. W NRD dyskusję o przesiedleniach wrzucono do tej samej Orwellowskiej „dziury w pamięci", w której znalazły się też wszelkie inne aspekty przeszłości, uznane przez enerdowski reżim za niewygodne. Kiedy w 1961 roku dramaturg Heiner Müller podjął próbę wystawienia swojej sztuki *Die Umsiedlerin oder das Leben auf dem Lande* (*Wysiedlona albo życie na prowincji*), przedstawiającej ciężki los deportowanej ciężarnej kobiety

w małym gospodarstwie przydzielonym jej w czasie chaotycznej reformy rolnej w roku 1945, został aresztowany wraz ze wszystkimi występującymi w tej sztuce aktorami tuż po premierze. Dla Müllera skończyło się to jedynie wyrzuceniem go ze związku pisarzy; reżyser B.K. Tragelehn miał mniej szczęścia, gdyż został „wysłany do kopalni odkrywkowej na dwa lata, aby zapoznał się z życiem klasy robotniczej za sprawą wykonywania pracy fizycznej”[2].

Z kolei w RFN i Polsce przyjęto znacznie bardziej zdecydowaną, bezkompromisową postawę. W 1952 roku, czyli na krótko przed powstaniem Ministerstwa do spraw Wysiedlonych, Uchodźców i Ofiar Wojny, rząd w Bonn zlecił znanemu historykowi z Uniwersytetu Kolońskiego Theodorowi Schiederowi opracowanie uczonej rozprawy o wysiedleniach, w ramach przedwyborczych prób zjednania *Landsmannschaften* (ziomkostw). Świadczyło to o braku wyczucia w ministerstwie, z którego rychło stało się ono znane, gdyż zamówienie takiej pracy historycznej u Schiedera okazało się nadzwyczaj niefortunną decyzją. Otóż Schieder, choć był zdolnym historykiem, to wcześniej, pod koniec lat trzydziestych, należał do grupy członków NSDAP aktywnie zaangażowanych w *Ostforschung*, czyli „wschodnie analizy”. W jej składzie współpracował nad projektem podjętym tuż po podboju Polski, zmierzającym do „wypracowania koniecznych warunków historycznych do «masowej [niemieckiej] polityki osadniczej na wschodnich terytoriach»”[3]. Analizy Schiedera uwzględniono w *Generalplan Ost*, to jest w monstrualnych nazistowskich planach ludobójczego oczyszczenia podbitych ziem i zasiedlenia ich Niemcami[4]. I choć o jego udziale w sporządzaniu tych planów dowiedziano się dopiero po jego śmierci w 1984 roku, to pomysł, aby człowiek, który

zaoferował swą pomoc w planowaniu czystek etnicznych w Polsce, miał niewiele lat później pisać historię uznawaną za oskarżenie – i faktycznie będącą takim oskarżeniem – wymierzone przeciwko jeszcze bardziej bezwzględnym deportacjom, w których sam miał udział, był, ujmując rzecz delikatnie, bardzo niefortunny. Interesujące jest to, że dzieło opracowane przez zespół historyków pod jego przewodnictwem w latach 1954–1961, wydana w ośmiu tomach księga *Dokumentation der Vertreibung der Deutschen aus Ost-Mittleeuropa*, miało sporą wartość naukową. Niektórzy z najzdolniejszych niemieckich historyków powojennego pokolenia, w tym Martin Broszat, Hans Mommsen i Hans-Ulrich Wehler, współpracowali przy tym projekcie, a zespół Schiedera przeprowadził w trakcie prac przygotowawczych wywiady z 11 tysiącami wysiedleńców z różnych regionów środkowoeuropejskich. Ale wypowiedzi zaledwie 700 z tych osób zacytowano w ostatecznej wersji wspomnianego opracowania, a redaktorzy usunęli z treści wszystko, co uznali za nieobiektywne, niepewne i nasączone uprzedzeniami wypowiedzi. Eseje wprowadzające również były, przynajmniej jak na owe czasy, dość wyrafinowane pod względem metodologicznym, skupiały się na czynnikach strukturalnych w odniesieniu do wysiedleń. Niemniej ogólną wartość całego tego przedsięwzięcia obniżały liczne wady, a moralnie naganna wojenna kariera głównego autora zapewne nie była nawet najistotniejszą sprawą. Przemilczano nie tylko przeszłość samego Schiedera; ledwie napomknięto o niechlubnych poczynaniach nazistów podczas wojny w okupowanych krajach środkowoeuropejskich, skąd po wojnie wypędzono Volksdeutschów. Powojenne deportacje zostały przedstawione przez silnie zabarwiony

antykomunistycznym nastawieniem pryzmat, przesadnie uznający radzieckie inicjatywy i wpływ ideologii marksistowskiej za główne czynniki tych deportacji. Charakter relacji i kontaktów Volksdeutschów z ludnością nieniemiecką w latach wojennych potraktowano bardzo pobieżnie lub zupełnie zignorowano. Żydzi pojawiali się w tekście incydentalnie. Niektórzy z młodych wiekiem redaktorów tej książki niewątpliwie nie zdawali sobie sprawy ze wspomnianych niedostatków pracy. Jednak w sumie, choć pełne przerażających szczegółów *Dokumentation* zawiera przejmujący opis okrucieństw towarzyszących wysiedleniom, a w ich prawdziwość nie ma powodu nie wierzyć, to ostateczny rezultat okazał się raczej materiałem propagandowym niż dziełem obiektywnych uczonych.

W samych Niemczech być może nie miało to większego znaczenia. *Dokumentation* nie cieszyła się poczytnością; popyt na tę książkę okazał się, cytując Roberta Moellera, „żałośnie mały”[5]. Jednak poza Niemcami publikacja tego dzieła rozbudziła silne emocje. Ukazała się jego okrojona wersja po angielsku, która mimo że prawdopodobnie nie trafiła do rąk dużego grona zagranicznych czytelników, to została potraktowana jako próba zmobilizowania międzynarodowego poparcia dla rewizjonistycznej zachodnioniemieckiej polityki zagranicznej. Poczynając od połowy lat pięćdziesiątych, pod auspicjami Zachodniej Agencji Prasowej z siedzibą w Poznaniu wydano w odpowiedzi na tę publikację mnóstwo książek i broszur w kilku językach europejskich, dążąc do zdyskredytowania informacji zawartych w *Dokumentation* i podobnych rozprawach; zaprzeczano, że deportacje z Ziem Odzyskanych odbywały się w nieludzkich warunkach (a czasami negowano wręcz same wysiedlenia, twierdząc, że

ludność niemiecka postanowiła masowo „z własnej woli uciec na Zachód”), w próbach podważenia porozumienia poczdamskiego podejmowanych przez niemieckich komentatorów dopatrywano się elementu trwającego od stuleci *Drang nach Osten*, „parcia na Wschód”, zapoczątkowanego przez zakon krzyżacki i trwającego do dziś, chwilowo tylko powstrzymanego przez pokonanie nazizmu[6]. Wątpliwe, czy ta literatura polemiczna poświęcona temu, co eufemistycznie określano mianem niemieckiej „repatriacji”, pisana przez autorów, którym dużo lepiej wychodziło wyszukiwanie nieścisłości w rzeczywiście nieprecyzyjnych szacunkach liczby ofiar śmiertelnych operacji wysiedleńczej, aniżeli przekonująca obrona poczynań polskich władz, znalazła więcej czytelników niż opasłe tomy Schiedera[7]. Ale jeśli nawet nie czytywał ich prawie nikt poza autorami, to owe polemiki zwiastowały retoryczne strategie wykorzystane przez obie strony sporu, gdy sprawa powojennych wysiedleń wyszła na światło dzienne w latach dziewięćdziesiątych XX wieku.

W latach pięćdziesiątych tematyka powiązana z wysiedleniami przewijała się w zachodnioniemieckiej kulturze masowej, lecz nie należała do najważniejszych. W szczególności nurt tzw. *Heimatfilme* („filmów ojczyźnianych”) stanowił metodę zbiorowego upowszechniania i oswajania traumy z nieodległej przeszłości. Jak wskazuje Heide Fehrenbach, *Heimatfilme* stanowiły w latach pięćdziesiątych aż jedną piątą wszystkich niemieckich produkcji kinematograficznych[8]. I choć nie wszystkie te ekranizacje dotyczyły wprost „utraconych ojczyzn” na wschodzie i południu Europy, to etos *Heimatu* okazał się bezpiecznym, wspólnym gruntem, na którym wszyscy „Niemcy”, w tym i ci, którzy znaleźli się w Niemczech dopiero po wojnie, odnajdywali poczucie

tożsamości i patriotyzmu bez poruszania drastycznych czy zakazanych tematów politycznych[9]. Pod tym względem *Heimatfilme* były istotniejsze z uwagi na to, co pomijały, aniżeli z powodu tego, co w nich pokazywano. W filmach tych nie było quasi-dokumentalnych scen przedstawiających „dzikie wypędzenia", życie w polskich lub czechosłowackich obozach internowania, przejazdy w zatłoczonych wagonach towarowych, gwałty i rabunki. Z reguły nie pokazywano także wysiedleńców nieposiadających przed 1937 rokiem niemieckiego obywatelstwa. Typowi bohaterowie *Heimatfilme* o wysiedleniach to mieszkańcy Rzeszy z Prus Wschodnich lub Pomorza, którzy uciekali przed nacierającą Armią Czerwoną w 1945 roku; o ile Sudetendeutsche występowali czasem w drugoplanowych rolach, to Volksdeutschów z Węgier, Jugosławii, Rumunii czy krajów bałtyckich nie sposób się w tych filmach dopatrzyć. Nie widać też samej wojny. Filmy z tego gatunku zazwyczaj przedstawiały w sentymentalnym ujęciu proces utraty wschodnich terytoriów, a ekranowi uchodźcy, choć dręczeni przez traumatyczną przeszłość, odnajdywali szczęście, miłość i sukces materialny za sprawą takich tradycyjnych niemieckich cnót jak pracowitość, rozwijanie więzi społecznych i przywiązanie do swego miejsca na ziemi – mimo że to ostatnie nie było tym, gdzie się urodzili.

Robert Moeller, w paru błyskotliwych i wysoko cenionych krytycznych analizach takich przejawów niemieckiej mentalności jak *Heimatfilme*, historie opisane przez Schiedera, gloryfikowanie jeńców wojennych, którzy powrócili z radzieckiej niewoli w połowie lat pięćdziesiątych, czy też poczytne, pisane w pierwszej osobie dramatyczne relacje z gehenny wygnańców – w rodzaju *Ostepreussisches Tagebuch* autorstwa chirurga

z Królewca, Hansa von Lehndorffa – przekonywał, że uwaga zwracana w Niemczech Zachodnich na niedole przesiedleńców w czasie pierwszej powojennej dekady stanowiła przede wszystkim wyraz „retoryki prześladowanych", której cel sprowadzał się do wykreowania „użytecznej przeszłości" dla kraju „zaludnionego przez niewinnych"[10]. Paradoksalną cechą tych wyrachowanych narracji jest z jednej strony uparte twierdzenie Niemców, że wysiedlenia to temat tabu, z drugiej – nieustanne przywoływanie niemieckich cierpień, które doprowadziło do ich włączenia do mitów założycielskich Republiki Federalnej"[11]. Inni historycy przeciwstawiali się takiej interpretacji lub przynajmniej ją korygowali czy też uściślali. Frank Biess, choć stwierdził stanowczo, że to „niemiecka przemoc była przyczyną […] przemocy wymierzonej w Niemców", wykazywał przy tym, że „historie o prześladowaniach stanowiły problematyczną podstawę do odbudowy cnót męskich i całej powojennej odbudowy kraju"[12]. Skoro w takich opowieściach i historiach nie było „postanowień odkupienia" win, to owe relacje o „kobiecych cierpieniach" stwarzały nikłą sposobność dla wyrażenia nowej, zbiorowej tożsamości – tym bardziej że sama niemieckość ludzi napływających ze wschodu i południa często bywała negowana w obydwu powojennych państwach niemieckich przez miejscową ludność[13]. Również Svenja Goltermann podkreśliła to, że trzeba mieć na uwadze niedawną traumę, która była udziałem większości Niemców – w latach czterdziestych tylko nieliczni z nich nie zetknęli się, jako żołnierze, wygnańcy czy cywile, z alianckimi bombardowaniami, ze śmiercią albo przynajmniej z ryzykiem męczeńskiej utraty życia – trzeba mieć na względzie, gdy wyciąga się wnioski na temat charakteru niemieckiego społeczeństwa w latach

pięćdziesiątych na podstawie przemilczeń w jego kulturze[14]. Ludzka psychika nie radzi sobie zbyt łatwo ani szybko ze wstrząsającymi wydarzeniami, a starając się jakoś je „przetrawić”, zazwyczaj przywiązuje o wiele większą wagę do własnych cierpień niż do nieszczęść innych ludzi. I choć nie powinno to być usprawiedliwieniem niechęci wielu Niemców do krytycznej oceny swej współodpowiedzialności za gigantyczne okrucieństwa, jakie ich kraj popełniał w sąsiednich, okupowanych państwach, to pozostaje faktem, iż niewiele społeczeństw reaguje na katastrofy, nawet (a może przede wszystkim) na takie, które same na siebie ściągnęły, przyznaniem się do własnych grzechów, czego żądały – z całkowicie zrozumiałych powodów – ofiary Niemiec i które chcieliby usłyszeć od Niemców współcześni historycy.

Bez względu na to, czy produkcje z nurtu *Heimatfilme* rzeczywiście zasługują na interpretację przypisywaną im przez Moellera i innych, to nie ma wątpliwości, że wraz z wkroczeniem w dorosłość w latach sześćdziesiątych pierwszego pokolenia Niemców, którzy nie byli bezpośrednio uwikłani w wojnę, powszechne nastawienie do wysiedleńców stało się wyraźnie bardziej obojętne. Nawet trwająca między rządami w Bonn i Warszawie – i pozostającymi na usługach tych rządów historykami w obu tych krajach – wojna na słowa straciła na intensywności pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych w rezultacie nowej polityki wschodniej Willy’ego Brandta i faktycznym uznaniem przez RFN powojennych granic, jednak dyskusje o prześladowaniach Niemców w okresie bezpośrednio po II wojnie światowej stały się trudniejsze w samych Niemczech. Generacja z lat sześćdziesiątych, coraz bardziej skłonna uważać poprzednie pokolenia za „wspólników nazistów”, zaczęła

stawiać ostre i osobiste pytania już nie tylko o polityczną, ale także o moralną odpowiedzialność za zbrodnie popełnione przez Niemcy i w imieniu Niemiec, przede wszystkim dotyczące kwestii Holokaustu. W rezultacie doszło do toczących się przez dekadę zmagań między, jak to określił Stefan Berger, „frakcją prześladowanych (podkreślającą cierpienia Niemców) a frakcją poszukiwaczy sprawców (uwypuklającą wojenne winy Niemców)”. W konfrontacji tej w ciągu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wyraźną przewagę zaczęła uzyskiwać druga z tych grup, gdyż historycy i intelektualiści powojennego pokolenia „jęli badać zwykłych Niemców i ich udzielane na co dzień poparcie dla nieludzkiego i zbrodniczego reżimu” nazistowskiego[15]. Jeśli dysputy nad wysiedleniami nie były, jak przekonuje Moeller, niemożliwe w latach pięćdziesiątych, to na pewno dwadzieścia lat później społeczeństwa obu państw niemieckich nie miały ochoty się w nie angażować, a nawet ich słuchać. W najlepszym razie, jak wnikliwie zauważył Rainer Schulze, „zakładano i prawie oczekiwano, że w trakcie pomyślnego osiedlania się w powojennych Niemczech uchodźcy i wysiedleńcy «wyzbędą się» nie tylko swojej dawnej zbiorowej tożsamości i mentalności, lecz również wymażą z pamięci określone przeżycia i osobiste wspomnienia, przyniesione ze Wschodu, i przez to upodobnią się do miejscowych Niemców”[16]. Gdyby tak właśnie uczynili, to pewne aspekty ich historii mogłyby zostać uznane przez opinię publiczną i władze państwowe. Ale nie oznaczało to jeszcze, że społeczeństwo chciało bądź było gotowe słuchać tych fragmentów owych historii, które burzyły wizerunek narodowego etosu, zwłaszcza po tym, jak utworzenie „wielkiej koalicji” między CDU a socjaldemokratami w 1966 roku doprowadziło do

wyraźnej zmiany w stosunkach RFN z państwami bloku wschodniego. Do pierwszych zwiastunów tej zmiany należała podjęta przez koalicję w 1967 roku decyzja o zaniechaniu publikacji nowego wydania *Dokumentation der Vertreibung* oraz rezygnacji z opublikowania tysięcy kolejnych relacji tego rodzaju, aby nie zniweczyć możliwości ocieplenia relacji z Warszawą i Pragą[17]. Według Erika Langenbachera znamionowało to początek jeszcze poważniejszego rozziewu, na płaszczyźnie kulturalnej i politycznej, między „postępowymi" ugrupowaniami w RFN a społecznością przesiedleńców.

> Socjaldemokraci i lewica opuścili, a niebawem zaczęli wręcz demonizować organizacje wysiedlonych, co było ceną za pojednanie i normalizację stosunków z Europą Wschodnią. […] Rząd [Brandta] rozwiązał ministerstwo do spraw wysiedlonych, obciął dotacje na działalność wysiedleńców, a w 1974 roku odmówił opublikowania raportu o zbrodniach popełnionych na Niemcach w trakcie [powojennych] deportacji. W organie prasowym SPD stwierdzono, że taka publikacja „pomogłaby tylko tutejszym nazistom". Od tej pory lewica zrównywała wysiedleńców z rewanżystami, radykalną prawicą i neonazistami[18].

W krajach anglojęzycznych oficjalne przekazy o charakterze i znaczeniu II wojny światowej oraz okresu bezpośrednio po niej pozostawiły jeszcze mniej miejsca w powszechnej świadomości na wiedzę, a tym bardziej na dyskusje o wysiedleniach Niemców. Nowe, powojenne pokolenie nie przechowało żadnych wspomnień o tych deportacjach, o których prawie nie ma mowy w opracowaniach historycznych czy audycjach i programach w mediach, poświęconych tematyce wojennej.

Większego zainteresowania tą kwestią nie było wtedy ani później. Martha Kent, więziona jako dziecko w obozie w Potulicach, przekonała się, będąc studentką na ostatnim roku psychologii na Uniwersytecie Michigan na początku lat sześćdziesiątych, że nawet w kosmopolitycznym środowisku akademickim obraz wojennych Niemiec odmienny od takiego, który przedstawiał Niemców jako sprawców, a nie ofiary, wywoływał u Amerykanów silny dyskomfort. Czasami związane z tą sprawą niepokój i zażenowanie wywoływały niegrzeczne, stereotypowe reakcje, a jeden z profesorów „witał mnie podszytym kpiną *Sieg Heil!*". Najczęściej jednak przekonywała się, że jakiekolwiek wspominanie w Stanach Zjednoczonych o jej przeżyciach było interpretowane przez słuchaczy wyłącznie jako próba podważenia prawdy o cierpieniach „prawdziwych" ofiar II wojny światowej.

> Ledwie mogłam napomykać o swoim dzieciństwie w [polskiej] niewoli. Sporadycznie, gdy temat ten już się wyłonił, ludzie powiadali, że Potulice to „nic takiego". Sama wzmianka o moim uwięzieniu tam prowokowała wypowiedzi o tym, jakim to horrorem i koszmarem były zbrodnie ery nazistowskiej. Tego właśnie powinnam była doświadczyć, mówili niektórzy. […] W rzeczywistości, [twierdzili], mogę mówić o szczęściu.

W efekcie narzuconego jej w nowej amerykańskiej ojczyźnie towarzyskiego przymusu przemilczania drażliwych spraw z przeszłości, Kent uległa rodzajowi psychicznego urazu, dość typowego dla osób, które przeszły w dzieciństwie silny wstrząs, a w dorosłości wspomnienie tego traumatycznego wydarzenia jest tłumione bądź wypierane. „Około 1985 roku nie byłam w stanie

wspomnieć o sobie nawet słowem. Nie potrafiłam o sobie mówić ani pisać”[19].

Tymczasem w Niemczech dzieci wysiedleńców poddawano podobnym naciskom, narzucając im na całe życie „obowiązek” milczenia. O ile w pierwszych latach powojennych wyrażano powszechnie obawy dotyczące możliwego ukształtowania się „aspołecznej” i cynicznej generacji młodocianych przestępców, o tyle ówczesne badania doprowadziły do ustalenia, że wedle najbardziej obiektywnych kryteriów psychologicznych dzieci wygnańców niemal się nie odróżniały od swoich rówieśników urodzonych w Niemczech. Niektóre autorytety, przede wszystkim Karl Valentin Müller, antropolog, po wojnie sam wypędzony ze swojego domu w Pradze, przypisywał tę pozornie niezwykłą odporność psychiczną młodocianych wygnańców darwinowskiemu mechanizmowi powodującemu, że w „walce o byt” przetrwanie zapewniają sobie „najsprawniejsi” czy tej „najlepiej przystosowani”. W rezultacie do lat pięćdziesiątych kwestia dzieci przesiedleńców przestała już budzić niepokój i wyszła z pola widzenia naukowców, natomiast oba państwa niemieckie gratulowały sobie sukcesu swoich działań integracyjnych. Oznaki tego, co później określano mianem „pourazowych zaburzeń stresowych”, pozostawały więc nierozpoznane, a do czasu, gdy niektóre z tych dzieci wkroczyły w wiek dorosły i potrafiły radzić sobie z trudnymi wspomnieniami, niemal zawsze tłumionymi – zazwyczaj po to, by nie dokładać psychologicznego brzemienia równie okaleczonym psychicznie rodzicom czy opiekunom – zetknęły się one ze szczególną obojętnością otoczenia. Wedle słów Volkera Ackermanna, „z perspektywy «roku 1968» wysiedlenia były zasłużoną karą za «rok 1933»”[20].

Żądanie, aby owe młode ofiary deportacji zachowywały milczenie, wymuszano zatem na różne subtelne i niezbyt delikatne sposoby, by można było uchylić się od odpowiedzi na inne, choć wzbudzające równie silny niepokój pytania, których nowe pokolenie Niemców stanowczo nie chciało zadawać.

Niemal tak samo był niezauważany w owym okresie podobny proces narodowych rozliczeń, trwający także w Czechosłowacji i Polsce, który mimo że punkt wyjścia stanowiły zbliżone przesłanki, zaczął zmierzać w innym kierunku. Po stłumieniu „praskiej wiosny” w 1968 roku i ostatecznym rozwianiu nadziei na to, że w ramach radzieckiego imperium możliwy był „socjalizm z ludzką twarzą”, młodzi czechosłowaccy intelektualiści i historycy, często powiązani z dysydenckim ruchem Karty 77, zaczęli rozważać kwestię, jak ich kraj mógł tak łatwo poddać się kolejnej obcej totalitarnej dominacji wkrótce po oswobodzeniu się z pęt poprzedniej. Ważny i zmuszający do myślenia udział w tym sporze miała seria „Tez na temat przesiedlenia czechosłowackich Niemców”, opublikowanych nielegalnie przez słowackiego historyka Jána Mlynárika, ukrywającego się pod pseudonimem „Danubius” w 1977 roku. W opinii Mlynárika deportacje Niemców miały mniej wspólnego z czechosłowackim bezpieczeństwem czy jednością kraju niż z kompleksami czechosłowackiego rządu i narodu wynikającymi z niezbyt chlubnych dziejów ich ojczyzny w okresie od Monachium w 1938 roku do końca wojny w Europie. Wedle tej interpretacji „bezsensowna” powojenna napaść na Sudetendeutschów była wytłumaczalna w kategoriach pragnień „zrekompensowania własnej [wojennej] bierności bądź nawet kolaboracji, przez utożsamianie się ze zwycięzcami oraz dokonany poniewczasie «heroiczny

wyczyn» wymierzony przeciwko bezbronnym”[21]. To, jak sugerował Mlynárik, było właśnie „grzechem pierworodnym” III Republiki, czyniącym to państwo tak podatne na podporządkowanie się komunistycznej i radzieckiej supremacji. Stanowiło to również moralne wyzwanie dla późniejszego pokolenia dysydentów, które paradoksalnie domagało się od swojego rządu bezwarunkowego poszanowania praw człowieka, czego wszak odmówiono wysiedlanym w 1945 i 1946 roku.

> Nawoływania do „likwidacji” Niemców były wezwaniem do wypełnienia patriotycznej powinności: publiczne egzekucje, podpalanie ludzi żywcem, rozstrzeliwanie Niemców w biały dzień na ulicach czeskich i morawskich miasteczek, a w końcu i nieludzkie wyrzucanie ludzi z domów w kolejnych latach: wszystko to było masowym, praktycznym, codziennym ćwiczeniem się w wyrażaniu pogardy dla idei, wedle której człowiek, jego godność i prawa to najcenniejsza rzecz na tym świecie. […] Naród postępujący okrutnie z innymi sam zatruje się popełnionymi zbrodniami[22].

Rewizjonistyczne tezy Mlynárika rozpętały w Czechosłowacji istną burzę, a próba uwolnienia Sudetendeutschów z jarzma zbiorowej winy stanowiły paradoksalny kontrapunkt dla poczynań współczesnych Mlynárikowi Niemców z RFN, którzy dokładnie w tym samym czasie przypisywali ją swoim ziomkom wygnanym z Kraju Sudeckiego[23]. Ale ten kij wetknięty w mrowisko okazał się zaledwie wstępem do ogólniejszej krytyki moralnego upadku, który w odczuciu Mlynárika i jego zwolenników, trwał od chwili odwrócenia się od republikańskich ideałów Masaryka. Czechosłowacki

komunizm, system ekonomiczny systematycznie wywłaszczający i zubażający ludzi, nie był li tylko „importem” ze Związku Radzieckiego, ale i logicznym skutkiem odrzucenia fundamentalnych wartości przez naród czechosłowacki w czasie powiązanej z wysiedleniami „gorączki złota” z 1945 roku.

> Wysiedlenia te oraz ich konsekwencje nauczyły naród braku poszanowania dla wartości materialnych, dla zasady nienaruszalności cudzej własności – cnót rozwijanych w ciągu wielu pokoleń. […] Nauczyły [naród] gigantycznego złodziejstwa. […] [Ta] kradzież cudzego mienia […] tkwiła swymi korzeniami nie tylko w zaszczepieniu socjalizmu, lecz była obecna już wcześniej, od momentu bezprecedensowego ograbienia i złupienia trzech milionów Niemców[24].

W Polsce słyszało się podobne, choć znacznie mniej donośne głosy krytyczne; najważniejszym był esej dysydenta i późniejszego senatora Jana Józefa Lipskiego z 1981 roku, a o treści tej rozprawy mówił wiele już jej tytuł: *Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy. Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków*[25]. Jednak, jak zauważył Norman Naimark, „w przypadku większości Polaków, tak jak i Niemców, okres bezpośrednio po wojnie został poświęcony na wymazywanie z pamięci własnych współwin za koszmar niedawnej przeszłości. […] Skrajne okrucieństwo czasów wojny, drobne kolaborowanie, współdziałanie Polaków z okupantami i obojętność większości w obliczu mordowania Żydów – wiele tych przypadków, kiedy chęć przeżycia wzięła górę nad moralnością – były wojennymi zmorami, zamrożonymi głęboko w psychice”[26]. Nic dziwnego zatem, że w Polsce inicjatywa wyjścia zza obronnego muru narodowej

zmitologizowanej historii nie została podjęta, jak w Czechosłowacji, przez intelektualistów, lecz przez Kościół. Częściowo w odpowiedzi na pojednawcze oświadczenie dotyczące powojennych wysiedleń i polsko-niemieckiej granicy, wydane przez niemiecki Kościół protestancki, katoliccy biskupi z Polski, pod wpływem między innymi Karola Wojtyły z Krakowa, czyli późniejszego papieża Jana Pawła II, w 1965 roku wystosowali list do niemieckiego episkopatu, w którym wzmiankowano niejasno o deportacjach i w którym znalazły się słowa: „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”[27]. I choć w samej Polsce zarzucano biskupom „niepatriotyczną postawę i działanie sprzeczne z interesami Polski”[28], to wspomniane przyznanie się do dawnych błędów nie zawierało żadnych refleksji na temat nowej powojennej granicy na Odrze i Nysie[29]. Sam biskup Wojtyła miał zwyczaj mówienia o zachodnim pograniczu jako o Ziemiach Odzyskanych – a nazwa ta, co znamienne, została po raz pierwszy użyta przez papieża Jana XXIII w 1962 roku[30]. Nie oznacza to jednak, że pojednawczy gest polskich biskupów nie był ważny; w istocie przyczynił się do częściowej odwilży w stosunkach polsko-niemieckich, umożliwiającej Brandtowi podjęcie nowej *Ostpolitik* (polityki wschodniej). Mimo to, jak przypomina Paweł Lutomski, w Polsce „ideologiczny zakaz wszelkich otwartych dyskusji o prawomocności i charakterze wysiedleń Niemców i Polaków [zza Bugu] w praktyce obowiązywał aż do zmian, które zaszły w 1989 roku”[31]. Dopiero po zjednoczeniu Niemiec i zawarciu „ostatecznych” porozumień z sąsiednimi państwami w następnym roku pojawiła się realna możliwość świeżego zbadania tematów, o których wcześniej milczano. Jasne oświadczenie Helmuta Kohla o jego szczerym pragnieniu, aby „Polacy żyli

w bezpiecznych granicach państwowych”, i złożone przezeń zapewnienie, że „nie będzie Czwartej Rzeszy”, w ogromnej mierze wpłynęło na zmianę panujących nastrojów. Godnym odnotowania przejawem tej nowej atmosfery było podjęcie w latach dziewięćdziesiątych wspólnego projektu badawczego, poświęconego przyczynom i skutkom wysiedleń, w którego ramach niemieccy historycy współpracowali ze swoimi polskimi i czeskimi kolegami.

Z końcem XX wieku lody najwyraźniej zaczęły topnieć. W rezolucji wydanej w 1990 roku przez węgierski parlament określono wydalenie Volksdeutschów z tego kraju mianem „niesprawiedliwego”. Choć cynicy upatrywali w inicjatywie Węgier próbę ponownego zgłoszenia roszczeń wobec swych czeskich i słowackich sąsiadów związanych z wysiedleniem Węgrów w 1946 roku, to wspomniana rezolucja faktycznie znacznie przyczyniła się do polepszenia wzajemnych relacji Budapesztu i Berlina[32]. W tym samym miesiącu Václav Havel wypowiedział się na temat wysiedleń w jednym ze swoich pierwszych oficjalnych wystąpień w charakterze pierwszego postkomunistycznego prezydenta Czechosłowacji, a przemówienie to zostało powszechnie uznane za przełomowe w stosunkach Pragi z Niemcami. Oceniając krytycznie sposób, w jaki potraktowano etnicznych Niemców w 1945 roku, Havel przyznał słowami uderzająco podobnymi do tych użytych niegdyś przez jego kolegę z Karty 77 Jána Mlynárika, że „zamiast osądzić tych, którzy zdradzili swój naród, wygnaliśmy ich z kraju, wydając wyrok nieznany wcześniej w naszym sądownictwie. To nie była kara, to była zemsta”. Oświadczenie Havla uznano niemal wszędzie za oficjalne przeprosiny złożone wysiedlonym i od tamtej pory prawie zawsze tak się je określa. Jednak wedle samego czeskiego prezydenta przeprosinami ono nie było ani nie miało być.

Jak Havel zauważył później: „Użyłem dużo bardziej dyplomatycznego języka i nie przepraszałem wprost za nic, chociażby z tego powodu, że nikt mnie do tego nie upoważnił”[33]. Uważna analiza treści tego wystąpienia potwierdza zapewnienie Havla – świadczy o tym zwłaszcza uwaga o „uzasadnionym, choć przesadnym wzburzeniu” czechosłowackiego narodu, czyli zwrot sugerujący, że wina polegała na tym, iż winowajcom nie urządzono należytych procesów przed wygnaniem ich, a także stanowcze twierdzenie Havla, że to naziści byli odpowiedzialni za zaszczepienie „bakcyla zła” do czechosłowackiej polityki. Całe to nieporozumienie miało długotrwałe i niefortunne skutki, gdyż skłoniło zagranicznych, a szczególnie niemieckich obserwatorów do dostrzegania zmiany nastawienia Czechów i Słowaków do kwestii dawnych wysiedleń, podczas gdy w istocie do takiej zmiany nie doszło.

W związku z tym, kiedy po tzw. aksamitnym rozwodzie, czyli rozpadzie Czechosłowacji na Czechy i Słowację w 1993 roku, nowa Republika Czeska nawiązała wstępne rozmowy na temat przystąpienia do Unii Europejskiej, rząd Helmuta Kohla był skonsternowany pozornym wycofaniem się czeskiego prezydenta z wcześniejszych deklaracji, tym bardziej że kontrastowało to wyraźnie z bardziej pojednawczą postawą Polaków, o której świadczyło wystąpienie polskiego ministra spraw zagranicznych Władysława Bartoszewskiego na połączonej sesji obu izb parlamentu niemieckiego (Bundestagu i Bundesratu)[34]. Przemówienie Havla w lutym 1995 roku, w którym uznał „fatalne zaniedbania ze strony większości naszych etnicznych niemieckich obywateli” za rzeczywistą przyczynę ich późniejszego wypędzenia, różniło się w tonie jeszcze bardziej od tego, co Havel stwierdził pięć lat

wcześniej. Gdy niebawem czeski Trybunał Konstytucyjny wydał orzeczenie w sprawie Dreithalera, wyrokując, że dekrety Beneša pozostały w mocy, związane z tym spięcia doprowadziły do poważnego i postępującego pogorszenia stosunków między Czechami a Niemcami. Czesko-niemiecka deklaracja ze stycznia 1997 roku, w której obydwie strony „ubolewały” z powodu cierpień wyrządzonych sobie nawzajem podczas wojny i tuż po niej, była próbą powstrzymania tej tendencji za sprawą ostrożnego obejścia tematu, będącego dla obu krajów prawdziwym polem minowym. O ile aspektem tej sprawy, który trafił na czołówki gazet w obydwu tych krajach, było wyrażenie przez zainteresowane rządy wzajemnego „żalu” z powodu cierpień obu narodów w latach trzydziestych i czterdziestych, o tyle baczna lektura tekstu rzeczonego porozumienia, w którym czyniono maksymalny użytek z dwuznacznych sformułowań, podsuwała refleksję, iż czeski rząd ubolewał raczej z powodu „ekscesów”, do jakich doszło w rezultacie wysiedleń, a nie z powodu samej deportacji Niemców. Jednak nawet taka interpretacja była zapewne nadmiernym ustępstwem dla narodu czeskiego, który wedle sondaży, popierał w zaledwie 49 procentach ową deklarację[35]. W istocie rok wcześniej 86 procent respondentów w innej ankiecie stwierdziło, że „nie głosowaliby na partię popierającą przepraszanie Niemców sudeckich za wysiedlenia w okresie powojennym”[36].

Faktycznie wraz ze schyłkiem lat dziewięćdziesiątych stawało się jasne, że jeśli uzasadnione było odnoszące się do niemieckiego narodu stwierdzenie, iż nie uporał się należycie ze swoją wojenną przeszłością, to w równym stopniu dotyczyło to też ludności krajów, z których Niemców wysiedlono. Głęboko zakorzenione przekonanie o niemieckiej odpowiedzialności za tę wojnę i za

wydarzenia, które za sobą pociągnęła, nie zanikło w środkowej Europie wraz z upadkiem komunizmu. Jest mało prawdopodobne, że naciskając tak mocno na sąsiednie kraje, aby wyraziły oficjalny żal z powodu powojennych deportacji, rząd Kohla w pełni pojmował, jak głęboko zakorzeniły się w narodowych etosach krajów środkowoeuropejskich historie o wojennych ofiarach, męczeństwie i usprawiedliwionym powojennym odwecie – etosach podtrzymywanych przez rządy tych państw, niezależnie od komunizmu. W Polsce, w jeszcze większym stopniu niż w Republice Czeskiej i Słowacji, kwestia zbiorowej winy Niemców spleciona była z półwieczem oficjalnego promowania tzw. myśli zachodniej oraz z „polskim narodowym paradygmatem mitologicznym", który „oferował Polakom tożsamość opartą na wspólnych cierpieniach […] i równocześnie podsuwał model narodowej solidarności, który mógł zostać wykorzystany do przezwyciężania trudności związanych z odbudową państwa polskiego i budową socjalizmu"[37]. Trwałość tych idei, nawet po odrzuceniu kolektywistycznego panaceum, które takie koncepcje miały w zamierzeniu wzmacniać, stanowiła niemiłą niespodziankę dla nowej socjaldemokratycznej administracji Gerharda Schrödera. W 1998 roku stanęła ona w obliczu bardziej bojowej postawy rządów Polski i Czech – znany z gaf czeski premier Miloš Zeman doprowadził do jeszcze większej eskalacji napięcia za sprawą serii gwałtownych publicznych oświadczeń o tym, że Sudetendeutsche byli „zdrajcami" i „niemiecką piątą kolumną" – a chadeckiej opozycji w Niemczech wyraźnie pilno było do uczynienia z nierozwiązanych kwestii historycznych elementu swojego programu wyborczego.

Pomimo czynionych przez Schrödera prób załagodzenia gorączkowej polemiki – w 1999 roku zapewnił on Pragę, że jego rząd ani nie dopuści, aby sprawa sudecka stanęła na przeszkodzie przyjęciu Czech do UE, ani też nie poprze roszczeń wysiedleńców o zwrot skonfiskowanego mienia lub uzyskanie odszkodowania za nie, konflikt wciąż się nasilał. Częściowo wynikało to z rozbudzonej na nowo czeskiej drażliwości z powodu tej kwestii, w obliczu zjednoczonych na nowo, silnych i coraz bardziej asertywnych Niemiec. Czeską niepewność, jak stwierdzili Karl Cordell i Stefan Wolff, „w pewnej mierze […] można zrozumieć, po prostu patrząc na mapę [Europy]. Republika Czeska jest mniejsza od niektórych niemieckich landów[38]”. Obawy te nasilone były przez poczucie, że sąsiednie kraje „zmówiły się” z Niemcami przeciwko Pradze. Łatwo zatem się domyślić, że wystąpienia węgierskich polityków w 2002 roku, domagających się od Czechów unieważnienia dekretów Beneša, które zalegalizowały w 1945 roku konfiskaty mienia Węgrów oraz Niemców, a także opinie wyrażane przez hałaśliwego i nieodpowiedzialnego prawicowego premiera austriackiej Karyntii Jörga Haidera tylko skłoniły parlament w Pradze do potwierdzenia nienaruszalności rzeczonych dekretów.

Kroplą, która przelała czarę goryczy, z punktu widzenia czeskiej i polskiej opinii publicznej, było oświadczenie złożone w 2003 roku przez Erikę Steinbach, chadecką deputowaną do Bundestagu i przewodniczącą Bund der Vertriebenen (Związku Wypędzonych). Stwierdziła ona, że w Berlinie zostanie otwarte Centrum przeciwko Wypędzeniom, zajmujące się problemem wymuszonych migracji we współczesnym świecie. W tym celu Steinbach już w 2000 roku założyła specjalną fundację, lecz nie uzyskała na nią pieniędzy ze środków publicznych. Mimo to

nie wycofała się z tej inicjatywy, korzystając z prywatnych dotacji. I znowu nastąpiło to w niefortunnym czasie. Od chwili sporów wokół dekretów Beneša toczących się w połowie lat dziewięćdziesiątych, niemieccy politycy i komentatorzy nie ukrywali swojej opinii, że rządy i narody Polski i Czech nie dotrzymywały kroku Niemcom w gotowości do zmierzenia się z kłopotliwymi aspektami swej niedawnej przeszłości, a teraz postanowiły to nadrobić – a opinie takie wywoływały w obu zainteresowanych słowiańskich krajach silną niechęć[39]. W Polsce oprócz rozdrażnienia doszedł do głosu niepokój, kiedy w 2001 roku powstał trust założony przez wysiedleńców, tzw. Powiernictwo Pruskie (*Preussische Treuhand*), w celu dochodzenia w europejskich sądach praw majątkowych osób wysiedlonych. Publikacja w następnym roku dwóch poczytnych książek – powieści Güntera Grassa *Idąc rakiem* (*Im Krebsgang*), w której autor odniósł się do losu wysiedlonych aluzyjnie, acz z sympatią, oraz *Der Brand* Jörga Friedricha, oskarżycielskiej historii alianckiej kampanii bombardowań strategicznych przeciwko niemieckim miastom podczas II wojny światowej – zapowiadało zdaniem wielu zagranicznych obserwatorów ponowne przywołanie obrazu niewinnych i cierpiących wojennych Niemiec oraz zobojętnienie na odczucia tych, którzy z rąk Niemców ucierpieli. Oświadczenie Steinbach, a także wiadomość, że Centrum przeciwko Wypędzeniom może zostać zlokalizowane w pobliżu Pomnika Holokaustu w Berlinie, wydały się wielu Polakom i Czechom, podminowanym przez całą tę historię, ostatecznym potwierdzeniem, że wpływowi niemieccy politycy zamierzali się posłużyć kwestią wysiedleń do wybielenia mrocznych wojennych dziejów swego kraju, a także do wysunięcia

finansowych, a może nawet terytorialnych roszczeń przeciw ofiarom nazistowskich Niemiec.

Reakcją na to wszystko była gwałtowna fala krytyki ze strony Polski i Czech pod adresem samej Steinbach i niemieckiego rządu. Filozof Leszek Kołakowski, który jako dziecko został przymusowo wysiedlony i był dręczony przez niemieckich żołnierzy po napaści Wehrmachtu na Polskę w 1939 roku, zauważył kwaśno, że w wojennych dziejach jego kraju „rabunki i deportacje [dokonywane przez Niemców] nie zasługiwały na upamiętnienie; były tylko wstępem do okupacji”[40]. Marek Edelman, ostatni z żyjących przywódców powstania w getcie warszawskim w 1943 roku, określił inicjatywę utworzenia wspomnianego Centrum mianem „nacjonalistycznej i szowinistycznej”, która była jedynie „zawoalowanym powrotem do idei Drang nach Osten [„parcia na Wschód”]”[41]. Wydawany w Warszawie tygodnik „Wprost” zamieścił na okładce fotomontaż z wizerunkiem Steinbach, w mundurze i wojskowych butach oraz z opaską ze swastyką, dosiadającej uległego kanclerza Schrödera[42]. Echa sporu rozlegały się przez następne lata, zwłaszcza po tym, jak pojednawczy polski prezydent Aleksander Kwaśniewski, pewnego razu zaproszony jako gość honorowy na mityng niemieckich wysiedleńców w Elblągu, został zastąpiony w 2005 roku przez populistycznego, znanego z pewnej germanofobii Lecha Kaczyńskiego[43]. W trakcie swojej kampanii wyborczej Kaczyński obiecywał domagać się od Niemiec odszkodowań w wysokości 54 miliardów euro za poniesione podczas wojny przez Polskę straty. Dwa lata później prezydencka partia, Prawo i Sprawiedliwość, zgłosiła w Sejmie rezolucję głoszącą, że „odpowiedzialność [za wojnę] musi ponieść cały naród niemiecki, którego zdecydowana większość popierała hitleryzm i godziła się

z rządami Hitlera”[44]. W samych Niemczech Micha Brumlik z Uniwersytetu Frankfurckiego oznajmił, że zwolennicy zorganizowania Centrum przeciwko Wypędzeniom grzeszyli „rozmyślną naiwnością historyczną, przyjmując, że po roku 1943 możliwe było snucie planów dotyczących okresu powojennego, z uwzględnieniem praw człowieka”[45].

W ostatnich latach retoryka odnosząca się do wysiedleń nieco się uspokoiła, choć przy tym utrzymała się na poziomie wzajemnej wrogości i podejrzliwości. Chadecki rząd Angeli Merkel, która objęła władzę w 2005 roku, początkowo na podstawie koalicyjnego porozumienia z SPD Gerharda Schrödera, udzielił pewnego poparcia projektowi Centrum przeciwko Wypędzeniom. Merkel, urodzona w NRD, gdzie samo wspominanie o wysiedleniach w latach bezpośrednio po wojnie było wykluczone, odniosła się z wyrozumiałością do argumentów wysiedleńców, że ich głosy nazbyt długo były lekceważone. W efekcie w manifeście kolacji CDU/SPD ogłoszono pragnienie obu partii ujrzenia w Berlinie jakiegoś „widocznego znaku” upamiętnienia wysiedleń. Równocześnie Merkel podkreśliła, że zaakceptowałaby tylko taki rodzaj pomnika, zaproponowany przez Centrum, jaki „upamiętniałby nie tylko cierpienia niemieckich wygnańców i uchodźców, ale także innych, w tym oczywiście i polskich wysiedleńców, przy czym jedno jest szczególnie jasne: że nie oznaczałby reinterpretacji historii przez Niemcy”[46]. Pod koniec 2008 roku jej rząd zgodził się na sfinansowanie tego projektu z funduszy publicznych i powierzenie nadzoru nad jego realizacją Fundacji Niemieckiego Muzeum Historycznego – prawdopodobnie po to, by nie wystawiać międzynarodowej reputacji Niemiec, związanej do pewnego stopnia z firmowaniem tej inicjatywy, na ryzyko konsekwencji

pochopnych wypowiedzi lub działań organizacji przesiedleńców. Centrum, jak postanowiono, winno stanąć na miejscu dawnego kolejowego Dworca Anhalckiego we wschodniej części centrum Berlina, czyli tam, dokąd przybyło wiele tysięcy deportowanych z Polski w 1945 roku.

Jeśli owa polemika z ostatnich lat przyniosła jakąś korzyść, to taką, że „reszta społeczeństwa niemieckiego" przestała widzieć w wysiedleńcach „coraz wyraźniej wstecznków, a nawet kryptofaszystów"[47]. Pojawiły się pozytywne oznaki, że kwestia powojennych wysiedleń Niemców, która niegdyś interesowała tylko niemiecką prawicę, przestaje być rodzajem politycznej piłki przerzucanej przez partie. Wiele prominentnych postaci niemieckiej lewicy, w tym Peter Glotz, Daniel Cohn-Bendit czy Helga Hirsch, opowiedziało się niedwuznacznie za Centrum przeciwko Wypędzeniom, a czołowi politycy, na przykład Otto Schily z socjaldemokracji i Antje Vollmar z Partii Zielonych, przyznali, że oni sami i inni Niemcy, którzy „odwracali wzrok od zbrodniczych wysiedleń" pod wpływem odczuwanego dyskomfortu lub poczucia, iż skala niemieckich wojennych przestępstw czyniła je nikłymi, nie oddali sprawiedliwości samym deportowanym i ich miejscu w historii[48]. Wycofanie się z czynnej działalności politycznej we wrześniu 2010 roku Eriki Steinbach – postaci kontrowersyjnej, bez której wszak nie doszłoby do powstania Centrum przeciwko Wypędzeniom – może być momentem, w którym kwestia pamięci o tym dziejowym epizodzie utraci wreszcie charakter polityczny i zostanie poważnie potraktowana, tak jak na to zasługuje, przez historyków i uczonych.

Jak stwierdził ponad pół wieku temu Hans Rothfels – sam w sobie symbolizujący złożoność i paradoks procesu wysiedleń ludności – jedyny kontekst, w którym może

zostać opowiedziana historia epoki masowych deportacji, „sprowadza się do jej przerażającej totalności". Rothfels, wybitny historyk pochodzenia żydowskiego, musiał się salwować ucieczką z Niemiec po aresztowaniu go podczas *Kristallnacht* („kryształowej nocy") w 1938 roku; 15 lat później, powróciwszy z wygnania, miał zaangażować swoje zdolności do pracy nad projektem *Dokumentation der Vertreibung*. Nie należy lekceważyć obaw licznych komentatorów, niemieckich i zagranicznych, że Centrum przeciwko Wypędzeniom może łatwo przerodzić się w użalanie się Niemców nad sobą albo stanowić archiwum wyrwanych z kontekstu historii o zbrodniczej przemocy. Nie ma logicznych czy moralnych podstaw do wynoszenia historii powojennych wysiedleń ponad wciąż niedostatecznie upamiętnione masowe deportacje Polaków i innych *Untermenschen* („podludzi") w latach wojny, a tym bardziej do przedkładania jej ponad pamięć o losach milionów Żydów, Sowietów i przedstawicieli innych nacji, którzy zginęli w trakcie obłąkańczych działań ludobójczych. Upamiętnianie czy historyczna analiza wysiedleń, podobnie jak innych wielkich tragedii minionego okresu, powinny się koncentrować na ich czysto ludzkim wymiarze, gdyż w latach 1939–1945 oraz 1945–1947 człowiek został sprowadzony do kategorii abstraktu, a nie śmiertelnej, podatnej na cierpienia istoty. Jak słusznie stwierdził Stefan Wolff, ten „spór powinien zasadniczo wiązać się z pojednaniem i przebaczeniem"[49]. A im bardziej spory na ten temat zbliżają się do takiego ideału i im energiczniej przeciwstawiają się „kulturze wzniesionej na wzajemnych oskarżeniach i jednostronnej interpretacji przeszłości", tym bardziej jest prawdopodobne, że sprawiedliwość zostanie oddana tym wszystkim, którzy w trakcie wojny i już po niej, byli traktowani przez rządy narzucające im swoją wolę nie

jako ludzie „wolni, równi pod względem godności i praw”, a tylko przedmiotowo, jako rzekomi przedstawiciele zbiorowości, do których, jak głoszono, przynależeli[50].

Przypisy

[1] R.M.A. Hankey do M. Vyvyana z Trinity College (Kolegium Trójcy Świętej) w Cambridge, 11 VII 1947, FO 371/66217.

[2] J.L. Guntner, A.M. McLean (red.), *Literary Theory and Theater Practice in the German Democratic Republic*, Associated University Presses, Cranbury, NJ 1998, s. 11; J. Kalb, *The Theater of Heiner Müller*, Cambridge University Press, Cambridge 1998, s. 78–86.

[3] M. Burleigh, *Germany Turns Eastwards: A Study of* Ostforschung *in the Third Reich*, Cambridge University Press, Cambridge 1988, s. 165.

[4] D.L. Bergen, *War and Genocide: A Concise History of the Holocaust*, Rowman & Littlefield, Lanham, MD 2009, s. 168.

[5] R.G. Moeller, *War Stories: The Search for a Usable Past in the Federal Republic of Germany*, University of California Press, Berkeley 2001, s. 84.

[6] Zachodnia Agencja Prasowa, *1939–1950: Population Movements Between the Oder and Bug Rivers* (w języku angielskim; Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1961, s. 8, 10).

[7] Por. I. Haar, *Die deutschen „Vertreibungsverluste”: Zur Entstehungsgeschichte der Dokumentation der Vertreibung*, „Tel Aviver Jahrbuch für deutsche Geschichte” 2007, nr 35, s. 251–272.

[8] H. Fehrenbach, *Cinema in Democratizing Germany: Reconstructing National Identity after Hitler*, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1995, s. 146.

[9] Por. J. von Moltke, *No Place Like Home: Locations of* Heimat *in German Cinema*, University of California Press, Berkeley 2005, s. 135–142.
[10] R.G. Moeller, *War Stories: The Search for a Usable Past in the Federal Republic of Germany*, „American Historical Review" 1996, 101/4 (X), s. 1013, 1026.
[11] R.G. Moeller, *War Stories*…, s. 174.
[12] F. Biess, *Homecomings: Returning POWs and the Legacies of Defeat in Postwar Germany*, Princeton University Press, Princeton 2006, s. 6, 15.
[13] Por. np. S. Spülbeck, *Ethnography of an Encounter: Reactions to Refugees in Post-war Germany and Russian Migrants After the Reunification—Context, Analogoes and Changes*, w: A.J. Rieber (red.), *Forced Migration in Central and Eastern Europe, 1939–1950*, Frank Cass, London 2000, s. 179.
[14] S. Goltermann, *The Imagination of Disaster: Death and Survival in Postwar West Germany*, w: A. Confino, P. Betts, D. Schumann (red.), *Between Mass Death and Individual Loss: The Place of the Dead in Twentieth-Century Germany*, Berghahn, Oxford 2008, s. 261–274.
[15] S. Berger, *On Taboos, Traumas and Other Myths: Why the Debate About German Victims During the Second World War is Not a Historians' Controversy*, w: B. Niven (red.), *Germans as Victims: Remembering the Past in Contemporary Germany*, Palgrave Macmillan, Basingstoke, Hampshire 2006, s. 217.
[16] R. Schulze, *The Politics of Memory: Flight and Expulsion of German Populations after the Second World War and German Collective Memory*, „National Identities" 2006, 8/4 (XII), s. 369.
[17] A. Kossert, *Kalte Heimat*…, s. 189.

[18] E. Langenbacher, *Ethical Cleansing?*: *The Expulsion of Germans…*, s. 69.
[19] M. Kent, *Exceptional Bonds: Revenge and Reconciliation in Potulice (Potulitz), Poland, 1945 and 1998*, w: S.B. Várdy, T.H. Tooley (red.), *Ethnic Cleansing in Twentieth-Century Europe*, Social Science Monographs, Boulder 2003, s. 623–624.
[20] V. Ackermann, *Das Schweigen der Flüchtlingskinder: Psychische Folgen von Krieg, Flucht und Vertreibung bei den Deutschen nach 1945*, „Geschichte und Gesellschaft" 2004, 30/3, s. 461; por. także: A. Lehmann, *Im Fremden ungewollt zuhaus: Flüchtlinge und Vertriebene in Westdeutschland 1945–1990*, C.H. Beck, München 1991.
[21] J. Mlynárik, *Thesen zur Aussiedlung der Deutschen aus der Tschechoslowakei, 1945–1947*, Danubius, München 1985, s. 24.
[22] *Ibid*., s. 42–43.
[23] Por. B.F. Abrams, *Morality, Wisdom and Revision…*, s. 234–255.
[24] J. Mlynárik, *Thesen zur Aussiedlung der Deutschen…*, s. 48–49.
[25] T. Urban, *Der Verlust: Die Vertreibung…*, s. 188–189.
[26] N.M. Naimark, *The Persistence of the „Postwar" Germany and Poland*, w: F. Biess, R.G. Moeller (red.), *Histories of the Aftermath: The Legacies of the Second World War in Europe*, Berghahn, Oxford 2010, s. 23.
[27] G. Weigel, *Witness to Hope: The Biography of Pope John Paul II*, HarperCollins, New York 1999; wyd. polskie: *Świadek nadziei. Biografia papieża Jana Pawła II,* tłum. M. Tarnowska i in.; Znak, Kraków 2000.
[28] M. Zaborowski, *Germany, Poland and Europe: Cooperation and Europeanisation*, Manchester University Press, Manchester 2005, s. 69.

[29] Autor nie zwrócił jednak uwagi na następujący fragment orędzia: „Obciążenie obustronnych stosunków ciągle jeszcze jest wielkie, a potęguje je tak zwane «gorące żelazo» tego sąsiedztwa. Polska granica na Odrze i Nysie jest, jak to dobrze rozumiemy, dla Niemców nad wyraz gorzkim owocem ostatniej wojny, masowego zniszczenia, podobnie jak jest nim cierpienie milionów uchodźców i przesiedleńców niemieckich. (Stało się to na międzyaliancki rozkaz zwycięskich mocarstw, wydany w Poczdamie 1945 roku.)". (Tekst orędzia m.in. w: B. Kerski, T. Kycia, R. Żurek, *„Przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Orędzie biskupów polskich i odpowiedź niemieckiego episkopatu z 1965 roku: geneza, kontekst, spuścizna*, tłum. J. Górny, Wspólnota Kulturowa „Borussia", Olsztyn 2006, cytowany fragment na s. 216).

[30] E. Moszyński, *The Church on the Western Territories*, „Polish Perspectives" 1973, 16/2 (II), s. 20.

[31] P. Lutomski, *The Polish Expulsion of the German Population in the Aftermath of World War II*, w: A.M. Kacowicz, P. Lutomski (red.), *Population Resettlement in International Conflicts: A Comparative Study*, Lexington, Lanham 2007, s. 103.

[32] A. Kossert, *Kalte Heimat…*, s. 305.

[33] V. Havel, *To the Castle and Back*, Random House, New York 2008, s. 140.

[34] P. Lutomski, *Acknowledging Each Other as Victims: An Unmet Challenge in the Proecss of Polish-German Reconciliation*, w: L. Cohen-Pfister, D. Wienröder-Skinner (red.), *Victims and Perpetrators, 1933–1945: (Re-)Presenting the Past in Post-Unification Culture*, de Gruyter, Berlin 2006, s. 246.

[35] „The New York Times", 22 I 1997.

[36] K. Cordell, S. Wolff, *Ethnic Germans in Poland and the Czech*…, s. 261.
[37] J. Huener, *Auschwitz, Poland, and the Politics of Commemoration, 1945–1979*, Ohio University Press, Athens 2003), s. 52–53; por. także: D. Matelski, *Polityka narodowościowa PRL wobec mniejszości niemieckiej (1944–1989)*, „Przegląd Historyczny" 1997, 88/3–4, s. 487–497.
[38] K. Cordell, S. Wolff, *Germany's Foreign Policy towards Poland and the Czech Republic:* Ostpolitik *Revisited*, Routledge, Abingdon, Oxford 2005, s. 59.
[39] Por. np. M. Alexander, *Die tschechische Diskussion über die Vertreibung der Deutschen und deren Folgen*, „Bohemia" 1993, 34/2, s. 407–408.
[40] „Zeit", 18 IX 2003.
[41] „Tygodnik Powszechny" 2003, nr 33.
[42] „Wprost" 2003, nr 38; P. Lutomski, *The Debate about a Center against Expulsions: An Unexpected Crisis in German-Polish Relations?*, „German Studies Review" 2004, 27/3 (X), s. 449.
[43] S. Crawshaw, *Easier Fatherland: Germany and the Twenty-First Century*, Continuum, London 2004, s. 157.
[44] E. Langenbacher, *Ethical Cleansing?*: *The Expulsion of Germans*…, s. 63.
[45] M. Brumlik, *Wer Sturm sät: Die Vertreibung der Deutschen*, Aufbau, Berlin 2005, s. 88.
[46] Cyt. za: R. Wittlinger, *The Merkel Government's Politics of the Past*, „German Politics and Society" 2008, 26/4 (zima).
[47] N. Davies, R. Moorhouse, *Mikrokosmos*…, s. 518
[48] S. Crawshaw, *Easier Fatherland*…, s. 159.
[49] S. Wolff, *The German Question*…, s. 168.

[50] K. Cordell, S. Wolff, *Germany's Foreign Policy…*, s. 78; „Powszechna Deklaracja Praw Człowieka" (1948), art. 1.

Zakończenie

Pod koniec 1947 roku, gdy zorganizowane wysiedlenia Niemców zbliżały się do końca, Sojusznicza Rada Kontroli – tymczasowy zarząd powojennych Niemiec – zaproponowała Dyrektoriatowi do spraw Jeńców Wojennych i Przesiedleńców opracowanie studium na temat „całościowej kwestii przemieszczenia ludności do Niemiec” w celu określenia, jak można by sprawniej przeprowadzać podobne operacje w przyszłości. Wkrótce nadeszła odpowiedź od amerykańskich urzędników kierujących przesiedleniami. Na podstawie doświadczeń zdobytych przy organizowaniu i nadzorowaniu masowych wysiedleń oraz przy radzeniu sobie z ich skutkami

> […] zalecamy, aby Rada Kontroli ogłosiła swój sprzeciw wobec wszystkich przyszłych przymusowych przesiedleń ludności, a zwłaszcza przeprowadzonego siłą usuwania osób z miejsc, które były ich domem od pokoleń, oraz ażeby Rada Kontroli nie zgadzała się na przyszłość przyjmować do Niemiec ludzi przemieszczonych w ten sposób, z wyjątkiem repatriowanych niemieckich jeńców wojennych oraz osób wcześniej zamieszkałych w Niemczech.
>
> Formułując takie zalecenie […], rozważyliśmy moralny i humanitarny aspekt niesprawiedliwości poczynionych ludzkim masom, kiedy część populacji została siłą wyrwana ze swoich dawnych domów, jej własność skonfiskowano bez wypłaty odszkodowań, a wysiedlonych narzucono innej ludności, już cierpiącej z powodu głodu, niedostatecznych schronień, niedoboru osób zdolnych do pracy i pozbawionej instytucji społecznych, medycznych i edukacyjnych.

> Doszliśmy do wniosku, że wszelkie działania sprzeczne z naszymi, przedstawionymi powyżej zaleceniami, zasługiwałyby na słuszne potępienie z uwagi na materialne, społeczne i duchowe krzywdy wyrządzane przesiedlanym osobom, ludności obecnych Niemiec oraz populacji krajów otaczających Niemcy[1].

Brytyjczycy już wcześniej doszli do podobnych konkluzji. Jeśli w przyszłości, po konferencji pokojowej, granice Niemiec miałyby ulec zmianie, oświadczyli, to należy wprowadzić regułę, zgodnie z którą „wszelkie terytoria odebrane Niemcom […] [muszą być] przekazane wraz z całą zamieszkującą na nich obecnie ludnością”[2]. Jak widać, początkowy entuzjazm Anglosasów wobec perspektyw powiązanych z przymusowym transferem ludzi rozwiał się po zderzeniu z rzeczywistością. Jak przekonali się przedstawiciele amerykańskich władz okupacyjnych, przymusowe przesiedlenia nie okazały się, wbrew planom, szybką, czystą i ostateczną metodą rozwiązania problemów z mniejszościami. Zamiast tego wyszło na jaw, że „kolosalne ekonomiczne i społeczne brzemię zostało przemieszczone” wraz z ludnością, a trudności, z którymi rządy krajów dokonujących wysiedleń się uporały, „faktycznie zaczynają spadać na nas”[3].

Późniejsze analizy naukowe potwierdziły słuszność tej bardzo pesymistycznej oceny, wydanej po wojnie przez zachodnich aliantów. Choć rzekome korzyści płynące z masowych deportacji pozostały mgliste, to koszty tej operacji były aż nadto widoczne. Zgodnie z najostrożniejszymi szacunkami, setki tysięcy wysiedleńców – w większości kobiety i dzieci, co odpowiadało demograficznemu profilowi deportowanej ludności – straciły życie. Miliony kolejnych popadło

w nędzę, a to, co stracili, niekoniecznie wzbogaciło tych, którym przypadło odebrane wysiedlonym mienie. Gospodarka całych regionów poważnie się zachwiała, a ekonomicznych szkód, jakie wynikły podówczas, nie udało się nadrobić jeszcze nawet po upływie 30 lat. Spuścizna rozgoryczenia, wzajemnych oskarżeń i podejrzliwości, która pozostała pomiędzy Niemcami a ich sąsiadami na wschodzie i południu, okazała się co najmniej równie trwała i wszystko wskazuje na to, że nacechuje też najbliższą przyszłość.

W świetle tych faktów wydaje się niezwykłe, że powojenne wysiedlenia do dziś znajdują wśród naukowców swoich obrońców, gotowych twierdzić, że bez względu na to, jak nieludzkie się okazały, to mimo wszystko ich celowość została uzasadniona przez ostateczne rezultaty. Zwykle wysuwane są trzy argumenty na poparcie tej tezy. Po pierwsze, Volksdeutsche podobno wzbudzali taką nienawiść swoich nieniemieckich sąsiadów w 1945 roku, iż należało radykalnie rozdzielić te dwie grupy, aby nie dopuścić do wielkiej masakry. Po drugie, usunięcie Volksdeutschów rzekomo zapobiegło kolejnemu europejskiemu konfliktowi zbrojnemu. A po trzecie, etnicznych Niemców jakoby sprawnie deportowano w akcie sprawiedliwej kary za ich zbrodniczą postawę przed wojną oraz w tej trakcie. Żaden z tych argumentów nie wytrzymuje szczegółowej analizy.

Teza o „nieuchronności” deportacji wysuwana bywa najczęściej, zapewne dlatego, że pozwala na uniknięcie trudnych pytań na temat wymiaru moralnego oraz sensu operacji przesiedleńczej przez wyjaśnienie, że był to skutek swoistej sytuacji historycznej, którą należy oceniać w odrębnych kategoriach. „Trudno sobie wyobrazić w 1945 roku – uznał niedawno historyk Włodzimierz Borodziej –

jakąkolwiek realną alternatywę dla wysiedlenia Niemców”[4]. Powody zostały jasno wyłożone przez Edwarda Táborskiego, doradcę prawnego Beneša i późniejszego czechosłowackiego ambasadora w Szwecji, w liście do gazety „The Times” już w 1944 roku. Narody czechosłowacki i polski, oświadczył Táborský, „po prostu nie mogą już tolerować obecności liczniejszej niemieckiej mniejszości w swoich krajach”. Dla owych Niemców pozostanie na miejscu oznaczałoby „eksterminację”, a w najlepszym razie „długotrwałe prześladowania. Wobec tego nawet z przesłanek etycznych lepiej – dla samych niemieckich mniejszości – pogodzić się z metodą przesiedlenia”[5]. Sam Beneš przytoczył identyczne uzasadnienie, gdy ostrzegał dziennikarza „Timesa” w marcu 1945 roku, iż „alternatywa [dla wysiedleń] byłaby nieludzka. Szkoda, gdybyśmy ponieśli karę za to, postępujemy w sposób cywilizowany”[6]. Logika takiego argumentu jest, mówiąc oględnie, osobliwa. By posłużyć się niedawnym przykładem: gdy muzułmanie zostali wygnani z północnej i wschodniej Bośni w 1992 roku, ponieważ lokalna większość serbska uznała, że nie zniesie dłużej ich obecności, to poza Serbami mało osób twierdziło, iż takie wypędzenia można uzasadniać w wymiarze praktycznym i moralnym, gdyż zapobiegają przynajmniej fizycznemu unicestwieniu ludności muzułmańskiej. Michael Ignatieff, który zauważył później powoływanie się na tę „tezę o nieuchronności” przez wszystkie strony konfliktu w trakcie jugosłowiańskiej wojny domowej, tłumaczył, iż jej atrakcyjność i popularność wynika właśnie z tego, że służy jako „moralny słownik samousprawiedliwienia”. Wobec większych zbrodni, popełnianych przez przeciwnika, kwestie etyczne nie dochodzą do głosu, a „wszelkie działania są naznaczone tragiczną koniecznością, […]

ponieważ to druga strona zaczęła; ponieważ przeciwnik jest bestialski i nie rozumie innego języka poza przemocą i represjami. I tak dalej. Każdy uczestnik nacjonalistycznej wojny mówi językiem losu, przymusu i odrzucenia moralności”[7].

Twierdzenie, że żadna siła na ziemi nie mogła zmusić lokalnej większości do dalszego tolerowania w swoim gronie etnicznych Niemców, jest propagowane przez zwolenników takiego poglądu jak coś oczywistego, zrozumiałego samo przez się, co nie wymaga dowiedzenia. Uderzające jednak, że dostępne świadectwa wskazują raczej na coś przeciwnego. Wbrew podszytym podnieceniem wojennym zapowiedziom, że w Polsce, Czechosłowacji i gdzie indziej po klęsce Rzeszy będzie miała miejsce krwawa łaźnia, tuż po zakończeniu walk w Europie nie odnotowano praktycznie żadnych przejawów żywiołowej przemocy skierowanej przeciwko Niemcom. Jedyny znaczniejszy wyjątek, czyli polowanie na Niemców na ulicach Pragi 10 maja 1945 roku, odbywało się w wyjątkowym kontekście krwawego powstania. Jego pokłosiem i następstwem było zabijanie niemieckich cywilów. Ale nawet to szybko się skończyło. Potem doszło już tylko do dwóch ważniejszych wydarzeń, w których akty przemocy wymierzone przeciw Niemcom miały spontaniczny charakter: brneński „marsz śmierci” trzy tygodnie później oraz samosądy i masakry w Ujściu nad Łabą po upływie jeszcze miesiąca. Nadto oba te wydarzenia rozegrały się w warunkach, w których wojsko i oddziały policyjne nie tylko nie starały się utrzymać ładu i porządku, ale wręcz same dołączyły do wichrzycieli i im pomagały. Chociaż przemoc i terror nieodłącznie towarzyszyły wysiedleniom, to w przytłaczającej mierze były dziełem służb państwowych, ludzi w mundurach wypełniających

otrzymane rozkazy. W istocie istnieje sporo niezbitych świadectw, że zwłaszcza w Czechosłowacji, policjanci i wojskowi uskarżali się na to, iż przeciętni obywatele nie potrafili zrozumieć sensu i znaczenia bezwzględnych i zdecydowanych poczynań wobec miejscowych Niemców, ostrzejszych niźli tylko roztoczenie nad nimi ścisłej kontroli. To, że dochodziło do tak niewielu samosądów, nawet po tym, jak naród czechosłowacki miesiącami słuchał radiowych audycji z wystąpieniami emigracyjnych ministrów z Londynu, których odezwy niepokojąco przywodzą na myśl wezwania nadawane przez rozgłośnię Mille Collines (RTLM) w Rwandzie pół wieku później, sugeruje, iż samokontrola ludności w państwach środkowoeuropejskich była znacznie większa, niż się zazwyczaj uważa. Ponadto do 1947 roku rządy zarówno Czechosłowacji, jak i Polski zarzuciły wysiedlenia na rzecz polityki asymilacji pozostałej niemieckiej mniejszości do tego stopnia, że zabraniały jej przedstawicielom wyjazdu z kraju i zatrzymywały ich, nadając im obywatelstwo – w wielu przypadkach wbrew woli samych zainteresowanych[8]. Nic nie wskazuje na to, aby ci pozostali na miejscu Niemcy postępowali w czasie wojny odmiennie od swoich wysiedlonych rodaków; najczęściej jedynym kryterium decydującym o zgodzie na pozostanie w kraju (lub przymusie pozostania) była przydatność tych ludzi dla powojennych gospodarek Czechosłowacji i Polski. Jednak ich dalsza obecność w którymś z tych krajów nie prowokowała ich sąsiadów do aktów przemocy ani nawet do poważniejszych protestów, co potwierdza tylko, w jakim stopniu owa „nieopanowana” masowa nienawiść, rzekomo żywiona przez większość ludności, była w praktyce, wbrew rozpowszechnionym osądom, najzupełniej do okiełznania.

Co więcej, późniejsza historia Czechosłowacji i Polski raczej nie prowadzi do wniosku, że ówczesne społeczeństwa tych krajów przejawiały szczególną skłonność do buntów czy żywiołowych, spontanicznych akcji. W każdym z nich niereprezentatywny i niepopularny reżim komunistyczny szybko objął władzę pod koniec lat czterdziestych, co nie wywołało żadnej gwałtownej reakcji. Wniosek, że mieszkańcy centralnej Europy w żadnym wypadku nie tolerowaliby obecności Niemców w swoim otoczeniu w obliczu pozbawienia Czechosłowaków i Polaków narodowej suwerenności, faktycznego zawieszenia praw i swobód obywatelskich, zniesienia nietykalności osobistej i nienaruszalności własności prywatnej oraz poddania ich woli obcego, quasi-totalitarnego reżimu radzieckiego, o ile w ogóle jest zgodny z prawdą, rodzi pilną potrzebę analizy osobliwego funkcjonowania społeczeństw wspomnianych dwóch państw – analizy, której historycy jeszcze się nie podjęli, a tym bardziej nie udzielili na jej podstawie wspomnianych wyjaśnień.

Nierzadko powtarzana teoria, że usunięcie niemieckiej ludności z Polski, Czechosłowacji i Węgier w jakiś sposób zapobiegło wybuchowi trzeciej wojny światowej, jest w tak oczywisty sposób naciągane, że ledwie zasługuje na dowodzenie jej fałszywości. Tym, co zapewniło Europie pokój, była długotrwała okupacja Niemiec przez oba supermocarstwa, co samo w sobie stanowi wyraźne potwierdzenie, że póki owa okupacja trwała, uznawano Niemcy za źródło potencjalnego zagrożenia. Pomyślna odbudowa niemieckiego systemu politycznego, zaszczepienie w niemieckim narodzie demokratycznych nawyków i instynktów oraz powiązanie powojennych Niemiec ze wspólnotą znacznej części państw europejskich

stanowią prawie równie istotne czynniki w przemianie, jaka zaszła w charakterze interakcji między europejskimi państwami narodowymi po 1945 roku. W tych okolicznościach nieprzerwana obecność dużych niemieckich mniejszości etnicznych we Włoszech, Rumunii, na Węgrzech i w Rosji nie zagraża pokojowi na kontynencie. I nie ma realnego powodu, by przypuszczać, iż gdyby i inni Niemcy spoza Niemiec pozostali na ziemi swoich przodków, to stanowiliby większe zagrożenie dla europejskiego pokoju.

I wreszcie sugestia, że etniczni Niemcy, jako rzekomi dywersanci przed wojną czy też gorliwi nazistowscy kolaboranci z jej okresu, zasłużyli na szczególną karę, też nie jest łatwa do podtrzymania. Jak się przekonaliśmy, zasada obligująca mniejszość narodową do bezwarunkowej lojalności wobec państwa, w którym ta mniejszość nie z własnej woli się znalazła, reguła usprawiedliwiająca postawę Czechów i Słowaków w 1918 roku i jednocześnie potępiająca postawę Sudetendeutschów 20 lat później, jest niełatwa do sformułowania. Co się tyczy wojennych poczynań Niemców sudeckich, to mało świadczy o tym, aby postępowali wówczas gorzej od wszystkich innych Niemców. Niewątpliwie była to postawa niechlubna i nie chciałbym, aby mój pogląd na tę sprawę interpretowano inaczej. Ale jeżeli nawet wszyscy Niemcy, etniczni i ci z Rzeszy, ponosili jednakową winę, to nie wszyscy oni zostali równie surowo ukarani. Dlaczego Volksdeutschów, o których najgorsze, co można powiedzieć, to że choć zwrócili się ku nazizmowi, jednak uczynili to dość późno, więziono, pozbawiano mienia i deportowano, podczas gdy ludzie z kraju, gdzie nazizm się narodził i skąd rozprzestrzeniono go najbardziej brutalnymi metodami, niczego takiego nie ucierpieli? Jakoś trudno to pogodzić

z ideą rygorystycznie egzekwowanej i obiektywnej sprawiedliwości.

Jeszcze istotniejsze jest to, że takie poodejście spycha na dalszy plan kwestię wojennych poczynań przedstawicieli narodowych większości, nie zawsze należycie zbadaną. Na przykład wielu Słowaków w nieznacznie tylko mniejszym stopniu przyczyniło się do rozpadu Czechosłowacji po konferencji monachijskiej aniżeli Niemcy sudeccy. Przez większość II wojny światowej Słowacja była krajem podporządkowanym Niemcom; wojska słowackie wzięły udział u boku swoich niemieckich sojuszników w napaści na Polskę we wrześniu 1939 roku i w ataku na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku. Słowacki parlament zatwierdził, przy zaledwie jednym głosie sprzeciwu, wygnanie zdecydowanej większości Żydów ze swojego kraju na kontrolowane przez Niemców terytoria, a tylko garstka tych wygnańców przeżyła i powróciła do domów. Ale tylko nieliczni Słowacy po wojnie ponieśli za to wszystko karę, a żadnego Słowaka nie deportowano. W dodatku powojenne znaczenie słowa „kolaboracja” okazało się bardzo elastyczne; pewne działania – lub wstrzymanie się od nich – były albo tolerowane przez czynniki oficjalne, albo też „słusznie” karane, zależnie od narodowości winowajców. W latach I wojny światowej, jak wykazał J.R. Sanborn, część mieszkańców środkowej i południowo-wschodniej Europy „nawiązywała przyjazne stosunki z takimi czy innymi wojskami okupacyjnymi, […] ale większość ludzi mądrze starała się nie wychylać, w miarę możliwości trzymać się z dala od niebezpieczeństwa albo, w ostateczności, uciekać. Nic tak nie naraża człowieka, jak opowiadanie się po którejś ze stron w wojnie o zmiennym charakterze i niepewnym wyniku”[9]. Także w czasie II wojny światowej taka bierność, będąca może niesławną, lecz wypróbowaną

formułą przetrwania okazała się najpopularniejszą strategią życiową etnicznych Niemców, Czechów, Polaków, Węgrów i większości innych nacji, pozostawionych we względnym spokoju przez nazistowskich okupantów albo, jak w przypadku wschodniej Polski w latach 1939–1941, niemal równie okrutnych stalinowców[10]. (Tragiczniejsze były losy Żydów, Romów i Sinti, którym ostrożność nie zapewniła przeżycia). Jednak tylko etnicznych Niemców uznano za winnych „biernego współudziału w zbrodniach wojennych" po zakończeniu światowego konfliktu.

To, że coś takiego jak owe „bierne współuczestnictwo" jest czymś realnym – a w każdym razie, że przyglądanie się w milczeniu popełnianemu złu wiąże się w jakiejś z mierze z moralną winą – stanowi sugestię, której nie należy lekceważyć. Nie tylko chrześcijaństwo wspomina o „grzechu zaniedbania" w odniesieniu do decyzji, za które kiedyś trzeba odpowiedzieć. Ale, jak zwrócili uwagę Victor Gollancz, Dorothy Buxton i inni, taka doktryna jest obosieczna. Współodpowiedzialności Niemców z epoki nazizmu za poczynania swoich władz nie należy pomijać, ani też zapominać o niej. Jednak w latach 1945–1947, a gdzieniegdzie jeszcze po tym okresie, mieszkańcy centralnej Europy zmuszali swoich niemieckich sąsiadów – z których większość wcześniej nie brała udziału w walkach, ponad połowa była kobietami, a znaczna część dziećmi – do noszenia opasek i naszywek, narażających ich na szykany; bez sądu zamykali ich w obozach i więzieniach, bili, gwałcili lub zabijali za oficjalnym przyzwoleniem władz; pozbawiali ich żywności, leczenia i innych normalnych życiowych spraw, ograbiali, aby w końcu ich deportować. Obserwatorzy tych scen znali je też z niedalekiej przeszłości i wiedzieli, co to wszystko oznaczało. Przy tym nie można powiedzieć, że zbyt głośno potępiali takie

prześladowania, choć takie protesty wiązały się z narażaniem na pewne ryzyko osobiste. Przyznać wypada, że w niektórych regionach Czechosłowacji w lecie 1945 roku wstawianie się za maltretowanymi Niemcami było karane grzywną do 5 tysięcy koron lub dwoma tygodniami aresztu[11]. Ale kary takie nie zasługiwały na miano drakońskich, poza tym najczęściej ich nie egzekwowano. Na nielicznych Czechosłowaków, takich jak Přemsyl Pitter, których sumienie nie akceptowało widzianych na co dzień sytuacji, nie czekały obozy koncentracyjne. A jednak w ostatecznym rozrachunku groźba publicznego potępienia lub towarzyskiego ostracyzmu aż nadto wystarczała do przekonania wątpiących, aby swoje krytyczne spostrzeżenia i wyrazy oburzenia zachowali dla siebie.

Podnoszą się nie tylko do Polaków i Czechów, pamiętających okrucieństwa i terror niedawnej niemieckiej okupacji, z którą można było porównywać powojenną sytuację. W jeszcze większym stopniu dotyczą zachodnich aliantów, których prawna i moralna odpowiedzialność za to, co działo się tuż po wojnie, była stanowczo zbyt często pomijana. Do najbardziej zatrważających aspektów wysiedleń należy to, w jak nieznacznym stopniu Brytyjczyków i Amerykanów bezpośrednio zaangażowanych w nadzorowanie akcji deportacyjnych niepokoił ich przebieg. Stefan Schimanski, angielski reporter słowiańskiego pochodzenia wyróżniający się szczególnie ostrym potępianiem Niemiec i samych Niemców w czasie wojny, był jednym z nielicznych korespondentów, którzy na własne oczy widzieli ponure realia akcji Jaskółka, czyli wywóz wysiedleńców do brytyjskiej strefy okupacyjnej na wiosnę 1946 roku. Ujrzawszy warunki, jakie polskie władze „zapewniły” deportowanym w pierwszych transportach kolejowych w ramach tej akcji, stwierdził: „Kiedy znalazłem

się w mesie oficerskiej w obozie [przejściowym w brytyjskiej strefie okupacyjnej], nie potrafiłem pojąć, co się właściwie wydarzyło. Wiedziałem, że SS nie byłoby w stanie postąpić okrutniej. […]«Nie rozumiem – powiedziałem do oficerów siedzących przy stole – kto by na tym stracił, gdyby jeszcze ze dwa wagony doczepiono do tego pociągu. Albo gdyby upchano w tym pociągu o paręset ludzi mniej? Komu by to zaszkodziło?»”[12]. Kilka tygodni później Schimanski natknął się na pewnego brytyjskiego żołnierza „nadzorującego ewakuację wysiedleńców w Travemünde, [który] stwierdził, że to «najbardziej bestialskie zadanie», jakie mu kiedykolwiek zlecono”[13]. Podobne reakcje były sporadyczne. Do bardziej typowych należała postawa podpułkownika Growse’a, szefa brytyjskiego zespołu łącznikowego w Kławsku (Węglińcu), wspominającego z rozrzewnieniem po przenosinach z tej placówki w maju 1946 roku rolę, jaką ze swymi żołnierzami odegrał w akcji przesiedleńczej. „Będziemy to traktować w pamięci jako niezwykle interesujące doświadczenie”[14]. Myśl, że uczestniczyli w czymś nagannym z moralnego punktu widzenia, a tym bardziej w czymś okrutnym, nawet nie zaświtała mu w głowie. Nieco inaczej rzecz się miała z szefem do spraw akcji przesiedleńczej w składzie wojsk amerykańskich w Czechosłowacji, pułkownikiem Johnem Fye’em. Napisał on, że operacja, w jakiej uczestniczył, „pod wieloma względami nie była wyzbyta okrucieństwa” i wciągnęła w swe tryby „niewinnych ludzi, którzy nigdy nawet słowem nie zaprotestowali przeciwko narodowi czechosłowackiemu”. Kobiety i dzieci, jak przyznał, były rutynowo „zamykane w obozach zbiorczych, z których wiele nie bardzo się różniło od byłych niemieckich obozów koncentracyjnych”[15]. Jednak podobne podszyte niepokojem refleksje nie odwiodły Fye’a od przyjęcia z rąk

rządu praskiego odznaczenia za zasługi „w wydalaniu Niemców z Czechosłowacji”[16]. Ostatecznie i Fye, i inni biurokraci oraz technokraci powiązani z planowaniem i przeprowadzeniem operacji deportacyjnej znaleźli pocieszenie w tym, co Max Horkheimer i Theodor Adorno określali mianem „instrumentalnej racjonalizacji” – tak się złożyło, że uczynili to akurat w okresie szczytowego nasilenia akcji wysiedleńczej[17].

Moralne i etyczne kwestie związane z przesiedleniami ludności są wyjątkowo złożone i trudne, nie sposób więc ich tutaj wyczerpująco omówić. Ale jasne jest, że wiele osób z grona alianckich przywódców i szerokich kręgów ludności czerpało pewien rodzaj skrytego zadowolenia z powodu cierpień, jakie były udziałem wysiedleńców. Uznawali też często rozmyślnie okrutny tryb deportacji nie tylko za usprawiedliwiony, ale i katartyczny dla środkowo-europejskich społeczeństw – a podszyta złośliwą satysfakcją wypowiedź majora Denisa Healeya na konferencji partii laburzystowskiej w 1945 roku o gehennie zgotowanej Niemcom stała się wyrazem dość rozpowszechnionych nastrojów. Bez wątpienia, jak stwierdził David Curp, widok przedstawicieli „*Herrenvolku* [„rasy panów”] (albo przynajmniej ich kobiet, dzieci i starców) w nędzy po wyrzuceniu ich z domów sprawiał pewne zadowolenie wielu Polakom, którzy przecierpieli lata motywowanej względami rasowymi pogardy (lata pełne grozy i lęku), z jaką byli traktowani przez nazistowskich okupantów”[18]. Lecz choć społeczeństwa krajów środkowoeuropejskich zostały poważnie, w sensie fizycznym i psychicznym, okaleczone przez doświadczenie okupacji nazistowskiej, to sugestia, iż mogły odzyskać poczucie własnej wartości tylko za sprawą zaprezentowania swoich zdolności do czynienia przemocy

i nieprawości, jest fałszywa pod względem psychologicznym i niemoralna w sensie etycznym.

O ile teoria „katartycznego okrucieństwa” jest nie do przyjęcia w ujęciu logicznym i moralnym, o tyle ma jeszcze mniej wartości w dziedzinie prawa. Bezsprzecznie najbardziej spornym instrumentem prawnym wprowadzonym w okresie wysiedleń był czechosłowacki dekret nr 115 z 1946 roku, legalizujący wstecznie „sprawiedliwy odwet za działania [niemieckich] sił okupacyjnych i ich wspólników […] nawet jeśli takie akty [odwetu] mogą być w innych warunkach karalne”. Przepisu tego nie zniesiono formalnie do dziś; wskutek tego blokuje on dochodzenia, a tym bardziej ściganie i karanie za tysiące morderstw, tortur i gwałtów na Niemcach popełnionych do 28 października 1945 roku. Niepokojące jest to, że wydana przez Froweina w 2002 roku oficjalna opinia, choć wyraźnie uznaje, iż dekret ten był „jawnym pogwałceniem niezbywalnych praw człowieka, praworządności oraz obowiązku państwa, aby chronić wszystkich ludzi na swoim terytorium przed przemocą”, głosi, że bez względu na to, czy owo oficjalne zezwolenie na „katartyczne okrucieństwo” będzie dalej obowiązywało, czy też zostanie zniesione, bezkarność sprawców działających niegdyś w zgodzie z tym rozporządzeniem pozostanie faktem. „Oczywiście, należy od razu dodać – czytamy dalej w opinii Froweina – że taki akt prawny przyjęto po długotrwałym okresie bezlitosnej okupacji, kiedy wiele osób cywilnych zostało zamordowanych lub odniosło obrażenia”. Większość niemieckich sprawców uniknęła kary za swój udział w wojennych zbrodniach. Na przykład nikt nigdy nikogo nie skazał za masakrę w Lidicach. Wypada wyjaśnić, że gdyby obecnie udało się zidentyfikować odpowiedzialnych za jej dokonanie, to należałoby ich ukarać nawet po upływie tylu

lat. W wydanej opinii Frowein powątpiewa jednak, czy „ludzie, którzy popełnili zbrodnie ponad 50 lat temu, powinni teraz stanąć przed sądem, skoro nabrali przez ten czas przeświadczenia, że nie mogą być ścigani za takie czyny". I znowu mamy więc do czynienia z sytuacją, w której czyni się rozróżnienie; powojenne prześladowania, których ofiarami padali Niemcy, „były działaniami w reakcji na to, co działo się z ludnością czechosłowacką pod panowaniem Niemców w okresie od 1938 do 1945 roku. Mimo że większość ofiar była niewinna, nie można nie brać pod uwagę, iż przemoc wymierzona w Niemców w owym czasie wiązała się ze szczególnym odreagowywaniem wydarzeń z okresu okupacji niemieckiej"[19].

Taki werdykt nie może być słuszny. Przede wszystkim nawet bez jakiegokolwiek zrozumienia traumatycznych skutków niemieckiej okupacji wcale nie jest takie oczywiste, że gwałtowne, podszyte przemocą, a nawet sadystyczne postępki tak wielu Czechosłowaków – czy też obywateli innych państw, z których po wojnie wypędzano Niemców – wobec bezbronnych cywilów, począwszy od roku 1945, były istotnie przejawem wpływu zewnętrznych bodźców, nieodpartych i nie do poskromienia. Po wtóre, przyjęcie założenia, iż współwina za masowe naruszanie i łamanie praw człowieka podlega zmniejszeniu bądź wyeliminowaniu, dlatego że sprawcy wcześniej sami byli ofiarami, doprowadziłaby do wniesienia mnóstwa spraw o złagodzenie kary za przestępstwa popełnione w analogicznych okolicznościach. W istocie sami naziści stale twierdzili, że dokonane przez nich zbrodnie były usprawiedliwione zemstą za wcześniejsze krzywdy doznane z rąk swoich wrogów: kontynuowaną przez aliantów nawet po I wojnie światowej blokadę gospodarczą Niemiec, która doprowadziła do śmierci wielu cywilów, dyskryminowanie

czy też prześladowania niemieckiej mniejszości w sąsiednich krajach w okresie międzywojennym i tak dalej. Argumenty takie zostały słusznie odrzucone jako wyrachowane racjonalizowanie. I wreszcie sugestia, że pewne poważne przestępstwa w ujęciu prawa międzynarodowego nie powinny podlegać ściganiu z uwagi na sympatię dla ich sprawców i/lub brak takiej sympatii dla ofiar oznacza wejście na bardzo niebezpieczną drogę. Przyjęcie takiego założenia mogłoby doprowadzić tylko do dwupoziomowego systemu sprawiedliwości. Przestępstwa przeciwko tym, z którymi się utożsamiamy, podlegałyby surowemu karaniu, a podobne wykroczenia wobec tych, z którymi się nie identyfikujemy, byłyby w tym systemie usprawiedliwiane, bagatelizowane bądź puszczane płazem. Taka praktyka oznaczałaby faktycznie zanegowanie i krach całego systemu dochodzenia sprawiedliwości.

W tym kontekście podejmowane przez komentatorów takich jak Elazar Barkan próby przypisania niemieckich wysiedleńców do, jak to sam określił, „kategorii mniej zasługujących na uwagę ofiar czy też w ogóle na nią nie zasługujących" niosą wyjątkowo niepokojące implikacje[20]. Szczególnie dążenia deportowanych Sudetendeutschów do publicznego uznania ich dawnych traum są, zdaniem Barkana, „elementem długofalowych starań podejmowanych w Niemczech, aby zyskać równouprawnienie w wymiarze cierpień, poprzez wyrwanie ofiar z kontekstu historycznego"[21]. Aby temu zapobiec, Barkan zaproponował traktowanie „niegodnych uwagi" ofiar jako grupy, „której cierpienia muszą być uznane za część procesu historycznego" i w odniesieniu do których „zobowiązanie do wynagrodzenia szkód lub zadośćuczynienia za nie" miałoby nie znajdować zastosowania[22]. Niewątpliwie można by przeciw temu

wysunąć argument, że takie próby wymazanie z oficjalnej historii konsekwencji wysiedleń i wywłaszczeń spowodowałyby tylko dołożenie nowych niesprawiedliwości do tych zadawnionych. Z wielu powodów należy mieć się na baczności przed tym, aby dziejów wysiedleń nie wykorzystano doraźnie – obecnie i kiedykolwiek w przyszłości – dla minimalizowania lub przesłaniania o wiele straszliwszych zbrodni niż te, za które Niemcy w latach czterdziestych ponosiły wyłączną odpowiedzialność. Jednak Barkan nie wskazał, jak jego definicję kategorii „niegodnych uwagi ofiar" (które, zgodnie z tą formułą, mogły być maltretowane albo zabijane ze względu na przynależność do tej samej nacji lub grupy etnicznej co prawdziwi złoczyńcy) bez „wynagradzania szkód lub zadośćuczynienia za nie" owym ofiarom można pogodzić z jakąkolwiek sensowną koncepcją poszanowania praw człowieka. Jeszcze mniej jasne jest to, w jaki sposób taka sztuczna, dwupoziomowa koncepcja wartości człowieka miałaby się odnosić wyłącznie do sfery historycznej, nie stanowiąc zarazem podstaw do przeprowadzania równie krzywdzącego rozróżnienia pomiędzy narodami w dobie obecnej.

Nie są to czysto akademickie kwestie, lecz ściśle związane z naszymi czasami, o czym świadczy zauważalne od niedawna ożywione zainteresowanie masowymi przesiedleniami, a szczególnie powojennym transferem ludności, jako sposobem na rozstrzyganie trudnych problemów z mniejszościami. Najbardziej znanym wyrazem tego nurtu myśli politycznej jest opublikowany w 1996 roku przez politologa z Uniwersytetu Bostońskiego, Andrew Bella-Fialkoffa manifest, z którego dowiadujemy się, że bez względu na to, czy się to nam podoba, czy też nie, masowe wysiedlenia stanowią trwałe rozwiązanie, zwłaszcza

w sytuacja, gdy zawodzi wszystko inne, a „jedyną możliwością pozostaje, wedle słów Beneša, «przykra konieczność przesiedleń ludności»”. Istotnie, dla Bella-Fialkoffa usunięcie Niemców z Czechosłowacji stanowi główny przykład potwierdzający praktyczność i efektywność takiej metody rozwiązywania międzynarodowych i regionalnych sporów: „Nie ulega kwestii, że taki transfer ludności musi się odbywać po ludzku, w sposób dobrze zorganizowany, tak jak wysiedlenie Niemców z Czechosłowacji przez aliantów w latach 1945–1947”[23].

Nic dziwnego, że bibliografia we wspomnianej rozprawie Bella-Fialkoffa nie zawiera ani jednej publikacji w języku czeskim bądź niemieckim; takie wybiórcze korzystanie ze źródeł informacji na ten temat bez wątpienia umożliwiło autorowi zdumiewającą „fabularyzację” opisu tego, co wydarzyło się na czechosłowackim pograniczu tuż po wojnie. Ale nie tylko on upatruje w tym wydarzeniu dziejowym modelu, stawianego innym za wzór do naśladowania. Czeski premier Miloš Zeman uczynił tak właśnie w 2002 roku, kiedy na niegdysiejsze deportacje Sudetendeutschów zwrócił uwagę rządu izraelskiego, szukającego możliwości rozwiązania problemów Zachodniego Brzegu Jordanu i Strefy Gazy[24]. Avigdor Lieberman, wicepremier Izraela, opowiedział się za nieco złagodzoną wersją programu wysiedleńczego, przewidującą pozbawienie izraelskich Arabów obywatelstwa i, wbrew ich woli, w interesie „wyższego dobra”, poddanie ich jurysdykcji Autonomii Palestyńskiej. Z kolei John Mearsheimer z Uniwersytetu Chicagowskiego przekonywał, że z politycznym zamętem w byłej Jugosławii można skończyć tylko przez „wytyczenie nowych granic i przesiedlenia ludności”. Stwierdził, że ONZ przy poparciu

Stanów Zjednoczonych powinna przymusowo przemieścić około miliona Bośniaków, Serbów i Chorwatów w celu utworzenia „jednolitych etnicznie państw” na Bałkanach. „Czyż nie miałoby więcej sensu – zapytywał – pokojowe przesiedlenie ludności, a nie pod groźbą użycia broni?”[25]. Wypowiadając się w podobnym tonie, James Nickel z Uniwersytetu Miami usiłował wprowadzić rozróżnienie pomiędzy „ludobójczymi czystkami etnicznymi” a przymusowymi transferami ludności, które są „uzasadnione szczerym pragnieniem [zapewnienia] trwałego pokoju”. Projekt tych ostatnich, jak uznał Nickel, można by uznać za „zarys wyjątkowej klauzuli w międzynarodowych normach, zakazujących czystek etnicznych” i pomimo „zastosowania środków przymusu lub siły”, winien zostać uznany za możliwy do przyjęcia, „jeżeli posłużyłby do osiągnięcia istotnego celu, czy nie towarzyszyłoby poważniejsze naruszanie praw człowieka lub inne znaczniejsze przeszkody”[26]. Chaim Kaufmann, Bruce Clark, Daniel Byman i Michael Mann to inni znani uczeni, którzy opowiadają się za trwałą aktualnością masowych wysiedleń w rozwiązywaniu międzynarodowych konfliktów, nierzadko – jak w przypadku Kaufmanna – skrzętnie unikając jakiegokolwiek wzmiankowania, nie mówiąc już o analizach, katastrofalnych skutków deportacji w powojennej Europie[27]. Z kolei Stephen Ryan poddał propozycję takiej „utopijnej inżynierii” druzgocącej krytyce. Jak stwierdził, deportacje „bynajmniej nie są sposobem na uniknięcie przemocy; trudno nie upatrywać w samych «prewencyjnych przesiedleniach» aktu przemocy”. Nie jest też wcale oczywiste, jak przekonująco argumentował Ryan, że przymusowe przesiedlenia ludności przeprowadzone pod egidą międzynarodowej organizacji okazać się muszą

bardziej „ludzkie” czy też efektywne od tych dokonywanych przez poszczególne państwa[28].

Jak jednak dowodzą wydarzenia omówione w niniejszej książce, najpoważniejsze obiekcje wobec przesiedleń jako instrumentu polityki międzynarodowej mają charakter jeszcze bardziej zasadniczy. Ujmując rzecz w największym skrócie, wysiedlenia nie dają praktycznych efektów, o ile nie zostaną szybko przeprowadzone, a w razie pośpiechu nie mogą mieć humanitarnego charakteru. Nawet w najlepszych wyobrażalnych warunkach, jak wyłożono jasno w raporcie brytyjskiego Międzywydziałowego Komitetu do spraw Przesiedlenia Ludności Niemieckiej w 1944 roku, zbiorowe wysiedlenia ustępują tylko wojnom, jeśli chodzi o wywoływane wstrząsy, zamęt ekonomiczny i zaburzenia społeczne. Przeprowadzenie ich w zgodzie z „uporządkowanymi i humanitarnymi” kryteriami jest niezwykle kosztowne i wymaga wielu lat lub nawet dziesięcioleci. A po ich dokonaniu objęte nimi obszary należy nieustannie nadzorować przez jeszcze dłuższy okres, gdyż przesiedlona ludność może podejmować próby powrotu tam, skąd się wywodzi.

A przecież nie w takich warunkach w realnym świecie mamy do czynienia z potrzebą przesiedleń. Po pierwsze, nie proponuje się ich w czasach pokoju i stabilizacji, lecz w sytuacjach kryzysowych, gdy za konieczne uważane jest niezwłoczne podjęcie radykalnych kroków. Po drugie, podjęcie decyzji, kogo trzeba przesiedlić, a komu zezwoli się na pozostanie, niezmiennie wiąże się z poszukiwaniami kozła ofiarnego: to „dokuczliwe” mniejszości, a nie te, które darzy się pewną sympatią, muszą opuścić zamieszkiwane okolice. Po trzecie, rządy krajów i międzynarodowe organizacje rzadko bywają zainteresowane inwestowaniem mnóstwa pieniędzy, niezbędnych środków i personelu na

wymagany czas, dla udzielania pomocy przedstawicielom „dokuczliwych” nacji, uważanym za co najmniej współautorów własnej niedoli. Po czwarte, jeśli transfer ludności nie odbędzie się dostatecznie szybko, to kryzys – i co jeszcze ważniejsze, wrogość w stosunku do przewidzianej do wysiedlenia grupy – będące przyczyną akcji deportacyjnej zazwyczaj zostają załagodzone. Tak się dzieje nawet w trakcie najkrwawszych konfliktów: dla przykładu, trudno sobie wyobrazić, aby zachodni alianci usankcjonowali masowe czystki etnicznych Niemców, jeśliby przewidziano je na rok 1950, a nie na 1945. Po piąte, mało prawdopodobne, aby jakaś grupa ludności poddała się tak ulegle deportacjom jak Niemcy po II wojnie światowej albo żeby zrezygnowała z „prawa do powrotu”; faktem jest, iż tylko lata życia w systemie totalitarnym na tyle poważnie osłabiły zdolności do politycznego organizowania się wysiedlanych, że operacja ich wywózki w ogóle mogła się odbyć. I wreszcie, jak wskazał David Curp, zupełnie niezależnie od wstrząsów ekonomicznych będących efektem deportacji, wysiedlenia nie okazały się panaceum dla krajów wypędzających obcą etnicznie ludność. Są to raczej doraźne środki zaradcze, których zgubne konsekwencje trwają wśród rzekomo „oczyszczonych” narodowych społeczności, przez całe dekady, jakie upłynęły od kryzysu, który je wywołał.

> Bezpośrednie cierpienia wywołane przez czystki etniczne są przerażającym, choć niekoniecznie najbardziej niebezpiecznym ich skutkiem. Równie, a może nawet bardziej niepokojący aspekt czystek etnicznych to ich zdolność generowania utrwalającej się radykalizacji i upowszechniania nacjonalistycznej, rewolucyjnej polityki.

> Narodowo-rewolucyjne czystki etniczne […] doprowadziły do polityki ksenofobii. Poza tym zaraziły kolejne pokolenia skrajnym nacjonalizmem. […] Czystki etniczne mają przerażająco stabilizującą moc, zdolną do utrzymania nienawiści i lęków, wywoływanych przez konflikty etniczne, na długo po przeprowadzeniu wysiedleń. Czystka etniczna to nie „imponujące zwycięstwo", lecz narodowo-rewolucyjna siła *par excellence,* umacniająca jedynie nacjonalistyczne korzenie konfliktów etnicznych, zamiast je usuwać[29].

Najważniejszą nauką wypływającą z powojennych deportacji Niemców jest zatem to, że skoro akcji wysiedleńczych nie sposób przeprowadzić w okolicznościach, pozwalających na uniknięcie okrucieństw, niesprawiedliwości i niepotrzebnych cierpień, to nie wolno dokonywać ich wcale. Stanowcze uznanie tej prawdy i determinacja, aby kierować się nią zawsze i w każdej sytuacji, bez względu na to, jak kuszące chwilowo mogą się wydać podobne rozwiązania, to najbardziej stosowny pomnik, który można wnieść dla upamiętnienia tego tragicznego, niepotrzebnego wydarzenia. Musimy podjąć postanowienie, aby już więcej się nie powtórzył w dziejach współczesnej Europy i świata.

Przypisy

[1] „Draft Report to the Coordinating Committee Concerning the Question of Population Transfers" („Wersja robocza raportu Komitetu Koordynacyjnego dot. Kwestii przesiedleń ludności"), przedłożonego przedstawicielowi USA, 23 X 1947, DPOW/P (47) 74, RG 260/390/50/32/06, Biuro Zarządu Wojskowego

w Niemczech, kierownictwo Wydziału do spraw Jeńców i Przesiedleńcow (D&P); dokumentacja ogólna z lat 1945–1948, zbiór 382, teczka nr 13, NARA.

[2] Kierownictwo Wydziału D & P, „Section VII–Population Transfers" („Sekcja VII ds. przesiedleń ludności", 5 II 1947, FO 371/64222.

[3] Wydział do spraw Jeńców i Przesiedleńców, „Memorandum to Major General Keating–Subject: Sudeten Transfers", 13 XII 1946, Biuro Zarządu Wojskowego w Niemczech, kierownictwo Wydziału do spraw Jeńców i Przesiedleńcow (D&P); dokumentacja dot. osób przysiedlonych w amerykańskiej strefie okupacyjnej w latach 1945–1949, RG 260/390/42/26/1-2, zbiór 187, teczka „Agreements Expellees", NARA.

[4] W. Borodziej, *Ucieczka – wypędzenie – wysiedlenie przymusowe*, w: A. Lawaty, H. Orłowski (red.), *Polacy i Niemcy: historia – kultura – polityka*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2003, s. 104.

[5] „The Times", 18 II 1944.

[6] Cyt. za: M. Frank, *Expelling the Germans*…, s. 95.

[7] M. Ignatieff, *Blood and Belonging: Journeys Into the New Nationalism*, BBC Books, London 1993, s. 45.

[8] K. Cordell, S. Wolff, *Ethnic Germans in Poland*…, s. 258, 263, 265.

[9] J.R. Sanborn, *„Unsettling the Empire": Violent Migrations and Social Disaster in Russia During World War I*, „Journal of Modern History" 2005, 77/7 (VI), s. 303.

[10] Na temat kolaboracji z radzieckimi najeźdźcami, zob. A.V. Prusin, *The Lands Between: Conflict in the East European Borderlands, 1870–1992*, Oxford University Press, Oxford 2010, s. 136–148.

[11] T. Staněk, *Verfolgung 1945*…, s. 184.

[12] S. Schimanski, *Vain Victory*, Gollancz, London 1946, s. 115.
[13] *Ibid*., s. 116.
[14] Ppłk P.F.A. Growse, „Report by Liaison Team, Kohlfurt, up to 3 May 1946", 4 V 1946, FO 1052/474.
[15] Płk J.H. Fye, „Final Report—Transport of German Populations from Czechoslovakia to U.S. Zone, Germany", 30 XI 1946, s. 45–46, dokumentacja archiwalna Margaret Eleanor Fait, katalog nr 84040-9.02, zbiór 4, teczka nr 16, Hoover Institution Archives, Stanford University.
[16] „Rudé Právo", 12 XI 1946.
[17] M. Horkheimer, T.W. Adorno, *Dialectic of Enlightenment*, Allen Lane, London 1973.
[18] T.D. Curp, *The Politics of Ethnic Cleansing*…, s. 594–595.
[19] Parlament Europejski; Dyrektoriat Badań Ogólnych, „Legal Opinion on the Beneš-Decrees and the Accession of the Czech Republic to the European Union", X 2002, par. 45–52.
[20] E. Barkan, *Deserving and Undeserving Victims: Political Context and Legal Framework of Hard Cases of Reparation*, w: K. de Feyter, S. Parmentier i in. (red.), *Out of the Ashes: Reparation for Victims of Gross and Systematic Human Rights Violations*, Intersentia, Antwerp 2005, s. 88.
[21] *Ibid*., s. 93.
[22] *Ibid*., s. 102–103.
[23] A. Bell-Fialkoff, *Ethnic Cleansing*, St Martin's Press, New York 1996, s. 220, 230.
[24] „Haarec", 18 II 2002.
[25] „New York Times", 31 III 1993.
[26] J.W. Nickel, *What's Wrong with Ethnic Cleansing?*, „Journal of Social Philosophy" 1995, 26/1 (wiosna), s. 12–

13.

[27] Por. C.D. Kaufmann, *When All Else Fails: Ethnic Population Transfers and Partitions in the Twentieth Century*, „International Security" 1998, 23/2 (jesień), s. 120–156; B. Clark, *Twice a Stranger: The Mass Expulsions that Forged Modern Greece and Turkey*, Harvard University Press, Cambridge, MA 2006; D.L. Byman, *Keeping the Peace: Lasting Solutions to Ethnic Conflicts*, Johns Hopkins University Press, Baltimore, MD 2002; M. Mann, *The Dark Side of Democracy: Explaining Ethnic Cleansing*, Cambridge University Press, Cambridge 2004.

[28] S. Ryan, *The Transformation of Violent Intercommunal Conflict*, Ashgate, Aldershot 2007, s. 67.

[29] T.D. Curp, *A Clean Sweep?*..., s. 193.

Bibliografia

Archiwalia i źródła niepublikowane

Archives du Comité International de la Croix Rouge, Genève (Archiwa Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża w Genewie)

Dokumentacja archiwalna Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężyca

Archiwum Akt Nowych, Warszawa

Dokumentacja archiwalna Ministerstwa Ziem Odzyskanych

Archives of the United Nations High Commission for Refugees, Geneva (Archiwa Wysokiego Komisarza ONZ do spraw Uchodźców w Genewie)

Dokumentacja archiwalna UNHCR

Bundesarchiv, Koblenz (Archiwum Federalne w Koblencji)

Dokumentacja archiwalna Bundeskanzleramtu

Dokumentacja archiwalna Bundesministerium für Vertriebene, Flüchtlinge und Kriegsgeschädigte

Hoover Institution Archives, Palo Alto, Kalifornia

Dokumentacja archiwalna Alety Brownlee, Christophera Emmeta i Margaret Fait

Národní archiv Ceské republiky, Praha (Archiwum Narodowe Republiki Czeskiej w Pradze)

Dokumentacja archiwalna Ministerstva vnitra (MSW)

Dokumentacja archiwalna Úradu predsedníctva (Urzędu do spraw Przesiedleń)

National Archives of Ireland, Dublin

Dokumentacja archiwalna Departamentu Spraw Międzynarodowych

National Archives and Records Administration, College Park, Maryland (USA)

Dokumentacja archiwalna Departamentu Stanu

Dokumentacja archiwalna Komisji do spraw Przesiedleńców
Dokumentacja archiwalna Biura Zarządu Wojskowego w Niemczech
Dokumentacja archiwalna Naczelnego Dowództwa Alianckich Sił Ekspedycyjnych (SHAEF)
Dokumentacja archiwalna Wysokiego Komisarza USA w Niemczech

Public Records Office, Kew (Londyn)
Dokumentacja archiwalna Biura Gabinetu Rządowego
Dokumentacja archiwalna Ministerstwa Spraw Zagranicznych
Dokumentacja archiwalna Ministerstwa Pracy

Státni oblastni archiv, Plzen
Dokumentacja archiwalna obozu internowania w Stod
Dokumentacja archiwalna obozu koncentracyjnego w Mirošovie

United Nations Archive, New York
Dokumentacja archiwalna Administracji ONZ do Spraw Pomocy dla Uchodźców

Vojenský ústřední archiv, Praha
Dokumentacja archiwalna Ministra národní (MON)

Najważniejsze opublikowane materiały źródłowe

American Friends Service Committee. *Reports on Conditions in Central Europe*, The Committee, Philadelphia, PA 1946.

Bannister S., *I Lived Under Hitler: An Englishwoman's Story*, Rockliff, London 1957.

Barton B., *The Problem of 12 Million German Refugees in Today's Germany*, American Friends Service Committee, Philadelphia, PA 1949.

Beckherrn E., Dubatow A. (red.), *Die Königsberg-Papiere: Schicksal einer deutschen Stadt. Neue Dokumente aus*

russischen Archiven, Langen Müller, München 1994.
Bednář F., *The Transfer of Germans from Czechoslovakia from the Ideological and Ecclesiastical Standpoint*, Protestant Publishing Company, Praha 1948.
Beneš E., *Memoirs of Dr Eduard Beneš: From Munich to New War and New Victory*, Houghton Mifflin, Boston, MA 1954 (wyd. czeskie: *Paméti*, Praha, 2007).
Beneš E., *Odsun Němců: Výbor z pamětí a projevů doplněný edičními přílohami*, Společnost Edvarda Beneše, Praha 1995.
Beneš E., *The Fall and Rise of a Nation: Czechoslovakia 1938–1941*, M. Hauner (red.), East European Monographs, Boulder, CO 2004.
Beneš E., *The War of 1939: Two Addresses of the Czechoslovak President at the Edinburgh and the Glasgow University 5th and 7th November, 1941*, Společnost Edvarda Beneše, Praha 2005.
Bilainkin G., *Second Diary of a Diplomatic Correspondent*, Sampson Row, Martin, London 1947.
W. Borodziej, H. Lemberg (red.), *Die Deutschen östlich von Oder und Neiße 1945–1950: Dokumente aus polnischen Archiven*, (t. I–IV), Verlag Herder-Institut, Marburg 2000–2004.
Byford-Jones W., *Berlin Twilight*, Hutchinson, London 1947.
Cseh B.G., *Documents of the Meetings of the Allied Control Commission for Hungary 1945–1947*, MTA Jelenkor-kutató Bizottság, Budapest 2000.
Church of England; Synod of York, *The York Journal of Convocation, Containing the Acts and Debates of the Convocation of the Province of York in the Sessions of 11th and 12th October, 1945*, W.H. Smith, York 1945.
Committee Against Mass Expulsions, *The Land of the Dead: Study of the Deportations from Eastern Germany*, The

Committee, New York 1947.
Committee Against Mass Expulsions, *Men Without the Rights of Man: A Report on the Expulsion and Extermination of German Speaking Minority Groups in the Balkans and Prewar Poland*, The Committee, New York 1948.
Czechosłowackie Ministerstwo Informacji, *Programme of the Czechoslovak Government of the National Front of Czechs and Slovaks, Agreed to at the First Government Meeting in Košice on April 5th 1945*, Praha 1945.
Czechosłowackie Ministerstwo Informacji, *Bulletin of the Ministry of Information, 1st Department*, Praha, 1945–1947.
Czechosłowacki Rząd Tymczasowy, *The New Czechoslovakia: Program of the Provisional Czechoslovak Government*, Ludovy Dennik, Pittsburgh, PA (bez daty wydania; ok. 1945).
Czechosłowacka Służba Informacyjna, *President Benes on War and Peace: Statements by Dr. Edvard Benes, President of the Czechoslovak Republic, during his Visit to the United States and Canada in May and June 1943*, New York 1943.
Dickens A.G., *Lübeck Diary*, Victor Gollancz, London 1947.
Djilas M., *Wartime*, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1977.
Economic Co-Operation Administration, *The Integration of Refugees into German Life: A Report of the ECA Technical Assistance Commission on the Integration of the Refugees in the German Republic Submitted to the Chancellor of the Federal Republic of Germany, March 21, 1951*, Bonn (bez daty wydania; ok. 1951).
Fetter J., *The Sudetens–A Moral Question*, William-Frederick Press, New York 1947.

Galbraith J.K., *Recovery in Europe: An International Committee Report*, National Planning Association, Washington, DC 1946.
Gollancz V., *In Darkest Germany*, Regnery, Hinsdale 1947
Gollancz V., *Our Threatened Values*, Regnery, Hinsdale 1948.
Grant Duff S., *German and Czech: A Threat to European Peace*, Gollancz, London 1937.
Grant Duff S., *The Parting of Ways: A Personal Account of the Thirties*, Peter Owen, London 1982.
Haffner S., *Geschichte eines Deutschen: die Erinnerungen 1914–1933*, Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart 2000 (wyd. polskie: *Historia pewnego Niemca: wspomnienia 1914–1933;* tłum. D. Guzik, Znak, Kraków 2007).
Havel V., *To the Castle and Back*, Random House, New York 2008.
Hindus M.G., *We* Shall *Live Again*, Doubleday, Doran, New York 1939.
Hindus M.G., *The Bright Passage*, Doubleday, New York 1947.
Hitler A., *Hitler's Second Book: The Unpublished Sequel to Mein Kampf*, G.L. Weinberg (red.), Enigma, New York 2003.
International Institute of Humanitarian Law, *Report of the Working Group on Mass Expulsion*, International Institute of Humanitarian Law, San Remo 1983.
Jaksch W., *Can Industrial Peoples Be Transferred? The Future of the Sudeten Population*, Sudeten Social Democratic Party, London 1943.
Kent M., *Eine Porzellanscherbe im Graben: Eine deutsche Flüchtlingskindheit*, Scherz Verlag, Bern 2003.
Kovály H.M., *Under a Cruel Star: A Life in Prague 1941–1968*, Plunkett Lake Press, Cambridge, MA 1986.

Klukowski Z., *Dziennik z lat okupacji Zamojszczyzny, 1939–1944*, LSW, Lublin 1958.
Labour Party (brytyjska), *The International Post-War Settlement: Report by the National Executive Committee of the Labour Party to be Presented to the Annual Conference to be Held in London from May 29th to June 2nd, 1944*, Co-Operative Printing Society, London 1944.
Labour Party, *Report of the Forty-Fourth Annual Conference of the Labour Party*, Co-Operative Printing Society, London 1945.
Lane A.B., *I Saw Poland Betrayed: An American Ambassador Reports to the American People*, Bobbs-Merrill, Indianapolis 1948.
Lippóczy P., Walichnowski T. (red.), *Przesiedlenie ludności niemieckiej z Polski po II wojnie światowej w świetle dokumentów*, PWN, Warszawa 1982.
Lockhart R.H.B., *The Diaries of Sir Robert Bruce Lockhart*, t. II: *1939–1965*, K. Young (red.), Macmillan, London 1980.
Mackenzie C., *Dr Beneš*, Harrap, London 1946.
Maschmann M., *Fazit: Kein Rechtfertigungsversuch*, Deutsche Verlagsanstalt, Stuttgart 1964.
Merritt A.J., Merritt R.L. (red.), *Public Opinion in Occupied Germany: The OMGUS Surveys, 1945–1949*, University of Illinois Press, Urbana, IL 1970.
Mlynárik J., *Thesen zur Aussiedlung der Deutschen aus der Tschechoslowakei, 1945–1947*, Danubius, München 1985.
Neary B.U., H. Schneider-Ricks (red.), *Voices of Loss and Courage: German Women Recount Their Expulsion from East Central Europe 1944–1950*, Picton, Rockport, ME 2002.

Nicolson H., *Peacemaking 1919*, Houghton Mifflin, Boston 1938.
Office of Military Government for Germany; Prisoners of War and Displaced Persons Division, *Report on Refugees and Expellees*, OMGUS, Berlin 1947.
Ripka H., *The Future of the Czechoslovak Germans*, Czechoslovak-British Friendship Club, London 1944.
Roberts S.H., *The House that Hitler Built*, Methuen, London 1939.
Schieder T. i in. (red.), *Dokumentation der Vertreibung der Deutschen aus Ost-Mitteleuropa* (t. I–V), Bundesministerium für Vertriebene, Flüchtlinge und Kriegsgeschädigte, Bonn 1953–1961.
Schimanski S., *Vain Victory*, Victor Gollancz, London 1946.
Sommer H., *Völkerwanderung im 20. Jahrhundert: die grosse Heimkehr der Volksdeutschen ins Reich*, Wilhelm Limpert-Verlag, Berlin 1940.
Sudeten German Social Democratic Party (Socjaldemokracja Niemców Sudeckich), *Evidence on the Reign of Racialism in Czechoslovakia*, Der Sozialdemokrat, London 1945.
Sudeten German Social Democratic Party, *Deportation Drama in Czecho-Slovakia: The Case of a Dying People*, Der Sozialdemokrat, London 1945.
Swanstrom E.E., *Pilgrims of the Night: A Study of Expelled Peoples*, Sheed & Ward, New York 1950.
United Nations; Human Rights Committee (Komisja Praw Człowieka ONZ), *Selected Decisions of the Human Rights Committee under the Optional Protocol, International Covenant on Civil and Political Rights*, t. VIII, United Nations Publications, New York 2007.
United States Congress; House of Representatives (Izba Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych),

Hearings Before Subcommittee No. 1 of the Committee on the Judiciary, House of Representatives, Eighty-First Congress, First Session, on H.R. 1344: A Bill to Amend the Displaced Persons Act of 1948, March 2, 4, and 9, 1949, Government Printing Office, Washington, DC 1949.
United States Congress; House of Representatives (Izba Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych), *Expellees and Refugees of German Ethnic Origin: Report of a Special Subcommittee of the Committee on the Judiciary, House of Representatives, Pursuant to H. Res. 238, A Resolution to Authorize the Committee on the Judiciary to Undertake a Study of Immigration and Nationality Problems* (Report No. 1841), Government Printing Office, Washington, DC 1950.
United States; Department of State (Departament Stanu USA), *Foreign Relations of the United States*, Government Printing Office, Washington, DC 1955–1971.
Welles S., *The Time for Decision*, Harper, New York 1944.
Welles S., *Where Are We Heading?*, Hutchinson, London 1947.
Zachodnia Agencja Prasowa, *1939–1950: Population Movements Between the Oder and Bug Rivers*, Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1961.

Inne publikacje książkowe

Ackermann V., *Der „echte" Flüchtling: Deutsche Vertriebene und Flüchtlinge aus der DDR 1945–1961*, Universitätsverlag Rasch, Osnabrück 1995.
Ahonen P., *After the Expulsion: West Germany and Eastern Europe 1945–1990*, Oxford University Press, Oxford 2003.
Ahonen P., Corni G. i in., *People on the Move: Forced Population Movements in Europe in the Second World War and its Aftermath*, Berg, Oxford 2008.

Allen D.J., *The Oder–Neisse Line: The United States, Poland and Germany in the Cold War*, Praeger,Westport, CT 2003.
Aly G., *„Final Solution": Nazi Population Policy and the Murder of the European Jews*, Arnold, London 1999.
Aly G., Haake C.B. (red.), *Removing Peoples: Forced Removal in the Modern World*, Oxford University Press, Oxford 2009.
Aly G., Heim S., *Vordenker der Vernichtung: Auschwitz und die deutschen Pläne für eine neue europäische Ordnung*, Hoffmann & Campe, Hamburg 1991.
Anderson C., *Eyes Off the Prize: The United Nations and the African American Struggle for Human Rights, 1945–1955*, Cambridge University Press, Cambridge 2003.
Annan N., *Changing Enemies: The Defeat and Regeneration of Germany*, HarperCollins, London 1995.
Auer S., Burgdorff S. (red.), *Die Flucht: Über die Vertreibung der Deutschen aus dem Osten*, Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart 2002.
Bacque J., *Crimes and Mercies: The Fate of German Civilians under Allied Occupation 1944–1950*, Little Brown and Company, London 1997.
Balfour M., Mair J., *Four-Power Control in Germany and Austria, 1945–1946*, Oxford University Press, Oxford 1956.
Barkan E., *The Guilt of Nations: Restitution and Negotiating Historical Injustices*, John Hopkins University Press, Baltimore, MD 2001.
Bass G.J., *Stay the Hand of Vengeance: The Politics of War Crimes Tribunals*, Princeton University Press, Princeton, NJ 2000.
Bell-Fialkoff A., *Ethnic Cleansing*, St Martin's Press, London 1996.

Benz W. (red.), *Die Vertreibung der Deutschen aus dem Osten: Ursachen, Ereignisse, Folgen*, Fischer, Frankfurt am Main 1985.
Bergen D.L., *War and Genocide: A Concise History of the Holocaust*, Rowman & Littlefield, Lanham, MD 2009.
Bessel R., *Germany 1945: From War to Peace*, Simon & Schuster, London 2009.
Bessel R., Haake C.B. (red.), *Removing Peoples: Forced Removal in the Modern World*, Oxford University Press, Oxford 2009.
Biddiscombe A.P., *Werwolf! The History of the National Socialist Guerrilla Movement 1944–1946*, University of Toronto Press, Toronto 1998 (wyd. polskie: *Ostatni naziści: działania Werwolfu w powojennej Europie*, tłum. S. Kędzierski, Bellona, Warszawa 2003).
Biess F., *Homecomings: Returning POWs and the Legacies of Defeat in Postwar Germany*, Princeton University Press, Princeton, NJ 2006.
Bramwell A.C. (red.), *Refugees in the Age of Total War*, Unwin Hyman, London 1988.
Brandes D., Ivaničková E., Pešek J. (red.), *Erzwungene Trennung: Vertreibungen und Aussiedlungen in und aus Tschechoslowakei 1938–1947 im Vergleich mit Polen, Ungarn und Jugoslawien*, Klartext, Essen 1999.
Brandes D. *Der Weg zur Vertreibung: Pläne und Entscheidungen zum „Transfer" der Deutschen aus der Tschechoslowakei und aus Polen*, Oldenbourg, München 2001.
Breitman R., *The Architect of Genocide: Himmler and the Final Solution*, Knopf, New York 1991.
Brown M.D., *Dealing with Democrats: The British Foreign Office and the Czechoslovak Émigrés in Great Britain, 1939 to 1945*, Peter Lang, Frankfurt am Main 2006.

Browning C.R., Matthäus J., *The Origins of the Final Solution: The Evolution of Nazi Jewish Policy, September 1939–March 1942*, University of Nebraska Press, Lincoln, NE 2004.
Bruegel J.W., *Czechoslovakia Before Munich: The German Minority Problem and British Appeasement Policy*, Cambridge University Press, Cambridge 1973.
Brumlik M., *Wer Sturm sät: Die Vertreibung der Deutschen*, Aufbau, Berlin 2005.
Bullivant K., Giles G., Pape E. (red.), *Germany and Eastern Europe: Cultural Identities and Cultural Differences* (Yearbook of European Studies, t. XIII), Rodopi, Amsterdam 1999.
Burleigh M., *Germany Turns Eastwards: A Study of* Ostforschung *in the Third Reich*, Cambridge University Press, Cambridge 1988.
Burleigh M., *The Third Reich: A New History*, Macmillan, Basingstoke, Hampshire 2000 (wyd. polskie: *Trzecia Rzesza: nowa historia;* tłum. G. Siwek, wyd. 2, Znak, Kraków 2010).
Byman D.L., *Keeping the Peace: Lasting Solutions to Ethnic Conflicts*, Johns Hopkins University Press, Baltimore, MD 2002.
Carmichael C., *Genocide Before the Holocaust*, Yale University Press, New Haven, CT 2009.
Casey S., *Cautious Crusade: Franklin D. Roosevelt, American Public Opinion, and the War against Nazi Germany*, Oxford University Press, New York 2001.
Chinciński T., Machcewicz P. (red.), *Bydgoszcz 3–4 września 1939: studia i dokumenty*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2008.
Chodakiewicz M.J., *Between Nazis and Soviets: Occupation Politics in Poland, 1939–1947*, Lanham, MD Lexington,

2004.
Clark B., *Twice a Stranger: The Mass Expulsions That Forged Modern Greece and Turkey*, Harvard University Press, Cambridge, MA 2006.
Connor I., *Refugees and Expellees in Post-War Germany*, Manchester University Press, Manchester 2007.
Cooper J., *Raphael Lemkin and the Struggle for the Genocide Convention*, Palgrave Macmillan, Basingstoke, Hampshire 2008.
Cordell K., *Ethnicity and Democratisation in the New Europe*, Routledge, London 1999.
Cordell K., Wolff S., *Germany's Foreign Policy towards Poland and the Czech Republic:* Ostpolitik *Revisited*, Abingdon, Routledge, Oxford 2005.
Crampton R.J., *Eastern Europe in the Twentieth Century and After*, Routledge, London 1997.
Crawley A., *The Spoils of War: The Rise of Western Germany 1945–1972*, Bobbs-Merrill, New York 1973.
Crawshaw S., *Easier Fatherland: Germany and the Twenty-First Century*, Continuum, London 2004.
Crowe D., *Oskar Schindler*, Westview, Boulder, CO 2004.
Curp T.D., *A Clean Sweep? The Politics of Ethnic Cleansing in Western Poland, 1945–1960*, University of Rochester Press, Rochester, NY 2006.
Davies N., *Boże igrzysko: historia Polski*, Znak, Kraków 2006.
Davies N., Moorhouse R., *Microcosm: Portrait of a Central European City*, Jonathan Cape, London 2002 (wyd. polskie: *Mikrokosmos: portret miasta środkowoeuropejskiego*, tłum. A. Pawelec, Znak, Kraków 2003).
De Jong L., *The German Fifth Column in the Second World War*, Routledge & Kegan Paul, London 1956.

Demetz P., *Prague in Danger: The Years of German Occupation, 1939–1945*, Farrar, Strauss & Giroux, New York 2008.
Deutsche National-Zeitung, *Verbrecher-Album der Sieger: Die 100 Furchtbarsten Schreibtischtäter und Vollstrecker des Vernichtungskrieges gegen Deutschland*, FZ-Verlag, München 1997.
De Zayas A.M., *Nemesis at Potsdam: The Anglo-Americans and the Expulsion of the Germans – Background, Execution, Consequences*, Routledge & Kegan Paul, London 1979.
De Zayas A.M., *A Terrible Revenge: The Ethnic Cleansing of the East European Germans, 1944–1950*, St Martin's Press, New York 1994.
Douglas R.M., *The Labour Party, Nationalism and Internationalism, 1939–1951*, Routledge, London 2004.
Dow J.E., *The German Nation: Displacement and Resettlement*, American Press, New York 1968.
Dubiański W.R., *Obóz pracy w Mysłowicach w latach 1945–1946*, Instytut Pamięci Narodowej, Katowice 2004.
Dziurok A., *Obóz pracy w Świętochłowicach w 1945 roku: dokumenty, zeznania, relacje, listy*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2002.
Eby C.D., *Hungary at War: Civilians and Soldiers in World War II*, Pennsylvania State University Press, University Park, PA 1998.
Egit J., *Grand Illusion*, Lugus, Toronto 1991.
Epstein C., *Model Nazi: Arthur Greiser and the Occupation of Western Poland*, Oxford University Press, Oxford 2010.
Esser H., *Die Hölle von Lamsdorf: Dokumentation über ein polnisches Vernichtungslager*, Vienerius, Münster 1971.
Faulenbach B., Helle A. (red.), *Zwangsmigration in Europa: Zur wissenschaflichen und politischen*

Auseinandersetzung um die Vertreibung der Deutschen aus dem Osten, Klartext, Essen 2005.
Favez J.C., *Une mission impossible? Le CICR, les déportations et les camps de concentration nazis*, Payot, Lausanne 1988.
Fehrenbach H., *Cinema in Democratizing Germany: Reconstructing National Identity after Hitler*, University of North Carolina Press, Chapel Hill, NC 1995.
Fenby J., *Alliance: The Inside Story of How Roosevelt, Stalin and Churchill Won One War and Began Another*, Simon & Schuster, London 2006.
Frank M., *Expelling the Germans: British Opinion and Mass Population Transfers in Context*, Oxford University Press, Oxford 2007.
Fritzsche P., *Life and Death in the Third Reich*, Belknap Press of Harvard University Press, Cambridge, MA 2008 (wyd. polskie: *Życie i śmierć w Trzeciej Rzeszy*, tłum. T. Tesznar, Wydawnictwo UJ, Kraków 2010).
Frommer B., *National Cleansing: Retribution Against Nazi Collaborators in Postwar Czechoslovakia*, Cambridge University Press, Cambridge 2005.
Garrett S.A., *Conscience and Power: An Examination of Dirty Hands and Political Leadership*, Palgrave Macmillan, Basingstoke, Hampshire 1996.
George B., *Les Russes arrivent: la plus grande migration des temps modernes*, Éditions de la Table Ronde, Paris 1966.
Gilbert M., *The Boys: The Story of 732 Young Concentration Camp Survivors*, Holt, New York 1998.
Grass G., *Im Krebsgang*, Steidl, Göttingen 2002 (wyd. polskie: *Idąc rakiem: nowela*; tłum. S. Błaut, Polnord-Oskar, Gdańsk 2002).

Gregor N., *Haunted City: Nuremberg and the Nazi Past*, Yale University Press, New Haven, CT 2008.
Gross J.T., *Polish Society Under German Occupation: The* Generalgouvernement, *1939–1944*, Princeton University Press, Princeton 1979.
Gross J.T., *Strach: antysemityzm w Polsce tuż po wojnie – historia moralnej zapaści*, Znak, Kraków 2008.
Gryziewicz S., Zaleski W. (red.), *The Pattern of Life in Poland*, Mid-European Research and Planning Centre, Paris 1952.
Hahn E., Hahn H.H., *Die Vertreibung im deutschen Erinnern: Legenden, Mythos, Geschichte*, Schöningh, Paderborn 2010.
Hankel G., *Der Leipziger Prozesse: Deutsche Kriegsverbrechen und ihre strafrechtliche Verfolgung nach dem Ersten Weltkrieg*, HIS Verlag, Hamburg 2003.
Harbutt F.J., *Yalta 1945: Europe and America at the Crossroads*, Cambridge University Press, Cambridge 2010.
Harvey E., *Women and the Nazi East: Agents and Witnesses of Germanization*, Columbia University Press, New York 2005.
Hastings M., *Armageddon: The Battle for Germany, 1944–1945*, Knopf, New York 2004.
Heimann M.J., *Czechoslovakia: The State That Failed*, Yale University Press, New Haven, CT 2009.
Heinemann I., *Rasse, Siedlung, deutsches Blut: Das Rasse- und Siedlungshauptamt der SS und die rassenpolitische Neuordnung Europas*, Wallstein,Göttingen 2003.
Henckaerts J.M., *Mass Expulsion in Modern International Law and Practice*, Martinus Nijhoff, Hague 1995.
Hirschon R. (red.), *Crossing the Aegean: An Appraisal of the 1923 Compulsory Population Exchange Between*

Greece and Turkey, Berghahn, Oxford 2003.
Hofmann A.R., *Die Nachkriegszeit in Schlesien: Gesellschafts- und Bevölkerungspolitik in den polnischen Siedlungsgebieten 1945–1948*, Böhlau, Köln 2000.
Horne J., Kramer A., *German Atrocities 1914: A History of Denial*, Yale University Press, New Haven, CT 2001.
Hrabar R., Tokarz Z., Wilczur J.E. (red.), *Kinder im Krieg—Krieg gegen Kinder: Die Geschichte der polnischen Kinder, 1939–1945*, Rowohlt, Reinbek bei Hamburg 1981.
Huener J., *Auschwitz, Poland, and the Politics of Commemoration, 1945–1979*, Ohio University Press, Athens, OH 2003.
Hughes M.L., *Shouldering the Burdens of Defeat: West Germany and the Reconstruction of Social Justice*, University of North Carolina Press, Chapel Hill, NC 1999.
Ignatieff M., *Blood and Belonging: Journeys Into the New Nationalism*, BBC Books, London 1993.
Jackson K., *Humphrey Jennings*, Picador, London 2004.
Jaksch W., *Europe's Road to Potsdam* (red. K. Glaser), Praeger, New York 1963.
Jankowiak S., *Wysiedlenie i emigracja ludności Niemieckiej w polityce władz Polskich w latach 1945–1970*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2005.
Jansen C., Weckbecker A., *Der „Volksdeutsche Selbstschutz" in Polen 1939/40*, Oldenbourg, München:1992.
Jenkins G., *Political Islam in Turkey: Running West, Heading East?*, Palgrave Macmillan, Basingstoke, Hampshire 2008.
Kacowicz A.M., Lutomski P. (red.), *Population Resettlement in International Conflicts: A Comparative Study*, Lexington, Lanham, MD 2007.

Kenney P., *Rebuilding Poland: Workers and Communists 1945–1950*, Cornell University Press, Ithaca, NY 1997.
Khan Y., *The Great Partition: The Making of India and Pakistan*, Yale University Press, New Haven, CT 2007.
King J., *Budweisers into Czechs and Germans: A Local History of Bohemian Politics, 1848–1948*, Princeton University Press, Princeton, NJ 2002.
Kittel M., *Vertreibung der Vertriebenen? Der historische deutsche Osten in der Erinnerungskultur der Bundesrepublik (1961–1982)*, Oldenbourg, München 2007.
Knightley P., *The First Casualty: From the Crimea to Vietnam – The War Correspondent as Hero, Propagandist, and Myth Maker*, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1975.
Kochavi A.J., *Prelude to Nuremberg: Allied War Crimes Policy and the Question of Punishment*, University of North Carolina Press, Chapel Hill, NC 1998.
Kochavi A.J., *Post-Holocaust Politics: Britain, the United States and Jewish Refugees, 1945–1948*, University of North Carolina Press, Chapel Hill, NC 2001.
Koehl R., *RKFDV: German Resettlement and Population Policy, 1939–1945–A History of the* Reich *Commission for the Strengthening of Germandom*, Harvard University Press, Cambridge, MA 1957.
Kogon E., *The Theory and Practice of Hell: The German Concentration Camps and the System Behind Them* (wyd. poprawione), Farrar, Strauss & Giroux, New York 2006.
Kontogiorgi E., *Population Exchange in Greek Macedonia: The Rural Settlement of Refugees 1922–1930*, Oxford University Press, Oxford 2006.
Kopka B., *Obozy pracy w Polsce 1944–1950: przewodnik encyklopedyczny*, Karta, Warszawa 2002.

Kossert A., *Kalte Heimat: Die Geschichte der deutschen Vertriebenen nach 1945*, Siedler, Berlin 2008.
Kotek J., Rigoulot P., *Le siècle des camps: detention, concentration, extermination*, Lattès, Paris 2000.
Krauss M. (red.), *Integrationen: Vertriebene in den deutschen Ländern nach 1945*, Vandenhoeck & Ruprecht, Göttingen 2008.
Krejčí J., Machonin P., *Czechoslovakia, 1918–92: A Laboratory for Social Change*, St Martin's Press, New York 1996.
Kulischer E.M., *The Displacement of Population in Europe*, International Labour Office, Montreal 1943.
Lasser W., *Benjamin V. Cohen: Architect of the New Deal*, Yale University Press, New Haven, CT 2002.
Lattimore B.G., *The Assimilation of German Expellees into the West German Polity and Society since 1945: A Case Study of Eutin, Schleswig-Holstein*, Martinus Nijhoff, Hague 1974.
Leff L., *Buried by the „Times". The Holocaust and America's Most Important Newspaper*, Cambridge University Press, Cambridge 2005.
Lehmann A., *Im Fremden ungewollt zuhaus: Flüchtlinge und Vertriebene in Westdeutschland 1945–1990*, C.H. Beck, München 1991.
Lenarcik A., *A Community in Transition: Jewish Welfare in Breslau-Wrocław,* Verlag Barbara Budrich, Opladen 2010.
Lieberman B., *Terrible Fate: Ethnic Cleansing in the Making of Modern Europe,* I.R. Dee, Chicago 2006.
Linek B., *Polityka antyniemiecka na Górnym Śląsku w latach 1945–1950*, Stowarzyszenie Instytutu Śląskiego, Opole 2000.
Lumans V.O., *Himmler's Auxiliaries: The* Volksdeutsche Mittelstelle *and the German National Minorities of*

Europe, 1933–1945, Chapel Hill, NC University of North Carolina Press, 1993.
Luža R., *The Transfer of the Sudeten Germans: A Study of Czech-German Relations, 1933–1962*, New York University Press, New York 1964.
Macardle D., *Children of Europe: A Study of the Children of Liberated Countries, their War-time Experiences, their Reactions, and their Needs*, Gollancz, London 1951.
MacDonogh G., *After the Reich: From the Liberation of Vienna to the Berlin Airlift,* John Murray, London 2007.
Maguire P., *Law and War: International Law and American Justice* (wyd. popr.), Columbia University Press, New York 2010.
Majer D., *„Non-Germans" Under the Third Reich: The Nazi Judicial and Administrative System in Germany and Occupied Eastern Europe, with Special Regard to Occupied Poland, 1939–1945*, Johns Hopkins University Press, Baltimore, MD 2003.
Mann M., *The Dark Side of Democracy: Explaining Ethnic Cleansing*, Cambridge University Press, Cambridge 2004.
Marcuse H., *Legacies of Dachau: The Uses and Abuses of a Concentration Camp 1933–2001*, Cambridge University Press, Cambridge, 2001.
Mastny V., *The Czechs Under Nazi Rule: The Failure of National Resistance, 1939–1942*, Columbia University Press, 1971.
Mazower M., *Hitler's Empire: How the Nazis Ruled Europe*, Penguin, New York 2008 (wyd. polskie: *Imperium Hitlera*, tłum. A. i J. Maziarscy, Świat Książki, Warszawa 2011).
Meehan P., *A Strange Enemy People: Germans Under the British, 1945–1950*, Peter Owen, London 2001.
Mevius M., *Agents of Moscow: The Hungarian Communist Party and the Origins of Socialist Patriotism 1941–1953*,

Clarendon Press, Oxford 2005.
Moeller R.G., *War Stories: The Search for a Usable Past in the Federal Republic of Germany*, University of California Press, Berkeley, CA 2001.
Moltke J. von, *No Place Like Home: Locations of* Heimat *in German Cinema*, University of California Press, Berkeley, CA 2005.
Morrison J.G., *Ravensbrück: Everyday Life in a Women's Concentration Camp 1939–45*, Markus Wiener, Princeton, NJ 2000.
Muller J.L., *L'expulsion des allemands de Hongrie: politique internationale et destin méconnu d'une minorité*, L'Harmattan, Paris 2001.
Murdock C., *Changing Places: Society, Culture, and Territory in the Saxon-Bohemian Borderlands, 1870–1946*, University of Michigan Press, Ann Arbor, MI 2010.
Naimark N.M., *The Russians in Germany: A History of the Soviet Zone of Occupation, 1945–1949*, Belknap Press of Harvard University Press, Cambridge, MA 1995.
Naimark N.M., *Fires of Hatred: Ethnic Cleansing in Twentieth-Century Europe*, Harvard University Press, Cambridge, MA 2001.
Neville P., *Hitler and Appeasement: The British Attempt to Prevent the Second World War*, Hambledon Continuum, London 2006.
Nicholas L.H., *Cruel World: The Children of Europe in the Nazi Web*, Knopf, New York 2005.
Nitschke B., *Vertreibung und Aussiedlung der Deutschen Bevölkerung aus Polen 1945 bis 1949*, Oldenbourg, München 2004.
Nowak E., *Lager im Oppelner Schlesien im System der Nachkriegslager in Polen (1945–1950). Geschichte und*

Implikationen, Zentrales Kriegsgefangenenmuseum Lambinowice-Opole, Opole 2003.
Olejnik L., *Polityka narodowościowa Polski w latach 1944–1960*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2003.
Olejnik L., *Zdrajcy narodu? Losy volksdeutschów w Polsce po II wojnie światowej*, Trio, Warszawa 2006.
Orłowski H., Sakson A. (red.), *Utracona ojczyzna: Przymusowe wysiedlenia deportacje i przesiedlenia jako wspólne doświadczenie*, Instytut Zachodni, Poznań 1996.
Orzoff A., *Battle for the Castle: The Myth of Czechoslovakia in Europe, 1914–1948*, Oxford University Press, Oxford 2009.
Paikert G.C., *The German Exodus: A Selective Study on the post-World War II Expulsion of German Populations and its Effects*, Martinus Nijhoff, Hague 1962.
Paikert G.C., *The Danube Swabians: German Populations in Hungary, Rumania and Yugoslavia and Hitler's Impact on their Patterns*, Martinus Nijhoff, Hague 1967.
Perzi N., *Die Beneš-Dekrete: Eine Europäische Tragödie*, Niederösterreichisches Pressehaus, St Pölten 2003.
Petersen T., *Flucht und Vertreibung aus Sicht der deutschen, polnischen und tschechischen Bevölkerung*, Stiftung Haus der Geschichte der Bundesrepublik Deutschland, Bonn 2005.
Plaschka R.G., Haselsteiner H. i in. (red.), *Nationale Frage und Vertreibung in der Tschechoslowakei und Ungarn 1938–1948: Aktuelle Forschungen*, Verlag der Österreichischen Akademie der Wissenschaften, Wien 1997.
Pogány I.S., *Righting Wrongs in Eastern Europe*, Manchester University Press, Manchester 1997.
Persson H.-Å., *Rhetorik und Realpolitik: Großbritannien, die Oder–Neiße-Grenze und die Vertreibung der*

Deutschen nach dem Zweiten Weltkrieg, Verlag für Berlin-Brandenburg, Potsdam 1997.
Pohl D., *Von der „Judenpolitik" zum Judenmord: Der Distrikt Lublin des Generalgouvernements 1933–1944*, Peter Lang, Frankfurt am Main 1993.
Ponting C., *Churchill*, Sinclair-Stevenson, London 1994.
Power S., *„A Problem from Hell": America and the Age of Genocide*, Basic Books, New York 2002.
Prażmowska A.J., *Civil War in Poland, 1942–1948*, Palgrave Macmillan, Basingstoke, Hampshire 2004.
Proudfoot M.J., *European Refugees 1939–52: A Study in Forced Population Movement*, Northwestern University Press, Evanston, IL 1956.
Prusin A.V., *The Lands Between: Conflict in the East European Borderlands, 1870–1992*, Oxford University Press, Oxford 2010.
Raška F.D., *The Czechoslovak Exile Government in London and the Sudeten German Issue*, Karolinum Press, Praha 2002.
Rees L., *The Nazis: A Warning from History*, BBC Books, London 1997 (wyd. polskie: *Naziści: ostrzeżenie historii;* tłum. S. Kędzierski, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998).
Rey-Scherr C., *De Yalta à Dien Bien Phu: Histoire du Comité international de la Croix-Rouge 1945–1955*, Georg Editeur, Geneva 2007.
Rolinek S., *Jüdische Lebenswelten 1945–1955: Flüchtlinge in der amerikanische Zone Österreichs*, Studien Verlag, Innsbruck 2007.
Roman E., *Hungary and the Victor Powers, 1945–1950*, St Martin's Press, New York 1996.
Rossino A.B., *Hitler Strikes Poland: Blitzkrieg, Ideology, and Atrocity*, University Press of Kansas, Lawrence, KS 2003.

Rothkirchen L., *The Jews of Bohemia and Moravia: Facing the Holocaust*, University of Nebraska Press, Lincoln, NE 2005.
Rummel R.J., *Death by Government*, Transaction, New Brunswick, NJ 1994.
Ryan S., *The Transformation of Violent Intercommunal Conflict*, Ashgate, Aldershot, Hants 2007.
Rystad G. (red.), *The Uprooted: Forced Migration as an International Problem in the Post-War Era*, Lund University Press, Lund 1990.
Sayer I., Botting D., *Nazi Gold: The Story of the World's Greatest Robbery—and its Aftermath*, Congdon & Weed, New York 1984.
Schabas W.A., *An Introduction to the International Criminal Court* (wyd. III), Cambridge University Press, Cambridge 2007.
Schafft G.E., *From Racism to Genocide: Anthropology in the Third Reich*, University of Illinois Press, Urbana, IL 2004.
Schechtman J.B., *European Population Transfers 1939–1945*, Oxford University Press, Oxford 1946.
Schechtman J.B., *Postwar Population Transfers in Europe 1945–1955*, University of Pennsylvania Press, Philadelphia, PA 1962.
Schraut S., *Flüchtlingsaufnahme in Württemberg-Baden 1945–1949: Amerikanische Besatzungsziele und demokratischer Wiederaufbau im Konflikt*, Oldenbourg, München 1995.
Shephard B., *The Long Road Home: The Aftermath of the Second World War*, Bodley Head, London 2010.
Smelser R.M., *The Sudeten Problem, 1933–1938:* Volkstumspolitik *and the Formulation of Nazi Foreign Policy*, Wesleyan University Press, Middletown, CT 1975.

Snyder T., *Bloodlands: Europe Between Hitler and Stalin*, Basic Books, New York 2010 (wyd. polskie: *Skrwawione ziemie: Europa między Hilterem a Stalinem*, tłum. B. Pietrzyk, Świat Książki, Warszawa 2011).
Solonari V., *Purifying the Nation: Population Exchange and Ethnic Cleansing in Nazi-Allied Romania*, Woodrow Wilson Center Press, Washington, DC 2010.
Staněk T., *Tábory v Českych zemích 1945–1948*, Slezsky ustav Slezkého zemského muzea, Opava 1996.
Staněk T., *Verfolgung 1945: Die Stellung der Deutschen in Böhmen, Mähren und Schlesien (außerhalb der Lager und Gefängnisse)*, Böhlau, Wien 2002.
Staněk T., *Poválečné „excesy" v Českych zemích v roce 1945 a jejich vyšetřováni*, Ústav pro soudobé dějiny, Praha 2005.
Stankowski W., *Lager für Deutsche in Polen am Beispiel Pommerellen/Westpreußen (1945–1950). Durchsicht und Analyse der polnischen Archivalien*, Kulturstiftung der deutschen Vertriebenen, Bonn 2001.
Stargardt N., *Witnesses of War: Children's Lives under the Nazis*, Random House, New York 2005.
Stern F., *Five Germanys I Have Known*, Farrar, Strauss & Giroux, New York 2006.
Strauchold G., *Myśl zachodnia i jej realizacja w Polsce Ludowej w latach 1945–1957*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2003.
Suppan A., *Austrians, Czechs and Sudeten Germans as a Community of Conflict in the Twentieth Century*, Center for Austrian Studies, Minneapolis, MN 2006.
Szwołdrzyński J., *The Pattern of Life in Poland*, t. VI: *The Family*, Mid-European Research and Planning Centre, Paris 1952.

Táborský E., *President Edvard Beneš: Between East and West, 1938–1948*, Hoover Institution Press, Palo Alto, CA 1981.
Tanner I., *Ireland's Holy Wars: The Struggle for a Nation's Soul, 1500–2000*, Yale University Press, New Haven, CT 2001.
Taylor F., *Dresden, Tuesday, February 13, 1945*, HarperCollins, London 2004.
Tenz M.H., *The Innocent Must Pay: Memoirs of a Danube German Girl in a Yugoslavian Death Camp 1944–1948*, University of Mary Press, Bismarck, ND 1991.
Ther P., *Deutsche und polnische Vertriebenen: Gesellschaft und Vertriebenenpolitik in der SBZ/DDR und in Polen 1945–1956*, Vandenhoeck & Ruprecht, Göttingen 1998.
Ther P., Siljak A. (red.), *Redrawing Nations: Ethnic Cleansing in East-Central Europe, 1944–1948*, Rowman & Littlefield, Lanham, MD 2001.
Thornberry P., *International Law and the Rights of Minorities*, Clarendon Press, Oxford 1991.
Urban T., *Der Verlust: Die Vertreibung der Deutschen und Polen im 20. Jahrhundert*, C.H. Beck, München 2004.
Várdy S.B., Tooley T.H. (red.), *Ethnic Cleansing in Twentieth-Century Europe*, Social Science Monographs, Boulder, CO 2003.
Vernant J., *The Refugee in the Post-War World*, Yale University Press, New Haven, CT 1953.
Völklein M., *„Mitleid war von niemand zu erwarten": Das Schicksal der deutschen Vertriebenen*, Droemer, München 2005.
Walters F.P., *A History of the League of Nations* (t. I–II), Oxford University Press, Oxford 1952.
Weigel G., *Witness to Hope: The Biography of Pope John Paul II*, HarperCollins, New York 1999 (wyd. polskie:

Świadek nadziei: biografia papieża Jana Pawła II; tłum. M. Tarnowska i in., Znak, Kraków 2000).
Wiedemann A., *„Komm mit uns das Grenzland aufbauen!" Ansiedlung und neue Strukturen in den ehemaligen Sudetengebieten 1945–1952*, Klartext, Essen 2007.
Wiesen S.J., *West German Industry and the Challenge of the Nazi Past, 1945–1955*, University of North Carolina Press, Chapel Hill, NC 2003.
Wilkinson P., *Foreign Fields: The Story of an SOE Operative*, I.B. Tauris, London 1997.
Wingfield N.M., *Minority Politics in a Multinational State: The German Social Democrats in Czechoslovakia, 1918–1938,* East European Monographs, Boulder, CO 1989.
Wingfield N.M., *Flag Wars and Stone Saints: How the Bohemian Lands Became Czech*, Harvard University Press, Cambridge, MA 2007.
Wiskemann E., *Czechs and Germans: A Study of the Struggle in the Historic Provinces of Bohemia and Moravia*, Oxford University Press, London 1938.
Wiskemann E., *Germany's Eastern Neighbours: Problems Relating to the Oder–Neisse Line and the Czech Frontier Regions*, Oxford University Press, London 1956.
Wolff S., *The German Question since 1919*, Praeger, Westport, CT 2003.
Wrigley C., *A.J.P. Taylor: Radical Historian of Europe*, I.B. Tauris, London 2006.
Yildirim O., *Diplomacy and Displacement: Reconsidering the Turco-Greek Exchange of Populations, 1922–1934*, Routledge, New York 2006.
Zaborowski M., *Germany, Poland and Europe: Cooperation and Europeanisation*, Manchester University Press, Manchester 2005.

Zahra T., *Kidnapped Souls: National Indifference and the Battle for Children in the Bohemian Lands, 1900–1948*, Cornell University Press, Ithaca, NY 2008.
Zand G., Holý J. (red.), *Transfer–Vertreibung–Aussiedlung im Kontext der tschechischen Literatur*, Aktion, Brno 2004.
Zeman Z.A.B., Klimek A., *The Life of Edvard Beneš 1884–1948: Czechoslovakia in Peace and War*, Clarendon Press, Oxford 1997.

Artykuły

Abrams B.F., *Morality, Wisdom and Revision: The Czech Opposition of the 1970s and the Expulsion of the Sudeten Germans*, „East European Politics and Societies" 1995, 9/2 (wiosna), s. 234–255.
Ackermann V., *Homo barackensis: Westdeutsche Flüchtlingslager in den 1950er Jahren*, w: V. Ackermann, B.A. Rusinek, F. Wiesemann (red.), *Anknüpfungen: Kulturgeschichte–Landesgeschichte–Zeitgeschichte: Gedenkschrift für Peter Hüttenberger*, Klartext, Essen 1995, s. 330–346.
Ackermann V., *Das Schweigen der Flüchtlingskinder: Psychische Folgen von Krieg, Flucht und Vertreibung bei den Deutschen nach 1945*, „Geschichte und Gesellschaft" 2004, 30/3, s. 434–464.
Alexander M., *Die tschechische Diskussion über die Vertreibung der Deutschen und deren Folgen*, „Bohemia" 1993, 34/2, s. 390–408.
Arburg A. von, *Tak či onak: Nucené přesídlení v komplexním pojetí poválecné sídelní politiky v českých zemich*, „Soudobé Dějiny" 2003, 10/3, s. 253–271.
Auer S., *Slovakia: From Marginalization of Ethnic Minorities to Political Participation (And Back?)*, w: B. Rechel (red.), *Minority Rights in Central and Eastern*

Europe, Routledge, Abingdon, Oxfordshire 2009, s. 195–209.

Balogh S., *Population Removal and Population Exchange in Hungary After World War II*, w: F. Glatz (red.), *Études historiques hongroises 1990*, Institute of History of the Hungarian Academy of Sciences, Budapest 1990, s. 407–432.

Barkan E., *Deserving and Undeserving Victims: Political Context and Legal Framework of Hard Cases of Reparation*, w: K. de Feyter, S. Parmentier i in. (red.), *Out of the Ashes: Reparation for Victims of Gross and Systematic Human Rights Violations*, Intersentia, Antwerpen 2005.

B. Beck, *Sexual Violence and Its Prosecution by Courts Martial of the Wehrmacht*, w: R. Chickering, S. Förster, B. Greiner (red.), *A World at Total War: Global Conflict and the Politics of Destruction, 1937–1945*, Cambridge University Press, Cambridge 2005, s. 317–331.

Bergen D.L., *The „Volksdeutschen" of Eastern Europe, World War II, and the Holocaust: Constructed Ethnicity, Real Genocide*, „Yearbook of European Studies" 1999, 13, s. 70–93.

Bergen D.L., *The Volksdeutsche of Eastern Europe and the Collapse of the Nazi Empire, 1944–1945*, w: A.E. Steinweis, D.E. Rogers (red.), *The Impact of Nazism: New Perspectives on the Third Reich and its Legacy*, University of Nebraska Press, Lincoln, NE 2003, s. 101–128.

Berger S., *On Taboos, Traumas and Other Myths: Why the Debate About German Victims During the Second World War is Not a Historians' Controversy*, w: B. Niven (red.), *Germans as Victims: Remembering the Past in*

Contemporary Germany, Palgrave Macmillan, Basingstoke, Hampshire 2006, s. 210–224.
Black P.R., *Rehearsal for „Reinhard"? Odilo Globocnik and the Lublin* Selbstschutz, „Central European History" 1992, 25/2 (wiosna), s. 204–226
Blanke R., *When Germans and Poles Lived Together: From the History of German-Polish Relations*, w: K. Bullivant, G. Giles, E. Pape (red.), *Germany and Eastern Europe: Cultural Identities and Cultural Differences* (Yearbook of European Studies, t. XIII), Rodopi, Amsterdam 1999, s. 37–55.
Blumenwitz D., *Standards for the Political Handling of Dealings Concerning Property after World War II*, w: G. Loibi (red.), *Austrian Review of International and European Law 2001*, t. VI, Martinus Nijhoff, Den Haag 2003, s. 183–204.
Bookbinder P., *A Bloody Tradition: Ethnic Cleansing in World War II Yugoslavia*, „New England Journal of Public Policy" 2005, 19/2 (zima), s. 99–109.
Borák M., *Fenomén tzv. vojenskych táborů nucené práce v Československu a jeho mezinárodni souvislosti*, „Slezský Sborník" 2000, 98/1–2, s. 78–92.
Borodziej W., *Ucieczka – wypędzenie – wysiedlenie przymusowe*, w: A. Lawaty, Orłowski H. (red.), *Polacy i Niemcy: historia – kultura – polityka*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2003, s. 98–106.
Boyer C. i in., *Die Sudetendeutsche Heimatfront (Partei), 1933–1938: Zur Bestimmung ihres politisch ideologischen Standortes"*, „Bohemia" 1997, 38/2, s. 357–385.
Bradley J., *Czechoslovakia: External Crisis and Internal Compromise*, w: D. Berg-Schlosser, Mitchell J. (red.), *Conditions of Democracy in Europe, 1919–39: Systematic*

Case Studies, Basingstoke, Hampshire: Palgrave Macmillan, 2000, s. 85–105.
Brandes D., *„Otázka transferu… Ta je tady Kolumbovo vejce": Československí komunisté a vyhnání Němců*, „Český Časopis Historický" 2005, 103/1, s. 87–114.
Brown M., *The Diplomacy of Bitterness: Genesis of the Potsdam Decision to Expel Germans from Czechoslovakia*, „Western Political Quarterly" 1958, 11/3 (IX), s. 607–626.
Bryant C., *Either German or Czech: Fixing Nationality in Bohemia and Moravia, 1939–1946*, „Slavic Review" 2002, 61/4 (zima), s. 683–706.
Burds J., *The Soviet War Against „Fifth Columnists": The Case of Chechnya, 1942–4*, „Journal of Contemporary History" 2007, 42/2 (IV), s. 267–314.
Capet A., *Deux régards antinomiques sur l'Allemagne, 1933–1946*, w: J.-P. Pichardie (red.), *Contre le nazisme ou contre l'Allemagne? Le débat sur l'anti-germanisme en Grande-Bretagne depuis la deuxième guerre mondiale*, Centre d'études en littérature et civilisation de langue anglaise, Rouen 1998, s. 7–32.
Caplan J., *Political Detention and the Origin of the Concentration Camps in Nazi Germany, 1933–1935/6*, w: N. Gregor (red.), *Nazism, War and Genocide: Essays in Honour of Jeremy Noakes*, University of Exeter Press, Exeter 2005, s. 22–41.
Casey S., *The Campaign to Sell a Harsh Peace for Germany to the American Public*, „History" 2005, 90/1 (I), s. 62–92.
Cattaruzza M., *Espulsioni di massa di popolazioni nell'Europa del XX secolo*, „Rivista Storica Italiana" 2001, 113/1, s. 66–85.
Cesarini D., *Camps de la mort, camps de concentration et camps d'internement dans la mémoire collective*

britannique, „Vingtième Siècle” 1997, 54 (IV–VI), s. 13–23.
Chrypinski V.C., *Church and Nationality in Postwar Poland*, w: S.P. Ramet (red.), *Religion and Nationalism in Soviet and East European Politics*, Duke University Press, Durham, NC 1988, s. 241–263.
Chumiński J., Kaszuba E., *The Breslau Germans under Polish Rule 1945–1946: Conditions of Life, Political Attitudes, Expulsion*, „Studia Historiæ Œconomicae” 1997, 22, s. 87–101.
Connor I., *The Radicalization That Never Was? Refugees in the German Federal Republic*, w: F. Biess, M. Roseman, Schissler H. (red.), *Conflict, Catastrophe and Continuity: Essays on Modern German History*, Berghahn, Oxford 2007, s. 221–236.
Connor I., *German Expellees in the SBZ/GDR and the „Peace Border”*, w: A. Goodbody, P.Ó. Dochartaigh i in. (red.), *Dislocation and Reorientation: Exile, Division and the End of Communism in German Culture and Politics*, Rodopi, Amsterdam 2009, s. 167–196.
Cordell K., Wolff S., *Ethnic Germans in Poland and the Czech Republic: A Comparative Evaluation*, „Nationalities Papers” 2005, 33/2 (VI), s. 255–276.
Cornwall M., *„A Leap into Ice-Cold Water”: The Manoeuvres of the Henlein Movement in Czechoslovakia, 1933–1938*, w: M. Cornwall i R.J.W. Evans (red.), *Czechoslovakia in a Nationalist and Fascist Europe 1918–1948*, Oxford University Press, Oxford 2007, s. 123–142.
Crowe D., *Germany and the Baltic Question in Latvia 1939–1940*, „East European Quarterly” 1992, 26/3 (jesień), s. 371–389.
Curp T.D., *The Politics of Ethnic Cleansing: The P.P.R., the P.Z.Z. and Wielkopolska’s Nationalist Revolution, 1944–*

1946, „Nationalities Papers” 2001, 29/4, s. 575–603.
Czapliński W., *The Protection of Minorities under International Law (Comments on the Alleged Existence of a German Minority in Poland)*, „Polish Western Affairs” 1984, 25/1, s. 121–136.
Demshuk A., *Citizens in Name Only: The National Status of German Expellees, 1945–53*, „Ethnopolitics” 2006, 5/4 (XI), s. 383–397.
De Zayas A.M., *The Legality of Mass Population Transfers: The German Experience 1945–48*, „East European Quarterly” 1978, 12/1 (wiosna), s. 1–23.
Drápala M., *Na ztracené varte západu: poznámky k Ceské politické publicistice nesocialistického zamerení v letech 1945–48*, „Soudobé Dějiny” 1998, 5/1, s. 16–24.
Farquharson J., *„Emotional but Influential”: Victor Gollancz, Richard Stokes and the British Zone of Germany, 1945–9*, „Journal of Contemporary History” 1987, 22/3 (VII), s. 501–519.
Finney P.B., *„An Evil for All Concerned”: Great Britain and Minority Protection after 1919*, „Journal of Contemporary History” 1995, 30/3 (VII), s. 533–551.
Frank M., *The New Morality – Victor Gollancz, „Save Europe Now” and the German Refugee Crisis, 1945–46*, „Twentieth Century British History” 2006, 17/2, s. 230–256.
Frommer B., *Expulsion or Integration: Unmixing Interethnic Marriage in Postwar Czechoslovakia*, „East European Politics and Societies” 2000, 14/2, s. 381–410.
Gabzdilová S., *Nemecká menšina na Slovensku koncom druhej svetovej vojny*, „Moderní Dějiny” 2002, 10, s. 111–136.
Gabzdilová S., Olejnik M., *Proces internácie Nemeckého obyvatel’stva na Slovensku v rokoch 1945–1946*,

„Historický Časopis” 2002, 50/3, s. 423–438.
Geiger V., *Logori za folksdojčere u Hrvatskoj nakon Drugoga svjetskog rata 1945.–1947.*, „Časopis za Suvremenu Povijest” 2006, 38/3 (IX), s. 1081–1100.
Geiger V., *Epidemija tifusa u logorima za folksdojčere u Slavoniji 1945./1946. i posljedice*, „Časopis za Suvremenu Povijest” 2007, 39/2 (X), s. 367–383.
Geiger V., *Josip Broz Tito i sudbina jugoslavenskih Nijemaca*, „Časopis za Suvremenu Povijest” 2008, 40/3 (IX), s. 801–818.
Genizi H., *Interfaith Cooperation in America on Behalf of the D.P. Acts, 1948–1950*, „Holocaust and Genocide Studies” 1994, 8/1 (wiosna), s. 75–93.
Gerlach D., *Beyond Expulsion: The Emergence of „Unwanted Elements” in the Postwar Czech Borderlands, 1945–1950*, „East European Politics and Societies” 2010, 24/2 (V), s. 269–293.
Glassheim E., *National Mythologies and Ethnic Cleansing: The Expulsion of Czechoslovak Germans in 1945*, „Central European History” 2000, 33/4 (XII), s. 463–486.
Glassheim E., *Ethnic Cleansing, Communism, and Environmental Devastation in Czechoslovakia's Borderlands, 1945–1989*, „Journal of Modern History” 2006, 78/1 (III), s. 65–92.
Goda N.J.W., *Black Marks: Hitler's Bribery of His Senior Officers During World War II*, „Journal of Modern History” 2002, 72/2 (VI), s. 413–452.
Goldenberg S.L., *Crimes Against Humanity—1945–1970: A Study in the Making and Unmaking of International Criminal Law*, „Western Ontario Law Review” 1971, 10/1, s. 1–55.
Goltermann S., *The Imagination of Disaster: Death and Survival in Postwar West Germany*, w: A. Confino, P.

Betts, D. Schumann (red.), *Between Mass Death and Individual Loss: The Place of the Dead in Twentieth-Century Germany*, Berghahn, Oxford 2008, s. 261–274.
Gosewinkel D., Meyer S., *Citizenship, Property Rights and Dispossession in Postwar Poland (1918 and 1945)*, „European Review of History" 2009, 16/4 (VIII), s. 575–595.
Grabowski J., Grabowski Z.R., *Germans in the Eyes of the Germans: The Ciechanów District, 1939–1945*, „Contemporary European History" 2004, 13/1 (II), s. 21–43.
Grohmann C., *From Lothringen to Lorraine: Expulsion and Voluntary Repatriation*, „Diplomacy and Statecraft" 2005, 16/3 (jesień), s. 571–587.
Grosser T., *The Integration of Deportees into the Society of the Federal Republic of Germany*, „Journal of Communist Studies and Transition Politics" 2000, 16/1–2 (III/VI), s. 125–147.
Haar I., *Die deutschen „Vertreibungsverluste": Zur Entstehungsgeschichte der Dokumentation der Vertreibung*, w: „Tel Aviver Jahrbuch für Deutsche Geschichte" 2007, 35, s. 251–272.
Hauner M., *Aux sources de la question allemande chez le jeune Edvard Beneš*, „Revue des Études Slaves" 1998, 70/4, s. 932–942.
Hauner M., *„We Must Push Eastwards!" The Challenges and Dilemmas of President Beneš after Munich*. „Journal of Contemporary History" 2009, 44/4 (X), s. 619–656.
Hauser P., *The German Minority in Poland in the Years 1918–1939: Reflections on the State of Research and Interpretation: Proposals for Further Research*, „Polish Western Affairs" 1991, 32/2, s. 13–38.

Hayden R.M., *Schindler's Fate: Genocide, Ethnic Cleansing, and Population Transfers*, „Slavic Review" 1996, 55/4 (zima), s. 727–748.
Heinemann I., *„Another Type of Perpetrator": The SS Racial Experts and Forced Population Movements in the Occupied Regions*, „Holocaust and Genocide Studies" 2001, 15/3 (zima), s. 387–411.
Heinemann I., *„Until The Last Drop of Good Blood": The Kidnapping of „Racially Valuable" Children and Nazi Racial Policy in Occupied Eastern Europe*, w: A.D. Moses (red.), *Genocide and Settler Society: Frontier Violence and Stolen Indigenous Children in Australian History*, Berghahn, Oxford 2004, s. 244–266.
Heinemann I., *„Ethnic Resettlement" and Inter-Agency Co-operation in the Occupied Eastern Territories*, w: G.D. Feldman, W. Seibel (red.), *Networks of Nazi Persecution: Bureaucracy, Business and the Organization of the Holocaust*, Berghahn, Oxford 2004, s. 213–235.
Hrabovec E., *The Catholic Church and Deportations of Ethnic Germans from the Czech Lands*, „Journal of Communist Studies and Transition Politics" 2000, 16/1–2 (III–VI), s. 64–82.
Huebner T., *The Internment Camp at Terezín, 1919*, „Austrian History Yearbook" 1996, 27, s. 199–211.
Jacques C., *Le „Centre Contre les Expulsions" de Berlin: un débat centre-européen autour de la „culture mémorielle"*, „Revue d'Allemagne et des Pays de Langue Allemande" 2008, 40/3, s. 421–436.
Jakobson R., *Problems of Language in Masaryk's Writings*, w: J. Novák (red.), *On Masaryk: Texts in English and German*, Rodopi, Amsterdam 1988, s. 55–80.
Janák D., *Politické a legislativní aspekty táborů nucené práce*, „Slezský Sborník" 2000, 98/1–2, s. 93–109.

Janjetović Z., *The Disappearance of the Germans from Yugoslavia: Expulsion or Emigration?*, „Revue des Études Sud-Est Européennes” 2002, 40/1, s. 215–231.
Jenne E.K., *Ethnic Partition Under the League of Nations: The Cases of Population Exchange in the Western Balkans*, w: E. Chenoweth, A. Lawrence (red.), *Rethinking Violence: States and Non-State Actors in Conflict*, MIT Press, Cambridge, MA 2010, s. 117–140.
Jérome G., *Les milices d’autoprotection de la communauté allemande de Pomerelie, Posnanie et Silesie polonaise (1939–1940)*, „Guerres Mondiales et Conflits Contemporains” 1991, 41/163, s. 51–74.
Kaufmann C.D., *When All Else Fails: Ethnic Population Transfers and Partitions in the Twentieth Century*, „International Security” 1998, 23/2 (jesień), s. 120–156.
Kędzia A., *Działalność opiekuńcza i lecznicza Polskiego Czerwonego Krzyża w akcji repatriacyjnej i przesiedleńczej na Pomorzu Zachodnim*, „Archiwum Historii i Filozofii Medycyny” 2001, 64/2–3, s. 175–188.
Komska Y., *Border Looking: The Cold War Visuality of the Sudeten German Expellees and its Afterlife*, „German Life and Letters” 2004, 57/4 (X), s. 401–426.
Kostiaszow I.V., *Wysielienie niemcew iz Kaliningradskoj obłasti w posliewojennyje gody*, „Woprosy Istorii” 1994 (VI), s. 186–187.
Kováč D., *Organizovaný odsun nemcov zo Slovenska roku 1946*, „Historický Časopis” 2001, 49/2, s. 237–254.
Krauss M., *Die Integration Vertriebener am Beispiel Bayerns—Konflikte und Erfolge*, w: D. Hoffmann, M. Schwartz (red.), *Geglückte Integration? Specifika und Vergleichbarkeiten der Vertriebenen Eingliederung in der SBZ/DDR*, Oldenbourg, München 1999, s. 47–56.

Langenbacher E., *Ethical Cleansing: The Expulsion of Germans from Central and Eastern Europe*, w: N.A. Robins, A. Jones (red.), *Genocides by the Oppressed: Subaltern Genocide in Theory and Practice*, Indiana University Press, Bloomington, IN 2009, s. 58–83.
Lebedeva N.S., *The Deportation of the Polish Population to the USSR, 1939–41*, „Journal of Communist and Transition Politics" 2000, 16/1–2 (III), s. 28–45.
Levine H.S., *Local Authority and the SS State: The Conflict over Population Policy in Danzig-West Prussia, 1939–1945*, „Central European History" 1969, 2/4 (XII), s. 331–355.
Linek B., *Recent Debates on the Fate of the German Population in Upper Silesia 1945–1950*, „German History" 2004, 22/3 (jesień), s. 372–405.
Łossowski P., *The Resettlements of Germans from Lithuania during World War II*, „Acta Poloniae Historica" 2006, 93, s. 121–142.
Lower W., *Hitler's „Garden of Eden" in Ukraine: Nazi Colonialism, Volksdeutsche, and the Holocaust, 1941–1944*, w: J. Petropoulos, J.K. Roth (red.), *Gray Zones: Ambiguity and Compromise in the Holocaust and Its Aftermath*, Berghahn, Oxford 2006, s. 185–204.
Lukes I., *Stalin and Czechoslovakia in 1938–39: An Autopsy of a Myth*, w: I. Lukes, E. Goldstein (red.), *The Munich Crisis, 1938: Prelude to World War II*, Cass, London 1999, s. 13–47.
Lukes I., *The Czechoslovak Special Services and their American Adversary during the Cold War*, „Journal of Cold War Studies" 2007, 9/1 (zima), s. 3–28.
Lumans V.O., *A Reassessment of the Presumed Fifth Column Rôle of the German National Minorities of Europe*, w: J.K. Burton, C.W. White (red.), *Essays in*

European History: 1988–89, t. II, University Press of America, Lanham, MD 1996, s. 191–212.
Lutomski P., *The Debate about a Center against Expulsions: An Unexpected Crisis in German-Polish Relations*, „German Studies Review" 2004, 27/3 (X), s. 449–468.
Lutomski P., *Acknowledging Each Other as Victims: An Unmet Challenge in the Proecss of Polish-German Reconciliation*, w: L. Cohen-Pfister, D. Wienröder-Skinner (red.), *Victims and Perpetrators, 1933– 1945: (Re-)Presenting the Past in Post-Unification Culture*, De Gruyter, Berlin 2006, s. 241–261.
Lutomski P., *The Polish Expulsion of the German Population in the Aftermath of World War II*, w: A.M. Kacowicz, P. Lutomski (red.), *Population Resettlement in International Conflicts: A Comparative Study*, Lexington, Lanham, MD 2007, s. 99–114.
Lylloff K., *Kan lægeløftet gradbøjes? Dødsfald blandt og lægehjælp til de tyske flygtninge i Danmark 1945*, „Historisk Tidsskrift" 1999, 99/1 (VI), s. 33–67.
Macklem P., *Rybná 9, Praha 1: Restitution and Memory in International Human Rights Law*, „European Journal of International Law" 2005, 16/1 (II), s. 1–23.
Makino U., *Final Solutions, Crimes Against Mankind: On the Genesis and Criticism of the Concept of Genocide*, „Journal of Genocide Research" 2001, 3/1, s. 49–73.
Martin T., *The Origins of Soviet Ethnic Cleansing*, „Journal of Modern History" 1998, 70/4 (XII), s. 815–861.
Majewski P.M., *Czechosłowaccy wojskowi wobec problemu wysiedlenia mniejszości niemieckiej i powojennych granic państwa, 1939–1945*, „Przegląd Historyczny" 1999, 90/2, s. 169–183.
Matelski D., *Polityka narodowościowa PRL wobec mniejszości niemieckiej (1944–1989)*, „Przegląd

Historyczny” 1997, 88/3–4, s. 487–497.
Mazower M., *Minorities and the League of Nations in Interwar Europe*, „Daedalus” 1997,126/2 (wiosna), s. 47–63.
Mazower M., *The Strange Triumph of Human Rights, 1933–1950*, „Historical Journal” 2004, 47/2 (VI), s. 379–398.
Mazur Z., *Poland’s Western Frontier in the State Department’s Concepts During World War II*, „Polish Western Studies” 1980, 21/2, s. 274–296.
McLaren M., *„Out of the Huts Emerged a Settled People”: Community-Building in West German Refugee Camps*, „German History” 2010, 28/1 (III), s. 21–43.
Moeller R.G., *War Stories: The Search for a Usable Past in the Federal Republic of Germany*, „American
Historical Review” 1996, 101/4 (X), s. 1008–1048.
Moszyński E., *The Church on the Western Territories*, „Polish Perspectives” 1973, 16/2 (II), s. 19–23.
Müller R.D., *The Results of the War*, w: R.D. Müller, G.R. Ueberschär (red.), *Hitler’s War in the East: A Critical Assessment* (wyd. III), Berghahn, Oxford 2009, s. 345–366.
Mulaj K., *A Recurrent Tragedy: Ethnic Cleansing as a Tool of State Building in the Yugoslav Multinational Setting*, „Nationalities Papers” 2006, 34/1 (III), s. 21–50.
Musekamp J., *Brno/Brünn 1938–1948: Eine Stadt in einem Jahrzehnt erzwungener Wanderungen*, „Zeitschrift für Ostmitteleuropa-Forschung” 2004, 53, s. 1–44.
Naimark N.M., *Ethnic Cleansing Between War and Peace*, w: A. Weiner (red.), *Landscaping the Human Garden: Twentieth Century Population Management in a Comparative Framework*, Stanford University Press, Palo Alto, CA 2003, s. 218–235.

Naimark N.M., *The Persistence of the „Postwar": Germany and Poland*, w: F. Biess, R.G. Moeller (red.), *Histories of the Aftermath: The Legacies of the Second World War in Europe*, Berghahn, Oxford 2010, s. 13–29.
Nickel J.W., *What's Wrong with Ethnic Cleansing?*, „Journal of Social Philosophy" 1995, 26/1 (wiosna), s. 5–15.
Nitschke B., *Wysiedlenia Niemców w czerwcu i lipcu 1945 roku*, „Zeszyty Historyczne" 1996, 118, s. 155–171.
Nitschke B., *Polacy wobec Niemców: odpowiedzialność Niemców za zbrodnie wojenne*, „Zeszyty Historyczne" 1998, 123/2, s. 3–24.
Noskova A.F., *Migration of the Germans after the Second World War: Political and Psychological Aspects*, „Journal of Communist Studies and Transition Politics" 2000, 16/1–2 (III–VI), s. 96–114.
Papp N.G., *The German Minority between the Two World Wars: Loyal Subjects or Suppressed Citizens?*, „East European Quarterly" 1988, 22/4 (zima), s. 495–514.
Pasák T., *Přemysl Pitters Protest: Eine unbekannte Stimme gegen die Greuel in den Internierungslagern 1945*, „Bohemia" 1994, 35, s. 90–104.
Persson I., *Viadrina to the Oder–Neisse Line: Historical Evolution and Regional Cooperation*, w: S. Tägil (red.), *Regions in Central Europe: The Legacy of History*, Purdue University Press, West Lafayette, IN 1999, s. 211–258.
Pešek J., *Nemci na Slovensku po ukončení povojnového hromadného odsunu (1947–1953)*, „Historický Časopis" 1998, 46/2, s. 261–280.
Phayer M., *Pius XII and the Genocides of Polish Catholics and Polish Jews during the Second World War*, „Kirchliche Zeitgeschichte" 2002, 15/1 (I), s. 238–262.
Pietrzak J., *Działalność kard. Augusta Hlonda jako wysłannika papieskiego na Ziemiach Odzyskanych w 1945*

r., „Nasza Przeszłość” 1974, 42, s. 195–249.
Piskorski J.M., *Polish „Myśl Zachodnia” and „German Ostforschung”: An Attempt at a Comparison*, w: I. Haar, M. Fahlbusch (red.), *German Scholars and Ethnic Cleansing, 1919–1945*, Berghahn, Oxford 1995, s. 260–271.
Pogány I.S., *International Human Rights Law, Reparatory Justice and the Re-Ordering of Memory in Central and Eastern Europe*, „Human Rights Law Review” 2010, 10/3, s. 397–428.
Portmann M., *Repression und Widerstand auf dem Land: Die kommunistische Landwirtschaftspolitik in der jugoslawischen Vojvodina (1944 bis 1953)*, „Südost-Forschungen” 2006/2007, 65/66, s. 370–393.
Portmann M., *Politik der Vernichtung? Die deutschsprachige Bevölkerung in der Vojvodina 1944–1952: Ein Forschungsbericht auf Grundlage jugoschlawischer Archivdokumente*, w: *Danubiana carpathica: Jahrbuch für Geschichte und Kultur in den deutschen Siedlingsgebieten Südosteuropas*, Oldenbourg, München 2007, s. 321–360.
Raack R.C., *Stalin Fixes the Oder–Neisse Line*, „Journal of Contemporary History” 1990, 25/4 (X), s. 467–488.
Reynolds D., *Churchill and the British „Decision” to Fight on in 1940: Right Policy, Wrong Reasons*, w: R. Langhorne (red.), *Diplomacy and Intelligence During the Second World War: Essays in Honour of F.H. Hinsley*, Cambridge University Press, Cambridge 1985, s. 147–167.
Rolinek S., *Jüdische Fluchthilfe im Raum Salzburg: Das Netzwerk von Bricha und Betar 1945 bis 1948*, w: T. Albrich (red.), *Flucht nach Eretz Israel: Die Bricha und der jüdische Exodus durch Österreich 1945*, Studien Verlag, Innsbruck 1998, s. 93–118.

Rothfels H., *Zehn Jahre danach*, „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte” 1955, 3/3 (VII), s. 227–239.
Rupnik J., *Joining Europe Together or Separately? The Implications of the Czecho-Slovak Divorce for EU Enlargement*, w: J. Rupnik, J. Zielonka (red.), *The Road to the European Union*, t. I: *The Czech and Slovak Republics*, Manchester University Press, Manchester 2003, s. 16–50.
Ryback T.W., *Dateline Sudetenland: Hostages to History*, „Foreign Policy” 1996/1997, 105 (zima), s. 162–178.
Sanborn J.R., *Unsettling the Empire: Violent Migrations and Social Disaster in Russia during World War I*, „Journal of Modern History” 2005, 77/2 (VI), s. 290–324.
Schabas W.A., *„Ethnic Cleansing” and Genocide: Similarities and Distinctions*, „European Yearbook of Minority Issues”, t. III; Brill, Leiden 2005, s. 109–128.
Schechla J., *Ideological Roots of Population Transfer*, „Third World Quarterly” 1993, 14/2 (VI), s. 239–275.
Schmaltz E., *The „Long Trek”: The SS Population Transfer of Ukrainian Germans to the Polish Warthegau and its Consequences, 1943–1944*, „Journal of the American Historical Society of Germans from Russia” 2008, 31/3 (jesień), s. 1–23.
Schulze R., *The Politics of Memory: Flight and Expulsion of German Populations after the Second World War and German Collective Memories*, „National Identities” 2006, 8/4 (XII), s. 367–382.
Schwelb E., *Crimes Against Humanity*, „British Yearbook of International Law” 1946, 23, s. 178–226.
Scott J.M., *Exile and the Self-Understanding of Diaspora Jews in the Greco-Roman Period*, w: J.M. Scott (red.), *Exile: Old Testament, Jewish, and Christian Conceptions*, E.J. Brill, Leiden 1997, s. 173–220.

Segesser D.M., *„Unlawful Warfare is Uncivilized": The International Debate on the Punishment of War Crimes, 1872–1918*, „European Review of History" 2007, 14/2 (VI), s. 215–234.
Seipp A.R., *Refugee Town: Germans, Americans and the Uprooted in Rural West Germany, 1945–52*, „Journal of Contemporary History" 2007, 44/4 (X), s. 675–695.
Shik N., *Sexual Abuse of Jewish Women in Auschwitz-Birkenau*, w: D. Herzog (red.), *Brutality and Desire: War and Sexuality in Europe's Twentieth Century*, Palgrave Macmillan, Basingstoke 2009, s. 221–246.
Sierpowski S., *Les dilemmes à la Société des Nations au sujet des minorités*, „Polish Western Affairs" 1984, 25/2, s. 187–210.
Soukupová B., *Německá mensina v Českém veřejném míněni po druhé světové válce: Několik poznámek k etnickému klimatu v postevropském čase*, „Historica" [Ostrava] 2009, 16, s. 277–294.
Spülbeck S., *Ethnography of an Encounter: Reactions to Refugees in Post-war Germany and Russian Migrants After the Reunification—Context, Analogoes and Changes*, w: A.J. Rieber (red.), *Forced Migration in Central and Eastern Europe, 1939–1950*, Frank Cass, London 2000, s. 175–190.
Staněk T., von Arburg A., *Úloha ústředních státních orgánů při provádění „evakuace" německého obyvatelstva (kveten až září 1945)*, č. 1: Předpoklady a vývoj do konce května 1945, „Soudobé Dějiny" 2005, 12/3–4, s. 465–533.
Staněk T., von Arburg A., *Úloha ústředních státních orgánů při provádění „evakuace" německého obyvatelstva (kveten až září 1945)*, č. 2: *Československá armád vytvá'ři "hotové skutečnosti" vládaje před cizinou legitimizuje*, „Soudobé Dějiny" 2006, 13/1–2, s. 13–49.

Staněk T., von Arburg A., *Organizované divoké odsuny? Úloha ústředních státních orgánů při provádění „evakuace" německého obyvatelstva (kveten až září 1945)*, č. 3: *Snaha vlády a civilních úradu o rízení „Divokého Odsunu"*, „Soudobé Dějiny" 2006, 13/3–4, s. 321–376.

Stola D., *Pologne 1944–1948: Vers un état „purement Polonais"*, „Revue d'Europe Centrale" 1994, 2/2, s. 191–199.

Suppan A., *Éviction et déportation de masse des allemands hors de Tchécoslovaquie, de Hongrie et de Yougoslavie 1945–1948*, w: F.-D. Lichtenhan, *Europe 1946: entre le deuil et l'espoir*, Éditions Complexe, Paris 1996, s. 77–85.

Táborský E., *Politics in Exile, 1939–1945*, w: V.S. Matamey, R. Luža (red.), *A History of the Czechoslovak Republic 1918–1948*, Princeton University Press, Princeton, NJ 1973, s. 322–342.

Ther P., *Expellee Policy in the Soviet-Occupied Zone and the GDR: 1945–1953*, w: D. Rock, S. Wolff (red.), *Coming Home to Germany? The Integration of Ethnic Germans from Central and Eastern Europe in the Federal Republic*, Berghahn, Oxford 2002, s. 56–76.

Topinka J., *Zapomenutý kraj: České pohraničí 1948–1960 a takzvaná akce dosídlení*, „Soudobé Dějiny" 2005, 12/3–4, s. 534–585.

Trapp G., Heumos P., *Antibarbaros: Johannes Urzidils publizistische Tätigkeit in Medien der tschechoslowakischen Exilregierung 1940–1945*, „Bohemia" 1999, 40/2, s. 417–435.

Vaculík J., *Reemigrace zahraničnich Čechů a Slováků v letech 1945–1948*, „Slezský Sborník", 1995, 93/1–2, s. 53–58.

Vaško V., *Kardinál Beran a jeho zápas s totalitou: Portrét osobnosti*, „Soudobé dějiny" 2001, 8/2–3, s. 384–408.
Wallace W.V., *From Czechs and Slovaks to Czechoslovakia, and from Czechoslovakia to Czechs and Slovaks*, w: S. Dunn, T.G. Fraser (red.), *Europe and Ethnicity: The First World War and Contemporary Ethnic Conflict*, Routledge, London 1996, s. 47–66.
Warring A., *Intimate and Sexual Relations*, w: R. Gildea, O. Wieviorka, A. Warring (red.), *Surviving Hitler and Mussolini: Daily Life in Occupied Europe*, Berg, Oxford 2007, s. 88–128.
Waters T.W., *Remembering Sudetenland: On the Legal Construction of Ethnic Cleansing*, „Virginia Journal of International Law" 2006, 47/1 (jesień), s. 63–148.
Weiss Y., *Ethnic Cleansing, Memory and Property – Europe, Israel/Palestine, 1944–1948*, w: R. Gross, Y. Weiss (red.), *Jüdische Geschichte als allgemeine Geschichte: Frestschrift für Dan Diner zum 60. Geburtstag*, Vandenhoeck & Ruprecht, Göttingen 2006, s. 158–185.
Wetzel F., *Missverständnisse von klein auf? Die Vertreibung der Deutschen in tschechischen und deutschen Schulbüchern*, „Zeitschrift für Geschichtswissenschaft" 2005, 53/10, s. 955–968.
Wittlinger R., *The Merkel Government's Politics of the Past*, „German Politics and Society" 2008, 26/4 (zima), s. 9–27.
Wolfe J.H., *International Law and Diplomatic Bargaining: A Commentary on the Sudeten German Question*, „Bohemia" 1973, 14, s. 372–385.
Wolff S., *Can Forced Population Transfers Resolve Self-Determination Conflicts? A European Perspective*, „Journal of Contemporary European Studies" 2004, 12/1 (IV), s. 11–29.

Yoshioka J., *Imagining their Lands as Ours: Place Name Changes on Ex-German Territories in Poland after World War II*, w: T. Hayashi (red.), *Regions in Central and Eastern Europe: Past and Present*, Slavic Research Centre, Hokkaido University, Sapporo 2007, s. 273–287.
Zahra T., *„Children Betray Their Father and Mother": Collective Education, Nationalism, and Democracy in the Bohemian Lands, 1900–1948"*, w: D. Schumann (red.), *Raising Citizens in the „Century of the Child": The United States and German Central Europe in Comparative Perspective*, Berghahn, Oxford 2010, s. 186–205.
Zarnowski J., *Le système de protection des minorités et la Pologne*, „Acta Poloniae Historica" 1985, 52/1, s. 105–124.
Zeman Z.A.B., *Czechoslovakia Between the Wars: Democracy on Trial*, w: J. Morison (red.), *The Czech and Slovak Experience*, St Martin's Press, New York 1992, s. 163–166.
Zettl A., *Dachau/Buchenwald/Gakowa: Reminiscences of a World War II Survivor*, „Journal of Political and Military Sociology" 2005, 33/2 (zima), s. 267–276.
Zweig R.W., *Feeding the Camps: Allied Blockade Policy and the Relief of Concentration Camps in Germany, 1944–1945*, „Historical Journal" 1998, 41/3, s. 825–851.
Žampach V., *Vysídlení německého obyvatelstva z Brna ve dnech 30. a 31. května 1945 a nouzový ubytovací tábor v Pohořelicích, 1.6.–7.7. 1945*, „Jižní Morava" 1997, 32, s. 173–239.

Dysertacje naukowe

Alrich A.A., *Germans Displaced from the East: Crossing Actual and Imagined Central European Borders, 1944–1955*, rozprawa doktorska, Ohio State University, 2007.

Březina Z., *The Czechoslovak Democrat: The Life, Writing, and Politics of Hubert Ripka from 1918 to 1945*, rozprawa doktorska, Boston University, 2008.
Egupova E., *The Issue of Private Property Restitution in the [sic] Interstate Relations: The Sudeten German Case*, praca magisterska, Central European University, 2008.
Ehrlich A., *Between Germany and Poland: Ethnic Cleansing and Politicization of Ethnicity in Upper Silesia under National Socialism and Communism 1939–1950*, rozprawa doktorska, Indiana State University, 2005.
Gerlach D., *For Nation and Gain: Economy, Ethnicity and Politics in the Czech Borderlands, 1945–1948*, rozprawa doktorska, University of Pittsburgh, 2007.
Lyon P.W., *Ethnic Germans and Minority Nationalism in Interwar Yugoslavia*, rozprawa doktorska, University of Maryland, 2008.
Sans A.L., *„Aussi humainement que possible": le Comité International de la Croix-Rouge et l'expulsion des minorités allemandes d'Europe de l'Est 1945–1950 (Pologne–Tchécoslovaquie)*, praca magisterska, Université de Genève, 2003.

Gazety i czasopisma

„British Zone Review"
„Chicago Tribune"
„Contemporary Review"
„Daily Express"
„Daily Herald"
„Daily Mail"
„Daily Telegraph"
„Der Heimatbote"
„Der Spiegel"
„Die Welt"
„Dziennik Polski"

„The Economist”
„Foreign Affairs”
„Gazeta Ludowa”
„Haarec”
„Jewish Daily Forward”
„Kurier Szczeciński”
„Life”
„Manchester Guardian”
„Naše Pravda”
„Nineteenth Century and After”
„Neue Zürcher Zeitung”
„New English Weekly”
„News Chronicle”
„New Statesman and Nation”
„New York Daily News”
„New York Herald Tribune”
„New York Times”
„Nineteenth Century and After”
„Nová Doba”
„Observer”
„Obzory”
„Osservatore Romano”
„Picture Post”
„Political Quarterly”
„Pravda (Plzeň).”
„Právo Lidu”
„Predvoj”
„Reynolds’ News”
„Rudé Právo”
„Scotsman”
„Sever”
„Severočeská Mladá Fronta”
„Slavonic and East European Review”

„Socialist Commentary”
„Spectator”
„Sudetendeutsche Zeitung”
„Svobodné Noviný”
„The Mercury (Hobart)”
„The Times”
„Tribune”
„Tygodnik Powszechny”
„Wall Street Journal”
„Washington Post”
„Wprost”
„Yorkshire Post”
„Zeit”